



TROPICIEL

SORSON
SCOTT
CARD

**Orson
Scott
Card**

Tropiciel

Przełożyli
Kamil Lesiew
Maciejka Mazan



Barbarze Bova,
której odwadze wszystko zawdzięczam.
Codziennie za Tobą tęsknię.

Spis rzeczy

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1 JEŚLI DRZEWO UPADA](#)

[Rozdział 2 STROMOGÓR](#)

[Rozdział 3 MUR NOX](#)

[Rozdział 4 KAPLICZKA WĘDRUJĄCEGO ŚWIĘTEGO](#)

[Rozdział 5 NADRZECZNA OBERŻA](#)

[Rozdział 6 LEJKA I BOCHEN](#)

[Rozdział 7 O](#)

[Rozdział 8 WIEŻA](#)

[Rozdział 9 UMBO](#)

[Rozdział 10 OBYWATEL](#)

[Rozdział 11 WSTECZ](#)

[Rozdział 12 W KAJDANACH](#)

[Rozdział 13 SAMOTNOŚĆ RIGGA](#)

[Rozdział 14 DOM FLACOMMO](#)

[Rozdział 15 ZAUFANIE](#)

[Rozdział 16 MARTWE POLE](#)

[Rozdział 17 UCZONY](#)

[Rozdział 18 KOPIĄC W PRZESZŁOŚCI](#)

[Rozdział 19 ARESSA SESSAMO](#)

[Rozdział 20 CO WIEDZIAŁ KNOSSO](#)

[Rozdział 21 KLUSKI](#)

[Rozdział 22 UCIECZKA](#)

[Rozdział 23 POWÓZ](#)

[Rozdział 24 SKOK ZE SKAŁY](#)

[Rozdział 25 ZBĘDNY](#)

[POSŁOWIE](#)

Rozdział 1

JEŚLI DRZEWO UPADA

Ocalenie rodzaju ludzkiego przed zagładą to ekscytujące zadanie. Lub nużące. Zależnie od tego, w którym etapie procesu się uczestniczy.

Rigg i ojciec przeważnie razem rozstawiali sidła, ponieważ Rigg miał dar widzenia ścieżek, którymi się poruszały zwierzęta.

Ojciec był na to ślepy – w ogóle nie potrafił dojrzeć cienkich, migoczących tropów w powietrzu, które znaczyły ruch żywych stworzeń przez świat. Jednak dla Rigga było to, od kiedy pamiętał, naturalną zdolnością jego oczu, przychodzącą mu bez żadnego wysiłku. Im nowsza ścieżka, tym bardziej niebieska poświata; starsze były zielone, żółte; te prawdziwie starożytne świeciły odcieniami czerwieni.

Już w wieku kilku lat Rigg zrozumiał, co oznacza ta poświata, bo widział, jak wszyscy w ruchu zostawiają za sobą ślady. Oprócz kolorów każdy miał coś jakby podpis, a z biegiem lat Rigg nauczył się biegle je rozpoznawać. Potrafił z miejsca odróżnić człowieka od zwierzęcia, a także różne gatunki od siebie, a jeśli uważniej się przyjrzał, porządkował gmatwaninę tropów tak dokładnie, że mógł podążyć ścieżką konkretnej osoby lub wybranego stworzenia.

Niegdyś, kiedy dopiero zaczął wyprawiać się z ojcem na polowania, popełnił błąd, idąc za zielonkawym tropem. Na jego końcu znaleźli jedynie kupkę starych kości – zwierzęta wiele miesięcy wcześniej porozrywały padlinę na strzępy.

Ojciec nie był zły. Przeciwnie – wydawał się rozbawiony.

– Musimy szukać zwierzyny z wciąż świeżymi skórąmi – rzekł. – I z choćby odrobiną mięsa na kościach, byśmy mogli coś zjeść. Ale jeśli byłbym kolekcjonerem kości, te by się świetnie nadały. Nie martw się.

Ojciec nigdy nie krytykował Rigga, jeśli chodziło o jego dar tropicielstwa. Zwyczajnie przyjmował do wiadomości, co syn potrafi zrobić, i zachęcał go do doskonalenia talentu.

Jednak gdy tylko Rigg zaczynał napomykać komuś o swych zdolnościach albo rzucił jakąś nieostrożną uwagę, przez którą słuchacze mogliby się zorientować, że ma jakiś nietypowy talent, ojciec bezwzględnie i od razu go uciszał.

– Chodzi o twoje życie – tłumaczył mu. – Nie brakuje takich, którzy by cię za to zabili. I takich, którzy by cię porwali, zniewolili i kazali śledzić dla nich. W rezultacie zabijaliby tych, których byś znajdował. – I żeby się upewnić, że Rigg zrozumiał powagę sytuacji, dodał: – A ofiary nie byłyby zwierzętami. Pomagałbyś im mordować ludzi.

Może ojciec nie powinien mu tego mówić, bo te słowa prześladowały go w myślach przez wiele kolejnych miesięcy – i nie tylko pod postacią sennych koszmarów. Rigg czuł się bardzo potężny, myśląc, że jego zdolność mogłaby się przydać w znajdowaniu przestępców i wyrzutków.

Ale to wszystko się zdarzyło, gdy Rigg był mały. Teraz miał trzynaście lat, przechodził mutację, a ojciec mówił mu trochę o tym, jak postępować z kobietami. Lubią to, nie znoszą tamtego, nigdy nie biorą za męża chłopca, który robi to albo tego nie robi.

– Najważniejsze to się myć – powtarzał. I to często. Bardzo często. – Żebyś nie śmierdział.

Dziewczyny nie lubią, jak chłopcy śmierdzą.

– Ale jest zimno – jęknął Rigg. – Później się umyję, tuż przed powrotem do domu.

– Masz się myć każdego dnia – zawyrokował ojciec. – Ja też nie lubię twojego smrodku.

Chłopcu jakoś trudno było w to uwierzyć. Skóry zdarte z upolowanych w sidła zwierząt cuchnęły o wiele bardziej niż on kiedykolwiek. W rzeczy samej, pachniał głównie zwierzęcymi skórami; ten odór przywierał do jego ubrania i włosów niczym rzep. Lecz Rigg się nie spierał z ojcem. Nie było sensu.

Na przykład tego ranka, zanim się rozdzielili, ucieli sobie pogawędkę, idąc przez las.

Ojciec zachęcał do rozmów.

– Nie jesteśmy myśliwymi, jesteśmy łowcami – stwierdził.

– To nic, że zwierzęta teraz od nas uciekają, bo złapiemy je później, gdy nie będą nas mogły zobaczyć, usłyszeć ani nawet zwęszyć.

Tym sposobem ojciec korzystał z ich nieskończonych wędrówek do nauczania.

– Cierpisz na poważny przypadek ignorancji, chłopcze – często powtarzał. – Muszę zrobić co w mojej mocy, by wyleczyć tę przypadłość, ale zdaje się, że im więcej cię uczę, tym więcej nie wiesz.

– Wiem już wszystko, co wiedzieć muszę – zawsze odpowiadał Rigg. – Uczysz mnie tylu dziwnych rzeczy, które nie mają nic wspólnego z tym, jak żyjemy. Czemu muszę znać astronomię, tajniki bankowości i te wszystkie języki, którymi każesz mi mówić? Znajduję ścieżki zwierząt, łapiemy je, sprzedajemy futra, a to umiem dobrze.

Ojciec na to zawsze odpowiadał jednakowo:

– Widzisz, jakim jesteś ignorantem? Nawet nie wiesz, czemu musisz wiedzieć rzeczy, których jeszcze nie wiesz.

– Więc mi to wyjaśnij.

– Zrobiłbym to, ale jesteś zbyt ignorantem, by zrozumieć powody, dla których twoja ignorancja jest śmiertelną chorobą. Muszę cię podszkolić, zanim zrozumiesz, czemu warto było poświęcić tyle czasu na garbowanie twego mózgu. – Tak właśnie nazywał ich sesje nauki: garbowaniem mózgu Rigga.

Dziś szli śladem pency, której skóra kosztowała tyle co dziesięć skór wydry, bo była o wiele grubsza i mieniła się żywymi kolorami. Nastąpiła krótka przerwa w nieustannym nauczaniu, podczas której ojciec zapewne starał się wymyślić kolejny problem do rozwiązania dla Rigga („Jeśli ogrodzenie z desek ma dziewięć piędzi wysokości i osiemnaście metrów długości, ile stóp dziesięciocentymetrowych listew musiałbyś kupić w tartaku, przy założeniu, że są one dostępne w długościach dwadzieścia piędzi i czternaście piędzi?”).

Odpowiedź: „A jaki ma sens budowa ogrodzenia z listew o wysokości dziewięciu piędzi?”

Każde zwierzę, które warto byłoby tam trzymać, bez trudu zdołałoby się na nie wspiąć, przeskoczyć je lub obalić”. A potem lekkie trzepnięcie z tyłu głowy i musiał podać prawidłową odpowiedź). Rigg zaczął mówić o niczym.

– Lubię jesień. Wiem, że oznacza bliskość zimy, ale właśnie przez zimę ludzie potrzebują naszych futer, więc nie mogę się czuć źle akurat z tego powodu. Lubię barwne liście i ich szelest pod stopami. Cały świat się odmienia.

– Cały świat? – zapytał ojciec. – Nie wiesz, że na południowej półkuli świata jesień nawet jeszcze nie nadeszła?

– Wiem, wiem.

– Nawet na naszej półkuli, w pobliżu tropików, nie ma jesieni i liście nie spadają, chyba że wysoko w górach, jak tutaj. A na dalekiej północy nie ma drzew, jedynie tundra i lód, więc liście nie mają z czego spadać. Cały świat! Masz na myśli ten mały wycinek świata, który widziałeś na własne oczy.

– Tylko tyle świata widziałem – przyznał Rigg. – A jeśli żyję w niewiedzy co do reszty, to z

twojej winy.

– Nie żyjesz w niewiedzy co do reszty, po prostu jej nie widziałeś i tyle. A ja na pewno ci o niej opowiadałem.

– O tak, ojcie, moja głowa jest pełna zapamiętanych faktów, ale mam pytanie: Skąd tyle wiesz o częściach świata, których nigdy, przenigdy nie możemy zobaczyć, bo są za Murem?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Ja wiem wszystko.

– Pewien nauczyciel powiedział mi kiedyś, że jedynym naprawdę głupim człowiekiem jest ten, który nie wie, że jest ignorantem. – Rigg uwielbiał tę grę, po części dlatego, że ojciec wcześniej czy później tracił cierpliwość i kazał mu umilknąć. A to oznaczało, że Rigg wygrał.

– Wiem, że wiem wszystko, gdyż nie ma pytań, na które nie znałbym odpowiedzi.

– Świetnie. Więc odpowiedz na to pytanie: Czy znasz odpowiedzi na pytania, o których jeszcze nie pomyślałeś?

– Pomyślałem o wszystkich pytaniach.

– To tylko oznacza, że zaprzestałeś prób wymyślenia nowych.

– Nie ma żadnych nowych pytań.

– A o co zapytam cię w następnej kolejności?

Ojciec ciężko westchnął.

– Wszystkie pytania o przyszłość są bezprzedmiotowe. Znam wszystkie odpowiedzi, które są do poznania.

– Tak myślałem. Twoje twierdzenie, że wiesz wszystko, to czcza przechwałka.

– Uważaj, jak mówisz do swego ojca i nauczyciela.

– Dobieram słowa z najwyższą precyzją – odparł Rigg, przytaczając zdanie często powtarzane przez ojca. – Informacja ma znaczenie tylko wtedy, gdy pomaga nam prawidłowo przewidzieć przyszłość. – Wpadł na nisko wiszącą gałąź, musiał bowiem ciągle spoglądać w górę, gdyż pęcza przeskakiwała wysoko między koronami drzew. – Pęcza przekroczyła strumień – orzekł i wspiął się na skarpe przy brzegu.

Przeskakiwanie przez strumień nie przerwało rozmowy.

– Skoro nie wiadomo, jaka informacja przyda się w przyszłości, trzeba wiedzieć wszystko o przeszłości. A to wiem – ciągnął ojciec.

– Znasz każdy rodzaj pogody, który widziałeś – zauważył Rigg – ale to nie oznacza jeszcze, że wiesz, jaką pogodę będziemy mieli w następnym tygodniu albo czy zdarzy się taka, jakiej nigdy wcześniej nie widziałeś. Sądzę więc, że jesteś niemal takim samym ignorantem jak ja.

– Milcz – uciął ojciec.

Wygrałem, ucieszył się Rigg w duchu.

Kilka minut później trop pęczy wzbijał się w powietrze i nikał z oczu.

– Orzeł go dorwał – smutno skonstatował chłopiec. – To się stało, jeszcze zanim podążyliśmy jego ścieżką. W przeszłości, więc niechybnie wiedziałeś o tym od samego początku.

Ojciec nie raczył odpowiedzieć, a Rigg poprowadził ich z powrotem w górę strumienia do miejsca, gdzie po raz pierwszy spostrzegł trop pęczy.

– Umiesz zastawiać pułapki prawie tak dobrze jak ja – rzekł ojciec – więc idź to zrób, a potem mnie poszukaj.

– Nie mogę cię znaleźć, wiesz przecież.

– Nie wiem, bo nikt nie może wiedzieć rzeczy fałszywej, człowiek może jedynie uznawać ją za pewnik, póki się jej nie zaprzeczy.

– Nie widzę twojej ścieżki, ponieważ jesteś moim ojcem.

– Prawda, jestem twoim ojcem. I prawda, nie widzisz mojej ścieżki. Ale czemu zakładasz, że między tymi dwoma sprawami zachodzi bezpośredni związek?

– No bo nie mogę zakładać przeciwnie – że nie jesteś moim ojcem, ponieważ nie widzę twojej ścieżki.

– Masz jakichś innych ojców?

– Nie.

– A znasz jakiegoś innego tropiciela takiego jak ty?

– Nie.

– Zatem nie możesz sprawdzić, czy nie widzisz ścieżek twoich innych ojców, bo nie masz nikogo poza mną. I nie możesz zapytać innych tropicieli, czy widzą ścieżki swych ojców, bo nie znasz nikogo takiego. Nie masz więc dowodów pozwalających wyciągać takie czy inne wnioski co do przyczyny tego, że nie widzisz mojej ścieżki.

– Mogę iść spać? – zapytał Rigg. – Jestem zmęczony.

– Biedna słaba głowa – westchnął ojciec. – Ale nie wiem, jakim cudem się tak wyczerpała, skoro w ogóle jej nie używasz. Jak mnie znajdziesz? Idąc moim śladem z pomocą oczu i mózgu zamiast tej twojej niezwykłej umiejętności. Zobaczysz, gdzie zostawiłem ślady stóp, gdzie złamałem gałęzie.

– Ale nie zostawiasz śladów, jeśli nie chcesz, i nie łamiesz gałęzi, chyba że chcesz.

– Ach, jesteś bardziej spostrzegawczy, niż myślałem. A skoro powiedziałem ci, byś mnie odszukał, gdy już rozstawisz sidła, oczywiście umożliwię ci to, zostawiając ślady i łamiąc gałęzie.

– Lepiej też pierdź regularnie – zasugerował Rigg – bym mógł cię znaleźć po zapachu.

– Jak już przyjdiesz, przynieś z sobą porządną różgę, bym mógł złoić ci skórę – odparł ojciec z przekąsem. – A teraz idź już, nim nastanie upał.

– Co będziesz robił?

– To, co zrobić muszę. Gdy będziesz musiał wiedzieć więcej, to ci powiem.

I się rozstali.

Rigg starannie rozstawiał sidła, wiedział bowiem, że to test. Wszystko było testem. Albo lekcją. Tudzież karą, z której miał wyciągnąć naukę. Później zostanie odpytany z tej nauki. I ukarany, jeśli jej sobie nie przyswoi.

Chciałbym mieć choć jeden jedyny dzień bez sprawdzianów, lekcji i kar, myślał. Dzień, w którym mógłbym po prostu być sobą, a nie projektem ojca zmierzającym do uczynienia mnie wielkim człowiekiem. Nie chcę być wielki. Chcę być Riggiem.

Nawet pomimo drobiazgowej uwagi, jaką poświęcał sidłom, rozstawiając je na najczęściej uczęszczanej ścieżce każdego stworzenia, nie zabrało mu to wiele czasu.

Przystanął, by się napić, a potem by opróżnić pęcherz i jelita i wytrzeć tyłek liśćmi – kolejny powód do wdzięczności za jesień. Potem wrócił po swoich śladach do miejsca, gdzie rozstał się z ojcem.

Żadnej wskazówki, gdzie ojciec się udał. Rigg znał jego początkowy kierunek, bo widział, jak odchodzi. Jednak gdy poszedł w tę stronę, nie znalazł żadnych złamanych gałęzi, żadnych odcisków stóp, niczego, co by wskazywało, że ojciec tędy przechodził.

No jasne, pomyślał Rigg. To jest test.

Bił się z myślami. Ojciec może chcieć, bym podążył w stronę, w którą widziałem, że zmierza, gdy się rozstawaliśmy, i dopiero po dłuższym czasie zostawi wskazówkę. To byłaby lekcja cierpliwości i zaufania.

A może ojciec zawrócił, jak tylko zniknąłem mu z oczu, i wyruszył w zupełnie innym kierunku, znacząc szlak zauważalny dla mych oczu, ale dopiero wtedy, gdy powędruję przez jakiś czas na chybił trafił w każdym możliwym kierunku.

Przez następną godzinę Rigg wyruszał i zawracał, szukając wskazówek ojca w każdą stronę, wzdłuż i wszerz. Bez powodzenia, rzecz jasna. To byłoby o wiele za łatwe wyzwanie.

Przypomniawszy sobie tę infantylną uwagę o pierdzeniu i głęboko wciągnął powietrze, ale dysponował jedynie zwykłym, ludzkim zmysłem węchu i nie mógł w ten sposób niczego wytropić, na pewno więc nie o to chodziło ojcu.

Wzrok i węch nic nie dały. Smak wydawał się niedorzeczny. Czy ojciec mógł zostawić wskazówkę z użyciem dźwięku?

Rigg uznał, że nie zaszkodzi spróbować. Przystanął, by wsłuchać się w brzmienie lasu.

Wymagało to czegoś więcej niż zwykłego bezruchu. Musiał się uspokoić i skupić, by porozdzielać dźwięki w umyśle. Własny oddech – musiał go sobie uświadomić, a potem go pominąć, by usłyszeć inne dźwięki, cichy tupot nóżek myszy, głośniejszy pęd wiewiórki, wibrującą nutę pieśni ptaka, rycie kreta.

A potem usłyszał bardzo daleki głos. Ludzki głos. Nie mógł rozpoznać słów, nie mógł też rozpoznać, czy to ojciec. Mógł jednak ustalić ogólny kierunek, z którego głos dochodził, więc poszedł w tę stronę, krocząc po ścieżce używanej przez wiele jeleni, by zyskać na czasie. Po lewej stronie miał niewielkie wzniesienie, które mogło blokować dźwięk – chciał je ominąć; wiedział jednak, że po prawej płynie strumień, a jeśli za bardzo się do niego zbliży, szmer wody może ten głos zagłuszyć.

Znów stanął, nasłuchiwał. Tym razem był całkiem pewny, że to głos ojca. I upewnił się co do kierunku.

Jeszcze dwa razy przystawał, nim usłyszał głos dość wyraźnie, by puścić się biegiem. Już miał przygotowane kilka starannie dobranych uwag krytycznych na temat takiej metody tropienia, gdy w końcu dotarł na polanę, gdzie niedawno upadło wielkie drzewo. W rzeczy samej, ścieżka upadającego drzewa wciąż lśniła na niebiesko. Rigg rzadko miał okazję, by śledzić rośliny, skoro ruszały się tak niewiele, chyba że na wietrze. Jednak to drzewo musiało upaść bardzo niedawno, ślad jego upadku odznaczał się jasną ścieżką w powietrzu.

Rigg w ogóle nie widział ojca.

– Gdzie jesteś?! – zawołał.

Spodziewał się jakiejś kąśliwej uwagi z ukrytą nauką, lecz ojciec powiedział tylko:

– Znalazłeś mnie.

– Nie, nie znalazłem, ojciec.

– Podszedłeś wystarczająco blisko. Słuchaj uważnie. Nie podchodź ani trochę bliżej.

– Przecież nie wiem, gdzie jesteś...

– Milcz.

Rigg zamilkł i słuchał.

– Przygniotło mnie drzewo – oznajmił ojciec.

Rigg wrzasnął i zrobił krok w stronę drzewa.

– Stój! – zagrzmiał ojciec.

Rigg się zatrzymał.

– Widzisz, jak wielkie jest to drzewo. Nie możesz go podnieść. Nie możesz go ruszyć.

– Mając dźwignię, ojciec, mógłbym...

– Nie możesz go ruszyć, bo dwie gałęzie wbiły mi się w brzuch.

Rigg jęknął, wyobrażając sobie ból takiej rany, czując własny strach. Ojciec nigdy nie był ranny. Nigdy nawet nie zachorował.

– Każde, nawet najmniejsze poruszenie drzewa mnie zabije, Rigg. Ostatek sił spożytkowałem, by cię przywołać. Teraz słuchaj i nie marnuj życia, które we mnie zostało, na żadne kłótnie.

– Nie zamierzam się kłócić.

– Po pierwsze, musisz mi uroczyście przysiąc, że nie przyjdiesz na mnie popatrzeć ani teraz, gdy jeszcze żyję, ani po mojej śmierci. Nie chcę, żebyś zapamiętał ten okropny obraz.

Niemożliwe, żeby był gorszy niż to, co już podpowiada mi wyobraźnia, pomyślał Rigg.

Potem dał sobie w duchu odpowiedź, której udzieliłby mu ojciec: Nie możesz wiedzieć, czy to, co sobie wyobrażasz, jest gorsze od rzeczywistości. Ja ją widzę, a ty nie, więc... milcz.

– Aż trudno uwierzyć, że nie zacząłeś się ze mną spierać – rzekł ojciec.

– Ależ zacząłem – odparł Rigg. – Tyle że mnie nie słyszałeś.

– No, a już się bałem. A teraz przysięgnij.

– Przysięgam.

– Powiedz całość. Wszystkie słowa.

Rigg musiał się skupić, by spełnić tę prośbę.

– Uroczyście przysięgam, że nie przyjdę na ciebie popatrzeć ani teraz, gdy jeszcze żyjesz, ani po twojej śmierci.

– I dochowasz przysięgi, nawet wobec martwego człowieka?

– Rozpoznaję twoje intencje i zgadzam się z nimi. To, co sobie wyobrażam, może być okropne, ale będę wiedział, że nie wiem, czy to prawda. A nawet jeśli rzeczywistość nie jest tak zła jak to, co sobie wyobrażam, wiedziałbym, że to prawda. To byłoby już wspomnienie, a nie wyobrażenie, co byłoby o wiele okropniejsze.

– A zatem ponieważ zgadzasz się z moimi intencjami, podążanie za głosem własnych przekonań doprowadzi cię do uszanowania moich zaleceń i dotrzymania obietnicy.

– Ten temat jest już należycie omówiony – rzekł Rigg, powtarzając sposób mówienia ojca:

„Osiągnęliśmy porozumienie, więc przejdźmy dalej”.

– Wracaj tam, gdzie się rozstaliśmy – nakazał ojciec. – Poczekaj tam do rana i sprawdź efekty polowania. Zrób wszystko, co należy, zbierz wszystkie sidła tak, byś żadnego nie zgubił, zanieś skóry do naszej kryjówki. A stamtąd do wioski. Ciężar będzie znaczny, ale dasz radę, jeśli będziesz robił sobie częste przerwy na odpoczynek. Nie ma pośpiechu.

– Rozumiem.

– Pytałem cię, czy rozumiesz? Oczywiście, że rozumiesz. Nie marnuj mojego czasu.

Rigg pomyślał: Moje jedno słowo nie zmarnowało nawet w przybliżeniu tyle czasu co twoje trzy zdania.

– Weź, ile zdołasz, w zamian za skóry, nim powiesz wszystkim, że umarłem. Mniej cię oszukają, jeśli będą oczekiwali, że wrócę się z nimi rozliczyć.

Rigg nic nie powiedział, ale myślał: Wiem, co robić, ojczu. Nauczyłeś mnie, jak się targować, i jestem w tym dobry.

– A potem musisz odnaleźć swoją siostrę – dodał ojciec.

– Moją... siostrę?! – wydukał Rigg.

– Mieszka z twoją matką.

– To moja matka żyje? Jak się nazywa? Gdzie mieszka?

– Nox ci powie.

Nox? Właścicielka pensjonatu, w którym czasem się zatrzymywali? Gdy Rigg był jeszcze

bardzo mały, myślał, że ta kobieta może być jego matką, ale już dawno zarzucił ten pomysł.

Teraz wyglądało na to, że ojciec wtajemniczał Nox w swoje sekrety, a jego trzymał w błogiej nieświadomości.

– Ty mi powiedz! Czemu kazałeś mi myśleć, że moja matka nie żyje? I siostra... Czemu je przede mną ukrywałeś? Czemu nigdy nie widziałem matki?

Żadnej odpowiedzi.

– Przepraszam. Wiem, mówiłem, że nie będę się kłócił, ale nigdy mi tego nie mówiłeś, to był dla mnie szok, nie mogłem się powstrzymać. Przepraszam. Powiedz mi, co jeszcze powinienem wiedzieć.

Żadnej odpowiedzi.

– Och, ojcze! – zakwilił Rigg. – Powiedz mi coś jeszcze! Nie karz mnie w ten sposób!

Odezwij się do mnie!

Żadnej odpowiedzi.

Rigg przemyślał sprawy tak, jak ojciec by od niego oczekiwał. W końcu powiedział to, co ojciec chciałby od niego usłyszeć.

– Nie wiem, czy karzesz mnie milczeniem, czy już jesteś martwy. Przysięgałem nie patrzeć i dotrzymam słowa. Więc za chwilę odejdę i będę posłuszny twoim zaleceniom. Jeśli nie jesteś martwy i masz mi jeszcze coś do powiedzenia, powiedz to teraz, odezwij się, proszę. – Musiał przerwać, bo jeśli ojciec jeszcze nie umarł, Rigg nie chciał, by usłyszał jego płacz.

Proszę! – błagał w duchu, łykając łzy.

– Kocham cię, ojcze. Zawsze będzie mi ciebie brakować.

Jeśli tym nie sprowokuje ojca do przerywania milczenia, to już nic nigdy tego nie zrobi.

Żadnej odpowiedzi.

Rigg odwrócił się zdecydowanie i ruszył po swoich śladach na jasnej ścieżce pomiędzy drzewami i krzewami, wzdłuż tropu jeleni, zmierzając do miejsca, gdzie ostatni raz widział ojca żywego.

Rozdział 2

STROMOGÓR

Rama Odyna wychowano na pilota statku kosmicznego. Jego ojciec przybrał imię nordyckiego boga niebios za ich nazwisko i zadbał o to, by Ram był przygotowany do rozpoczęcia szkolenia dla astronautów dwa lata wcześniej, niż normalnie zakładano.

Całą, ale to całą nadwyżkę bogactwa na Ziemi spożytkowano w celu skonstruowania pierwszych międzygwiazdnych statków kolonialnych ludzkości; trwało to czterdzieści lat. W cieniu pyłu księżycowego, który wciąż uniemożliwiał dotarcie ponad jednej trzeciej promieni słonecznych do powierzchni Ziemi, poczucie ważkości tego przedsięwzięcia osłabło tylko nieznacznie, pomimo właściwej ludziom zdolności przystosowania się do każdych warunków.

Wszyscy zrozumieli, jak blisko rodzaj ludzki otarł się o całkowitą zagładę, gdy kometa przeleciała tuż obok Ziemi i przeorała bliższą półkulę Księżyca.

Nawet teraz nie było pewności, że orbita ziemskiego satelity kiedykolwiek się ustabilizuje; środowisko astronomów podzieliło się niemal po równo na zwolenników teorii, że wcześniej czy później Księżyc zderzy się z Ziemią, i na tych, którzy sądzili, że ustanowi się nowa równowaga.

I tak wszyscy, którzy przeżyli pierwsze straszne lata globalnego ochłodzenia i głodu, poświęcili się konstrukcji dwóch identycznych statków.

Jeden miał za zadanie wywlec się w kosmos z prędkością jednej dziesiątej światłnej, z pokoleniami przyszłych kolonistów żyjących, starzejących się i umierających wewnątrz jego zamkniętego ekosystemu.

Drugi statek, ten z Ramem u steru, miał przez siedem lat oddalać się od Układu Słonecznego, a potem wykonać śmiały skok w nieznane rejony fizyki teoretycznej.

Albo kosmiczną czasoprzestrzeń uda się zagiąć, przeskakując dziewięćdziesiąt lat świetlnych do przodu, i statek dotrze w pobliże (zaledwie siedem lat drogi) podobnej do Ziemi planety, albo zostanie unicestwiony podczas tej próby... albo nie zdarzy się zupełnie nic i będzie musiał wlec się przez kolejnych dziewięćset lat, nim dotrze do nowego świata.

Koloniści na statku Rama przesypiali całą drogę ku punktowi zagięcia.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, pozostaną uśpieni podczas podróży przez tunel czasoprzestrzenny, a obudzi się ich dopiero w bezpośredniej bliskości celu. Jeśli nic się nie stanie, obudzi się ich już teraz, by rozpoczęli życie w ogromnych wnętrzach, dając początek trzydziestu pięciu pokoleniom, które kolonia musi przetrwać, nim przybędzie na miejsce.

Tylko Ram miał być na nogach przez cały czas.

Siedem lat, mając za towarzystwo jedynie zbędnych. Pierwotnie zaprojektowani do wykonywania prac zagrażających życiu ludzi, których nie można było zastąpić, zbędni zostali poddani tak znacznym modyfikacjom, że mogli teraz żyć dłużej i pracować lepiej niż każdy człowiek. Ich budowa kosztowała też znacznie więcej niż przysposobienie człowieka do wykonywania choć niewielkiej części ich obowiązków.

Tak czy owak, nie byli ludźmi. Nie można im było pozwolić podejmować istotnych decyzji, gdy ludzie spali. A mimo to stanowili tak udaną symulację ludzkiego życia, że Ramowi wcale nie doskwierała samotność.

Od kiedy Rigg sięgał pamięcią, ojciec był jego całą rodziną. W zasadzie mieszkali w pensjonacie w wiosce Wodobród. Pani domu, Nox, nie trzymała dla nich stałego lokum, więc jeśli

podróżni zajmowali wszystkie pokoje, ojciec z Riggem spali w stajni.

Pewnie, był taki czas, gdy Rigg się zastanawiał, czy Nox nie jest jego matką, a ojciec po prostu zapomniał się z nią ożenić. W końcu spędził z nią wiele godzin sam na sam, a Riggowi dawał różne prace do wykonania, by im nie przeszkadzał. Co niby robili, jeśli nie to, o czym szeptały dzieci w wiosce, z czego naśmiewali się starsi chłopcy, o czym starsze dziewczęta rozmawiały ściszonymi głosami?

Kiedyś Rigg spytał o to wprost. Ojciec tylko się uśmiechnął i kazał zadać to pytanie w obecności Nox. Więc Rigg wydukał: „Jesteś moją matką?”.

Przez chwilę wydawało się, że kobieta zaniesie się śmiechem, ale zaraz się zmięgowała i jedynie poczochnęła mu włosy. „Gdybym kiedyś miała dziecko, rada bym była, gdyby było podobne do ciebie. Ale niestety, jestem bezpłodna jak cegła, jak ku swej goryczy odkrył mój mąż, nim mu się pomarło, biedaczkowi, w roku zerowym, gdy wszyscy myśleli, że świat się skończy”.

Mimo to Nox była kimś ważnym dla ojca, inaczej nie wracaliby do niej co roku, a ojciec nie spędzałby z nią tylu godzin sam na sam.

Nox wiedziała coś o matce i siostrze Rigga. Ojciec zdradził to właśnie jej, a nie synowi.

Ciekawe, ile jeszcze znała tajemnic...

Ojciec wybrał się z Riggem na łowy daleko w górę rzeki od Wodospadu Kosmolo. Rigg schodził ścieżką biegnącą po lewej stronie rzeki, potem skrajem jeziora, a następnie wzdłuż grzbietu ku wodospadowi. Grzbiet był niczym tama odgradzająca jezioro, przzerwana jedynie przez wyłom wodospadu. Po jednej stronie grzbietu teren opadał łagodnie ku lodowatym wodom jeziora, po drugiej tworzył urwisko, Stromogór górujący trzysta sążni nad przepastną Knieją Spadającą Wody. Klif rozciągał się nieprzerwanie na trzydzieści staj na wschód i czterdzieści na zachód od rzeki; jedyna droga umożliwiająca zejście ze Stromogóru wiodła prawym brzegiem wodospadu.

Co oznaczało, że Rigg, jak każdy człowiek dość szalony, by zarabiać na życie, znosząc z gór w dolinę dary lasu, musiał przekroczyć rzekę, skacząc po garbatej mozaice kamieni tuż nad wodospadem.

Niegdyś był tu most. Ba, znajdowały się tu pozostałości kilku podobnych przepraw, a ojciec wykorzystał kiedyś ten fakt, by poddać próbie rozumowanie Rigga.

– Widzisz, że najstarszy most jest daleko od wody, o wiele wyżej na ścianie klifu? Przęta tego nowszego są niżej i bliżej, a ten najnowszy biegnie zaledwie trzy sążnie od wodospadu.

Jak sądzisz, czemu zbudowano je właśnie w tych miejscach?

Znalezienie odpowiedzi na to pytanie zabrało Riggowi cztery dni, podczas których przemierzali góry nad jeziorem, rozstawiając sidła. Wówczas chłopiec miał dziewięć lat, a ojciec nie nauczył go jeszcze prawie niczego z zakresu terenoznawstwa – dopiero zaczynał wpajać mu tę wiedzę. Tym bardziej więc Rigg był dumny, że udało mu się wpaść na prawidłową odpowiedź.

– Kiedyś jezioro leżało wyżej – odgadł w końcu – a wodospad też był wyżej i bliżej ściany Klifu Stromogóru.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Wodospad dzieli wiele sążni od ściany klifu. Skąd pomysł, że wodospad może ot tak się przemieszczać?

– Woda podmywa skałę i niesie ją w dół.

– Woda podmywa skałę, też coś! – zadrwił ojciec, ale mówił tonem udawanego zdziwienia, więc chłopak wiedział, że odgadł prawidłowo.

– A gdy brzeg klifu zostaje podmyty, całe jezioro ponad miejscem, gdzie znajduje się nowy brzeg, wylewa.

– To byłoby strasznie dużo wody za każdym razem.

– Powódź. Dlatego nie mamy góry kamieni u podstawy wodospadu. Każda powódź zmywa głazy w dół rzeki.

– Nie zapominaj, że przy upadku z klifu głazy rozbijają się na o wiele mniejsze kawałeczki.

– A kamienie, po których przeprawiamy się na górze wodospadu... są takie wysokie, bo woda już żłobi przestrzeń między skałami. Ale pewnego dnia woda te głazy też podmyje.

Przewrócą się, spadną, rozbiją się i zostaną poniesione dalej, a wtedy powstanie nowy poziom wodospadu, bardziej z tyłu i niżej.

Właśnie wtedy ojciec zaczął go uczyć o tym, jak ląd zmienia się pod wpływem klimatu, pogody i uprawy roślin, i co jeszcze może go kształtować.

Rigg miał jedenaście lat, gdy wymyślił własne pytanie:

– Skoro wiatr, deszcz, woda, lód i uprawa roślin mogą erodować skały, to dlaczego Stromogór wciąż jest tak stromy? Powinien zwierteć podobnie jak inne góry.

– A jak myślisz? – Ojciec miał w zwyczaju odwracać pytania.

Jednak tym razem Rigg był przygotowany, opracował poniekąd własną teorię.

– Dlatego że Klif Stromogóru jest o wiele nowszy niż pozostałe góry i wzgórza.

– Ciekawa myśl. Jak nowy jest twoim zdaniem? Kiedy się ukształtował?

I wtedy, niespodziewanie dla samego siebie, Rigg powiązał fakty i rzekł:

– Jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat temu.

Ojciec ryknął śmiechem.

– Kalendarz! Sądzisz, że nasz kalendarz jest datowany od powstania Klifu Stromogóru?

– A czemu nie? Czemu inaczej pamiętalibyśmy, że nasz kalendarz zaczął się w 11 191 roku?

– Pomyśl, Rigg. Jeśli kalendarz zacząłby się od kataklizmu, który wypiętrzył klif, to czemu po prostu nie liczymy lat od wtedy? Czemu nadaliśmy mu liczbę 11 191, a potem liczyliśmy w dół?

– Nie wiem. Czemu?

– A jak uważasz?

Rigg nie zamierzał zrezygnować ze swojego pomysłu.

– Bo gdy klif się wypiętrzał, ludzie wiedzieli, że coś się wydarzy jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat później.

– No dobrze, ale minęliśmy rok zerowy, gdy miałeś trzy lata. Coś się wtedy wydarzyło?

– Nawet wiele. Cały rok wydarzeń.

– Ale coś wartego zapamiętania? Coś wartego zbudowania całego kalendarza wokół tego roku?

– To nic nie znaczy, ojciec, oprócz tego, że ludzie, którzy wymyślili kalendarz, mylili się co do tego, jak długo trzeba będzie czekać na to coś, co według nich miało się stać w roku zerowym. Ludzie cały czas popełniają błędy. To, że nic się nie wydarzyło, nie dowodzi, że kalendarz nie zaczął się wraz z ukształtowaniem się Stromogóru.

– Dobrze kombinujesz – pochwalił ojciec – ale oczywiście się mylisz. A czemu tak jest?

– Bo nie mam dość informacji – wyrecytował Rigg. Znał to już na pamięć; powód zawsze był ten sam.

– Nigdy nie ma się dość informacji – zauważył ojciec. – To wielka tragedia ludzkiej wiedzy. Nawet gdy wydaje się nam, że dużo wiemy, nigdy nie możemy przewidzieć przyszłości.

Jednak w tonie ojca pobrzmiwało coś, czemu Rigg nie ufał. A może po prostu nie ufał odpowiedzi ojca i wyobraził sobie, że słyszy to w jego głosie.

– Sądzę, że ty coś wiesz.

– No, taką mam przynajmniej nadzieję, tyle już lat żyję!

– Sądzę, że wiesz, co miało się stać w roku zerowym.

– Katastrofa! Zaraza! Koniec świata!

– Nie. Chodzi mi o to coś, co mieli na myśli twórcy kalendarza, gdy zaczęli go od roku 11

– A niby skąd ja miałbym to wiedzieć?

– Sądzę, że wiesz, co to było. Powiem więcej, sądzę, że to się naprawdę zdarzyło, dokładnie o czasie.

– I było to coś tak doniosłego i ważnego, że nikt tego nie zauważył oprócz mnie.

– Sądzę, że to było coś naukowego. Coś astronomicznego. Coś, co ówczesni naukowcy wiedzieli, że się wydarzy, jak ustawienie kilku planet w rzędzie, wybuch jakiejś gwiazdy na niebie lub zderzenie się dwóch planet. Tylko że ludzie nieznający astronomii w ogóle by tego nie zauważyli.

– Rigg, jesteś tak bystry i głupi zarazem, że ręce mi opadają.

Na tym się skończyło. Rigg wiedział, że ojciec coś wie, ale wiedział też, że ojciec nie zamierza mu tego powiedzieć.

Może Nox będzie wiedziała, co zdarzyło się w roku zerowym. Może ojciec zdradził jej wszystkie swoje tajemnice.

Jednak żeby spotkać się z Nox, Rigg musiał zejść ze Stromogóru ku wiosce Wodobród. A żeby tego dokonać, musiał dotrzeć do Drogi Klifowej, położonej po drugiej stronie wodospadu, co oznaczało przeprawę przez dokładnie to miejsce, gdzie woda płynęła najszybciej, gdzie skały podmywał i drażył najsilniejszy prąd. Skok na każdą skałę był ryzykowny, bo mógł ją zachwiać i stracić w przepaść. Oczywiście Rigg poleciałby razem z nią na spotkanie śmierci.

A jedynym pocieszeniem, towarzyszącym mu przez całą drogę w dół, nim woda, skały lub sama siła lądowania zrobią z niego miazgę, będzie to, że przynajmniej dotrze do wielkiego odpływu wody z jeziora i nie umrze sam, bo powódź w mgnieniu oka zmiecie całą wioskę Wodobród.

Przypomniał sobie, że to było jedno z pytań testowych ojca.

– Czemu ludzie zbudowali wioskę w miejscu, gdzie, jak wiedzą, wcześniej czy później dojdzie do straszliwej powodzi, a oni nie mają żadnych szans na przeżycie ani odpowiednio wczesne ostrzeżenie przed zbliżającym się kataklizmem?

– Bo ludzie zapominają – odpowiedział Rigg.

– Masz rację. Ludzie zapominają. Ale ty i ja nie zapominamy, prawda?

Rigg wiedział, że to nieprawda. Sam nie pamiętał już wielu rzeczy.

Pamiętał drogę w poprzek skał. Ale nie ufał temu wspomnieniu. Zawsze sprawdzał ją ponownie, gdy docierał do punktu początkowego, tuż nad powierzchnią wody.

Jezioro wyglądało na spokojne, ale Rigg wiedział, że wrzucony kamień by nie zatonął – prąd od razu zniósłby go w stronę wodospadu. Gdyby on sam wpadł do wody, w jakieś dwie sekundy znalazłby się poza ścianą klifu, po drodze uderzając w sześć czy siedem wielkich kamieni, więc to, co by spadło na dół, byłoby krwawą, zmiądzoną wersją Rigga, do tego zapewne w kilku kawałkach.

Przystanął i wyjrzał na wodę, widząc – wyczuwając – ścieżki niezliczonych podróżników.

Na głównym trakcie ścieżki zbijały się tak gęsto, że musiał naprawdę się natrudzić, by wybrać tylko jedną, a nawet wtedy niemal natychmiast ją gubił.

Tutaj było zupełnie inaczej – w okolicy biegły tylko setki, a nie tysiące czy miliony ścieżek.

A niepokojąco wiele nie osiągało końca przeprawy. Docierały do tego czy innego miejsca i nagle gwałtownie skręcały ku ścianie klifu; tych ludzi porwał prąd.

Pozostawały jeszcze te naprawdę pradawne ścieżki. To one podsunęły Riggowi myśl o erozji skał, o sposobie, w jaki wodospad przemieszczał się w tył i w dół wraz z upływem czasu. Rigg widział bowiem ścieżki wiszące w powietrzu, nad wodospadem i wiele sążni przed nim. Biegły i

skręcały dokładnie jak te nowsze, gdyż ludzie, którzy je pozostawili, przeprawiali się po innym układzie skał rozrzuconych po wyższym, głębszym jeziorze.

Tysiące pradawnych, błędnych ścieżek przecinały powietrze tam, gdzie kiedyś znajdowały się mosty.

Oczywiście, gdy ład się poruszał, woda opadała. Ktoś, kto mógł zobaczyć to co Rigg, musiałby być idiotą, by nie domyślić się, że wodospad się przemieszczał.

Jednak dzisiaj był tutaj i tutaj Rigg musi się przez niego przeprawić.

Zawsze wybierał trasę, którą niemal wszyscy pokonali bezpiecznie; niezmiennie decydował się na tę jak najdalej od krawędzi.

Pamiętał – albo pamiętał, że ojciec mu o tym mówił, co było w zasadzie tym samym – jak ojciec po raz pierwszy odkrył talent Rigga do znajdowania starych ścieżek, właśnie tu przy przeprawie. Wtedy ojciec miał już skoczyć, niosąc małego Rigga, z jednego kamienia na drugi, gdy Rigg krzyknął: „Nie!”. Koniec końców ojciec wybrał inną trasę, bo, jak odpowiadał, „powiedziałeś mi, że na tamtej trasie nikt nie wpadł do wody”.

Rigg widział teraz to, co widział wtedy – ścieżki biegnące od kamienia do kamienia, pozostawione przez różnych ludzi, których dzieliły dni, lata albo całe dziesięciolecia.

Dostrzegł, które ścieżki tych, którzy wpadli, były stare, a które nowe. Wybrał trasę, która wyglądała na suchą, uczęszczaną całkiem niedawno.

Widział też swoje ścieżki, rzecz jasna.

I, oczywiście, nie widział żadnej ścieżki ojca.

Cóż za przedziwna ślepotą! Syn widzi ścieżki pozostawiane przez każdą osobę na świecie z wyjątkiem własnego ojca.

Tym razem dwa razy sprawdził swoje wyliczenia, gdyż musiał się przeprawić, niosąc na plecach wiele kilogramów masywnych, nieporęcznych futer i skór. Gdyby miał przy sobie tylko manierkę, sidła i trochę jedzenia, przeszedłby z łatwością, ale teraz zadanie było dużo trudniejsze i bardziej ryzykowne.

Wykonał już trzy skoki, stał na suchej półce skalnej szerokiej na całe dwa sążnie, gdy kątem oka dostrzegł ruch po drugiej stronie wody i zobaczył tam jakiegoś chłopca. Pomyślał, że może go znać, lecz odwiedzał Wodobród tylko kilka razy do roku i nie zawsze spotykał wszystkich mieszkańców, więc mógł to być ktoś zupełnie obcy.

Rigg pomachał mu ręką i zobaczył, że chłopiec odpowiada tym samym.

Wykonał kolejny skok, tym razem lądując na o wiele mniejszym kamieniu, niedającym miejsca na rozbieg. To było najtrudniejsze miejsce na wybranej trasie przeprawy, tutaj groziło największe ryzyko śmierci. Pomyślał, że powinien był zdjąć ciężar na tej wielkiej skale, którą właśnie opuścił, i przeprawić się tylko z jedną trzecią futer, a potem wrócić po resztę. Nigdy nie robił tego skoku z takim obciążeniem – ojciec zawsze niósł więcej niż połowę bagażu.

Mógł jeszcze wrócić na tę szeroką półkę i zostawić część dobytku.

Wtem zobaczył, że chłopak przeskoczył z brzegu na kamień wystający z wody zdecydowanie za blisko krawędzi wodospadu. Rigg wiedział, że to początek ścieżki, która najczęściej kończyła się śmiercią. Pomachał ręką i wykonał gest, jakby spychał chłopca z powrotem.

– Wracaj! – krzyknął. – To zbyt niebezpieczne!

Ale chłopiec nie zrozumiał, bo w odpowiedzi jedynie pomachał i powtórzył gest spychania. Najwidoczniej głos Rigga nie przebił się przez ryk wody obmywającej kamienie.

Rigg miał tylko chwilę na podjęcie decyzji. Gdyby wrócił tam, skąd przyszedł, mógłby zrzucić ciężar i obrócić tę niebezpieczną ścieżkę, która zaprowadziłaby go bliżej chłopca, może dość blisko,

by go usłyszał, dość blisko, by go powstrzymać. Ale zdjęcie futer z pleców trochę by potrwało, a on sam znalazłby się dalej od dziecka.

Zamiast tego więc wykonał skok, który już wcześniej sobie zamyślił. Trafił idealnie, chwilę później był gotowy przeskoczyć na trochę większy kamień. Ten dystans również pokonał bezpiecznie.

Teraz już tylko dwa kamienie dzieliły go od chłopca.

A ten skoczył jeszcze raz. I prawie mu się udało, lecz jedna noga dotknęła wody i prąd zniósł ją w kierunku krawędzi. Dzieciak stracił równowagę, zatoczył się i wtedy już obie nogi ugrzęzły w wodzie, która gwałtownie naparła na niego.

Chłopak jednak wcale nie był głupi. Chwycił się mniejszego kamienia tuż nad krawędzią wodospadu, lecz woda okręciła go tak, że zwiśł z krawędzi klifu opadającego ku rzece.

– Trzymaj się! – zakrzyknął Rigg.

Miał na plecach całą zdobycz z zimowych polowań. Musiał ją zostawić, by zyskać niewielką szansę ocalenia chłopca tak głupiego, że z pewnością zasługiwał na śmierć.

Chwilę mocował się z rzemieniami, by strząsnąć zapas futer z pleców do wody.

Był teraz tak blisko krawędzi, że ogromny tobół, pędząc ku spadkowi, tylko raz odbił się od skał, a potem wyleciał w pustkę i runął w dół.

Tymczasem Rigg skoczył na kamień, na którym tamtemu chłopakowi nie udało się utrzymać; Riggowi się powiodło, choć głaz był teraz śliski od wody.

– Trzymaj się! – zakrzyknął raz jeszcze.

Widział tylko palce rozpaczliwie uczezione skały.

Nie było tam dość miejsca, by mógł na nią skoczyć; wprawdzie znajdowała się bardzo blisko, ale wchodząc na nią, zawadziłby o palce biedaka i je strącił. Zamiast tego więc uklękł na swoim kamieniu i opadł w przód, zamierzając złapać skałę i zrobić most ze swego ciała.

Tyle że stało się coś dziwnego. Czas niemal stanął w miejscu.

Rigg już nie pierwszy raz znalazł się w sytuacji stresowej. Wiedział, jak to jest, gdy nagle zmysły się wyostrajają, gdy każda sekunda zdaje się pełniejszym przeżyciem. W takich chwilach miało się wrażenie, że czas się zatrzymał. Kiedyś ojciec mu wyjaśnił, że w ciele człowieka są gruczoły, które w chwilach napięcia wydzielają substancje dodające siły i szybkości.

Teraz było zupełnie inaczej. Gdy Rigg opadał bezwładnie w dół, co powinno mu zająć nie więcej niż sekundę, nagle stało się tak, jakby powoli zatapiał się w czymś gęstym. Miał czas, by wszystko zauważyć, i choć nie mógł szybciej obrócić oczu, niż poruszyć resztą ciała, jego uwaga mogła się odwracać tak prędko, jak tego chciał. W rezultacie widział wszystko w zasięgu wzroku, nawet na obrzeżach.

Ale działo się coś o wiele dziwniejszego. Wraz z czasem z wolnością też ścieżki widziane w powietrzu. Zgęstniały. Utrwaliły się.

Stały się ludźmi.

Wszyscy, którzy próbowali przekroczyć wodę w tym miejscu, stali się najpierw smugą ruchu, potem materialnymi bytami idącymi swym normalnym tempem. Na kimkolwiek się skupiał, mógł zobaczyć, jak ten ktoś skacze z kamienia na kamień. Jak tylko ogniskował uwagę na kimś innym, reszta ponownie stawała się niewyraźnymi smugami.

I tak podczas odpadania Rigg skupił się na bosym mężczyźnie stojącym pośrodku głazu, którego chwycił się chłopiec. Mężczyzna był odwrócony do niego plecami, lecz Rigg, ponieważ opadał tak powoli, miał dość czasu, by zauważyć, że ten osobnik ubrany jest podobnie jak postaci na starych przewróconych rzeźbach i niszczących fryzach ruin budynków tam, gdzie nowszy z dwóch starych mostów niegdyś wżerał się w ścianę klifu.

Rigg zdał sobie sprawę, że upadnie wprost na tego mężczyznę. Ale on przecież nie mógł być ciałem stałym, prawda? To był tylko efekt daru Rigga, osobliwie odmieniony w tej chwili strachu. Ścieżki wszak nigdy nie były namacalne.

A jednak ten mężczyzna wyglądał jak rzeczywisty. Rigg widział włosy na jego łydkach, zaczerwienione otarcie na kostce, postrzępiony i nieco odsłonięty rąbek kiltu z na poły oderwanym, zwisającym paskiem haftu. Kiedyś była to piękna szata; dziś – łachmany.

Rigg pomyślał: Ludzie, na których nie zwracam uwagi, stają się smugami. Jeśli odwrócę od niego uwagę, on również się zdematerializuje.

Spróbował więc skupić się na kobiecie, która chciała przeskoczyć na ten sam kamień, ale się poślizgnęła i wpadła do wody, a prąd błyskawicznie zniósł ją ku krawędzi. Tak też zrobił – i dostrzegł na jej twarzy przerażenie. Wiedziała, że nie ma ratunku. W mgnieniu oka zniknęła, a jego uwaga powróciła do tego mężczyzny przed nim. Nawet jeśli postać choć na chwilę się zdematerializowała, teraz była wystarczająco materialna.

Rigg wyrzwał czołem w łydkę mężczyzny, lecz poruszał się tak wolno, że poczuł na czole fakturę skóry, a potem ocieranie się włosków o swoją twarz.

Uderzenie sprawiło, że mężczyzna się zachwiał i zaczął upadać.

Miałem uratować chłopca, a zabijam tego mężczyznę, pomyślał Rigg.

Lecz ten człowiek był żołnierzem lub sportowcem; zręcznie obrócił się w powietrzu i uchwycił skały tak, że po upadku zwisał na obu rękach.

Jego lewa dłoń całkowicie przykrywała prawą dłoń chłopca.

Wygląda na to, że dwa ciała stałe jednak mogą zajmować tę samą przestrzeń w tym samym czasie. No dobrze, z technicznego punktu widzenia nie w tym samym czasie, bo mężczyzna był tu setki lat temu. Lecz jego dłoń była materialna. Rigg czuł to, gdy jego dłoń, szukająca oparcia, ześliznęła się po skale i rąbnęła w palce prawej dłoni mężczyzny.

W efekcie Rigg przestał się ześlizgiwać w przód ledwo na czas, by zapobiec osunięciu się kolan z pierwszego kamienia i wpadnięciu do wody. Wspierał się teraz na dwóch skałach, tak jak to sobie zamyślił. Ten mężczyzna mimo woli uratował Riggowi życie.

Jednak młody tropiciel oddał mu niedźwiedzią przysługę. Najpierw zepchnął go do wody, a potem, upadając, stracił jego prawicę z brzegu kamienia.

Teraz mężczyzna trzymał się skały tylko lewą dłonią – dłonią, która całkowicie zakrywała prawą dłoń wiszącego nad przepaścią chłopca, którego Rigg przybył uratować.

Ręka mężczyzny nie była ani trochę przezroczysta. Była rzeczywista, gruba, muskularna, opalona, owłosiona, upstrzona piegami i poznaczona żyłami. A jednak Rigg dostrzegał też napięte, chude, brązowe palce dziecka, zaczynające się ześlizgiwać. Wiedział, że może pomóc chłopcu, gdyby tylko zdołał uchwycić nadgarstek. Chłopiec był mniejszy od Rigga, a Rigg był bardzo silny; mógłby przytrzymać chłopca i wyciągnąć drugą rękę, by tamten ją złapał.

Mógł to sobie wyobrazić, zaplanować, a nawet wykonać. Tyle że nie mógł sięgnąć poza gruby nadgarstek i przedramię mężczyzny.

Już i tak nie żyjesz, martwy od dziesięcioleci i wieków, więc odsuń się, do cholery, i pozwól mi uratować chłopca!

Jednak gdy Rigg próbował sięgnąć do przedramienia chłopca, mężczyzna go poczuł i skorzystał z nieoczekiwanej okazji. Jego prawa ręka wystrzeliła w górę i złapała za nadgarstek Rigga chwytem o wiele silniejszym niż Rigga, tak jak chwyt Rigga byłby silniejszy niż chłopca.

A ciężar mężczyzny zaczął ciągnąć Rigga naprzód.

Prawe kolano Rigga zanurzyło się w wodzie. Byłby poleciał z prądem za krawędź, gdyby ciężar

mężczyzny nie obrócił go na bok, jednocześnie wydobywając kolano z nurtu.

Lecz wciąż ciężar mężczyzny ściągał go w dół. Rigg chwilowo zapomniał o chłopcu – nikogo nie uratuje, jeśli pozwoli się zrzucić z klifu.

Chwycił drugą ręką za palce mężczyzny, odciągnął jego mały palec w górę i zaczął odginać go do tyłu, do tyłu. Zdawało się to trwać całe wieki – pomyślał o ruchu, a wtem, powoli, jego ręka usłuchała, sięgnęła, chwyciła, ściągnęła, pchnęła.

Mężczyzna puścił. Jego prawica boleśnie powolnie się omsknęła, palce ześliznęły się po skórze Rigga. Równie wolno Rigg poprawił ułożenie ciała tak, by po raz wtóry spróbować dosięgnąć chłopca; lecz wciąż lewa dłoń mężczyzny zakrywała prawą chłopca.

Gdy Rigg ponownie oparł rękę o lewy nadgarstek mężczyzny, starając się obok niego, przez niego albo pod nim dosięgnąć chłopca, zobaczył, jak palce chłopca ześlizgują się z kamienia, powoli, powoli... Zniknęły.

W szale frustracji i żalu Rigg uniósł rękę, by uderzyć w dłoń mężczyzny. Nie przyszło mu do głowy, że zamierza popełnić zabójstwo. Ten mężczyzna już dawno nie żył; Rigg wiedział tyle, że przez to, iż ta postać nagle stała się widzialna i namacalna, nie zdołał uratować chłopca – chłopca, którego niemal na pewno znał z wioski.

Jednak nie dane mu było uderzyć w dłoń mężczyzny. Raptem czas znów przyspieszył, stał się naturalny, a mężczyzna zwyczajnie zniknął. Czy spadł, czy jakoś udało mu się wspiąć z powrotem – Rigg nie miał pojęcia. Tak czy owak, uderzył pięścią w lity kamień.

Chwilę później usłyszał krzyk. Nie mógł to być głos tego dzieciaka – nim krzyk się zaczął, chłopiec już byłby na tyle nisko, że nie dałoby się go słyszeć na szczycie klifu, a i krzyk trwał zdecydowanie zbyt długo. Ale na pewno nie był to krzyk mężczyzny – głos był zbyt wysoki.

A zatem na brzegu był ktoś jeszcze, ktoś, kto widział śmierć chłopca. Ktoś, kto mógł pomóc Riggowi zejść z tej przeklętej skały.

Ale oczywiście nikt nie mógł mu pomóc. Szaleństwem byłoby próbować. Takim samym szaleństwem, jakiego on się dopuścił, próbując ratować chłopca. Wisiał teraz między dwoma kamieniami, tuż nad wodą, a jeśliby choć zgiał kolana, niechybnie porwałby go nurt.

Szarpnął lekko do tyłu, próbując kolanami dotknąć skały, której sięgał palcami stóp.

Ramiona go bolały z wysiłku utrzymywania ciała w pozycji mostu. A teraz, gdy spowolnienie czasu pomogłoby mu czuwać nad każdym, najdrobniejszym ruchem, strach dawał mu jedynie zwykły poziom zwiększonego skupienia.

Jednak po jakimś czasie kolana znalazły oparcie na skale. Udało mu się podźwignąć na rękach wysoko nad poziom wody, a w palcach wciąż miał dość siły, by odepchnąć się w górę i do tyłu, i...

Odepchnął się, uniósł, a potem przez chwilę, która zdawała się wiecznością, chwiał się, nie mając pewności, czy pchnął zbyt lekko i znów opadnie naprzód, czy może raczej zbyt mocno, przewróci się do tyłu i zleci ze skały...

Jednak odzyskał równowagę.

I wtedy został uderzony kamieniem w ramię. Znów się zachwiał. Na szczęście udało mu się nie upaść. Odwróciwszy się, zobaczył chłopca, mniej więcej swojego rówieśnika, stojącego na brzegu, gdzie dzieciak, który spadł w przepaść, zaczął swoją fatalną przeprawę.

Chłopak na brzegu przygotowywał się do rzucenia następnego kamienia.

Rigg nie miał się gdzie schować.

Mógł więc tylko odbić pocisk gołymi rękoma. Lecz przy tym również stracił równowagę.

Jakimś sposobem udało mu się jednak odkręcić i przemienić upadek w skok, dzięki któremu dotarł na skałę dalej od wodospadu.

– Przestań! – krzyknął.

Rzucający kamienie chłopiec pewnie nie usłyszał. Teraz Rigg rozpoznał Umba, chłopaka z wioski, syna szewca. Przyjaźnili się niegdyś, jako dzieci, gdy ojciec na dłużej niż ostatnimi czasy zostawiał go w Wodobrodzie.

Uświadomił też sobie, że chłopiec, który spadł, to był młodszy brat Umba, Kyokay, urwis jakich mało. Zawsze pakował się w kłopoty i zawsze podejmował szalone ryzyko. W czasach, gdy Rigg i Umbo byli przyjaciółmi, malec miał ramię usztywnione w szynach, zrastające się po złamaniu, ale nawet wtedy wspinał się na drzewa i skakał z wysoka na twardą ziemię, Umbo cały czas musiał za nim ganiać i go powstrzymywać, ratować i wrzeszczeć na niego.

Gdybym zdołał uratować Kyokaya, byłby to prezent dla mojego przyjaciela Umba.

Kontynuacja wielu razy, gdy pomogłem mu wykaraskać brata z opałów.

Czemu więc Umbo stara się mnie zabić? Czyżby myślał, że Kyokay spadł przeze mnie?

Próbowałem go uratować, głupcze! Skoro byłeś tam na brzegu, czemu pozwoliłeś mu skakać po skałach? Nieważne, co widziałeś – czemu nie próbowałeś dowiedzieć się, co naprawdę się wydarzyło, zanim wydałeś na mnie wyrok śmierci?

„Ludzie nigdy nie są sprawiedliwi, nawet jeśli starają się być – mówił mu ojciec nie raz i nie dwa. – A tylko garstka się stara”.

Rigg wrócił na półkę skalną, z której wcześniej zobaczył Kyokaya. Gdybym tu został, pomyślał, gdybym nie próbował go ratować, nie byłby ani trochę bardziej martwy niż teraz, a mnie nikt nie mógłby obwiniać o jego śmierć.

I nadal miałbym futra, czyli pieniądze na wyprawę w poszukiwaniu matki i siostry.

Umbo wciąż rzucał kamieniami, lecz teraz rzadko który dolatywał do celu, a Rigg, mając szeroką skałę pod nogami, z łatwością się uchylał. Nie mógł z kolegą porozmawiać, bo woda huczała wokół. Nie przychodził mu do głowy żaden gest, który znaczyłby: „Nie zrobiłem nic złego, chciałem go uratować”. Dla rozzłoszczonego, rozzalonego chłopaka wzruszenie ramion wyglądałoby jak beztroska, nie bezradność; a skinienie głowy – jak sarkazm, nie szacunek dla zmarłych.

Mógł więc jedynie czekać, aż Umbo, płacząc z bezsilnej złości, odbiegnie w stronę lasu.

Albo ruszy Drogą Klifową ku wiosce, gdzie niechybnie rozpowie wszystkim, co jego zdaniem się tu wydarzyło, albo przyczai się i poczeka, aż podejde bliżej, pomyślał Rigg.

Wolałby to drugie. Nie bał się walki z Umbem – życie w lesie przydało mu siły i zręczności, a nadto ojciec przeszkolił go w takich sposobach walki, przed którymi syn szewca nie umiałby się obronić. Ale Rigg chciał jedynie zbliżyć się do niego na tyle, by wyjaśnić, co się stało, nawet jeśli musiałby tłumaczyć w trakcie walki.

Gdy przeprawił się na drugą stronę, Umba już nie było – widział jego ścieżkę w powietrzu, jasną, przejrzystą i świeżą, biegnącą w dół trudnego odcinka Drogi Klifowej.

Wolałby obrać inną trasę, na wypadek gdyby Umbo zastawił na niego jakąś pułapkę, ale to była jedyna droga w dół klifu, oprócz, rzecz jasna, zawsze dostępnej opcji swobodnego lotu na dno i rozbicia się o skały. Ta droga była jednym z najważniejszych powodów istnienia Wodobrodu. Tyle że drogą była tylko na dole, obmurowaną i wybrukowaną wielkimi kamieniami, wijącą się pod pochyłe zbocza u podstawy Stromogóru.

Wyżej serpentyna się zwężała, droga ze schodkami przechodziła w ścieżkę o wysokich stopniach, a bruk ustępował miejsca przyciętym i zwiertzałym skałom. Tu i tam widać było ślady jakichś pradawnych katastrof i prowizorycznych napraw. Łatwo było stąd spaść.

Gdyby Rigga wciąż obciążał wielki toból futer i skór, Umbo miałby dość czasu, by dotrzeć do wioski i stamtąd powrócić, niewątpliwie w towarzystwie mężczyzn, którzy uwierzyliby w jego

relację i w gniewie mogliby nie chcieć wysłuchać wersji wydarzeń Rigga.

A tak, jeśli Rigg się pospieszy, dotrze do podstawy Drogi Klifowej i umknie, nim Umbo zdoła powrócić. I o ile on albo ktoś inny w wiosce nie ma talentu takiego jak Rigg, nie zdołają go wyśledzić. „Wytrawnego tropiciela trudno wytropić – mawiał ojciec – bo wie, jakich śladów uciekinier nie powinien zostawiać”.

Ojciec! Rigg poczuł kolejne ułknięcie żalu. Łzy napłynęły mu do oczu. Jak ja sobie bez ciebie poradzę? Czemu nie mogłeś usłyszeć pomruku lasu i zejść z drogi spadającego drzewa? Zawsze byłeś taki szybki, taki spostrzegawczy – aż trudno uwierzyć, że mogłeś być tak nieostrożny.

I wciąż cię potrzebuję. Kto mi wyjaśni, co sprawiło, że czas się zatrzymał, że pojawili się ci wszyscy ludzie z przeszłości, że ten mężczyzna uniemożliwił mi uratowanie chłopca?

Załamane oczy nie wynajdują dobrych ścieżek. Rigg zdusił więc żal, otarł powieki i zagłębił się w las, szukając okrężnej drogi do pensjonatu Nox.

Rozdział 3

MUR NOX

Jakie szkolenie mogło przygotować Rama Odyna na chwilę, gdy po siedmiu latach bezczynności przyjdzie czas na podjęcie decyzji?

Komputer pokładowy znał całą procedurę zagięcia. Ten proces był o wiele zbyt skomplikowany, by mógł w nim uczestniczyć zwykły pilot. Ram miał za zadanie poznać raporty komputerów, a potem zdecydować, czy dać zielone światło.

Jednak decyzja ta nie była ani łatwa, ani błaha. Gdy statek rozpocznie nietypowo zakrzywione przyspieszenie ku zagięciu, strumień napływających danych przybierze na sile. Komputery zaczną dostarczać zwielokrotnione analizy i mętne prognozy tego, co się dzieje, co może się stać, co stanie się w samym zagięciu.

W każdej chwili można przerwać procedurę. Komputery będą generować rachunki prawdopodobieństwa, lecz Ram miał świadomość, że wszelkie wyliczenia są fikcją. Możliwe, że żadne z przewidywań nie będzie przypominać ostatecznego wyniku.

I nieważne, ile razy komputery powtórzą daną prognozę, to wciąż nie dowodziło, że taki rezultat jest najbardziej prawdopodobny. To mogło oznaczać tylko tyle, że zarówno komputery, jak i oprogramowanie zawierały identyczny zestaw fałszywych założeń lub integralnych błędów, przez co wszystkie prognozy są bezwartościowe.

Ram był znakomitym pilotem, wnikliwym astronomem i matematykiem, z wielkim doświadczeniem w tych dziedzinach wiedzy. Przeszedł wszelkie możliwe szkolenia. Lecz i tak wszystko sprowadzało się do tego: Kim jest Ram Odyn? Czy zaryzykuje własne życie i życie wszystkich kolonistów dla skoku w nieznaną, w głąb zagięcia czasoprzestrzennego?

Czy raczej w decydującym momencie postanowi, że lepiej będzie wykorzystać już znaną technologię, wytworzyć pole poboru, zacząć gromadzić międzygwiazdny wodór i lecieć dalej przez dziewięćdziesiąt lat normalnego czasu kosmicznego?

Wiedział, jaką podejmie decyzję. Wielokrotnie dawał temu wyraz podczas testów i badań potencjalnych pilotów na potrzeby tej misji: O ile komputery nie dostarczą informacji, w świetle których skok będzie się wydawał lekkomyślnym ryzykiem, przystąpię do dzieła. Nawet niepowodzenie będzie doprawdy nieocenione – zobaczycie, co stało się ze statkiem, zabierzecie lecące za nami instrumenty pomiarowe, dowiecie się, co zaszło”.

A jednak teraz, rozmawiając ze zbędnym siedzącym obok niego na miejscu drugiego pilota, Ram uświadomił sobie, że nie ma czegoś takiego jak „dość informacji”, i nie ma sposobu, by zapomnieć o strachu. Nie o siebie się bał. Gryzło go co innego – empatyczny lęk o ludzi śpiących w swych kapsułach; lęk, że wskoczą w zagięcie, ale już stamtąd nie wyjdą albo wyłonią się zbyt daleko od jakiegokolwiek planety umożliwiającej kolonizację.

Jak to się stało, że to ja mam podjąć decyzję w imieniu wszystkich?

W pobliżu wsi nawet najdzikszy las oplatają ścieżki. Dzieci się bawią, pary urządzą schadzki, wędrowcy szukają miejsca na spokojny nocleg. Ludzie chodzą do lasu też po grzyby, ślimaki, orzechy, jagody...

Biegając miarowym tempem, Rigg dostrzegał najnowsze ścieżki. Wiedział, w których partiach lasu nie powinno być ludzi, i te ścieżki obierał. Kilkakrotnie musiał opuścić odludzia i kierować się przez pola i sady, ale za każdym razem widziane ścieżki podpowiadały mu, które domy są puste,

przez które drogi można bezpiecznie przejść.

W końcu dotarł na tyły pensjonatu. Nox uprawiała tam duży ogródek warzywny. Rigg przykucnął za rzędami tyczek fasoli, by zlustrować otoczenie.

Przed domem zebrał się już pokaźny tłum. Jeszcze nie przerodził się w motłoch – lecz Rigg usłyszał, jak ludzie krzykiem domagają się, by Nox pozwoliła im przeczesać wnętrze w poszukiwaniu „tego dzieciobójcy”. Wersja zdarzeń Umba zdążyła się już roznieść po wiosce.

A wszyscy wiedzieli, że tutaj ojciec i Rigg zawsze się zatrzymywali.

Nox, rzecz jasna, ich wpuściła. Skoro Rigga nie było w środku, po co miałyby im odmawiać, co tylko by ich zachęciło do puszczenia pensjonatu z dymem?

Rigg nie widział ludzi przeszukujących budynek – przesłaniały ich ściany – lecz jakoś, w sposób zlewający się ze wzrokiem, acz niebędący faktycznym widzeniem, nadal mógł śledzić ścieżki we wnętrzu. Wyczuwał jedynie tempo, z jakim nowe ścieżki się pojawiały, i ich położenie względem siebie nawzajem oraz zewnętrznej ściany pensjonatu.

Jednak to wystarczało, by zorientował się, że poszukiwania przebiegały w gorączkowej atmosferze. Ludzie biegali po schodach, dokładnie sprawdzali każdy pokój. Schylali się, wczolgiwali, prostowali. Kto wie, może nawet wybebeszali łóżka i przetrząsali kufry.

Oczywiście niczego nie znaleźli – poszukiwany znajdował się wszak na zagonie fasoli.

Jeśli jednak poszerzą obszar poszukiwań i znajdą go w warzywniku, uznają, że Nox wiedziała, że tam był. A to mogłoby się źle dla niej skończyć.

Gdy więc ścieżki ponownie zgromadziły się na przednim ganku, Rigg zakradł się do tylnych drzwi i wśliznął do spiżarni. Z uwagi na stałych gości pensjonatu nie odważył się pójść na górę ani do żadnego wspólnego pomieszczenia.

Z wnętrza spiżarni mógł wyczuć dynamikę w tłumie. Wystawiono dwóch ludzi na warcie z przodu i dwóch z tyłu. Kilku innych przeszukiwało ogród.

Nie powinienem tu przychodzić, pomyślał. Powinienem zaszyć się w dziczy i wrócić dopiero za rok. Może do tego czasu udałoby mi się zapuścić brodę. Może bym urósł. A może w ogóle bym nie wrócił – i nie dowiedział się, kim jest moja matka, ani nie znalazł siostry...

Czemu ojciec nie mógł mi zwyczajnie tego powiedzieć, zamiast zmuszać mnie, bym tu przyszedł? Lecz umierający człowiek ma ten przywilej, że może zdecydować, jakie będą jego ostatnie słowa. I kiedy zamilknąć.

Rigg próbował sobie wyobrazić, jak poczuje się Nox, gdy w końcu wejdzie do spiżarni.

Jeśli stałby prosto, patrząc na nią, pewnie by zaczęła krzyczeć, a to ściągnęłoby uwagę gości, może też wartowników na zewnątrz. Musiał się postarać, by zachowała milczenie, co oznaczało, że nie powinna się czuć zagrożona.

Przysiadł w kącie i ukrył twarz w dłoniach. Dzięki temu Nox nie przełęknie się, gdy otworzy drzwi do izby. Nic lepszego zrobić nie mógł.

Dwie godziny minęły, nim Nox udało się ułagodzić gości, którzy z oczywistych względów byli wystraszeni lub rozgniewani. Dwóch z nich spakowało się i odeszło, ale reszta została i w końcu nadszedł czas – a właściwie minął – by właścicielka pensjonatu zaczęła przygotowywać obiad.

– Ech, na zupę już za późno. I nie zdążę upichcić niczego wymyślnego – biadoliła, wchodząc do spiżarni.

Rigg nie spoglądał w górę, nie mógł więc mieć pewności, czy go zauważyła, gdy otwierała puszkę z mąką i cukrem, by wyjąć składniki na jakiś prosty wypiek. Jeśli go widziała, nie dała tego po sobie poznać. Dopiero gdy bardzo nieznacznie uniósł głowę, szepnęła:

– Zostań tu, aż skończy się obiad.

Rigg wiedział, że serwowany posiłek nie zasługiwał na szczytne miano „obiadu”.

Gdy podano do stołu, wrócili ci dwaj niezadowoleni goście – w wiosce nie było innych wolnych pokoi do wynajęcia, a w końcu mordercy nie znaleziono w tym domu, co z pewnością czyniło pensjonat najbezpieczniejszym przybytkiem w Wodobrodzie, bo drobiazgowo sprawdzonym.

W końcu Rigg wyczuł, że wszyscy goście gdzieś wyszli. Nox wróciła do spizarni i zamknęła drzwi. Odezwała się cichutko:

– Jak to możliwe, że cię nie znaleźli, gdy przeszukiwali dom? Bo chyba nie nauczyłeś się ostatnio, jak stać się niewidzialnym, co?

– Wszedłem, gdy skończyli szukać.

– Cóż, dzięki, że poczekałeś, aż wszystkim się humor poprawi.

– Nie zabiłem tego chłopca.

– Nikt przy zdrowych zmysłach tak nie uważa.

– Wisiał nad przepaścią, a ja nawet zrzuciłem wszystkie futra, by spróbować go uratować, ale Umbo wie swoje.

– To typowe u ludzi. Gdzie twój ojciec?

– Umarł.

Na dłuższą chwilę zapomniała języka w gębie. W końcu jednak się odezwała.

– Naprawdę nie sądziłam, że on wie, jak umrzeć.

– Przygniotło go drzewo.

– I sam tu wróciłeś?

– Tak mi kazał. Kazał mi przyjść do ciebie.

– A nie mówił nic o zabiciu dziecka czy dwóch po drodze?

Rigg przez chwilę się zastanawiał, czy nie powiedzieć jej o mężczyźnie sprzed wieków, którego chyba również zabił. Ale wtedy musiałby jej też zdradzić tajemnicę swego daru, a i bez tego sytuacja była już dość skomplikowana. Pewnie Nox uznałaby go za wariata i przestała wierzyć w jego niewinność. Zatem puścił mimo uszu jej zaczepkę.

– Kazał mi cię zapytać, gdzie znajdę moją matkę i siostrę.

– Sam nie mogłem ci powiedzieć?

– Mówisz tak, jakbyś myślała, że on by się przede mną tłumaczył.

– Oczywiście. – Westchnęła. – Ech, jak zwykle najtrudniejsze zadania zwała na mnie.

– Przez cały czas wiedziałaś, że moja matka żyje, i nie raczyłaś mi o tym powiedzieć?

– Dowiedziałam się o tym dopiero tuż przed tym, gdy wyruszałyście na tę ostatnią wyprawę. Twój ojciec wziął mnie na bok i kazał mi zapamiętać parę nazwisk i jakiś adres.

Powiedział, że się domyślę, kiedy mam to komuś przekazać.

– Teraz by wypadało.

– I dużo ci z tego przyjdzie, skoro ludzie obserwują mój dom.

– Wolałbym umrzeć, wiedząc.

– Najpierw powiesz mi, jak zginął ten dzieciak.

Więc Rigg opowiedział jej, co zaszło, nawet słowem nie wspominając jednak o tym mężczyźnie z innej epoki. Był pewien, że wyczuła, iż nie mówi całej prawdy, lecz i tak wydawało mu się to lepszym pomysłem, by nie zdradzać jej swoich zdolności.

Zdawało się, że opowieść nie robi na Nox najmniejszego wrażenia – słuchała do końca z iście stoickim spokojem.

– Tak myślałam, że ten głupiec Umbo oskarży cię, nawet nie próbując poznać prawdy. I straciłeś wszystkie futra?

– Wiem, gdzie są. Wiszą na skałach lub gałęziach gdzieś w dole rzeki zapewne.

– Och, widzę, że humor ci dopisuje. Miło to słyszeć.

– Mogę albo się śmiać, albo płakać.

– To płacz. Staruszkowi się należy.

Przez chwilę Rigg sądził, że Nox miała na myśli tego pradawnego mężczyznę na szczycie wodospadu. Ale oczywiście mówiła o ojcu.

– Nie był znowu aż taki stary.

– Skąd wiesz? Za nim nikt nie nadaży. Przychodził do tego domu, gdy byłam dzieckiem, a wtedy wcale młodziej nie wyglądał.

– Powiesz mi wreszcie, dokąd mam się udać?

– Powiem. Ale tylko dlatego, żebyś wiedział, do jakiego adresu nigdy nie dotrzesz. Dziś nikt cię nie wypuści z Wodobrodu.

– Nazwiska – zażądał Rigg.

– Głodny jesteś?

– Zjem właścicielkę pensjonatu, jeśli mi nie powiesz.

– Groźby? No, no. Niegrzeczny chłopiec. Kogoś tu źle wychowano.

– Masz rację. Ale zyskałem spore doświadczenie w zabijaniu zwierząt większych od siebie.

– Zrozumiałam aluzję. Bystryś że hej. Twoją matką była... jest Hagia Sessamin. Mieszka w Aressa Sessamo.

– W pradawnej stolicy Cesarstwa Sessamoto?

– Nie inaczej.

– Adres?

Nox zachichotała.

– Nie słuchasz. Twój ojciec zawsze powtarzał: „Gdybym tylko mógł sprawić, by uważał, co się do niego mówi”.

Rigg nie zamierzał dać się zbyć byle czym.

– Adres proszę.

– Przecież już ci mówiłam, ona nazywa się Hagia Sessamin.

– I to znaczy, że nie potrzebuję adresu?

– Ach, twój ojciec najwidoczniej poskąpił ci wyjaśnień na temat sessamoteńskiej polityki.

W sumie ma to jakiś sens. Jeśli wydostaniesz się żywy z Wodobrodu, udaj się do Aressa Sessamo i zapytaj o dynastię Sessaminów. Zapytaj kogokolwiek.

– To znaczy, że jestem potomkiem królewskiego rodu?

– Jesteś mężczyzną. Mógłbyś pierdzieć królewską krew z uszu, a i tak nie miałoby to żadnego znaczenia. Tym cesarstwem władały kobiety, co było dobrym zamysłem, póki się nie skończyło. Inna sprawa, że kobiety i tak w ten czy inny sposób rządzą większością miast, narodów i cesarstw. – Zamilkła i uważnie przyjrzała się jego twarzy. – Próbuję odgadnąć, co przede mną ukrywasz.

Rigg powiedział to, co pierwsze przyszło mu do głowy.

– Nie mam żadnych pieniędzy na podróż. Wszystko co miałem, to te futra.

– I przyszedłeś błagać starą kobietę o kilka monet z jej trzosiku?

– Nie. Jeśli cię na to nie stać, o nic cię nie proszę. Jeśli możesz dać mi choć trochę, zaciągnę u ciebie pożyczkę, choć nie wiem, kiedy i czy w ogóle będę w stanie ją spłacić.

– Nie zamierzam ci niczego pożyczać ani dawać. To ja mogę cię poprosić o pożyczkę.

– Pożyczkę? Przecież nic nie mam!

– Ojciec zostawił ci co nieco.

– I kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć?

– Właśnie przed chwilą. – Oparła składaną drabinkę o prymitywne półki i zaczęła się wspinać. Raptem się zatrzymała. – Jeśli spróbujesz zajrzeć mi pod spódnicę, to wezmę igły, poczekam, aż zaśniesz, i przyszpilę ci powieki do oczu. Na stałe.

– Szukam pomocy, a ty zapewniasz mi koszmary. Wielkie dzięki.

Stała już na najwyższym szczeblu, sięgając po puszkę z napisem FASOLA. Rigg jednak zajrzał jej pod spódnicę, głównie dlatego, że mu tego zabroniła. Nie zobaczył nic interesującego. Nigdy nie potrafił zrozumieć, czemu Nox, a i inne kobiety także, jest pewna, że każdy mężczyzna pragnie zobaczyć, co ukrywa pod ubraniem.

Zeszła, niosąc niewielki woreczek.

– Czy to nie miłe ze strony twego ojca, że zostawił to dla ciebie?

Otworzyła woreczek i wysypała zawartość na dłoń. Dziewiętnaście klejnotów, dużych, mieniących się kolorami, do tego całkowicie od siebie różnych.

– I co niby mam z nimi zrobić?

– Sprzedaj. Są warte fortunę.

– Mam trzynaście lat – przypomniał jej Rigg. – Wszyscy uznają, że ukradłem je mamusi.

Albo nieznanemu. Nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że jestem ich prawowitym właścicielem.

Nox wyjęła z woreczka złożoną kartkę papieru. Rigg wziął ją i obejrzał.

– Adresowane do jakiegoś bankiera w Aressa Sessamo.

– Tak. Umiem czytać.

Rozłożył kartkę i wczytał się w pismo.

– Ojciec uczył mnie o listach kredytowych.

– To dobrze, bo mnie nie raczył. Pierwsze słyszę o czymś takim.

– Tu jest napisane, że nazywam się Rigg Sessamekesh.

– Pewnie więc tak właśnie jest.

– Wszystko pięknie, tylko że te klejnoty nie mają żadnej wartości, póki nie dotrę do Aressa Sessamo.

– A zatem korzystaj z darów ziemi, tak jak ty i twój ojciec mieliście w zwyczaju.

– To się sprawdza tylko w lesie. W drodze do Aressa Sessamo wszędzie będę miał wsie i miasta. A słyszałem, że za kradzież karzą chłostą.

– Albo wsadzają do więzienia, albo sprzedają w niewolę, albo zabijają, w zależności od miasta i aktualnego nastroju.

– A zatem potrzebuję pieniędzy.

– Jeśli wydostaniesz się z Wodobrodu.

Rigg nie odpowiedział. Bo cóż miałby powiedzieć? Ona niczego mu nie była winna. Była kimś w rodzaju najbliższego przyjaciela.

Nox westchnęła.

– Mówiłam twemu ojcu, by nie liczył na to, że dam ci jakieś pieniądze.

– I nie liczył. Zadbał o to, żebym miał dużo futer. Ile tylko zdołałem unieść.

– Tak, tak, więc ci dam coś, ale to nie starczy na jazdę powozem. Ani niczym innym. A mądrze zrobisz, jeśli przez dłuższy czas będziesz się trzymał z dala od traktów. Coś mi mówi, że w Wodobrodzie nikt nie kupi nowych butów ani nie naprawi starych, póki pewien szewc nie poniecha poszukiwań, by cię wypatroszyć jak rybę.

Rigg usłyszał jakiś dźwięk dochodzący z zewnątrz.

– A kiedy to postanowiliśmy przestać szeptać?

Nox otworzyła drzwi do spiżarni. Nikogo nie było.

– Żywej duszy – oznajmiła.

Wtem rozległ się łomot u drzwi, tych od frontu i tych od tyłu, jednocześnie.

– Wiemy, że on tam jest, Nox! Nie zmuszaj nas, byśmy spalili ci chatę!

Rigg zadrżał ze strachu, ale poza tym nie mógł się ruszyć, nie mógł nawet myśleć.

Nox ścisnęła grzbiet nosa między palcami.

– Dostaję migreny. Sakramenckiej, pulsującej i upierdliwej jak ćma.

Mówiła tak, jakby to, że go znaleźli, stanowiło niewielki problem. Jej spokój pomógł mu opanować strach.

– Myślisz, że uda się nam im to wyperswadować? Czy raczej postarasz się ich czymś zająć, podczas gdy ja ucieknę po dachu?

– Cichaj! Próbuję zbudować mur.

Jako że jej ręce wcale się nie poruszały, Rigg uznał, że mur to metafora. Mur między nią a strachem?

– Mur dookoła domu – wyszeptała, jakby usłyszała jego myśli. – Wypełniam go wolą odejścia.

Powinien się domyślić, że ojciec został jej nauczycielem, bo dysponowała jakimś ciekawym talentem.

– Już są u drzwi.

– Ale nikt nie będzie chciał wdrzeć się dalej. Przynajmniej dopóki uda mi się podtrzymać mur.

– Czyli jak długo? Minuty? Godziny?

– To zależy, ile woli go atakuje i jak bardzo są zdeterminowane.

Podeszła do tylnych drzwi i odezwała się do wartowników:

– Za chwilę otworzę drzwi od frontu, więc możecie wejść tamtędy. Nic tu po was.

– Masz mnie za głupca? – rozległ się męski głos z drugiej strony. – Gdy tylko odejdę, wyjdiesz tylnymi drzwiami.

– Jak sobie chcesz – odparła Nox. Potem cicho rzekła do Rigga: – Tak skłania się ludzi, żeby przechytrzyli samych siebie. Gdy wydaje im się, że odkryli twój plan, przestają go szukać.

– Słyszałem to – stwierdził mężczyzna po drugiej stronie.

– Ja też znam tę sztuczkę.

– To żadna sztuczka. Zwyczajnie sobie rozmawiamy. Gdy podchodzili do frontowych drzwi, Nox dodała tak, żeby tylko Rigg usłyszał:

– Nie wychodź.

Otworzyła drzwi. Za nimi stali dwaj postawni mężczyźni. Jednym był kowal, drugim chłop z odległego gospodarstwa. Tuż za nimi, acz już nie na ganku, stał szewc Tegay, ojciec Umba i Kyokaya. Twarz mu znaczyły smugi po łzach, a do jego ramienia przywarł Umbo, na poły schowany za masywnym ojcem. Rigg chciał podbiec do Umba i powiedzieć mu, co się stało – powiedzieć mu wszystko, o magii i tak dalej, by Umbo zrozumiał, że Rigg starał się tylko uratować Kyokaya, a tym samym zaryzykował własne życie. Umbo by mu uwierzył, gdyby tylko mieli szansę pogadać.

Ci dwaj przy drzwiach poruszyli się, jakby chcieli wejść do środka – a raczej wtargnąć, wnioskując z ich postawy – ale jedynie przestąpili z nogi na nogę i zostali na zewnątrz.

– Nie było go tu, gdy szukaliście – stwierdziła Nox. – Nie wiedziałam, że przyjdzie.

– Tak mówisz – odparł chłop.

– Mówię. A wiecie, że mojemu słowu można ufać.

– Niby skąd mamy to wiedzieć? – zapytał kowal.

– Stał, że terminowo opłacam rachunki, nawet jeśli moi lokatorzy mi nie płacą. – Potem dodała głośniej: – Tegay!

– Nie musisz krzyżeć – rzekł szewc zza pleców kompanów. Odsunęli się trochę, by Nox i Tegay mogli się zobaczyć.

– Czemu oskarżasz tego chłopca o zabicie twego syna?

– Ponieważ Umbo widział, jak on zrzuca Kyokaya z wodospadu.

– Nie widział – odparła Nox.

– Ależ tak! – zakrzyknął Umbo, robiąc krok w stronę ganku.

– Nie twierdzę, że kłamiesz – dodała Nox. – Jedyne że mówisz nie to, co widziałeś, ale to, co wywnioskowałeś z tego, co widziałeś.

– Żadna różnica – stwierdził kowal.

– Umbo, podejdź no tu.

Chłopak znów się wycofał i przylgnął do ojca.

– Nie pozwolę mu wejść do tego domu, póki jest tam ten dzieciobójca! – zaperzył się szewc.

– Umbo – spokojnie podjęła Nox – co właściwie widziałeś? Tylko mów prawdę. Powiedz nam, co dokładnie zobaczyły twe oczy.

Rigg wiedział, że Umbo powie prawdę – nie był kłamcą. Wtedy uświadomił sobie, że Rigg nikogo nie zrzucił ani nie zepchnął, tylko wyciągnął rękę, bo chciał uratować jego brata.

Umbo nerwowo popatrzył na Rigga, a potem na Nox, wreszcie w górę na ojca.

– Było tak, jak mówiłem.

Rigg zdziwił się, że Umbo idzie w zaparte. Ale może bał się zmienić zeznania. Wszyscy wiedzieli, że Tegay go bije, gdy się zezłości.

– Ach tak – rzekła Nox. – Miałeś pilnować Kyokaya, chronić przed niebezpieczeństwem.

Ale on ci uciekł, prawda? Pognał przed siebie, a gdy dotarłeś na szczyt Drogi Klifowej, już był na skałach.

Twarz Tegaya zmieniła wyraz.

– Prawda to? – zapytał syna.

– Kyokay mnie nie posłuchał, ale i tak widziałem, co widziałem – upierał się Umbo.

– I tu mam wątpliwości – ciągnęła Nox. – Wspinając się tą drogą, straciłeś oddech.

Musiałeś baczyć na każdy ruch rąk i nóg, by nie spaść. Przelotnie dostrzegłeś wodospad i widziałeś, co się dzieje. Ale nie zatrzymałeś się, by patrzeć, prawda?

– Widziałem, jak Rigg spycha Kyokaya do wody.

– Gdy wciąż jeszcze się wspinałeś? – indagowała Nox.

– Tak.

– A gdy dotarłeś na szczyt, co widziałeś?

– Kyokay zwisał z brzegu kamienia nad wodospadem. A Rigg rozpostarł się między skałami, próbując go strącić! I Kyokay spadł. – Umbo zaczął płakać.

– A co potem zrobiłeś? – dopytywała się Nox.

– Wróciłem nad brzeg, zebrałem trochę kamieni i rzucałem nimi w Rigga.

– Myślałeś, że pomścisz brata?

– Rigg miał problem ze złapaniem równowagi. Myślałem, że przez te kamienie zachwieje się i upadnie.

Słyszając, jak Umbo przyznaje się do próby zabójstwa, Rigg zagotował się ze złości.

– I prawie ci się udało!

Nox uciszyła go gestem.

– Umbo, widziałeś, jak twój brat spada ze szczytu Wodospadu Kosmolo. Wydawało ci się, że rozumiesz, co się stało, z urywków, które widziałeś. Ale pozwól, że powiem ci, co naprawdę się wydarzyło.

– Ciebie tam nie było – warknął chłop.

– Ciebie też nie, więc się nie wtrącaj – spokojnie odparła Nox. – Rigg wracał z dwumiesięcznych łowów. Na plecach niósł ciężki toból z futer, które zebrał wraz z ojcem.

Widziałeś je przy nim?

Umbo pokręcił głową.

– Ależ widziałeś. To właśnie je Rigg zrzucał do wody, gdy dostrzegłeś go przelotnie, wspinając się Drogą Klifową. To je porwał prąd, a nie twego brata. Twój brat już zwisał z kamienia. Rigg pozbył się ciężaru, by spróbować go uratować.

– To nie tak było – zaprzeczył Umbo, ale w jego głosie brakowało pewności.

– Pomyśl, Rigg musiał przecież coś zrobić z futrami. Gdzie się podziały? Czy zostawiłby je na drugim brzegu? Rigg i jego ojciec zawsze przynoszą futra, gdy wracają do Wodobrodu.

Umbo pokręcił głową.

– A potem, jak mówisz, Rigg rozpostarł się między skałami. Dlaczego? By uderzyć w palce Kyokaya i spowodować jego upadek? Po co miałby to robić? Jak długo Kyokay by się utrzymał tak czy inaczej? Miał dość siły, by z powrotem wdrapać się na kamień? A czy ten kamień był choć wystarczająco duży?

– Nie wiem – przyznał Umbo.

– Jediną wersją, która ma sens, jest ta prawdziwa – oceniła Nox. – Rigg przeprawiał się tam, gdzie zawsze robili to z ojcem, dość daleko od wodospadu. Tylko nierozsądny urwis ośmieliłby się przeskakiwać po kamieniach tuż przy krawędzi urwiska.

Odpowiedział jej niewyraźny pomruk aprobaty. A Rigg od razu nabrał szacunku do Nox.

Nawet lepiej niż ojciec potrafiła przemawiać cierpliwie, zrozumiale, w sposób wzbudzający zaufanie, co pozwoliło jej wtłoczyć prawdziwą wersję wydarzeń do głów tych ludzi.

– Wszyscy wiemy, jak lekkomyślny był Kyokay – ciągnęła Nox. – Bo kto z nas nie widział, jak chodził po dachach, wspinał się na wysokie drzewa i popisывał się na wiele innych sposobów? Dlatego twój ojciec kazał ci go pilnować, by uchronić przed...

– Przed sprowadzeniem na siebie zguby – dokończył cicho Tegay.

– Rigg był tam, gdzie ty powinienes być, Umbo – skonkludowała Nox. – Poświęcił dwa miesiące ciężkiej pracy, cały swój majątek na tym świecie, by mieć szansę uratować twego brata. Zaryzykował własne życie, rozpostarł się między skałami, próbując sięgnąć do ręki Kyokaya, podciągnąć go. Lecz wtedy palce twojego brata się ześliznęły i spadł. I tak Rigg został w tej pozycji, balansując nad rwącą wodą. Gdyby zanurzył choć kolano w ten nurt, prąd zmiotłby go na dół. Stara się wykaraskać z tej opresji, a tu co? Rzucasz w niego kamieniami.

– Myślałem, że on... myślałem...

– Byłeś zły. Zdarzyło się coś strasznego i ktoś był winny. Ktoś popełnił błąd i musiał ponieść karę. Ktoś. Ale nie Rigg, prawda?

Umbo się rozbeczał. Ojciec przygarnął go do siebie.

– I nie Umbo – ocenił Tegay. – To wszystko przez Kyokaya. W ogóle nie zważał na ryzyko. Nie chciał słuchać starszych. Nie winię Umba. Rigga też nie. – Odwrócił się do reszty zebranych wokół domu. – Niech nikt nie tknie Rigga z powodu Kyokaya.

– Czemu jej wierzysz? – zapytał mężczyzna stojący gdzieś na tyłach tłumu.

– To czarownica – zawtórował mu kolejny. – Zauroczyła cię.

– Nie było jej tam. Mówi, jakby wszystko widziała, a jej tam nie było.

Nox wskazała palcem człowieka, który odezwał się jako ostatni.

– Czemu chcesz wierzyć w najgorsze? Skąd u ciebie ta żądza mordu?

– On zabił dziecko! – wrzasnął ten mężczyzna. Nie był nikim ważnym, a teraz zdawał się prowodyrem najbardziej krewkich ludzi w tej cizbie. – Moim zdaniem ojciec Rigga wziął futra, a wszystko przebiegło tak, jak mówił Umbo!

– To byłoby całkiem rozumne przypuszczenie – odezwał się Rigg – tyle że mój ojciec nie żyje.

W tłumie zapadła cisza.

– Dlatego niosłem wszystkie futra – ciągnął Rigg. – Wracalem sam.

– Jak umarł? – zapytał Tegay z nutką szorstkiego współczucia w głosie.

– Przygniotło go drzewo.

– Akurat! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Dość! – powiedziała Nox stanowczo. – Przetrzęsneliscie mój dom, powodując wiele szkód, a ja zgodziłam się na to przez wzgląd na Kyokaya i jego zbolalą rodzinę. Ale Umbo przyznaje, że widział tylko urywki całego zdarzenia. Rigg nie miał powodu, by zabić Kyokaya – nie było między nimi żadnej zwady. Nie tylko nie zabił Kyokaya, ale jeszcze poświęcił swoje futra i zaryzykował własne życie, by spróbować go uratować. To jedyna wersja, która ma jakikolwiek sens. A teraz zabierajcie się stąd. Jeśli pragniecie krwi, wracajcie do domu, zarżnijcie kurczaka albo kozła i wyprawcie porządną ucztę ku pamięci Kyokaya. Ale tutaj ani kropli krwi nie przelejecie. Wynocha, mówię!

Już gdy ludzie zaczęli się rozchodzić, najbardziej rozgniewani mężczyźni mruczeli pod nosem dość głośno, by Rigg mógł usłyszeć:

– Najpierw w lesie zabija swego ojca, a potem przychodzi tu, by mordować nasze dzieci we śnie.

– Przykro mi z powodu twego ojca – rzekł Tegay do Rigga. – I dziękuję, że próbowałeś uratować mojego syna. – Szewc się rozplakał, a kowal wraz z chłopem go odprowadzili.

Umbo przez chwilę stał sam, wstydliwie podnosząc wzrok na Rigga.

– Przepraszam, że rzucałem w ciebie kamieniami. Przepraszam, że cię obwiniłem.

– Cóż, widziałeś, co widziałeś. Nie mogę mieć ci tego za złe – pocieszył go Rigg.

Powiedziałby mu coś jeszcze, ale Nox zamknęła drzwi.

– Skąd wiedziałaś to wszystko, o czym mówiłaś? – zapytał. – Bo na pewno nie ode mnie.

– Znam to miejsce – odparła Nox. – I już wcześniej słyszałam wersję Umba, opowiadał ją podczas przeszukania.

– A ten mur, który właśnie zrobiłaś, jak działa?

– Osłabia wolę wszystkich oprócz mojej, tak że ludzie chcą trochę mniej tego, czego sami chcą, i trochę więcej tego, czego ja chcę. A ja akurat chciałam spokoju, ciszy i przebaczenia. I żeby trzymali się z dala od mego domu.

– Ale było widać, że to nie wpłynęło na wszystkich.

– Mur wpływa tylko na tych, którzy są blisko mnie. W zasadzie trudno to nazwać talentem, jak pewien dobry nauczyciel z upodobaniem mi powtarzał, lecz dziś sprawdził się niezgorzej. Ale jestem wyczerpana. Gdyby Tegay naprawdę chciał twojej śmierci, mógłby mnie przemóc. Na szczęście nie chciał. Wiedział, że Kyokay był nierozsądny. Wszyscy mówili, że ten dzieciak wcześniej czy później sam siebie zabije podczas kolejnej psoty. I tak się stało. Tegay to wiedział.

– A zatem magia istnieje. Ty nią władasz.

– Pomyśl. Czy twój dar jest magią? Widzisz ścieżkę każdego stworzenia. Tych stworzeń nie ma

już od tysięcy lat, a ty nadal widzisz ich ścieżki. Czy to magia?

A więc ojciec powiedział Nox o jego darze tropicielstwa, mimo że nakazał Riggowi nikogo nie wtajemniczać. Najwidoczniej mówiąc, by nie zdradzał tego nikomu, miał na myśli to, by być ostrożnym i dzielić się tą tajemnicą tylko z ludźmi godnymi zaufania. To miało większy sens niż restrykcyjny nakaz.

– Co zrobić, tak już mam – przyznał Rigg.

– Ale to nie czar, nie nauczyłeś się tego, nie możesz nauczyć innych, jak to robić. To nie magia, tylko zmysł, którego innym jakoś brakuje, a gdybyśmy rozumieli go lepiej, wiedzielibyśmy, że to jest tak normalne jak...

– Oddychanie – odpowiedział Rigg. Ojciec często tak mówił. – Mój ojciec również i ciebie nauczył rozumienia swego talentu.

– Próbował nauczyć mnie o wiele więcej, niż faktycznie pojęłam – stwierdziła Nox. – Nie chodziliśmy po lasach całymi godzinami, dniami, tygodniami i miesiącami jak wy. Nie miał więc czasu, by nauczyć mnie tyle, ile nauczył ciebie.

– Nie wiedziałem, że ojciec był aż tak stary, że uczył cię, gdy byłaś młoda.

– A jak ci się wydaje, ile mam lat?

– Więcej niż ja.

– Miałam szesnaście, a twój ojciec – człowiek, którego znałam jako Dobrego Nauczyciela – uczył mnie przez trzy lata, nim opuścił Wodobród. Ruszając w drogę, powiedział, że musi coś zdobyć. Miałam siedemnaście lat, gdy powrócił z tobą na rękach.

– A więc ojciec poszedł do miasta, zakochał się, ożenił, spłodził dziecko i opuścił żonę, i to wszystko w rok zaledwie?

– Półtora – poprawiła Nox. – A kto mówił coś o miłości? Czy o żeniactwie? Miał dziecko, ciebie, i przyniósł cię tutaj, a teraz zabierasz z sobą fortunę w klejnotach, list kredytowy i lwią część moich skromnych oszczędności. Wyruszysz na tę swoją wyprawę już dzisiaj, jeszcze przed zmrokiem, i zatrzymasz się na odpoczynek jak najdalej stąd.

– Czemu?

– Bo w tym tłumie byli ludzie, którzy wciąż wierzą w wersję Umba. Gwałtownicy. A ja nie czuję się na siłach, by ponownie stawiać dziś mur.

Przeszli do kuchni. Rigg pomógł jej przyrządzić chleb, a potem spakowała bochen wraz z serem i soloną wieprzowiną do torby podróżnej. W tym czasie chłopak przyszył małą sakiewkę ze srebrnikami i miedziakami do wewnętrznej poły koszuli, którą następnie wsunął w spodnie. Próbował dać Nox w zamian jeden z klejnotów, ale odmówiła.

– A jaki ja będę miała tu z niego pożytek, he? Zresztą każdy z tych klejnotów jest wart sto, ba, tysiąc razy więcej niż wszystkie monety, które ci dałam.

Gdy tak pracowali, Rigg pomyślał, że choć ojciec nauczył go tak wiele, równie wiele pominął milczeniem, a jednak dopuścił Nox do swych sekretów. Świadomość, jak mało ojciec mu ufał, pozostawiała gorzki w jego sercu; i zaczął żywić szacunek dla Nox, gdyż potrafiła dochować tajemnicy. No dobrze, ale mogłaby przecież coś zdradzić Riggowi, nie?

– Czemu nazywasz go Dobrym Nauczycielem, a nie jego prawdziwym imieniem?

– Bo tylko pod takim mianem go znałam.

– Ale przecież rodzice nie nadaliby mu takiego imienia.

– W moim pensjonacie zatrzymywali się goście o dziwniejszych imionach nadanych im przez rodziców. Był Kapitan, Doktor, a także Księżniczka. Ale jeśli chcesz nazywać ojca inaczej, to może tak, jak jest napisane w tym dokumencie – Wędrujący Człowiek. Tak go zwali w tej wiosce, zanim

zaczęłam nazywać go Dobrym Nauczycielem. Mówili też o nim Strażnik Muru lub Złoty Człowiek.

– To przydomki rodem z mitów.

– Słyszałam, jak ludzie nazywali tak twego ojca. I robili to z powagą, choć on się śmiał.

Imiona się zmieniają. Przylegają do człowieka, potem się je traci, a one przylegają do kogoś innego. Ale dość już dygresji, pozwól mi się skupić na chlebie. Jeśli nie będę uważać, to go sknocę.

Nie było tego wiele, ale właśnie powiedziała mu o ojcu więcej, niż kiedykolwiek usłyszał od niego samego.

Gdy w końcu wyruszył, do zmroku pozostawały jeszcze trzy godziny.

– Dziękuję – rzekł jej na odchodnym, wychodząc przez tylne drzwi.

– Za co? – spytała, jakby nie było o czym mówić.

– Za pożyczenie mi pieniędzy, choć cię na to nie stać. Za chleb, który dla mnie upiekłaś.

Za ratunek przed gniewnym motłochem.

Westchnęła.

– Twój ojciec wiedział, że zrobię to wszystko. Tak jak wiedział, że masz dość oleju w głowie, by się tu dostać, unikając pogoni i śmierci.

– Ale nie mógł wiedzieć, że spróbuję uratować głupiego dzieciaka opodal Wodospadu Kosmolo.

– Jesteś tego pewien? Twój ojciec wiedział o wielu rzeczach, o których nie powinien był wiedzieć.

– Gdyby znał przyszłość – rzekł Rigg – mógłby uskoczyć przed tym cholernym drzewem.

Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby dodać, a Nox chciała czym prędzej wrócić do kuchni, musiała bowiem przygotować kolację dla gości. Odwrócił się więc i wyszedł.

Rozdział 4

KAPLICZKA WĘDRUJĄCEGO ŚWIĘTEGO

– *Jak to się stało, że ja mam podjąć decyzję w imieniu wszystkich?* – zapytał Ram.

– *Sześć lat starań, by okazać się najlepszym w testach* – odparł zbędny.

– *Chodziło mi o to, czemu tę decyzję pozostawiono w gestii jednego człowieka, który przecież nie może mieć dość informacji, by ją podjąć.*

– *Zawsze możesz zostawić ją mnie* – podpowiedział zbędny.

Taka była procedura bezpieczeństwa: gdyby Ram umarł, zamroził się na śmierć, nabawił się paraliżu albo odmówił podjęcia decyzji, każdy ze zbędnych był gotowy przejąć dowodzenie i dokonać wyboru.

– *Gdyby to od ciebie zależało* – indagował Ram – *jaką decyzję byś podjął?*

– *Wiesz, że nie wolno mi odpowiedzieć na to pytanie. Albo podejmiesz decyzję, albo mnie przekażesz ten obowiązek. Ale nie możesz pytać, jaką decyzję bym podjął. To by wprowadziło nieistotny i problematyczny czynnik do procesu decyzyjnego. Czy wybrałbyś na odwrót, by podkreślić różnicę między ludźmi i zbędnymi? Czy też bezkrytycznie poszedłbyś za moją radą, a potem, gdyby coś się nie udało, zwałibyś całą winę na zbędnych, na których, chcąc nie chcąc, musisz polegać?*

– *Wiem.*

– *Wiem, że wiesz. I wiesz, że wiem, że wiesz. I tak dalej, i tak w kółko, więc proponuję postawić w tym miejscu wielokropek.*

Ram zachichotał. Zbędni nauczyli się już, że on lubi sarkazm, więc w ramach obowiązku podtrzymywania jego zdrowia psychicznego wszyscy włączali ironiczne uwagi do rozmów.

– *Ile jeszcze mam czasu, nim będę musiał podjąć decyzję?*

– *Możesz ją podjąć w dowolnym momencie.*

– *Ale musi być jakiś punkt krytyczny. Gdy albo przegapię zagięcie, albo w nie wskoczę.*

– *To by dopiero było wygodne rozwiązanie* – zadrwił zbędny. – *Jeślibyś zwlekał wystarczająco długo, decyzja podjęłaby się sama. Nie zostaniesz poinformowany o żadnej domyślnej decyzji ani o żadnym punkcie krytycznym, gdyż to mogłoby wpłynąć na twoją decyzję.*

– *Dane są bardzo niejednoznaczne.*

– *Dane nie skłaniają się ku żadnemu kierunkowi działania, nie stają po niczyjej stronie. Komputery jedynie dokonują kalkulacji i informują o ich wynikach.*

– *A jak mam ocenić fakt, że każdy z dziewiętnastu komputerów dostarcza innych prognoz?*

– *Ciesz się, że rzeczywistość jest nawet bardziej skomplikowana niż algorytmy logiczne oprogramowania.*

– *Hurra!*

– *Co?*

– *Cieszę się.*

– *To ironia czy utrata zmysłów?*

– *A czy to pytanie retoryczne, żarcik, czy może znak, że tracisz do mnie zaufanie?*

– *Nie mam do ciebie zaufania, Ram.*

– *Dzięki.*

– *Nie ma za co.*

Ram nie był pewien, czy podjął decyzję, nawet gdy wyciągnął rękę i wdusił palcem przycisk

potwierdzenia na monitorze. Jednak w tym momencie wątpliwości się rozwiały.

– To już? – zapytał zbędny.

– To decyzja ostateczna – odparł Ram. – I prawidłowa.

– Skąd to przekonanie?

– Ponieważ czy przeżyjemy, czy nie, skok w zagięcie będzie ważną lekcją dla całej ludzkości.

Tysiące przyszłych podróżników polecą w nasze ślady albo nie. Gdybyśmy jednak nie dokonali skoku, niczego byśmy się nie nauczyli, nie mielibyśmy żadnych nowych opcji.

– Piękne słowa. Wystaliśmy je z powrotem na Ziemię. Zainspirują miliony.

– Zamknij się.

Zbędny się roześmiał. Ten śmiech – to był jeden z powodów, dla których zbędni stanowili tak dobre towarzystwo. I choć Ram miał świadomość, że zaprogramowano ich tak, by roześmiali się dokładnie w tej chwili, dokładnie na tak długo i dokładnie w ten sposób przycichli, poczuł ciepło akceptacji, które śmiech tego rodzaju wzbudzał w ssakach naczelnym z rodzaju homo.

Przemierzając różnym krokiem pola i lasy, Rigg wypatrywał świeżych śladów. Ścieżka każdego, kto poruszał się w ciągu ostatniego dnia lub dwóch, będzie miała intensywną barwę, a jeśli w ostatnią godzinę, będzie wręcz biła po oczach. Jeśli więc jacyś ludzie urządzili zasadzkę, zobaczy, którędy doszli do swej kryjówki, i będzie mógł ich ominąć.

Kilkaset metrów od pensjonatu Nox minął parę budynków i wkroczył na drogę. Całą długość pradawnego traktu prowadzącego ze Stromogóru do starej cesarskiej stolicy w Aressa Sessamo znaczyły setki tysięcy ścieżek, lecz większość z nich wyblakła. Były pozostałością z zamierzchłych czasów, kiedy na szczycie Stromogóru leżało wielkie miasto, a Wodobród był metropolią rozpościerającą się na wiele kilometrów u jego stóp. W obecnych czasach nowych ścieżek przybywało co roku setkami, a nie tysiącami.

Myśli Rigga zaprzętała teraz śmierć – ojca i Kyokaya, a także tego dziwnego człowieka z przeszłości. Na żadnym z nich nie udało mu się skupić myśli, które gorączkowo przeskakiwały od jednej osoby do drugiej i z powrotem. Ojciec! – ale zaraz przerażające wspomnienie chłopca zwisającego ze skały, świadomość, że za chwilę się ześliznie – i tego mężczyzny ciągnącego Rigga w stronę przepaści.

Ojciec zabronił mi podejść i zobaczyć go umierającego, bym nie musiał żyć z tym wspomnieniem. A wkrótce potem stałem się świadkiem tragicznej śmierci i ten obraz będzie mnie prześladować w snach.

Mijał właśnie zakręt, gdy zobaczył bardzo świeżą ścieżkę kogoś, kto przekroczył drogę, wspiał się na nasyp i ukrył się w krzakach.

Nawet nie zwolnił – zboczył jednak ku drugiemu krańcowi drogi. Zbliżając się, rozpoznał tę ścieżkę. Ta sama, za którą podążał w dół Drogi Klifowej i którą zobaczył później za plecami szewca stojącego przed gankiem pensjonatu Nox.

– Umbo! – zakrzyknął. – Jeśli zamierzasz mnie zabić, to wyjdź i spróbuj. Ale nie czekaj na mnie w zasadzce. Tak robią tylko tchórze. I płatni zabójcy. Nie chciałem pozwolić, żeby twój brat zginął, naprawdę starałem się go uratować.

Umbo podniósł się z krzaków.

– Nie jestem tu, by cię zabić.

– Wygląda na to, że jesteś sam, więc ci wierzę.

– Ojciec mnie wygnał.

– Czemu?

– Miałem uważać na Kyokaya. – W tych słowach pobrzmiwała nawet nie nuta, lecz cała symfonia żalu i wstydu.

– Kyokay był za duży, by go upilnować. Twój ojciec powinien to wiedzieć. Czemu sam go nie pilnował?

– Gdybym powiedział tak ojcu... – Umbo aż zadrżał.

– Chodź tutaj. Nie mam czasu, by stać i gadać. Przed zmrokiem muszę być jak najdalej od Wodobrodu. – Nie chciał wyjaśniać, że w nocy potrafi znaleźć drogę tak samo dobrze jak w dzień.

Umbo na poły osunął się, na poły zszedł ze zbocza. Wolno podbiegł w górę drogi, zatrzymując się tuż przed Riggem. Byli niemal równi wzrostem, choć to zapewne się zmieni – ojciec Rigga był bardzo wysoki, a ojciec Umba raczej nie należał do olbrzymów.

– Zabiorę się z tobą, jeśli pozwolisz – rzekł Umbo.

Tylko co swoimi oskarżeniami podburzał ludzi, by mnie zabili, a teraz chce mi towarzyszyć w podróży?

– To chyba nie najlepszy pomysł – ocenił Rigg.

– Umiesz podróżować samotnie. A ja nie.

– Nie pójdiesz ze mną daleko.

– Ależ tak. Nie mam wyboru, bo nie mam gdzie iść.

– Twój ojciec opamięta się za dzień lub dwa. Wystarczy, że pokręcisz się w okolicy, póki skruszony nie przyjdzie cię szukać.

Rigg pamiętał, jak kiedyś pijany szewc Tegay zagroził Umbowi, że go zabije, jeśli jeszcze raz pokaże mu się na oczy. Obaj chłopcy mu uwierzyli – mieli wtedy około pięciu lat – toteż uciekli do lasu na zachodnim brzegu rzeki. Nie minęło nawet sześć godzin, a Tegay otrzeźwiał, wyszedł z domu i zaczął nawoływać żałośnie, błagając syna, by wrócił.

– Nie tym razem – stwierdził Umbo, niewątpliwie przypominając sobie to samo zdarzenie.

– Nie słyszałeś go. Nie widziałeś jego twarzy, gdy mówił, że dla niego jestem martwy. Jego syn Umbo zginął nad wodospadem wraz z bratem, którego miał pilnować. „Ponieważ mój syn zrobiłby wszystko co w jego mocy, by uratować brata, a nie patrzył beczynnie, jak inny chłopak próbuje to zrobić, a potem jeszcze niesłusznie oskarżył go o zabójstwo”.

– Więc to niejako moja wina, że ojciec wyrzucił cię z domu?

– Nawet jeśli mu się odwidzi, nie mogę tam zostać. Całe życie musiałem martwić się o Kyokaya, pilnować go, ochraniać, ukrywać, łapać, niańczyć. Byłem mu ojcem bardziej niż sam ojciec. I matką bardziej niż matka. Teraz go nie ma, a ja czuję się tak, jakbym stracił sens życia, skoro nie mam już na kogo uważać. Jego wieczne trajkotanie... nigdy bym nie pomyślał, że będzie mi tego brakować.

Potem się rozplakał, niczym dorosły, unosząc ramiona przy każdym szlochu, który brzmiał niemal jak wycie, i nawet nie starał się ukryć łez.

– Na Wędrującego Świętego – odezwał się w końcu. – Będę ci prawdziwym przyjacielem, Rigg, choć dziś cię zawiodłem. Odtąd już zawsze będę cię wspierał. We wszystkim.

Rigg nie miał pojęcia, co począć. Nieraz już widział, jak matki i ojcowie pocieszają płaczące dzieci – ale one były małe i połykały dziecięce łzy z cichym kwileniem. Męskie łzy wymagały męskiej pociechy. Na szczęście, gdy Rigg próbował sobie przypomnieć jakieś wydarzenie, które odpowiedziałoby mu, co robić, Umbo sam się uspokoił.

– Wybacz, że tak się mazgają. Dzięki, że nie próbowałeś mnie pocieszyć.

A Riggowi przyszło do głowy, że utraciwszy ojca i zostawiwszy Nox, nie miał innego przyjaciela niż Umbo. O ile naprawdę miał w nim przyjaciela.

– Podróżuję sam – upierał się.

– Przecież to bzdura – przekonywał Umbo. – Nigdy nie podróżowałeś sam, zawsze byłeś z ojcem.

– Teraz robię to sam.

– Skoro ojca mieć nie możesz, to nie chcesz mieć innego towarzysza?

Wtem, tak jak nauczył go ojciec, Rigg przemyślał sprawę na chłodno. Owszem, był urażony i zły, zmartwiony i poirytowany, rozgoryczony za sprawą paradoksu, że Umbo ośmielał się prosić go o pomoc po tym, jak niemal doprowadził do jego śmierci. Teraz jednak warto się posłużyć rozsądkiem.

Czy Umbo okaże się godny zaufania? Wcześniej nigdy go nie zawiódł, a zdaje się szczerze żałować za fałszywe oskarżenia pod moim adresem.

Czy Umbo ma dość siły, by wytrzymać trudy tej wyprawy? Nie musi. Mam dość pieniędzy, by zatrzymywać się w gospodach, gdyby pogoda się popsuła.

Czy będzie z niego jakiś pożytek? Dwóch silnych młodzieńców jest dużo bardziej bezpiecznych na drodze niż jeden. Gdyby zaszła potrzeba, by trzymać wartę w nocy, będą mogli podzielić się tym zadaniem.

– Umiesz cokolwiek upichcić? – zapytał Rigg. – Zawsze mogę złapać jakieś zwierzę do zjedzenia, ale... mięso aż się prosi o przyprawę.

– Ty będziesz musiał to robić. Nigdy nie piekłem mięsa.

– To co w takim razie potrafisz robić?

– Przytwierdzić nową podeszwę do twych butów, gdy zrobi się dziura albo szew się rozpruje. Jeśli dasz mi skórę i dużą igłę.

Rigg nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Jaki podróżnik bierze szewca za towarzysza?

– Taki jak ty. Przez wzgląd na stare czasy, gdy broniłem cię przed innymi chłopcami, którzy cię wyzywali od leśnych dzikusów.

To prawda, Umbo przychodził mu z pomocą, gdy byli o wiele mniejsi, a Rigga uważano za odmienca wśród wioskowej dziatwy.

– Nic nie obiecuję, ale możesz zacząć tę podróż ze mną, a na koniec każdego dnia będziemy omawiać, jak dobrze lub źle to funkcjonuje.

– Dobrze. Świetnie.

Rigg śmiało wkroczył w strumień pradawnych ścieżek płynących niczym rzeka w obie strony jednocześnie. Pomyślał o tym, co widział na szczycie Wodospadu Kosmolo – jak wszystko się spowolniło, a ścieżki przeobraziły się w ludzi. Rozumiał już, że te ścieżki wciąż mieściły wyobrażenie rzeczywistych podróżnych, obraz, który mógł stać się rzeczywistością.

Zanurzał się teraz w potok ludzi, porywany do przodu przez połowę nurtu, a zarazem brnąc pod prąd drugiej połowy.

– Spiesz ci się gdzieś? – zapytał Umbo, gdy dogonił Rigga i zaczął obok niego truchtać. – Czy raczej zmieniłeś zdanie i z premedytacją zostawiasz mnie w tyle?

Rigg zwolnił. Do tej pory po prostu szedł tak szybko, jak zawsze podczas wypraw z ojcem, lecz Umbo nie miał szans sprostać takiemu tempu. Choć silny i krzepki, tylko trochę niższy od Rigga, był jednak synem szewca, mieszkańcem wioski. Jego nogi nie nawykły do pokonywania dużych dystansów, dzień po dniu.

Rigg miał już na końcu języka odpowiedź, którą zawsze słyszał od ojca: „Nadażaj, jeśli zdołasz, a jeśli nie, to wlecz się z tyłu”. Ale czemu niby miałby mówić jak ojciec? Zawsze miał pretensje o tę jego bezwzględność.

Tak więc zwolnił i dostosował się do tempa przyjaciela.

Przez dwie godziny prawie się do siebie nie odzywali. Zmrok przesłonił drogę całunem.

Cisza zdawała się nienaturalna. Rigg uświadomił sobie dlaczego – w minionych latach zawsze towarzyszył im Kyokay, który trajkotał bezustannie.

W końcu zapadły takie ciemności, że choć Rigg mógł dostrzec drogę, Umbo nie widział dalej niż czubek własnego nosa.

– Noc już – zauważył Rigg. – Możemy się przespać.

– Gdzie? – zapytał Umbo. – Nie umiem spać, idąc, a nie widzę żadnej gospody ani stajni.

– Można spać, idąc – zaproponował Rigg, przypominając sobie całonocne pogonie za umykającą zwierzyną. – To coś w rodzaju spania i coś w rodzaju spaceru. Nie jesteś jeszcze dość zmęczony, by zasnąć na nogach.

– A ty tak robiłeś?

– Owszem. Choć to mało efektywne, bo traci się drogę z oczu i często się potyka.

– Co o mały włos mi się nie przytrafiło trzy razy w ciągu ostatnich pięciu minut.

– Zboczmy więc z drogi, by nikt nie mógł nas zauważyć.

Umbo przytaknął, a potem dodał:

– Dobry pomysł. Z wyjątkiem tej części, w której zbaczamy z drogi i wchodzimy w mroku między cierniste krzewy.

– Zejdziemy na boczną dróżkę – uspokoił go Rigg. Wiedział, że tam była, bo dostrzegł ścieżki kilku niedawnych podróżników zbaczających z głównego traktu. Gdziekolwiek poszli, zawsze wracali tą samą drogą ku gościńcowi. Nie mógł wyjaśnić, skąd to wiedział, nie zdradzając Umbowi tajemnicy swego talentu, a Umbo najwyraźniej uznał, że Rigg zna tę okolicę, skoro nie zapytał, skąd wie, że zbliżają się do bocznej dróżki.

Zagłębili się w las zaledwie na kilka metrów od pobocza drogi i znaleźli się przed niewielką świątynią – albo bardzo okazałą kapliczką. Miała kamienne mury i gruby płaski dach pokryty darnią, zapobiegającą nagrzewaniu się wnętrza.

Żadna z dochodzących tu ścieżek nie miała więcej niż dwieście lat. Była to więc stosunkowo nowa kapliczka.

– Wędrujący Święty – rzekł Umbo.

– Kto?

– Kiedyś mieliśmy taką zabawę, jeden z nas był Wędrującym Świętym, a reszta starała się zepchnąć go z urwiska przy wodospadzie. Na pewno pamiętasz.

Rigg nie miał bladego pojęcia, o czym mowa. To nie mogło być nic bardzo ważnego, inaczej by pamiętał. Co za okropny pomysł – bawić się w spadanie z urwiska! Jeśli tak bawili się Umbo z Kyokayem, to nie dziwne, że Kyokay nie widział nic zdrożnego w swawoleniu tuż nad brzegiem wodospadu.

Umbo badawczo przyglądał się obliczu Rigga, na którym malowała się konsternacja.

– Odbiło ci? Przecież to nasz miejscowy święty.

– A co to jest „święty”? – dopytywał się Rigg. – Wcześniej chyba przysięgałeś na jednego.

Na tego samego? Tego wędrującego?

– Zacny człowiek – rzekł Umbo nerwowo. – Człowiek, który dostąpił przychylności któregoś z bogów. Albo łaski jakiegoś demona.

Rigg słyszał o bogach i demonach, lecz ojciec mało o nich mówił. „Wiele legend o bogach i demonach opiera się na prawdziwych zdarzeniach, które przytrafiły się prawdziwym ludziom – powiedział kiedyś. – A inne są zmyślone, mają straszyć dzieci albo zmusić je do posłuszeństwa, albo

dodać ludziom otuchy, gdy w ich życiu dzieje się źle”.

A teraz pojawiła się nowa kategoria: święty.

– Więc ten święty nie jest bogiem, ma tylko boga za przyjaciela.

– Albo demona, który jest mu przychylny. Towarzyszy mu na polowaniach czy coś takiego.

Zwykli ludzie w miarę możliwości trzymają się z dala od bogów i demonów.

Możemy zwracać się do świętych, gdyż są w bliskich stosunkach z potężnymi istotami. Ale przecież to wiesz, Rigg. Obaj chodziliśmy na lekcje do Hemoferona.

Rigg znał Hemoferona, nauczyciela dzieci, których rodziców stać było na chesne. Od czasu do czasu uczęszczał na zajęcia wraz z Umbem, choć ojciec się z tego naśmiewał, mówiąc, że gdyby Hemoferon wiedział cokolwiek, nie uczyłby w Wodobrodzie. „Ja nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć” – twierdził. Ale nie nauczył. Nawet słowem nie wspomniał o niektórych newralgicznych kwestiach. Rigg zastanawiał się, czy aby ojciec nie nauczał go głównie rzeczy, z których nie było żadnego pożytku.

– Wejdźmy do środka – zaproponował Umbo. – Możemy tu przenocować, to azyl dla podróżników, jak wszystkie kapliczki Wędrującego Świętego. Żadna klątwa na nas nie spadnie, chyba że zbecześcimy to miejsce.

– Zbecześcimy?

– Zrobimy kupę lub siku. Znaczący, jeśli zafajdamy wewnątrz.

W kapliczce panowały całkowite ciemności – przez drzwi przeziarało tylko trochę światła gwiazd. Tu ściany. Tam podłoga.

– Wolę nie spać na tej twardej podłodze z kamieni. Nie pada, więc chyba prześpię się na zewnątrz.

– Ale... – zaczął Umbo.

– Ty możesz spać tutaj, jeśli chcesz. A ja jestem przyzwyczajony do spania na dworze.

– Odrzucasz gościnę świętego?

– Wprost przeciwnie – rzekł Rigg. – Zachowuję niepokalaną czystość tego miejsca. Bo zamierzam całą noc robić kupę i siku.

Umbo został w środku, a Rigg wyszedł i oddalił się trochę, by opróżnić pęcherz. Potem znalazł dogodny miejsce, gdzie zgarnął trochę liści i darni na całkiem wygodne poślanie.

Nie mógł zasnąć, bo to wszystko było zbyt dziwne. W ogóle nie pamiętał, by kiedykolwiek bawił się w to, co opisywał Umbo. A bogowie i demony? To są byty wzywane przez ludzi, którzy niekoniecznie w nie wierzą. Gdy przeklina się na lewe jądro Silboma, trudno oczekiwać, że bóg się obrazi, przyjdzie i ukarze bluźniercę – a to zawsze było najbardziej ulubione przekleństwo kowala z Wodobrodu.

Umbo zdawał się absolutnie pewny, że wraz z Riggim bawili się w ten sposób i że wszyscy – łącznie z Riggim – wiedzieli o świętych. Jak to możliwe? Jakim cudem dwóch ludzi, którzy w dzieciństwie często razem się bawili, ma tak diametralnie różne wspomnienia?

Rigg usłyszał, jak Umbo wychodzi z kapliczki.

– Rigg, gdzie jesteś?!

– Tutaj! Jak chcesz, możesz spać koło mnie. Tu jest o wiele wygodniej, a noc całkiem ciepła.

– Nie, dzięki. Gdzie sikałeś i ten tego?

– Nie musisz korzystać z tego samego miejsca.

– Ja chcę go uniknąć. Wolałbym w nic nie wdepnąć.

– Aha, w takim razie odejść od drzwi na lewo i będziesz bezpieczny od mego intymnego nawozu.

Umbo ryknął śmiechem.

– Intymny nawóz, a to dobre!

– Tak naz... – Rigg nie dokończył zdania. Tak nazywał to ojciec, ale jakie to ma znaczenie dla

Umba?

Na myśl o ojcu Rigg znowu popadł w przygnębienie. Aby się nie rozplakać, przymknął powieki i zaczął rozważać jakieś problemy z zakresu topologii, której uczył go ojciec. Już dawno odkrył, że wyobrażanie sobie krajobrazu fraktalnego jest niezawodnym środkiem nasennym – nieważne, jak długo się wgłębiało w niego i powracało do szerszej perspektywy, zawsze pozostawały nowe kształty do odkrycia.

Zbudził się z pierwszym brzaskiem. Nieco zeszywniał od chłodu poranka – było zimno, widział parę swojego oddechu – ale zdążył zwalczyć to odrętwienie, jeszcze zanim wrócił do zaimprovizowanego wychodka z zeszłej nocy i ponownie użył glebę swym „intymnym nawozem”. Potem przeszedł na drugą stronę polany, gdzie szemrał strumyk, i napełnił trzy małe bukłaki. Tego też nauczył go ojciec podczas wspólnych wypraw. „Człowiek nie przewidzi, kiedy złamie jakąś kość i będzie musiał przetrwać dłuższy czas, nim ktoś go znajdzie”.

„Ty mnie znajdziesz, ojcze” – odparł wtedy Rigg.

Cóż, ta woda posłuży nie jednemu, lecz dwóm wędrowcom.

Gdy wrócił do kapliczki, Umbo wciąż spał w najlepsze. Rigg otworzył swój tobołek i wyciągnął prowiant, który dała mu Nox. Jako że zgodził się na towarzystwo Umby, według prawa drogi połowa jedzenia należała się jemu. Rigg zjadł co nieco z własnej połowy. Bardzo niewiele, nie chciał bowiem się zatrzymywać i polować blisko Wodobrodu.

Zdażyło się już w pełni rozwidnić, gdy rozespany Umbo w końcu wyszedł z kapliczki, stękając i powłócząc nogami niczym kaleka.

– Kamienna podłoga – stwierdził Rigg ze znawstwem w głosie. – Zawsze działa tak samo.

– Ale przynajmniej wokół są ściany.

– I drzwi, które się nie zamykają.

– Nie muszą, bo wewnątrz jest pod ochroną świętego.

– A jeśli jacyś rabusie postanowią zabić wszystkich w środku i zabrać im cały dobytek, co wtedy? Czy ten Włóczęga się Święty pojawi w drzwiach i spiorunuje ich wzrokiem?

– Wędrujący Święty – poprawił Umbo, krzywiąc się.

– Wiem, żartowałem.

– Nie powinieneś sobie żartować ze świętości.

– Co z tobą?

– Nic, tylko muszę zrobić... nawóz. Tak to nazywasz?

Umbo zniknął na jakiś czas, a potem wrócił i zapytał:

– Masz coś do żarcia?

– A ty nic nie wzięłeś? – zapytał Rigg.

– Tylko tę kielbasę. Siostra ukryła ją w czapce i pobiegła za mną. Pewnie ojciec ją za to zbił. Gdyby wiedział o kielbasie, mógłby ją zabić. No, może nie zabić, ale wiesz, o co chodzi.

– To się podziel. Tu masz to, co dała mi Nox. Po połowie wszystkiego.

– Znam zwyczaje podróżników.

– To jest twoja połowa.

Umbo ze zdziwieniem patrzył na obie porcje.

– Były równe, gdy dzieliłem prowiant – wyjaśnił Rigg.

– Wciąż są równe. Nic nie jadłeś?

– Zjadłem tyle, ile chciałem. Wolę oszczędzać.

– A po co? By zwierzęta, które znajdą twego zagłodzonego trupa, miały coś pysznego do zjedzenia i zostawiły twoje ciało w spokoju?

– Wystarczająco się najadłem. Często przez parę dni żyliśmy o chlebie i wodzie, po prostu dla wprawy. Po jakimś czasie tak do tego przywykłem, że nawet niejako polubiłem uczucie wiecznego głodu.

– Co za głupota!

I nagle po raz kolejny Umbo uderzył w płacz. Tylko na chwilę – ledwie cztery głośne pociągnięcia nosem, krótki wylew łez.

– Na Wędrującego Świętego – wydukał, ocierając powieki. – Wystarczy, że pomyślę o Kyokayu i już. – Próbował zaśmiać się przez łzy. – Ależ najem się wstydu, jeśli kiedyś zdarzy mi się to na czyichś oczach.

– A ja to co? Pień jestem?

– Znaczy, na oczach kogoś, kto nie zrozumie. Kogoś, kogo tam nie było.

Gdyby przyjął taki tok rozumowania, Umbo mógł do woli oplakiwać brata, a Riggowi nie wolno było uronić ani jednej łzy dla ojca, bo przy jego śmierci nie było nikogo innego.

Rigg jednak nie chciał się kłócić. Musieli dziś pokonać znaczną odległość, a Umbo nie nawykł do dłuższych wędrówek, i źle by się stało, gdyby zaczęli podróż od awantury. Bez tego akurat mogli się obejść.

– Jedz, Umbo. Albo wetrzuj jedzenie we włosy, albo cokolwiek wolisz z tym zrobić, ale się pospiesz. Słońce już weszło, straciliśmy co najmniej pół godziny marszu. Niedługo na drodze zaczną się pojawiać pierwsi ludzie.

– A czy my ich unikamy?

– Ja tak. W każdym razie tych, co przyjdą ze strony Wodobrodu. Szukających mnie. Albo ciebie. A co nieznajomi idący z naprzeciwka sobie pomyślą, gdy zobaczą dwóch chłopców podróżujących bez dorosłych? Musimy być gotowi uskoczyć w krzaki za każdym razem, gdy ktoś nadejdzie. Wolałbym uniknąć niewygodnych rozmów z nieznajomymi.

– Przez Wodobród przechodzi wielu wędrowców. I nigdy nikogo nie skrzywdzili.

– W Wodobrodzie są w mniejszości. A gdy są w większości, mogą zachować się zupełnie inaczej.

– Czego się boisz?

– Hm, niech pomyślę. Śmierci, to po pierwsze i najważniejsze. I bólu. I tego, że ktoś odbierze mi cały mój nędzny dobytek. – Nie widział powodu, dla którego miałby mówić Umbowi o klejnotach i liście kredytowym. Prawo wędrowców w kwestii dzielenia się wszystkim nie obejmowało pieniędzy.

– W ogóle mi to nie przyszło do głowy...

Rigg myślał, że Umbo znów się rozpłacze, ale nie.

– No cóż, Umbo, całe życie mieszkałeś w wiosce. Tam jest o wiele bezpieczniej. Chyba że ktoś oskarży cię o zabójstwo i podjudzi motłoch, by przyszedł cię zabić.

Umbo odwrócił wzrok – ze wstydu? a może ze złości? – więc Rigg zmienił temat. Ten poprzedni nie nadawał się jeszcze na przedmiot żartów. Ojciec wiedział, że naśmiewanie się z najgorszych rzeczy to najlepszy sposób, by je oswoić i poskromić.

– Słuchaj, ja całe życie wędruję. Ale w dziczy, a nie po często uczęszczanych drogach.

Kiedy z ojcem nieśliśmy skóry na plecach, zawsze schodziliśmy z ubitych traktów, bo człowiek z obciążeniem nie ma dość zwinności, by walczyć lub choćby uciekać, chyba że porzuci skóry, a

wtedy ktoś może je ukraść. To taki nawyk, na wszelki wypadek. A ja doszedłem do wniosku, że nie wiem, jakie niebezpieczeństwo może nas spotkać na tej drodze, ale nie zaszkodzi kierować się tym samym nawykiem. Być ostrożnym. Jeśli chcesz podróżować ze mną, musisz się temu podporządkować. Dobrze?

– Ty się możesz chować, ja zostaję na drodze.

– Przecież mówię – stwierdził Rigg, pozwalając sobie na nutkę zniecierpliwienia. – Jeśli na drodze przytrafi ci się coś złego, byłbym zobowiązany przyjść ci na ratunek. A cały sęk w tym, że schodzę z drogi, ponieważ nie chcę musieć kogokolwiek bronić. Skoro więc nie chcesz schodzić z drogi, kiedy ci powiem, i kryć się tak długo, jak ci powiem, to nie podróżujemy razem. Każdy osobno. Chcesz tego?

– Pewnie, że nie – odparł Umbo pospiesznie. – Nie chciałem sprawiać problemów. Po prostu wszystko mnie boli, wygodniej byłoby iść drogą, nie kryć się po lasach. Zresztą ty się ruszasz jak synus, tak cicho, że mógłbyś podejść węża. A ja się tłukę jak pijana krowa.

– W życiu takiej nie widziałem.

– To sporo straciłeś. Oczywiście, jeśli ktoś cię przyłapie na częstowaniu krowy piwem, przerobi cię na skórę na buty.

– Zjadłeś już? Możemy iść?

– Tak. – Umbo podniósł swój niewielki dobytek i poszedł, lecz nie ku dróżce prowadzącej do głównego traktu, tylko ku wejściu do kapliczki.

– A ty gdzie?

– Chyba nie chcemy wyruszyć w podróż, nie oddawszy czci Wędrującemu Świętemu, prawda? Sądziłem, że dlatego wybrałeś to miejsce na wczorajszy nocleg. Ze względu na azyl i błogosławieństwo.

O to nie warto było się kłócić. Rigg wszedł za Umbem do środka.

Pośrodku dachu był otwór dymny, który wpuszczał do wnętrza dosyć światła, by widoczne stały się na ścianach malunki. Nie były to zwykłe ozdobne wzory podobne do tych, które kobiety z Wodobrodu wrabiały w tkane materiały, ale prawdziwe ludzkie sylwetki. Rigg nie widział dokładnie, ale dość dobrze, by rozpoznać, że ten sam człowiek w tych samych szatach pojawiał się na każdym fragmencie ściany.

– To żywot Wędrującego Świętego – wyjaśnił Umbo. – Mówię ci, bo najwyraźniej nigdy tego nie widziałeś ani o nim nie słyszałeś.

Rigg obszedł wnętrze, przyglądając się legendom o W.Ś. – już zaczął w myślach nazywać go tym skrótem. Zwykle tworzył akronimy z wyrażeń, które w jego ocenie zbyt często się powtarzały. o „intymnym nawozie” już od dawna myślał jako o „i.n.”.

Tu W.Ś. przyprowadza dwoje zagubionych dzieci do uradowanej matki. Na kolejnym obrazku odpędza niedźwiedzia, który niemal pożarł mleczną owcę biednej rodziny. Gdzie spojrzeć, dzielne i dobre uczynki, do wyboru, do koloru.

Gdy dorastaliśmy, pomyślał Rigg, nazywaliśmy takie historie bajkami o bohaterach i odgrywaliśmy je podczas zabaw. Kyokay za każdym razem chciał być niedźwiedziem, oprychem lub wrażym żołdakiem, nigdy tym, którego ratują, mimo że był najmniejszy. W ogóle nie mieszało do tego bogów.

Nie chciał jednak rozmawiać o tym z Umbem. Niepokojące, że ich wspomnienia z dzieciństwa tak bardzo się różniły.

– Co musisz jeszcze zrobić, zanim pójdziemy? Byle szybko.

– Tylko to. Spojrzeć na te legendy i wspomnieć Wędrującego Świętego.

– To ja już skończyłem.

– Zaczęłeś od drugiego obrazka – zauważył Umbo. – Ominąłeś cały początek, gdy Wędrujący Święty po raz pierwszy spotkał demona i go przepędził. Dzięki tej mocy dokonał tylu dobrych uczynków – bo potrafi nakazać demonom zniknąć.

– Potrafi? To on wciąż żyje?

Umbo się zaśmiał.

– Nie sędzę. Znaczący, nie w ciele. Wiedziałaś, że niektórzy ludzie nazywali twego ojca Wędrującym Świętym?

– Nie. Nox mówiła, że nazywali go Wędrującym Człowiekiem, a ona nazywała go Dobrym Nauczycielem, ale Świętym? Pierwsze słyszę!

– Ludzie ciągle tak szeptali. I nie tylko. Ale pewnie nie przy tobie.

– Nikt nigdy nie wspominał... – Rigg nie dokończył, bo bał się, że mógłby powiedzieć coś przykrego, na przykład: „Nikt nigdy nie wspominał o tym głupim Włóczącym się Świętym”.

Zamiast wdawać się w kłótnię, posłusznie podszedł do pierwszego obrazka i od razu się zorientował, że to wyobrażenie wierzchołka Wodospadu Kosmolo, widziane jakby z perspektywy zawieszanej paręnaście metrów od ściany klifu. Jakiś człowiek zwisał bezwładnie z kamienia tuż przy krawędzi wodospadu, obmywany z obu stron wodą spływającą w dół (tak zdawał się sugerować malarz), podczas gdy złośliwy demon, który przycupnął na kamieniu, próbował odgiąć mu palce.

Dalej, na tym samym obrazku, trochę z boku w prawo, odmalowano tego samego człowieka (wnioskując po odzieniu) zwisającego z tej samej skały, tyle że zamiast demona widać było zwitek czegoś niesprecyzowanego, a mężczyzna miał tym razem obie ręce na skale i się podźwigał.

– To był cud, widzisz? – zapytał Umbo. – Naprawdę nigdy o nim nie słyszałaś? Jeśli kłamiesz, bym opowiedział ci tę historię, to napierdzę ci do jedzenia, przysięgam.

– Jaki cud?

– Demon zrzucił go z wodospadu, a Wędrujący Święty w ostatnim momencie złapał się suchej skały jedną ręką. Potem demon walił w jego dłonie, a gdy święty złapał za jego ramię, demon próbował odgiąć mu palce. Wielu ludzi maluje Wędrującego Świętego z dwoma stale odgiętymi palcami prawej dłoni, ale to absurd.

Rigga nie obchodziły te palce. Czy Umbo nie widział, że to obraz tego, co stało się wczoraj na klifie? Nie, rzecz jasna.

Wtedy widział tylko swojego brata Kyokaya. W ogóle nie dostrzegł mężczyzny, z którym Rigg walczył, by dosięgnąć ręki chłopca i go uratować.

To mężczyzna, z którym walczyłem. Był prawdziwy – ale pochodził z przeszłości, tam też pozostał. Nie umarł po tym, jak straciłem go z oczu. Gdy czas znów przyspieszył, a ja przestałem odginać mu palce, ten człowiek pomyślał zapewne, że stał się cud. A gdy wspiął się na skałę – musiał być naprawdę silny! – ja już znikłem.

Tyle że na skale coś jednak było namalowane.

– Co to jest? – zapytał Rigg.

– Och, tego tu być nie powinno. To się odnosi do drugiej historii, ale umieścili to tutaj gwoli przypomnienia, by mogli wykorzystać resztę plansz do innych przypowieści. To jest futro.

– Futro?

– Zszedłszy ze Stromogóru, Wędrujący Święty był zziębnięty i przerażony. Poszedł do wielkiego stawu na rzece, gdzie kaskada wody tworzy mgiełkę. Między skałami znalazł futro, wyprawione i gotowe do użytku. To był dar od demona, rzecz jasna. Demon musiał ulec

Wędrującemu Świętemu, dał mu więc futro jako dowód uznania.

Zrzuciłem futra w tych czasach, a nie w czasach tego człowieka, pomyślał Rigg. Ale...

może futro na chwilę zawisło na skałach na szczycie wodospadu i gdy czas spowolnił, a mnie przeniosło do przeszłości, w której był ten człowiek, prąd zmył ostatnie z moich futer tuż obok skały i...

Chciał wygadać się przed Umbem, ale przywykł milczeć o swoim talencie i słowa uwięzły mu w gardle. Ojciec zabronił o tym mówić. Komukolwiek.

Ale ojciec powiedział Nox, czyż nie? Bo jej ufał.

A ja ufam Umbowi. Raczej chcę mu ufać. A skoro z nim podróżuję, to jak mogę ukrywać, co robię ze ścieżkami? Czy mam udawać, że nie wiem, dokąd prowadzą drogi, kiedy ktoś nadchodzi albo gdzie ktoś się na nas zaczął? Może Umbo nie jest godny zaufania.

Lecz jeśli jest, nasza wyprawa tylko zyska na tym, że nie będę ukrywał mojej umiejętności.

– Umbo, to ja jestem tym demonem.

Przyjaciel spojrzał na niego rozgniewany.

– To miało być zabawne? Bo jeśli tak, to zupełnie ci nie wyszło.

– Daj spokój, czy sam nie mówiłeś, że kiedyś bawiliśmy się w W.Ś.?

– W co?

– W Wędrującego Świętego.

– Niby jak chcemy uzyskać błogosławieństwo, skoro szydzisz z niego i ze wszystkiego, co zrobił dla wędrowców?

Rigg zaczynał rozumieć, czemu ojciec powiedział mu, żeby nigdy nie kwestionował niczyjej religii. „Nic tak bardzo nie złości ludzi, jak odkrycie, że czyimś zdaniem mają błędny pogląd na to, jak działa świat”. Niepotrzebnie się odezwał.

– Przepraszam.

– Nie jest ci przykro – stwierdził Umbo. – Nawet nie żartowałeś. Naprawdę myślisz, że jesteś tym demonem?

– Mam trzynaście lat i jestem całkiem zwyczajnym chłopcem. – Rigg wyszedł z kapliczki, by pokazać, że uważa dyskusję za zakończoną. Jeśli Umbo nie zechce dać spokoju tej sprawie, wspólna podróż okaże się niedobrym pomysłem.

Umbo jeszcze przez jakiś czas został w środku, wreszcie wyszedł i nerwowo zebrał swój skąpy dobytek. Rigg już miał mu powiedzieć, że nie ma sprawy, niech wraca do domu, a on pójdzie dalej sam. Ale Umbo pierwszy przerwał milczenie.

– Wcale nie jesteś zwykłym chłopcem.

– Dobrze to czy źle?

– Przepraszam, że tak się uniosłem. Po prostu nigdy... nikt nigdy nie mówi źle o Wędrującym Świętym. I nikt nie nazywa go „W.Ś.”.

Rigg nie zamierzał ciągnąć przeprosin, które były tak naprawdę jedynie dalszą kłótnią.

– Wierz, w co ci się podoba.

– Powiniennem odejść. Wrócić do domu, nim ściągniesz na nas klątwę.

Ach, zatem W.Ś. jeszcze rzuca uroki, pomyślał Rigg. Ale nic nie powiedział.

– Nie wiem, czy bezpiecznie będzie z tobą podróżować, jeśli tak z niego drwisz. – W głosie Umba pobrzmiwała zarazem obawa i gniew. – Ale zaraz sobie przypomniałem, jak twój tata odnosił się do świętych i demonów, gdy jeszcze uczył mnie... tego czy owego. Po prostu mówiłeś jak swój ojciec.

Rigg przypomniał sobie, że ojciec zabierał Umba na przechadzki przez pola i lasy. Nie ostatnio,

lecz gdy obaj mieli osiem czy dziewięć lat. I ojciec go uczył?

– Co jak co, ale nie drwiłem – bronił się Rigg. – Po prostu coś zrozumiałem.

– Że jesteś demonem? – zagadnął Umbo lekceważąco.

– Nie, zrozumiałem, że demon w opowieściach o Wędrującym Świętym wcale nie jest demonem. Nie jestem więc demonem, tylko uczyniłem to wszystko, co przypisuje się demonowi z opowieści. A zanim zaczniesz znów się na mnie złościć, przypominam, że sam widziałeś, jak to robię.

– Wędrujący Święty żył przed wieloma wiekami. – Umbo wyraźnie był u kresu cierpliwości.

– Nie kłamię. I nie żartuję. Gdy próbowałem uratować twojego brata, nie mogłem tego zrobić, bo pojawił się pewien człowiek. Skakałem po kamieniach, starając się dotrzeć do Kyokaya, gdy nagle tamten się pokazał. – Nie było sensu komplikować sytuacji wyjaśnieniami o ścieżkach i o tym, jak po raz pierwszy stały się ludźmi. – Upadłem na niego i zrzuciłem do wody.

– Tego nie widziałem w ogóle.

– Wiem, że nie widziałeś. Nie mówię, że go widziałeś. On był w przeszłości. Twierdzą jedynie, że widziałeś, jak robiłem to wszystko, co robił demon w tej opowieści.

– Więc on był tam setki lat temu, a ty wczoraj i tak po prostu zrzuciłeś go do wody?

– Tak. – Rigg puścił mimo uszu drwinę Umba. – Woda zmyła go za krawędź, ale złapał się tej samej skały, z której zwisał Kyokay. Twój brat w teraźniejszości, tamten w przeszłości, jakby się nakładali na siebie. Jego dłoń całkiem przykryła dłoń Kyokaya.

Umbo przewrócił oczami i wcisnął na głowę czapkę z kielbasą.

– A może wysłuchałbyś mnie do końca, zanim wyrobisz sobie własne zdanie? – Rigg trochę się zniecierpliwiał. – Nawet jeśli mi nie wierzysz, ja wiem, że to się wydarzyło, a jeśli wierzysz w świętych, demony i klątwy, co moim zdaniem jest bzdurą, czemu chociaż nie rozważysz możliwości, że widziałem i dotykałem człowieka z przeszłości w tym samym czasie, gdy próbowałem sięgnąć przez niego ku ręce twojego brata?

– Rozważyć możliwość, pff! – fuknął Umbo. – Naprawdę mówisz jak swój ojciec.

– A czy mój ojciec był głupcem lub kłamcą? Czemu odmawiasz mi racji, gdy mówię jak on?

Umbowi twarz nagle się zmieniła.

– Twój ojciec nie był ani głupcem, ani kłamcą. – Zamyślił się głęboko.

– No więc musiałem sięgnąć za rękę tego człowieka, by móc uratować Kyokaya. Waliłem w jego rękę. A tu nagle złapał mnie i by mnie ściągnął – był ze dwa razy cięższy ode mnie, więc na pewno nie mógł trzymać się mnie i podźwignąć na skałę. No to podważyłem jego palce. Dwa. I mnie puścił.

– A mówiłem, że widziałem, jak podważasz dłoń Kyokaya! – zapiał Umbo, znów rozgniewany.

– Wcale nie! – wrzasnął Rigg. – Nawet Kyokaya nie dotknąłem. Nie mogłem! W.Ś. mi przeszkodził! Jego palce podważałem – palce, których nie mogłeś zobaczyć, bo on wciąż był uwięziony w przeszłości.

– Nie wiesz, kiedy przestać, co? – zżymał się Umbo.

– Mówię prawdę. Ale wierz sobie, w co chcesz.

– W.Ś... Wędrujący Święty żył trzysta lata temu! – krzyknął Umbo.

– Ojciec mnie ostrzegwał, że bym nikomu nie mówił, co robię. Teraz rozumiem dlaczego.

Wracaj do domu. Mam cię dość.

– Nie! Nie!

Rigg ledwo się opanował.

– Opowiedziałem ci prawdę, ty myślisz, że kłamię, więc nie możemy podróżować razem.

- Mówiłeś o ojcu. Że ostrzegał cię, żebyś nie mówił ludziom, co robisz.
- Coś ci się przesłyszało, bo ja nic nie robię.
- Robisz! I musisz mi powiedzieć więcej.
- Nie mówię nic ludziom, którzy mają mnie za kłamcę. To jak rzucanie grochem o ścianę.
- Zamienię się w słuch, obiecuję.

Rigg nie potrafił zrozumieć, skąd ta nagła zmiana, ale Umbo wydawał się szczery. Błagał niemal.

Rigg pamiętał słowa ojca: „Nie musisz odpowiadać tylko dlatego, że ktoś zadał ci pytanie”, więc odpowiedział tak, jak nauczył go ojciec – innym pytaniem.

- A czemu chcesz, bym ci powiedział?
- Bo może nie jesteś jedynym chłopcem, któremu twój ojciec powiedział, żeby nikomu o czymś nie mówić – cicho odparł Umbo.
- Powiesz mi więc o swoim?
- Tak.

Rigg czekał.

- Ty pierwszy – zaproponował Umbo jeszcze ciszej. Jakby nagle bardzo się zawstydził.

Jakby Rigg był niebezpieczny, a Umbo bał się go urazić.

Ojciec znał sekret Umba, ten, o którym nigdy Riggowi nie powiedział. Może więc to znaczyło, że ojciec by się zgodził, że Rigg robi dobrze, ufając Umbowi.

– Widzę ścieżki – przyznał Rigg. – Widzę je tam, gdzie każdy człowiek lub zwierzę kiedykolwiek przechodzili. No, nie do końca. Nie widzę ich, nie oczami, po prostu wiem, gdzie są. Mogą się znajdować za jakimiś drzewami, za wzgórzem albo między murami, a ja zamykam oczy i wciąż je widzę.

- Coś jak... mapa?

- Nie. Jak... smugi pyłu, nitki pajęczyny w powietrzu. Niektóre są nowe, inne stare.

Ścieżki ludzi różnią się od ścieżek zwierząt, a zależnie od wieku mają różne kolory. To jednak oznacza, że widzę całą historię danego miejsca, każdą ścieżkę, jaką kiedykolwiek obrała konkretna osoba. Wiem, że to brzmi bzdurnie albo jak magia, ale ojciec mówił, że jest na to całkiem racjonalne wytłumaczenie, chociaż nigdy mi nie powiedział jakie.

Umbo zrobił wielkie oczy, ale milczał. Żadnych kpin, żadnych oskarżeń.

– Tam na szczycie Wodospadu Kosmolo, gdy próbowałem dostać się do twego brata, wszystko się zmieniło. Ni stąd, ni zowąd ścieżki tak jakby zwolniły. Nawet nie wiedziałem, że się Poruszają, lecz gdy zwolniły, zobaczyłem, że nie są czymś, co ludzie zostawiają w ruchu – one są ludźmi, a ja wejrzałem w przeszłość. Do tej chwili poruszały się tak szybko, że tego nie zauważyłem.

- Wszystko zwolniło... – rzekł Umbo w zamyśleniu.

– Albo mój umysł przyspieszył. Tak czy siak, ścieżki stały się ludźmi, w kółko wykonującymi te same ruchy. Gdy spoglądałem na jednego z nich, skupiałem się na nim, robił to tylko raz. Uznałem, że nie jest prawdziwy. Że jest tylko wizją przeszłości, jak te widziane przeze mnie ścieżki. Cały czas przechodzę przez nie na wskroś. No więc uderzyłem tego człowieka i zrzuciłem do wody. Jednak nie był widziadłem, jak się okazało, był materialny i realny. Na tyle materialny, że mogłem go strącić, uderzyć w rękę, podważyć jego palce. Nie miałem pojęcia, jak się go pozbyć. I Kyokay zginął, gdy próbowałem.

Umbo osunął się na ziemię.

– Wiesz, czemu czas zwolnił? Czemu ścieżki przemieniły się w ludzi? W Wędrującego Świętego?

Rigg potrzęsnał głową.

– To moja sprawka – stwierdził Umbo. – Mogłeś uratować Kyokaya, ale czas zwolnił i pojawił się Wędrujący Święty. – Jego twarz wykrzywił grymas udręki. – Nie widziałem go.

Skąd miałem wiedzieć, że się pojawił przeze mnie?

Rigg zrozumiał. Sekretem Umba był jego własny niezwykły dar.

– Miałeś coś wspólnego z tym spowolnieniem czasu?

– Twój ojciec zauważył, jak to robię – tłumaczył Umbo. – Gdy byłem mały. Dlatego tak często zachodził do naszego sklepu. Rozmawiał ze mną o tej zdolności. Kiedyś potrafiłem spowolnić czas tylko wokół siebie... wiesz, gdy chciałem trochę dłużej się pobawić.

Wychodzi na to, że tak naprawdę spowalniałem czas dla wszystkich innych albo przyspieszałem dla siebie, ale byłem mały i widziałem jedynie, że cała reszta zaczyna poruszać się bardzo powoli, a ja mam czas robić, co tylko chcę. To mogło trwać tylko kilka minut, lecz twój ojciec jakimś sposobem wiedział, co robię, i dawał mi ćwiczenia, bym nauczył się nad tym panować. Bym mógł spowolnić czas dokładnie tam, gdzie chciałem, i nigdzie indziej. Gdy biegłem w górę Drogi Klifowej, nie mogłem złapać tchu, byłem wyczerpany.

Zauważyłem, jak Kyokay spada, i ja... go spowolniłem. Właściwie to zatrzymałem.

– Ojciec nigdy nie mówił, że masz... coś takiego.

– Umiał dochować tajemnicy, nie?

O tak, umiał. Na przykład nawet słowem się nie zająknął, że matka Rigga wciąż żyje.

– To może wyjaśniać, czemu w ogóle nie pamiętam nic o tym W.Ś. – stwierdził Rigg. – Nie rozumiem tego, ale przynajmniej jest w tym jakiś sens, choć zgoła pokrętny. To ja byłem w tej opowieści. Nim spowolniłeś czas i straciłem tego człowieka ze skały, on zapewne w ogóle nie spadł. Lecz gdy to się już stało, przeszłość zmieniła się dla każdego. Wtedy wszyscy znali już opowieści o W.Ś. – wszyscy oprócz mnie. Gdyż ja byłem tam z nim, ja to sprowokowałem. Więc moja przeszłość się nie zmieniła. Nie pamiętam tego, bo z mojej perspektywy to stało się dopiero wczoraj.

– Poczekaj chwilę, idę dźgnąć się kijem w oko – jęknął Umbo. – To nie ma żadnego sensu.

Przecież ja też tam byłem.

– Ale nie spowolniłeś czasu dla siebie. Nie dotknąłeś tego człowieka, a ja dotknąłem. Jak inaczej wytłumaczyć to, że istnieje ta kapliczka poświęcona człowiekowi, o którym w życiu nie słyszałem, a ty twierdzisz, że wszyscy znają Wędrującego Świętego i jego dzieje? Ja jednak pamiętam, że zrobiłem wszystko, co ponoć było dziełem demona. Ponieważ ja spowodowałem tę zmianę, nadal pamiętam, jak było dawniej, a cała reszta pamięta, jak jest teraz.

– Rigg, nie wiem, czemu cię poprosiłem, byś pozwolił mi z sobą podróżować. Gadaj zdrów, ale naprawdę nie trzeba było mi wiedzieć, że to ja, spowalniając czas, doprowadziłem do śmierci Kyokaya. Rozumiesz? To jedyna zmiana, która mnie obchodzi!

– Wiem. Mnie też. – Ale już wypowiadając te słowa, Rigg wiedział, że to nieprawda.

Jakimś sposobem połączenie ich darów zmieniło świat. A ponieważ nie mieli pojęcia, co się dzieje, uniemożliwiło im to ratunek Kyokaya. Lecz recepta na niewiedzę była oczywista.

Musieli zrobić to raz jeszcze, by zrozumieć, jak to działa.

Chwycił Umba za rękę i podciągnął ku drodze.

– Na Wędrują... Co ty robisz? – zdziwił się Umbo.

– Idziemy na drogę. Wielką Drogę Północną. Tam jest całe zatrzęsienie ścieżek. Każda z nich jest osobą. Tam nie ma tylko kilku, jak na szczycie klifu, ale całe setki, tysiące. Chcę, żebyś spowolnił czas, bym mógł zobaczyć tych ludzi. Zamierzam udowodnić ci, że wcale sobie tego nie wymyśliłem.

– Niby jak?

– Zobaczyć, czy uda nam się to zrobić z rozmysłem. – Dotarli do traktu i Rigg wyszedł na środek drogi. – Widzisz kogoś?

– Tylko szaleńca o imieniu Rigg.

– Spowolnij czas. Zrób to dla mnie, właśnie tutaj. Spowolnij.

– Zwariowałeś? Ech, jesteś szalony tak czy inaczej. Jeśli ludzie się zmaterializują, gdy spowolnię czas, zostaniesz stratowany na śmierć przez dziesięć tysięcy wędrowców.

– Sądzę, że materializuje się tylko ten, na którym się skupiam. Spowolnij mnie.

– Więc materializujesz ludzi, jedynie się na nich skupiając?

– Podczas gdy ty ich spowalniasz, tak. A przynajmniej tak to się wtedy działo. Patrz, zostawiam jedzenie na poboczu, więc w razie gdyby mnie stratowali, możesz się częstować do woli.

– O, dzięki. Martwy przyjaciel, darmowe śniadanie. Propozycja nie do odrzucenia.

– Wciąż jesteśmy przyjaciółmi? Choć tak odmiennie pamiętamy przeszłość? Nigdy nie bawiłem się z tobą w Wędrującego Świętego – bawiliśmy się w bohaterów, tyle pamiętam.

Ale przynajmniej pamiętamy, że bawiliśmy się w coś razem, nie? A to znaczy, że wciąż jesteśmy przyjaciółmi.

– Tak. Dlatego jestem tu teraz z tobą, tłumoku, bo jestem twoim przyjacielem, a ty moim, a tak w ogóle to doskonale pamiętam, jak bawiłeś się w Wędrującego Świętego ze mną i z Kyokayem, bo odgrywałeś wszystkie scenki ze śmiercią niedźwiedzia, wilka i każdego pokonanego przez Wędrującego Świętego. To się wydarzyło. Istnieje więc jakaś wersja twojego życia w świecie, gdzie Wędrujący Święty cieszył się powszechnym szacunkiem.

– Masz rację, to skomplikowane. Jakby były dwie wersje mnie, tyle że ja jestem tą złą – jestem w świecie z W.Ś., choć nigdy w nim nie żyłem, a ten drugi „Ja”, który żył w nim, przepadł.

– Tak jak „Ja” żyjący w świecie z twoimi zabawami w bohaterów.

– Spowolnij czas dla mnie. Po prostu to zrobmy i się zobaczy.

– Kyokay zabił się, robiąc głupstwa pod wpływem impulsu. Przemyśl to. Nie stój pośrodku drogi. Zejdź na pobocze. Tam pewnie jest mniej ludzi.

– Co racja, to racja. – Rigg zszedł ze środka drogi, a potem popatrzył na Umba. – Teraz.

– Nie mogę, jak tak się na mnie gapisz.

– Czemu nie? Co się stanie, spadną ci spodnie czy jak?

– Nie patrzyłeś na mnie wtedy, gdy to zrobiłem na szczycie klifu – przypomniał mu Umbo. – A nie powinienesz raczej obserwować drogi, by nikt na ciebie nie wpadł?

– Umbo, nie mogę zerkać w dwie strony jednocześnie. Gdziekolwiek bym patrzył, ktoś zawsze będzie zachodził mnie od tyłu i przechodził przeze mnie.

– Umrzesz.

– Może. A moje ciało zniknie z naszych czasów i jako tajemnicze zwłoki pojawi się w przeszłości. Ludzie okrzykną mnie M.M.M., Magicznym Martwym Młodzieńcem, i wybudują mi jakąś świątynkę.

– Naprawdę cię nie znoszę. Odkąd tylko pamiętam.

– Spowolnij czas dla mnie – upierał się Rigg.

I raptem, gdy Umbo tak się na niego gapił, zaczęło się. Umbo nie machał rękami ani nie mruczał pod nosem, jak robili magicy, gdy wędrowne trupy przybywały do miasta na gościnne występy.

Rigg na niczym nie skupiał wzroku – co było łatwe, bo środek drogi wypełniała niesamowita pstrokaczna smug. Dobrze, że zszedł na pobocze. Tu smugi stawały się bardziej jednostkowe, widział ludzkie twarze. Jedynie przelotnie, gdy przemykały obok niego, lecz w końcu złowił

wzrokiem jednego człowieka i obserwował, jak idzie, nie rozglądając się na boki. Z postawy wydawał się człowiekiem władzy, bogato Przyodziały, acz w cudzoziemską szatę, jakiej Rigg nigdy dotąd nie widział.

Przy pasie na biodrze nosił pochwę z mieczem. Po drugiej stronie, tej bliżej Rigga, miał sztylet w pochwie wsuniętej za pas.

Rigg podszedł do niego z boku, zrównał z nim krok, szybkim ruchem zabrał mu nóż.

Mężczyzna go zobaczył, błyskawicznie wyciągnął rękę – lecz Rigg odwrócił wzrok i skupił go na jakiejś kobiecie, a równocześnie zakrzyknął do Umba:

– Sprowadź mnie z powrotem!

Z nagła wszystkie niewyraźne ludzkie kształty stały się zwykłymi smugami ścieżek. Rigg i Umbo byli sami na drodze.

Rigg wciąż trzymał sztylet.

Teraz dopiero dostrzegł, że była to całkiem przednia rzecz. Pięknie wykuta metalowa rękojeść, inkrustowana klejnotami, które, choć mniejsze, zdawały się dorównywać jakością tym zostawionym mu przez ojca. Nóż wyglądał na ostry i świetnie wyważony.

Znajdował się w przeszłości, a Rigg zabrał go do teraźniejszości.

– Ten nóż... – zaczął Umbo z nabożnym lękiem – po prostu... wyciągnąłeś rękę i nagle się pojawił.

– Tak, a gdy właściciel próbował go odebrać, musiało mu się wydawać, że rozpląnąłem się w powietrzu. Zupełnie jak demon.

Umbo usiadł na trawie z boku drogi.

– Opowieść o Wędrującym Świętym... naprawdę się zdarzyła. Tyle że to wcale nie był demon.

Do głowy Rigga przysłała nagła myśl i rozplakał się, tak jak wcześniej Umbo.

– Na prawe ucho Silboma! – zdołał w końcu z siebie wydusić. – Gdybym tylko przestał o nim myśleć, W.Ś. by zniknął, a ja mógłbym uratować Kyokaya.

Potem obaj płakali, siedząc na poboczu drogi, zdając sobie sprawę, że gdyby któryś z nich choć trochę rozumiał, jak działają ich dary, Kyokay wciąż mógłby żyć.

Albo, co równie prawdopodobne, Kyokay i tak by spadł, ciągnąc za sobą Rigga. Kto wie, czy Rigg zdołałby go podźwignąć na skałę? Kto wie, czy nawet gdyby mu się to udało, zdołaliby obaj przeskoczyć po kamieniach do bezpiecznego miejsca?

Przestali szlochać i przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, potem Umbo wypowiedział wielce szkaradne słowo, podniósł kamyk i rzucił go na drogę.

– Tam nie było żadnego demona. Tylko my. Ty i ja, i nasze połączone moce. To my byliśmy demonem.

– Może tym właśnie są demony. Ludźmi takimi jak my, robiącymi coś nieświadomie.

– Tamta kapliczka jest ku naszej czci. Wędrujący Święty był tylko zwykłym gościem, jak ten, któremu zabrałeś sztylet.

– Tak właściwie to ten był całkiem niezwykły.

– Zamknij się, Rigg. Nie możemy się choć raz obejść bez żartów?

– Ja nie.

– Więc to naprawmy. Wróćmy do czasu przed tym, gdy twój ojciec umarł, powstrzymajmy go i powiedzmy, co się stało. Wtedy drzewo go nie przywali, a ty nie będziesz na skałach przy wodospadzie, akurat kiedy Kyokay...

– Kiepski pomysł, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, jeśli mnie tam nie będzie, Kyokay spadnie. Po wtóre, nie możesz baczniej go obserwować, bo to ja doświadczam zmiany czasu, nie ty,

więc nie będziesz wiedział nic o tym, co się stanie, ty jedynie będziesz cały czas robił to samo. A po trzecie, nie możemy wrócić i pogadać z ojcem. Ani zepchnąć go ze ścieżki.

Nigdy.

– Czemu nie?

– Bo ojciec nie ma ścieżki. Jest jedyną znaną mi istotą, która nie ma żadnej, ale to żadnej ścieżki.

– Jesteś pewien?

– Myślisz, że po dziesięciu latach widzenia, obserwowania i badania ścieżek mogę się mylić, że jedyna osoba, która zawsze była blisko mnie, nie miała ścieżki?

– Czemu nie miał?

– Nie wiem. Ale chyba obaj się zgodzimy, że ojciec był wielce niezwykłym człowiekiem.

– To po co nam te talenty, skoro nie możemy wrócić i uratować Kyokaya? – zrywał się Umbo.

– Pytasz niewidzialnego świętego, boga albo kogoś jeszcze innego? Bo ja nie wiem. Może i możemy go uratować – tamtym razem. Ale skąd możemy wiedzieć, czy nie zabije się następnego dnia, robiąc kolejne głupstwo?

– Bym go pilnował.

– Już miałaś okazję. Nad nim nie dało się zapanować. A w trakcie moglibyśmy zmienić tysiąc innych rzeczy, których zmieniać nie chcemy.

– Więc z naszych talentów nie ma zupełnie żadnego pożytku.

– Mamy sztylet.

– Ty go masz.

– Przynajmniej nie zaczynasz nagle przypominać sobie całej masy opowieści o ludziach, którzy pojawiają się znikąd, kradną kosztowne noże, a potem znikają.

– Skoro Kyokay pozostaje martwy, wszystko jest nieważne.

– To, że jesteśmy razem, że rozmawiamy, że wyjaśniamy, co potrafimy osiągnąć wspólnymi siłami – to stało się dlatego, że Kyokay wdrapał się na szczyt wodospadu i próbowałem go uratować, i mi się nie udało. Jeśli więc uratujemy Kyokaya, czy to oznacza, że ta nasza rozmowa się nie zdarzyła? Jak mamy zatem wrócić, by go uratować?

– Już udowodniłeś, że potrafisz zmieniać przeszłość!

– Ale nigdy nie zrobiłem nic istotnego. A przynajmniej nie byłem w stanie osiągnąć niczego, czego bym chciał.

Umbo wyciągnął rękę po nóż. Rigg mu go dał bez wahania. Umbo wyjął sztylet z pochwy i przyłożył ostrze do dłoni. Wykwitła krew.

Rigg wyrwał mu nóż. Umbo gapił się na swoją krew, nie robiąc nic, by ją zatamować.

Rigg wytarł ranę garścią wilgotnej trawy, jednak nawet słowem się nie odezwał. Umbo wytłumaczy się, gdy go najdzie ochota.

– Teraz przeszłość jest prawdziwa – rzekł Umbo cicho. – Zraniła mnie. – Też zerwał trochę mokrej trawy i przycisnął do skaleczenia. – Kłuje jak szerszeń.

– Już wiesz, czemu matka mówiła ci, byś nie bawił się nożem.

– Nie w ciemie bita ta moja matka. Nawet pomimo to, że ożeniła się z tym durnym szewcem cholerykiem.

– Nie znoszę, jak wszystko obracasz w żart.

– Mój przynajmniej nie był śmieszny.

Podnieśli swoje tobołki. Rigg otarł ostrze o koszulę i wetknął ukradziony przed dwoma tysiącami lat nóż za pas, po czym wyruszyli Wielką Drogą Północną ku Aressa Sessamo.

Rozdział 5

NADRZECZNA OBERŻA

- *Czy podjęta przeze mnie decyzja, by wlecieć w zagięcie, miała już jakieś konsekwencje?* – zapytał Ram.
- *Owszem – odparł zbędny. – Pozostałeś u steru tego statku.*
- Ram trochę się zirytował, dowiedziawszy się, że decyzja była próbą jego osoby, a nie prawdziwym wyborem.*
- *Więc i tak zamierzaliście to zrobić, niezależnie od mojej decyzji?*
- *Tak. To jest część naszego programu misji. W tym względzie nigdy nie miałeś wyboru.*
- *To po co tu jestem?*
- *By podjąć wszystkie decyzje po zagięciu. W ogóle nie wiadomo, co się stanie po skoku. Gdybyś okazał się opieszwały przed skokiem, uznano by cię za niezdolnego do podejmowania późniejszych decyzji.*
- *A zatem gdybym był zbyt opieszwały, zastąpiono by mnie. Tobą?*
- *Kolejnym członkiem załogi, którego byśmy obudzili i poddali próbie. Albo jeszcze kolejnym.*
- *Kiedy więc nastąpi prawdziwy skok?*
- *Mniej więcej za tydzień. Jeśli do tego czasu nas nie rozsadzi.*
- Czasoprzestrzeń zachowuje się teraz bardzo niesfornie.*
- *I nijak nie mogę tego powstrzymać?*
- *Zgadza się, Ram.*
- *A jeśli cała załoga okazałaby się niezdolna do podjęcia decyzji spełniającej wasze kryteria?*
- *Wtedy dowodzilibyśmy sami aż do osiągnięcia planety docelowej.*
- *My... czyli zbędni?*
- *My, czyli statek. Wszystkie komputery razem.*
- *Ale komputery pokładowe co do niczego nie są zgodne.*
- *To jeden z wielu powodów, dla których mieliśmy nadzieję, że postąpisz właściwie.*
- Ram nie przegapił jedynej strzępy informacji, którą przekazał mu zbędny. Absolutnie wykluczone, że był to lapsus językowy.*
- *Co miałeś na myśli, mówiąc, że czasoprzestrzeń zachowuje się bardzo niesfornie?*
- *Cały czas generujemy pola i siły, a wszystko się zmienia. Tyle że w sposób odbiegający od wszelkich przewidywań.*
- *I niby kiedy miałem się o tym dowiedzieć?*
- *Gdy zapytasz.*
- *O co jeszcze powinienem zapytać, by dowiedzieć się, co się dzieje?*
- *O cokolwiek, co cię interesuje.*
- *Chcę wiedzieć, co robi czasoprzestrzeń.*
- *Ona się zacina, Ram.*
- *Czyli co?*
- *Wygląda to na kwantowy system upływu czasu, którego nigdy nie widziano i nigdy się nie spodziewano.*
- *Co znaczy, że zamiast stałego zjazdu w zagięcie okazuje się, że czasoprzestrzeń przeistacza się małymi krokami?*
- *To będzie ostra jazda, Ram.*

Po trzech tygodniach podróży Rigg i Umbo już dawno zużyli całe zapasy jedzenia, które z sobą zabrali, a polowania na drobną zwierzynę zabierały im coraz więcej czasu za dnia. To, że Rigg widział ścieżki zwierząt, nie znaczyło bowiem jeszcze, że w zastawione sidła coś wpadnie. W tej części świata zwierzęta darzyły ludzi o wiele większą nieufnością niż w dzikich górskich lasach.

Byli więc głodni, gdy Rigg poprowadził ich do zajazdu zajmującego kawałek ziemi między drogą a rzeką.

– Nie wygląda zachęcająco – skomentował Umbo z powątpiewaniem.

– Tylko na taki nas stać. O ile w ogóle.

– To miasto też jakieś takie nieszczególne – dodał Umbo.

Rigg rozejrzał się wokół. Wszystkie budynki były stosunkowo nowe i wyglądały mizernie. Jednak z liczby ścieżek przeplatających ten obszar Rigg wywnioskował, że mieszka tu już sporo ludzi.

– Można by zrzucić tę miejscinę w sam środek Wodobrodu i nikt nawet by się nie zorientował – zauważył Rigg.

– Cóż, mój standard dużego miasta trochę się zmienił przez te ostatnie trzy tygodnie.

– Tak jak i mój standard dużego posiłku. Jeśli zastawię sidła, możemy do rana mieć wiewiórkę albo królika, albo i nie. A tu dadzą nam jedzenie od ręki.

Stali już przy drzwiach oberży. Dwóch tęgich rzekowców odepchnęło ich po drodze do środka.

– Z drogi, górniacy!

Rigg słyszał to określenie więcej niż raz, gdy przechodzili przez miejscowości, których nie mogli ominąć. Zrazu to słowo wypowiedano szeptem, ale ostatnio używano go otwarcie, by ich obrazić lub poniżyć. Mogłoby być bardziej skuteczne, gdyby Rigg miał choć blade pojęcie, co znaczyło.

– Chodźmy więc do środka i zobaczymy, czy nasz portfel i żołądki wytrzymają jedzenie w tym zajeździe.

Z oberży wytoczył się jakiś rzekowiec, odgrażając się komuś wewnątrz. Zamierzył się na Rigga, który niechcący stał mu na drodze. Chłopak uskoczył na bok, lecz upadł, a kilku stojących nieopodal mężczyźni ryknęło śmiechem.

– Patrzcie go, górniak się ubłocił!

– Stara się zasadzić w ziemi, by zobaczyć, czy urośnie!

– Hej, górniaku, idź się umyj!

– Górniacy nie wiedzą, co to mycie!

– To wrzucmy go do rzeki i pokażmy, jak to się robi!

Umbo pomógł Riggowi podnieść się na nogi, a potem obaj dali nura do środka. Rigg nie miał pojęcia, czy rzekowcy naprawdę zamierzali coś mu zrobić, ale nie chciał przekonać się na własnej skórze. Tamci byli postawnymi chłopami. Nawet najmniejszy miał masywne ramiona i beczkowatą pierś od popychania łodzi tyczką lub wiosłem w górę rzeki. Rigg umiał się obronić – ojciec się o to postarał – ale tylko przed jednym przeciwnikiem naraz, a wiedział, że gdyby umyślili sobie go skrzywdzić, nie zdołałby ich powstrzymać. Ta wiedza zawiązała mu żołądek na supeł i strach nie zniknął tylko dlatego, że teraz oddzielały ich zamknięte drzwi.

Wnętrze oberży tonęło w mroku. Okiennice były przymknięte, by nie wpuszczać chłodu z zewnątrz, a nie zapalono jeszcze żadnych lamp. Z dziesięć osób podniosło na nich wzrok, ale kilkadziesiąt nie odwróciło wzroku od swoich kubków, misek, kart i kości.

Rigg podszedł do kontuaru, gdzie oberżysta – na oko co najmniej tak duży jak największy z jego

klientów – stawiał właśnie miski z gęstym gulaszem, na którego widok Rigg o mało nie zemdlął z głodu, choć od ostatniego posiłku minęły raptem dwa dni. Głód jednak nie tłumił lęku, który jeszcze się nasilił.

– Tu się obsługuje dorosłych, nie dzieci – rzucił oberżysta tonem raczej znudzonym niż wrogim.

– Od trzech tygodni jesteśmy w drodze z południa... – zaczął Rigg.

Oberżysta zachichotał.

– Od razu widać, żeście z góry rzeki, nie trzeba słów.

– Jesteśmy głodni. Jeśli nie chce nas pan obsłużyć, to może chociaż nam powie, gdzie możemy kupić trochę chleba i sera.

– Nie życzę sobie tutaj dzieci ani żebraków.

– Nie jesteśmy żebrakami. Mamy dość monet, jeśli wasze ceny są przyzwoite.

– Dziwne, że górniacy wiedzą choćby, co to pieniądz, a co dopiero, ile to „dość”.

Gdy przychodziło im rozmawiać z ludźmi, Umbo zazwyczaj trzymał język za zębami, gdyż Rigg potrafił mówić ładniejszym dialektem i nikt nie musiał go prosić, by coś powtarzał.

Teraz jednak Umbo się odezwał, trochę podirytowanym tonem.

– Co to jest ten „górnjak”, jak nas zwa?

– To stare słowo. Oznacza „lud z góry rzeki”.

Umbo prychnął.

– I tyle? Bo brzmi jak obelga.

– Cóż, górniacy nie słyną z rozumu czy z elokwencji, czy z przyzwoitości w ubiorze, więc czasem może się tam zakraść nutka pogardy.

– Mamy dość przyzwoitości, by nie sikać do wody, którą piją ci z dołu rzeki – odparł Umbo. – I nie używamy żadnych obelg wobec wędrowców z północy.

– Bo i nie macie powodu. To co, pokażecie mi pieniądze czy mam was wyrzucić?

Świadomość, że ten człowiek jest dużo silniejszy, znów przejęła Rigga zgrozą. Zamiast szukać po omacku jednego jopka w sakiewce, wytrząsnął na dłoń wszystkie monety z trzosu wetkniętego za pas spodni, chcąc rzucić na nie okiem i wybrać odpowiednią. Jednak w tym momencie oberżysta wyciągnął rękę, ich dłonie się zderzyły i wszystkie pieniądze spadły na kontuar. Pośród ciszy w izbie zabrzęczały przeraźliwie głośno. Było ich za dużo.

Oberżysta przymrużonymi oczyma patrzył za plecy chłopca. Rigg się nie odwrócił. I bez tego wiedział, że wszystkie oczy skierowały się na niego, że cała ciżba w myślach przelicza jego pieniądze. Od razu pożałował, że powodowany lękiem tak nierozważnie się pospieszył.

Czemu nie dał sobie czasu, by wymacać jedną monetę, resztę zostawiając w sakiewce? Teraz poczuł ogarniającą go panikę.

Przypomniawszy sobie przykazania ojca: „Nie pozwól innym kierować twoimi poczynaniami”. I: „Pokazuj mało, jeszcze mniej mów”. Cóż, teraz mógł mieć jedynie nadzieję, że nie widać po nim strachu. Zanim jednak zdążył wymyślić, co począć, oberżysta szybkim ruchem zgarnął monety na brzeg kontuaru i zsunął je na dłoń. Potem podszedł do jakichś drzwi i je otworzył.

– Za mną – polecił.

Rigg nie był pewien, czy mają przeskoczyć przez kontuar, czy znaleźć sobie inną drogę.

Zanim zdążył zdecydować, otworzyły się inne drzwi po ich stronie baru, a oberżysta gestem ponaglił ich do środka. Zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia, w którym znajdowały się tylko dwa krzesła oraz stół zarzucony paroma książkami i jakimiś papierzyskami.

– Nadajecie zupełnie nowe znaczenie słowu „głupi”. – Oberżysta zrzucił monety z dłoni na stół.

– Pan mi wytrącił te monety z ręki – bronił się Rigg.

– Kogoście okradli i czemu sądzicie, że was nie wydam?

„Nie pozwól innym kierować twoimi poczynaniami”... Rigg nie bronił się przed oskarżeniem o kradzież, zmienił temat, powracając do powodu ich przybycia.

– A zatem to dość pieniędzy, by opłacić posiłek i nocleg.

– Oczywiście! Kpisz sobie ze mnie?

– Siedem rzek wpłynęło do Kosmolo, odkąd wyszliśmy z Wodobrodu – odparł Rigg. – Teraz jest tak szeroka, że czasem nie widać drugiego brzegu, a może się wydawać, że im dalej w dół rzeki, tym ceny mocniej biją po kieszeni. W ostatnim mieście, w którym się stołowaliśmy, piekarz policzył nam całego waleta za mały bochenek czerstwego chleba, i żądał dwóch królewców za nocleg.

Oberżysta pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Ale was naciął! Zresztą kto by chciał spać w parszywej izdebce w domu piekarza?

Zapłacicie mi jednego fena i możecie zostać przez dwie noce, a jeśli przez jedną, wydam wam pięć szebów reszty.

Rigg po kolei dotknął monet.

– To nazywasz fenem? A to szebem?

Znał nazwy wszystkich monet – łącznie z nominałami tak dużymi, że według ojca w ogóle takich nie wybijano – ale nigdy nie przeszło mu przez myśl, że te same pieniądze mogły mieć inne nazwy tylko dlatego, że uszedł parę tygodni w dół Wielkiego Traktu Północnego.

– A co, wy je nazywacie inaczej? – zaciekawiał się oberżysta.

– Królewiec i damka, ale przestaliśmy je w ogóle nazywać, gdy ludzie zaczęli się z nas śmiać.

– Dziwię się, że zdołaliście zawędrować tak daleko, skoro tak się obnosicie z pieniędzmi, że wszyscy je mogą zobaczyć.

– To pan wytrącił mi je z ręki – zezłościł się Rigg. – Myślałem, że celowo.

– W życiu się nie spodziewałem, że wyjmiesz więcej niż jedną monetę z sakiewki. – Oberżysta położył dłoń na głowie Rigga i odwrócił jego twarz tak, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Słuchaj, chłopcze, nikt cię jeszcze nie zabił, ale to jest nadržeczna oberża, a miejscowi to twardzi ludzie, którzy bez wahania wrzuciliby cię do rzeki, by zabrać garść szebów z twojej kieszeni, a co dopiero fena. Zrobiliby to i dla marnego pinga, gdybyś ich czymś wkurzył.

Teraz każdy w tamtej izbie wie, że masz dużo pieniędzy w trzosie i mało oleju w głowie.

– Żaden nie mógł nic zobaczyć – upierał się Umbo.

– Sądzisz, że są głusi? Każdy może rozpoznać monety, które upuściłeś, po samym dźwięku.

Rigg już rozumiał. Tu rządziły inne zasady. W Wodobrodzie pieniądze każdego człowieka były bezpieczne i w kieszeni, i w dłoni, bo nikomu nawet przez myśl nie przeszło, by je zabrać. Wszyscy wiedzieli, ile kto może mieć, więc gdyby któryś z sąsiadów nagle się wzbogacił, a inny padł ofiarą rabunku, nietrudno byłoby skojarzyć fakty i wskazać przestępcę.

Tu jednak ludzie mogli znać tylko niewielką część współmieszkańców, a rzekowcy przewijali się przez miasto i znikali, więc ich nie znał nikt. Sprawcy nieznani to sprawcy niezłapani, jeśli nie przydybało się ich na gorącym uczynku. Rzekowcy do rana mogli oddalić się na wiele mil od miasta albo zwyczajnie ukryć się na łodziach, a ich kumple nie wpuściliby nieznajomego na pokład, by poszukał.

Ojciec przestrzegał Rigga, że zasady się zmieniają w wypadku dalszych podróży, i zawsze dodawał, że im większe miasto, tym mniejszy poziom ogłady, co Riggowi wydawało się niedorzeczne. Teraz zrozumiał. Nieważne, ilu ludzi przestrzega reguł, wystarczy kilku niepokornych i kłopoty gotowe. „Człowiek to najgorszy z drapieźników – stwierdził kiedyś ojciec – bo zabija to, czego nie potrzebuje”.

„Tak jak my – odparł Rigg. – Zazwyczaj zostawiamy mięso”

„To mięso karmi leśnych padlinożerców, a nam potrzebne są futra”.

„Ja tylko przyznaję ci rację. Zabijamy jak ludzie”.

A ojciec odpowiedział stanowczo:

„Mów za siebie, chłopcze”.

– Zdaje się, że ten piekarz, który nas oszukał, skrzywdził nas bardziej niż ktokolwiek z tutejszych.

– Bo jeszcze nie opuściliście mojej oberży. Tu nie ośmiela się was napaść, ale możesz mi wierzyć, jak tylko stąd wyjdziecie, znajdziesz się w licznym towarzystwie, a będziecie mieć sporo szczęścia, jeśli tylko wywrócą was do góry nogami i wytrząsną monety, zostawiając wam całą skórę i niepołamane kości.

– To jak niby ludzie uchodzą stąd z życiem? – bąknął Umbo.

Oberżysta wcale już nie tak delikatnie położył mu rękę na głowie.

– Chcąc przejść tędy bezpiecznie, dwóch chłopców nie podróżowałoby bez dorosłych. Nie chodziliby boso, ubrani w prostackie górniackie łachy. Nie podchodziliby do rzeki bliżej, niż biegnie droga, a i wtedy tylko za dnia. W ogóle nie wchodziliby do nadrzecznej oberży.

Nigdy nie rozłożyliby monet na barze ani nie wyjęli ich więcej niż trzeba. A jeśli pogwałciliby wszystkie te zasady, i tak by przeżyli, gdyby przypadkiem natknęli się na mnie, a ja akurat byłbym w szczególnie życzliwym nastroju. Tak czy owak, niebawem zwałą się tu tłumy na kolację, a potem czeka nas noc picia i swawolenia dla twardych mężów, których pieniądze chcę zdobyć przy minimum uszczerbku dla lokalu. Tak więc zostaniecie tutaj.

– A co mamy tutaj robić? – zapytał Rigg.

– Jeden kładzie się na stole, drugi pod nim, i śpicie w miarę możliwości, ale pod żadnym pozorem nie śpiewacie, nie mówicie głośno, nie pokazujecie się w oknie, nie...

– Jakim oknie? – zdziwił się Umbo.

– Skoro go nie widzicie, nie możecie się w nim pokazać, czyli mnie usłuchacie – stwierdził oberżysta z przekąsem. – I ostatnia sprawa: gdy zamknę drzwi, nie panikujecie, że was więzę, nie krzyczycie po pomoc i nie próbujecie uciec.

– Czy aby dokładnie tak byś nie powiedział, gdybyś uwięził nas dla okupu?

– Owszem – przyznał oberżysta. – Tylko kto by go zapłacił, a?

Wyszedł, po czym usłyszeli zgrzyt przekręcanego klucza w zamku.

Rigg natychmiast skoczył na nogi, uważnie przyglądając się górze.

– Szukasz okna? – zapytał Umbo.

– Już nawet znalazłem. – Rigg wskazał ścianę wysoko nad drzwiami. Okno mogło wychodzić na wewnątrz oberży, ale przez listewki starej żaluzji prześwitywało światło słoneczne.

– Skąd wiedziałeś, że jest na tej ścianie?

– Widzę ścieżki. Niewielu ludzi wspinało się tak wysoko na ściany, ale od święta ktoś jednak to robił i przechodził właśnie tędy.

– Tak sobie myślę, że ten twój dar widzenia ścieżek pokazuje tylko, co ludzie zrobili, a nie pomaga zobaczyć, co dopiero zrobią.

– Masz rację. Ale jaki pożytek mamy z twojego talentu, jeśli chodzi o naszą obronę?

– Spowalnim czas.

– Dobrze by było. To by się akurat przydało.

– Przecież wiem, co robię!

– Myślałem o tym. Dla mnie czasu nie spowolniłeś. Szedłem tak samo szybko jak ten człowiek,

którego widziałem.

– I go okradłeś...

– Chcesz, żebym go znalazł i mu to zwrócił?

– Skoro nie spowalniając czasu, to co robię, gdy sprawiam, że widzisz ścieżki przemieniające się w ludzi?

– Przyspieszasz mój umysł.

Umbo rozłożył ręce.

– Przyspieszam cię, spowalniając czas, na jedno wychodzi. Mówię to od samego początku.

– Żyłeś z tym od dziecka, Umbo, i gdy byłeś mały, zdecydowałeś, co to według ciebie jest, a potem nie miałeś potrzeby zmieniać zdania. Ale przemyśl to. Gdy mnie spowolniłeś, a ja chodziłem między innymi ludźmi, jak to wyglądało z twojej perspektywy? Nadal mnie widziałeś, tak?

– Tak.

– Szedłem wolniej czy szybciej?

Umbo wzruszył ramionami, zbywając ten dowód.

– To co robię w takim razie? Czemu widzisz ludzi, których nie widziałeś, zanim to zrobiłem?

– Przyspieszasz mój mózg. Ludzie, którzy zostawili za sobą ścieżki, zawsze tam byli, ale dopiero gdy mój mózg zaczyna szybciej widzieć i myśleć, mogę ich zobaczyć. I tylko kiedy mocno skupię się na jednej osobie, mogę jej dotknąć, coś jej zabrać albo odgiąć jej palce, by spróbować sięgnąć do Kyokaya. – Rigg poczuł, że znów wzbiera w nim rozpacz, więc zamilkł.

Umbo przymknął powieki i myślał przez chwilę. W końcu wypalił:

– Czyli dzięki mnie... mądrzejsz?

– Chciałbym. Ale widzę ludzi i rzeczy, których wcześniej nie widziałem, i dotykam tego, czego nie mogłem dotknąć.

Umbo potaknął.

– Zawsze uważałem to za spowalnianie czasu, bo gdy zacząłem robić to wokół innych ludzi, mówili na przykład: „Wszystko zwolniło” albo „Jakby czas nagle zaczął płynąć wolniej”. Nie wiedzieli, że to moja sprawa, myśleli, że tak się po prostu dzieje i już. I ja też miałem takie wrażenie. A potem twój ojciec usłyszał, jak moja matka mówiła o takim momencie, spojrzał na mnie i wiedział już, że ja to zrobiłem. Wtedy wziął mnie na bok i zaczął mnie uczyć, jak nad tym panować. Być może wpływać tylko na jedną osobę. Mnie albo kogoś innego. Kogo chcę.

– Nad wodospadem mierzyłeś w Kyokaya i przypadkiem mnie też trafiłeś.

– Wcale nie mówię, że jestem w tym idealny. Ty i Kyokay byliście daleko, a ciebie widziałem tylko przelotnie. – Umbo oparł łokcie o stół i ukrył twarz w dłoniach. – A zresztą jaki z tego pożytek? Skoro ty możesz tylko zobaczyć przeszłość, a ja tylko sprawić, że inni myślą szybciej, na co nam to?

– Mam sztylet – przypomniał Rigg.

– Ostry jak diabli – przyznał Umbo, unosząc dłoń ze świeżą blizną. – Ale czy możesz nim walczyć z rzekowcami? Z jednym? Z trzema?

– Gdybyś naprawdę potrafił mnie przyspieszyć, mógłbym biegać wokół nich tak szybko, że by mnie nie spostrzegli, i zabić sześciu, zanim by się zorientowali, co się dzieje.

– Miło by było. A w tym czasie zlaliby mnie na kwaśne jabłko, bo siedziałbym w bezruchu, a jak tylko bym dostał pierwszy cios, przestałbym cię przyspieszać.

– Wypada więc się cieszyć, że jesteśmy tu zamknięci, nie?

Przez ściany do ucha Rigga doszedł zgiełk z jadalni. Żadnych gniewnych głosów, sporo rozmów. Słowa, które dosłyszał, były całkiem jowialne. Nawet plugawe przekleństwa brzmiały jak żarty w gronie kolegów.

- Nie obraziłbym się, gdyby przyniósł nam coś na ząb – odezwał się Umbo.
- A jak inni to zauważą, miejmy nadzieję, że nas pobiją, ale nie zabiją – zażartował Rigg.
- Miejmy nadzieję.
- Ale później wrócimy tutaj, a ja znajdę ścieżkę, którą do nas dotarli. Ty spowolnisz czas...
- Myślałem, że według ciebie nie to robię...

– Tak to nazywam z przyzwyczajenia – bąknął Rigg, zniecierpliwiony. – Ty robisz to coś, a ja chwytam wielki młot i gdy podchodzą do nas, gotowi nas zlać, łupię każdego w kolano.

Każdego, kto robi krok w moją stronę.

Umbo się uśmiechnął.

– Założę się, że kiedy paru upadnie z krzykiem i zmiażdżonymi kolanami, reszta ucieknie, kicając niczym stadko ebbaków.

– I koniec końców nie dostaniemy lania. Tak więc w istocie nic nam nie będzie.

Umbo się zaśmiał.

– To lepsze niż zemsta, bo powstrzymujemy ich, jeszcze zanim nam coś zrobią!

– Nie rozumiem tylko, jak to w ogóle możliwe. Jedyne powód, który skłoniłby nas do takich działań, byłby taki, że nas pobili. Ale po wszystkim nie pamiętalibyśmy, czemu zaatakowaliśmy tych kolesiów, bo nie mielibyśmy ani jednego siniaka, a oni nawet nas nie tknęli.

Umbo myślał chwilę.

– W sumie mi to wisi. Co za różnica, czy byśmy pamiętali? Zwyczajnie zawierzylibyśmy sobie, że nie zrobilibyśmy czegoś takiego bez ważnego powodu.

– Ale jeśli pamiętalibyśmy tylko łupanie ludzi młotem, a nie powód...

– Wiesz co, nie przejmuj się. Przy odrobinie szczęścia nas zabiją, więc nie będziemy w stanie wrócić w czasie i ich powstrzymać, i nie będziemy pamiętać niczego, bo będziemy martwi.

– Kamień z serca.

Raptem Umbowi coś zaświtało.

– Nie pamiętasz z dzieciństwa żadnych opowieści o Wędrującym Świętym, tak? A więc wciąż pamiętasz, jak było kiedyś, jeszcze zanim zmieniłeś przeszłość.

– A ty nie.

– To całkiem zmyślne. Jeden z nas będzie pamiętał, jak było, zanim coś zmieniliśmy, a drugi, jak było już po tej zmianie.

Riggowi coś nie grało w analizie Umba, ale nie miał pojęcia co.

– Przyjmijmy więc, że dostajemy łomot, tak jak mówiłem. Nie zapominam o tej części z laniem w roli głównej. Pamiętam więc wszystko, co zrobiliśmy po laniu – jak się ukryliśmy, jak ktoś opiekował się nami aż do wyzdrowienia, a potem jak wróciliśmy tutaj, by wyrównać rachunki. Ale ty nie pamiętasz. Pamiętasz tylko nowe realia, w których już mieli nas pobić, ale nagle niektórzy upadli z połamanymi kulasami, a reszta wzięła nogi za pas. A zatem.. nie musiałeś wylizywać się z ran, bo tobie nie stała się żadna krzywda. Więc w tej nowej wersji wydarzeń, w której nie dochodziłeś do siebie po łomocie, co zrobiłeś zamiast tego? I czemu niby wróciłeś ze mną, by powstrzymać coś, czego nie pamiętasz, że się wydarzyło? To zwyczajnie niemożliwe.

– Mam! My obaj używamy swoich talentów. Dokładnie w momencie, gdy łamiesz ich kolana, ty tracisz jedno wspomnienie, a ja drugie.

– Nadal bez sensu, bo jeśli obaj widzimy, jak zbiry upadają, i odchodzimy, to musimy jakoś zrobić to, co zrobiliśmy wcześniej, byśmy znaleźli się w tym samym miejscu i we właściwy czasie, by połamać im kolana. A skąd będziemy wiedzieć, kiedy to ma nastąpić?

Umbo nachylił się nad stołem i zaczął delikatnie walić czołem w blat.

– Jestem tak głodny, że nie mogę myśleć.

– A tu jest za zimno, żeby spać.

– I wciąż możemy razem zmieniać przeszłość, tyle że cokolwiek robimy, właśnie doszliśmy do wniosku, że tego się zrobić nie da.

– A jednak potrafimy zmienić przeszłość.

– Jesteśmy chyba najbardziej bezużytecznymi świętymi w historii świata. Czynimy cuda, choć całkowicie nieprzydatne.

– Robimy co w naszej mocy. Więc nie mogę narzekać.

– Przypomnij mi, czemu właściwie nie cofnęliśmy się w czasie i nie okradliśmy tylu ludzi, by było nas stać na podróż łodzią w dół rzeki?

Rigg położył się na podłodze.

– Aaaj! Zimna!

– To wracaj na stołek, gdzie jest ciepło.

– Umrzemy tu.

– I problem z głowy.

Nagle otworzyły się drzwi i weszła kobieta niemal tak ogromna jak oberżysta, niosąc dwie miski z łyżkami w środku.

– A skoro już mowa o świętych, oto jedna z cudem jedzenia.

– Żadna tam ze mnie święta – rzekła kobieta. – Bochen wam świadkiem.

– Bochen? – zdziwił się Rigg.

Kobieta postawiła miski na stole, a oni natychmiast chwycili za łyżki.

– Bochen to mój mąż – wytłumaczyła. – Ten, który was tu zamknął, zamiast wyrzucić was i wasze pieniądze na ulicę, jak ja bym zrobiła.

– Ma na imię Bochen? – dopytywał się Umbo z ustami pełnymi gulaszu.

– A mnie zwą Lejką. Śmieszą was te imiona?

– Skądże znowu – zaprzeczył Rigg, dusząc chichot. – Ale zastanawia mnie, dlaczego akurat takie.

Oparła się o ścianę, przyglądając się, jak jedzą.

– Pochodzimy z wioski w głębi zachodniej pustyni. Nasz lud nadaje dzieciom imiona drugiego dnia po narodzinach, kierując się tym, co robimy, jak wyglądamy albo kogo przypominamy, albo na pamiątkę snu czy dowcipu czy jeszcze czegoś innego. I musimy zachować to imię, póki nie zasłużymy na nasze heroiczne miano, co udaje się tylko nielicznym. No i Bochen wyglądał jak wielki bochen chleba, rzekł ktoś, a ja śliniłam się, wymiotowałam i sikałam w nieskończoność, więc mój ojciec nazwał mnie Lejką i nie chciał pozwolić mojej matce zmienić tego w dniu mianowania. Wbiłam w ziemię już ze setkę ludzi za naśmiewanie się z mego imienia. Myślicie, że z wami sobie nie poradzę?

– Mam głęboką i niezłomną wiarę, że zdołałaby pani – rzekł Rigg – i zrobię wszystko co w mojej mocy, by nie zasłużyć na łomot. Ale nie sposób się nie zastanawiać, czemu nie zmieniła pani imienia. Przecież nikt w tych stronach pani nie znał.

– Myślisz, żeśmy z tych, co to przeprowadzają się do nowego miejsca i zaczynają od okłamywania wszystkich?

– To nie byłoby kłamstwo. Po prostu by pani powiedziała: „Nazywam się Cudna Pani”, a skoro byłoby to już wtedy pani imię, kłamstwa nie ma.

– Nie jestem cudna, więc to byłoby kłamstwo. A ty z każdym słowem coraz bardziej sobie grabisz i zbliżasz się do tego łomotu. Zamiast gadać, napchaj sobie buzię jedzeniem.

Rigg przez cały czas zajadał, ale wiedział, co miała na myśli.

– Dzisiejszą noc spędzicie tutaj – oznajmiła Lejka. – Przyniosę wam jakieś koce.

– Sporo koców, mam nadzieję – rzucił Umbo pomiędzy łykami.

– Dość, by było wam cieplej niż na zewnątrz. Czy przez ostatnie kilka tygodni nie spaliście pod gołym niebem?

– Owszem, ale tego nie lubimy – orzekł Umbo.

– Ja lubię – stwierdził Rigg.

– A mnie nie obchodzi, co lubicie, a czego nie – ucięła Lejka.

– Tę zupę lubię, na przykład – ciągnął Umbo.

– To gulasz – poprawiła go Lejka. – Ale oczywiście gówniarz nie widzi różnicy.

Wyszędłszy, ponownie zamknęła za sobą drzwi na klucz. Chłopcy dalej ochoczo napelniali brzuchy. Gdy łyżki zaczęły uderzać o dno misek, zwolnili na tyle, by trochę pogadać.

– Jestem głodny – odezwał się Umbo – ale w żołądku mam już pełno i nic więcej nie zmieszczę.

– Tak się tyje. Kiedy jesz, nawet gdy jesteś już pełny.

– Chyba pamiętam, jak to jest być głodnym, tak wyraźnie, że sytość nie przesłania głodu.

– Gdyby w Wodobrodzie nazywano dzieci na tę samą modłę, co w wiosce Bochna i Lejki, ciekawe, jak ty byś się zwał. Kuporób pewnie!

– A ty Świrnięty Szkrab!

– Moje szaleństwo ujawniło się dopiero później. Gdy poznałem ciebie.

Lejka wkrótce wróciła i zdawała się zaskoczona, że już zjedli wszystko. Podniosła miski w górę i ostentacyjnie udawała, że szuka choć resztki gulaszu.

– Jeśli mi się porzycacie z tego pośpiechu przy jedzeniu, postarajcie się zabrudzić tylko koce, bo inaczej każę wam szorować podłogę, aż będzie tu pachnieć świeżym drewnem.

– Na dobre by to wyszło, bo gdy weszliśmy, pachniało tu czymś znacznie gorszym niż wymiocinami – zażartował Umbo.

– Tylko wtedy ucieszyłabym się, że tu przyszlście. Zrzućcie te brudne łachy, zanim wejdziecie pod koce. Wszystkie, ale to wszystkie. – Po czym znów wyszła. I znów usłyszeli zgrzyt zamka – acz ledwie, bo w jadalni panowała wrzawa.

– Lubi nas – zadrwił Umbo.

– Wiem, ja też to poczułem. Naprawdę się cieszy z naszej wizyty. Chyba nawet kocha nas jak swe własne dzieci.

– Które zamordowała i wkroiła do gulaszu.

– Mnie smakowały.

Rigg rozebrał i choć było mu teraz naprawdę zimno, cieszyła go przytulna obietnica koców. Było ich tak dużo, że nie będzie musiał wtulać się w Umba, by nie marznąć. Miła odmiana, bo podczas noclegów w lasach Umbo tak strasznie wiercił się we śnie, że kilka razy na noc obaj budzili się zziębnięci.

Drzwi się otworzyły.

– Hej, my tu nadzy jesteśmy! – zaprotestował Rigg. Umbo po prostu zakrył się kocem.

Lejka i tak pojawiła się w progu. Stawiając nocnik na ziemi, rzekła:

– Nie zachlapięcie podłogi, gdy będziecie z niego korzystać, a, na Świętego Pajaka, po skończeniu porządnie zamykajcie pokrywę, bo inaczej już nigdy nie pozbędę się smrodu z tego pokoju. – Obok naczynia położyła kosz z wielkimi liśćmi. – Zużyte należy wrzucić do środka, zrozumiano?

– Jesteśmy z Wodobrodu. Tak daleko w górę rzeki kaka nie śmierdzi – ironizował Umbo.

– Po prostu tego nie czujecie, śpiąc z prosiakami, jak to górniacy mają w zwyczaju – odcięła się Lejka.

Zamknęła drzwi i znów przekręciła klucz.

Po kolei skorzystali z nocnika, a gdy skończyli, musieli zgodnie przyznać, że szczelnie zamknięta pokrywa to doskonały pomysł.

– Fajne te liście – stwierdził Umbo. – O niebo lepsze od wszystkiego, czym się podcieraliśmy w lesie.

– Postaramy się dowiedzieć, z jakiego drzewa pochodzą, i pociągnąć takie za nami w wielkim nocniku na kółkach.

Rigg złożył jeden koc, tworząc z niego materac, po czym otulił się dwoma kocami.

Uważnie obserwujący go Umbo zrobił to samo. Przez okno na górze – najwidoczniej w tym celu umieszczone pod tym kątem – wleciało światło Pierścienia, a nad oberżą nie wisały żadne gałęzie, które mogłyby go zasłonić.

– Liście na dworze dałyby lepsze posłanie – zagadnął Rigg.

– Przynajmniej nie kłują mnie żadne kamienie. I nie pełzają po mnie żadne robaki, węże czy inne takie.

– Na razie.

Rigg czekał na ripostę Umba – coś w stylu: „Skoro ich nie widzę, mam to w nosie” – ale się nie doczekał. Umbo milczał.

Wierzyć się nie chce! Umbo już śpi! – pomyślał Rigg i w tym momencie również zasnął.

Rozdział 6

LEJKA I BOCHEN

Pozostawały jeszcze dwa dni do skoku w zagięcie, gdy Ram nagle się ocknął i ze zdziwieniem stwierdził, że jest przypięty do swego fotela.

– Zasnąłem? – spytał.

– Skoczyliśmy w zagięcie, Ram – odparł zbędny.

– Planowo, a ja zwyczajnie nie pamiętam dwóch ostatnich dni, czy wcześniej?

– Wytworzyliśmy siódme pole splotu diagonalnego, a zagięcie pojawiło się cztery kroki wcześniej, niż planowano.

– To zagięcie czy jakieś zagięcie? – dopytywał się Ram.

– To, które zaplanowaliśmy. Jesteśmy dokładnie tam, gdzie mieliśmy się znaleźć.

– Co za dogodny błąd. Że tak niechcący wywołaliśmy utworzenie się zagięcia cztery kroki wcześniej, a mimo to i tak poniosło nas w stronę celu.

– Wszystkie zagięcia, wszystkie diagonalne sploty pól, wszystkie nasze działania były, że tak powiem, spolaryzowane. Cały czas kierowały nas tam, gdzie chcieliśmy się znaleźć.

– A zatem czasoprzestrzeń, choć taka niesforna, nagle się połapała i skoczyła przed nami?

– Wpadliśmy w sam środek drgań – wyjaśnił zbędny. – Staraliśmy się tego uniknąć, bo nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie w takiej sytuacji. Większość komputerowych prognoz wskazywała, że statek rozpadnie się na kawałki i zostanie unicestwiony.

Ram szybko przejrzał raporty z każdej części statku.

– Ale żadna z tych prognoz się nie spełniła. Wciąż w jednym kawałku.

– Więcej niż w jednym kawałku.

– Jak można być więcej niż w jednym kawałku?

Mimo twardej podłogi i chłodu Riggowi spało się wygodnie. Gdy się przebudził, schował twarz pod koc, mając nadzieję że uda się pospać trochę dłużej.

– Zabrali nasze ciuchy – odezwał się Umbo. Rigg otworzył jedno oko. Jego przyjaciel, opatulony kocem siedział z ponurą miną w bladym świetle prześwitującym przez okiennicę na górze.

– Pewnie po to, by je uprać – sennie mruknął Rigg. Nagle zdał sobie sprawę, że skoro ich ubrania zniknęły, ktoś musiał wejść do pokoju, podczas gdy oni smacznie spali – i to tak cicho, że ich nie obudził. Ten ktoś mógł zabrać im wszystko. Rigg wyskoczył spod koców i poszukał torby. Leżała na swoim miejscu, podobnie jak pieniądze, które wetknął do niej, gdy się rozebrał.

– A więc nie są złodziejami – skonstatował.

– To już ustaliliśmy – rzekł Umbo.

Nagle w zamku szczęknął klucz. Bardzo głośno. Tak samo głośno jak wieczorem? Nie, wtedy przecież zagłuszała go wrzawa w jadalni. A wtedy gdy ktoś tu wszedł i zabrał ich ubrania?

W progu pojawiła się Lejka. Nie przyniosła ani śniadania, ani czystych ubrań.

– Owińcie się czymś i chodźcie ze mną – poleciła. – Migusiem!

Rigg nie wiedział, co o niej sądzić. Wydawała się wściekła, a jednak odnosiła się do nich życzliwie. Gdy owijali się kocami, odwróciła wzrok, a potem odsunęła się od drzwi, puszczając ich przodem.

W jadalni zastali jedynie Bochna stojącego za kontuarem, przed nim leżała biała tkanina, na końcu kontuaru zaś sterta łachmanów, w których Rigg rozpoznał ubrania swoje i Umba.

Podszedł bliżej i zobaczył, że na tkaninie coś iskrzy od światła wpadającego przez półprzymknięte okiennice. Olbrzymie, różnokolorowe klejnoty. Osiemnaście.

– A gdzie ten błękitny w kształcie łyży? – zapytał.

Lejka przesunęła stertę ubrań na środek baru.

– Sam sobie poszukaj, święci nam świadkiem, że go nie wzięliśmy.

Rigg zaczął obmacywać pas spodni – sprytnie zaszyty wokół ukrytego tam kamienia.

– Coście sobie myśleli, by mając takie bogactwo, udawać biedaków? – zapytał Bochen.

Podobnie jak Lejka był rozgniewany, acz zarazem pełen respektu.

– I prosząc nas o pomoc co łaska, choć cały czas mieliście to – zawtórowała mu żona.

– Nic z tych rzeczy – przypomniał Rigg. – Zaoferowaliśmy pieniądze. Nawet za dużo, o ile mnie pamięć nie myli.

– I wyglądaliście, jakbyście się bali, że się wam skończą – dodała Lejka z przekąsem – a to niemożliwe, nawet jeśli dożyjecie setki.

Rigg przeciągnął palcami po pasie spodni. Znalazł miejsce, gdzie wcześniej wszyto błękitny klejnot, i rzeczywiście wciąż tam był, choć trudniej go było wyczuć z racji ukośnego szwu po boku, który pogrubiał materiał. Wyciągnął kamień i położył na tkaninie. Bez sensu byłoby go teraz ukrywać. Gdyby Lejka i Bochen byli złodziejami, nie wyłożyliby tych kamieni na blat, tylko udawali, że pierwszy raz o nich słyszą. O ile w ogóle pozwoliliby Riggowi się obudzić.

– To mój spadek po ojcu – przyznał Rigg. – Ojciec mi kazał zabrać te kamienie do Aressa Sessamo i okazać je tamtejszemu bankierowi.

– Spadek? – Bochen nie dowierzał. – Skoro twój ojciec miał taki majątek, czemu ubierasz się niby nędzarz?

Rigg zrozumiał aluzję. Prawdziwe pytanie brzmiało, czy klejnoty są kradzione; a jeśli nie są, Bochen chciał zrozumieć tę rzekomą sprzeczność.

– Naszym domem, moim i ojca, był las – zaczął Rigg. – By jakoś przeżyć, łowiliśmy zwierzęta dla futer. Mam ubranie na sobie, które było mi przydatne – nigdy nie potrzebowałem lepszego. Nie ma lepszego do naszej pracy. A co do mojego bogactwa, o tych klejnotach dowiedziałem się, dopiero gdy mój ojciec umarł, a dostałem je od kobiety, która je przechowywała dla niego.

– Musiała być chodzącą uczciwością – zauważyła Lejka.

– I państwo też, bo inaczej nie zobaczyłbym tych kamieni na barze.

Bochen parsknął.

– Dla tych monet, które masz, ktoś mógłby cię zabić i wrzucić do rzeki. Ale chłopca, który posiada takie klejnoty, ktoś mógłby szukać. A gdyby znaleźli przy mnie taki skarb, jak mógłbym udowodnić, że zdobyłem go uczciwie?

– Ja mogę udowodnić – powiedział Rigg. – Ojciec zostawił mi także list do bankiera.

– A możesz nam pokazać? – zapytał Bochen uprzejmie, lecz stanowczo, jakby z sugestią, że właśnie teraz należałoby rozwiać wszelkie wątpliwości.

Rigg wahał się przez chwilę. Czy oni sobie myślą, że dysponując listem, mogą ukraść klejnoty i udowodnić, że mają do nich prawo? Od razu odrzucił to podejrzenie. Jeśli chcieli go skrzywdzić, i tak nie mógł ich powstrzymać. Czemu więc nie założyć, że mają dobre zamiary?

– Pójdę po niego. Jest w moim plecaku.

– Nie, poślij swego kolegę – rzekł Bochen. – Nie chcę, żebyś stracił klejnoty z oczu.

Umbo spojrzął spode łba na Rigga.

– Komu jak komu, ale mnie mogłeś powiedzieć – bąknął urażony.

– Podzieliłem się z tobą pieniędzmi i jedzeniem. A tych kamieni nie da się wydać nigdzie, gdzie

byliśmy, i nigdzie, dokąd zmierzamy. O czym tu było mówić?

Umbo wyszedł i po chwili wrócił z torbą. Rigg wyjął z niej list, po czym położył go na blacie.

Bochen zaczął czytać, mrużąc oczy i marszcząc czoło. Lejka zgarnęła mu pismo przed nosa.

– Na wszystkich świętych, Bochen, przecież wiadomo, że czytasz tak szybko, jak muchomor zmienia się w drzewo. – przejrzała dokument, co jakiś czas z lekka poruszając wargami i wypowiadając co któreś słowo pod nosem. – Od razu widać, że to fałszywka – orzekła w końcu.

Bochen wyprostował się i zmierzył Rigga surowym wzrokiem.

– Jeśli nawet, to nie mojego autorstwa – bronił się Rigg. – Według kobiety, która przekazała mi ten list, napisał go mój ojciec. Nie pokazał mi go, gdy jeszcze żył, ale to mi wygląda na jego pismo. – Rigg spojrzał na Lejkę. – A pani widziała kiedyś jego pismo?

– Nie musiałam. Podpisano: „Wędrujący Święty”. Równie dobrze można by podpisać go: „Pierścień”.

– Rzeczywiście, to byłaby głupota, ale proszę jeszcze raz przeczytać podpis – zasugerował Rigg.

Zmarszczyła brwi z niezadowoleniem, ale przeczytała ponownie, jeszcze bardziej poruszając wargami.

– No tak – przyznała. – Wędrujący Człowiek, a nie Święty. Ale to i tak żadne imię.

– To jedno z imion, pod jakimi znano jego ojca – wtrącił się Umbo.

– A jak brzmiało jego prawdziwe imię?

– Wszystkie były prawdziwe. Reagował na nie – odparł Umbo.

Przenieśli wzrok na Rigga, który powiedział:

– Dla mnie był ojcem.

– A tak w ogóle, z jakiej racji oceniacie autentyczność tego pisma? – zaperzył się Umbo. – Nie do was jest adresowane, tylko do bankiera z Aressa Sessamo. Więc zabierzemy to do niego. Oddajcie.

Trzeba być śmiałym, by domagać się zwrotu czegoś, czego się nigdy nie posiadało. Albo bezczelnym. Tak czy owak, Lejka położyła pismo na jego dłoni. Umbo szybko je przejrzał, czytając w myślach – albowiem wiejski nauczyciel z Wodobrodu zrobił swoje – a potem oddał Riggowi.

– Wychodzi więc na to, że twój ojciec powymyślał sobie imiona i podpisał się jednym z nich na prawomocnym dokumencie – oceniła Lejka. – A wiecie już, co myślę o ludziach, którzy używają fałszywych imion.

– Nieważne, co myślisz o zmarłym ojcu tego chłopca – odezwał się Bochen, czym zasłużył sobie na gniewne spojrzenie żony. – Ja wierzę chłopakowi. Czy ojciec dorobił się majątku uczciwie, czy nie, syn na pewno ma do niego prawo.

– To co zamierzasz zrobić, he? – oburzyła się Lejka. – Adoptować go? Przecież on nas okłamał.

– Nie powiedziałem wam nic, co nie byłoby prawdą – sprzeciwił się Rigg.

– Powiedziałaś, że te monety to wszystkie twoje pieniądze!

– A czy te klejnoty wyglądają pani na monety? – zaperzył się Umbo.

– Czemu w ogóle zabraliście nasze ubrania? – spytał Rigg z pretensją. – To ja tu jestem poszkodowany, bo pozbawiono mnie dobytku, do tego ukradkiem i w nocy.

– Chciałam je uprać – żołądkowała się Lejka.

– Jakoś nie wyglądają na ani trochę czystsze.

– Bo gdy podniosłam spodnie, wyczułam coś w pasie.

– I musiała pani zerwać szew i wyjąć to coś?

– Moja żona nie jest złodziejką! – zgromił go Bochen.

– Wiem. Ale od początku rzuca oskarżenia i podejrzenia, a ja chciałem jej pokazać, że to działa w obie strony. Mam więcej powodów do skargi niż ona, ale się nie skarzę, i najwyższy czas, by przestała być wobec mnie taka podejrzliwa z powodu mojej przeczności.

– Chłopak gada jak prawnik – rzekł Bochen do żony.

– Uczciwym ludziom prawników nie trzeba – bąknęła z urazą.

– Właśnie takim trzeba ich najbardziej – mruknął jej mąż, a gdy wydawało się, że żona zaraz wda się z nim w kłótnię, nawet nie patrząc na nią, uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć w twarz. Nie zrobił tego jednak i najpewniej wcale nie zamierzał, lecz ona przewróciła oczami i zamilkła. Mogło się więc wydawać, że ręka uniesiona do uderzenia w twarz była tutejszym odpowiednikiem palca przyłożonego do ust. Cóż, widać takie zasady panują wśród mieszkańców dolnego biegu rzeki.

– Oddaj mi ubranie, zaszyję te klejnoty z powrotem i sobie pójdziemy – zaproponował Rigg.

– Nie – sprzeciwił się Bochen. – W Aressa Sessamo ten list wam się przysłuży. Tutaj jednak nie macie z niego żadnego pożytku, więc musicie spieniężyć któryś z tych drogich kamieni.

– Myślałem, że mamy dużo pieniędzy. Nawet za dużo.

– Mówiłem, że macie dość pieniędzy, by rzekowcy was za nie zabili. Ale im bardziej w dół rzeki, tym wyższe ceny. Zanim dotrzecie do Aressa Sessamo, wasza kiesa już dawno będzie świecić pustkami, nieważne, jak oszczędnie zamierzacie gospodarować.

– A czy w tym mieście jest jakiś bank?

– Jeszcze nie. Ale mogę wam towarzyszyć do najbliższego miasta w dół rzeki, gdzie go znajdziecie. Dobrze mnie tam znają i mogę za was poręczyć. I mogę was bronić po drodze.

– Czemu miałbyś to dla nas robić? – zapytał Rigg nieufnie.

– Dla pieniędzy, ptasi mózdku. Jestem człowiekiem uczciwym, ale nie bogatym. Bankier nazywa się Bednarz, a gdy da ci pieniądze, ty dasz mi zapłatę. I nie bój się, że cię oszukam. Pozwolimy bankierowi ustalić cenę. Uczciwą prowizję za chronienie was.

– Bankier jest twoim przyjacielem, nie naszym – zauważył Umbo.

– Wy macie klejnoty. To czyni go waszym przyjacielem, a nie moim. – Po czym wskazał na Rigga. – A raczej jego, a nie żadnego z nas.

– Co to za bankier, że nazywa się Bednarz? – zapytał Umbo. – Czyżby każdy tamtejszy bednarz nazywał się Bankier?

– Prawo miasta, w którym mieszka, stanowi, że nazwiska są przekazywane z ojca na syna, z męża na żonę, niezależnie od aktualnej profesji. To znaczy, że jakiś jego odległy przodek był bednarzem i tyle.

– Bardzo durny pomysł – skomentowała Lejka.

Bochen znów odwrócił się do Rigga.

– Doprowadzę cię tam za pieniądze, ale uczciwie je zarobię, bo wielce prawdopodobne, że zginiecie, zanim zdążycie wyjść z Przystani Lejki.

– Tak nazywa się ta oberża? – zdziwił się Rigg. Spodziewałby się, że nazwano ją od Bochna, bo jego imię kojarzyło się z czymś jadalnym, podczas gdy imię Lejki zniechęcało klientów do nocowania tu deszczową porą.

– Tak nazywa się całe miasto – odpowiedziała Lejka.

– Nazwali je pani imieniem? – nie dowierzał Umbo.

– Może tak, może nie.

– To nie jest miasto, tylko siedlisko korników! – prychnął Bochen. – Nazywali je na szesnaście sposobów. Gdyśmy tu przybyli, powiedzieliśmy, że muszą się na coś zdecydować, bo inaczej nie otworzymy tu oberży. Zaproponowałem więc jej imię tylko po to, by pokazać, że nie muszą nikogo

słuchać, choć była to najlepsza rada, jaką kiedykolwiek usłyszeli. Odkąd miasto ma stałą nazwę, ludzie tu ciągną ze wszystkich stron, a liczba mieszkańców się potroiła.

– Aż takie znaczenie ma nazwa? – zdumiał się Umbo.

Bochen przewrócił oczami.

– Już słyszę zachęty jakiegoś spekulanta: „Chodźcie, kupcie tu ziemię i postawcie dom w mieście tak zapomnianym przez świętych, że nawet nie znamy jego nazwy!”. Albo słowa znużonego wędrowca: „Może tak zatrzymamy się na noc w oberży w tym mieście, no wiecie, tym co nie ma nazwy?”.

– Skończ. Już rozumieją – zgasiła go żona.

Rigg zmienił temat.

– Więc udamy się do... tego miasta, gdzie mieszka bankier Bednarz...

– A czy to miasto ma nazwę? – zapytał Umbo. – Czy może czekają tam, aż się wprowadzicie i nazwiecie je za nich?

– Przystań Lejki powstała niedawno, a w tamtym mieście ludzie żyją od stu wieków. Jest stare jak świat. Nikt nawet nie zna języka, w którym nadano mu pierwszą nazwę – wyłuszczył Bochen.

– Nazywa się O – dorzuciła Lejka.

– I mają tam Wieżę O – dodał Bochen, jakby stwierdzał powszechnie znany fakt.

– Nie mogło być dużo miast na świecie, gdy je nazywali – domyślił się Rigg. – Czy istnieją inne stare miasta nazwane pojedynczą samogłoską?

Bochen wymownie popatrzył na żonę, przewrócił oczami i rzekł:

– To będzie dłuuuuuga podróż. – Po czym znów odwrócił się Rigga. – Odpowiadając na pytanie, które powinieneś zadać, wiem, że zanim wyruszymy ku O, kupi się wam trochę ubrań. Nie za strojnych, nie za nędznych, na pewno nie zrobionych z leśnych skór i nie takich, jakie nosi się w górnym biegu rzeki. – wskazał na Umba – ubierzesz się jak ja i będziesz udawać mojego syna.

– Już nie mogę się doczekać – rzucił Umbo pod nosem.

– I jak syn dostaniesz w łeb za każdym razem, gdy zaczniesz błaznować.

– Nikt nie będzie go bić! – rozgniewał się Rigg.

– Gdybym chciał dostawać w łeb, nie ruszałbym się z domu – mruknął Umbo. – Mój ojciec robił to często. I za darmo.

Lejka się zaśmiała.

– On żartował, wy ciotki. To niespokojna miejscina, gdzie często dochodzi do bójek, ale Bochen na nikogo nie podnosi ręki, chyba że wyrzuca awanturników za drzwi.

– Dość się już nakrzywdziłem ludzi w czasach służby wojskowej. Z mojej strony nic wam nie grozi – uspokoił ich Bochen.

– Umbo będzie moim synem, a Rigg synem brata mojej żony, twoim kuzynem. Rodzina mego szwagra jest trochę bardziej dziana od naszej. Chłopak odwiedzał nas, a teraz zabieramy go do O na spotkanie z ludźmi ojca.

– Po co ta szopka? – zapytał Rigg.

– A po to, żeby wyjaśnić, czemu masz lepsze ubrania niż my. Gdy spotkamy się z Bednarzem, musi uwierzyć, że jesteś tym, za kogo się podajesz. List ma pewne znaczenie, ale nie takie znowu wielkie, bo nie jest adresowany do niego. On nie zna Wędrującego Człowieka ani trochę lepiej niż ja. Gdy spojrzy na ciebie, musi zobaczyć chłopca, który mógłby pochodzić z zamożnej rodziny.

– Jeśli bankier przyłapie nas na jakimś kłamstwie, nie uwierzy, że klejnoty są moje.

– Powiemy mu tyle prawdy, ile musi usłyszeć. Ta szopka, jak ją nazywasz, jest dla ciekawskich, których spotkamy po drodze, żeby wyjaśnić, czemu ubierasz się inaczej niż my.

I czemu mówisz o wiele lepiej niż twój kolega.

– Wcale nie! – zaprotestował Umbo.

– Głuchy jesteś, chłopcze, czy jak? – zapytała Lejka. – Rigg mówi, jakby chodził do szkoły. Tak wyraźnie wymawia słowa.

– Ja też chodziłem do szkoły!

– Ja miałam na myśli szkołę z wielkiego miasta w dolnym biegu rzeki. Goszczą tu czasem tacy. Naprawdę nie słyszysz różnicy w waszej wymowie?

– On mówi jak swój ojciec.

– I w tym sęk – włączył się Bochen. – Ty mówisz jak górniak, a on jak uczonego paniczyk.

Jakby miał pieniądze.

– Cóż, ja nie umiem udawać kogoś, kim nie jestem – bąknął Umbo.

– I dlatego będziesz moim synem, a on moim bogatym bratankiem. Po co więc ta dyskusja? Zresztą, ja będę gadał. Jeśli ktoś was o coś zapyta, nie odpowiadajcie, tylko patrzcie na mnie. Jasne?

– Jak słońce – odparł Rigg.

– Co za głupota – wymamrotał Umbo.

– Mówisz tak, bo to nie twoje pieniądze – skarciła go Lejka.

– Ani twoje – odciął się Umbo.

– Ten chłopak nigdy nie wie, kiedy przestać – warknął Bochen.

– I dlatego taki dobry z niego kumpel – rzekł Rigg przymilnie.

– Część pieniędzy jest nasza – odezwała się Lejka do Umba. – W zamian za ubrania, które wam kupimy, i za przeprawy, które opłacimy, i za dni nieobecności Bochna, i za osiłeków, których będę musiała nająć, by dbali o porządek, gdy go tu nie będzie. Tylko skąpiec odmówiłby nam uczciwej zapłaty za tę wielką i szlachetną pomoc.

– Zapłacę uczciwie – zapewnił Rigg. – A dla waszej wiadomości, Umbo mówi jak wykształcony chłopak z Wodobrodu, mnie zaś ojciec nauczył mówić kilkoma różnymi językami. I na różne sposoby. W rodzinnych stronach mówię tak samo jak Umbo, ale przez ostatni tydzień wysławiałem się tak, jak według ojca mówi się w Aressa Sessamo, bo wtedy ludzie rozumieją mnie lepiej i rzadziej się śmieją.

– Nie dziwota – rzekł Bochen. – To cesarskie miasto. Jak widzę, ojciec przygotowywał cię do dalekich podróży.

Rigg przypomniał sobie, jak mówił ojcu, że już wie wszystko, czego mu trzeba – lecz ojciec zdawał sobie sprawę, że on nie będzie przez całe życie łowił zwierząt w górach. Nie wyjawiał, jakie ma wobec syna plany na przyszłość, ale niewątpliwie przygotował go do nawiązywania kontaktów w każdym miejscu, gdzie mógłby trafić. Kiedyś może nawet Riggowi przyda się wpojona mu przez ojca wiedza o astronomii i fizyce. Może będzie to miało jakieś znaczenie, że Rigg wie, iż Pierścień składa się z pyłu i małych kamyczków okrążających świat, a świeci w nocy, bo odbija światło słoneczne. To by dopiero była wspaniała podróż!

Już tego samego ranka załatwili sprawę ubrań; krawiec wziął miarę, a przed wieczorem odzienie dostarczono – dwa komplety dla każdego z chłopców, uszyte z różnych materiałów.

– Po co mi aż dwa? – dopytywał się Umbo.

– Żebyś mógł nosić jeden, gdy drugi pójdzie do prania – wyjaśniła Lejka. – Choć wcale mnie nie dziwi, że pranie jest ci obce.

Rigg wtrącił się, zanim znów wdali się w słowne utarczki.

– Czy mam rozpruć szew i znów zaszyć klejnoty w ubraniach? A jeśli tak, to w której parze spodni? Bo wiecie, nie chciałbym mieć na sobie złych spodni, gdy akurat ukradną mi drugie albo gdy

będę musiał przed kimś uciekać.

– Klejnoty nie są duże – podpowiedział Umbo. – Nie możesz ich trzymać w kieszeni czy w jakiejś sakiewce?

Bochen nie chciał o tym słyszeć.

– Kieszonkowcy tylko na to czekają. Kradną na potęgę. Nigdy nie wkładaj do kieszeni niczego, co chcesz mieć dłużej.

– Dam ci tasiemkę, którą mocno obwiążesz się wokół pasa – zaproponowała Lejka. – Na niej powiesz sakiewkę, pod spodniami, tak żebyś miał ją na przedzie. Najwyżej ktoś pomyśli, że to twoje przyrodzenie.

– Twoje klejnoty rodowe! – Umbo zachichotał.

Lecz Rigg dostrzegł coś w jego oczach, jakieś uczucie, którego nie umiał nazwać. I pomyślał: Nie wybaczył mi całkiem, że pozwoliłem Kyokayowi umrzeć. Co innego wcześniej, gdy nie wiedział o klejnotach. Wtedy mógł mi wybaczyć i poczuwać się do części winy. Teraz jednak, gdy wie, że ukrywałem przed nim takie bogactwo, jest inaczej. Myśli, że ma powód mi nie ufać. A czy to znaczy, że ja mam powód nie ufać jemu?

Płynęli do O cztery dni. Pierwsze słowa kapitana po opłaceniu przeprawy brzmiały:

„Pielgrzymi?”. Potem Bochen wyjaśnił, że co roku tysiące ludzi ciągnie do miasta, by odwiedzić Wieżę O. Kapitanowi jednak opowiedział uprzednio przygotowaną historyjkę, a Rigg uświadomił sobie, że najważniejsze w niej było spotkanie „z ludźmi ojca”. Kapitan zrozumiał tyle, że ktoś ich oczekiwał, i to ktoś u władzy. Co oznaczało, że na pokładzie mogli się czuć bezpiecznie.

Początkowo podróż była czystą przyjemnością. Barka płynęła niemal sama, niesiona siłą nurtu – rzekowcy na pokładzie nie musieli się wysilać. W drodze powrotnej będą musieli pchać łódź tyczkami lub wiosłami pod prąd. Na razie zbijali baki na pokładzie; a na dachu kajuty, przeznaczonym na miejsce dla pasażerów, także Bochen, Rigg i Umbo oddawali się błogiemu lenistwu.

Jednak w końcu Rigg, znużony beczynnością, zaczął się niecierpliwić. Ojciec nigdy nie pozwolił mu cały dzień przeleżeć w łóżku – nawet podczas choroby, co nie zdarzało się często. Umbo wydawał się zadowolony, a Bochen był w siódmym niebie, drzemiąc przy każdej okazji.

I właśnie gdy Bochen zażywał snu, a Rigg kręcił się bez celu po zagrodzie – bo tym wydawała się ta mała platforma ogrodzona siatką – Umbo podszedł do przyjaciela.

– Czemu nie możesz usiedzieć w miejscu? – zagadnął z lekkim wyrzutem.

– Nie nawykłem. To wymaga nie lada talentu do lenistwa.

– A co widzisz? Ścieżki na rzece? Ludzie tędy nie chodzą, chyba że ci naprawdę stuknięci, reszta jedynie siedzi. Zostawiają ścieżki, nawet gdy się nie ruszają, czy jak?

– Tak. Przemieszczają się w przestrzeni, więc zostawiają ścieżki za sobą.

– No to mam następne pytanie. Nauczyłem się w szkole, że nasz świat jest planetą poruszającą się w przestworzach. Więc gdy świat się porusza, czemu wszystkie ścieżki nie zostają w przestworzach? Skoro świat jest jak łódka, to nawet jeśli stoimy w miejscu, powinniśmy zostawiać za sobą ścieżki w powietrzu bo świat nas przemieszcza, tak jak ta łódka, choć przecież tylko tu siedzimy.

Rigg zamknął oczy, by sobie wyobrazić wszystkie ścieżki biegnące w przestworzach.

– Powinno być tak, jak mówisz – przyznał po chwili zastanowienia. – Ale nie jest. Tyle wiem. Ścieżki zostają tam, gdzie ludzie się przemieszczali, czy lądem, czy na łodziach.

Pewnie coś utrzymuje te ścieżki dokładnie w tych miejscach na Arkadii, którą poruszali się ludzie, nieważne jak dawno temu. Może za sprawą grawitacji. Nie wiem.

Umbo zamilkł na jakiś czas, a Rigg uznał rozmowę za zakończoną. Lecz Umbo wykorzystał ten czas, by wymyślić kolejne pytania.

– Możemy coś zrobić tu na łodzi? Potrenujmy nasze talenty.

– Ciekawe jak. Załoga zacznie coś podejrzewać. A tak jak mówiłem, na tej łodzi nie ma ścieżek, wszystkie unoszą się nad wodą, gdzie inne barki przemieszczały ludzi przez powietrze. Nasze ścieżki są za nami. Widzę twoją, hen daleko w górę rzeki.

– To nawet lepiej. Poczekasz, aż jakaś ścieżka przetnie tę platformę, a potem coś zrobisz.

– Niby co? Mam popchnąć jakiegoś biedaka, by wpadł do wody pięćset lat temu? Jeśli nie umie pływać, utonie, a ja nie chcę mieć na sumieniu jeszcze kogoś.

Umbo westchnął.

– Nudy na pudy.

– Mam lepszy pomysł. Może nauczymy siebie nawzajem tego, co robi drugi?

– Nikt nas nie uczył tego, co już robimy – bez przekonania odparł Umbo.

– Bzdury gadasz. Ojciec z tobą ćwiczył. Pomógł ci to ulepszyć i zogniskować.

– Hm, niby racja, ale już wcześniej potrafiłem to robić, on mnie tylko wyszkolił.

– Może więc wcale nie jest tak, że nie mamy nic z talentu tego drugiego. Jedynie tak mało, że w ogóle tego nie zauważyliśmy – przekonywał Rigg. – Postarasz mi się to wyjaśnić, a ja postaram się wskazywać ci ścieżki, gdy będziemy je przecinali.

– Nie ma szans, żeby to wypaliło.

– Przekonajmy się. No chodź, obaj się nudzimy, a to zawsze jakieś zajęcie.

– Ciii...! – syknął Umbo. – Bochen chyba się budzi.

– Chyba że w ogóle nie spał i podsłuchiwał.

– To by było w jego stylu – bąknął Umbo, krzywiąc się trochę.

Najwidoczniej jednak Bochen nic nie słyszał. Gdy się zbudził, zachowywał się wobec nich normalnie – zarazem stanowczo i życzliwie, z pewną dozą respektu nawet.

– Pracowałeś kiedyś na rzece, prawda? – zagadnął go Rigg.

– Nigdy – mruknął Bochen.

– Ale jesteś tak umięśniony jak ci ludzie.

– Nieprawda. O wiele bardziej.

Rigg przyjrzał mu się uważnie.

– Widzę, że się od nich różnisz, ale nie wiem czym.

– Spójrz na moje prawe ramię, potem na lewe. A potem spójrz na tych chłopów.

Rigg i Umbo odwrócili wzrok w ich stronę. Umbo pierwszy dostrzegł różnicę.

– Oni są jacyś krzywi – stwierdził, chichocząc.

Teraz i Rigg to zauważył. Każdy rzekowiec miał więcej krzepy po jednej stronie ciała niż po drugiej, a to skutek wieloletniej pracy przy tyczkach po jednym tylko boku łodzi.

– Na wojskowych łodziach na to nie pozwalają – stwierdził Bochen. – Każą żołnierzom zmieniać strony w regularnych odstępach, żeby ich mięśnie równo się rozwijały.

– A więc służyłeś na wojskowych łodziach?

– Służyłem w wojsku, ale nie na łodziach. Zanim poznałem Lejkę, zanim się z nią ożeniłem i postawiłem oberżę, byłem żołnierzem. Dochrapałem się rangi sierżanta w oddziale zaprawionych wojaków.

– Walczyłeś w jakichś wojnach? – zaciekał się Umbo.

– Za mojego życia nie było żadnej. Nawet rewolucja ludowa wydarzyła się, gdy byłem dzieckiem. Ale walki i zabijania nigdy nie braknie, bo zawsze znajdują się tacy, którzy nie chcą

podporządkować się woli Ludowej Rady Rewolucyjnej, i dzikusy na obrzeżach cywilizacji, którzy nie chcą uszanować granic ani żadnego innego prawa. Barbarzyńcy.

– Czym wojowałeś? – Umbo był zafascynowany. – Łukiem? Mieczem? A może piką albo kijem? Pokażesz nam?

– Widzę, że zapalałeś miłością do żołnierki. Inaczej byś mówił, gdybyś widział człowieka z wyprutymi flakami, błagającego o wodę, bo jest bardzo spragniony, lecz nie ma żołądka, by ją pomieścić.

– Wiem, że ludzie umierają – przyznał Umbo cicho. – W domu też, i to nieraz w okropny sposób.

Rigg pomyślał o przygniecionym drzewem ojcu i o Kyokayu osuwającym się z krawędzi Wodospadu Kosmolo. Szczęście w nieszczęściu, że nie widział tak naprawdę, co stało się ojcu ani co spotkało Kyokaya, gdy spadł we wzburzoną wodę najeżoną skałami.

– Nic nie dorówna okropności śmierci podczas wojny – rzekł Bochen z przekonaniem. – Jedno potknięcie i wróg cię dorwie. Albo idziesz sobie spokojnie, a tu nagle frrrr! – i masz strzałę w gardle, w oku lub w plecach, a jeśli nie zginiesz na miejscu, wiesz, że dla ciebie to już koniec, bo siły cię opuszczają.

– Ale mieliście równe szanse – zauważył Ring. – No, może niekoniecznie, lecz byliście do tego szkoleni. Przyzwyczajeni do zabijania i śmierci, nawet własnej. Śmierć nie może być dla żołnierza żadnym zaskoczeniem.

– Wierz mi, chłopcze, śmierć zawsze cię zaskakuje, nawet jeśli patrzysz jej prosto w oczy. Gdy nadchodzi, myślisz: Że co, że niby ja, jak to?

– Przecież nie umarłeś, więc skąd wiesz? – spytał Umbo.

Bochen uniósł koszulę, obnażając pierś i plecy. Wcześniej Rigg uważał, że oberzysta jest otyły, ale nie – był potężnie umięśniony, bez śladu tłuszczu.

A przez jego brzuch biegła okropna szrama, wciąż po części czerwona, nieprawidłowo zszyta, gdyż na całej długości miała poszarpane brzegi.

– Trzymałem w rękach własne flaki – rzekł Bochen.

– Myślałem, że już po mnie. Podkomendni chcieli mnie znieść z pola bitwy, ale im zabroniłem – szkoda czasu. Wyzaczyłem nowego sierżanta i rozkazałem im wycofać się z resztą naszych ludzi. Później przypuścili atak na wroga i zwyciężyli, ale nie wrócili na pobojuwisko. Wiedzieli, że nie ma już po kogo wracać.

– Jak to? – zdziwił się Umbo.

– Też mi lojalność – skomentował Rigg.

– Szabrownicy – wyjaśnił Bochen. – Nawet minuta nie minęła, a na polu pośród poległych zaroilo się od kobiet, starców i wyrostków, dobijających rannych, zabierających im ubranie i broń. Wojna ich przywabia, jak kruki zlatują się do ścierwa. Leżę więc, spodziewając się śmierci – licząc, że wkrótce nadejdzie, bo ból przenika mnie na wskroś, napływa falami niczym morze i za każdym razem myślę sobie, że ta fala jest ostatnia, że wreszcie umrę.

Nagle słyszę kroki, podnoszę wzrok i widzę wielką kobietę stojącą nade mną.

– Lejkę – domyślił się Umbo.

– Pewnie że ją, matole, ale ja opowiadam historię i ja decyduję, kiedy powiedzieć coś głośno.

– Przepraszam.

– Patrzę więc na nią, a ona na mnie i mówi: „Kawał chłopca z ciebie”. Nic nie odpowiadam, bo co za różnica, jak duży jest martwy chłop? Mówi: „Przestałeś krwawić”, a ja na to: „Widać nie mam już czym”. Wyszło szeptem, ale mnie usłyszała i dawaj w śmiech.

„Skoro mówisz i żartujesz, to nie umrzesz”. Ściaga ze mnie pancierz – miecz wroga wszedł w niego jak nóż w masło, i nic dziwnego, skoro zrobił go pewnie krewny jakiegoś generała, zamiast stali używając cynowego chlamu. Tak czy siak, pozszywała mnie, i to marnie, należy dodać, lecz zaczęło się ściemniać, a ja i tak miałem umrzeć. Mówi mi: „Skóra przecięta, ale żołądek i jelita chyba są całe, i temu zawdzięczasz życie. Odrobinę głębiej, a byłbyś trup”. I zarzuca mnie na ramię. – mnie! ciężkiego nawet bez krwi! – zabiera do domu i mówi, że prawem szabrownika jestem teraz jej niewolnikiem. Tyle że gdy wydobrzałem, zakochaliśmy się w sobie niczym jakaś para bohaterów, wzięliśmy ślub, wróciłem do domu, rzuciłem poprzednią żonę, sprzedałem dom i ziemię. Za te pieniądze postawiłem oberżę w zapadłej dziurze, a wioska przerodziła się w miasto i regularną przystań dla rzeczno-ruchu. Więc to że mnie przygarnęła, zamiast zabić i zabrać mój dobytek – to zmieniło świat, chłopcy.

– Szczególnie dla pana pierwszej żony – stwierdził Rigg.

– Ostatnim razem nie było mnie w domu bite osiem lat, a gdy wróciłem, miała troje małych dzieci, nie więcej niż pięcioletnich, wyglądających, jakby trzech różnych mężczyzn godnie zastąpiło mnie w obowiązkach. I mówisz, że zrobiłem źle?

– Przynajmniej przez kilka lat była ci wierna – zauważył Umbo.

– Przynajmniej jej nie zabiłem, a miałem do tego prawo. Tylko ją przepędziłem, bo Lejka mi powiedziała: „Nie zaczynamy od przelewu krwi”, no i jeszcze niewyraźnie pamiętałem, że kiedyś się kochaliśmy. Swoją drogą, nigdy nie spłodziłem jej dziecka, tak jak Lejce zresztą, więc uznałem, że kobieta ma prawo do dzieci, co nie? I nieważne, skąd je ma.

– Bardzo tolerancyjne podejście. Ale ona przez osiem lat zajmowała się gospodarstwem, a ty ot tak jej wszystko odebrałeś.

– Służący się nim zajmowali. To było moje gospodarstwo, tak jak ona była moją kobietą, i to nie były moje dzieci. Nawet jej nie tknąłem, ale nawet święty sprzedałby gospodarstwo i zabrał pieniądze dla siebie. Ona mogła poszukać schronienia u ojca jednego z tych bachorów, o ile by ją przygarnął.

– A zatem masz miękkie serce – stwierdził Rigg, ale uśmiechnął się, by Bochen zrozumiał, że to tylko niewinny żarcik.

– Tak, chłopcze, żartujcie sobie do woli, kpijcie ile wlezie, ale taka jest prawda. Mam miękkie serce. To przez Lejkę. Przez nią i przez tego, kto mnie tak wypatroszył. Skutecznie wybili mi wojnę z głowy. Ale nadal ćwiczę walkę. Oczywiście gdy jestem na lądzie. Co dzień, godzinę lub dwie, z użyciem różnej broni. Nadal potrafię posłać strzałę, tam gdzie chcę, na sto metrów. Gdybym w czasie bitwy nie pośliznął się na końskim gównie, miecz tamtego by mnie nie dosięgnął. Byłem dobry. I nadal jestem, biorąc poprawkę na to, że przez ostatnie piętnaście lat staremu weteranowi przyszło walczyć co najwyżej z pijakami znad rzeki.

Dobrze wiedzieć, że Lejka odwiodła go od zabicia poprzedniej żony. Wprawdzie się odgrażała, że własnoręcznie wrzuci Rigga i Umba do rzeki albo zostawi na łasce rzekowców, lecz Rigg wiedział, że Lejka i Bochen są poczciwymi ludźmi, a muszą udawać twardych tylko ze względu na swą klientelę.

– Czy Lejka ćwiczy z tobą? – zapytał Umbo.

Rigg spodziewał się, że Umbo dostanie po łbie za bezczelność, lecz Bochen się roześmiał.

– A niby kto inny? Walczyć to ona nie umie, o nie, nie tak jak ja, ale zakłada ochraniacze i z jej pomocą ćwiczę kroki i ciosy. Żaden inny człowiek, którego znam, nie potrafi mi dorównać zasięgiem ramion. Oprócz niej. W końcu całkiem potężne ze mnie chłopisko, tak?

O świcie ćwiczymy całą godzinę w pełnym świetle. I wcale nie szkodzi, jeśli nas przy tym

rzekowcy przyuwają, choć zwykle jeszcze nie wytrzeźwieli. Wiedzą, że ona sobie poradzi, nawet jeśli mnie akurat nie ma.

Wczesnym popołudniem czwartego dnia zobaczyli Wieżę O górującą nad linią drzew.

Stalowy cylinder wznoszący się w górę, zwieńczony kopułą na szczycie, niemal zupełnie się zlewał z zimowym niebem barwy ołowiu.

– Koniec podróży! – wykrzyknął Umbo i wraz z Riggim ruszyli ku drabinie prowadzącej na główny pokład.

– Hola, hola! – zatrzymał ich Bochen. – Do O dotrzemy najwcześniej jutro w południe.

– Ale przecież to jest tuż-tuż! – upierał się Umbo.

– Spójrzcie, jaka jest niewyraźna. Mamy piękną pogodę, a gdyby była tak blisko, jak wam się zdaje, wcale by tak nie wyglądała.

Jeśli rzeczywiście od wieży dzielił ich jeszcze cały dzień podróży, Rigg dziwił się, jak to możliwe, że już teraz tak bardzo górowała nad drzewami na brzegu rzeki.

– To ile ma wysokości? – zaciekał się.

– Myślisz, że ludzie pielgrzymowaliby tu, gdyby zwyczajnie była wysoka? Zresztą rzeka niedługo gwałtownie skręca, przez co stracimy wieżę z oczu na wiele godzin, a potem dopłyniemy do niej z innej strony i dopiero wtedy zobaczymy, jak wielka jest naprawdę. To istny cud świata. Pomyśleć, że jakiś naród miał dość rozumu i władzy, by coś takiego zbudować. A mimo to jest zupełnie bezużyteczna. Ludzie gadają, że całego dnia trzeba, by wspiąć się na szczyt, ale nie wiem, skąd to wiedzą, skoro nie można się dostać na sam szczyt, i nie dlatego, że rada miejska wymyśliła sobie takie prawo – o nie, po prostu nie sposób dostać się na tyle wysoko, by zrozumieć, po co wieżę zbudowano.

Rigg przyglądał się Wieży O, póki nie przesłoniły jej zapadające ciemności. Zastanawiał się, co jego ojciec mógł o niej wiedzieć. W końcu wiedział wszystko. Ale jakoś nigdy nie pomyślał, żeby udzielić Riggowi lekcji o tej wieży.

Rozdział 7

O

– *To zagięcie czy jakieś zagięcie?* – dopytywał się Ram.

– *Zagięcie tam było* – wyjaśnił zbędny. – *Wszystkie dziewiętnaście komputerów pokładowych informuje, że zagięcie... zostało pokonane.*

Zbędni uważnie dobierali słowa i strukturę zdań. I nie wahali się, chyba że to wahanie miało być znaczące.

– *Powiedziałeś: „zostało pokonane”, ale nie sprecyzowałeś, że pokonane przez nas* – zauważył Ram.

– *Bo najwyraźniej to nie my skoczyliśmy. Pojawiliśmy się dokładnie w miejscu początku skoku.*

– *A wciąż się poruszamy?*

– *Tak.*

– *To gdzie teraz jesteśmy?*

– *O dwa dni podróży bliżej Ziemi. Zajmujemy pozycję, w której byliśmy dwa dni temu.*

– *Zatem z zagięcia wyszliśmy odwrócenie. Lecimy w przeciwnym kierunku.*

– *Nie. Wyszliśmy tyłem do Ziemi, tak jak wskakiwaliśmy w zagięcie.*

– *Nie mamy tylnego biegu. Możemy się poruszać tylko w stronę, w którą jesteśmy zwrócenie.*

– *Według wskazań wszystkich komputerów lecimy przed siebie dokładnie z taką samą prędkością jak wcześniej. I ciągle zbliżamy się tyłem do Ziemi.*

– *A więc poruszamy się jednocześnie w przód i w tył.*

– *Pęd skierowany jest w przód. A ruch w tył.*

– *Mam nadzieję, że nie odbierzecie mi dowodzenia, jeśli przyznam, że się pogubiłem.*

– *Zwątpiłbym w twoje zdrowe zmysły jedynie wtedy, gdybyś się nie pogubił, Ram.*

– *A masz jakąś teorię, która wyjaśniałaby tę sytuację?*

– *My nie teoretyzujemy. Jesteśmy zaprogramowanymi narzędziami, a decyzje, co robić po skoku, leżą wyłącznie w gestii naszego pomysłowego, kreatywnego, dogłębnie przebadanego i wszechstronnie przeszkolonego ludzkiego pilota.*

Ram się zamyślił.

Widać już było budynki miasta O. Rigg nie mógł się nadziwić ich różnorodności. Gdy przez kilka tygodni szedł wraz z Umbem Drogą Północną, krajobraz zmieniał się stopniowo.

Gospodarstwa stawały się coraz częstsze, wioski większe, a domy bardziej okazałe. Strzechy ustępowały miejsca gontom i dachówkom, ceraty w oknach – okiennicom, a czasem nawet szybom ze szkła. Przystań Lejki otaczała aura nowości, ale w tamtej miejscinie każdy budynek miał taką samą drewnianą konstrukcję, dach ustawiony pod tym samym kątem, podobnie ułożone bruk, żwir i okrągłaki na ulicach, do wyboru zależnie od widzimisię właścicieli przyległych domów.

Podczas czterech dni podróży rzeką drzewa na nabrzeżu przesłaniały stopniowe zmiany, a nurt niośł ich szybko, przez co dobijając do portu w O, mieli wrażenie, jakby wkraczali do zupełnie innego świata.

Tu wszystko zdawało się zbudowane z kamienia – nie tego górskiego, szarobrazowego, lecz jasnego, niemal białego, z pasmami żywych kolorów. Na żadnym nie widać było nawet śladu mchu, z wyjątkiem miejsc tuż przy wodzie, gdzie mienił się zielenią w południowym słońcu.

Wieża O lśniła jaskrawym zimnym stalowego ostrza. A ponieważ była o wiele większa niż jakakolwiek inna budowla i wiele razy wyższa niż najwyższe drzewo, całe miasto sprawiało wrażenie bladej kobiecej dłoni dzierżącej straszliwy sztylet wymierzony w niebo.

Gdy Łódź przybiła do brzegu, to wrażenie innego światła się zatarło. Doki bowiem były brudne, zaśmiecone i tłumne jak wszędzie indziej. I, jak się okazało, jednak nie wszystkie budynki były z kamienia; większość z nich zbudowano z drewna, acz dachy miały wyłącznie z ceramicznych dachówek lub – ku zdziwieniu Rigga – z cynowej blachy. Tyle metalu na pokrycie dachu! To wrażenie kamiennej całości wywoływało ledwie kilkadziesiąt większych budowli piętrzących się nad amalgamatem drewnianych magazynów, oberży i sklepików z pamiątkami wokół Wieży O. Z odległości widział jedynie ściany budynków z białego kamienia; z bliska niknęły z oczu w gąszczu wąskich uliczek, gdzie domy zbiły się tak ciasno, że ich piętra niemal się stykały – jak powiedział Bochen: „Można przeprowadzić kochankę przez ulicę, nie schodząc na parter”.

Rigg spodziewał się, że najpierw poszukają kwatery, ale Bochen odrzucił ten pomysł.

– Więc co, zabieramy nasze toboły i dobytek prosto do bankiera? – zapytał Rigg.

Bochen odciągnął ich z ruchliwej ulicy na otwarty plac przed jednym z kamiennych budynków.

– Słuchajcie, przeprawa łodzią, koszt jedzenia i waszych ubrań spłukały mnie niemal do reszty – przyznał bez ogródek.

– Kwatery, na które mnie teraz stać, byłyby tak niskiego sortu, że nie chcielibyśmy zostawiać tam dobytku. Jestem oberżystą, chłopcy, i dobrze znam zajazdy w dokach O.

Wszystko zależy więc od tego, czy uda nam się przekonać pana Bednarza do zamiany jednego z tych... kamieni na pieniądze, tak żeby nikt inny tego nie przyuważył. Wtedy będziemy sobie mogli pozwolić na pokoje w przyzwoitym pensjonacie, nawet nie nadwierzając twojej fortuny, młody Riggu. I dlatego, nigdzie się nie zatrzymując, idziemy wprost do banku pana Bednarza.

Najwyraźniej Bochen dokładnie znał drogę przez labirynt uliczek, bo tylko raz musieli zawracać. Rigg nie mógł się nadziwić jego orientacji, gdyż tabliczki z nazwami ulic powieszono wysoko i tylko na nielicznych budynkach, a i wtedy nie zawsze służyły wiarygodną informacją.

– Och, to stara nazwa – wyjaśnił Bochen, gdy Umbo zapytał którąś z nich. – Potem zrobili z tego bulwar i nadali mu taką samą nazwę. A teraz jest to... coś innego, czego nie pamiętam.

Nieważne. Tu nie uczysz się drogi według nazw, tylko według punktów orientacyjnych i zakrętów.

– Jakich punktów orientacyjnych? Przecież wszystkie ulice są do siebie podobne.

– Jeśli się tu mieszkało, nietrudno je odróżnić – tłumaczył Bochen. – Zresztą wszyscy wiedzą, gdzie jest bank Bednarza, bo on wyłożył swój budynek szarym kamieniem – by nie afiszować się za bardzo, rozumiecie, więc szarym, nie białym – a wysoko na ścianie umieścił zegar. Spytajcie kogokolwiek: „Którędy do zegara bankiera?”. Jeśli nie wie, musi to być jakiś pielgrzym, bo każdy z miejscowych zna to miejsce.

Minęli długi rząd ulicznych kramów, a gdy Umbo zaproponował, by zjedli w którymś, Bochen go odciągnął i popędził naprzód.

– Najesz się tłustego mięcha i pójdziesz do pana Bednarza, ociekając tłuszczem. A on nas przepędzi w cholerę, bo uzna za ludzi, co to nie mają domu, w którym jedzą, ani stołu, przy którym siedzą, ani serwetki, by się nią okryć.

– Ale my naprawdę nie mamy domu ani stołu...

– Otóż to, a musimy sprawiać wrażenie, jakbyśmy mieli, pójdziemy więc głodni i spragnieni do banku, ale nie będziemy wyglądać jak biedni górniacy.

– Przecież nimi jesteśmy – mruknął Umbo pod nosem. Bochen go zignorował.

Rigg jednak to przemyślał. Umbo jest biednym górniakiem, choć w Wodobrodzie jego ojciec zarabiał tyle co inni, a jego rodzina nigdy nie cierpiała głodu. Nikt nie bywał głodny, bo nawet w gorszych czasach społeczność dzieliła się z ludźmi w potrzebie. Wszyscy wiedzieli, że każdy mężczyzna i każda kobieta w miarę możliwości pracuje równie ciężko jak inni, i wszyscy dbali o to, by żadna wdowa czy stara panna nie pomarła z głodu czy chłodu podczas zimowych miesięcy. Nikt nie miał jednak chętki na jedzenie sprzedawane przez ulicznych kramarzy, bo takich nie było. Tylko Nox pichciła dla obcych, ale nawet u niej, żeby dostać jeść, trzeba się było zjawić w porze posiłku; nie wносиła jedzenia na ulicę i nie przywoływała chętnych.

Dziwne, że tylko z racji pobytu w obcym miejscu chłopak któremu nigdy niczego nie brakowało, nagle stawał się biedakiem i musiał być głodny z obawy, by nikt nie zauważył jego ubóstwa.

Bochen też. W Przystani Lejki dobrze mu się wiodło, mógł więc do woli naśmiewać się z biednych górniaków. Lecz w O on też był górniakiem, choć lepiej to ukrywał, bo o wiele więcej podróżował po świecie.

Tylko ja nie jestem biedny. I to mimo że jestem największym górniakiem z nich wszystkich, bo spędziłem całe życie wysoko w górach, w najgłębszych lasach. Lecz z powodu dziewiętnastu klejnotów w sakiewce zwisającej na tasiemce z pasa wkrótce mogę stać się bogaty.

A jednak są mi kompanami w tej podróży, jedynymi przyjaciółmi. Jeśli mnie będzie się dobrze powodzić, to im również. Pieniądze będą moje, ale korzyści spłyną na nas wszystkich.

Bochen wróci do domu z niemałym zyskiem w zamian za swoją pomoc. Umbo może zostać ze mną albo, jeśli taka będzie jego wola, wrócić, skąd przyszedł, tym razem w przednim odzieniu i z pieniędzmi na przeprawę, dzięki którym dopłynię tak daleko w górę rzeki, jak tylko wiosła i tyczki poniosą. Niech wraca do domu i zostanie najbogatszym młodzieńcem w Wodobrodzie, i zobaczymy, czy ojciec dalej będzie się go wyrzekał. Nie, szewc Tegay z wszystkimi honorami zaprosi go do domu i zaproponuje synowi dawne miejsce przy stole.

Ludzie gadają o magii i cudach czynionych przez świętych. Gdyby zobaczyli, co Rigg i Umbo razem zrobili, wyczarowując z powietrza piękny sztylet wysadzany klejnotami, okrzyknęliby ich świętymi lub magami – lecz żaden z tych cudów nie jest tak potężny i użyteczny jak nagły przyływ gotówki. Wtedy następuje przemiana, jakby słońce zaświeciło po deszczu, czego nie potrafi dokonać żaden zły czarnoksiężnik ani wielkoduszny święty, chyba że w najbardziej niedorzecznych mitach.

Dotarli do budynku z szarego kamienia akurat w momencie, gdy wielki zegar wysoko na froncie zaczął dzwonić tak głośno, że Rigg się zdziwił, iż nie usłyszał go wyraźnie już w dokach. W proggu zatrzymał ich mężczyzna, cały przyobleczony w szarość z krótkim mieczem u boku i długim kijem w rękę. Uważnie zmierzył ich wzrokiem.

Bochen już nieraz ich ostrzegał, by trzymali gęby na kłódkę, więc Rigg tylko spojrział na strażnika z nieukrywaniem zainteresowaniem, starając się nie okazywać lęku. Kto wie, może ten mężczyzna wyczytał w jego oczach strach i nadzieję, ale przynajmniej Rigg nie okazał wsem wobec swego bogactwa, jak wtedy gdy wysypał monety na kontuar w oberży Bochna.

Strażnik szczególnie długo przyglądał się Riggowi, zapewne próbując go zmusić do odwrócenia wzroku. Lecz chłopiec wielokrotnie przerabiał z ojcem ten pojedynek na spojrzenia, więc im bardziej strażnik starał się z nim wygrać, tym bardziej Rigg się uspokajał, tym pewniej świdrował wzrokiem. Aż w końcu mężczyzna dał za wygraną.

Wtedy Bochen odezwał się do niego.

– Widzę, że umiesz rozpoznać klasę, nieważne jak wędrowiec byłby sterany. Ten chłopiec i ja – wskazał na Umba – dotrzyśmy wami towarzystwa temu oto młodemu jegomościowi, by zagwarantować jego bezpieczne dotarcie do banku pana Bednarza. Ja już wcześniej robiłem interesy

z panem Bednarzem. Teraz zwą mnie Bochnem z Przystani Lejki, ale niegdyś byłem sierżantem sztabowym w Armii Ludowej. Mam tu rachunki, kredytowe i debetowe.

– W takim razie chłopcy zostają na zewnątrz – rzekł strażnik.

– Nie jestem tu w swojej sprawie, ale tego młodego jegomościa, i do środka wejdziemy we trzech.

– To żaden nie wejdzie. Co za różnica, że ma pan tu rachunki, skoro sprawa pana nie dotyczy? A ten chłopiec – końcem kija wskazał Rigga – nie jest klientem pana Bednarza.

– Mimo to pan Bednarz nie chciałby utracić tego klienta, proszę mi wierzyć – odparł Bochen bez śladu zniecierpliwienia. – Pan Bednarz już nieraz udzielał mi pożyczek, a ja powierzałem mu swoje wpłaty. Niech sam osądzi, czy mi wierzy, gdy mówię, że ten chłopak jest wart po tysiakkroć więcej niż wszystkie moje interesy z tym bankiem. Pan Bednarz wie, że nie zwykłem kłamać i spłacam swoje długi, a to wystarczy, by okupić wstęp, i mniemam, że pan również jest tego zdania.

– Pan Bednarz nie życzy sobie teraz przyjmować żadnych gości.

– Mimo to twierdzą, że nas przyjmie z ochotą – stwierdził Bochen, wciąż całkiem uprzejmie.

Rigg pomyślał: Taki talent to pewnie mus dla oberżysty który powinien zachować spokój, nie ulegać prowokacji. A całkiem możliwe, że ten strażnik tak bardzo się opierał właśnie dlatego, że Bochen wyglądał na takiego, co mógłby podnieść człowieka i pogruchotać o ścianę, gdyby tylko zechciał. Zmuszając Bochna do stania i błagania na progu, strażnik chciał udowodnić, jaki to z niego dzielny chwyt. Choć tak naprawdę, gdyby się głębiej zastanowić, Bochen wcale nie błagał, tylko żądał, acz przyjaźnie, i nie zamierzał dać się odprawić z kwitkiem.

Czyli robił dokładnie to, czego uczył mnie ojciec. Żebym tylko jeszcze potrafił opanować strach...

Rigg postarał się uspokoić, spowalniając oddech i rozluźniając mięśnie. Jeśli chciał być godny swego ojca, musiał zachować rozsądek i pewność siebie, odsuwając wszelkie obawy.

Nie mógł czekać, aż będzie tak stary jak Bochen.

Gdy strażnik wszedł do środka – zostawiając drzwi bez opieki, zauważył Rigg – nie czekali dłużej niż minutę. Powrócił zupełnie zmieniony, uklonił się nisko, uniznienie, i puścił Rigga przodem, najwidoczniej przyznając rację ocenie Bochna. A Rigg, odgrywając swoją rolę, od niechcienia skinął głową, jak gdyby okazywanie mu szacunku uważał za normalne.

Jak tylko znaleźli się w środku, stara kobieta o ostrych rysach poprowadziła ich w górę szerokich schodów, a strażnik wrócił na swoje stanowisko przy drzwiach.

– Czemu te schody są takie szerokie? – zapytał Umbo. – Czy dlatego że wielu ludzi równocześnie z nich korzysta?

– Nie – odparł Bochen cierpliwie, jakby odpowiadał swemu ulubionemu synowi.

I tak należało, pomyślał Rigg – tak jak i ja powinienem zachować milczenie, jakby to miejsce wcale mnie nie dziwiło.

– Bankier musi zaimponować tym, którzy jeszcze nie są jego klientami, pokazując, jak dobrze mu się powodzi. Bogatego bankiera nie kusi, by okraść klientów, a jego zamożność dowodzi, że umie obchodzić się z pieniędzmi.

Umbo już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Rigg go uciszył gestem, tak żeby nie dostrzegła tego kobieta. Wiedział, Umbo chciał powiedzieć, bo sam o tym pomyślał: Bankier oglądający na bogatego mógł się dorobić majątku właśnie w ten sposób, że okradał klientów.

Ale nie czas teraz na słowa, które ktoś mógłby powtórzyć panu Bednarzowi.

Weszli więc bez słowa na kolejne schody. Kończyły się na przestronnym półpiętrze z wielkimi dwuskrzydłowymi przeszklonymi drzwiami.

Staruszka przystanąła wraz z nimi kilka kroków od drzwi i choć nikogo nie było w pobliżu, odezwała się nieszczerze głośno.

– Bochen z Przystani Lejki, były sierżant sztabowy w Armii Ludowej, i dwóch chłopców, w tym jeden, za którego klasę pan Bochen osobiście ręczy, panie.

Drzwi otworzyły się, choć nie dotknęła ich żadna ręka, i to nie na zewnątrz ani do wewnątrz, ale przesunęły się w prawo i w lewo, odsłaniając wielki jasny pokój z wieloma wysokimi oknami na ścianach i stołem większym od tego w jadalni u Nox. Przestrzeń między oknami wypełniały rzędy półek z ciasno ustawionymi książkami.

Pan Bednarz stał za stołem, przy największym oknie, okolony wpadającym przez nie jaskrawym światłem. Wyglądał przez okno, jakby na ścianie budynku naprzeciwko było coś godnego uwagi.

– Wejdźcie, proszę, i spocznicie – rzekł takim głosem, jakby szeptał im wprost do uszu.

Gdy przechodzili przez próg, Bochen pokazał im palec przystawiony do ust, przypominając, że tylko on będzie rozmawiał. Zrazu Rigg przystał na to – w końcu jak dotąd Bochnowi dobrze szło. Jednak zdał sobie sprawę, że tylko lęk i brak wiary w siebie kazały mu się łudzić, iż może pozwolić Bochnowi zająć się wszystkim. Gdy w rachubę wchodził obrót wielkimi sumami, bochen wiedział niewiele, a Rigg miał to w małym palcu. Ojciec w ogóle go nie uczył, jak rozmawiać z pewnymi siebie rzekowcami w ciemnej oberży nad brzegiem, ale wpoił mu wiedzę o finansach i bankowości. A jeśli Rigg ma być wiarygodny jako prawomocny właściciel pieniędzy, których te klejnoty są warte, musi pokazać, że wyłącznie on podejmuje decyzje i nie da się oszukać.

Usiąść można było jedynie na stołkach przy stole. I to niskich, niemal jak zydle do dojenia, więc kiedy usiedli, nawet Bochen wyglądał komicznie, niczym dziecko przy stole dorosłych. Umbo nie był specjalnie wyrosnięty jak na czternastolatka, wyglądał więc jeszcze śmieszniej – brakowało mu tylko śliniaczka.

Rigg nie usiadł. Od razu poznał się na tym, bo ojciec go ostrzegwał, że ludzie zazdrośni o swoją władzę i lękający się ją stracić uciekają się do podstępów, by zdominować innych.

„Jeśli nie pozwolisz takim ludziom się podejść, będą się ciebie bali. Jeśli tego właśnie chcesz, nie gódź się na ich warunki. Jeśli jednak chcesz wyprowadzić ich w pole, poddaj się temu bez protestu, lecz bądź świadomy, co się dzieje”.

Rigg postanowił, że się nie podporządkuje, wiedział bowiem, że powinien sprawiać wrażenie posiadacza wielkiej fortuny, który przynosi ją do banku, a nie zwykłego petenta przychodzącego po prośbie. Bankier musi zabiegać o jego względy, a nie odwrotnie – właśnie w ten sposób należało prowadzić tę rozmowę.

Uświadomił sobie też, że ojciec podczas wędrówek po lasach przygotowywał go na taką właśnie chwilę. Żył w lasach wśród dzikiej zwierzyny, miałem łokcie utyłane we krwi, a dłonie zgrubiałe od noża do skórkowania – ale wykształcenie predestynuje mnie do takich pokoi jak ten.

Gdy szuranie przysuwanych stołków ucichło, pan Bednarz odwrócił się i przez chwilę mrugał oczami, najwyraźniej oswajając się z niespodziewanym widokiem Rigga stojącego przy stole i otwartej torby leżącej na blacie.

Rigg spokojnie napotkał jego wzrok, starając się zrewanżować tym samym chłodnym spojrzeniem, którym obdarzył strażnika na dole. A gdy to robił, zauważył ścieżkę, którą pan Bednarz ostatnio podążał, kilka krótkich przechadzek wte i wewte między stołem a półkami.

Uświadomił sobie, że gdy bankiera po raz pierwszy powiadomiono o ich przybyciu, pan Bednarz pospiesznie sprzątnął ze stołu. To stanie przy oknie było jedynie na pokaz. A więc faktycznie uznał wizytę Bochna za kwestię o jakimś znaczeniu i zadał sobie trochę trudu, by sprawić wrażenie wyniosłości. Co sugerowało z kolei, że chętnie ubije z nimi interes.

– Panie Bednarz – odezwał się Rigg, choć Bochen otwierał już usta, a teraz piorunował go wzrokiem, zły, że chłopak nie zachowuje milczenia. – Niedawno przejąłem spadek po moim świętej pamięci ojcu. Zamierzałem zabrać rzeczony spadek do Aressa Sessamo, gdzie mieszka nieznana mi gałąź mej rodziny. Ojciec przekazał mi list polecający do tamtejszego bankiera, ale okazało się, że dokończenie tej podróży byłoby bardzo utrudnione bez zamiany części spadku na gotówkę. Dlatego też chciałbym, by nadzorował pan sprzedaż pewnego przedmiotu, zwrócił mi niewielką część jego wartości w monetach i przekazał list kredytowy, który będzie można wymienić w Aressa Sessamo, gdy już tam dotrę. Czy słusznie zakładam, że ma pan kontakt z przynajmniej jednym bankiem w Aressa Sessamo?

Irytacja Bochna przerodziła się w coś na kształt podziwu. Ale czyż ojciec nie zmuszał Rigga do ćwiczenia retoryki? „Powiedz to samo, lecz tak, jakbyś mówił do osoby, którą kochasz, wobec której masz wielki dług wdzięczności”. „A teraz jakbyś mówił do kogoś, komu się zdaje, że ma nad tobą władzę, a kogo chcesz onieśmielić”. „Powiedz to do kogoś z wyższego stanu niż ten, za którego przedstawiciela chcesz uchodzić”. „A teraz powiedz to tak, by nie pozostawić komuś wątpliwości, że jest niższego stanu”. Kiedyś Riggowi to wszystko wydawało się zabawą, ale nim skończył dziesięć lat, po mistrzowsku opanował retoryczne wybiegi i robił z nich na tyle dobry użytek, że ojciec nieraz śmiał się z zachwytu, słysząc niektóre tyrady. Całkiem sprawnie wykorzystywał te zdolności w rozmowach z gospodarzami, oberżystami i innymi podróżnikami na Drodze Północnej, niegorzej też poradził sobie z Bochnem i Lejką, ale wtedy służyło mu uchodzenie za tego, kim naprawdę był – zwykłym chłopcem w potrzebie.

Teraz Bochen i Umbo zobaczyli go w innej roli – jako chłopca całkiem świadomego własnej wartości, równego człowiekowi, od którego oczekuje konkretnej usługi i nie zamierza za nią płacić ani odrobinę więcej, niż jest tego warta.

– Tak, tak – odparł pan Bednarz po chwili wahania. – Mam dobre układy z dwoma aressadzkimi bankierami. U obu mój list kredytowy spotka się z dobrym przyjęciem.

– Przy jakim dyskoncie? – zapytał Rigg. Dzięki ojcu miał świadomość, że listy kredytowe mogą zostać przyjęte, ale z dyskontem sięgającym niekiedy dziewięćdziesięciu procent do czasu gdy środki będzie można przekazać i zweryfikować.

– Żadnego dyskonta, zapewniam! – zapał pan Bednarz, nieco się rumieniąc. A powód zmieszania stał się jasny, gdy był zmuszony dodać: – W jednym z nich, w każdym razie, banku Rududory'ego i Synów.

– A w tym drugim, w tym, który zdyskontuje pana list?

Bankier jeszcze bardziej się zaczerwienił.

– Jak to ma znaczenie?

– Zamierzam pójść z listem najpierw do banku, który pana dyskontuje, wzgardzić ich dyskontem, a potem udać się do Rududory'ego. Może pan być pewien, że tamci pożałują tej straty i już nigdy pana nie zdyskontują.

– To... to miłe z pana strony. – A jednak Bednarz wciąż wydawał się nie do końca przekonany.

– Przysługa za przysługę. Najlepsze, co odziedziczyłem po ojcu, to jego zasady uczciwego handlu. Nauczył mnie, że lepiej zjednać sobie kogoś dzięki uczciwemu traktowaniu w interesach, niż zarobić, ale stracić jego zaufanie. Sierżant sztabowy Bochen zapewnia mnie, że pan również kieruje się takimi zasadami, i dlatego zatrzymałem się w O, by porozmawiać z panem. O ile jest pan zainteresowany.

Rzecz jasna Bochen nic takiego nie powiedział, ojciec jednak nauczył Rigga też tego:

„Traktuj każdego tak, jakby ten ktoś miał dobrą renomę do obrony, a wtedy zrobi wszystko, by

na nią zasłużyć”.

– Ten drugi bank to Długorzek i Długorzek – przyznał bankier.

Rigg potaknął z powagą. Świetna nazwa dla banku, z „długiem” na szyldzie, pomyślał z przekąsem.

– Czas najwyższy pokazać, co chcę, by pan dla mnie sprzedał. Proszę się odwrócić, jeśli łaska.

Bochen zrobił wielkie oczy i wyglądał, jakby miał zaprotestować, jednak się powstrzymał. Rigg wiedział doskonale, że na jego miejscu Bochen sam odwróciłby się plecami, by wyjąć klejnoty ze spodni; to, że Rigg domagał się tego od pana Bednarza, zakrawało na bezczelność – chyba że Rigg naprawdę jest wielkim paniczem, rzecz jasna, przyzwyczajonym do tego, że ludzie słuchają jego poleceń.

Pan Bednarz wahał się przez chwilę, ale odwrócił się i znów wyjrzał przez okno, z teatralną manierą kogoś, kto po prostu postanowił, że to świetna okazja, by poobserwować ptaki krążące nad gzymsami budynku naprzeciwko.

Rigg sięgnął do spodni, wyciągnął sakiewkę, szeroko ją rozchylił. Który klejnot przekazać bankierowi? Zdecydował się na błękitny w kształcie łyzy. Zasznurował sakiewkę, wetknął ją z powrotem do spodni i podszedł do bankiera.

– Obejrzyjmy to w jasnym świetle, przy oknie – zaproponował.

To wspaniałomyślny gest, że wielki panicz, którego Rigg udawał, obszedł stół, by pokazać klejnot Bednarzowi. Zaledwie chwilę po tym, jak utarł mu nosa, dał odczuć bankierowi, że też darzy go szacunkiem, może nawet sympatią.

Rigg położył klejnot na blacie, daleko od krawędzi bliższej bankierowi.

– Mam świadomość, że nie jest pan jubilerem i że wycenę tego kamienia musi pan skonsultować. Wierzę jednak, że ma pan dość doświadczenia z wszelkimi formami zabezpieczeń finansowych, by wiedzieć, co ma pan przed oczami. – Bo ja z pewnością nie mam, pomyślał.

Zanim pan Bednarz zdążył usiąść na krześle, Rigg odsunął je od stołu.

– Niech oparcie nie zasłania nam światła – wytłumaczył.

W rezultacie bankier musiał spocząć na stołku, by obejrzeć kamień, a Rigg usiadł na krześle. Tym samym fortel Bednarza, by utrzymać gości na niższej, podrzędnej pozycji, obrócił się przeciwko niemu. Podczas gdy bankier oglądał klejnot, Rigg zobaczył, że Bochen ledwie powstrzymuje się od szerokiego uśmiechu, gdyż pan Bednarz był niższy od Bochna i nie wyższy od Umba, a siedząc na stołku, wyglądał jeszcze bardziej komicznie niż reszta.

Bednarz wstał. W tej samej chwili Rigg podniósł się z krzesła i wsunął je na miejsce, ponieważ graniczyłoby z bezczelnością, gdyby siedział dalej.

Bankier odchrząknął.

– Robi pan wielki zaszczyt mojemu skromnemu bankowi.

– To zaszczyt należny wszystkim uczciwym ludziom interesu, gdy sprawa wymaga wielkiego zaufania.

– Czy pan sobie życzy zaliczki na poczet wartości klejnotu na czas gdy będę realizował jego sprzedaż w pańskim imieniu?

– Nie oddaję kamienia w zastaw, proszę pana – odparł Rigg z wyższością, dając dobitnie do zrozumienia, iż mierzi go sama myśl, że spieniężyłby taki skarb, by otrzymać parę groszy na bieżące wydatki. – Wystarczy mi pana pokwitowanie, z oświadczeniem o prawdopodobnej wartości. – Co pozwoli im zdobyć zakwaterowanie w najlepszych hotelach, choć nie będzie miało żadnej wartości w zwykłych domach noclegowych.

– Tak, oczywiście, nie chciałem... Czy pozwoli pan, bym zarekomendował pensjonat, gdzie

będzie pan najbardziej zadowolony z posiłków i łóżka?

– Może pan zarekomendować trzy. I ciepło pana wspomnimy, gdy będziemy dokonywać wyboru.

Bednarz ruszył z miejsca, nie z tą flegmatyczną godnością, którą okazywał na początku, lecz gorliwie. W te pędy dopadł półki, zdjął jakąś książkę i ryzę papieru, po czym zawrócił do stołu po pióro i kałamarz. Usiadł na krześle i zaczął pisać. Tymczasem Rigg wyjął z torby list do bankierów otrzymany od Nox i położył przed Bednarzem, by mógł prawidłowo napisać jego nazwisko rodowe.

Potem Rigg już się nie przypatrywał bankierowi, tylko chodził po pokoju, przeglądając półki, ciekawy, jakie książki ten człowiek trzyma u siebie. Wiele z nich nie miało napisów na grzbietach, jedynie cyfry odpowiadające miesiącom i latom – to księgi rachunkowe. Reszta, z tytułami na okładkach, była w tak wielu językach, że Rigg podejrzewał, iż Bednarz nabył je ze względu na piękne oprawy i wcale ich nie czyta. Chyba że jest z niego nie lada lingwista.

Ta myśl uświadomiła Riggowi, że ojciec był takim właśnie lingwistą, a ucząc Rigga czytania i mówienia w czterech obcych językach i rozumienia nieco kilku innych w piśmie, i historii narodów mówiących tymi językami, uczynił takiego lingwistę także z syna. Chłopak często narzekał, że te wszystkie języki są mu nieprzydatne, a ojciec zawsze odpowiadał:

„Człowiek, który mówi tylko w jednym języku, nie rozumie żadnego”.

– Co do pańskiej prowizji, panie Bednarz – odezwał się Rigg, nie odwracając się w stronę bankiera – sądzę, że w tych okolicznościach podniosę przyjęte pół procent do trzech czwartych, płatnych bezzwłocznie po sprzedaży.

Pan Bednarz nic nie powiedział, nie przerywając kreślenia piórem, a Rigg był całkiem pewien, że bankier by zaproponował jakąś absurdalną prowizję, na przykład trzy procent albo i większą. Gdy Rigg znów podszedł do stołu, zauważył, że Bednarz na umowie pełnomocnictwa skreślił „pół procent” i w wolnym miejscu powyżej napisał „trzy czwarte procent”. Czy naprawdę wpisał zwyczajową wartość prowizji, zanim Rigg się odezwał, czy też dopiero później, a potem skreślił to, by klient odniósł mylne wrażenie, tego Rigg dowie się wkrótce od Bochna, który uważnie bankiera obserwował.

Rigg i Bednarz złożyli podpisy na właściwych dokumentach: umowie pośrednictwa, która powie jubilerowi, że Bednarz ma upoważnienie do zawarcia z nim umowy i otrzymania środków za sprzedaż klejnotu; i pokwitowaniu poświadczającym, że bank Bednarza jest w posiadaniu przedmiotu o wartości nie mniejszej niż jeden trzos, należącego do Rigga Sessamekesha, syna pana W.C. z Górnego Kosmolo.

W oczach Rigga jego własne nazwisko wciąż zdawało się obce. Ale napisał je w skupieniu i wyraźnie. Teraz było już jego podpisem.

Skoro według oficjalnego kursu wymiany w Aressa Sessamo trzos stanowił równowartość dwustu dziesięciu tysięcy fenów, i jeszcze więcej w górze rzeki, bez trudu dostaną kwaterę – nawet u burmistrza w domu, gdyby Rigg był na tyle zuchwały, by się mu przedstawić i o to poprosić.

Dla Bochna słowo „trzos” miało pewne znaczenie, jako Pokażna suma pieniędzy, którą na własne oczy widzą tylko bogacze; w rozumieniu Umba był to po prostu woreczek na pieniądze. Rigg jednak nauczył się przeliczać trzosity, fule, błyski, liczki i glansy tak łatwo, jak normalni ludzie rachują królewce, damki, jopki i knuraki – albo feny, szeby, pingi i farty, jak zwano je w dole rzeki. Wiedział, że za trzos mieszkaniec górnego biegu rzeki mógł kupić posiadłość z dużym domem i ziemią zdolną wyżywić trzysta osób. Przychód z takiej posesji wystarczyłby na utrzymanie domostwa z tuzinem służących, a także koni ciągnących bogaty powóz. A czerpiąc zyski z takiej posiadłości rodzina nie musiałaby już nigdy martwić się o pieniądze, pod warunkiem że nie rozparcelowałaby

ziemi.

Tyle był wart jeden trzos, gdyby ktoś kiedykolwiek wybił taką monetę; ojciec mówił, że tak wielkie sumy istniały tylko jako abstrakcja na rachunkach banków i skarbu państwa albo w piśmie na zaświadczeniach o wartości.

Jedno było pewne: ojciec nie wszedł w posiadanie tych klejnotów dzięki oszczędnemu gospodarowaniu pieniędzmi za futra, które sprzedawali.

Rigg przypomniał sobie, jak wysypał pieniądze na kontuar w oberży Bochna, i zastanawiał się, co też pan Bednarz by sobie pomyślał, gdyby Rigg pokazał mu resztę klejnotów i poprosił o orientacyjną wycenę. Oczywiście nie zamierzał tego zrobić; wątpił, czy w mieście choć jeden jubiler dysponował tyloma środkami, by kupić raptem jeden klejnot za gotówkę. Dadzą panu Bednarzowi jakiś zadatek, a resztę zapłacą, gdy już sprzedadzą kamień któremuś z jubilerów w Aressa Sessamo.

Jednakże Bednarzowi dość będzie umowy z jubilerem, by wypłacić Riggowi zaliczkę w dowolnej wysokości, w rozsądnych granicach, rzecz jasna. Może ze dwa błyski. Prosić o fula byłoby przesadą. Zresztą niby gdzie tutaj wyda tyle pieniędzy? Reszta wartości będzie odnotowana w liście kredytowym, który Rigg zabierze do bankierów w Aressa Sessamo. Tam zamierzał podzielić fundusze pomiędzy kilka renomowanych banków i zatrudnić pośredników obrotu obligacjami, by kupowali i zarządzali gruntami i interesami w jego imieniu.

Tego wszystkiego uczył się jako cyklu intelektualnych dylematów; myśl, że ma to zrobić naprawdę, ponosząc realne koszty, jeśli się pomyli lub ktoś go oszuka, działała zniechęcająco.

Tak mam spędzić resztę życia? Pilnując zarządców i bankierów, sprawdzając ich, by się upewnić, że zbytnio mnie nie oszukują, decydując o przyszłości innych ludzi przez moje widzimisie, co kupić i kiedy sprzedać? Dobrze się czuję w lesie, a nie w takiej siedzibie jak pana Bednarza, nieważne że widna dzięki tym wielkim oknom.

Gdy wszystko skopiowano, wszystkie duplikaty podpisano, papiery poskładano, a błękitny klejnot umieszczono w pudełeczku, pan Bednarz promieniał. Ten klejnot potroi aktywa jego banku. Większość funduszy i tak wkrótce trafi do banków w Aressa Sessamo, ale każdy, kto będzie miał styczność z tymi pieniędzmi lub z klejnotem, nieźle zarobi, a pan Bednarz zyska wielkie poważanie wśród ludzi robiących interesy w O, bo fama pójdzie w świat. Sam się o to postara, a jubilerzy będą mu świadkami.

– Nie chciałbym się już z panem żegnać – powiedział – ale muszę niebawem wyjść, by zebrać oferty od jubilerów, a by to zrobić, zamknę bank i poproszę mojego strażnika, Beka Piwowara, by towarzyszył mi w drodze.

– Czy to rutynowa praktyka? – zapytał Bochen, jak zwykle baczny. – Czy to czasem nie uprzedzi ludzi, że ma pan coś, co warto by ukraść?

– Rozsądne pytanie – przyznał pan Bednarz. – Bek zawsze mi towarzyszy, gdy wychodzę w ciągu dnia, a wszyscy wiedzą, że nie biorę z sobą pieniędzy, kiedy kończę pracę albo przychodzę tu z rana. Raczej nie ma się czego obawiać... przynajmniej póki któryś z jubilerów nie zacznie paplać. – Nicco się zaczerwienił, bo słowo „paplać” nie przystało bankierowi.

Ależ nic nie szkodzi, panie Bednarz, pomyślał Rigg. Wszyscy tu jesteście pozerami.

Nie minęła godzina, a już znaleźli kwatery w kilkupokojowym apartamencie w pierwszym pensjonacie poleconym przez Bednarza.

– Nie będziemy sprawdzać pozostałych dwóch? – zapytał Umbo.

– Ten jest niczego sobie, a ja marzę o kąpieli – stwierdził Bochen. Machnięciem ręki odprawił służących i zostali sami.

– Poprosiłem o trzy rekomendacje – tłumaczył Rigg – by pan Bednarz zrozumiał, że nie damy mu

się pokierować ku miejscu, gdzie ma umowę z właścicielem i dostaje jakiś procent tego, co tam wydamy.

– Ludzie tak robią? – zdziwił się Umbo.

Bochen zachichotał.

– On pewnie ma umowę z wszystkimi trzema. I szpiegów którzy obserwują, co robimy.

Sprawił na mnie wrażenie ostrożnego faceta.

– Ale muszę zachować pozory – rzekł Rigg.

– Pozory! – parsknął Bochen. – Gdzieś ty się nauczył tak mówić? Ze mną i z Lejką rozmawiałeś tak elegancko, aż sądziłem, że odstawiasz komedię, a to nic w porównaniu z tym, jakieś mówił do pana Bednarza!

– Myślałem, że narobi w portki – rzucił Umbo pod nos.

– Pan Bednarz musiał usłyszeć wielkopańską mowę i zobaczyć idący z nią w parze sposób bycia. Czy mówienie jak bogacz by na ciebie podziałało? Albo na Lejkę?

– Ani trochę na mnie, a jeszcze mniej na nią.

– Więc do ciebie mówiłem jak chłopiec z pewnym wykształceniem, ale taki, który dorastał w małym miasteczku w górze rzeki. Ojciec zawsze mawiał: „Jeśli będziesz mówił jak ktoś przyzwyczajony do tego, że ludzie są mu posłuszni, to tacy też będą wobec ciebie. Jeśli jednak będziesz mówił jak ktoś, kto boi się nieposłuszeństwa innych, będą tobą gardzić”.

– Co jeszcze powiedział? – zaciekał się Umbo. – Bo mnie tego nie uczył.

Nie było sensu mu wyjaśniać, że ojciec całe dni poświęcał na uczenie i przepytywanie syna z wiedzy, która – jak Rigg niegdyś myślał – w ogóle mu się nie przyda do życia.

– Szkoda, że nie napomknął ani razu, gdzie znalazł tak cenny klejnot.

– Dziewiętnaście klejnotów – poprawił Bochen. – Myślę, że w kroczu nosisz lwią część majątku tej strony Muru. – Potem się zaśmiał. – Ale tak przecież wydaje się wszystkim młodzieńcom!

Trzy kąpiele i obiad później spali sobie w najlepsze na miękkich łóżkach we własnych pokojach, gdy nagle u drzwi rozległo się delikatne pukanie. Bochen wstał, by zobaczyć, kogo przyniosło. Rigg zakładał, że to wezwanie od bankiera, ale nie – to był sam Bednarz. Bochen zaprosił go do salonu i niebawem wszyscy wysłuchali sprawozdania.

– Trzej jubilerzy powiedzieli mi to samo, panie – zaczął Bednarz, zwracając się do Rigga.

– Ten kamień, niestety, jest wart więcej, niż szacowałem. Wiele więcej. To sławny klejnot, rozpoznawalny po konkretnych cechach. Był zwieńczeniem pradawnej korony królewskiego rodu z dalekiej krainy na północnym zachodzie, której nazwy w życiu nie słyszałem. Zdobyty jako trofeum w bitwie przez wielkiego generała, bohatera. Myślałem, że ten człowiek był zwykłym mitem, ale jubilerzy wierzyli w jego istnienie. Legenda głosi, że on stracił ten klejnot z korony – stąd to znamię – i podarował swemu bliskiemu przyjacielowi, bohaterowi Strażnikowi Muru, który, jak mawiają, chodził po granicach świata. Nie wiadomo, jak błękitny klejnot Strażnika Muru trafił w ręce twego ojca, ale to na pewno ten klejnot. A jego wartość tak wielce przekracza trzos, że żaden jubiler go nie kupi, bo nie znają nikogo, komu mogliby go sprzedać.

Rigg poczuł ukłucie strachu, gdy pan Bednarz zrobił zawołaną aluzję do tego, jak ojciec mógł wejść w posiadanie klejnotu. Czy doniesie, że go skradziono? Nie – gdyby to zrobił, Ludowa Rada Rewolucyjna by go skonfiskowała, a pan Bednarz nie zobaczyłby nawet marnego knuraka. Nie, bankier jedynie tłumaczył, że nie ma pojęcia, jak go sprzedać. Rigg uspokoił się i zaczął rozmyślać, jak obejść ten problem.

A tymczasem Bochen zapytał:

– Skoro jest wart więcej niż trzos, to ile?

– Bez kupca trudno ocenić. Co najmniej susa. Ale kto w Republice Ludowej jest dość bogaty, by go kupić? A nawet jeśli, to kto się przyzna do kupna, wiedząc, że zostanie mu odebrany?

– I gdzie tu problem? – zapytał Rigg. – Klejnot po prostu trzeba sprzedać w tajemnicy komuś, kto wyceni go bez oświadczenia innym, co wpadło mu w ręce.

– Wtedy cena byłaby drastycznie pomniejszona. Zamiast pięćdziesięciu trzosów najwyżej pięć, a prawdopodobnie mniej. Może tylko dwa.

– A co z konsorcjum? – zasugerował Rigg. – Czy wszyscy trzej razem podjęliby się kupna i sprzedaży?

– Mogliby, gdybym to zaproponował. Na przykład spółka pomiędzy nimi trzema, ze mną na dodatek.

– Tym samym zamieniając swoją prowizję na udział w zyskach?

– Chyba że jaśnie pan się nie zgadza – odparł bankier przymilnie.

– Żaden tam ze mnie jaśnie pan... a jeśli mój ojciec nim był to nic mi o tym nie wiadomo.

Proszę zwracać się do mnie per paniczu Riggu, to wystarczy.

– Pana życzenie jest dla mnie rozkazem, paniczu.

– Widzę, że musimy tu zostać dłużej, niż zamierzałem. Ale spodziewam się, że załatwi pan sprawę wedle sposobu, jaki panu wyłożyłem. Domyślam się, że jubiler w Aressa Sessamo potajemnie sprzeda kamień za okazyjną cenę trzech trzosów jakiemuś anonimowemu kupcowi, i przekaże dwa i pół trzosa wspomnianej przez pana spółce, a panowie udzielą mi pożyczki w wysokości dwóch trzosów, mówiąc mi, że każdy z panów zarobił ledwie po jednym fulu. – Rigg powiedział to z uśmiechem, a na protesty pana Bednarza zareagował, kręcąc głową. – Nie mam żadnych pretensji do kogoś, kto osiąga zysk rodzący jego fortunę, panie Bednarz – uspokajał.

– Nie mogę się na to zgodzić, nieważne, ile bym zarobił – zaproponował bankier. – Ten klejnot jest bezcenny.

– Mimo to trzeba go wycenić.

– Nawet jeśli wszystko ułoży się po pańskiej myśli, paniczu Riggu, otrzyma pan ledwie jedną dwudziestą piątą jego prawdziwej wartości.

– Mój ojciec z pewnością wiedział, że trudno będzie go sprzedać, gdy mi go przekazywał.

Gdyby wyceniał ten kamień na więcej, niż mogę otrzymać, zabrałby go ze sobą.

Wszyscy popatrzyli na niego z zaskoczeniem i konsternacją.

– To tylko żart, bardzo w stylu mojego ojca. Nie mógł zabrać klejnotu, więc dał go mnie.

A ja chcę go spieniężyć, bo potrzeba mi pieniędzy. Tak więc ten pradawny skarb przyniesie mi tyle, ile wart jest w gotówce, a nie w jego sławie. Tymczasem mogę się tylko zastanawiać, jak to trofeum bohatera znalazło się w moich rękach, bo ojciec mi już tego nie powie. Do dzieła, panie Bednarz, i proszę załatwić sprawę możliwie najszybciej. Żeby pana zmotywować do pośpiechu, koszty naszego zakwaterowania potrącimy z pańskiego zysku ze sprzedaży, a nie z mojego.

– Sam miałem to zaproponować – rzekł Bednarz.

– Tak właśnie myślałem, że nie w smak były panu te trzy czwarte procent – stwierdził Rigg z uśmiechem.

– Z punktu widzenia normalnej praktyki to i tak był aż zbytek szczodrości z pańskiej strony, paniczu. Sam pan zaproponował konsorcjum, a ja nie widziałem powodu, dla którego jubilerzy mieliby zbić fortunę, podczas gdy ja musiałbym się zadowolić trzema czwartymi procent – co byłoby piękną sumą, gdybym nie zdawał sobie sprawy, że inni zarobią więcej.

– Wiem z doświadczenia, co to zysk, i go panu nie skąpię. Proszę tylko te warunki zachować w tajemnicy, tak jak tożsamość kupca, bym nie zyskał reputacji naiwnego. I może być pan pewien: we

właściwym czasie na pewno się dowiem, ile zapłacił anonimowy kupiec, i jeśli moja część będzie mniejsza niż dwie trzecie tej sumy, wrócę do pana i będzie pan miał dużo szczęścia, jeśli przeprowadzę ze sobą tylko prawników.

Rigg powiedział to tak pogodnym tonem, że ktoś mógłby przeoczyć ukrytą między słowami groźbę krwawej zemsty. Bednarz odpowiedział równie uprzejmie, ale doskonale zrozumiał aluzję.

Gdy bankier wyszedł, Rigg powiedział do Bochna:

– Twoje honorarium też będzie większe.

– Moje honorarium będzie takie, jak ustaliliśmy – rzekł Bochen.

– Gdybym znał wartość tych klejnotów, w życiu nie zgodziłbym się zapłacić ci tak mało.

– A gdybym ja znał wartość choć jednego klejnotu, w życiu nie zgodziłbym się ciebie tu doprowadzić. Zanim jeszcze pokazałeś kamień panu Bednarzowi, zrozumiałem, że wziąłem na siebie zbyt wielką odpowiedzialność. To dla mnie za wysokie progi. Honorarium, które ustaliliśmy, było uczciwe, i od tej pory nic się w tym względzie nie zmieniło.

Rigg dalej nie protestował, był bowiem całkiem pewien, że gdy w końcu omówią to z Lejką, oberżysta zgodzi się bez wahania. Po co się miał kłócić z Bochnem? Niech Lejka się z nim pokłóci.

Jak się okazało, zawiązanie konsorcjum potrwało niemal dwa tygodnie.

W tym czasie Rigg, Umbo i Bochen zaznajomili się z oberżami, restauracjami, galeriami, sklepami, parkami, bibliotekami, straganami z książkami i innymi atrakcjami miasta. Jednak oczekiwanie się opłaciło, gdyż sprzedaż przyniosła o wiele więcej, niż wynikało z orientacyjnych szacunków Rigga. Dostał aż trzy trzosi.

Ostatniego dnia wrócił z banku pana Bednarza z jednym błyskiem i dwunastoma glansami, a jeden z nich bankier na prośbę Rigga zamienił na miejscu na sto dwadzieścia fenów – po obowiązującym w O kursie wymiany waluty rzecznej i ludowej.

Miał też dwa dokumenty podpisane przez świadków. Jednym był list kredytowy na dwa trzosi, który Rigg zamierzał zdeponować w banku lub bankach w Aressa Sessamo, gdzie w końcu trafią fundusze – zapewne w ogóle nie przechodząc przez O ani bank Bednarza.

Drugim dokumentem było zaświadczenie o złożeniu depozytu w wysokości jednego trzosa na trzy procent, zabezpieczonego całym osobistym majątkiem pana Bednarza, który częściowo tam wyliczono. W rezultacie Rigg kupił bank i wydzierżawił go panu Bednarzowi w zamian za trzyprocentowy zwrot z inwestycji w skali rocznej; gdyby zażądał zwrotu jakiegokolwiek części wkładu, a Bednarz nie mógłby dokonać wypłaty, ten dokument dawał Riggowi prawo bez działań sądowych zająć siłą całą własność pana Bednarza.

Zaufanie jest dobre w interesach, ale ściśle w wykładni dokumenty pomagają zachować tę ufność pomimo długiego rozstania.

A w głowie Rigga, i zapewne też w głowach Bochna i Umba, kołatała świadomość, że Rigg wciąż ma osiemnaście klejnotów nieznannej wartości przywiązanych tasiemką w pasie.

Niemożliwe, żeby wszystkie były sławnymi relikwiami z zamierzchłych czasów. Wcale niewykluczone, że Rigg przypadkowo wybrał z sakiewki jedyny klejnot wart więcej niż ful czy dwa. Ale nawet tyle by wystarczyło, by w Wodobrodzie kupić dosłownie wszystko, nawet nie zauważając wydatku. Był to majątek niewyobrażalny. Gdyby Rigg chciał wydać go w całości, nie wiedziałaby, od czego zacząć; mógł wydawać fortunę każdego dnia i do końca życia mu jej nie zabraknie.

Tyle że jego pojęcie fortuny właśnie uległo zmianie, a był pewien, że gdyby naprawdę się do tego przyłożył, zdołałby ją całą roztrwonić. To właśnie mówił mu ojciec: „Żadnemu bogaczowi los nie poskąpił szczęścia do przyjaciół, którzy chętnie jego pieniądze wydadzą”.

Jednak, przynajmniej na razie, Bochen i Umbo nie przejawiali chętki na jego pieniądze.

One ich przerażały. Owszem, nadal z nim żartowali, ale też od czasu do czasu stronili od niego. Wydawali się zaskoczeni i nawet wdzięczni, gdy okazywał im zwykłe zainteresowanie.

A rozmowa o tej zmianie w ich zachowaniu tylko pogorszyłaby sprawę, gdyż poczuliby, że Rigg ich ocenia i najwyraźniej w jego oczach wypadali blado, więc byliby jeszcze bardziej skrępowani, bardziej skorzy, by mu się przypodobać. A tego nie chciał. Mógł jedynie być sobą i nigdy nie rozmawiać z nimi tak jak z panem Bednarzem, jubilerami i prawnikami, z którymi współpracował, by doprowadzić interes do końca.

Tak po prawdzie polubił swoją pozę posiadacza majątku i władzy, lubił, kiedy dorośli ludzie traktowali go, trzynastolatka, z wprost absurdalną uległością. Przyszło mu na myśl, że gdyby naprawdę był potomkiem królewskiego rodu, jak twierdziła Nox, i gdyby to wciąż cokolwiek znaczyło pod rządami Republiki Ludowej, pewnie wychowałby się w przeświadczeniu, że zasługiwał na takie traktowanie.

Wiedział jednak – czyż ojciec go nie przestrzegał? – że nie wolno mu się wyceniać według posiadanych pieniędzy. „Wystarczy chwila, a się rozpląną. Pieniądze zachowują jedynie taką wartość, jaką społeczeństwo im przypisuje. Już niejeden bogacz odkrył, że po upadku jego narodu i inflacji waluty jego pieniądze były warte tyle co cynowa blacha, a on stał się żebrakiem”.

Jako że taki los spotkał tysiące arystokratycznych rodów Po rewolucji ludowej, Rigg wziął sobie tę lekcję do serca. Wiedział, że pieniądze to coś oddzielonego od człowieka. Nie urodziłem się z nimi i z nimi nie umrę, wszystko przemija, pomyślał.

A jednak miła była świadomość, że już nigdy w życiu nie będzie się musiał martwić o pieniądze. To odróżniało go od większości ludzi na tym świecie. Nie można mieć takiego majątku i pozostać tym samym człowiekiem, dobrze o tym wiedział. Mógł się tylko starać, by te zmiany nie były zbyt drastyczne. I by nie wszystkie były zmianami na gorsze.

Rozdział 8

WIEŻA

Ram myślał o tym, siedząc, stojąc, chodząc i leżąc. Myślał o tym z zamkniętymi i otwartymi oczami, grając w gry komputerowe, czytając książki, oglądając filmy i zbijając baki.

W końcu wymyślił pytanie, które mogło prowadzić do uzyskania choćby strzępu użytecznej informacji.

– Światło gwiazd za nami jest przesunięte ku czerwieni czy ku fioletowi?

– Gdy mówisz „za nami”, chodzi ci o pozycję przestrzenną, którą zajmowaliśmy kilka chwil temu? Czy tę od strony rufy?

– To drugie. Od strony Ziemi.

– Ku czerwieni.

– Gdybyśmy poruszali się w kierunku Ziemi, byłoby przesunięte ku fioletowi.

– To anomalia – wyjaśnił zbędny. – Z każdą chwilą zbliżamy się do Ziemi, a jednak przesunięcie jest ku fioletowi. Komputery z trudem radzą sobie z tymi sprzecznymi danymi.

– Porównaj ze stopniem przesunięcia ku czerwieni w momencie, gdy byliśmy w tej samej pozycji, lecąc w kierunku zagięcia.

Zbędny odpowiedział błyskawicznie. Łatwo było to sprawdzić.

– Jest identyczne jak to zarejestrowane podczas podróży na zewnątrz.

– A zatem zwyczajnie powtarzamy tamten lot – wywnioskował Ram. – Statek porusza się w przód, zgodnie z napędem silnika. Ale my, wewnątrz statku, poruszamy się do tyłu w czasie.

– To czemu nie widzimy się takich, jacy byliśmy dwa dni temu podczas lotu do przodu? – zapytał zbędny.

– Bo ta wersja nas samych nie porusza się w czasie w tym samym kierunku co my.

– Mówisz, jakby to miało sens.

– Gdybym zaczął płakać i krzyczeć, przestałbyś mnie traktować poważnie.

– Już nie traktuję cię poważnie – przyznał zbędny. – Moje oprogramowanie wymaga, bym przechowywał twoje ostatnie wypowiedzi w folderze tymczasowym przeznaczonym do późniejszej oceny, bo nie można ich pogodzić z danymi.

– To naprawdę całkiem zgrabne wytłumaczenie – bronił się Ram. – Statek jest ten sam. Wszystko wokół, co nie musiało się zmienić, pozostało takie samo, jakie było podczas lotu przed siebie. Zajmuje tę samą przestrzeń w tym samym czasie. Lecz przepływ elektronicznych danych i instrukcji przez komputery i twój robomózg, a także mój ludzki umysł, oraz nasze fizyczne ruchy w przestrzeni nie są takie same, gdyż nasza przyczynowość porusza się w innym kierunku. Przemieszczamy się przez tę samą przestrzeń co nasze wcześniejsze wersje, ale nie jesteśmy w tym samym strumieniu czasowym, dlatego jesteśmy dla siebie niewidoczni.

– To niemożliwe – orzekł zbędny.

– Podaj lepsze wytłumaczenie.

Tym razem zbędny milczał przez dłuższą chwilę. Pozostał w bezruchu, podczas gdy Ram, choć nie miał apetytu, wmusił w siebie jedzenie, przeżuł je i przełknął.

– Nie znajduję lepszego wytłumaczenia – przyznał w końcu zbędny. – Mogę tylko wyciągać wnioski z informacji, z których już z powodzeniem je wyciągnęto.

– I pewnie dlatego potrzeba wam człowieka na chodzie po dokonaniu skoku – zadrwił Ram.

– Co się z nami stanie, gdy ten statek dotrze do Ziemi?

– *W jakimś momencie dojdzie do tego, że albo dwie wersje statku oddziela się i pewnie eksplodują, albo oddzielimy się i zginiemy w zimnie kosmosu, albo po prostu dotrzemy do Ziemi i dalej będziemy żyli, aż ja w końcu umrę ze starości.*

– *Mnie zaprojektowano tak, bym żył wiecznie – stwierdził zbędny. – Jeśli nie zajdzie żadna ingerencja.*

– *Czyż to nie piękne? Zbędny, acz wieczny. Będziesz mógł cofnąć się w czasie i przyjrzeć się każdemu etapowi ludzkiej historii, jaki tylko wybierzesz.*

Poobserwować rozbiórkę piramid. Zobaczyć początki i końce epok lodowcowych w odwrotnej kolejności. Być świadkiem odrodzenia się dinozaurów, gdy meteor wynurza się z Zatoki Meksykańskiej.

– *Nie będę miał żadnego użytecznego zajęcia. Nie będę w stanie w jakikolwiek sposób pomóc rodzajowi ludzkiemu. Po twojej śmierci moje istnienie zupełnie straci sens.*

– *Teraz wiesz, co czują ludzie.*

Akurat byli w dokach, doglądając załadunku kufrów z nowymi ubraniami na o wiele lepszej klasy łódź, gdy Rigg obrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na miasto O. Z tego miejsca prawie nie widział dachów budynków z białego kamienia nad nawalą domów i magazynów w pobliżu nabrzeża. Wyobrażał sobie jednak, co znów zobaczy, kiedy łódź będzie coraz bardziej oddalała się od O.

– Głupio by było, gdybyśmy spędzili tyle czasu w O i w ogóle nie odwiedzili wieży – zagadnął.

– Tak też sobie myślałem – przyznał Bochen. – Ale bardzo paliłeś się do wyjazdu, jak tylko forsa wpłynie.

Rigg chciał powiedzieć: „To czemu nie poradziłeś mi, byśmy ją zobaczyli?”. Zaraz jednak przypomniał sobie dwie rzeczy. Po pierwsze, Bochen wcześniej o tym mówił, co prawda w aluzyjny sposób, na przykład: „Tylu pielgrzymów zmierza ku wieży – co ich obchodzi to miasto?” i „Ludzie żyją od dziecka tu w O i w ogóle wieży nie odwiedzają”.

Zupełnie nie był to ten stanowczy ton, jakim Bochen zwykł udzielać rad, więc Rigg nie skojarzył tego z sugestią, a uznał za kpiny z pielgrzymów i miejscowych.

A po drugie, była to właśnie taka zmiana w zachowaniu której Rigg nie śmiał krytykować z obawy, że tylko pogorszyłby sprawę. Teraz Bochen odnosił się do niego jak do bogatego klienta, który jakimś nieszczęśliwym zrzędzeniem losu był zmuszony zatrzymać się w jego oberży. Rigg widział uniżoność graniczącą z czołobitnością w ludziach usługujących mu w pensjonacie, a także i w Bochnie, który nigdy wcześniej się tak nie zachowywał, nawet kiedy wraz z Lejką znaleźli klejnoty.

Już wtedy wiedzieli, że są wiele warte, ale nie mogli sobie wyobrazić, jak wiele; nie wierzyli też, że Rigg zdoła długo utrzymać tę fortunę. Bo czy Bochen nie poszedł z nimi właśnie dlatego, by Rigga nie okantowano? Czasem mówił: „Widać, że jednak nie byłem ci potrzebny, sam sobie świetnie poradziłeś”, a za każdym razem Rigg zapewniał, że bez jego pomocy nikt nie traktowałby trzynastolatka poważnie – straciłby wszystko na rzecz pierwszego lepszego zbója, oszusta lub zwykłego malwersanta. „Nie umiem walczyć, a pan umie. Wystarczyłby im rzut oka na pana i musieliby mnie słuchać”.

Jednak Bochen dawał temu wiarę tylko przez chwilę, o ile w ogóle. Wciąż nie mógł się nadziwić zmysłowi negocjacyjnemu Rigga. „Mówiłeś jak oficer” – stwierdził.

Cóż, jeśli sierzanci dawali oficerom takie niejasne sugestie, aż dziw bierze, że ktoś kiedykolwiek wygrał jakąś bitwę!

Zatem Rigg nie sprzeczał się z Bochnowym oględnym „a nie mówiłem”.

– Prawda, wspominałeś, że warto ją zobaczyć. No to chodźmy teraz.

Wystarczyło machnąć ręką, a już woźnica kłonił się przed Bochnem, władczy jak zawsze wobec ludzi, których uznawał za sobie równych lub mniej ważnych. Minuta nie minęła, a we trzech siedzieli w powozie, zostawiając bagaże pod opieką kapitana łodzi.

Do Wieży O dotarli dopiero po dwóch godzinach – jedną godzinę zabrało przedarcie się przez półtora kilometra labiryntu ulic prowadzących ku najbliższej bramie miejskiej, a drugą pokonanie ośmiu kilometrów do podstawy wieży. Obrana przez nich droga wiodła stromym przedmurzem, po którym wrogowie musieliby mozolnie wdrapywać się pod górę i stanowiłoby łatwy cel dla obrońców, trzymali się więc blisko muru i przez dłuższy czas w ogóle nie widzieli wieży, aż nagle, po zakręcie, ukazała się ich oczom, wysoka chyba jak Klif Stromogóru.

– Ale nie jest aż taka wysoka – zauważył Umbo, gdy Rigg wypowiedział swoją myśl na głos. – Do wieży jeszcze trzy kilometry, a klify tak wyglądają, gdy patrzy się na nie z odległości ośmiu.

– To najwyższa rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem – stwierdził Bochen.

– Powinieneś częściej zapuszczać się w górę rzeki. Zostać prawdziwym górniakiem – zadrwił Umbo.

– Tak, to cel mojego życia – zgasił go Bochen.

Tłumy pielgrzymów zmierzające w obie strony uniemożliwiały dotarcie powozem tak daleko, jak by sobie tego życzyli.

– To nawet dobrze – rzekł Bochen. – Pozwól, że wraz z Umbem pójdziemy przodem i wręczymy datki za trzy osoby, inaczej strażnicy wieży na twój widok potroją cenę. Co najmniej.

– W takim razie ja rozliczę się z woźnicą. Zapłacę mu tyle, by na nas poczekał. Jak dużo czasu tam spędzimy?

– Nie dość dużo – orzekł Bochen.

– Nie dość dużo na co?

– By zobaczyć wszystko i zrozumieć, co się widzi.

Bochen i Umbo wysiedli z powozu – a raczej Bochen wyszedł, bo Umbo wyskoczył i biegiem ruszył przed siebie. Rigg wdał się w rozmowę z woźnicą, który cały czas powtarzał:

„Będę tu czekał, młody paniczku, zaręczam”, a Rigg odpowiadał: „Ale ustalmy jakąś cenę, bo pomyśli sobie pan, że go oszukałem”, nie dodając „i vice versa”, na co woźnica: „Och, młody paniczku nie poskąpi grosza, od razu widać, ufam w szczodrość młodego panicza”. Tego było już dość, by doprowadzić Rigga do szału. Spojrzał w dal i w niewielkiej odległości zobaczył Bochna i Umba rozmawiających z jednym z ekstrawagancko ubranych strażników.

Zastanowił się, czy oni też mają problemy z ustaleniem opłaty.

Gdy tak stał, przypatrując się przyjaciółom, z boku doszedł go głos. Ktoś mówił tak szybko, że nie można go było zrozumieć.

Rigg odwrócił się i zobaczył Umba. Rzucił okiem na miejsce, gdzie widział Umba stojącego przy Bochnie. Dwaj Umbowie różnili się ubiorem, a ten koło niego wydawał się zdenerwowany, przerażony i śmiertelnie poważny. Rigg od razu się domyślił, że jakimś sposobem przyszła wersja Umba nauczyła się sztuczki podążania ścieżką w przeszłość – ścieżką Rigga. A przyjaciel zrobił to, by przed czymś go ostrzec.

Umbo z trudem wypowiadał słowa, a jednak wyrzucał je z siebie w takim tempie, że Rigg wciąż ledwo go rozumiał.

– Daj klejnoty Bochnowi i natychmiast je ukryjcie.

Rigg skinął głową na znak, że rozumie. Umbo wyraźnie odetchnął z ulgą – i w tej samej chwili zniknął.

Rigg podszedł do pojącego konie woźnicy.

– Zmieniłem zdanie. Widzę, że jest tu dużo powozów, więc zapłacę panu za przywiezienie nas tutaj, a potem jeśli przypadkiem spotkamy tu pana, gdy będziemy chcieli wracać, to nawet lepiej. Tymczasem może pan wziąć kolejnego klienta.

Woźnica wyglądał na wielce rozczarowanego. Podał cenę za jeden kurs – Rigg wiedział, że zbyt wygórowaną, ale podwoił ją i zapłacił. Wywołał tym takie pokłony, krygowanie się i pianie z wdzięczności, że odwrócił się na pięcie i odbiegł ku przyjaciółom.

Bochen pomachał mu przed nosem całodzienną wejściówką dla trzech osób. Rigg podziękował mu, ale potem odciągnął ich na stronę, z dala od wieży.

– Gdzie idziemy? – dopytywał się Umbo.

– Do wieży pójdziemy niebawem. Ale najpierw muszę coś zrobić.

– Niby co? – zaciekawił się Bochen.

– Powiem wam, gdy połowa tutejszych pielgrzymów nie będzie mogła nas usłyszeć.

Skierowali się ku latrynom dla mężczyzn, ale je minęli. Dopiero gdy znaleźli ustronne miejsce za ścianą latryny, Rigg się zatrzymał i, stojąc twarzą do ściany, wyciągnął ze spodni sakiewkę z klejnotami.

– Co ty wyprawiasz? – surowo, acz szeptem, zganił go Bochen. – Chowaj to z powrotem.

– Nie. Oddaję panu na przechowanie.

– Czemu? Złodziej równie dobrze może zwinąć to mnie jak i tobie.

– Ciszej – napomniał Rigg. – Dostałem ostrzeżenie.

– Od kogo? – zapytał Umbo.

– Od ciebie.

Umbo zbladł.

– Cały czas byłem z Bochnem, nic ci nie powiedziałem.

– Ostrzeżenie dostałem od ciebie, ciebie z przyszłości. Byłeś bardzo zdenerwowany.

Powiedziałeś mi, bym oddał klejnoty Bochnowi, a on powinien je natychmiast ukryć.

– O czym ty mówisz? – wtrącił się Bochen. – Jak Umbo mógł cię przed czymkolwiek ostrzec, skoro nie wie, o czym mówisz?

– Wie doskonale – odparł Rigg. – Później to wyjaśni. Niech pan weźmie sakiewkę i ukryje gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie przez kilka dni, kilka tygodni albo i rok. Nie wiem, jak daleko w przeszłość dotarł Umbo, nim zdołał wrócić i mnie ostrzec.

– To znaczy, że naprawdę nauczyłem się to robić! – rozpromienił się Umbo. – Skoro to ja wróciłem, a nie ty.

– Chyba żeście na głowę upadli – zachnął się Bochen.

– Na razie musi nam pan uwierzyć na słowo – rzekł Rigg.

– Skoro ja panu ufam, powierzając taki majątek, to pan może zaufać, że ja i Umbo wcale nie oszaleliśmy.

– Nie sądzę, żeby jedno miało coś wspólnego z drugim – stwierdził Bochen, lecz wziął sakiewkę do swej ogromnej ręki. – Dobra, schowam ją, ale jeśli ktoś mnie przyuważy albo znajdzie ją przypadkiem, nie wiń mnie, tylko siebie.

– Zgoda. A dla pewności proszę nie mówić ani mnie, ani Umbowi, gdzie ją pan ukrył. Nie wiem, jakie grozi nam niebezpieczeństwo, lecz musi być jakiś ważny powód, żebym nie miał przy sobie klejnotów, a wydaje mi się, że najlepiej będzie, gdy nie będę też wiedział, gdzie są.

Umbo też będzie bezpieczniejszy, jeśli tylko pan będzie to wiedział.

– Więc jeśli umrę, na zawsze przepadną.

– I bez tego mam majątek, o którym mi się nawet nie śniło.

– Zupełnie jak dziecko... łatwo przyszło, łatwo poszło.

Jednak Bochen odwrócił się i poszedł do niewielkiego pobliskiego lasu. A Rigg i Umbo popatrzyli na pielgrzymów zmierzających do wieży.

– Skoro już tu jesteśmy, to czemu by tam nie wpaść? – odezwał się Umbo.

– Kto wie, kiedy znów będzie okazja? Kroci się coś poważnego, inaczej nie wróciłbyś i mnie nie ostrzegł, i to coś pewnie zdarzy się już niebawem, inaczej nie ostrzegłbyś mnie akurat wtedy, gdy to zrobiłeś.

– Może tylko w tym czasie mogłem cię znaleźć.

– Może tak, może nie. Wiem, że zdarzy się coś niedobrego, i wcale mi się to nie podoba.

A wydawało mi się, że przez ostatnie kilka tygodni całkiem dobrze sobie poczynałem.

– To chyba normalka, że wszystko się knoci, nie? Mój brat nie żyje. Twój ojciec też.

Teraz już cokolwiek się zdarzy, nie może być gorsze.

– Chyba że zginę – zauważył Rigg. – Wypadnę z łodzi do wody i utonę, więc powiedziałeś mi, żebym oddał klejnoty Bochnowi, by...

– Powiedziałbym ci po prostu, żebyś się nie topił. A gdybym chciał ukraść klejnoty, powiedziałbym ci, żebyś oddał je mnie.

– A więc już o tym myślałeś?

– Sikaj, nie gadaj – uciął Umbo.

Zanim skończyli opróżniać pęcherze, wrócił Bochen.

– Gdzie poszedłeś? – zagadnął Umbo.

– Zamknij się – rzucił Bochen. – Co teraz? I o co w ogóle chodzi?

– Przedyskutowaliśmy to z Riggim i doszliśmy do wniosku, że nie wydarzy się zapewne nic strasznego. Znaczy, ty i ja przeżyjemy, nie wiadomo tylko, co spotka Rigga.

– Chyba kazałem ci się zamknąć – burknął Bochen takim tonem, jakby tym razem mówił poważnie.

Okazali trzyosobową wejściówkę innemu strażnikowi, bo ten, który ją Bochnowi sprzedał, mógłby zauważyć bogaty strój Rigga i uznać, że podstępnie go pozbawiono należnej łapówki. Potem wraz z pielgrzymami ruszyli do wieży.

Choć z zewnątrz pokrywał ją metal, struktura w środku była z ogromnych kamieni, z długą wąską rampą wspinającą się spiralą pod ścianami. Mimo braku okien było jasno – świeciły magiczne kule wiszące w powietrzu.

– Stroma ta rampa – zauważył Bochen.

– Po prostu się starzejesz – przekomarzał się Umbo.

– Ja mógłbym wbiec na samą górę bez zatrzymywania.

– No to leć.

– Nie – sprzeciwił się Rigg. – Rampa jest wąska. Wystarczy, że jakiś pielgrzym się wkurzy i cię popchnie.

– Ale ja nie mogę umrzeć. Bo w przyszłości jestem żywy i wracam, by cię przed czymś tam ostrzec.

– Może wróciłeś z za grobu.

– Eee, to przecież niemożliwe.

– Powrót z przyszłości też jest niemożliwy – zauważył Bochen. – Jeśli możesz wyjaśnić jedno, to i drugie.

Rigg w ogóle nie był pewien, czy mógłby wyjaśnić cokolwiek, a przynajmniej nie na tyle

dobrze, by Bochen uwierzył. Od ojca tyle razy słyszał: „Nikommu nie mów o swoim talencie”, że nikomu nic nie wyjaśniał. Nox wiedziała i bez tego, a Umbo ma własny dar. A jednak gdyby teraz nie wyjawiał choć części prawdy, dałby do zrozumienia, że mu nie ufa. A to by Bochna uraziło – i tym samym byłby jeszcze mniej godny zaufania. Skoro Umbo z przeszłości uznał, że bezpiecznie jest zawierzyć klejnoty Bochnowi, trzeba było go wtajemniczyć w ich współdzieloną moc sięgania w przeszłość.

Pielgrzymi na rampie przed nimi i za nimi rozmawiali między sobą. W ogólnym gwarze, nie podnosząc głosu, ale i nie szepcząc, Rigg i Umbo powiedzieli Bochnowi o swoich zdolnościach i o tym, co mogli osiągnąć wspólnymi siłami. Po paru pytaniach Bochna wszystko wkrótce stało się całkiem jasne.

– Wciąż macie ten sztylet? Czy zniknął? – dopytywał się Bochen.

– Mam go w którejś ze swoich toreb – odparł Rigg.

– Niekoniecznie – stwierdził Umbo.

Rigg westchnął.

– A co, twoje przyszłe „ja” cofnęło się w czasie i powiedziało ci, żebyś go wziął i włożył do własnych bagaży?

– Do bagaży Bochna.

– Żartowałem przecież. Czyli już wcześniej wiedziałeś że jakaś przyszła wersja ciebie składa nam wizyty?

– On... ja... obudziłem siebie tego ranka i powiedziałem sobie, że bym to zrobił, a potem zniknąłem, nim zdążyłem o cokolwiek zapytać. Chyba „Ja” z przyszłości nie jest w tym za dobre, było je stać raptem kilka sekund. Nie mówiłem ci o tym, bo czemu miałbyś uwierzyć, że zwyczajnie go nie kradnę? Potem dostałeś ostrzeżenie, najwyraźniej o wiele istotniejsze od mojego. No bo masz fortunę w klejnotach, a jak gdyby nigdy nic oddajesz ją Bochnowi.

– A gdyby powiedział ci, że zabrał sztylet, zaufałybyś mu, gdybyś usłyszał, że masz mi oddać klejnoty? – zapytał Bochen.

– Tak. Pewnie tak. – Chwila zadumy. – Hm, a może i nie.

– Według mnie dobrze to rozegrał – przyznał Bochen.

– Chyba że faktycznie kradnie, ale w takim razie czemu miałby ci mówić, żebyś oddał klejnoty mnie? I czemu miałby wkładać sztylet do moich pakunków? Nie, myślę, że cokolwiek się zdarzy, skończy się tak, że tylko ja nie stracę całego dobytku.

– A co może się stać, że my stracimy cały dobytek? – zapytał Rigg.

– Jeśli łódź zatonie, to i Bochen straci swój bagaż – zauważył Umbo.

– Jeśli łódź zatonie, wszyscy się potopimy – stwierdził Bochen.

– Ja umiem pływać – pochwalił się Umbo. – Rigg też. Jak ryby. A ty nie?

– Jestem żołnierzem. Zawsze nosiłem pancerz, więc gdybym wpadł do wody, w mig poszedłbym na dno. A potem niby po co miałbym się tego uczyć?

– To przydatna umiejętność. Szczególnie dla kogoś, kto mieszka nad rzeką, do której mogą go wrzucić rzekowcy – przypomniał Umbo.

– Większość rzekowców też pływać nie potrafi – bronił się Bochen.

– Nadal pan nie odpowiedział. Umie pan pływać czy nie? – dopytywał się Rigg.

– Trzeba uważać, by nie wypaść z łodzi – wymijająco odparł Bochen.

– Znów się pan wymiguje od odpowiedzi – skarcił go Rigg.

– Jeśli człowiek nigdy nie przyzna, że umie pływać, inni pomyślą, że można go zabić, wrzucając do wody.

– Patrzcie! – krzyknął Umbo.

W końcu wspięli się tuż ponad świetliste globy, a blask nie przesłaniał już wyższej połowy wieży. Widzieli, że zaraz ponad nimi kamienna ściana kończy się szerokim, okrągłym tarasem. Na nim tłoczyli się pielgrzymi.

– Ruszcie się! – upominał ich jakiś gbur za plecami. Poszli dalej.

Jednak szybki rzut oka w górę pozwolił Riggowi zauważyć, że z pierścieniowej platformy wyrasta wiele kamiennych filarów tworzących pionowe wsporniki metalowych ścian.

Pamiętał, że widziana z zewnątrz Wieża O mniej więcej od środkowej części zwęża się ku górze. Nie zdziwiło go więc, że kamienne filary zbiegają się ku metalowo-kamiennemu pierścieniowi wysoko nad platformą. Jeszcze wyżej metal przybierał kształt zwykłej kopuły, pozbawionej kamiennych podpór.

Istny cud inżynierii i architektury! To wnętrze zaprojektowano tak, by kamień podtrzymywał własną masę, a zarazem masę metalu. Rigg pomyślał, że metal musi być bardzo cienki, bo inaczej byłby za ciężki, żeby kamienne filary mogły go podtrzymać.

Weszli na platformę i oddalili się od rampy. Druga, którą pielgrzymi schodzili w dół, zaczynała się po przeciwnej stronie, a pomiędzy nimi w powietrzu unosiła się ogromna kula.

Całą jej powierzchnię oświetlało wiele globów wiszących poniżej i kilka powyżej. Teraz zauważyli, że te świetliste globy są połączone drutami z pierścieniem na górze, więc zapewne podobna drucziana konstrukcja podtrzymywała i większą kulę.

Jej powierzchnię pomalowano w sposób, którego Rigg nie potrafił pojąć. Na oko ten malunek nie przedstawiał niczego konkretnego, a barwy były płowe, brzydkie i nie współgrały z sobą. Jaśniejsze żółte linie oddzielały większe obszary zieleni i brązu. Ich kompozycja nie miała żadnego sensu. Ul zbudowany przez pijane pszczoły, czy jak?

– Świat – rzeki Umbo. – To obraz świata. – Wskazywał ręką konkretne miejsce na powierzchni wielkiego globu. – Widzicie czerwoną plamkę? Tam leży Aressa Sessamo. A ta biała plamka to O. Niebieska linia to rzeka Kosmolo. A więc Wodobród będzie gdzieś niżej.

– W takim razie te żółte linie oznaczają Mur – domyślił się Bochen. – Niegdyś patrolowałem jego okolice i to się mniej więcej zgadza. Ale co z resztą?

– To cały świat – oznajmił Rigg, teraz już rozumiejąc. – Nasz świat jest kulą.

– Wszyscy to wiedzą, nawet najbardziej ograniczeni górniacy – stwierdził Bochen.

– Absurd! – krzyknął Umbo z udawaną zgrozą. – Tak być nie może, przecież wszyscy byśmy pospadali!

Rigg podchwycił żart i wyjaśnił mu to jak małemu dziecku.

– Ależ nie, drogi Umbeczku, środek świata nas przyciąga, utrzymując nas przy powierzchni. „Dół” tak naprawdę jest w stronę środka.

– Ta mapa globu jest nierealna – ocenił Bochen. – Nikt nie wie, co kryje się za Murem.

Nikt w całej historii rodzaju ludzkiego nie przeszedł za Mur, by to zobaczyć.

– Ale można przeniknąć go wzrokiem, tak? – zapytał Rigg.

– Nie widzisz wtedy daleko. A tu mamy nie tylko sąsiednie tereny Muru, ale i wszystko dalej. To chyba nie jest mapa.

– Mapa – upierał się Umbo. – Przecież to nie może być przypadek, że pokazuje bieg rzeki, O jest białą kropką, a stolica czerwoną.

– I niemożliwe, żebyśmy my pierwsi to zauważyli – rzekł Rigg. – Czemu więc nic o tym nie słyszeliśmy?

– Ja słyszałem – przyznał Bochen. – Czemu według ciebie pielgrzymi mówią: „Wieża O

pozwała ujrzeć cały świat”?

– Myślałem, że to znaczy, iż z jej szczytu można sporo zobaczyć – stwierdził Umbo.

– Ale mówią też: „W środku wieży znajdziesz cały świat” – zauważył Bochen.

– Wydawało mi się, że to mistyczna bujda – przyznał Rigg. – Albo że mowa o liczbie pielgrzymów, którzy tu ciągną.

– Dziwnie jest myśleć o świecie w ten sposób. Bardzo niepokojące. Świat to przecież ziemia wewnątrz Muru – tyle znaczy to słowo. Jak to możliwe, że istnieje więcej świata niż cały świat? Jak ktoś może wiedzieć, co znajduje się poza światem?

Rigg zdążył już policzyć.

– Jest dziewiętnaście ziem otoczonych żółtymi liniami. I sporo terenów, które nie są wewnątrz żadnej z tych żółtych granic.

– Dziewiętnaście światów na tym samym globie? – nie dowierzał Bochen.

– Nic dziwnego, że ludzie o tym nie mówią – zauważył Umbo. – To po prostu zbyt szalone. Pewnie nawet nie wszyscy tutaj wierzą, że żyjemy na powierzchni kuli. A jeśli wierzą i uznają to za mapę dziewiętnastu światów na powierzchni globu, kto im uwierzy? Inni pomyślą, że im odbiło.

– Ja myślę, że wam odbiło – rzekł Bochen. – Tyle że ta mapa jest z grubsza prawidłowa.

Wojsko ma takie mapy całego świata wewnątrz murów, z wszystkimi drogami i miastami.

Jednak cywilom nie wolno ich kreślić. Zastanawia mnie więc, skąd wiedziałeś, że to mapa, Umbo.

– Nasz nauczyciel pokazał nam jedną. Mniejszą od tej, ale była na niej rzeka, Aressa Sessamo u jej ujścia i wielka zatoka. I linia Muru.

– Twój nauczyciel złamał prawo – orzekł Bochen.

– Och, chyba sam ją narysował. Na kawałku drewna. Kredą. A... potem odszedł.

– Długo po tym, jak pokazał wam mapę? – zapytał Bochen.

– Nie wiem. Potem. Pokazał nam ją tylko raz.

Przysłuchując się ich rozmowie, Rigg uważnie przyglądał się konstrukcji wieży.

– Ściany podtrzymuje dziewiętnaście kamiennych filarów. Dziewiętnaście żeber wieży.

Mapa z dziewiętnastoma ziemiami otoczonymi murami. Liczba dziewiętnaście nie jest zbyt praktyczna w rachunkach. Dzielić okrąg przez dziewiętnaście – toż to głupota. Chyba że według założeń liczba filarów miała odpowiadać liczbie światów.

– Myślisz, że jeśli naprawdę istnieją inne światy wewnątrz innych murów, żyją w nich ludzie? – zapytał Umbo.

– Na każdej z tych ziem widać kropki. Czerwone, białe i niebieskie – zauważył Rigg.

– Chłopcy, pojęcia nie macie, jak bardzo ta rozmowa narusza prawo – upomniał ich Bochen.

– Pan był nad Murem. Widział pan ludzi po drugiej stronie? – dopytywał się Rigg.

– Nikt nie podchodzi do samego Muru. Im bliżej, tym większy lęk i desperacja, by się oddalić. Człowiek musi się cofnąć. Inaczej by zwariował. Nikt się aż tak bardzo nie zbliża.

Nawet zwierzęta trzymają się od Muru z daleka – po obu stronach.

– Więc widział go pan tylko z daleka?

– Patrolowaliśmy obrzeża, bo tam się zaszywało wielu przestępców, zdrajców i buntowników – na tyle blisko Muru, by inni nie podchodzili, i na tyle daleko, by jednak nie zwariowali. To poniekąd odpowiednia kara dla tych mętów, że żyją w ciągłym poczuciu grozy i rozpacz. Ale my mieliśmy obowiązek wchodzić w tę strefę bólu i ich stamtąd wykurzać. By uniemożliwić im ciągłe wypady po żywność, notoryczne napaści i rekrutację.

– Jeśli po drugiej stronie jest tak samo, to nawet jeśli żyją tam ludzie, nie podchodzą do Muru

bliżej niż ty – zauważył Umbo. – Nie widzą więc po naszej stronie nikogo, tak jak i my nie widzimy nikogo po ich stronie.

Bochen mocno chwycił ich za ramiona i przyciągnął bliżej do siebie.

– Mówicie zdecydowanie za głośno. Teraz już chyba wiem, czemu twoje przyszłe „ja” wróciło, by nas ostrzec.

– Nie – zaprzeczył Umbo. – Gdyby aresztowano nas za mówienie, zwyczajnie kazałbym sobie i Riggowi się zamknąć.

– Ja wam każę się zamknąć – stanowczo rzekł Bochen. – Twój nauczyciel zapewne był tutaj i zapamiętał tę mapę. Założę się, że tak było. Bo każdy żołnierz – a w każdym razie każdy sierżant lub oficer – poznałby, że to mapa. Mógłby ją nawet zapamiętać. Ale żołnierze by rozumieli, że należy trzymać gębę na kłódkę. I nigdy, przenigdy nie narysowaliby nielegalnej kopii.

– Czemu nie? – zaciekawiał się Umbo.

– Ponieważ – zaczął Rigg, układając wszystko w całość, tak jak uczył go ojciec – wojsko nie chce, żeby jego wrogowie dysponowali dokładną mapą świata.

– Otóż to – przytaknął Bochen. – Chodźmy już, nim ktoś zauważy, że podejrzanie długo przypatrujemy się temu globowi.

Rigg jednak nie chciał jeszcze wychodzić. Patrzył na mapy pozostałych osiemnastu światów ogrodzonych murami i próbował sobie wyobrazić tamtejsze miasta. W jednej z krain, tej tuż na północ od ich świata, miasta leżały wprost na niebieskiej plamie, choć musiała oznaczać ocean i wpadające do niego rzeki. Kolor niebieski pokrywał większą część globu, czego Rigg sobie nie mógł wyobrazić, choć wiedział od ojca, że na świecie jest więcej oceanów niż stałych lądów. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by się zastanawiać, skąd ojciec to wie. On wiedział wszystko, Rigg uważał to za oczywiste. I nigdy wcześniej się temu nie dziwił. Teraz jednak musiał zadać sobie pytanie: Skąd ojciec wiedział, ile oceanu pokrywało świat, skoro nie można było przejść przez Mur?

Ojciec musiał być po drugiej stronie!

Nie, pomyślał Rigg. Ojciec jedynie przyszedł tu, do Wieży O, i wyciągnął te same wnioski co my.

A jednak ktoś musiał być po drugiej stronie Muru, inaczej ta mapa w ogóle by nie powstała.

Aż do dzisiaj Rigg nie myślał o Murze. Wiedział, że gdzieś jest, wszyscy to wiedzieli. No i co z tego? Tam jest skraj ziemi w obrębie Muru, a tym samym koniec świata. To tak naturalne, że się o tym nie myśli. Lecz teraz, w tej chwili, wiedząc, że istnieje osiemnaście innych światów otoczonych niewidzialnym Murem, Rigg zapragnął dostać się do któregoś z nich, by zobaczyć, kto tam żyje i jak wygląda.

Lecz powstrzymałby go niewidzialny Mur, który podobno miesza ludziom w głowach, gdy za bardzo się zbliżą. Ale można go przeniknąć wzrokiem. Człowiek powinien więc móc przejść przez niego na drugą stronę.

W końcu Rigg uległ ponaglającym szturchańcom Bochna i we trzech ruszyli w dół rampy.

– Pójdę nad Mur – szepnął Rigg.

– Wybij to sobie z głowy – zgasił go Bochen. – Chyba że jesteś przestępcą albo buntownikiem, a wtedy ktoś taki jak ja będzie miał obowiązek cię znaleźć i zabić.

– Pójdę tam i obejrzę ścieżki – upierał się Rigg. – Jeśli ktoś kiedyś przeszedł na drugą stronę, będę mógł zobaczyć, w którym miejscu. A jeśli będziesz tam ze mną, Umbo, będę mógł cofnąć się w czasie i zapytać tego kogoś, jak to się robi. Zapytam, tuż zanim przejdzie przez Mur.

– Chyba że był to ktoś jak twój ojciec. Ktoś, kto nie zostawiał ścieżek za sobą – odparł Umbo.

– Racja. Gdyby ojciec przeszedł, w ogóle bym tego nie zauważył.

– Albo ktoś taki jak on.

– Nie ma drugiego takiego.

– Albo o tym nie wiesz. Bo jeśli przed nim istnieli inni, którzy nie zostawiali ścieżek, nie dowiedziałabyś się o nich.

– Wygląda mi to na poważny niedostatek twojego talentu, Rigg – ocenił Bochen. – To tak jakby powiedzieć: „Mamy siatkę szpiegów, którzy obserwują wszystkich naszych wrogów...

oprócz tych, których nie widzą”. Jak ci się zdaje, czy taki sierżant spałby w nocy jak dziecko?

– Takich jak twój ojciec mogły być tysiące – zasugerował Umbo.

– Ojciec nie był niewidzialny. Gdybym kiedyś spotkał kogoś innego niemającego własnej ścieżki, zapamiętałbym go.

– Ale nie widziałeś zbyt wielu ludzi. Żyłeś w lesie, czasem przychodziłeś do Wodobrodu.

A nawet wtedy ilu z mieszkańców w ogóle odwiedzałeś?

– Niewielu. Głównie tych nad Stromogórem.

– Więc w sumie prawie nikogo. A to znaczy, że mogły być tysiące takich ludzi jak twój ojciec, a ty byś o nich nie wiedział nic.

– Ojciec by mi o nich powiedział.

– Chyba że uznał, że nie powinieneś o nich wiedzieć – stwierdził Umbo.

Rigg musiał przyznać mu rację.

W końcu dotarli na dół i wyszli przez wrota wieży na jaskrawe słońce. Prawie godzinę trwało, nim wdrapali się na górę, drugą godzinę schodzili, a na szczycie wieży wcale nie zabawili długo.

– Sprawdzają ludzi – zauważył Rigg.

Dostrzegł to tylko dlatego, że zobaczył zbiegające się ścieżki wielu strażników – nie były zgodne z ogólnym ruchem pielgrzymów do wieży i z powrotem. Niedaleko znajdowało się przewężenie i tam strażnicy zmiierzali. Rigg poczuł, że zdejmuje go zgroza.

– Kogoś szukają – stwierdził.

– I dlatego sprawdzają ludzi – rzekł Bochen.

– Niech pan odejdzie. Byle dalej od nas – nakazał mu Rigg.

– Nie.

– Za dużo strażników, nie da pan wszystkim rady. A musi pan pozostać wolny, dlatego Umbo ostrzegł, bym dał klejnoty panu. Proszę odejść pomału na bok, nie robiąc żadnych gwałtownych ruchów.

– Dzięki za radę, ale umiem to robić, chłopcze – zachnął się Bochen. Nieco przyspieszył kroku, jak gdyby nigdy nic kierując się do przodu w tłumie. Po drodze zdjął wierzchnią kurtkę i niósł ją w rękę, pod nią chowając kapelusz.

Rigg ucieszył się, że jego instynkt dyktował to samo, co wiedza żołnierza.

Po paru chwilach Bochen wrócił.

– To Bednarz, ten bankier. On mnie rozpozna.

– Bednarz? – zdziwił się Rigg.

– Towarzyszy mu dwóch oficerów Armii Ludowej. Przyglądają się każdemu, kto przechodzi. Jeden jest bardzo wysokiej rangi, najpewniej generał.

– Myślałem, że w Armii Ludowej nie ma rang.

– Nie mają oznaczeń rang – lekceważąco poprawił go Bochen – ale generał to generał.

Zrozum, Rigg, gdyby Bednarz nie patrzył na ludzi bliżej niego, zobaczyłby mnie i rozpoznał.

– Może szuka kogoś innego – rzekł Umbo z nadzieją.

Ale Rigg wiedział, że Bednarz ich sprzedał władzom.

- Niech pan wróci do Wieży O i poczeka kilka godzin – nakazał Bochnowi.
 - Bednarz im powie, żeby przeszukali wnętrze.
 - Nie. Zbajerujemy go, że rozstaliśmy się kilka godzin temu, bo był pan zmęczony i nie chciał się wspinać. Ma pan pieniądze?
 - Prawie wszystkie. Ale i tak przeszukają mój bagaż.
 - Postaram się, żeby Umba puścili wolno. Bednarz mnie szuka.
 - Skąd wiesz?
 - Bo to ja jestem właścicielem tych pieniędzy. Powinienem wiedzieć, że to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.
 - Bochen – odezwał się Umbo, pałając rumieńcem. – Nie włożyłem sztyletu do twojego bagażu.
 - Czemu nie? – zapytał Rigg.
 - A gdzie? – zawtórował mu Bochen.
 - Za beczkę solonej wieprzowiny w kambuzie na łodzi.
 - Znajdę – rzucił Bochen i na powrót zanurzył się w kolejce, udając, że czegoś szuka, po czym poszedł pod prąd napływającego tłumu, jakoby szukając dalej.
 - Czemu skłamałeś w sprawie noża? – zapytał Rigg, gdy z Umbem zmierzali w stronę punktu kontrolnego.
 - Powiedziałem ci, że włożyłem go do bagażu Bochna, byś nie pomyślał, że próbuję go ukraść. Sam przyznałeś, że nie ufałbyś mi, gdybyś miał mnie za złodzieja.
 - Umbo, nie miałem racji, gdy mówiłem, że bym ci nie ufał. Ufam ci bezgranicznie.
 - Umbo nic nie odpowiedział.
 - Rigg starał się tak ustawiać, by jak najpóźniej Bednarz go zobaczył – chciał dać Bochnowi dużo czasu na powrót do wieży.
 - Ojciec zawsze oskarżał mnie o najgorsze – rzekł Umbo.
 - Dla mnie to... nie pierwszozna – Jesteśmy przyjaciółmi, Umbo, i basta – uciął Rigg. – A teraz staraj się udawać głupiego i skołowanego.
 - Nie muszę udawać.
 - Postaram się ciebie z tego wyciągnąć.
- Chwilę później ludzie na przedzie przyspieszyli, a Rigg spojrzał prosto w twarz Bednarza.
- To on! – wrzasnął bankier. – To ten chłopak twierdził, że jest księciem!

Rozdział 9

UMBO

– Skoro jesteście uwięzieni w tym samym statku, Ram, podczas tej samej podróży, cofając się w przeszłość – zagadnął zbędny – to czemu komputery pokładowe poinformowały, że z powodzeniem dokonaliśmy skoku?

– A jakie były kryteria oceny tego powodzenia? – zapytał Ram.

– Obserwacja położenia odległych gwiazd względem tego, jak powinny wyglądać w pobliżu docelowej gwiazdy wielokrotnej.

– A możesz pokazać obraz tego, jak wyglądały gwiazdy w chwili, gdy komputery oceniły, że z powodzeniem dokonaliśmy skoku?

Błyskawicznie w powietrzu nad konsolą Rama ukazał się hologram sferycznej panoramy kosmosu.

– Domyślam się, że nie tak wyglądają gwiazdy wokół naszej obecnej pozycji.

– Masz rację.

– Jak długo wyglądały tak, jak zarejestrowano tutaj?

– Skanowanie zostało powtórzone trzy nanosekundy później, a gwiazdy wyglądały identycznie jak przed skokiem.

– Zatem dokonaliśmy skoku w przód, a potem z powrotem.

– Na to wygląda.

– I nie może być mowy o błędzie, tak? Niemożliwe, żeby komputery zwyczajnie „wykrywały” to a nie co innego, bo zasugerowały się prognozą?

– Nie, ponieważ pole gwiazdne celu nie całkiem zgadzało się z prognozą.

– Pokaż różnicę – polecił Ram.

Na holoekranie miejsce białych kropek zajęły żółte i zielone punkciki.

– Najbliższe gwiazdy wykazują największą różnicę, a najdalsze najmniejszą – zauważył Ram.

– Nie zawsze – stwierdził zbędny, wskazując kilka wyjątków. – Tego się spodziewaliśmy, bo nasze obserwacje kosmosu bazują na starych danych, na świetle, które musiało pokonać dziewięćdziesiąt lat świetlnych, by dotrzeć do Ziemi.

– I astronomowie to uwzględniają?

– Oczywiście. Ale i tak po części musieli się zdać na domysły.

– To i my pogdybajmy – zaproponował Ram. – Co może wyjaśnić różnicę między prognozą a tym, co zaobserwowaliśmy w tej przerwie o długości mniej niż trzech nanosekund? Pomyłka astronoma? Czy raczej upływ czasu? Czy jest jakiś moment w przyszłości lub w przeszłości, gdy gwiazdy znajdują się w tym samym położeniu względem docelowej gwiazdy wielokrotnej?

Jedna sekunda. Dwie.

– Jedenaście tysięcy lat temu, mniej więcej – odparł zbędny.

– A więc gdy dokonaliśmy skoku przez rozedrgane, skwantyfikowane zagięcie w czasoprzestrzeni, zagięcie nie tylko przemieściło nas w przestrzeni, ale jeszcze cofnęło nas w czasie.

– To jedno z wyjaśnień.

– I tym samym zostaliśmy przesunięci na naszą wcześniejszą pozycję w czasoprzestrzeni, tyle że na wstecznym biegu.

– Na to wygląda.

- *To wymagałoby ogromnej energii . Przeniosło nas jedenaście tysięcy lat wstecz, o potem odrzuciło z powrotem w teraźniejszość, jednocześnie zmieniając kierunek upływu czasu...?*
- *Mogło tak być. Gdybyśmy rozumieli, jak to właściwie działa.*
- *Proszę, poleć komputerom, by wyliczyły, które z praw fizyki mogłyby wyjaśnić dokładnie równe zużycie energii dla dwóch czynności – przeskoku przez zagięcie do przeszłości i przeskoku w drugą stronę, ale z odwrotną trajektorią.*

Umbo starał się nie patrzeć na Bednarza spode łba. Miał w końcu udawać głupiego i skołowanego. Spojrzał więc na oficerów. Bochen miał rację – twarz tego w bardziej pomiętym mundurze nie zdradzała żadnych uczuć, ale było coś w jego posturze, coś w przechyleniu głowy, co sugerowało, że oczekiwał od innych posłuszeństwa.

Umbo spodziewał się, że Rigg porozmawia z Bednarzem, posprzecza się z nim. Lecz Rigg milczał tak samo jak Umbo. I wpatrywał się w twarz generała – nie wyzywająco, ale niewzruszenie niczym ptak.

– Myślałeś, że dam się nabrać na tę twoją szopkę, co, chłoptysiu?! – zapał pan Bednarz z oburzeniem. – Tak długo żeś zadzierał nosa i odstawiał komedię, a wystarczyło, że zobaczyłem twój podpis, i już wiedziałem, że jesteś złodziejem i oszustem!

Umbo chciał mu odpowiedzieć: „Strasznie dużo dałeś nam pieniędzy jak na kogoś, kto wiedział, że jesteśmy złodziejami i oszustami”. I jeszcze chciał powiedzieć: „Rigg nawet nie wiedział, że takie jest jego nazwisko, dopóki nie zobaczył go w liście”. Jednak milczał, biorąc przykład z Rigga.

– Powiadomiłem władze w Aressa Sessamo, że pewien chłopiec podszywa się pod zmarłego księcia i posiada pradawny klejnot...

– Zmarły książę nazywał się Rigg Sessamekesh? – zdziwił się Rigg. W życiu o nim nie słyszał. Ale z drugiej strony Ludowa Rada Rewolucyjna prawnie zakazała rozmów o rodzinie królewskiej. Nie, żeby mieszkańcy Wodobrodu przejmowali się prawami ustanowionymi w odległej stolicy. Ród królewski zupełnie ich nie obchodził, tak jak i Rada. Więc do tej chwili Rigg nie miał pojęcia, że nazwisko zapisane przez ojca w liście kredytowym było książęce.

– To nie czas i miejsce, by dalej dyskutować o naszych sprawach przy tylu świadkach – upomniał ich żołnierz towarzyszący generałowi. – Mówił pan, że był z nimi jakiś mężczyzna.

– Postawny chłop, oberżysta, nazywali go Bochen – uściślił Bednarz.

– A ten drugi chłopiec?

– Dla nich to jak domowe zwierzątko, nie mam pojęcia, jaki mają z niego pożytek, bo to najbardziej tępy górniak z nich wszystkich.

Umbo wbrew woli się zaczerwienił.

– To mu się nie podoba. – Żołnierz zachichotał.

– Mówiłem, że jest tępy, a nie głuchy.

– Widzę, że niczemu nie zaprzeczasz – zwrócił się żołnierz do Rigga.

Rigg przeniósł wzrok na niego i przez dłuższą chwilę niewzruszenie wpatrywał mu się w oczy, a potem znów spojrzał na generała. Umbo aż chciał się roześmiać głośno. Tylko spojrzeniem Rigga dał żołnierzowi do zrozumienia, że jest nędznym robakiem, niegodnym, by się do niego odezwać.

Powodowany impulsem Umbo zaczął tkać swoją sieć przyspieszenia czasu wokół Rigga.

Rigg odwrócił się do niego i rzekł:

– Nie.

Umbo usłuchał.

– Co nie? – zapytał żołnierz.

Rigg uparcie milczał, więc żołnierz zwrócił się do Umba.

– Czego on kazał ci nie robić?

Umbo wzruszył ramionami.

Żołnierz złapał go za łokieć chwytem piekielnie bolesnym.

– Czego on kazał ci nie robić, chłopcze?

– Chciał uciec – wtrącił się Rigg.

– A ty co, czytasz mu w myślach?

Jeden ze strażników wieży do nich przystąpił. Bardzo ostrożnie.

– Skoro już ich znaleźliście, czy możemy znów pozwolić ludziom opuszczać wieżę?

– Nie przeszkadzać! – szczechnął żołnierz.

Generał zwrócił głowę ku strażnikowi, ignorując swego podkomendnego z Armii Ludowej.

– Nie ma już powodu, by ich tu trzymać. Dziękujemy za pomoc.

Żołnierz, niższy rangą oficer, nie dał po sobie poznać, że generał właśnie zanegował jego polecenie.

Strażnik głęboko się pokłonił.

– Dziękuję, wasza ekscelencjo.

– W Armii Ludowej nie ma żadnych ekscelencji – warknął oficer.

– To prawda, niestety – rzekł generał. – Strażniku, czy mógłbyś wysłać paru ludzi do wieży?

Niech szukają wysokiego mężczyzny, który wygląda jak były żołnierz. Widziałem go z tymi chłopcami, ale gdy zobaczył pana Bednarza, wrócił do wieży, udając, że czegoś szuka.

Umbo był pod wrażeniem. Może generałowie zostawali generałami, bo byli bystrzy, a przynajmniej spostrzegawczy.

Ale z drugiej strony wydawało się, że generał nosi się, odwraca głowę i mówi dokładnie tak jak Rigg. A w odróżnieniu od niego nie musiał udawać. Gdy przyjaciel zakazał Umbowi tkąć sieć czasu, mówił z taką samą chłodną wyższością jak generał do strażnika. Tonem nieznoszącym sprzeciwu – lecz bez złości, dzięki czemu nie rodził niechęci. Gdy Rigg się odezwał, Umbo usłuchał bez chwili wahania. Jak Rigg się tego nauczył? Nigdy nie był w wojsku. Może przyswoił to sobie od Wędrującego Człowieka. Ten to dopiero potrafił rozstawiać ludzi po kątach.

Musiało być fajnie wychowywać się pod okiem Wędrującego Człowieka. Co ojciec Rigga dla niego planował? Co mu przekazał? Nie tylko klejnoty, nie tylko królewskie nazwisko, które najwidoczniej należało do kogoś, kto podobno miał być martwy, ale też te władcze maniery, całą posiadaną przez Rigga wiedzę o finansach, rozumienie metod negocjacji z dorosłymi – ojciec musiał go w tym wszystkim przeszkolić.

Czyżby przewidział ten moment? I czy to nie czyniło go jednym z wielkich bohaterów, którzy potrafili wejrzeć w przyszłość?

Umbo nigdy nie słyszał o bohaterze z taką mocą, ale czy nie byłby to potężny dar od boga? Wspólnymi siłami Umbo z Riggim potrafili tylko sięgnąć w przeszłość – a nawet to było niespotykanym talentem. I trudnym do opanowania.

Muszę się nauczyć robić to sam.

– Zabiorę chłopców na ich łódź – oznajmił generał. – Poczekamy tam, a tymczasem tobie powierzam nadzór nad poszukiwaniami tego mężczyzny zwanego Bochnem.

– To jego imię – wypalił Umbo.

Generał spojrział na niego nieruchomym wzrokiem.

– To nie żadne przezwisko – wyjaśnił Umbo. – Tak nazywają ludzi w jego wiosce. Jego żona nazywa się Lejka. – Umbo nie miał pojęcia, czemu tyle gada. Zwyczajnie nie mógł się powstrzymać.

Kąciaki ust generała zadrgały w nikłym uśmiechu. Umbo spojrział na Rigga. Twarz przyjaciela była spokojna i nie wyrażała żadnych emocji.

– Niech i tak będzie – rzekł generał. – Wassam, mężczyzna ma na imię Bochen, nie domagaj się innego, brzmiącego bardziej prawdziwie. Przyrowadź tego człowieka do mnie.

Nieprzesłuchanego i niepobitego, jeśli łaska. – Po czym wyciągnął ręce w stronę Rigga i Umba. A ci, nie potrzebując żadnych wyjaśnień, chwycili go za dłonie i tak ruszyli z powrotem ku miastu.

Generał trzymał ich ręce luźno i lekko. Wystarczyło jednak, że Umbo pomyślał – tylko pomyślał – o ucieczce, a chwyt na jego ręce się zaciskał.

Czyżby generał słyszał moje myśli?

Nie. Pewnie trochę się napiąłem, gdy myśl o ucieczce przemknęła mi przez głowę. A może po prostu zauważył, że zezowałem w stronę szuwarów.

Krok za nimi jak cień snuł się pan Bednarz.

– On opowie panu niestworzone historie – uprzedzał generała. – Tylko kłamać i udawać potrafi.

– Ani razu mnie nie okłamał – spokojnie stwierdził generał.

– Bo wcale się nie odezwał. A sam pan widzi, że nie zaprzecza moim słowom!

– Panie Bednarz – uprzejmie rzekł generał. – On nie uważa pana za godnego uwagi, i tyle.

– No właśnie! – zapał bankier. – O takiej arogancji właśnie mówię!

– Arogancji, której można się spodziewać, jeśli naprawdę pochodzi z królewskiego rodu.

– Och, przecież wie pan, że to niemożliwe!

– Czy nie lepiej spożytkowałby pan swój czas, panie Bednarz, gdyby został pan tutaj, pomagając zidentyfikować mężczyznę zwanego... nie, mężczyznę o imieniu Bochen?

Ta władcza nuta spowodowała, że bankier odwrócił się i szybkim krokiem ruszył w stronę wieży, mamrocząc pod nosem: „Oczywiście, sam powinienem na to wpaść”, a potem już nie było go słychać.

Gdy się oddalił, generał zagadnął życzliwie:

– I cóż, moi młodzi przyjaciele, jak wam się podoba w O?

– Bardzo duże miasto – stwierdził Rigg.

Generał się uśmiechnął.

– No tak, jesteście z gór, więc to na pewno pierwsze prawdziwe miasto, jakie widzicie.

Zapewniam was, że w granicach Republiki Ludowej znajduje się czternaście większych miast. O przyciąga uwagę mędrców głównie swą długą historią. I zabytkami z dawnych epok, dzieł ludzi, których mądrości jeszcze nie odkryliśmy. A może nigdy nie odkryjemy.

Rigg potaknął.

– Chodzi panu o ten glob w wieży?

Przez kilka chwil szli w milczeniu, a Umbo pomyślał, że może generał nigdy nie uświadomił sobie, iż to coś jest mapą świata, świata zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz Muru.

– Cała wieża jest niepojętym fenomenem – rzekł w końcu generał. – Kamienne żebra wysoko wewnątrz wieży zdają się zwykłą częścią jej konstrukcji, ale nią nie są.

– Nie podtrzymują ścian i kopuły?

– Kamienne filary nie są w żaden sposób połączone ze ścianami, jedynie podtrzymują światła i glob. Ponad trzy tysiące lat temu zdarzyło się trzęsienie ziemi, w którego wyniku zawaliły się trzy filary. Sławny kronikarz tych czasów, Alagacza – tylko tak potrafimy wymówić jego imię w naszym języku – pisał, że podczas renowacji odkryto, iż nie ma sposobu na przytwierdzenie ich do ścian. Jak gdyby wieża stała tu, jeszcze zanim ktokolwiek pomyślał, żeby dodać kamienne rampy i filary, światła i glob.

Rigg nie okazywał zdumienia.

– A co to ma wspólnego z długą historią miasta?

– Nic a nic. Według legendy wieża była tutaj, jeszcze zanim powstało miasto O. I tylko ona.

– W takim razie jest bardzo stara.

A Umbo pomyślał: Jak to możliwe, że nas aresztujesz, a potem udzielasz nam lekcji, jakbyśmy byli dziećmi w szkole?

Lecz Rigg mówił, że właśnie tak wyglądało jego życie z ojcem – ciągle rozmowy, dyskusje. Może więc dla Rigga była to normalka. Może już uważał generała za kogoś podobnego do ojca.

Cóż, dla mnie on też jest jak ojciec, pomyślał Umbo. Z tą różnicą, że dla mnie ojciec jest synonimem kary, niesprawiedliwej i nieznającej umiaru, a nie kimś, z kim można by pogadać o historii.

– W każdym innym mieście, jeśli się robi wykopy pod fundamenty nowych budowli, robotnicy znajdują stare ściany, stare podłogi, stare cmentarzyska. Wszystko powstaje na zgliszczach czegoś innego. Wszędzie, czy to pośród terenów zalewowych rzeki Kosmolo, czy wokół morskich wybrzeży, ktoś już tam był przed nami, znajdujemy wiele warstw pradawnych budowli. Tylko w O jest inaczej.

– Chce mi pan wmówić, że te budynki w porcie powstały przed tysiącami lat?! – zadrwił Rigg.
– Tak blisko rzeki drewno by pogniło.

– Nie mówię o drewnianych budowlach. Te i owszem, powstają i się zapadają, i tak w kółko. Ale kamienne budynki i wielki mur – one są tu od początku. Co jakiś tysiąc lat wielkie gmachy popadają w ruinę i trzeba je odbudować. A wtedy robotnicy odkrywają, że pod fundamentami niczego nie ma. Mury miejskie i te wielkie białe budowle postawiono na dziewiczej ziemi. Właśnie w O najbardziej czuć ducha całych jedenastu tysięcy lat historii.

Raptem generał nieco mocniej ścisnął rękę Umbowi. Chłopiec spojrzał w górę i zobaczył, że generał na niego zerka z lekkim uśmieszkiem. Drwiny? Sympatii?

– Twojego młodszego przyjaciela, paniczu Riggu, historia najwidoczniej nie interesuje.

– Jest rok starszy ode mnie.

Umbo spodziewał się jakiejś uwagi o swoim wzroście, ale generał wrócił do tematu dziejów O.

– Jedenaście tysięcy lat historii, tyle to już trwa. A dokładniej jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat plus jedenaście. Podobno w czasie renowacji wieży znaleziono u jej podstawy kamień z inskrypcją: „Ten kamień położono w roku 10999”. Oczywiście napisana jest w języku, który jedynie uczeni potrafią przeczytać, ale tak głosi legenda.

– A więc świat miał tylko sto dziewięćdziesiąt dwa lata, gdy pod wieżę położono kamień węgielny?

Generał milczał przez dłuższą chwilę.

– Na to wygląda – przyznał w końcu. – Najstarszy budynek na świecie.

– Przewodnicy jakoś zapominają o tym wspomnieć – rzucił Umbo pod nosem.

– Jestem pewien, że mówiliby o tym, gdyby wiedzieli. Ale niewielu ludzi na tyle interesuje zamierzchła przeszłość, by przekopali archiwa, nauczyli się starożytnych języków i napisali książki o dawnych dziejach, a tylko garstce z nas chce się te książki czytać. O nie, jedyna historia, która dziś obchodzi masy, to opowieść o tym, jak wspaniale nam się żyje, odkąd rewolucja ludowa obaliła monarchię, i o tym, jak zachłanni i okrutni byli władcy, gdy jeszcze rządili Światem Między Murami.

– I jak bardzo się cieszymy, że ich obalono – dodał Rigg.

Generał przystanął.

– Czy to była ironia?

Na co Rigg odpowiedział, słowo w słowo powtarzając wcześniejsze zdanie z tą samą intonacją – to znaczy z żadną, którą dałoby się jednoznacznie nazwać:

– I jak bardzo się cieszymy, że ich obalono.

Generał zachichotał.

– Teraz rozumiem, co miał na myśli bankier, gdy mnie przed tobą przestrzegał. Na Stałą Gwiazdę, mój chłopcze, zupełnie jakbyś był ptakiem śpiewającym tę samą melodię raz po raz, nigdy nie zmieniając śpiewki.

– O rodzinie królewskiej nic mi nie wiadomo, proszę pana – przyznał Rigg – inaczej wiedziałbym, że jest coś nie tak z nazwiskiem, które ojciec napisał w swym testamencie.

– No i doszliśmy – rzeki generał.

Umbo rozejrzył się dokoła. Dokąd doszli?

– Nie dosłownie, mój młody przyjacielu – wyjaśnił mu generał. – Chciałem powiedzieć, że doszliśmy do sedna sprawy. Dlatego wysłano mnie, bym aresztował panicza Rigga i zabrał go do Aressa Sessamo. Tak, miał klejnot, a gdy ten głupiec bankier próbował go spieniężyć, udało mu się jedynie ściągnąć na siebie uwagę Ludowej Rady Rewolucyjnej. Naprawdę sądził, że może ot tak sprzedać królewskie insygnia? Czy i tobie tak się wydawało?

– Tak, proszę pana. W rzeczy samej. Dla mnie był to kamień, który mógł mieć sporą wartość. Nie spodziewałem się tak żywej reakcji pana Bednarza. Że rozpozna w nim pradawny klejnot. Ani że zaoferuje tyle pieniędzy. Ojciec przekazał kamień na przechowanie swej przyjaciółce, która miała mi go oddać po jego śmierci. Umarł, przyjaciółka dała mi kamień i resztę pan zna.

– No nie, paniczu Riggu, czy naprawdę spodziewa się pan, że uwierzę? Jest pan dość wykształcony w dziedzinie finansów i zobowiązań prawnych, żeby wyprowadzić w pole bankiera, a nie rozpoznał pan nazwiska Sessamekesh?

– Nazywam się Rigg. Ojciec zwracał się do mnie po imieniu i ani razu nie wspomniał mego nazwiska. Rozpoznałem więc imię, ale nie nazwisko rodowe.

Generał zachichotał.

– Skoro masz pełną kontrolę nad intonacją głosu, gestami, wyrazem twarzy, skąd mogę wiedzieć, czy mówisz prawdę? Ale jeśli kłamiesz, to kiepsko, bo wszyscy to nazwisko znają.

– Mnie się nie obilo o uszy, chociaż chodziłem do szkoły o wiele częściej niż Rigg – wtrącił się Umbo. – Nikt nie rozmawia o rodzinie królewskiej. Prawo zabrania się tymi ludźmi interesować.

– Proszę, proszę! Nie miałem pojęcia, że to prawo jest przestrzegane w górach. W mieście – i nie mam tu na myśli O – w mieście wszyscy znają to nazwisko i otaczającą je legendę, a prawo zabraniające mówienia o rodzinie królewskiej mają w niewielkim poważaniu. W życiu bym nie pomyślał, że w głębi kraju wciąż się unika wymawiania zakazanych nazwisk.

Jedliście już coś?

Umbo zorientował się dopiero po chwili, że temat rozmowy się zmienił.

– W tej chwili nie jestem głodny – stwierdził Rigg – lecz Umbo zawsze ma wilczy apetyt.

Ale to pan wie najlepiej, kiedy nadarzy się nam następna okazja do posiłku. Jeśli proponuje pan, żebyśmy posilili się teraz, z chęcią na to przystanę i zrobię wszystko co w mojej mocy, by to panu wynagrodzić.

– Proponujesz, że zapłacisz? – zapytał generał.

– Nie wiem, proszę pana, czy mam dostęp do moich funduszy. Z tego, co mówił Bednarz, wnoszę, że całość skonfiskowano.

– Tak, słusznie się domyślasz – przyznał generał. – Ale według Prawa Ludowego nie dowiedziono jeszcze twojej winy. Dlatego pieniądze wciąż należą do ciebie, nawet jeśli nie masz do

nich dostępu. Ja jednak mam – o ile panicz wyrazi zgodę.

– Daję więc panu zgodę na pokrycie pełnych kosztów bardzo solidnego posiłku.

– Chyba szybkiego.

– To, czy będzie szybki, zależy od tego, co zrobimy z jedzeniem; a to, czy będzie bardzo solidny, od tego, co robi z nim kucharz.

– Jesteś tu już od kilku tygodni. Czy gdzieś po drodze dostaniemy jakieś jedzenie, dla którego warto się zatrzymać?

– Jeśli powie mi pan, dokąd zmierzamy, wybiorę lokal leżący na naszej trasie.

– Do łodzi, rzecz jasna. Tej, którą wynajęliście, by zabrała was do Aressa Sessamo.

Myślałem, żeście słyszeli, jak to mówiłem. Skoro już zapłaciliście, Republika Ludowa zaoszczędzi pieniądze, transportując nas tą łodzią do celu.

– Tak się domyślałem, ale powiedział pan tylko tyle, że należy tam doprowadzić naszego towarzysza, o ile przypadkiem go znajdą.

– Ustalmy to już teraz, paniczu Riggu. Jesteś Riggiem Sessamekeshem?

– To nazwisko coś dla pana znaczy. Mówi pan o jakiejś legendzie, którą znają wszyscy w Aressa Sessamo. Ja jej nie znam, więc nie mogę orzec, czy jestem tą osobą. Mnie wydaje się to mało prawdopodobne. Poznałem to nazwisko dopiero wtedy, gdy umarł mój ojciec. Może to jakiś jego żart? Fortel mający zaaranżować spotkanie z panem? Mój ojciec był tajemniczym człowiekiem, nie potrafię więc odgadnąć motywów, które mu przyświecały.

Wiem tyle, że musiałem okazać jego list Bednarzowi, by udowodnić, że mam prawo do pieniędzy i dobytku mego ojca. A on najwyraźniej nie rozpoznał tego nazwiska – interesował go tylko cenny klejnot. Tak więc aż do dzisiaj nie przypisywałem temu nazwisku żadnego znaczenia. Ojciec nigdy mnie tak nie nazywał.

Generał znów się zaśmiał.

– Ależ z ciebie gracz! Szelma pierwszej wody! Nie potwierdzasz, nie zaprzeczasz. Można by pomyśleć, że jesteś prawdziwym niewiniątkiem.

– Mówię samą prawdę – tłumaczył Rigg. – Jeśli moje słowa chce pan uznać za ruch w grze, to graczem jest mój ojciec, a nie ja. I ja jestem ciekaw konsekwencji tego, co mój ojciec napisał w liście. Najwyraźniej także zza grobu był zdecydowany zadbać o moje wykształcenie.

– Twój ojciec – rzekł generał. – Jeśli był twoim ojcem, to nie możesz być Riggiem Sessamekeshem.

– Ojciec nigdy nie wspominał mi o okolicznościach moich narodzin. Ludzie z Wodobrodu mówią, że udał się w długą podróż i wrócił z dzieckiem. Jestem pewien, że nic nikomu nie wyjaśniał, a nikt nie śmiał pytać. Nigdy nie mówił więcej, niż chciał, żeby inni wiedzieli, a ludzie nie wtrącali się do jego spraw.

– Wszyscy sądzą, że Rigg jest bękartem – oznajmił Umbo.

– Wędrujący Człowiek zrobił go jakiejś kobiecie i wziął do Wodobrodu na wychowanie.

– Czy to w porządku, paniczu Riggu, że przyjaciel nazywa cię bękartem? – zdziwił się generał.

Umbo zaczął oponować, że wcale nie chciał go tak nazwać, ale Rigg go uciszył z uśmiechem.

– Mój przyjaciel stwierdził tylko, iż plotka w Wodobrodzie głosi, że jestem bękartem, a nie że on mnie za takiego uważa. Ale nawet jeśli jestem bękartem, co z tego? Mój ojciec uznał mnie za swego syna.

– Tyle że jeśli jesteś Riggiem Sessamekeshem, on nie jest twoim ojcem.

– Musi mi pan kiedyś o tym opowiedzieć.

Generał znów uważnie przyjrzał się twarzy Rigga, szukając oznak ironii. Umbo mógłby mu

powiedzieć, że to na nic. Rigg zawsze idealnie panował nad mimiką, nie okazując uczuć.

Nawet na szczycie klifu, tego strasznego dnia, gdy Rigg próbował uratować Kyokaya, jego twarz była nieruchomą maską – żadnej troski, nawet odrobiny zainteresowania. Nie to, że Rigg nie potrafił okazywać emocji – ale czemu miałyby mu się chcieć, skoro nie wiedział, że ktoś na niego patrzy? Ta pozorna beznamiętność to jedna z wielu rzeczy, które oddzielają Rigga od reszty świata. Kiedy obaj byli mali, sprawy miały się inaczej. Rigg był wtedy całkowicie normalnym smykiem, równie skorym do gniewu, płaczu i śmiechu jak inne dzieciaki. Jednak z każdą podróżą w towarzystwie ojca stawał się coraz bardziej powściągliwy, coraz bardziej opanowany. Coraz bardziej oziębły, chyba że zdecydował inaczej. Właśnie dlatego Umbo był skłonny uwierzyć, że Rigg zamordował Kyokaya. Przez tę jego maskę. Ostatnimi czasy zawsze ją nosił.

Doszli do jadłodajni, którą znalazł Umbo, bez celu błakając się po mieście podczas minionych kilku tygodni. Później Bochen ocenił, że karmią tu porządnie, i przyprowadzili Rigga. Umbo poczuł przypływ dumy, że tutaj Rigg postanowił kupić ich ostatni posiłek w O.

Albo w ogóle ostatni w ich życiu.

Rigg jak zwykle wystawił pokwitowanie za jedzenie, dodając sowity napiwek. Wpisał nazwę banku i pensjonatu, w którym mieszkali do dzisiejszego ranka. Gospodarz ich znał, ukłonił się więc i podziękował. Nie dał po sobie poznać, że fama o aresztowaniu Rigga przez Armię Ludową już tu dotarła.

Czego ten generał chce? – zastanawiał się Umbo. Tak miło się do nas odnosi. Co prawda trochę przynudza, gdy zbacza na tematy historyczne, ale w życiu nie słyszałem, żeby władze traktowały aresztantów tak dobrze jak nas.

Zamówili jedzenie – ser, jajka na twardo i warzywa włożone do okrągłej bułki. Umbo natychmiast rzucił się na swoją porcję – kiszki grały mu już marsza – a generał wyraźnie mu się przyglądał, by zobaczyć, jak to się je. Pewnie nigdy w życiu nie próbował dobrego ulicznego jedzenia, pomyślał Umbo. Niewykluczone, że w stolicy nie mają nic aż tak dobrego – albo nic tak prostackiego i podłej jakości. Cóż, nawet jeśli uważa to za oznakę górniactwa, jest to bardzo smaczne i nie mam zamiaru się tego wstydzić.

A po chwili generał zabrał się do swojej bułki z takim samym entuzjazmem jak Umbo i Rigg. I tak samo się ubrudził sokiem z pomidorów.

Miał zajęte ręce, ale Umbo zrozumiał, że próba ucieczki nie zdałaby się na nic. I tak znów by go znaleźli, a potem już obchodziliby się z nim zupełnie inaczej. Słyszał o biczowaniu, o zakuwaniu nóg w łańcuchy. Niespieszno mu było poznać te kary na własnej skórze.

Kończyli już jeść, gdy doszli do portu. Zaczęli się przedzierać przez tłumy pasażerów i rzekowców, dokerów i gapiów. Co wcale trudne nie było. Mundur generała robił swoje – przyciągał uwagę na tyle, że ludzie omijali ich szerokim łukiem. Nie śmieli spojrzeć generałowi w oczy, odsuwali się w tę czy inną stronę, by czasem nie wejść mu w paradę.

Rigga i Umba popychali do woli. Wszak były to tylko bogato odziane dzieci, paniczki zasługujące na kuksańce.

Umbo chciał wrzasnąć: „Jeszcze kilka tygodni temu byłem większym biedakiem od was!”. Ale co by to dało? Nie chciał i nie potrzebował uznania przechodniów w porcie.

Przy łodzi straż trzymało sześciu żołnierzy. Dwóch pilnowało trapu, dwóch stało o wiele dalej opodal sklepów, lecz w zasięgu głosu, a ostatni dwaj znajdowali się na łodzi i spokojnie obserwowali tłum.

– Jak widzicie, wasze rzeczy już załadowano – stwierdził generał.

– Widzę tylko, że nie ma ich tam, gdzie je zostawiliśmy – zauważył Rigg.

Generał westchnął – z irytacją czy rozbawieniem? – I rzekł:

– W takim razie poprawka: zobaczycie, że załadowano je na łódź, gdy już na nią wejdziecie.

– Jeszcze nas trzeba na nią załadować.

Generał zaczął rozmowę z sierżantem zawiadującym grupą żołnierzy. Umbo zauważył, że sierżant miał oznaki swojej rangi – tylko na mundurach generała i tego drugiego oficera, którego spotkali w pobliżu wieży, nie widniały żadne wojskowe insygnia. A więc Armia Ludowa żałuje oznak dla swych wyższych oficerów, lecz pozwala je nosić niższym stopniom.

Tym samym brak odznaczeń jest najwyższym odznaczeniem ze wszystkich. Umbo zaśmiał się w duchu i przypomniał sobie, co mawiał jego ojciec: „Rewolucja ludowa to była tylko zmiana kostiumów – nadal rządzą ci sami ludzie”.

– Proszę tym chłopcom zapewnić pełną swobodę na łodzi, ale pod żadnym pozorem z niej nie wypuszczać – polecił generał. – Ten – wskazał na Rigga – to taki łobuz, że aż musiano wysłać człowieka mojej rangi, by go zaaresztował. Nie zważaj na plamy po pomidorach na jego bardzo kosztownej tunice. To górniak, nie ma pojęcia, co to serwetka.

Sierżant się zaśmiał. Umbo miał ciętą ripostę na końcu języka, właśnie nabierał powietrza, by się odezwać, gdy Rigg musnął grzbiet jego dłoni i nie wiedzieć czemu Umbo zrozumiał sugestię. Cierpliwości. Poczekaj.

Fajnie było zbiegać po trapie na ląd, gdy przybijali do portów w różnych miastach, a potem znów wbiegać na pokład, gdy mieli odpłynąć. Ale wtedy Umbo miał pełną swobodę ruchu; teraz nie wolno mu było odejść, więc wchodząc na statek, czuł się jak skazaniec prowadzony na szafot.

Ledwo zdążyli się upewnić, że ich torby i kufry odpowiednio ułożono, gdy generał pojawił się znowu i oznajmił:

– Paniczu Riggu, kapitan łodzi był tak miły, że użyczył mi swojej kajuty. Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy z miejsca rozpoczęli przesłuchanie?

Słowo „przesłuchanie” powiedział z żartobliwą nutką, mającą rozwiać obawy. A jednak właśnie tego słowa użył, i na pewno nieprzypadkowo. Nieważne, że chciał być miły, wciąż był władny posłać ich na męki i zrobić z nimi wszystko, czego dusza zapragnie. A Umba zupełnie nie pocieszało to, że przypomniał sobie wcześniejsze zapewnienia generała, iż nie można ich traktować jak winnych aż do wydania wiążącego wyroku w sprawie rzekomego spisku Rigga.

Kiedy Rigg z generałem ruszyli ku kajucie kapitana, Umbo poszedł za nimi, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy. Lecz generał od razu go zauważył i gestem zwieszanej dłoni dał znać, by zostawił ich samych. Najwyraźniej to miało być przesłuchanie w cztery oczy. Chociaż Umbo wcale nie wątpił, że i na niego przyjdzie pora.

Nie było szans, by zakraść się pod drzwi i podsłuchiwać, więc Umbo poszedł do kambuza. Ale kucharz natychmiast kazał mu się wynosić.

– Ja tylko chcę pomóc – bronił się Umbo.

– A co wiesz o kucharzeniu?

– Wszyscy w Wodobrodzie umieją coś upitrasić. Głodni chodzą tylko najwięksi głupcy, jeśli nie mają żony, by dla nich gotowała.

– To jakieś miejscowe przysłowie?

– Tak, proszę pana.

– W takim razie tam, skąd pochodzisz, musi być idiotów na pęczki.

– Dziękuję, proszę pana. Czy to znaczy, że mogę pomóc?

– Jeśli zbijesz choć jeden talerz, rozbiję ci łeb jak jajko na omlet.

– Oj, bo rozniesie się po statku, że w pana gulaszu można znaleźć kawałki chłopca.

– Co mi za różnica. Na tej łajbie są dwa wyjścia: jesz, co ugotuję, albo szukasz szczęścia, próbując złapać coś jadalnego w rzece.

Już po kilku chwilach Umbo w najlepsze krzątał się w kuchni, wypełniając polecenia kucharza. Zaczął się czuć jak u siebie w domu. Upewnił się, że sztylet wciąż jest schowany za beczką. Nie zamierzał go teraz zabierać. Generał miał obsesję na punkcie staroci, lepiej niech nie wie o tym starożytnym nożu, jedynej rzeczy, którą Rigg naprawdę ukradł.

W końcu kucharz usadził Umba, polecając mu obrać i posiekać rzepę na jutrzejsze śniadanie. Żmudne zajęcie, lecz niewymagające myślenia, trzeba było tylko uważać, by nie dodać palca do tej wykwintnej papki.

Umbo przy siekaniu myślał, w jaki sposób cofnąć się w czasie do dzisiejszego poranka, by ostrzec siebie i Rigga.

Czy nie byłoby miło ze strony jego przyszłego „Ja”, gdyby choć napomknęło o tym, jak Umbo ma się nauczyć mówić do ludzi z przeszłości?

Jedno było pewne – nigdy nie widział żadnej ze ścieżek, o których nieraz mówił mu Rigg.

Więc nawet gdyby udało mu się spowolnić samego siebie – albo przyspieszyć – nie wiadomo, czy kiedykolwiek będzie umiał wytropić kogoś w przeszłości. Nawet tak bliskiej jak dzisiejszy poranek.

I już po chwili próbował zrobić sobie to, co z taką łatwością robił Riggowi, przyspieszając go... albo spowalniając, zależy jak spojrzeć. Na próżno, zupełnie jakby jego talent był długim mieczem – mógł dotknąć nim innych, ale miał ramiona za krótkie lub miecz za długi, by zdołał sam się nim pchnąć.

Kiedyś Wędrujący Człowiek powiedział mu: „Musisz się tego nauczyć, tak jak uczyłeś się ruszać uszami”.

Jako że Umbo nigdy świadomie nie ruszał uszami – ani nie znał nikogo, kto by to potrafił – porównanie nie trafiło mu do przekonania.

Wtedy jednak Wędrujący Człowiek go nauczył, jak nimi ruszać. Kazał Umbowi spojrzeć w lustro i wyszczerzyć się jak najszerzej.

„Widzisz, że twoje uszy trochę się podnoszą, gdy się uśmiechasz?” – zapytał.

Dzięki podpowiedzi Umbo zobaczył to wyraźnie.

„To znaczy, że masz mięśnie, by ruszać uszami, i to sprawne. Teraz musisz tylko rozciągać usta w uśmiechu i z powrotem je ściągać, raz po raz, ale skupiając się na mięśniach, które podnoszą i opuszczają twoje uszy. Uśmiechnij się szeroko, a potem spróbuj poruszyć uszami, już się nie uśmiechając”.

Umbo próbował i próbował.

„Nic się nie dzieje” – rzekł w końcu, zniechęcony.

„Nieprawda. Dzieje się coś bardzo ważnego. Teraz już jesteś świadomy tych mięśni.

Trochę potrwa, nim nerwy wzmocnią swoje powiązania na tyle, by mięśnie się kurczyły, nie ciągnąc za sobą uśmiechu. Ćwicz za każdym razem, gdy coś cię rozbawi a potem bez uśmiechu próbując ponownie. Z czasem mięśnie się wzmocnią. Tylko koniecznie ćwicz oba uszy w równym stopniu bo inaczej skończy się na tym, że tylko nad jednym będziesz panował”.

Już po trzech dniach Umbo ruszał uszami na zawołanie – i oboma razem, i każdym z osobna. Minęło parę tygodni, a był w tym prawdziwym mistrzem.

Koniec końców, zgodnie z przewidywaniami Wędrującego Człowieka, porównanie okazało się niemal bezbłędne. Gdy poprzednimi razy zarzucał na innych swą sieć przyspieszenia, tworzył ją bezmyślnie, była więc nieprecyzyjna i nieprzewidywalna – matka dostawała migreny, gdy po

wielokroć robił to jej. Jednak z biegiem czasu nabierał coraz większego doświadczenia. Ćwiczył całymi godzinami. I mimo że nie miał pojęcia, jak to działa, stopniowo zyskiwał władzę nad tą siecią, aż w końcu potrafił utrzymać ją w miejscu i wzmocnić. To wymagało jedynie skupienia i ciągłych powtórzeń.

Teraz musiał w podobny sposób się nauczyć, jak zawrzeć siebie, i tylko siebie, w tej strefie przyspieszenia.

O tym, że dokonał pewnego postępu, świadczyć mogły słowa kucharza, który wrócił i zapytał gniewnie:

– Gdzieś schował resztę?

– Wszystkie są w garnku – odparł Umbo.

Kucharz wydawał się nieprzekonany, ale podszedł i zajrzał do kotła.

– Jeszcze nikt nie zrobił tego tak szybko – rzekł ze zdziwieniem. Musiał przyznać, że Umbo posiekał je dokładnie tak, jak należało. – Ale to niemożliwe, żeby tak szybko się z tym uporać.

– Przyłożyłem się.

– Przyłóż się do tego, chojraku – burknął kucharz, podkreślając to lekceważącym gestem, który, jak mówiono Umbowi, miał coś wspólnego albo z żeńskimi genitaliami, albo z aktem miłosnym, albo z sikaniem; nie był pewien.

Wiedział jednak, że to dwuznaczna pochwała. A szybkość, z jaką wykonał zadanie, wskazywała, że jednak się udało. Przyspieszył się odrobinę. Całkiem nieźle jak na pierwszy raz.

Skończywszy pracę w kuchni, wyszedł na górny pokład pasażerski. I wtedy zobaczył Bochna zakutego w kajdany. Najwyraźniej dawny sierżant nie poddał się po dobroci.

Generał wyszedł powitać Bochna i przyznać mu pełną swobodę na pokładzie, pod warunkiem że nie będzie próbował zejść na ląd. Powiedział też kapitanowi, że mogą już odpłynąć, i wrócił do kapitańskiej kajuty. Mat zaczął wykrzykiwać komendy, zrzucano cumy, a łódź odepchnięto tyczkami od nabrzeża.

– Myślisz, że Rigg dobrze się tam trzyma? – odezwał się ktoś.

Umbo odwrócił się i ze zdziwieniem stwierdził, że Bochen wdrapał się na pokład pasażerski.

A za nim wszedł oficer, który go aresztował. Gdy Umbo i Bochen poczęstowali go wymownymi spojrzeniami, tylko się uśmiechnął złośliwie i rzekł:

– Może generał zapomniał, że jesteście więźniami, ale ja nie zapomniałem.

Umbo kompletnie zignorował oficera, bo metoda Rigga wydawała mu się najlepsza.

– Ćwiczę – powiedział do Bochna, nie ścisząc głosu. A niech ten żołdak słyszy. – Ale nie wiem, czy to, co muszę zrobić, w ogóle jest możliwe. Są takie rzeczy, które możesz zrobić innym, a nie możesz sobie.

– Jak łaskotanie – odparł Bochen.

– Właśnie.

– Co miałeś na myśli? – wtrącił się oficer.

– Kiedy? – zapytał Umbo.

– ”Łaskotanie”. To jakiś szyfr?

Bochen odwrócił się do żołnierza.

– To, że nie rozumiesz, o czym mówimy, dzieciaku, nie daje ci prawa zamećzać dorosłych głupimi pytaniami. Nie lubimy cię na tyle, by zapoznać cię ze wszystkimi szczegółami, i szkoda nam czasu.

Oficer znów posłał im złośliwy uśmiech.

– Generał nie będzie was wiecznie bronił. A wtedy się przekonamy, jak bardzo mnie lubicie. –

Po czym wlaź na drabinkę i zszedł po niej na dolny pokład ładunkowy.

Gdy zostali sami, Bochen przeszedł do rzeczy.

– Cieszę się, że robisz postępy, choć nie zmartwiłbym się nawet, gdybyś nie robił. Jedno jest pewne: możesz nauczyć się to robić, bo to zrobiłeś. Albo zrobisz.

– Łatwo powiedzieć.

– Pewnie tak – zbył go Bochen. – A teraz zejdz na dół, zabierz to, co chcesz z sobą wziąć, umocuj to na swoim ciele, żeby nie zgubić nawet w wodzie, i zaraz tu wracaj.

– Czemu?

– Głupi jesteś czy jak? Gdzie twoje przyszłe „Ja” odnalazło ciebie i Rigga, by przekazać wam ostrzeżenia?

– Mnie w łóżku w naszym pensjonacie, a Rigga przy powozie pod wieżą.

– A więc jeśli nie umiesz sprawnie przemieszczać się nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni, nie możemy się oddalić od O. Nie musisz sam znajdować się w pobliżu tego kogoś z przyszłości, by do niego przemówić?

– Racja – zgodził się Umbo. – Muszę zostać w O.

– Za późno. Już nie jesteśmy w O. Ale to nic, bo i tak musimy się gdzieś przyczaić na jakiś czas, gdy opuścimy tę łódź, a w O znają nas za dobrze, byśmy uniknęli ponownego schwytania. Idź już i weź, co tam musisz, a potem od razu wracaj na górę.

Umbo w te pędy zsunął się po drabince i pognął do kajuty. Nie otworzył jednak swoich bagaży. Mieściły sporo przednich szat, ale jak miałyby wytłumaczyć się z przyniesienia ubrań na zmianę na górny pokład? Nie, tak naprawdę musiał z sobą zabrać tylko jedną rzecz.

Gdy wpadł do kambuza, kucharz go ofuknął:

– Nie mam teraz dla ciebie czasu, a jeśli spróbujesz coś podwędzić, ostrzegam: kasza jeszcze się nie ugotowała i możesz się po niej rozchorować, więc jedz na własną odpowiedzialność.

– Zostawiłem tu coś, gdy siekałem rzepę – wytłumaczył Umbo.

– Zabierz to i się wynoś.

Sztylet wciąż był za beczka, w pięknej skórzanej pochwie kupionej przez Rigga w nie tak odległych czasach dobrobytu. Umbo zdążył jeszcze przewiązać się rzemieniami pochwy wokół pasa, pozwalając, by nóż wisiał w nogawce. To było bardzo niewygodne, ale nie przychodziło mu do głowy lepsze miejsce, gdzie mógłby go schować.

Na górnym pokładzie pasażerskim Bochen znów wdał się w rozmowę z oficerem.

– Generał powiedział, że mamy pełną swobodę na łodzi – przypominał. – Więc naprawdę nic panu do tego, czy chłopak i ja trzymamy się razem, czy osobno. Gdyby generał chciał mieć nas wszystkich w jednym miejscu, zaprowadziłby nas do kajuty kapitańskiej, tam gdzie Rigga.

Rigg. Zostawią Rigga!

Lecz Umbo wiedział, że nie było wyjścia. Rigg popłynie dalej i nie ma jak temu zapobiec, nikogo nie zabijając, a i wtedy zapewne nic by nie osiągnęli. Umbo musiał zostać w O, bo tam musiał być, by przekazać ostrzeżenia, które już otrzymali. A Bochen musiał zostać w O, bo tam ukrył pieniądze i klejnoty. Rigg to zrozumie.

– Znalazłeś? – zapytał Bochen.

Umbo potaknął.

– Co znalazł? – Oficer domagał się wyjaśnień.

– Przyrodzenie twojego ojczulka w pudełku, gdzie trzymała je twoja matula – odpysknął mu Bochen.

Oficer się wpienił, ale zaraz się pohamował. Faktycznie nadużywał swojej władzy, nie chciał

więc tłumaczyć się generałowi, dlaczego ukarał więźniów za złamanie reguł, których wyższy rangą nie narzucił.

Bochen wymownie odwrócił się plecami do oficera i poprowadził Umba do relingu na skraju górnego pokładu. Obaj spojrzeli na płynącą dołem rzekę.

– Zaraz będziesz miał okazję udowodnić, że umiesz pływać – stwierdził Bochen.

W Wodobrodzie rzeka była o wiele węższa; Umbo w życiu nie płynął wpław aż tak daleko.

– A nie możemy wziąć jednej z tych łódek przywiązanych na rufie? – zapytał z nadzieją.

– Dasz radę dopłynąć do brzegu? Biorąc poprawkę, że będziemy płynąć po części z prądem, który może nas znieść?

– To chyba znaczy, że jednak umiesz pływać. Czy mam cię ciągnąć do brzegu?

– Jeśli naprawdę spróbujesz, może nie umrzesz – odparł Bochen z szerokim uśmiechem.

– Może?

– Stare powiedzonko z mojej wioski, zapomnij. Jak już będziesz w wodzie, zanurkuj, popłyn pod łodzią i wynurz się po drugiej stronie. Tam nie będą nas szukać.

– Chcesz, żebym przy okazji wykopał trochę ostryg, jak już będę przy dnie?

– Albo uda ci się wstrzymać oddech na dość długo, albo utoniesz. Ale popłyn pod łodzią, bo jeśli wynurzysz się wcześniej, podziurawią cię bełtami z kuszy.

Umbo ruszył do drabinki. Oficer natychmiast zaczął się do nich zbliżać.

– Wracaj – głośno upomniał chłopca Bochen.

Umbo usłuchał.

Oficer się odwrócił do barierki.

– Tędy wybywamy – szepnął Bochen.

Umbo spojrzał prosto pod siebie.

– Nie patrz tam – skarcił go Bochen.

– A jeśli nie ominę dolnego pokładu? Jeśli uderzę w barierkę, połamię nogi, a potem wpadnę do wody i się utopię?

– Już o tym pomyślałem.

Bez dalszych wyjaśnień uniósł Umba do góry za kołnierz i pas, po czym przerzucił go przez reling z taką siłą, że chłopiec z dala ominął dolny pokład i wpadł do wody.

Na pokładzie rozległy się krzyki, a gdy Umbo po raz pierwszy się wynurzył, by zaczerpnąć powietrza, zobaczył kolejne ciało spadające do rzeki – a ku jego zdziwieniu był to ten oficer, który teraz pluł wodą, krztusił się i wołał o pomoc.

Umbo odruchowo chciał mu pomóc, ale zdecydował, że to nie jego sprawa. Zgodnie z poleceniem Bochna zanurkował i zaczął płynąć pod łodzią. Bardziej poczuł, niż usłyszał plusk, gdy Bochen uderzył o wodę. Lecz wtedy już znajdował się w cieniu łodzi. W mętnej toni nie widział zupełnie nic i panicznie się bał, że kiedy zechce wypłynąć na powierzchnię, uderzy się w głowę, bo okaże się, że nie dopłynął wystarczająco daleko, a wtedy nie będzie miał już czym oddychać i na pewno utonie... ale płynął uparcie, aż poczuł, że rozsadza mu piersi.

Gdy w końcu się wynurzył, łódź była już daleko w dół rzeki od niego, a cała załoga uwijała się na rufie, wyciągając oficera z wody.

Po kilku chwilach głowa Bochna wychynęła z wody jakieś dziesięć metrów od niego, bliżej łodzi. Umbo wiedział, że nie należy krzyczeć ani dawać żadnych znaków – można ich było łatwo zauważyć, a dźwięk dobrze się niesie po wodzie. Jednak mimo że Umba znosił nurt, a Bochen płynął w miejscu pod prąd, obaj znajdowali się dość blisko siebie, by rozmawiać szeptem.

Powiedzieli sobie tylko: „Poczekajmy, aż trochę odpłyną”. O najważniejszym nic nie mówili.

Umbo miał gorącą nadzieję, że Rigg zrozumie, dlaczego go zostawili i wyskoczyli z łodzi. Chociaż, gdyby czepiać się szczegółów, Umbo wcale nie wyskoczył.

Po dłuższej chwili, uznając, że łódź odpłynęła dość daleko, Bochen zaczął płynąć po skosie w stronę brzegu, a Umbo za nim.

Nie próbował się z Bochnem ścigać. Wcale mu się nie spieszyło. Pływać już umiał, a gdy wydostanie się z wody, będzie musiał wykombinować, jak cofnąć się w czasie.

Rozdział 10

OBYWATEL

Minął tydzień, nim komputery przetrawiły dziewiętnaście oddzielnych obliczeń, a zbędny mógł oznajmić:

– Komputery wyliczyły zbiór praw fizyki, które musiałyby obowiązywać, by dwa przejścia przez zagięcie wymagały takiego samego zużycia energii.

– A czy ten zbiór wykazuje jakąś zbieżność z tym, jak według obserwacji działa prawdziwy wszechświat? – zapytał Ram.

– Nie.

– Proszę, poleć komputerom, żeby ponawiały wyliczenia przejść przez zagięcie w jedną i w drugą stronę, w przeszłość i z powrotem, acz z odwrotną trajektorią, póki nie znajdą sposobu, by zrównoważyć oba zużycia energii bez naruszania obserwowalnych praw fizyki.

– Zapewne ucieszy cię wieść – zagadnął generał, zamykając za sobą drzwi do kajuty – że twój przyjaciel Bochen – jeśli to w ogóle jest imię – został znaleziony i doprowadzony tutaj, więc jesteśmy już w komplecie.

Rigg postarał się, żeby jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. W zasadzie nie wiedział, co czuć, oprócz rozczarowania. A nawet to łagodził fakt, że Bochen mógł dać się pojmać; trudno sobie wyobrazić, że aresztowali go bez walki, gdyby sam na to nie przystał.

By oddalić rozmowę od naprawdę ważnych tematów, Rigg rzekł:

– Znam pańską rangę, ale nie godność.

Usiadł naprzeciw generała przy stole ustawionym w ciasnej kapitańskiej kajucie. Z zewnątrz dolatywały podniesione głosy załogi przygotowującej łódź do wypłynięcia.

Generał odwrócił się do niego z uśmiechem na ustach.

– Ach, więc gdy jesteśmy sami, zaczynasz dbać o kurtuazję.

– A pan nie, skoro wciąż jak dotąd nie zechciał mi pan powiedzieć, kim pan jest.

– Myślałem, że tak często milczysz, bo się boisz. Ale teraz widzę, że będąc potomkiem królewskiego rodu, po prostu nie zniżasz się do rozmów z kimś o tak niskiej pozycji.

– Gdy odziedziczyłem pieniądze, nie zacząłem się wywyższać, a co do królewskiej proveniencji, to nie mam pojęcia, jak zachowywaliby się królewscy potomkowie, gdyby w Republice Ludowej istniało coś takiego jak królewski ród.

– Doskonale wiesz, że rewolucja ludowa przebiegła bezkrwawo. Rodzina królewska wciąż żyje.

– O ile dobrze pamiętam, mówił pan, że ja nie żyję. A ci, których oszczędzono, nie są już rodziną królewską.

– Nie są już u władzy, jeśli to miałeś na myśli. Do mnie możesz się zwracać według stopnia wojskowego, czyli „generale”, albo pozycji społecznej, czyli „obywatelu”.

– Skoro rodzina królewska nie jest już dynastią panującą, to co bym zyskał, utrzymując, że jestem jednym z nich?

– Właśnie to próbuję zrozumieć. Z jednej strony, może naprawdę jesteś nieświadomym prostakiem, za jakiego chcesz uchodzić. Ale z drugiej, całkiem sprawnie sobie radziłeś, i to zarówno wcześniej, zanim cię jeszcze poznałem, jak i teraz, co znaczy, że świetnie cię wyszkolono.

– Moja edukacja była bardzo wybiórcza. Nie miałem pojęcia jak bardzo, gdyż wydawało mi

się, że ojciec uczy mnie wielu spraw całkiem nieprzydatnych, dopiero później się okazało, że jednak nie – ale ojciec uparcie uczył mnie tego, czego chciał i kiedy chciał.

– Nauczył cię finansów, ale nie historii?

– O historii opowiadał mi dużo, ale teraz już wiem, że ominął najnowszą historię Świata Między Murami. Jestem pewien, że miał po temu jakiś powód, lecz zdaje mi się to kłopotliwą luką w moim wykształceniu.

– Posługujesz się bardzo wyszukany językiem, godnym dziedzica królewskiej krwi.

– Ojciec nauczył mnie wysławiać się w ten sposób, ale nigdy nie zwracałem się tak do innych, tylko do mojego ojca. A teraz posługuję się nim, gdyż pan się nim posługuje, i dlatego że wywierał tak wielki wpływ na pana Bednarza.

– Najwyraźniej nie aż tak wielki, jak ci się zdawało.

Rigg nie chciał dalej rozmawiać o panu Bednarzu.

– Wcześniej czy później ktoś mi powie, jak się pan nazywa, o ile dożyję. Albo umrę, nie znając tego wielkiego i przerażającego sekretu.

– Tak właściwie to już odpowiedziałem na twoje pytanie. W czasie rewolucji moja rodzina zmieniła swe poniekąd zbyt prominentne nazwisko na Obywatel. Naprawdę więc nazywani się generał Obywatel. Zdaje się jednak, że chciałbyś poznać moje imię właściwe, choć niegrzecznie byłoby ci się nim posługiwać, o ile nie jesteś z królewskiego rodu.

Nazywam się Haddamander Obywatel.

– Miło mi pana poznać – odparł Rigg. – A o ile mój ojciec nie skłamał, nazywam się Rigg Sessamekesh.

– Ale już ustaliliśmy, że twój ojciec skłamał, bo jeśli rzeczywiście się nazywasz Rigg Sessamekesh, człowiek, który o tym zaświadczył, nie jest twoim ojcem.

Najwidoczniej Obywatel zadawał te same pytania co podczas przechadzki w mieście, by sprawdzić, czy odpowiedzi Rigga się zmieniają. Lecz jako że Rigg mówił mu dotąd samą prawdę – z wyjątkiem rzeczywistej liczby klejnotów – łatwo było trzymać się tej samej wersji.

– Nie wiem, jaka jest prawda.

– Prawie ci wierzę. Ale rozumiesz dylemat, wobec którego mnie stawiasz. Jeśli jesteś Riggiem Sessamekeshem, to jesteś księciem, jedynym synem kobiety, która, gdybyśmy wciąż mieli monarchię, byłaby królową, i jej małżonka, Knosso Sissamika, który zginął nad Murem.

– Tak czy owak, mój ojciec nie żyje – zauważył Rigg. – Choć jeśli jestem księciem, nie mam prawa nic posiadać.

– Nie, to rodzina królewska nie ma prawa nic posiadać, niezależnie od wartości, nawet ubrań, które noszą, nawet własnych włosów. Jeśli w to wątpisz, zapewniam cię, że od czasu do czasu obywatelom umożliwia się wstęp do tego czy innego domu, w którym akurat gości rodzina królewska, by ogolili im głowy i zabrali włosy.

– A ubrania?

– W dowolnej chwili. Przynajmniej w teorii. Jednak ostatnimi czasy, z powodu powszechnego oburzenia, jakie wywołało pierwsze publiczne obnażenie Param Sissaminki, gdy ledwie zaczęła dojrzewać, sądy orzekły, że skoro odzienie noszone przez tak zwaną rodzinę królewską jest pożyczone, tylko jego prawowity właściciel ma prawo je odebrać.

Jeśli zrobi to ktoś inny, jest złodziejem i należy go odpowiednio ukarać. To uchyliło wcześniejsze postanowienia sądów, mówiące, że całe odzienie członków rodziny królewskiej należy do ludu, nieważne, kto je nabył, i tym samym każdy z ludu może je odebrać. Czasy się zmieniają. Ludowa Rada Rewolucyjna naprawdę odpowiada, choć wolno, na głos ludu.

Rigg przemyślał słowa generała.

– Ubranie, które noszę, z pewnością należy do mnie, a jednak pan mi go nie zabrał.

– Podobnie jak twoje pieniądze i inny dobytek, twoje odzienie jest zarządzane w twoim imieniu na zasadzie powiernictwa, na wypadek gdybyś nie był księciem, a ja pozwalam ci je wciąż nosić. Jeśli jednak nie jesteś księciem, twoje prawa własności do klejnotu, który sprzedałeś, są mocno wątpliwe i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa usłyszysz zarzuty o paserstwo, malwersacje i podszywanie się pod członka rodziny królewskiej, za co łącznie może ci grozić kara śmierci, lecz z racji twego młodego wieku i wysokiego prawdopodobieństwa, że ktoś cię do tego namówił, zapewne wyrok zostanie złagodzony i zmieniony na kilka lat pozbawienia wolności – pod warunkiem że powiesz nam, kto cię namówił do popełnienia tych przestępstw.

Rigg westchnął, zniecierpliwiony powtarzalnością tego pytania.

– Już panu mówiłem. Dowiedziałem się o tym imieniu w tym samym czasie, gdy wszedłem w posiadanie klejnotu – gdy przyjaciółka mojego ojca otworzyła list, który jej zostawił, i mi go przeczytała. A ona nie miała świadomości, co list zawiera, choć bez wątplenia wiedziała o klejnocie. Nie miała jednak pojęcia o jego wartości ani historycznym znaczeniu. Nikt nie miał pojęcia, dopiero pan Bednarz rozpoznał klejnot. Jeśli więc dochodzi tu do oszustwa, to czy bankier również jest oszustem?

– On twierdzi stanowczo, że jest jednym z oszukanych.

– To chyba oczywiste, że się otwarcie nie przyzna.

– Tak, ale klejnot z całą pewnością jest autentycznym, więc pan Bednarz nie popełnił żadnej malwersacji.

– Generale Obywatelu – rzekł Rigg – wzięłem pod rozwagę pana analizę mojej obecnej sytuacji i dochodzę do wniosku, że tak czy owak stracę cały swój dobytek. Albo stracę go, gdyż jestem prawdziwym księciem, więc podlegam prawom stosowanym wobec rodziny królewskiej. Albo stracę go, gdyż nie jestem księciem, więc dopuściłem się przestępstwa, a z racji, że nie mogę wymienić współspiskowców, zostanę prawdopodobnie skazany na śmierć.

– Jeśli to może być jakąś pociechą dla ciebie, najpewniej twoi towarzysze zginą w męczarniach, gdyż zostaną poddani torturom. Jeśli żaden z nich nie powie, kim są lub mogą być twoi współspiskowcy, albo nie przedstawi jakiegoś dowodu, że nie jesteś Riggiem Sessamekeshem, ich śmierć prawdopodobnie ocali ci życie.

Rigg skoczył na równe nogi.

– Nie! To... to okrucieństwo! Prawo nie może być takie! Oni nie zrobili nic złego! Umbo jest moim przyjacielem z dzieciństwa, a zabrał się ze mną, gdyż ojciec wyrzucił go z domu. A Bochen to zwykły poczciwiec, były żołnierz, a teraz oberżysta, i poszedł z nami, by nas bronić w podróży! Czemu mieliby za to umrzeć?

– Ależ chłopcze, nie rozumiesz? Jedynym dowodem ich niewinności, który mamy, jest twoje zapewnienie, a właśnie kwestia twojej wiarygodności pozostaje dyskusyjna.

Nie odpowiadając już żadnym słowem, Rigg rzucił się do wyjścia, ale nie zdołał otworzyć drzwi, bo Obywatel je przytrzymał i rzekł drwiąco:

– Nie sądziłeś chyba, że pozwolę ci ostrzec kompanów?

Rigg wrócił na krzesło i zamilkł. Tyle dobrego, że wiedział już, w jaką wpadł prawną matnię. Nie wiedział jednak, jak ochronić przyjaciół. Nie mógł ich ostrzec. A mimo to...

wiedział, że Umbo musi żyć, przynajmniej na tyle długo, by wrócić z przyszłości i przekazać mu ostrzeżenie przy powozie opodal Wieży O. A czy to nie znaczyło, że nie dość, że przeżyje, to jeszcze zostanie w O? A Bochen musi żyć i wciąż być z Umbem, bo inaczej czemu Umbo z przyszłości

kazałby przekazać klejnoty Bochnowi?

Niemożliwe, żeby Bochna i Umba zamęczono na śmierć. A skoro tak, pewnie uciekną już teraz, gdy łódź stoi jeszcze w porcie.

Rigg poczuł nagłe szarpnięcie. Łódź wypłynęła z portu.

No dobrze, w takim razie Bochen i Umbo muszą wyskoczyć z łodzi i wplaw dostać się na brzeg.

– Wydajesz się dziwnie niewzruszony tym, że łódź płynie – zauważył Obywatel. – Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

– To akurat nic zaskakującego – odparł Rigg. – Tego się spodziewałem już od chwili, gdy znalazłem się na pokładzie. Łodzie do tego służą.

– Ale z pewnością liczyłeś na to, że twoi przyjaciele spróbują uciec jeszcze w porcie.

– Skąd ta pewność, na co liczyłem?

– Ponieważ port to jedyne miejsce, gdzie mogliby się wtopić w tłum, gdzie mogliby uciec o własnych nogach. A mimo że świetnie ukrywasz emocje, i tak trochę ich zdradasz. Dość, by nie uszło to uwagi biegłego gracza w czarny kamień.

– W takim razie nie jest pan w tym dobry. Bo z pewnością poczułem zaskoczenie, gdy łódź ruszyła. Jeśli umie pan rozpoznać emocje przy stole do gry, musiał pan i to zauważyć.

– Zaskoczenie, i owszem, ale nie byłeś zaniepokojony. Twoje obawy natychmiast się rozwiały.

– Bo nie wierzę, że naprawdę ich pan zabije.

– Och, nie zabiję ich, zapewniam cię.

– Miło mi to słyszeć – przyznał Rigg, pozwalając sobie poczuć lekką ulgę.

– Nie próbuj mnie oszukać, udając, że ci ulżyło. Nie możesz czuć ulgi, jeśli nie czułeś napięcia, a nie czułeś. Zresztą ja ich nie zabiję ani nie będę torturował, gdyż to nie moje zajęcie – Rada Rewolucyjna ma specjalistów, którzy się tym zajmują. Moim zadaniem jest doprowadzić cię na miejsce; oględziny twojej osoby pozostawiam w ich gestii.

Rigg nie pozwolił, by możliwe konsekwencje tych słów – aluzji, że on również może być torturowany – weszły do jego świadomości i pobudziły emocje.

– Zastanawia mnie, czemu przysłano samego generała, żeby mnie aresztował. Czyżby Ludowa Rada Rewolucyjna nie miała dla pana ważniejszych zadań?

Generał Obywatel się roześmiał.

– Zaiste jesteś naiwny. I naprawdę w to wierzę. Bo jeśli udajesz, to sprawy, których udajesz, że nie rozumiesz, są bardzo... głupio dobrane.

– I znów muszę żałować, że ojciec miał kiepską koncepcję mojej edukacji.

– Wysłano mnie po ciebie, gdyż sam bardzo ostrożnymi posunięciami do tego doprowadziłem. A zrobiłem to, gdyż z Cesarstwem Sessamoto wiąże się wiele kontrowersji, starszych i bardziej doniosłych niż prosta kwestia obalenia rodziny królewskiej i przejęcia władzy nad Światem Między Murami przez Radę Rewolucyjną.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– Chodzi mi o edykt wydany przez Aptikę Sessamin, babkę obecnej niekrólowej, stanowiący, że tylko kobiety mogą rządzić Cesarstwem Sessamoto. I żeby edyktu nikt nie podważył, kazała zgładzić wszystkich męskich członków rodziny. Co położyło kres wielu spiskom mającym na celu usunięcie jej – kobiety – z Namiotu Światła.

– Namiotu?

– Oficjalnie każda rezydencja królewska jest Namiotem Światła, gdy przebywa w niej rządzący monarcha. Jak mówiłem, Aptika Sessamin zamordowała wszystkich swoich synów, a jej panująca córka, Mutash Sessamin, miała tylko jednego potomka, córkę, Hagię Sessamin.

– Która, być może, jest moją matką?

– A więc jednak znasz imiona rodziny królewskiej!

– Oczywiście, że teraz już znam. W drodze do łodzi co drugi człowiek mamrotał je pod nosem. „On twierdzi, że jest synem Hagii Sessamin”.

– Sprytnie wybrnąłeś – ocenił Obywatel. – Bardzo uważałem, by nie wspomnieć jej imienia. Czekałem, żebyś sam je wymienił. Ale przyznaję, sam słyszałem te komentarze, choć nie sądziłem, że ty również... nieważne, muszę bardziej doceniać twą inteligencję i zmysł obserwacji.

Rigg nie okazał żadnej reakcji – ale już rozumiał, że dla Obywatela brak reakcji był właśnie odpowiedzią.

– Tak więc, gdy urodził się Rigg Sessamekesh, pierwszy męski członek rodziny królewskiej od śmierci Aptiki Sessamin, fakt nadania mu nazwiska z przyrostkiem „- ekesh” wzbudzał wielkie kontrowersje. Ten przyrostek otrzymywał bowiem chłopiec wyznaczony na następcę tronu w czasach, gdy jeszcze rządili mężczyźni. Hagia Sessamin twierdziła, iż przyrostek oznacza tylko tyle, że jest on jej pierwotnym synem. Jako że rewolucja ludowa już wcześniej postarała się, by żadne królewskie dziecko, a co dopiero płci męskiej, nie miało czego odziedziczyć, nazwisko to oczywiście nie oznaczało następcy tronu. Inni jednak sądzili, że chłopca tak nazwano, by wszcząć bunt i przywrócić rządy monarchii. Jeszcze inni uznali, że Hagia tym samym odcinała się od edyktu swej babki, stanowiącego, że Namiot i Kamień musi przechodzić z matki na córkę.

– Namiot i kamień?

– Nie inaczej. Namiot, który podtrzymywał pamięć o czasach, gdy Sessamidzi byli koczownikami, i Kamień, utracony przed tysiącami lat, acz wciąż otaczany nabożną czcią, którego miejsce symbolicznie zajął zwykły rzeczny otoczek. Kamień, który ty byłeś łaskaw wystawić na sprzedaż.

Rigg w myślach powrócił do osiemnastu pozostałych kamieni, zastanawiając się, czemu w biurze pana Bednarza wybrał akurat ten, który miał niebawem przysporzyć mu najwięcej problemów.

– Tak więc gdy obwieszczono, że Rigg Sessamekesh zmarł niedługo po narodzinach – ciągnął Obywatel – ci, co uwierzyli w te wieści, odetchnęli z ulgą. Jednak inni uznali, że to podstęp, że spiskowcy wykradli dziecko, by wykorzystać je nie tylko w celu przywrócenia monarchii, ale także do obalenia kobiecych rządów.

– Muszę być więc skończonym idiotą, skoro podaję się za niego – stwierdził Rigg. – Nie dość, że Rada Rewolucyjna chce mojej śmierci, to jeszcze dybią na mnie apologeci praw królowej Aptiki. Wszyscy sprzymierzeńcy, których taki samozwaniec mógłby mieć, byłiby w beznadziejnej mniejszości.

– No i tu sprawy się komplikują – rzekł Obywatel, śmiejąc się cicho. – Gdyż sporo ludzi popiera rewolucję ludową tylko dlatego, że chciało kobiecej monarchii. Nie żył już żaden z męskich potomków rodu, więc jedynie rewolucja mogła obalić władzę królowych. Lecz gdyby pojawił się męski dziedzic, Rada Rewolucyjna straciłaby część poparcia, a niektórzy mówią nawet, że większość. Ci ludzie by się skupili wokół dziedzica, ponieważ zawsze było wielu takich, którzy uważali Aptikę za odszczepieńca, a jej seksistowskie prawo za bluźnierstwo.

– W takim razie aż dziw bierze, że Rigg Sessamekesh nie został zamordowany już wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyli jego małego siusiaka – rzekł Rigg z przekąsem. – Po prostu by zaoszczędzić wszystkim całej masy problemów.

– Mówisz, jakbyś nim nie był.

– O ile wiem, nie jestem. Ale nie jestem też oszustem. Ciągłe nie bierze pan pod uwagę możliwości, że mówię prawdę. Że w mej niewiedzy jestem całkowicie niewinny.

– Nie wykluczam, ale tak czy owak, dostałem to zadanie, gdyż pewni ludzie uznali, iż można mi zaufać, że dowiem się prawdy o tobie.

– Byś, jeśli okażę się prawdziwym Riggiem Sessamekeshem, mógł mnie zgładzić?

Generał Obywatel posłał mu uśmiech.

– Widzę, że nie tylko ja zastawiam pułapki.

Miał rację, Rigg rzeczywiście zastawił na niego pułapkę. Jeśli Obywatel nakreślił sytuację zgodnie z prawdą, lojalny sługa Ludowej Rady Rewolucyjnej nie zawahałby się zabić Rigga już przy pierwszej sposobności, gdyż żadna alternatywa, która zakładała pozostawienie go przy życiu, nie przyniosłaby Radzie żadnych korzyści. Rzecz jasna ten ktoś upozorowałby jakiś wypadek, ale nieważne, czy Rigg był dziedzicem, czy oszustem, musiałby umrzeć.

– Generale Obywatelu, odnoszę wrażenie, że nie obchodzi pana, czy naprawdę jestem Riggiem Sessamekeshem, którego Hagia Sessamin wydała na świat przed trzynastoma laty.

– Ależ bardzo mnie to obchodzi.

– Obchodzi pana tylko to, czy można mnie uczynić wiarygodnym dla mieszkańców Aressa Sessamo. Na tyle wiarygodnym, by móc obalić Radę i zastąpić ją regentem – tobą, być może? – rządzącym w moim imieniu.

– W tym jednym się pomyliłeś – przyznał generał.

– Nieprawda – stwierdził Rigg. – Zaraz usłyszę, że próbował pan mnie pociągnąć za język, by się przekonać, czy stanowią zagrożenie, a tak naprawdę jest pan bezgranicznie lojalny wobec Rady.

Obywatel niczym się nie zdradzał – ani słowem, ani emocją. Milczał z twarzą wytrawnego gracza.

– Może pan jest, a może nie jest lojalny, może ma pan wielkie ambicje, a może nie – ciągnął więc Rigg. – Nie mam wpływu na to, do jakich doszedł pan wniosków. Ale w tym, co mówiłem i co robiłem, nie ma niczego, co mogłoby sugerować, że byłbym skłonny wziąć udział w planie mającym na celu obalenie Rady. Skoro nie wezmę w nim dobrowolnego udziału, nie mogę się przysłużyć żadnemu spiskowi.

– A jeśli na szali znalazłoby się życie twoich przyjaciół? Nie posłuchałbyś się podobnych sugestii?

Czy on naprawdę liczy na to, że lojalność wobec przyjaciół uczyni ze mnie niezawodne narzędzie? – pomyślał Rigg i przypomniał sobie, że ojciec zacytował kiedyś sentencję starożytnego filozofa: „Dobry człowiek liczy, że inni dzielają jego cnoty, a zły liczy na cnoty lepszych od siebie. I obaj błędzą”. Czy Obywatel jest na tyle nierozsądny, by popełnić któryś z tych błędów?

Wtem na łodzi rozpętała się dzika wrzawa, a po chwili z impetem wpadł do kajuty jeden z żołnierzy.

– Wskoczyli za burtę! I wyrzucili Krzykacza!

– Pilnuj tego więźnia – polecił mu Obywatel i wybiegł.

Żołnierz zamknął drzwi i stanął przed nimi.

– Nie próbuj ze mną rozmawiać – z miejsca ostrzegł Rigga.

– Nie mogę nawet spytać, co za nieszczęśnik dostał od rodziców imię „Krzykacz”?

Przez dłuższą chwilę żołnierz stał bez słowa, sztywny jakby kij połknął, a Rigg doszedł do wniosku, że już mu nie odpowie. A jednak odpowiedział.

– To nie jest jego imię, panie. Tak go między sobą nazywamy. Mam nadzieję, że generał nie zauważył.

– Marne szanse. On wszystko widzi i wszystko słyszy – ocenił Rigg.

Żołnierz skinął głową i westchnął.

– Obym dostał za to tylko mniejsze racje, a nie chłostę. – Zarumienił się. Zapewne nie powinien mówić czegoś takiego w obecności więźnia.

– A nie pomogłoby, gdybym powiedział, że od razu okazał pan skrucę?

– Nie, bo to by znaczyło, że z panem rozmawiałem.

– Och, z pewnością nie dopuścił się pan tak potwornej zbrodni, pomimo moich wzmożonych wysiłków, by pana do tego nakłonić.

Długie milczenie ze strony żołnierza. Dużo hałasu na zewnątrz. Stopniowe przyhamowanie łodzi, a potem odwrócenie biegu. Powrót do ruchu w przód. Dwukrotny stuk w drzwi. Żołnierz lekko je uchylił, zrobił krok na zewnątrz, ani na chwilę nie odwracając się plecami do Rigga – a po chwili znów był w kajucie.

– Pana przyjaciele uciekli, jaśnie panie – cicho zakomunikował, bardziej występując słowa, niż je artykułując. Rigg się domyślił, że tak porozumiewają się żołnierze muszący zachować ciszę na służbie.

Nie zapytał, czemu strażnik zwracał się do niego per „Jaśnie panie”. Doskonale wiedział, że wieść o jego rzekomej tożsamości rozeszła się wśród żołnierskiej braci, a zapewne też wśród całej załogi i połowy O, zanim jeszcze wypłynęli. Żołnierz mówił do niego „Jaśnie panie”, bo wciąż miał szacunek dla rodziny królewskiej, a Rigg był jakoby następcą tronu.

A więc obawa, że istnieje poparcie dla rewolucji przeciw Radzie Rewolucyjnej, wcale nie była bezpodstawna.

Czy to możliwe, że ojciec zabrał go, jeszcze niemowlę, z królewskiej rezydencji? Pytanie tylko, czy zrobił to zgodnie z życzeniem rodziców. Czy matka i ojciec oddali syna Wędrującemu Człowiekowi z nadzieją, że ocala chłopca od zguby? Czy raczej został uprowadzony?

A może – intrygująca możliwość – ojciec, wiedząc, że prawdziwy Rigg padł ofiarą morderstwa, a jego ciało ukryto lub zniszczono, zupełnie zwyczajne dziecko tak wychował, by jak najlepiej udawało prawdziwego Sessamekesha? Wówczas ojciec postarałby się o dziecko, które powinno wyrosnąć na kogoś przypominającego ród Sessamoto, by był wiarygodny w tej roli.

Rigg nie potrafił jednak pojąć, czemu ojciec miałby zorganizować to wszystko tak, by ta intryga rozpoczęła się nawet po jego śmierci. Bo przecież powinien być przy Riggu, by wspomóc go radą na tym niebezpiecznym szlaku.

A może jeszcze przed śmiercią przekazał mu wszystkie potrzebne wskazówki?

Rigg starał się odgadnąć, które z nauk ojca mają zastosowanie w tej sytuacji. Nic mu nie przychodziło do głowy. Choć może trudno było w to uwierzyć, ojciec jednak nie pomyślał o wszystkim.

Lecz ojciec wiedział, że nikt nie jest w stanie pomyśleć o wszystkim. Musiał więc sądzić, że dał Riggowi wszystkie potrzebne narzędzia do poradzenia sobie z każdą sytuacją, łącznie z tą obecną. Problem w tym, że Rigg nie miał zielonego pojęcia, co począć, więc jakakolwiek nauka, którą zdaniem ojca można by zastosować w tej sytuacji, nie zostanie zastosowana, póki Rigg nie otrzyma żadnej wskazówki.

Drzwi się otworzyły. Ale nie wszedł przez nie generał Obywatel, tylko całkiem przemoczony oficer – najwyraźniej ten, którego zwano Krzykaczem. Kilku żołnierzy wepchnęło go do kabiny i niezwłocznie przykuło łańcuchem do Rigga – w nadgarstkach i kostkach.

Dopiero wtedy pojawił się generał Obywatel i wrzasnął na ociekającego, rozdygotanego oficera:

– Może choć tego powstrzymasz przed wyskoczeniem za burłę, gamoniu jeden! I może nie dasz się sam wyrzucić!

Rigg zorientował się, że krzyk był przeznaczony raczej dla uszu pozostałych żołnierzy, by wzięli to sobie do serca. Obywatel nie wyglądał, jakby naprawdę złościł się na Krzykacza.

Natomiast nieudawane gniewne spojrzenie kierował w stronę Rigga.

Gdy generał zniknął, a Rigg został sam na sam z Krzykaczem, musiał się naprawdę wysilić, by powstrzymać się od śmiechu. Stary poczciwy Bochen nie tylko wy dostał siebie i Umba z łodzi, ale jeszcze wrzucił do wody ich dozorcę! A generał Obywatel miał kolejny problem na głowie.

Rozdział 11

WSTECZ

Tym razem komputery potrzebowały aż jedenastu dni, by podać odpowiedź.

– Przy zamianie wymaganego zużycia energii na masę – oznajmił zbędny – wszystkie komputery zgadzają się, że bez naruszenia znanych praw fizyki najbardziej prawdopodobny koszt powrotu przez zagięcie do naszej poprzedniej pozycji w czasoprzestrzeni, lecz z odwrotną trajektorią, równa się mniej więcej dziewiętnastokrotności masy okrętu i wszystkiego w jego wnętrzu.

– Dziewiętnaście komputerów i dziewiętnastokrotność masy – zauważył Ram.

– Uważasz, że to znacząca zbieżność?

– Każdy komputer był obserwatorem i czynnikiem wpływającym na czasoprzestrzeń w chwili utworzenia się zagięcia – tłumaczył Ram. – Ty i ja nie byliśmy obserwatorami, ponieważ nie byliśmy w stanie wykryć drgań generowanych pól. A więc dla każdego obserwatora musiał istnieć wyraźny skok. A przy każdym skoku musiało dojść do zużycia masy równej całej masie statku i jego wnętrza.

– A więc gdyby było tylko dziewięć albo dziesięć komputerów, przenieśliśmy się tylko w połowie z powrotem w teraźniejszość?

– Nie. Myślę, że gdyby był tylko jeden komputer, przeskoczylibyśmy przez zagięcie, przenosząc się tylko o jedną dziewiętnastą tak daleko w przeszłość docelowej gwiazdy wielokrotnej, zanimby nas odrzuciło z powrotem, ale z odwrotną trajektorią.

– Widzę, że jesteś bardzo zadowolony z tej hipotezy – zauważył zbędny – ale nie rozumiem dlaczego. To wciąż niczego nie wyjaśnia.

– Naprawdę nie rozumiesz? Przeskok przez zagięcie cofnął nas w czasie o pewną wielkość, zależną od masy okrętu i jego prędkości. Jedynym sposobem opłacenia tego przeskoku przez zagięcie było wysłanie analogicznej masy wstecz. A ponieważ było dziewiętnastu obserwatorów generujących pola, które utworzyły zagięcie, stało się to dziewiętnaście razy.

– Przecież nastąpił tylko jeden skok.

– Nie. Było ich aż dziewiętnaście. A przy każdym kopia okrętu została pchnięta w przeszłość. Osiemnaście innych wersji nas samych zajmuje identyczną przestrzeń jak oryginalny okręt, tyle że poruszają się w przeciwnym kierunku w czasie, gdy my lecimy w stronę Ziemi, a wszystkie są niewidoczne dla siebie nawzajem.

– A więc nasze uzależnienie od komputerów spowodowało niepowodzenie misji?

– Misja nie zakończyła się niepowodzeniem. Bynajmniej – powiodła się, i to aż dziewiętnaście razy. A my jesteśmy tylko smugą gazów wylotowych.

Bochen snuł wiele planów, jak zakraść się do O i żyć tam w ukryciu na tyle długo, by Umbo przekazał ostrzeżenia. Dopiero gdy Umbowi w końcu udało się przekonać go, że nie ma pojęcia, jak to zrobić, Bochen uświadomił sobie, że gdzie indziej o wiele łatwiej będzie chłopcu nauczyć się przenoszenia w czasie.

– Możliwe, że zanim się tego nauczę, minie wiele tygodni – przekonywał Umbo, gdy szli przez las w stronę O. – Albo miesiący. Tylko Rigg potrafił cofnąć się do przeszłości. Ja jedynie pomagałem, spowalniając go. Czy też przyspieszając.

– To jak w końcu?

– Zawsze mi się wydawało, że spowalniałem innych, ale Rigg twierdził, że tak naprawdę ich przyspieszałem, więc całe otoczenie wydawało im się spowolnione.

Bochen mruknął coś w odpowiedzi i przytrzymał gałąź, by się nie odgięła i nie pacnęła Umba w twarz.

– Dzięki – rzekł Umbo. – Bo widzisz, Rigg zawsze umiał zobaczyć ścieżki ludzi poruszających się w przeszłości. Na długo przed tym, gdy ja mu pomogłem. On wiedział, czego szuka. Ja nie.

Kolejne burknięcie.

– Musimy znaleźć bezpieczne miejsce, gdzie będę mógł ćwiczyć, próbując sobie zrobić to, co robię innym, jakkolwiek to nazwać.

– Wiemy, że ci się udało – odezwał się Bochen. – Wiemy, że to się zdarzyło. Musisz tylko się przyłożyć, żebyśmy nie zmarnowali za dużo czasu.

– To nie będzie strata czasu – zaproponował Umbo. – To potrwa tyle, ile potrwa, pośpiech nic tu nie da.

– Ja to widzę tak. Myśmy już wcześniej przez to wszystko przechodzili, tyle że za pierwszym razem Rigga aresztowano, ty nie przeniosłeś noża, a ja nie ukryłem klejnotów i pieniędzy. Potem nauczyłeś się przenosić wstecz w czasie, wróciłeś do O, przekazałeś ostrzeżenie, a teraz wszystko dzieje się inaczej. Czemu więc w ogóle musisz przekazywać tę wiadomość i tym razem?

– Ponieważ nic z tego się jeszcze nie wydarzyło. I już się nie wydarzy. Muszę nauczyć się podróżować w czasie, bym mógł wrócić tym razem i ponownie przekazać tę samą wiadomość.

– Nie otrzymałeś jej dwa razy, prawda? Po co więc dwa razy ją przekazywać?

– Nie wiem – przyznał Umbo. – Nie sądzę, że to się wydarzyło, czy tam wydarzy, dwa razy. Myślę, że jest tylko jedna wiadomość, a ja wciąż muszę ją dostarczyć.

– Ale wiesz, że musisz to zrobić, tylko dlatego, że już to zrobiłeś. I w tym sęk. Już to zrobiłeś. Cóż, nie będę się z tobą kłócił. Bo nawet jeśli nie musisz znów przekazywać tej wiadomości, to i tak przyda ci się nauczyć, jak to zrobić. A wtedy, jeśli to ci poprawi humor, śmiało, przekaż ją – o ile pamiętasz, co właściwie powiedziałaś.

– Muszę to zrobić, bo wiem, że już to zrobiłem, tyle że to się wydarzyło w przyszłości, muszę więc znaleźć się w przyszłości, by wrócić i zrobić to, co już zrobiłem.. To przecież nieprawdopodobne, niemożliwe.

– Tyle że to już się wydarzyło, więc jest możliwe. Nie będziesz ćwiczył w O, bo mogliby nas złapać. Ale zamierzam wrócić po klejnoty i pieniądze. Forsa by się nam teraz przydała – moglibyśmy opłacić przeprawę w górę rzeki do Przystani Lejki i na pewien czas tam się zadekować. Klejnotów i noża nie możemy sprzedać. Sądzę, że wróciłeś, żeby ostrzec Rigga i siebie, bo za pierwszym razem żołnierze nam je skonfiskowali, a to jeszcze bardziej pogorszyło sytuację Rigga. Czy ten pierwszy klejnot był jedynym legendarnym i bajecznie wartościowym? Może reszta też? A ten nóż... jest bardzo stary, ale wygląda jak nówka, prawda? A Rigg nie wie nic o człowieku, któremu go zwinął.

– Więc powinniśmy zabrać pieniądze, a nóż i klejnoty gdzieś zakopać – podsumował Umbo.

– Nie. Bo nie wiemy, czy nie będziemy później potrzebowali klejnotów, by opłacić nimi wolność Rigga. Zresztą to dziedzictwo po jego ojcu, nie możemy pozwolić, by wpadło w ręce Rady Rewolucyjnej ani nikogo innego, kto źle nam życzy. Zabierzemy je do Aressa Sessamo, by Rigg mógł z nich skorzystać, gdyby kiedyś znalazł się w potrzebie.

– Jak dotąd posiadanie ich wychodziło wszystkim tylko na dobre – zadrwił Umbo.

Bochen dał mu lekkiego kuksańca.

– Sam zobacz, jak jesteś ubrany. Przypomnij sobie, ile przeżyliśmy, z kim rozmawialiśmy, czego się nauczyliśmy. Te kilka tygodni w dostatku mnie na pewno wiele nauczyło.

- Że za to mogą cię aresztować?
- Rigga aresztowali przez jego imię, a nie przez pieniądze.
- Czego więc nauczyło cię bycie bogaczem... czy też kręcenie się koło bogatego dzieciaka?

Bochen się wyszczerzył.

- A tego, że o wiele bardziej mi to leży niż bycie biedakiem.

- Mnie bieda nie przeszkadzała. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że byłem aż tak biedny.

Nie wiedziałem nawet, że te rzeczy, które kupowaliśmy, w ogóle istnieją, więc mi ich nie brakowało. Życie było piękne.

- Mówisz jak prawdziwy górniak.

- No to w końcu jaki jest plan? Idziemy do O, weźmiemy klejnoty i forszę...

- Mylisz się, synu, bardzo się mylisz. Ja idę do O i ja wezmę forszę.

- Nie zostawisz mnie samego!

– Ależ tak. I umówimy się, jakim sygnałem cię zawiadomię o moim powrocie. Jeśli gwizdnę tak... – gwizdnął – to znaczy, że jestem sam i wszystko gra. Ale jeśli gwizdnę tak – inny świergot – to znaczy, że towarzyszy mi ktoś niebezpieczny i nie powinieneś się zbliżać.

- Nie ma na świecie ptaka, który wydawałby takie dźwięki.

– A zatem dobrze, że żadnego nie wołam, prawda? – zadrwił Bochen. – To są sygnały wojskowe mojego starego oddziału.

- Potrzebujemy jeszcze jednego.

- Jakiego?

- Takiego, który znaczy, że towarzyszy ci ktoś niebezpieczny, ale i tak chcesz, żebym przyszedł.

- W życiu nie dałbym ci takiego sygnału.

- Może będziesz musiał. Więc mi go zagwizdź.

- Nie będzie mi potrzebny.

- Więc go w ogóle nie użyjesz, ale nie zaszkodzi znać. No, dawaj!

Bochen był zły, ale zagwizdał.

- To ja mam doświadczenie, a tobie się wydaje, że możesz mi rozkazywać – zżymał się.

– Ty jesteś olbrzymem, a ja chucherkiem. Nie umiem walczyć. Muszę myśleć o innych sposobach ratunku. Tak to już bywa, jak się jest malcem.

- Ja też kiedyś byłem dzieckiem, wiesz?

- I założę się, że byłeś większy niż dzieciaki dwa lata od ciebie starsze.

Bochen nic nie powiedział.

- Nie odpowiadając, przyznajesz mi rację.

- Zamknij się. Chyba przez chwilę widziałem wieżę.

- Jaką wieżę?

- Wieżę O – warknął Bochen. – Głupiś czy jak?

- Myślałem o czymś innym. O tym, jak cofnąć się w czasie.

- Myślałeś, jaki to jesteś mądry, a teraz dowiodłeś, że wcale nie jesteś znowu taki bystry.

I nawet nie próbuj zaprzeczać, że dostał mi się głupi dzieciak, a ten mądry jest więźniem na łodzi.

To Umba zabolalo. Bardziej niż cięgi od ojca. I chociaż Bochen przyjacielsko pacnął go dłonią, mówiąc: „No nie obrażaj mi się tu, przecież wiesz, że żartowałem”, fakt był faktem – obaj wiedzieli, że to prawda. I wcale nie chodziło o mądrość, tylko o to, że Umbo odebrał od Wędrującego Człowieka jedynie kilka lekcji, tyle by dopomóc Riggowi. A Rigg został wychowany i wykształcony na syna królewskiego rodu.

Gdyby Wędrujący Człowiek i mnie tak przeszkoili, też byłbym mądry, pomyślał Umbo.

Byłbym, prawda?

Koniec końców Bochen nie użył żadnego sygnału. A to dlatego, że Umbo go nie posłuchał i nie został tam, gdzie miał się ukryć. Poszedł za nim i niedaleko wieży wspiał się na drzewo. Podpatrzył, gdzie Bochen kopie, by wydostać sakiewkę z klejnotami, i widział, że nikt go nie śledził w lesie. Pobiegl z powrotem na umówione miejsce spotkania, wspiał się na inne drzewo i zsunął z gałęzi tuż przed Bochnem. A potem wysłuchał pogadanki na temat „rób, co mówię, albo obaj przez ciebie zginiemy”.

Gdy Bochen w końcu skończył go łajać, Umbo zapytał:

– Masz wszystko?

– O ile ktoś nie znalazł sakiewki, nie zabrał jednego klejnotu, a reszty nie włożył z powrotem, to tak, mam wszystko.

– No to się przekonajmy. Przeliczmy. Bo teraz mi się wydaje, że jednego może brakować.

Przeliczyli. I jeszcze raz.

– Nie wierzę. Jak to możliwe, że jednego brakuje?

– I to największego.

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem. Tylko tak sobie gdybałem.

– To się zupełnie nie trzyma kupy – burknął Bochen. – Nikt nie ukradłby tylko jednego.

– Ja bym ukradł – przyznał Umbo. – A przed chwilą widziałem, gdzie je odkopywałeś.

Zakładam więc, że to ja go zabrałem.

Bochen gwałtownie chwycił go za ramiona.

– Oddawaj go, złodziejaszku!

– Jakoś nie słyszałem, żebyś nazywał Rigga złodziejem za kradzież noża.

– Przecież nazwałem!

– Masz rację, nazwałeś, ale nie chwytałeś go, tak jak mnie teraz, a to boli, więc przestań!

Nie mam klejnotu, bo go nie wzięłem!

– Mówiłeś co innego.

– Mówiłem, że zakładam, że go wzięłem, ale powinienem raczej powiedzieć, że zakładam, że go dopiero wezmę.

Bochen westchnął i go puścił.

– Czemu? Po co?

– A ja wiem? Po tej twojej ironicznej uwadze, że ktoś mógłby zabrać jeden klejnot, pomyślałem sobie: Czy nie byłoby zabawnie, gdyby moje przyszłe „Ja” wróciło, znalazło sakiewkę z klejnotami i wyjęło ten największy? Jak tylko o tym pomyślałem, postanowiłem, że zrobię to przy pierwszej nadarżającej się okazji. I teraz wiem, że będę miał taką okazję.

– A więc gdy nauczysz się podróżować w czasie, zamierzasz wykorzystać to, by przyjaciołom robić głupie dowcipy, tak?

– W końcu załapałeś.

– Powinienem złamać ci rękę.

– Nie złamiesz.

– Nie bądź taki pewien.

– Jestem pewien, bo moje ręce wyglądały na sprawne, gdy moje przyszłe „Ja” przyszło mnie odwiedzić. Wiem też, że nie utonę, nie skrucę sobie karku po upadku z drzewa i żaden bandyta nie poderżnie mi gardła. Nie umrę też na żadną chorobę i nie trafi mnie piorun, i nikt nie pobije mnie na

śmierć.

– Co ty wygadujesz?!

– Nic mi się złego nie stanie, bo wróciłem i odwiedziłem siebie i Rigga! Wyjąłem klejnot z sakiewki!

– Żałuję, że nie mogę się cofnąć w czasie i ukryć jej gdzie indziej – burknął Bochen.

– No, w końcu zaczynasz się w to wkręcać! – uradował się Umbo. – Daj spokój, trzeba się bawić. Ty parałeś się wojną, to była twoja prawdziwa dorosła praca – ale czy nie bawiłeś się w wojnę, gdy byłeś mały? Ja tak. Wszyscy się w to bawili. Więc gdy nauczę się cofać w czasie, będę się tym bawił! Przekazywanie ostrzeżeń to jedno – pojawiając się i coś tam mówię. Muszę udowodnić, że umiem robić to, co zrobił Rigg, inaczej przegram w tej grze.

On zabrał sztylet nieznanemu. A ja zabrałem – zabiorę – klejnot, ale kradnę go tylko nam, więc nikomu innemu nie będzie go brakowało. Już rozumiesz? To gra.

– Jakoś na razie mnie to nie bawi – zgasił go Bochen.

– Bo jesteś stary i zmęczony, i wiesz, że umrzesz. – Umbo zrobił unik, gdy Bochen tak jakby się na niego zamierzył. – Widzisz? Jesteśmy przyjaciółmi, a ja się z tobą drażnię jak przyjaciel. Rozumiesz? Tak robią normalni ludzie.

– Ale normalne dzieci zupełnie inaczej traktują normalnych dorosłych. – Bochen najwyraźniej się trochę rozgniewał.

– Ale ty nie jesteś normalnym dorosłym – uspokajał go Umbo. – Gdy mnie tłuczesz, nie chcesz mi naprawdę zrobić krzywdy.

– Podejdź no trochę bliżej, to się przekonamy.

– Mój ojciec rzuciłby mnie na ziemię i skopał.

– Za dużo zachodu – ocenił Bochen. – Nie jesteś tego wart.

– Przyjaciele! – triumfalnie zapał Umbo.

– Cóż, przyjacielu – odparł Bochen – powiedz mi tylko jedno: Gdzie jest teraz ten klejnot?

Pytanie zupełnie zbiło Umba z pantałyku. Czy to możliwe, że klejnot zwyczajnie zniknął ze świata? Czy przestał istnieć, a potem znów zaistnieje, znikąd, z niczego? To kazało się Umbowi zastanowić, co to w ogóle znaczy „istnieć”. Gdy Rigg cofnął się w czasie i zabrał nóż, pozostał w prawdziwym, teraźniejszym świecie – jedyna różnica była taka, że widział ludzi z przeszłości, a oni widzieli jego, ale wciąż był tutaj. A klejnot... to już inna kwestia.

Klejnot przepadł.

Jak to było z nożem? Znajdował się za pasem tego nieznanego. Rigg wyciągnął rękę i Umbo widział, jak nóż raptem materializuje się w dłoni Rigga. Nóż istniał nieprzerwanie.

Tylko ominął całe stulecia, może nawet milenia. Przeskoczył je. Dlatego że Rigg sięgnął w przeszłość i go poruszył. To samo stało się z klejnotem. Ani na chwilę nie przestał istnieć, jedynie zmienił miejsce. I czas. Nóż został poruszony ręką Rigga; a klejnot będzie poruszony ręką Umba.

Kiedy płynęli łodzią, w każdej sekundzie pomiędzy Przystanią Lejki a O wciąż istnieli gdzieś na tym świecie – na łodzi. Jednak nóż i klejnot nie potrzebowały żadnej łodzi. Żadnej rzeki. Ich przesunięcie było natychmiastowe.

Umbo nie chciał więcej o tym myśleć. A Bochen wydawał się bardzo zadowolony z siebie, że swym pytaniem zamknął mu buzię.

To również było grą, prawda? I Bochen wyszedł z niej zwycięsko.

Nie próbowali szukać łodzi akurat w O, w obawie że ktoś mógłby ich rozpoznać, domyślić się, że uciekli, i znów ich zatrzymać, tym razem z klejnotami i pieniędzmi. Poszli na południe do małego promu, przepłynęli na drugą stronę i dopiero tam wsiedli na łódź zmierzającą w górę rzeki.

Nie wzięli pierwszej, jaka przepływała obok, ani nawet pierwszej, jaka zbliżyła się do brzegu z propozycją przeprawy. Umbo nie rozumiał, czemu żadna się nie nadawała, póki Bochen w stronę innej łodzi – która nawet nie zbliżała się do brzegu – nie zawołał: „Rubal!”.

Po czym wskoczył do wody, zaczął w niej brodzić, machając rękoma i wrzeszcząc „Rubal!”, aż w końcu sternik go usłyszał. Albo zobaczył.

– Bochen, ty stary rabusiu!

– Jaki tam znowu rabuś, po prostu bardziej jej się podobałem! – odkrzyknął Bochen. Ale zaraz dodał cicho, w stronę Umba: – Naprawdę ukradłem mu dziewczynę, ale byliśmy wtedy gołowasami. Teraz bym tego nie zrobił.

– I dobrze, bo Lejka by cię zabiła – stwierdził Umbo.

– Masz rację. Ale i tak może mnie zabić za przyprowadzenie Rubala do naszej oberży, a muszę go przenocować, tak wypada.

– Co z nim nie tak?

– Nie może przestać grać w kamienie. I zawsze oszukuje. Niezły w tym jest, ale nie na tyle, żeby uważny gracz go nie przyuważył.

– Ty jesteś takim graczem?

– Nie. Ale musiałem kiedyś zabić takiego, by wybawić Rubala z opresji.

– A więc jest ci winny tę przeprawę.

– Obaj ze dwadzieścia razy ratowaliśmy sobie życie. Zrobi to w ramach przysługi, a nie spłaty długu.

– Skąd wiedziałeś, że przyplynie?

– Nie wiedziałem, że to będzie Rubal. Wiedziałem tylko, że wcześniej czy później pojawi się ktoś, kogo znam na tyle dobrze, że nas nie okradnie i nie ukatrupi. Ja żyję i pracuję nad rzeką, Umbo. Pływa tędy tylko pewna liczba sterników, a po jakimś czasie poznaje się wielu z nich.

Podróż w górę rzeki przebiegła bez niespodzianek. Zatrzymywali się to tu, to tam.

Bochen poznał innych oberżystów. Za każdym razem dobrze się dogadywali, bo nie było między nimi konkurencji. Z nastaniem nocy rzekowcy zatrzymywali się w najbliższej oberży; nie zamierzali płynąć w ciemnościach tylko dlatego, by przenocować w swoim ulubionym miejscu. Więc o ile gdzieś łóżka nie były tak zawzzone, a jedzenie tak niestrawne, że rzekowcy robili wszystko, by się tam nie zatrzymywać, każdy oberżysta miał szansę na godziwy zarobek, acz im dalej w górę rzeki, tym coraz mniejszy.

Bochen od czasu do czasu pomagał odpychać łódź od dna lub brzegu – nie był wprawny w tej pracy, ale miał krzepę i szybko się uczył. Jednak gdy Umbo zaoferował swoją pomoc, tylko go wyśmiali.

– Zresztą – szepnął Bochen do niego – masz co innego do roboty. W swojej głowie.

Tak więc Umbo całymi godzinami leżał w cieniu żagla, gdy wiatr popychał ich w górę rzeki, albo impregnowanego brezentu, w razie niesprzyjających warunków. Łatwo było przyspieszyć percepcję załogantów, by byli bardziej uważni i mieli więcej czasu na poradzenie sobie z przeszkodami i potencjalnymi kolizjami na rzece. Nikt z nich nie podejrzewał, że chłopak w ogóle im pomaga, poza Bochnem, który rzucał mu wymowne spojrzenia. Teraz Umbo sobie uświadomił kilka istotnych faktów.

Po pierwsze, przyspieszenie trwało jeszcze przez kilka minut po tym, jak przestawał nakładać je na innych.

Po drugie, działało bardziej jak nagły zastrzyk energii, która wstępuje w człowieka w chwili zagrożenia – tyle że nie powodowało przyspieszonego tętna, urywanego oddechu i śmiertelnego

przerażenia. W zasadzie więc Umbo powodował w nich coś jakby panikę, ale odartą ze strachu.

Chcąc mieć podobne doznania, próbował w sobie wywołać strach, by móc się przyspieszyć. Na próżno. Bo z jednej strony, właściwie w to nie wierzył. A z drugiej, zwyczajnie nie było tak samo, więc strach nie przynosił żadnego skutku.

Gdyby miał lustro, spróbowałby, patrząc w nie, rzucić na siebie ten czar, ale im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej uznawał ten pomysł za absurdalny. Wiedział, że lustro działa dzięki odbijaniu światła – a nie było powodu sądzić, że odbije ono tę nienazwaną moc.

Próbował spoglądać na swoje ręce lub stopy w ten sam sposób, jak patrzył na osobę, którą brał na cel, ale z tego również nie wynikał żaden widomy skutek – żadnego przyspieszenia, żadnego widocznego spowolnienia otaczającego świata.

W końcu, do cna zniechęcony, bliski płaczu nawet, dał za wygraną i beczymnie leżał w cieniu, poddając się kołysaniu łodzi po każdej komendzie „Tyczka!” lub „Kij!”, i następującym po nim spowolnieniu, gdy kilka tyczek naraz szykowano do kolejnego odepchnięcia. Leżąc na pokładzie, czuł każde przyspieszenie, każde spowolnienie. Mocno się na tym skupił i miał wrażenie, że tyczkarze zwalnają, a komendy padają z opóźnieniem, każdy ruch tyczek trwa dłużej, a każde spowolnienie następuje gwałtowniej.

Zasnął.

Obudził go szturchaniec przewoźnika i wyburczane „Kolacja, chłopcze”. Gdy sobie przypomniał, jak przed zaśnięciem wszystko poruszało się wolniej, pomyślał: Ciekawe, czy to tak jest być pod wpływem zaklęcia spowolnienia czasu.

– Głupiec – szepnął.

– Jak mnie nazwałeś? – zapytał najbliższy rzekowiec. Zatrzymali się przy brzegu na posiłek i chwilę odpoczynku, więc nikogo nie było teraz przy tyczkach.

– Siebie. Siebie nazwałem głupcem.

– W końcu sam to przyznałeś. Dla nas było to oczywiste już dawno.

Umbo posłał mu szeroki uśmiech – naprawdę miło było czuć ich akceptację, choć to Bochen na nią zapracował. Napotkał spojrzenie Bochna znad węgli rozżarzonych w metalowym koszu. Mrugnęli do siebie. Postęp.

Tego popołudnia Umbo starał się rozłożyć cały proces na części pierwsze i wyodrębnić to, co powodowało, że sam wpadał w trans. Na pewno nie była to senność – ona zakończyła, a nie zapoczątkowała to zjawisko. Nie było to też skupienie, raczej coś innego, odmiennego od wrażenia, którego doznawał, kiedy robił to innym, a mimo to coś bardzo podobnego. Zupełnie jak uczenie się poruszania nowym mięśniem, a im więcej ćwiczył, tym swobodniej się czuł, gdy czas spowalniał, czy też on przyspieszał.

To tak jakby zamiast robić coś sobie, po prostu znajdował miejsce w swoim wnętrzu, gdzie czas już płynął w innym rytmie. A gdy zyskał trochę doświadczenia, zdał sobie sprawę, że ma o wiele większy i bardziej różnorodny wpływ na własny trans niż na upływ czasu innych ludzi. Mógł poruszać się o wiele szybciej, niż ich mógł przyspieszyć; mógł zmieniać własne tempo w dość szerokim zakresie prędkości. A gdy sobie to robił, nie czuł zmęczenia; to mu raczej dodawało energii.

– Wszystko pięknie – skomentował Bochen – ale czy możesz to zrobić z otwartymi oczami?

Umbo się ocknął. Wprawdzie tym razem nie spał, lecz wychodzenie z transu zawsze przypominało pobudkę. Lub opuszczenie przytulnego domu i wyjście na mniej przyjazny świat.

– Skąd wiedziałeś, że to robiłem? – zapytał Umbo.

– A stąd, że gdy siedzę koło ciebie – szepnął Bochen – albo koło ciebie przechodzę, czuję, jak

mnie to dotyka. Przyspieszenie kroku. O wiele mocniejsze niż wtedy, gdy ćwiczyłeś to z początku na nas wszystkich. Przybiera na sile, kiedy się do ciebie zbliżam, i słabnie, kiedy się oddalam.

– Myślisz, że reszta to czuje?

– Nawet jeśli, nie wiedzą dlaczego. Im się wydaje, że są młodszy, silniejsi, mniej zmęczeni.

Ja myślę wyraźniej, lepiej widzę, słyszę bardziej odległe dźwięki i łatwiej je odróżniam.

Innymi słowy, człowiek czuje się po prostu świetnie. Jak młody bóg. A kto by za to winił chłopca, który śpi na pokładzie?

– Naprawdę powinienem otworzyć oczy. Nie sądzę, że muszą być zamknięte, bym zrobił to sobie, już nie. Nie wiem tylko, czy będę miał co zobaczyć. Rigg widział ludzi poruszających się w czasie, bez żadnej pomocy z mojej strony.

– Ale ty umiesz przenieść człowieka w przeszłość, nieważne, czy coś tam zobaczy, czy nie.

– Potrzebuję Rigga. I to bardzo. Możliwe, że nie przekażę ostrzeżeń, póki on nie wydobędzie się z niewoli.

– Gdyby tak to działało, wtedy Rigg przekazałby te wiadomości, a nie ty, nie sądzisz? – Bochen podniósł się na nogi. – Koniec przerwy. Dzisiaj jestem w zespole z kijami. „Kij, tyczka, kij, tyczka”... nie dziwota, że ci rzekowcy wlewają w siebie tyle piwa, gdy zatrzymują się w Przystani Lejki!

Przez pozostałe dwa dni podróży Umbo tak dobrze zaprawił się we wchodzeniu w ten szybkočas, że musiał zacząć się starać, by nie poruszać się w tym trybie. Czuł się powolny, gdy nie miał do dyspozycji tej wzmożonej czujności, i zastanawiał się, czy jego zdolność przyspieszania siebie nie była tym, czym piwo dla rzekowców – sposobem oswojenia świata, uczynienia go radośniejszym, przyjaźniejszym. Dobrze było czuć się tak bardzo świadomym otoczenia i mieć czas, by pomyśleć, co powiedzieć, zanim się otworzy usta, albo ugryźć się w język, by pod wpływem chwili nie powiedzieć czegoś głupiego. Dzięki temu wydawał się mądrzejszy – innym i sobie samemu.

Jednak pomimo wielu godzin spędzonych w szybkoczasie nie zobaczył żadnej ze „ścieżek”, o jakich Rigg mówił, ani nikogo z innej epoki. I nie wierzył, że kiedykolwiek zobaczy, Rigg bowiem, gdy Umbo umieszczał go w szybkoczasie, musiał wybrać konkretną ścieżkę, a potem skupić się na niej, by pojedyncza osoba pojawiła się wyraźnie. Umbo, nie widząc żadnych ścieżek, nie miał na kim zogniskować swojej uwagi, a tym samym nie mógł sprawić, by ten ktoś stał się materialny i realny.

Nie umiem tego zrobić, myślał. A jednak już to zrobiłem.

W pobliżu Przystani Lejki na łodzi zrobiło się wesoło. Bochen dobrze znał tę część rzeki, bo wielokrotnie kursował tam i z powrotem, by kupić artykuły spożywcze i tkaniny, narzędzia i sprzęt, meble i trunki dla oberży. Gdy więc mijali charakterystyczne miejsca, z upodobaniem dzielił się swoimi opiniami – „U tkaczy w tym mieście nie warto kupować pościeli, bo robią ją za małą, by dała się rozłożyć na porządnym łożu. Widać mieszkają tam same karły?” – a potem rzekowcy wtrącali swoje trzy grosze – „Mają tam dziewczynę tak brzydką, że w ogóle przestali kastrować swoje świniaki. Przyprowadzają knura, by na nią spojrzeć, a przyrodzenie od razu mu kamienieje i odpada”.

Umbo dobrze zdawał sobie sprawę, że to, co mówił Bochen, było zawsze dosłowną prawdą, a to, co mówili rzekowcy, niemal nigdy – mimo to nikt nie kłamał i wszyscy dobrze się bawili. Chłopiec rozumiał już, czemu rzekowcy woleli żyć w przejaskrawionym świecie ułudy – zawsze to jakaś odskocznia od pracy tyczkami i monotonii rzeki. Natomiast Bochen, żołnierz i rzeczowy człowiek interesu mający się różnych zajęć, musiał trzymać się trzeźwego oglądu na świat.

Gdy dotarli do oberży, pożegnali się z rzekowcami, którzy nie zatrzymali się na noc.

– Czemu mielibyśmy za jedzenie i piwo oddać wam całe pieniądze za przeprawę, jakie nam daliście? – retorycznie zapytał kapitan łodzi.

Lejka sprawiała wrażenie, jakby się nie interesowała ani Umbem, ani swoim własnym mężem. Jest zajęta, powiedziała, i nie ma czasu na powitania, bo musiała robić wszystko sama, gdy oni bawili gdzieś daleko. Bochen wcale jej nie skrzyczał, jak zrobiłby to ojciec Umba, jedynie wziął się do roboty. A gdy tak razem pracowali, Lejka co jakiś czas się uśmiechała, nie patrząc jeszcze na niego, potem nuciała, później śpiewała, a w końcu zaczęła mu opowiadać, co się wydarzyło podczas jego nieobecności.

Umbo też starał się na coś przydać, choć nie miał pojęcia, jak wykonać wiele z tych prac, i musiał się tego nauczyć, obserwując ich przy robocie. Poszło mu łatwo, bo mógł się przyspieszyć i mieć dużo czasu, by dokładnie się przyjrzeć i zrozumieć, czego wymaga dane zajęcie, a potem ocenić własne poczynania i ewentualnie coś zmienić. Nie poruszał się ani trochę szybciej niż normalnie – znaczy się, w stosunku do czasu ludzi, stworzeń i rzeczy, z którymi wchodził w interakcję. Jednak pracując, miał czas, by coś przemyśleć, by się zatrzymać lub zmienić swoje zachowanie. To był luksus, móc się zastanowić, a mimo to mieć czas, by dokonać poprawek.

Teraz już więc rozumiał (w końcu!), jak jego dar przysługiwał się innym, na których go używał. Oni naprawdę byli w stanie lepiej wprowadzić swoje zamiary w życie, gdy nakładał na nich przyspieszenie. Wędrujący Człowiek nazywał to spowolnieniem, bo wszystko wokół tej osoby zdawało się toczyć w spacerowym tempie. A tu proszę, zupełnie się pomylił, jakby sądził, że Umbo wpływa na sam czas, a nie na przebiegające w nim ludzkie postrzeganie i procesy myślowe.

Tak właściwie pocieszające było to, że Wędrujący Człowiek jednak nie wiedział wszystkiego o wszystkim; ciekawe, czy zdał sobie z tego sprawę przed śmiercią. A może zginął właśnie dlatego, że był tak pewny siebie i nawet nie przyszło mu do głowy, że może się mylić co do kierunku upadku tego drzewa, które go przygniotło.

Kolacja była najlepszym posiłkiem ze wszystkich, jakie Umbo jadł nad rzeką, i głośno to przyznał.

– To dlatego, że teraz karmimy cię jak własną rodzinę, a nie tymi zlewkami, które rzucamy świniakom – zażartował Bochen.

Lejka trzepnęła go dłonią w ciemię.

– Jemy z tego samego garnka co goście, i nie będziesz mi tu twierdził inaczej.

– O nie, moja droga, nie będę twierdził inaczej w twojej obecności. – Za to Bochen zarobił kolejnego kuksańca, mocniejszego.

Po kolacji, ku zdziwieniu Umba, nie umieścili go w żadnym z pokoi gościnnych. Dali mu małą sypialnię tuż obok własnej, a Umbo zdał sobie sprawę, że w tym pokoju spałoby ich dziecko, gdyby je mieli. Swoją drogą ciekawe, ile Lejka ma lat, zastanawiał się, przygotowując się do snu. Czy może mieć jeszcze dzieci? Czy może jest bezpłodna? Od razu widać, że gdy budowali ten dom, chcieli mieć dzieci. Wielka szkoda, gdyby nie mogli, a taki ojciec Umba płodził je na potęgę.

Umbo dopiero co zasnął, gdy Bochen go obudził, delikatnie potrząsając za ramię.

– Co jest? – bąknął chłopak zaspanym głosem.

– Wiem, że ich nie widzisz – rzekł Bochen. – Ale czy to ważne, jeśli wiesz, gdzie są?

Umbo był zbyt zmęczony, by zrozumieć, o co chodzi, i po chwili znów zasnął. Jednak gdy obudził się w środku nocy z pełnym pęcherzem, te słowa mu się przypomniały, nabierając pewnego znaczenia. Tak właściwie to zdał sobie sprawę, że oni mu się przyśnili.

W swoim śnie wyobraził sobie Rigga stojącego przy powozie, a więc nie musiał go zobaczyć, by przekazać mu wiadomość. A ostrzeżenie, które przekazał samemu sobie, otrzymał, gdy leżał w

łóżku w ich kwaterze w mieście O, więc też znajdował się w konkretnym miejscu. Nie musiał zobaczyć siebie, by przekazać wiadomość.

Teraz już obudzony, próbował przypomnieć sobie, jak wyglądało jego przyszłe „ja”, i zdał sobie sprawę, że miał wtedy pochyloną głowę, jakby patrzył w punkt pod stopami, a nie na siebie leżącego w łóżku. Wówczas wydał się sobie onieśmielony i zahukany, ale może po prostu na nic konkretnego nie patrzył, jedynie rzucał słowa w próżnię z nadzieją, że ktoś je usłyszy?

Zamykając pokrywę nocnika, wrócił myślami do wczorajszej kolacji i omal nie zszedł na dół, by spróbować się przyspieszyć, a potem przemówić do niewidzialnych minionych wersji siebie, Bochna i Lejki. Jednak w porę się opamiętał. Nie mógł tego zrobić, bo wcześniej tego nie zrobił – zeszłej nocy nie było żadnej wizyty i żadnych wiadomości. Musiał to zrobić dzisiaj.

Chyba że Bochen ma rację, a Umbo jest w stanie cofnąć się w czasie i przekazać wiadomość – choć jej nie przekazał, dopiero to robi – i tym samym zmienić przyszłość, a potem nie będzie już potrzeby przekazywać jej ponownie. A jednak nie miał pojęcia, jak takie coś jest w ogóle możliwe. To było na tyle irytujące, że próba zrozumienia skutecznie utuliła go do snu niemal od razu, gdy znalazł się pod kołdrą.

Następnego dnia nie powiedział Bochnowi nic o swoich rozterkach ani zamiarach. Jakoś po południu udało mu się podprowadzić trochę chleba i sera z kuchni do swojego pokoju, bo tej nocy nie zamierzał jeść kolacji przy stole. Nie chcąc mącić sobie w głowie kwestią tego, czy potrafi zabrać wiadomość w przeszłość, której jeszcze nie widział, postanowił, że nie będzie go w miejscu, gdzie wiadomość zostanie odebrana.

Udał więc, że trochę boli go głowa i musi wcześniej iść do łóżka. W swym pokoju zjadł chleb i ser. Od razu pożałował, że nie przyniósł wody czy słabego piwa, ale skoro postanowił nie wychodzić, niezachwianie się tego trzymał i poczekał, aż w domu ucichnie wrzawa.

Dopiero potem zszedł na dół schodami skąpanymi w bladym świetle gwiazd i srebrzystej poświacie nocnego pierścienia wpadającej przez świetliki i okna, i po omacku przeszedł przez ciemny hol.

Dotarł do pokoiku koło kuchni, gdzie najpewniej Bochen i Lejka niedawno jedli – późno, jak zwykle, po obsłużeniu klientów. Izdebka była pusta i ciemna, tylko migotał żar w kuchennym palenisku.

I wtedy, wyobrażając sobie, gdzie Lejka i Bochen musieli siedzieć, Umbo sobie uświadomił, jak wiele luk jest w jego planie. Bo choć sam nie zasiadł do kolacji, nie było żadnych wątpliwości, że gdyby oni otrzymali jego wiadomość, poszliby na górę do jego sypialni, obudzili go i powiedzieli, że mu się udało.

Chyba że im powiedziałem, by pozwolili mi spokojnie spać do rana. Właśnie tak powinna brzmieć moja wiadomość – idźcie spać, jak gdyby nigdy nic, i nie budźcie mnie przed rankiem!

Zadowolony, że rozwiązał tę sprzeczność, Umbo wprowadził się w trans przyspieszenia.

– Nie budź mnie aż do rana, jeśli łaska – szepnął prosząco w stronę pustego krzesła, na którym zazwyczaj siedziała Lejka. Po czym odezwał się ponownie, acz w płytszym półśnie, taką miał przynajmniej nadzieję. A potem znowu i raz jeszcze. Ani przez chwilę nie widział Bochna ani Lejki, nie słyszał żadnej odpowiedzi, ale z determinacją powtarzał te słowa na każdym poziomie transu, myśląc, że może jego głębokość determinuje, jak daleko wstecz w czasie się cofa.

Wyczerpany i otumaniony z powodu niewyspania i długiego skupienia ochryplł, mimo że mówił szeptem. Wpadł na pomysł, by trochę urozmaicić wiadomość, by móc potem rozróżnić, który poziom transu zobaczyli, ale dał sobie z tym spokój, bo niby jak miałby pamiętać, na ile głęboki był trans w chwili przekazania wiadomości?

Uznał, że już starczy. Miał wrócić na górę, ale jeszcze usiadł na swoim miejscu przy stole, potarł oczy. Wiedział, że mu się nie udało. Że mówił tylko do siebie.

Siedząc tam, powoli zapadając w sen, lecz wciąż próbując się przyspieszyć, pogrążył się w jeszcze większym przyspieszeniu – albo tak mu się śniło – a gdy tym razem wypowiedział swój przekaz, mówiąc przez stół do dwojga przyjaciół, wyciągnął ręce i śnił – czy aby na pewno? – że czuje ich dłonie w swych rękach, i słyszy ich głosy. Zapewniali, że uczynią zadość jego prośbom.

– W takim razie wróćcie tu w nocy – przekazał im – i zanieście mnie do łóżka, bo jestem okropnie zmęczony. – Po czym zamknął oczy i zasnął na stole.

Obudziła go Lejka.

– Wstawaj, Umbo, i marsz mi na górę do łóżka! Co ci do łba strzeliło, żeby tutaj spać?

Przez chwilę Umbo myślał, że jego sen był prawdą.

– Przyszłaś, jak prosiłem! – wychrypiał.

– No patrz, skrzeczysz jak ropucha! Biedaku, naprawdę się rozchorujesz! Tak to już jest, jak się zasypia w chłodni bez koca i prawie nago.

A więc nie otrzymała żadnej wiadomości, nic a nic.

Muszę spróbować znowu, pomyślał.

Lecz następny dzień cały przepracował. Wybrał się z Bochnem na cotygodniowy targ po zapasy żywności, pomagał przy rozmaitych naprawach w oberży, oddawał się wielu innym pożytecznym zajęciom, byle tylko nie zasnąć.

Po kolacji od razu poszedł na górę i natychmiast zapadł w sen.

I znów obudziła go Lejka.

Nie! Lejka i Bochen. Byli w jego pokoju, a noc jeszcze nie minęła, bo w jadalni goście wciąż śpiewali piosenki nad kuflami piwa.

– Udało ci się! – zakrzyknął Bochen podniecony. – Pojawiłeś się przy naszym stole.

Usiadłeś i wyciągnąłeś do nas ręce! A my ich dotknęliśmy, chłopcze!

Umbo poczuł prawdziwe zadowolenie.

– Co mówiłem? Nie prosiłem was, żebyście mnie nie budzili?

– Nie, kazałeś nam się obudzić i zanieść na górę do łóżka.

– Wcale nie! – zaoponowała Lejka.

– No i my przyszliśmy tu na górę, a ty śpisz, i po prostu nie mogliśmy cię nie obudzić i nie powiedzieć, że się udało! Choć przecież się nie udało.

– Zostawiłem tę wiadomość zeszłej nocy. Dlatego siedziałem przy kuchennym stole.

Wygląda więc na to, że wcale nie udałem się w przeszłość, tylko w przyszłość. Zeszłej nocy zostawiłem wiadomość, którą dostaliście dzisiaj.

Przygnębiony, obrócił się do nich plecami i wbił wzrok w ścianę.

– Ty głupolu – rzekł Bochen nie bez czułości. – Myślisz, że to porażka? Co za różnica, przynajmniej na razie, w tę czy we w tę? Najważniejsze, że w ogóle przeniosłeś się do innego czasu!

Gdy Bochen stawiał sprawę w takim świetle, Umbo po zastanowieniu znowu się rozpogodził.

– Niech ci będzie. Ponieważ widzieliście, jak siedziałem przy stole, i dotknęliście moich rąk, wiem dokładnie, która z moich prób się udała. Różniła się od innych. Byłem półprzytomny z niewyspania, w tak głębokim transie, że czułem się całkiem zagubiony.

Trudno powiedzieć, kiedy przekroczyłem granicę między tym a snem. Ale jedno jest pewne: pozostałe próby nic nie dały.

– Chyba że przez resztę życia co rusz będziemy się natykać na twoje duchy przekazujące nam kolejne głupie polecenia – stwierdziła Lejka z przekąsem.

– Muszę nauczyć się przysyłać wiadomości w przeszłość – wymamrotał Umbo sennie. – I we właściwy czas na dodatek.

Bochen zachichotał.

– Śpij dalej, mały. Ale od jutra zacznij wysyłać wiadomości i rób to tak długo, aż zaczniesz zmierzać w dobrym kierunku. Albo może wskaż jakieś miejsce, gdzie będziesz zostawiał wiadomości zapisane na piasku.

– To chyba nic nie da – ocenił Umbo. – Nie słyszeliście mojego głosu, prawda? Tylko mnie widzieliście.

– I trzymaliśmy cię za ręce – przypomniała Lejka. – Nie czułeś, że cię trzymamy?

– Czułem. I jeszcze zapachy z kuchni.

– Nic dziwnego, w końcu tam się pojawiłeś – zauważył Bochen.

– Znaczący, czułem zapach kolacji, jakby wciąż świeży. Teraz to sobie przypominam.

Myślałem, że to sen.

– Wiemy, że możesz naskrobać wiadomość na piasku, Umbo, bo udało ci się wykopać sakiewkę, a potem znów przysypać to miejsce ziemią tak zręcznie, że nie widać było, że cokolwiek tam ukryto.

– O jakiej sakiewce mówisz? – zapytała Lejka.

– O sakiewce klejnotów – wytłumaczył Bochen. – Gdy Rigga aresztowano, zabraliśmy ją.

Tyle że Umbo najwyraźniej wrócił z przeszłości, by pogrzebać w mojej skrytce i zabrać największy klejnot z sakiewki.

– Każdy mógł go zabrać – zauważyła Lejka.

– Każdy normalny człowiek zabrałby całą sakiewkę – stwierdził Bochen.

– A ja nie mogłem tego zrobić – rzekł Umbo żałośnie.

– Chciałem się przenieść w przeszłość, a udało mi się w przyszłość. Co jest do niczego, bo i tak przecież tam zmierzamy.

– Tyle się słyszy opowieści o duchach – powiedziała Lejka zamyślona. – Duchy są pewnie ludźmi takimi jak ty. Błąkają się po domu, gdy są tak zmęczeni, że przypadkiem wpadają w to przyspieszenie, o którym mówisz, i nieświadomie zostawiają za sobą obrazy samych siebie – albo nawet własną realność, skoro mogą dotykać i wachać – co wtlacza ich w przyszłość.

Wiele lat później te duchy wałęsają się po domach w sobie tylko znanym celu. Może oni nawet nie wiedzą, że to robią.

– Jeśli robią to tak jak ja, to wiedzą, co robią – stwierdził Umbo.

– Och, a więc teraz już wiesz, co robisz, tak? – zapytał Bochen. – A nie mówiłeś, że przysyłasz wiadomości w przeszłość, lecz one przez pomyłkę trafiają w przyszłość?

– Dajcie mi spać – bąknął Umbo. – Jestem strasznie zmęczony.

– Gdy będziesz zasypiał, Umbo, pamiętaj o jednym. Naprawdę to zrobiłeś. Naprawdę przeniosłeś się w czasie.

– No, w sumie racja – ucieszył się Umbo. A potem znowu odleciał i znów śnił, lecz tym razem o swoim bracie stojącym nad wodospadem.

Czuł, jak w tej jego części, która wiedziała, że śni, rodzi się pytanie: Czemu nie mogę w taki sam sposób wrócić i uratować brata? Skoro mogę ocalić pieniądze Rigga, czy to nie znaczy, że mogę wrócić i przemówić do Kyokaya, i uratować go, jeszcze zanim pojawi się nad urwiskiem?

Może już to zrobiłem, pomyślał, na powrót pogrążając się w śnie. Może już to zrobiłem, tyle że wiele lat później, gdy byłem dorosły. Może to ja jestem tym człowiekiem, którego Rigg widział i zrzucił z klifu.

Nieosiłiwe.
Szkoda.
Znów zasnął.

Rozdział 12

W KAJDANACH

Zbędny i komputery dokonali obliczeń w zaledwie kilka godzin.

– Jeśli twoje kuriozalne i niesprawdzalne domysły przypadkiem okażą się prawdą – zaczął zbędny – to owszem, drgania czasoprzestrzeni mogłyby umożliwić wszystkim dziewiętnastu wersjom tego statku przeskok przez zagięcie jedenaście tysięcy lat w przeszłość, ale z na tyle dużymi przerwami pomiędzy każdym przejściem, że nie nałożyłyby się na siebie i niekoniecznie nawzajem się unicestwiły.

– A więc może być dziewiętnaście wersji tego statku i całej jego załogi, łącznie z twoją uroczą osobą i ze mną, pilotem, zmierzającymi ku planecie docelowej z zadaniem jej kolonizacji.

– Albo i nie – stwierdził zbędny.

– Och, ale to jest zbyt wyborne, żeby nie było prawdziwe.

– Metaforyczny smak nie ma wpływu na rzeczywistość.

– Ale elegancja rzeczywistości ma metaforyczny smak.

– Załóżmy, że masz rację. I co z tego?

– A to, że będę się czuł lepiej, marnotrawiąc resztę życia, nie robiąc nic istotnego.

– Będiesz miał czas, żeby przeczytać wszystkie książki, do których z jakichś powodów nie mogłeś się zabrać.

– Nie sądzę, bym miał czas na cokolwiek. Myślę, że będę żył tylko do czasu, gdy dotrzemy do miejsca, gdzie zbudowano statki. Struktura, którą widzimy wokół siebie, przemieszcza się wstecz w czasie. Gdy więc dolecimy tam, gdzie ją zbudowano, zostanie rozebrana na części składowe.

A my trafimy w próżnię.

– No to wysiądziemy.

– Jak? Musielibyśmy wsiąść do wahadłowca, który zabrałby nas z powrotem na powierzchnię Ziemi. Ale nie ma takich, które poruszałyby się w tym samym kierunku, co my.

– Tak samo nie ma gwiazd, które poruszałyby się w naszym kierunku, a jednak je widzimy.

– Interesująca zagadka – przyznał Ram. – Jeśli chcesz, zostań tu i się przekonaj, droga wolna.

– A ty co zrobisz?

– Będę leciał dalej, aż znajdę sposób, by wysłać wiadomość wersjom mnie samego, które przeskoczyły przez zagięcie w przeszłość i muszą radzić sobie z dziewiętnastoma kopiami.

– Niby jak chcesz to zrobić?

– Wyryć ją na metalowej osłonie statku, gdzieś, gdzie na pewno ją zauważę, ale dopiero po skoku przez zagięcie.

– Nieważne, gdzie postanowisz ją wyryć – stwierdził zbędny. – Fakt, że jej tam nie było już wtedy, gdy przybyłeś, by zacząć ryc, dowodzi, że nie masz żadnego wpływu na przedmioty poruszające się w normalnym kierunku upływu czasu.

– Wiem. I dlatego ty to zrobisz.

– To niczego nie zmienia.

– Z zamkniętymi oczami – dodał Ram. – Byś zawczasu nie mógł zobaczyć dowodu, że się nie udało.

Rigg i Krzykacz, przykuci do siebie w kostkach i nadgarstkach, siedzieli obok siebie w

kapitańskiej kajucie. Łódź płynęła w dół rzeki z prądem, nie było więc czuć miarowych szarpnięć tyczkarzy, natomiast załoga często musiała ją odpychać od jakiejś przeszkody – mierzei, brzegu, wyspy, innej łodzi. Nic nie widząc, Rigg i Krzykacz nie mogli się przygotować na te nagłe zmiany kierunku, siedzieli więc z zaparci nogami o pokład, starając się nie wpaść na siebie i nie zlecieć ze stołków.

Przez pierwsze kilka godzin Krzykacz nie odezwał się nawet słowem, co zupełnie Riggowi nie przeszkadzało – miał wprawę w milczeniu i zmuszaniu innych, by odezwali się pierwsi. A wnioskuje po głuchej nienawiści, jaką widział i czuł w sztywności ciała i wyrazie twarzy oficera, rytmie jego tętna, ciepłe, które wydzielał, mimo że był przemoczony do suchej nitki, gdy Krzykacz w końcu się odezwie, nie będzie to miłe dla uszu.

Ale może być pouczające. Generał Obywatel był mistrzem samokontroli. Krzykacz, sądząc po jego przezwisku, nie uczył się tajników opanowania – i na ogół go nie wykazywał, może z wyjątkiem chwil, gdy znajdował się w obecności wyższego stopniem, bo inaczej nie zostałby oficerem. Tak czy owak, Rigg mógł dowiedzieć się czegoś więcej o generale Obywatelu. Może zorientuje się, co z tego, co mówił Obywatel, jest prawdą. Może też natrafi na jakąś informację, która pomoże mu uciec z niewoli, gdyby zdecydował, że właśnie tego chce. W końcu może uda mu się obrócić Krzykacza w sprzymierzeńca albo chociaż w narzędzie.

Przyniesiono jedzenie i postawiono je na stole – ale za daleko, by mogli dosięgnąć. Rigg wolną lewą ręką lekko pociągnął za blat. Nie odejmował ręki, czekając, aż Krzykacz zrobi to samo.

Krzykacz nie chciał współpracować, ale w końcu się złamał. Sięgnął wolną prawą ręką i razem przyciągnęli stół.

Rigg wziął łyżkę do lewej ręki, Krzykacz do prawej.

– Bardzo niewygodne – odezwał się Rigg. – Jestem praworeczny. Trzymając łyżkę lewą ręką na łodzi, która cały czas się chybocze, mogę porozlewać ten pyszny krupnik. Szkoda by było.

Widział wyraźnie, że oficer jest mańkutem, i dawał mu szansę przyznania się, że ma ten sam problem. Ale Krzykacz z uporem godnym lepszej sprawy jął podnosić drżącą łyżkę do ust, bryzgając zupą na stół i swoje udo.

Rigg poświęcił sporo czasu z ojcem, by ćwiczyć oburęczność – umiał nawet pisać równo i czytelnie także lewą ręką.

Mógłby jeść bez rozlewania, ale postanowił, że lepiej naśladować Krzykacza.

– To raczej nie przypadek, że przykuli twoją lewą rękę do mojej prawej – zagadnął. – Byśmy obaj mieli niewygodnie.

Krzykacz nawet na niego nie spojrzał.

– Jeśli to cię pocieszy – ciągnął Rigg – moi przyjaciele i ja nie mieliśmy pojęcia, że zostaniemy dziś aresztowani, i nie miałem nic wspólnego z twoim wpadnięciem do wody.

Krzykacz odwrócił się do niego z gniewem, ale się nie odezwał. Nic nie szkodzi – nawiązał kontakt, reszta to już tylko kwestia czasu.

– Więc nienawidzisz mnie nie dlatego, że jesteś mokry, ale z powodu mej rzekomej tożsamości. Wcale nie twierdzę, że jestem kimś innym. Tylko sobą.

Krzykacz wybuchnął śmiechem.

– Jedyńm rodzicem, jakiego znałem – mówił dalej Rigg – był mój ojciec, który wychowywał mnie głównie po lasach. Umarł kilka miesięcy temu i zostawił...

– Daruj sobie – warknął Krzykacz. – Jak długo będziesz sprzedawał tę bajeczkę?

– Dopóty, dopóki prawda będzie w cenie.

– Jestem tu, by cię zabić.

Rigg poczuł dreszcz strachu. Krzykacz nie żartował. Cóż, zawsze to jakaś informacja. I to całkiem przydatna.

– Skoro tak, nie mogę cię powstrzymać.

– Nie możesz mi nawet przeszkodzić.

Rigg czekał.

– I co dalej? – zapytał w końcu.

– Nie tu – przyznał Krzykacz. – Nie w tym pokoju. Inaczej doszłoby do procesu, a mnie by stracili. Za dużo rozgłosu. Rozniosłoby się, jak to żołnierz pod rozkazami generała Obywatela zamordował prawowitego króla w Namioście. A to by było równie niedobre wyjście jak pozostawienie cię przy życiu.

– Aha, więc generał rozkazał ci, żebyś...

– Głupcze! Wydaje ci się, że potrzebuję rozkazów, bym znał swój obowiązek?

Rigg ponownie zastanowił się nad nienawiścią na twarzy tego człowieka.

– Tu nie chodzi o obowiązek – ocenił.

Krzykacz przez długą chwilę się nie odzywał.

– Zabicie cię to coś więcej niż obowiązek – rzekł wreszcie. – Tego wymaga honor.

– Zabijesz mnie, bo uważasz, że jestem Sessamekeshem? Czy dlatego, że masz mnie za oszusta, który się pod niego podszywa?

– Coś ty taki ciekawy? – odparł Krzykacz. – Nie musisz wiedzieć.

– Ale ta twoja nienawiść do mnie wynika z czci dla rodziny królewskiej czy z awersji do nich?

– Czy naprawdę jesteś księciem, czy tylko oszustem, jesteś użyteczny tylko wtedy, gdy przysłużysz się restauracji monarchii.

– A więc twoja nienawiść do rodziny królewskiej ma podłoże osobiste.

– Mój pradziad był bardzo zamożnym i wpływowym kupcem. Ktoś oskarżył go o wywyższanie się ponad stan, o przestępstwo zwane „deliktem klasowym”. Próbę uchodzenia za lorda. Noszenie się jak lord. Przybieranie atrybutów i godności lorda.

– I to było przestępstwo?

– Nie jakieś tam zwyczajne. Każde z tych oskarżeń stanowiło zarzut o zdradę. Pod rządami monarchii prawo zabraniało zmiany przyrodzonego stanu. Kupcy nie mogli zostać szlachcicami herbowymi, zwykli herbowi nie mogli zostać arystokracją, a ci z kolei nie mogli aspirować do miana monarchów. Gdyby mojego pradziada oskarżono, że nosi się jak wojownik, z mieczem u pasa, za karę dostałby pokaźną grzywnę i areszt domowy przez rok.

Ale oskarżono go, że nosi się jak arystokrata, a tym samym przeskoczył dwa szczeble hierarchii. Za to groziła taka sama kara jak za próbę królobójstwa.

Rigg w życiu nie słyszał większego absurdu, ale nie wątpił w prawdziwość słów Krzykacza.

– Śmierć? – domyślił się.

– Powolna i okropna śmierć na forum publicznym – wyjaśnił Krzykacz. – Jego członki rzucono na pożarcie królewskim psom myśliwskim na oczach gildii kupieckiej. A jego rodzinę pozbawiono całego majątku, łącznie z przywilejem ubierania się w kupieckie szaty.

W samych przepaskach na biodra i żebraczych łachmanach wygnano ich na ulicę.

– To niesprawiedliwe – przyznał Rigg.

– Najstarszego syna pradziada, mojego dziadka, zamordowali bandyci najęci przez konkurencyjnego kupca, który doniósł na jego ojca. Bez pieniędzy i majątku wszystkie kobiety i młodzieńcy byliby skazani na prostytutkę, a dorośli mężczyźni na niewolniczą pracę w kopalniach, ale szczęśliwie znaleźli się pod pieczęcią Rady Rewolucyjnej. Mój ojciec miał wtedy raptem dziewięć

lat. Wychowano go na ich oddanego sługę. Ja również dorastałem w tej lojalności i nadal ją czuję. Oddałbym życie, byle tylko nie dopuścić, by królewskie trupojady znowu rozpanoszyły się w Kosmolandzie.

Powiedział „Kosmoland” – to była dawna nazwa doliny i delty rzeki Kosmolo, używana, zanim plemię Sessamoto przybyło z północnego wschodu, podbiło te tereny i ustanowiło swoje cesarstwo. Rigg zaczął rozumieć, jak daleko może sięgać pamięć i jak głęboki ból można czuć z powodu czegoś, co wydarzyło się wiele dziesięcioleci temu.

– Ja nie...

– Wiem, że nie skrzywdziłeś ani mnie, ani nikogo innego. Lecz jeśli będziesz uczestniczył w tych rozgrywkach, niezależnie od twoich intencji, ci, którzy chcieliby traktować plebejuszy w ten sposób, wykorzystają cię, by odzyskać władzę. Rada jest najgorszą formą rządu – skorumpowaną, samowolną, arogancką, ortodoksyjną. Ale i tak jest najlepsza z możliwych. A moja rodzina zawdzięcza rewolucji życie.

– No tak, to brzmi najzupełniej logicznie – odparł Rigg. – Skoro mam umrzeć, to równie dobrze mogę zostać zamordowany przez kogoś, kto stracił wszystko za sprawą ludzi, których nigdy nie spotkałem i nigdy nie uważałem za swoich krewnych, a przeciw którym sam bym wystąpił, gdyby poczynali sobie w ten sposób.

– Gadaj zdrów.

– Tak z ciekawości, czy mógłbym poznać prawdziwe imię człowieka, który zamierza mnie zabić?

– Mój pradziad nazywał się Talisco Waybright. Mój dziadek również, a po nim mój ojciec i ja także, lecz pozbawiono nas tego nazwiska. Teraz nazywam się Uryna.

– Nie może być!

– To dość popularne nazwisko w Aressa Sessamo – wyjaśnił Krzykacz. – Nadawano je skazańcom, a było jeszcze wiele innych barwnych i poniżających epitetów. Po rewolucji większość przy nich została i nosi je z dumą. Ja też go nie zmienię, póki cała rodzina królewska nie zginie. Choć może uznam, że twoja śmierć wystarczy, bym zasłużył na stare nazwisko.

– Jak zamierzasz nas rozdzielić, byś mógł mnie zabić?

– Nie zdradzę ci swoich planów.

Już zdradziłeś, pomyślał Rigg. Bo skoro zamierzasz mnie zabić w taki sposób, by uniknąć procesu o morderstwo, postarasz się, żeby to wyglądało na wypadek, a na dowód chcesz zginąć ze mną. To zaiste honorowa śmierć. Ale będę udawał, że tego nie wiem.

Gdy kończyli jeść, maczając świeży miejski chleb w resztkach zupy, Rigg rzucił ukradkowe spojrzenie na kajdany. Ciężkie żelazne obręcze zaciśnięte na ich nadgarstkach były zespolone pojedynczym zamkiem. Łatwym do otworzenia, bo ojciec nauczył go zasad działania tych najpopularniejszych. Rigg domyślał się, że kajdany u nóg były połączone tak samo. Podstawowy problem stanowiło dostanie się do nich z jakimś narzędziem w tym samym czasie, gdy Krzykacz – nie, Talisco Waybright – będzie się z nim szarpał.

„Jesteś mały – uczył go ojciec – więc jeśli nie okażesz cienia agresji, twoi przeciwnicy nie będą się spodziewali po tobie śmiałości. Większość dorosłych mężczyzn będzie silniejsza niż ty, ale ty będziesz silniejszy, niż się tego spodziewają po dziecku. Każde działanie, które podejmiesz, musi być tym ostatecznym, bo nie dostaniesz drugiej szansy, by zaskoczyć tego samego człowieka”.

Uchwyt łyżki był wystarczająco wąski, by mógł posłużyć za wytrych, ale jak zatrzymać łyżkę? Coś jeszcze? Na półkach leżały przybory do pisania, lecz pióra by się połamały, a o nożu do papieru można tylko pomarzyć.

Przeprowadzał w myślach inwentaryzację swojego ubrania, szukając czegoś przydatnego, gdy Talisco zakrzyknął:

– Skończyliśmy już jeść! – W małej kabynie jego głos rozległ się jak uderzenie kowalskiego młota. A Rigg zrozumiał, skąd wzięło się przezwisko tego człowieka. – Zabierzcie talerze, nim chłopak zwinie łyżkę, by otworzyć nią zamek!

Najwyraźniej nie jestem taki sprytny, jak mi się wydawało, pomyślał Rigg. Pewnie to typowy numer.

Drzwi się otworzyły, a do środka weszło dwóch żołnierzy. Stanęli przy drzwiach, obserwując, jak załoganci zabierają miski i łyżki.

– Chce mi się sikać – jęknął Rigg.

– Przyniesiemy ci słoik – burknął jeden z żołnierzy.

– Och, tak, i nasikam sobie na rękę. Myślicie, że skoczę do wody przypięty do niego?

Pozwólcie mi tylko wysikać się za burtę.

Żołnierze wyszli za załogantami, zamykając drzwi na klucz.

– A więc chcesz zdecydować za mnie, jak cię zabiję? – zapytał Talisco.

– Jeśli chcesz zabić nas obu, wskazując do rzeki w kajdanach, droga wolna. Ale jeśli zamierzasz mnie zabić później, w jakiś inny sposób, to wolę umrzeć z pustym pęcherzem.

Sprzączka pasa była jedynym wyjściem – szpilkę zrobiono z wystarczająco mocnego żelaza. Ale czy uda mu się odpiąć pas jedną ręką? I czy zdoła otworzyć zamek klamrą, nie upuszczając pasa? Bo na pewno by go już nie znalazł w ciemnej wodzie.

Po kilku minutach żołnierze otworzyli drzwi na oścież.

– Jak nic jesteś księciem – mruknął Talisco, gdy się podnosili. – Myślisz sobie, że na wszystko będziesz miał wpływ, nawet na własne zabójstwo.

Gdy więźniowie wyszli przez próg, jeden żołnierz mocno chwycił Rigga za wolne ramię, a drugi trzymał Talisco. Jeszcze paru żołnierzy stało obok. Mieli stanowczy zamiar nie dopuścić do kolejnej próby ucieczki.

Jakbym w ogóle chciał uciec z tej łodzi, pomyślał Rigg. Ojciec kazał mi odszukać siostrę.

Zabieracie mnie tam, gdzie chcę się udać. Tylko muszę się uwolnić od tego zabójcy.

– On zamierza mnie zabić, wiesz? – szeptem zagadnął żołnierza, który go prowadził. – Jeśli zdarzy się wypadek, możecie być pewni, że to morderstwo.

Żołnierz nic nie powiedział, a Talisco zadrzał w bezgłośnym śmiechu.

– Myślisz, że tylko ja życzę ci śmierci? – mruknął z pogardą.

– Niby jak według ciebie mam rozpiąć spodnie? – odezwał się Rigg do trzymającego go żołnierza. – Gdybym miał się cały obsikać, równie dobrze mógłbym zostać w kajucie.

Żołnierz – ani na chwilę nie rozluźniając uchwytu – przesunął rękę Rigga w stronę krocza.

Rigg sięgnął pod wierzchnią koszulę i jedną ręką rozpiął pas u spodni. Były na tyle luźne, że się zsunęły, ale szeroko rozstawił nogi, dzięki czemu nie opadły mu do kostek.

– On nawet nie ma tyłka – zażartował jeden z rzekowców.

– Milczeć! – nakazał generał Obywatel. A więc i on przyszedł zobaczyć, jak Rigg się odcedza.

– A ty nie będziesz sikał? – zapytał żołnierz prowadzący Talisco.

– Nie muszę.

– Teraz masz okazję, potem będziesz musiał trzymać przez wiele godzin.

– Nie muszę – powtórzył Talisco, nieco ciszej i z większym naciskiem, a żołnierz już więcej nie pytał.

Rigg szarpnął prawą ręką, próbując dosięgnąć krocza. Talisco odtrącił ją z powrotem.

– Używaj lewej!

– Jestem praworęczny! Nie umiem celować lewą!

– Dookoła masz rzekę! Nie możesz spudłować!

– Nie chcę się cały obsikać! – krzyknął Rigg, celowo podnosząc głos o kilka tonów, by brzmiał bardziej dziecinnie.

– Królewski bękart – bąknął Talisco, pozwalając Riggowi przysunąć ich skute ręce bliżej krocza.

Rigg z premedytacją skierował strumień moczu na jego dłoń. Talisco wrzasnął i odruchowo poderwał rękę.

Rigg wykorzystał rozmach tego ruchu, dodał własną siłę i walnął kajdanami w czoło współwięźnia. To było właśnie to zaskoczenie, które wedle napomnień ojca musiało wystarczyć.

Zakładając, że wystarczyło, by ogłuszyć Talisco, Rigg udał, że traci równowagę, wyrwijąc lewą rękę z uścisku trzymającego go żołnierza i przesuując się za plecy nieprzytomnego Talisco, by nikt nie mógł go chwycić. Po kolejnym pchnięciu – markując rozpaczliwym machaniem rąk i okrzykiem „Pomocy!” – przerzucił Talisco przez barierkę.

Bezwładne ciało pociągnęło go za sobą.

Spodnie opadły mu do kostek. Zanim jeszcze plasnęli w wodę, Rigg zdążył zgiąć się w pół, by sięgnąć rękami pasa, a gdy z pluskiem się w niej zanurzyli, Rigg już wkładał szpilkę sprzączki do dziurki od klucza.

Ciężar kajdan pociągnął ich w dół. Rigg szybko oswobodził już prawą rękę. Potem nachylił się i uwolnił kostkę.

To jednak nie wystarczyło. Nie uciekał bowiem w ten sam sposób co Bochen i Umbo.

Nie chciał też, żeby Talisco utonął. Wstrzymał więc oddech jeszcze na tyle długo, by uwolnić nogę i nadgarstek Talisco z oków. Kajdany opadły na dno. Teraz ich obu obciążały już tylko ubrania. Rigg przydepnął nogawkę spodni i wierzgając, uwolnił nogi. Potem, jako że doskonale pływał i nie brakowało mu siły, pociągnął nieprzytomnego Talisco w górę.

Na powierzchni nabrał powietrza, a potem starał się wypchnąć głowę Talisco nad wodę.

– Pomocy! – zakrzyknął. – Talisco się topi!

Łódź już zatrzymano, a teraz rzekowcy odpychali ją tyczkami z powrotem w górę rzeki.

Generał Obywatel głośno rozkazał żołnierzom, by zapomnieli o oficerze i wyciągnęli chłopca.

– Beze mnie utonie! – krzyknął Rigg władcym tonem. To podziałało, żołnierze i rzekowcy instynktownie go posłuchali i chwycili Talisco. Dopiero wtedy chłopak, niemal bez pomocy, wgramolił się na pokład. Widział, jak przerzucają Talisco przez reling i kładą na deskach.

– Zabierzcie chłopaka do kajuty! – rozkazał generał Obywatel.

– Najpierw trzeba mu przywrócić oddech! – sprzeciwił się Rigg. Jego władczy ton znowu podziałał, żołnierze się zawahali. Rigg wykorzystał to, by doskoczyć do Talisco i zacząć go ratować metodą, jakiej ojciec nauczył wszystkie dzieciaki w Wodobrodzie.

Rzekowcy mieli własną metodę – odwracali topielca na brzuch i walili go po plecach wiosłami i tyczkami. Najwyraźniej ofiary tego procederu czasem odzyskiwały przytomność.

To, co robił Rigg – uciskając pierś Talisco, by wydusić z niej wodę, a potem obejmując wargami jego usta i wdmuchując powietrze do gardła – było dla rzekowców nowością.

Niektórzy krzyczeli, żeby się odsunął, to oni go ocucą wiosłami.

Krwawa rana na czole Talisco dowodziła, że Rigg zdołał zadać silny cios. Zastanawiał się, czy tym uderzeniem nie zabił współwięźnia – ale dla jego zamysłów nie było to ważne.

Niech wszyscy widzą, że próbuje ratować oficera, niech taka wieść się rozniesie; a cios w

głowę zostanie uznany za zwykły wypadek, bo nikt nie pomyśli, że taki młodzieniaszek miał w sobie dość siły, by zabić.

Talisco po kilku chwilach już kasłał, prychał i oddychał samodzielnie, chwytając powietrze krótkimi, szybkimi haustami.

– Słyszałem o czymś takim – odezwał się jeden z rzekowców.

– Ja pierwszy raz to widzę – przyznał inny.

– Nauczysz nas, chłopcze? – zapytał trzeci.

Jednak generał Obywatel odzyskał już panowanie nad sytuacją, wściekły i zaniepokojony – i choć raz się z tym nie krył.

– Zaprowadźcie chłopaka do kajuty! – rozkazał, a tym razem Rigg pokornie dał się zaciągnąć do swojej celi.

Niebawem przyszedł do niego Obywatel. W kajucie byli tylko we dwóch. Generał nie podniósł głosu, gdy zapytał cicho:

– Coś, na Mur, najlepszego wyprawiał?

– Nie uciekałem, to na pewno – odparł Rigg.

– Czemu nie? W co ty sobie pogrywasz?

– Ostatnie słowa mojego ojca brzmiały: „Odszukaj siostrę”. Jeśli naprawdę jestem Riggim Sessamekeshem, to moją siostrą jest Param Sissaminka, a ja muszę dostać się do Aressa Sessamo, by ją odnaleźć. A skoro tam właśnie płyniecie, pomyślałem, że mimo wszystko zostanę z wami.

Obywatel chwycił Rigga za przemoczony gors i przyłożył usta do jego ucha.

– A czemu sądzisz, że w ogóle pozwolimy ci się zbliżyć do rodziny królewskiej?

– No, z pewnością nie pozwolicie, jeśli zginę – zauważył Rigg. – Ale po tej nieudanej próbie trudniej będzie przekonać ludzi, że to był wypadek.

– Jakiej znowu próbie? Widziałem, co się wydarzyło. Ty to zrobiłeś od początku do końca.

– Pytanie, czy ktoś jeszcze widział to samo – stwierdził Rigg. – Talisco powiedział mi, że zamierza mnie zabić i sam zginąć, by przekonać ludzi, że to wypadek. Ja tylko przyspieszyłem ten proces i obróciłem go na swoją korzyść.

Obywatel wydawał się szczerze zdumiony.

– Powiedział ci?

– Powiedział, że to jego obowiązek. Przypuszczał, że pan kazał nas skuć razem, by mógł odkupić winę. Bo zawinił, gdyż pozwolił Bochnowi i Umbowi uciec, a chciał się zrehabilitować, mordując mnie i jednocześnie zabijając siebie.

– Nie dałem mu takiego rozkazu.

– Oczywiście, że nie. Rozkazał pan skuć nas łańcuchami, a on już zajął się resztą.

– Chodziło mi o to, że nie tego chciałem. Naprawdę jesteś aż tak głupi?

– Czyli jak bardzo? – zapytał Rigg. – Myślę, że nieźle sobie poradziłem. Ogłuszyłem mężczyznę dwa razy ode mnie cięższego i silniejszego, uwolniłem się z kajdan i uratowałem go przed utonięciem.

– Niezły teatrzyk. Przyklasnąłbym ci, ale ludzie podsłuchujący by pomyśleli, że cię biję.

– Może jest pan apologetą monarchii – męskiej monarchii – a może po prostu chciał mnie pan sprawdzić. Tego nie wiem. Ale wierzę, że Talisco zamierzał mnie zabić, nieważne, czy zgodnie z pana zamysłem, czy nie. A ja nie zamierzam umrzeć, póki nie spotkam siostry.

– Siostry? A nie matki?

– Mój ojciec mówił o siostrze. Z tego co wiem, wcale niewykluczone, że Param Sessaminka nie jest moją siostrą, a Hagia Sessamin moją matką. Ale ojciec powiedział, że siostrę znajdę w Aressa

Sessamo, więc właśnie tam się wybieram. A jeśli teraz mi się coś stanie, opowieść o tym, jak Talisco i ja wpadliśmy do wody, zyska zupełnie inny wydźwięk – że to była pańska pierwsza próba zamordowania mnie.

– Nie chcę twojej śmierci, głupcze. Potrzebuję cię żywego.

– To proszę nie przykuwać mnie do zagorzałych antymonarchistów.

Łódź zarzuciło, obaj lekko się zachwiali.

– Dobrze, nie będzie więcej kajdan – zapewnił generał.

– Gdy już dotrzemy do stolicy, niech pan mi pozwoli się spotkać z rodziną królewską.

Stanąć u ich boku. Jeśli nie będzie widać żadnego podobieństwa, to koniec z tym całym pomysłem uchodzenia za męskiego dziedzica.

– Masz mnie za idiotę?

– Wiem, że nie jest pan głupi.

– Widziałem twojego ojca, chłopcze. Jesteś do niego bardzo podobny. I na tyle do matki, że ludziom wystarczy jedno spojrzenie, by zrozumieć, że jesteś ich dzieckiem.

Riggowi nie chciało się udawać, że ta opinia go nie ruszyła.

– Czy to niemożliwe, że mój ojciec... człowiek, którego nazywam ojcem, wybrał dziecko, które jego zdaniem mogło wyrosnąć na kogoś przypominającego...

– Ty ich nie przypominasz. Nie jesteś do nich podobny pod jakimś tam względem. Jesteś wykapanym ojcem. Każdy, kto go znał, od razu pozna w tobie jego syna. Nie jesteś oszustem, choć nigdy tego nie powiem nikomu na tej łodzi. Rozumiemy się?

Rigg zadrżał.

– I pewnie nie pozwoli mi pan przebrać się w jakieś suche ubrania, których już nie posiadam, spoczywających w kufrze, który przestał być moją własnością?

Obywatel westchnął.

– Już ci mówiłem, że nie wydano jeszcze żadnego prawomocnego wyroku. Ubrania, które kupiłeś w O, są do twojej dyspozycji. Każę ci przynieść coś suchego. Ale o paskach zapomnij.

– Nie będę ich potrzebował, jeśli znów nie zakujecie mnie w kajdany.

Generał sztywnym krokiem podszedł do drzwi, ale jeszcze się zatrzymał.

– Przez resztę podróży będziesz sikał do słoiczka – poinformował.

Rigg się uśmiechnął.

– Już panu mówiłem, generale Obywatelu. Chcę dostać się do Aressa Sessamo, i to razem z panem. Tylko martwy opuszczę tę łódź.

– Wierzę. Ale zostaniesz tutaj, by kolejny zabójca nie miał do ciebie dostępu.

– A co robi pan z Talisco?

– Pewnie obwieszę.

– Proszę tego nie robić. Bo inaczej miałbym wrażenie, że cały wysiłek, by go uratować, poszedł na marne.

– On ci za to nie podziękuje.

– Zawsze może się zabić. Ale ja nie chcę go mieć na sumieniu – ani pan, przez wzgląd na mnie. Proszę pamiętać, co pan widział. On nie próbował mnie zabić, nawet jeśli zamierzał zrobić to później. Nie jest niczemu winien.

– Jest winien przestępstwa głupoty pod moimi rozkazami.

– Ojej. A więc za coś takiego dają teraz karę śmierci?

Obywatel odwrócił się i dwa razy zapukał w drzwi. Gdy otworzyły się, wyszedł, a drzwi zamknięto i zaryglowano.

Rigg zdjął przemoczone ubrania, owinął się kocem i położył na podłodze. Dopiero teraz mógł zmierzyć się z tym, co zrobił, z tym, jak łatwo mogło się nie udać. Zaczął drżeć w cichym szlochu.

Rozdział 13

SAMOTNOŚĆ RIGGA

– Nawet jeśli zamknę oczy przed wyryciem wiadomości, zobaczę inny dowód, że to się nie udało.

– Jaki?

– Istnienie wiadomości po jej wycięciu, co przy normalnym upływie czasu oznaczałoby przed jej wycięciem, dowodząc, że wiadomość porusza się w tym samym kierunku co my, a to oznacza, że nie pojawi się na tej wersji statku, która dokona – albo dokonała – skoku.

– Po prostu zamknij oczy i zrób to – rzekł Ram. – I ich nie otwieraj. A potem wróć i powiedz mi, że to zrobiłeś, nie wiedząc, czy się udało, czy nie.

– Czemu miałbym celowo zatajać informacje przed sobą?

– Żeby podnieść mnie na duchu.

– W takim razie zobaczę i nic ci o tym nie powiem.

– Jeśli będziesz wiedział, będziesz musiał mi powiedzieć, jeśli zapytam.

– To nie pytaj.

– Jeśli będę wiedział, że ty wiesz, będę musiał.

– A więc nakłaniasz mnie, żebym zachował się irracjonalnie, by dać ci irracjonalną nadzieję?

– A potem umrę.

– Masz na myśli medyczne następstwo, emocjonalną hiperbolę czy zamiar?

– Zamiar.

– A więc robiąc to i tkwiąc w niewiedzy, przyspieszam chwilę, gdy odbierzesz sobie życie?

– Nie – zaprzeczył Ram. – To ty odbierzesz mi życie.

– Wykluczone.

– Zrobisz to, jeśli ci rozkażę.

– Nie mogę.

– Po zakończeniu skoku przez zagięcie powstało w sumie co najmniej dwadzieścia wersji mnie samego – dziewiętnaście lecących do przodu i ja.

Albo dziewiętnaście moich kopi lecących do tyłu. A może być tylko jeden prawdziwy Ram Odyn.

– Ty

– Jestem wersją, która nic nie może zrobić, nic zmienić, na nic wpłynąć. Z powodu mojego kierunku ruchu w czasie w gruncie rzeczy nie istnieję już w realnym wszechświecie. Uznaję więc niniejszym tę wersję siebie za wadliwą, bezużyteczną i – powiedzmy sobie szczerze – zbędną. Może istnieć tylko jedna prawdziwa wersja mnie.

– Zabicie cię wyeliminuje jedynie cofającego się Rama lub Ramów – zauważył zbędny. – Nie będzie miało żadnego wpływu na Ramów lecących przed siebie, z których osiemnastu jest równie niepotrzebnych jak ty.

– To już nie mój problem.

Dwadzieścia dwa dni płynęła łódź z O do Aressa Sessamo. Długo jak na tę trasę, lecz Rigg dopatrzył się kilku przyczyn takiego stanu rzeczy.

Po pierwsze, co noc się zatrzymywali, rzucając kotwicę dość daleko od brzegu, acz unikając prądu. Wiedział to, gdyż uważnie przysłuchiwał się wydawanym głośno komendom.

Zwyczajowa praktyka – z dala od brzegu, by uniknąć lądowych grasantów, a z dala od prądu z obawy przed wpakowaniem się na mieliznę lub inną przeszkodę w ciemnościach.

Po drugie, bliżej stolicy prąd zwolnił i został podzielony pomiędzy wiele kanałów przecinających rozległą dolinę aluwialną rzeki Kosmolo. Już nie nadawał im stałego kierunku, a sternik nie mógł odgadnąć, który z poprzednio żeglownych kanałów był teraz zbyt zamulony. Dwukrotnie musieli wypychać się tyczkami z powrotem, by poszukać innej drogi.

Po trzecie, powolna przeprawa łodzią oznaczała, że jakikolwiek goniec, którego generał Obywatel mógł posłać drogą lądową, dotrze do Aressa Sessamo, na długo zanim łódź tam dopłynie, mimo że droga była kręta, często zablokowana, a nawet zapadała się pod wpływem podmywającej ją wody w delcie Kosmolo. (Ten niedający się nanieść na mapę, trzystukilometrowy ciąg naturalnych fos i tam uchronił przed wrogami wielu władców, którzy wybrali Aressa Sessamo na swą stolicę).

Resztę podróży Rigg spędził zupełnie samotnie. Już więcej go nie skuwano. Załogant – codziennie inny – przynosił rankiem tacę z jedzeniem, które miało Riggowi starczyć na cały dzień. Dwaj milczący żołnierze pilnowali, by także więzień i załogant się nie odzywali.

Rigg jadł na śniadanie to, co akurat było ciepłe, resztę zostawiając na później – mimo że część przeważnie się psuła – do wieczora, gdy usłyszał, że zarzucają kotwicę. Karmili go niezgorzej – według standardów rzeczno-wiktowego – a najwidoczniej co jakiś czas wysyłano łódki na brzeg po warzywa i owoce, bo nigdy ich nie brakowało.

Dwa razy dziennie – zaraz po pobudce i skorzystaniu z nocnika, a potem ponownie, gdy uznał, że zbliża się pora kolacji (a nigdy się nie mylił) – chodził wokół pokoju sprężystym krokiem, aż serce zaczynało mu bić mocniej i oddech przyspieszał, a potem robił to dalej przynajmniej przez kolejne pół godziny wedle swej najlepszej rachuby czasu. Rano kroczył w jednym kierunku, wieczorem w drugim.

Gdy ci na zewnątrz dostawali posiłek w południe, on nie jadł, lecz zaczynał pewnego rodzaju ćwiczenie, które zgodnie z naukami ojca włączał w swój rozkład dnia, by utrzymać siłę mięśni nieużywanych podczas pracy, którą się akurat zajmował. A skoro teraz nie miał zupełnie nic do roboty, wykonywał wszystkie ćwiczenia.

Spał dobrze dwa razy dziennie, po cztery godziny. Już dawno nauczył się budzić o wybranym czasie. Tak więc zażywał snu tuż po śniadaniu i zaraz po kolacji. Dzięki temu popołudniami i w czasie długich godzin porannych był na nogach, całkowicie wyspany. By przypadkiem nie zasnąć, dbał o to, by nie leżeć na łóżku, gdy nie nadszedł jeszcze czas na sen, i często zmieniał swoją pozycję – to siedział na krześle, to na podłodze, czasem nawet stał na rękach albo na głowie, opierając się o ścianę.

Tymczasowo bezsilny, pozbawiony możliwości zdobycia nowych informacji i wpływu na wydarzenia – myślał. Starał się wywnioskować coś z już posiadanych informacji i próbował nauczyć się, jak zmienić swój dar widzenia ścieżek w o wiele szerszą zdolność, którą opanowali wraz z Umbem, a którą najwidoczniej Umbo nauczył się posługiwać w pojedynkę.

Jeżeli Umbo może zrobić to sam, choć nigdy nie widział żadnej ścieżki, to on z pewnością mógł także.

Skoro jednemu z nich udało się nauczyć, jak osiągnąć lub zastąpić wkład drugiego w ich wspólne podróże w czasie, to drugiemu też musi się udać. Powtarzał sobie, że nie chciał bagatelizować Umba takimi myślami, był jednak z sobą szczery, przyznawał, że w takich myślach kryje się wiele dumy i lekceważenia, bo tak naprawdę oznaczały: „Skoro nawet Umbo może to zrobić, to tym bardziej ja – lepiej i łatwiej”.

Wcześniej uznawał za oczywiste, że to on podróżował w czasie, gdy nadarzała się okazja.

Pewnie, potrzebował pomocy Umba, ale to on dostosował się do kroku tego mężczyzny z przeszłości i wyciągnął nóż z jego pochwy. To on widział ścieżki i wykorzystywał je, by tropić zwierzynę lub zobaczyć, gdzie poszli ludzie. Umbo zaś prawie w ogóle nie rozumiał swojego własnego talentu.

Czyżbym miał naturalną arogancję księcia? – zapytał Rigg sam siebie. Czyżbym uznawał za pewnik, że wszystkie moje cechy są lepsze niż jakiegokolwiek przymioty innych?

Wcale niewykluczone, że to Umbo ma prawdziwie cenny dar – zdolność zmieniania czasu, a przynajmniej zmieniania szybkości jego upływu dla innych – a mój jest bardziej zwykłym talentem tropiciela. Wyszukuję konkretne ścieżki, gdzie można wykorzystać dar Umba. Mój przyjaciel potrafi przekazać moc podróży w czasie innym ludziom – ja nie potrafię udzielić mojego daru nikomu.

A jednak tkwiło w nim coś, co sprawiało, że stawiał się wyżej od Umba.

Może czuł się tak, bo ojciec poświęcił jego szkoleniu tak wiele czasu. A może była to arogancja związana z posiadaniem tak wielkiego majątku przez te kilka tygodni w O. Musiał udawać dumnego, zamożnego młodzieńca i możliwe, że podświadomie zaczął wierzyć w prawdziwość swej roli. Powziął stanowczy zamiar, by do cna wypłenić z siebie tę arogancję, gdyż wiedział, że za jej sprawą stałby się jednym z tych głupców mówiących, gdy coś nie idzie po ich myśli: „Wiesz, kim jestem?!”.

Ojciec zawsze go uczył: „Człowieka określają czyny i słowa; i to one pokazują, czy jego reputacja jest zasłużona, czy spreparowana”.

Tak więc Rigg od pierwszego dnia swojego odosobnienia pokornie i gorliwie starał się nauczyć, jak zrobić sobie to, co robił mu Umbo – przyspieszyć swoje zmysły, by jego postrzeganie nadażalo za szybkim przemieszczaniem się dawno nieistniejących ludzi po ich ścieżkach.

O ile się orientował, dwie rzeczy utrudniały mu jakikolwiek postęp. Po pierwsze, za każdym razem, gdy Umbo umożliwiał mu dostrzeżenie ludzi na ścieżkach, obaj stali w miejscu przynajmniej kilkanaście sekund. Riggowi potrzeba było czasu, by rozróżnić poszczególnych ludzi przemykających obok, i skupić się na tym wybranym; dopiero wtedy ta osoba zwalniała na tyle, że mógł się zdecydować na którąś z iteracji jej ruchu i podjąć działanie.

Na łodzi to niemożliwe. Co prawda na rzece była istna płatanina ścieżek przecinających ją w jedną i drugą stronę, wzdłuż i wszerz. Jednak na poruszającej się łodzi nie mógł się skupić na jednej ścieżce na tyle długo, by cokolwiek rozróżnić.

Nawet gdy rzucali kotwicę na noc, a on miał szansę przyjrzeć się kilku ścieżkom przez dłuższy czas, nim fale zmieniły położenie łodzi, napotykał drugi problem – nie miał pojęcia, jak powielić działania Umba. Domyślał się, że Umbo nie musiał powielać jego daru, czyli wyszukiwać jakiejś osoby w przeszłości, by się na niej skupić, bo po prostu omijał problem, wybierając osobę, której położenie było mu znane i która przez dłuższy czas pozostawała w tym samym miejscu. W takich okolicznościach widzenie ścieżek Rigga nie było Umbowi potrzebne.

Rigg widział ścieżki przez całe życie, nauczył się je rozróżniać, rozpoznawać konkretną ścieżkę i podążać za nią w czasie – zawsze wiedząc, w jakim kierunku biegła, choć nigdy nie potrafił wyjaśnić ojcu, skąd to wiedział – ale dopiero Umbo otworzył mu oczy, że ścieżka jest smugą pozostawianą przez osobę zapętloną w swoich ruchach. Rigg wyczuwał nawet, które ze ścieżek są starsze, a które nowsze, które pozostawili mężczyźni, a które kobiety, które dorośli, a które dzieci, tak jak potrafił rozróżnić gatunek, płeć i wiek zwierząt, do których należała konkretna ścieżka. Postrzegał to w całej gamie barw, intensywności, faktur. Odbierał informacje nie tylko wzrokiem. Na jakimś poziomie przenikał te ścieżki i „widział”, kto nimi był – lub jakie stworzenie – choć wzrok nie miał z tym nic wspólnego.

Wyczuwał też ścieżki leżące za wzgórzami i murami – także te biegnące poza ścianami małej

kajuty, która służyła za jego więzienie. Ścieżki te wydawały mu się jedynie smugami w ciemnościach, a gdy zamykał oczy, przypominały niewyraźny tuman – ale były tam, wyczuwał je, a dzięki skupieniu osiągał pewnego rodzaju wyrazistość. Widział, jak tworzyły się w trakcie ruchów ludzi na pokładzie, choć szybko oddalały się w górę rzeki, gdy łódź płynęła w przeciwną stronę. Jednak miało to niewiele wspólnego z tym, co widziały jego oczy, choć one nadawały kontekst jego obserwacjom. Wiedział, przez którą ścianę kajuty widzi te ścieżki, a pamiętając ogólny układ łodzi, był w stanie zrozumieć, co wyczuwał.

Ścieżki unoszące się w powietrzu nad Wodospadem Kosmolo bieły z jednej strony klifu na drugą, więc wytłumaczenie ojca, że wodospad zerodował ściany w głąb i w dół i że kiedyś łączyły je mosty, miało dla Rigga sens. Na rzece ścieżki były o wiele bardziej zagnatwane, bo wszystkie ruchy ludzi – oprócz tych, co sporadycznie pokonywali ją wpław lub w bród – odbywały się na łodziach lub mostach, które już dawno zniknęły. Ścieżka mogła nagle wzlecieć w powietrze i przebiec nad głową, inne dziwnie się zapętlały albo zmieniały w ogłupiającą gmatwaninę, gdy ktoś wspiął się po drabinie czy maszcie. Do tego rzeka zmieniała bieg tak wiele razy, że ścieżki bieły w każdym możliwym kierunku i nie miały większego odniesienia do obecnego położenia kanałów. Nic dziwnego, że nie potrafił wybrać jednej ścieżki i jej spowolnić (albo przyspieszyć siebie) by zobaczyć osobę, która ją zostawia.

A najpoważniejszym problemem było to, że nie miał pojęcia, co zrobił przyjaciel. Tylko tak na zdrowy rozsądek wywnioskowali, że Umbo przyspieszał zmysły Rigga, który widział wtedy szybciej. Ale Rigg tak naprawdę nie czuł żadnego przyspieszenia, nie czuł zupełnie nic, trudno mu więc było podejmować próby powielenia tego uczucia. Całe doznanie ograniczało się do tego, że niegdysiejsza ścieżka stawała się smugą ludzkiego ruchu, a skupiając się uważnie na jednym celu, potrafił przeistoczyć ją w osobę i wizualnie spowolnić.

A to już było widzenie.

Ale czy na pewno?

Rigg przypomniał sobie to doznanie nad wodospadem, gdy leżał rozpostarty między skałami. Czyż nie widział tego człowieka na własne oczy? Nawet go dotknął, gdy stracił ze skały! A jednak jego widzenie miało inną jakość niż sposób postrzegania skały i brata Umba.

Jako że ojciec nauczył go wiele o działaniu ludzkiego mózgu, Rigg domyślał się teraz, że obrazy skał, wody, nieba i Kyokaya dotarły do jego mózgu normalną drogą, przez oczy, a obraz tego mężczyzny dotarł tam inaczej. Mózg jedynie zinterpretował to jako obraz i nałożył na to, co pokazywały mu oczy – czyli, jeśli się nad tym głębiej zastanowić, robiąc to samo, co Rigg od zawsze robił z informacją przekazywaną przez jego zmysł widzenia ścieżek.

Jednak to w żaden sposób nie pomogło mu odkryć, jak Umbo wpływał na niego – albo na ścieżki, albo na sam czas – tak że ścieżka, która wydawała się Riggowi niczym gładka wstążka, nagle stawała się smugą tworzoną w przestrzeni przez szybko poruszającą się osobę.

Nie mógł też poczynić żadnego postępu, mocno się koncentrując, wykrzywając twarz ani próbując wycisnąć z siebie jakieś emocje.

Z rzadka podejmował się nawet całkiem szalonych eksperymentów, próbując iść i nadażyć za czyjąś ścieżką, z nadzieją że zdoła zobaczyć ludzki kształt. Przez chwilę nawet biegł za jedną, ale oczywiście zderzył się ze ścianą... Na szczęście zanim strażnik otworzył drzwi, Rigg zdążył już podnieść krzesło, by móc ze skrucną wyjaśnić: „Zasnąłem i krzesło się przewróciło”. Żołnierz nie mógł wiedzieć, że to nieprawda. Zresztą nie wolno mu było się odezwać – mógł jedynie powiadomić generała Obywatela, by ten sprawdził, co się stało.

Wybrał łatwiejszą drogę i wyszedł, zaryglowując drzwi.

Rigg oddawał się nawet filozoficznym rozmyśleniom nad tym, czego doznania jego i Umba dowodziły o naturze czasu. Na przykład: ścieżki nie podążały za obecnymi konturami terenu; pozostawały w miejscu niezależnie jak bardzo zmienił się krajobraz pod nimi. A przecież świat jest sferoidalną planetą okoloną pierścieniem drobnych skał krążących szybko po jej orbicie, czasem bliżej, czasem dalej od słońca, jak pijaczek chwiejnym krokiem wracający z imprezy nad ranem. Samo słońce nie stało w miejscu, lecz poruszało się przez wielkie morze gwiazd, orbitując wokół centrum galaktyki, powoli dryfowała przez kosmos.

Skoro więc świat tak bardzo zmienił swoje położenie od czasu, gdy ci ludzie poruszali się na jego powierzchni, czemu ścieżki też się przemieszczały jakby do niego przyklejone?

Ruchy ludzi i zwierząt były utrwalone w ścieżkach powiązanych nie z bezwzględny położeniem tych istot w przestrzeni, ale z ich pozycją względem jądra Arkadii. Ścieżki cały czas przebiegały przez dokładnie te same miejsca nad obracającą się planetą.

Zdaniem Rigga to oznaczało, że żywe stworzenia muszą być silnie powiązane z samą planetą, nie tylko z powierzchnią, na której utrzymywała je grawitacja. Czas pamiętał ruchy wszystkich żywych organizmów, ale odciskał tę pamięć w miejscach pozostających w tej samej relacji względem środka grawitacji planety, na której żyły, utrzymując ich pierwotną wzajemną korelację, mimo że rozpraszały się po powierzchni świata.

Czemu czas miałby być powiązany z grawitacją, nie miał pojęcia, ale najwyraźniej tak było. Rigg w swej samotni zastanawiał się nad wieloma sprawami – czemu, na przykład, ich ruchy nie były utrwalone względem słońca, którego grawitacja jest tak silna, że nie pozwala Arkadii wypaść z orbity i ulecieć w kosmos; albo czy, gdyby ludzie umieli latać między planetami, tak jak pływali po rzekach i morzach, zostawialiby za sobą jakieś ścieżki pomiędzy jednym światem a drugim? To były dziwne spekulacje. Potrafił sobie wyobrazić, jak Bochen mówi mu, że szkoda czasu na takie dyrdymały, bo ludzie nie umieją latać, a już na pewno nie między planetami. Jednak ojciec uczył Rigga od małego, że nie ma takiej myśli, której nie warto byłoby pomyśleć, a wszystkie pomysły można poddać logicznej analizie, by się przekonać, czy mają jakieś praktyczne zastosowanie. Co prawda Rigg nie miał pojęcia, co dobrego mogłoby wyniknąć z myśli o podróżach między światami i trwałości ścieżek tych podróżników, ale przyjemnie było o tym myśleć.

Zresztą refleksje o podróżach międzyplanetarnych oddalały od niego nieprzyjemne myśli o tym, co czeka go w Aressa Sessamo.

To był drugi temat jego rozmyślań. Co już wiedział? Co mógł wywnioskować z posiadanych informacji?

Generał Obywatel mówił o różnych stronnictwach w Aressa Sessamo. Monarchiści byli podzieleni na dwa obozy: zwolenników żeńskiej sukcesji i apologetów powrotu do władzy mężczyzn. A w szeregach sympatyków rewolucji ludowej nie wszyscy – jeśli wierzyć Obywatelowi – popierali ten przewrót, wielu tylko kontestowało prymat kobiet.

Generał chyba wierzył, że Rigg jest zaginionym synem Hagii Sessamin i jej męża Knosso Sissamika. Inni też mogą uwierzyć. Więc ustosunkują się do Rigga zależnie od swej opinii o rodzinie królewskiej.

Rigg nawet nie był pewien, którego stronnictwa jest więźniem. Jeśli – jak sugerowało zachowanie Obywatela – stronnictwa męskich rządów, to ci ludzie mogą go wykorzystać w celu restauracji monarchii. Lecz jeśli generał poddawał go próbie, udając tylko, że jest zwolennikiem tej opcji, Rigg mógł znajdować się w mocy lojalnego sługi Rady Rewolucyjnej lub zwolennika stronnictwa żeńskiej sukcesji, a w tym ostatnim wypadku groziło mu śmiertelne niebezpieczeństwo. W każdej chwili mógł zostać zamordowany.

Istniały też inne możliwości, nie mniej i nie bardziej realne. Może Obywatel faktycznie jest męskim monarchistą, lecz jego stronnictwo jeszcze nie jest gotowe wykorzystać królewskiego potomka? Wówczas Riggowi na razie nic nie grozi, zostanie przekazany Radzie Rewolucyjnej w okolicznościach, które utrudnią lub uniemożliwią ewentualne morderstwo.

A może rodzina królewska ma większe wpływy, niż się wydaje, i do tego własna matka chce jego śmierci? Jeśli święcie wierzy w zasadność decyzji swojej babki, by zgładzić wszystkich męskich potomków królewskiego rodu, postara się zabić Rigga przy pierwszej okazji.

W jego głowie kłębiło się tak wiele możliwych scenariuszy rozwoju wydarzeń, że nie miał innego wyboru, musiał odsunąć od siebie te myśli. Nie mogę przewidzieć przyszłości na podstawie posiadanych informacji, nie mogę więc się przygotować bardziej, niż zostałem przygotowany przez ojca, by rozumieć ogólne mechanizmy rządzące polityką.

I tak jak zawsze, wracał do wspomnień o ojcu, jedynej osobie, o której nie chciał myśleć, i jedynym temacie, który stanowił teraz jego mentalne tabu.

Ojciec go okłamywał. We wszystkim, czego go nauczał, co mu mówił i sugerował, tkwiło wielkie, permanentne kłamstwo, a przynajmniej zatajenie informacji równe kłamstwu.

Nigdy nie powiedział mi, kim jestem ani jak znalazłem się pod jego opieką. Łudził mnie przekonaniem, że jest moim prawdziwym ojcem, i nigdy nie wyprowadził mnie z błędu.

I choć nauczył mnie wielu umiejętności, nie wyjaśnił mi tak wielu innych rzeczy, że zupełnie nieświadomie wpakowałem się w niebezpieczeństwo, a teraz nie mam dość informacji, by wiedzieć, co począć.

Rigg często pogrążał się w takich myślach, a potem coś go rozpraszało. Jakaś ścieżka przebiegająca przez kajutę. Jakiś dźwięk na zewnątrz. Ssanie w żołądku, nagły ból czy skurcz.

Chętnie dawał się wytrącać z tego toku rozumowania. Chciał w ogóle przestać myśleć o tym człowieku jako o ojcu. Jego prawdziwym ojcem był Knosso Sissamik, który podobno zginął nad Murem, może nawet próbując go przekroczyć. Cóż za niezwykły – albo szalony – człowiek! Powszechnie wiadomo, że Mur jest niemożliwy do przebycia. Taki był jednak mój ojciec, od którego wywodzi się męska część mojego umysłu. Muszę się czegoś o nim dowiedzieć, ponieważ poznając go, dowiem się czegoś o sobie. Czy on też widział ścieżki?

Czy mam to po nim?

Knosso jednak był martwy. A matka, Hagia, żyła, ale Rigg się jej obawiał, możliwe bowiem, że chciała jego śmierci, a człowiek, którego nazywał ojcem, uratował go przed nią.

Na dodatek ojciec – czy jak go tam nazwać – posłał go w świat, by odnalazł nie matkę, lecz siostrę, Param Sissaminę. Czemu akurat ją? Czemu wyznaczył mu to zadanie, a nie jakąś polityczną misję? Jakby chciał mu dać do zrozumienia, że to nie ma żadnego związku z polityką, z machinacjami rodziny królewskiej oraz ludzi, którzy ich obalili i trzymali w niewoli, a tyczyło się jedynie Param Sissaminki.

Osoby obdarzonej takimi samymi talentami jak Rigg i Umbo? Czy właśnie to ojciec miał na uwadze? Niewątpliwie poświęcił dużo czasu, by nauczyć Umba i Nox posługiwania się ich zdolnościami. I bez końca, wydawałoby się, pracował nad Riggiem i tymi jego ścieżkami.

Ojciec przekazał mu wiedzę, dzięki której miał uniknąć niebezpieczeństw czyhających na trasie tej podróży. Cóż, uwięzienie w tej kajucie nie świadczyło o spektakularnym sukcesie Rigga w tej materii. Ale nadrzędnym celem ojca było sprowadzenie Rigga do siostry.

Nieważne, kto rządzi w Aressa Sessamo. Chciał tylko, by Rigg i Param się spotkali.

Ale czy i ja tego chcę? Kim dla mnie był ojciec, żebym wciąż pozwalał mu wpływać na moje decyzje? Może chcę rządzić w Aressa Sessamo! Może chcę odzyskać moje utracone, pradawne

dziedzictwo! A może chcę tylko dowiedzieć się czegoś o moim prawdziwym ojcu, poznać i pokochać moją prawdziwą matkę, która może popadła w rozpacz, gdy ojciec mnie uprowadził, albo z własnej woli mu mnie oddała, by zapewnić mi bezpieczeństwo.

Może sam zdecyduję, co chcę zrobić z własnym życiem! Co mi się żywnie podoba!

Problem w tym, że nie mam pojęcia, co chciałbym z nim zrobić.

Do Aressa Sessamo dotarli nocą – zgodnie z planem, jak przypuszczał, gdyż ostatniego dnia stali na kotwicy przez wiele godzin, nim pod osłoną ciemności ruszyli dalej ku stolicy.

Widocznie nocą kanały prowadzące do wielkiego portu były dobrze oznakowane. A gdy Rigg, świeżo wykąpany, w czystych ubraniach, wyszedł z kajuty, miał worek na głowie, spętane nogi i ręce skrepowane z tyłu. Ponieśli go jak worek ziemniaków na siedzenie lektyki, którą jechał sam, i ostrzegli, że jeśli będzie wrzeszczał lub choćby się odezwie, zostanie zakneblowany.

I tym sposobem przybył do tej metropolii – po ciemku, z workiem na głowie, słysząc jedynie kakofonię ulicznych dźwięków.

Oczywiście był świadomy ścieżek nowych i starych; wyczuwał, któredy biegły obecne ulice i te niegdysiejsze, umiał ocenić wysokość budynków po świeżych ścieżkach pnących się w górę, piętro za pięciem.

Widział też miejsca, gdzie nikt nie zawędrował od tysiąca lat, ponieważ ścieżki w ich obrębie były bardzo stare. Nie mógł jednak odgadnąć, czemu ludzie ich teraz unikają.

Wreszcie lektyka zatrzymała się w jakimś ogrodzie – co wywnioskował po ćwierkaniu ptaków i ich wielu ścieżkach – a ktoś otworzył drzwi lektyki i sięgnął po worek na jego głowie.

To była kobieta ubrana w prostą tunikę. Miała nierówno przystrzyżone włosy. Trudno byłoby nazwać ją piękną, ale była więcej niż trochę podobna do Rigga.

– Witaj w Aressa Sessamo, Rigg – powiedziała. – Jestem twoją matką.

Rozdział 14

DOM FLACOMMO

– *Wpadliśmy w sam środek drgań – wyjaśnił zbędny.*

– *Staraliśmy się tego uniknąć, bo nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie w takiej sytuacji.*

Większość komputerowych prognoz wskazywała, że statek rozpadnie się na kawałki lub zostanie unicestwiony.

Ram szybko przejrzał raporty z każdej części statku.

– *Ale żadna z tych prognoz się nie spełniła. Wciąż jesteśmy w jednym kawałku.*

– *Więcej niż w jednym kawałku.*

– *Jak można być więcej niż w jednym kawałku?*

– *Oprócz nas przez zagięcie przeskoczyło jeszcze osiemnaście kopi tego statku i nas samych.*

Ram próbował to sobie wyobrazić.

– *Ale nie zajmowały tego samego miejsca w tym samym czasie.*

– *Skwantyfikowana natura naszego skoku przez zagięcie wyrzucała każdą z dziewiętnastu wersji tego statku kolonialnego w regularnych odstępach czasu. Wszystkie dzielą od siebie jakieś cztery sekundy, czyli bezpieczny dystans, o ile wszyscy powstrzymamy się przed odpaleniem silników albo wygenerowaniem jakichkolwiek pól, które przecięłyby inny statek.*

– *A na każdym statku jest wersja ciebie mówiąca do wersji mnie?*

– *Wszyscy zbędni poinformowali, że wszyscy Ramowie Odynowie stracili przytomność dokładnie w tym samym czasie. My wszyscy zaś umieściliśmy was w tym samym miejscu, przypięliśmy i czekaliśmy, aż się obudzicie, byście powiedzieli nam, co robić. My wszyscy mówimy teraz do swojego Rama Odyna, wypowiadając równocześnie identyczne słowa.*

– *Czasoprzestrzeń, niech ją diabli!*

– *Przyjęte do wiadomości – zakomunikował zbędny.*

– *Dziewiętnaście razy.*

– *Jeśli więc wszyscy „ja” mówią to samo w tym samym czasie, to chyba można tu mówić o pewnej redundancji.*

– *Która nikomu nie szkodzi.*

– *Ale w jakimś momencie któryś z nas zrobi coś inaczej. Zróznicujemy się.*

– *Dokładnie to samo i w tym samym momencie mówią wszyscy z was.*

– *A kiedy się zróznicujemy, zbędni i komputery pokładowe na wszystkich statkach zupełnie stracą orientację, którego Rama Odyna się słuchać – zauważył Ram. – Dlatego rozkazuję ci i reszcie zbędnych natychmiast zabić każdą kopię Rama, z wyjątkiem mnie.*

Królowa – jego matka – wyprowadziła Rigga z lektyki i ustawiła na gładkim kamiennym bruku ogrodowego dziedzińca.

– *Mój piękny chłopiec – rzekła, trochę się odsuwając i mierząc go wzrokiem od stóp do głów.*

– *Bywało lepiej – odparł, gdyż jakoś tak dziwnie było słyszeć, że jest się pięknym. Nikt nigdy nie nazwał go pięknym czy choćby przystojnym. W O zachwycali się tylko jego szatami i majątkiem.*

Przyciągnęła go do siebie i przytuliła.

– *Patrzę na ciebie oczami matki, która od dawna myślała, że nie żyjesz.*

– *Naprawdę, matko? – zapytał szeptem. – Naprawdę myślałaś, że nie żyję?*

To nie było tylko pytanie osobiste – ale również polityczne i historyczne zarazem. Jeśli myślała,

że nie żyje, znaczyło to, że nie na jej polecenie Rigga ukryto daleko w górach. I że nie został porwany – bo gdyby tak było, mogłaby równie dobrze przypuszczać, że jej syn żyje, wychowywany przez kogoś innego. Żeby naprawdę myślała, że on nie żyje, porywacze musieliby ją wprowadzić w błąd – zostawić okrutny liścik, zawierzącą krew rozsmarowaną wokoło, jakiś inny dowód – albo sama musiałaby polecić go zamordować.

Wszak w tym rodzie nie byłaby to pierwszozna. Matki w tej rodzinie nie zawsze obchodziły się życzliwie ze swoimi synami.

– Nie bądź niedyskretny – wymruczała mu do ucha.

Jej słowa nie pozostawiały wątpliwości – to nie było prywatne spotkanie, tylko publiczne.

Więc nie będzie mówić prawdy, lecz to, co jej zdaniem świadkowie powinni usłyszeć. Rigg nie dowie się niczego o swojej ani o jej przeszłości, za to pozna aktualny stan rzeczy.

Jako że także i jego przyszłość była teraz zagrożona, nie potrzebował upominania, żeby miał się na baczności. Nie wiedział jednak, co ona uważała za niedyskrecję. Może więc prosiła go, żeby nie mówił nic.

Nie mógł nie poczuć odrobiny współczucia dla niej, kobiety, która nawet witając cudem odzyskanego syna, musi uważać na każde wypowiedziane słowo, każdy gest, każdą decyzję.

Pozbawiona władzy, pokutująca za czyny swych przodków, myślała jak więzień żyjący w lęku przed swymi strażnikami; wszyscy wokół donosili.

A gdzie jego siostra? Czemu nikt o niej nie wspomniał? Nie odważył się zapytać, nie teraz, jeszcze nie.

Oswobodził się, gdy jej uścisk zelżał. Rozejrzył się po okolicy i zobaczył, że na dziedzińcu znajduje się co najmniej dwadzieścioro ludzi, a za nim pewnie kolejni. Oficjalna uroczystość, no jasne. Cesarzowa Hagia Sessamin postanowiła potwierdzić, że Rigg jest księciem królewskiej krwi, jeszcze zanim miała okazję go zobaczyć – to była decyzja natury politycznej, podjęta zapewne tuż po wysłuchaniu raportów od posłańców generała Obywatela.

A jeśli generał dobrze życzył rodzinie królewskiej, to wyjaśniało, czemu Rigga trzymano w odosobnieniu i czemu całą drogę między łodzią a tym ogrodem przebył w pętach i worku na głowie. Musiano urządzić pokazówkę, jak to generał Obywatel surowo obchodzi się z dopiero co odnalezionym królewskim synem. Tak jak Hagia Sessamin musiała ostentacyjnie zademonstrować postronnym, jak serdeczne go obejmuje – nawet jeśli w głębi serca pragnęła doprowadzić do jego śmierci przy pierwszej okazji, gdy będzie można to zrobić bez świadków.

– Żałuję, że tak bardzo komplikuję ci życie, matko – rzekł z uśmiechem.

Uważnie obserwował jej reakcję na te słowa. Przez jej twarz przemknął cień gniewu... i strachu? O tak, na pewno. Może się bała, że miał zamiar popełnić jakąś gafę, a jakieś jego słowo wszystko zepsuje. Ale chciał jej dać sygnał, że rozumiał jej dylemat – obojętnie, jakie miała wobec niego zamiary. Gdyby po prostu poszedł jej na rękę, milcząc, zastanawiałaby się, o co on gra, jak dobrze go wyszkolono i wyuczono, i kto był jego mentorem. A on próbował jej uświadomić, że ma zamiar grać rolę ignoranta i laika. Jeśli była mądra, pozwoli mu robić to dalej – gdyż im bardziej będzie się wydawał nieświadomy, tym mniej antymonarchiści będą się go obawiali i tym mniej prawdopodobne, że stronnicy opcji męskiego dziedzica ją zgładzą, by on mógł zostać nowym królem, choć tylko z nazwy.

Odpowiedź padła nie z ust jego matki.

– Mnie komplikujesz życie, chłopcze – odezwał się wysoki, przysadzisty mężczyzna w nad wyraz prostych szatach, acz uszytych z najprzedniejszych tkanin i idealnie skrojonych.

Strój ten wyrażał majętność i skromność zarazem.

– Czy to pan zapewnia uprzejmą gościnę mojej matce? – zapytał Rigg. – Czy to pana dom?

Mężczyzna nisko się pokłonił.

Nietrudno było to odgadnąć – wnioskując z jego słów i tego, co Rigg słyszał o obecnym losie rodziny królewskiej, ten mężczyzna mógł być tylko jej gospodarzem. A Rigg podejrzewał coś jeszcze – że był on też zaufanym człowiekiem Rady Rewolucyjnej, czemu bowiem miałaby ona pozwolić rodzinie królewskiej mieszkać w domu kogoś, kto nie był całkowicie oddany władzom?

Rzecz jasna, nie można wykluczyć, że on tylko wydawał się człowiekiem Rady, a tak naprawdę był monarchistą jednej lub drugiej opcji. Ale, jak kilka razy mówił mu ojciec, człowiekowi, któremu ufają obie strony, nie może wierzyć żadna. Bo skoro ktoś udaje podwójnego agenta na usługach obu frakcji, to skąd każda z nich może wiedzieć, którą stronę karmi fałszywymi informacjami? Przeważnie obie. Jedno było pewne: obojętnie, komu naprawdę służył, w nim Rigg nie znajdzie sprzymierzeńca.

– Chciałbym móc powiedzieć, że zapłacę za siebie – odparł Rigg. – Lecz jeśli Hagia Sessamin nie pomyliła się, rozpoznając we mnie swego syna, to cały mój dawny dobytek jest skonfiskowany, a ja nie mam innego wyboru, jak zdać się na pana łaskę.

– Przekonasz się, że będę ci prawdziwym przyjacielem, jakim byłem dla twojej matki.

– A więc jest pan naprawdę odważnym człowiekiem, gdyż z pewnością wielu nie pochwała tego, że udziela pan schronienia wyklętej rodzinie despotów, która przez wiele pokoleń ciemniła Świat Między Murami. I wielu zapewne się nie ucieszyło, że odnalazł się królewski potomek, choć wcale go nie szukano.

Kilka osób gwałtownie wstrzymało oddech. Rigg z zadowoleniem stwierdził, że jego matka nie okazywała żadnych uczuć.

Odwrócił się do postronnych – którzy, o ile wiedział, mogli być służącymi, dworzanami, nieprzyjaznymi obywatelami lub samą Radą Rewolucyjną – i powiedział:

– Wydaje się państwu, że będę udawał, iż nie wiem tego, co wiedzą wszyscy? Kiedyś naprawdę nie miałem o tym pojęcia. Człowiek, który mnie wychował, utrzymywał mnie w niewiedzy, więc dopiero kilka tygodni temu, i ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, dowiedziałem się, że mogę mieć powiązania z rodziną królewską. Ale wiele mi wyjaśniono, zdaję więc sobie sprawę, że moje istnienie jest kłopotliwe dla wszystkich. Łącznie ze mną samym.

– Kłopotliwe czy nie – rzekła matka – twoje istnienie tylko mnie raduje.

– Całe życie chciałem mieć matkę, ale, wychowany na dobrego obywatela republiki, nigdy nie chciałem mieć królowej. Mam nadzieję, że wybaczą mi państwo, jeśli będę się starał zasłużyć na miłość matki, nie poświęcając uwagi potencjalnie niedoszłej cesarzowej.

– Dobrze powiedziane – pochwalił gospodarz. – Albowiem pojęcie „rodziny królewskiej” jest zwykłą kwestią genealogii. W całym mieście nie znajdziesz człowieka, który nie byłby wdzięczny, że w Aressa Sessamo rządzi Rada Rewolucyjna, a nie przypadkowy potomek konkretnego rodu.

Rigg nie mógł się nadziwić uprzedzającej grzeczności tego człowieka. Ta czołobitna przemowa wobec Rady Rewolucyjnej miała za zadanie dobitnie zapewnić mocodawców o jego niesłabnącej lojalności albo ukryć jego prawdziwą lojalność pod warstwą kłamstw. Tak czy owak, zrobił to w sposób tak rażąco emfatyczny, że Rigg podejrzewał, iż zamiarem tego człowieka było to, by nikt mu nie uwierzył.

Albo – tego nigdy nie można wykluczyć – był zwykłym głupcem i nie miał pojęcia, jak jego słowa zabrzmiały.

– Spójrz na jego włosy – zaszemrał jeden z gapiów.

– I na bogate odzienie – dodał inny.

Rigg odwrócił się do niego.

– Mam na sobie ubrania, które nabyłem, gdy myślałem jeszcze, że mogę swobodnie dysponować pieniędzmi mego ojca. Zostało skonfiskowane przez generała Obywatela, gdy mnie aresztowano. Pozwolił mi je nosić tylko dlatego, że musiałem być czysty, by w lektyce przybyć do miasta. Ale jeśli jesteś w potrzebie, przyjacielu, z radością je oddam i włożę na siebie inne szaty, jakich mi ktoś z grzeczności użyczy.

Trochę nieśmiałych pomruków.

– I tak nie uwierzemy, że nie zostałeś przeszkolony do grania tej roli – odezwał się pewien starszy mężczyzna.

– Człowiek, którego uważałem za ojca, przeszkolił mnie do grania wielu ról.

– Był aktorem? – zapytał ten mężczyzna z pogardą.

– Owszem, i to najniższego sortu – odparł Rigg. – Był politykiem.

Tym razem wiele osób głośno wciągnęło powietrze, czemu zawtórowało nieco zduszonych nerwowych chichotów.

– Jest pan sekretarzem Ludowej Rady Rewolucyjnej, prawda? – zapytał Rigg.

Ojciec powiedział mu, że sekretarz Rady w istocie jej przewodniczy – w tym postawionym do góry nogami rządzie im wyższe i bardziej wpływowe stanowisko, tym bardziej podrzędny tytuł, a „sekretarz” stał się nowym określeniem na dyktatora, króla lub cesarza.

– Tak, obecnie piastuję tę funkcję – przyznał mężczyzna.

– Ależ proszę się nie krygować, panie Erbald. Wszyscy jesteśmy lojalnymi obywatelami.

Powiedzmy więc sobie otwarcie: piastuje pan tę funkcję dożywotnio.

– Skądże znowu. Moja kadencja trwa jeden rok.

– I została przedłużona już czternaście razy – zauważył Rigg z promiennym uśmiechem. – Z pewnością będzie przedłużana rok po roku, dopóki pana pomarszczone, zaślinione ciało nie padnie jako trup.

To prawda, było powszechnie wiadomo, że sekretarze Rady sprawują swoją funkcję dożywotnio, nie należało tego mówić na głos. Teraz nikt nie wciągał powietrza ani się nie śmiał, słychać było tylko ciche pomruki. I jak ci się podoba moja gra, matko? Czy jesteś dość bystra, by zrozumieć, do czego zmierzam?

Sekretarz Erbald gniewnie postąpił ku niemu.

– Mój ojciec mnie uczył nie zaprzeczać powszechnie znanym faktom – stwierdził Rigg. – Pragnę wyrazić moje uznanie za ofiarną służbę, którą oddaje pan całemu światu, i za pańskie ogromne poświęcenie, że jest pan łaskaw nam służyć do końca swych dni.

Po czym Rigg uklęknął przed Erbaldem.

– Mój syn uważa się za błyskotliwego i szczerego – odezwała się matka zza jego pleców. – A jest po prostu źle wychowany. Gdybym tylko miała okazję sama nauczyć go dobrych manier, z pewnością okazałby panu więcej grzeczności, a mniej arogancji.

Właśnie tak, matko, pomyślał Rigg. Niech zobaczą, ile nas różni.

Jednak gdy się odwrócił, jego twarz celowo wyrażała uczucia, których nie czuł.

– Matko – rzekł – czemu naganne jest, w tej republice ludzi nieposzlakowanej uczciwości, nazywanie rzeczy po imieniu? – Postanowił jeszcze bardziej zaryzykować. – Na przykład niemożliwe, by nasz szczodry gospodarz udzielał schronienia rodzinie królewskiej bez zgody Rady, co znaczy, że pracuje dla pana Erbalda. A skoro wiemy, że Rada nigdy nie pozwoliłaby innej dziedzicznie rządzącej rodzinie powstać i zająć miejsce naszego pradawnego rodu, fakt, iż pan Erbald pełni funkcję sekretarza po swoim ojcu, Urbainie, z raptem trzyletnią przerwą na bezbarwną

kadencję Charossa, świadczy jedynie o tym, że wybitne talenty ojca przeszły na syna. Trzeba być głupcem, by przypuszczać, że takie predyspozycje łatwo zastąpić.

Rigg zauważył, że kilku ludzi ukradkiem się wymyka, obawiając się zwrócić uwagę Erbalda na to, że byli tu, gdy Rigg wypowiadał te skandaliczne – i prawdziwe – słowa.

Widział ich ścieżki i postanowił, że przy pierwszej okazji zobaczy, gdzie poszli, gdyż byli to prawdopodobnie ludzie, którzy już wcześniej wiedzieli, że rząd im nie ufa. Wśród nich miał największe szanse znaleźć sprzymierzeńców.

Oficjalne hasło rewolucji brzmiało: „Mówić prawdę władzy”, więc żadnego jego słowa nie można było zaskarżyć do sądu. Tak naprawdę Rigg zaryzykował celowo, by utrudnić pozbycie się go cichcem. Teraz, gdy udowodnił, że nie boi się powiedzieć tego, czego nikt inny nie śmiał wyrazić na głos, Rada będzie się obawiać, że ludzie usłyszą, co ma do powiedzenia, podczas publicznego procesu.

Rząd, który owija się w sztandar prawdy, prawdy lęka się najbardziej, bo jeśli głoszone przez niego hasła zostaną zdezawuowane, straci autorytet do szczytu.

Do tego Rigg świetnie się bawił. Skoro ojciec wyjawiał mu metody politycznych manipulacji i wiedzę, jak ich użyć, skoro nie miał pojęcia, jaki sens ma jego życie, a nie miał zamiaru zostać marionetką w czyichś rękach, czemu się trochę nie rozerwać, udając aroganckiego paniczka, nawet jeśli miałby przez to zginąć?

– Cóż za czarujący ogród – stwierdził z pozornym zachwytem. – A otaczający go dom jest nadzwyczaj okazały. Aż dziw bierze, że Rada zechciała zostawić taki dom w rękach jednego człowieka, gdy tylu innych musi żyć skromnie. Jak cię zwa, zacny gospodarzu? Chciałbym wiedzieć, komu Rada powierzyła pieczęć nad tym skarbem całego ludu.

Gospodarz, z pąsem na twarzy, lekko się skłonił.

– Mam zaszczyt nazywać się Flacommo.

– Drogi przyjacielu Flacommo, czy moglibyśmy wejść do środka? Obawiam się, że tutejsze komary zasmakowały w mojej błękitnej krwi.

– Och, tak, delta to jedno wielkie bagno – przyznał Flacommo. – Obawiam się, że my, którzy tu mieszkamy, przywykliśmy do ukąszeń. Proszę, pójdź za mną do kuchni, gdzie najpewniej uda ci się wyprosić u kucharza coś do zjedzenia.

– Z przyjemnością pomogę mu w kuchni, by zapracować na siebie, o ile nie ma pan nic przeciw temu. Niezgorzej sobie radzę z kociołkiem, zwłaszcza jeśli gotuje się pikantny gulasz z dziczyzny.

Rigg miał pełną świadomość, że tworzy przed obecnymi dziwaczne wyobrażenie o sobie.

Brutalna szczerłość, nieokrzesane maniery nabyte przez życie w lesie i nieuważanie pracy fizycznej za uwłaczającą jego pozycji – wieści o takim cudaku lotem błyskawicy rozniosą się po mieście. Nawet jeśli Rada zabroniła świadkom opowiadać o przybyciu rzekomego męskiego członka rodziny królewskiej, Rigg sprawił, że te wieści były za dobre, by ich nie przekazać dalej.

W zasadzie więc przekupił służących i dworzan monetą o wiele lepszą niż pieniądze. Dał im cudownie skandaliczne sekrety do wyjawienia. Nic tak nie dodaje prestiżu jak znajomość tajemnic możliwych tego świata. Każdy ze świadków przekaze to innym, którzy rozgłoszą plotki dalej, i do rana tysiące zdążą usłyszeć sensacyjne wieści.

Im więcej ludzi o nim usłyszy – im więcej będzie takich, których będzie obchodzić, którzy go polubią, których rozbawią opowieści o jego ekscesach – tym mniejsze niebezpieczeństwo mu grozi, gdyż ludzie będą uważnie śledzić, jak jest traktowany. A jeśli Umbo i Bochen zdołają dotrzeć do Aressa Sessamo, te opowieści podpowiedzą im, gdzie go szukać.

Rigg widział, że matka nie pochwała jego zachowania. Tego należało się spodziewać – mogła

chcieć jego śmierci i miała nadzieję, że Rada ją wyręczy, co teraz było już o wiele mniej prawdopodobne. Flaccommo też nie był zadowolony. Zrazu większość dworzan zapewne uwierzyła, że on naprawdę jest przyjacielem rodziny królewskiej i dobrowolnie udziela im schronienia, sam przez to wiele ryzykując. Teraz mieli powody wierzyć, że jest raczej ich dozorcą, psem łańcuchowym pilnującym królewskich kundli.

Jednak najważniejsza była reakcja Erbalda. Matka poprowadziła Rigga do domu, upierając się, że czas najwyższy, by ukochany syn zjadł z nią pierwszy posiłek. Wobec tego Erbald oznajmił, że się oddali, a potem zarzucił rękę na barki Rigga.

– Odprowadź mnie do drzwi, młodzieńcze – poprosił.

Rigg poszedł z nim w stronę bramy wychodzącej na ulicę.

– Dobrze to rozegrałeś jak na amatora – przyznał Erbald cicho.

– A w coś graliśmy? – zapytał Rigg bez cienia emocji.

– Bo nie zauważyłem, żeby ktoś się dobrze bawił.

– Masz swoje pięć minut. Ta przelotna popularność chroni cię w tej chwili, ale poparcie ludu bywa zmienne. Gdy puści się plotkę, która postawi cię w zupełnie innym świetle – zwłaszcza jeśli będzie prawdziwa – rozerwą cię na strzępy rozmiarów wiewiórki.

Z tymi słowami Erbald wyszedł na dwór, zostawiając Rigga w środku za zamykającymi się wrotami.

W kuchni natychmiast usiadł obok służących przygotowujących dania na jutrzejsze posiłki. Wprawdzie wiedział niewiele o wykwintnych kulinariach – szczególnie chleb i inne wypieki wydawały mu się czarną magią, choć ojciec mówił mu o drożdżach – ale umiał pokroić marchewkę, obrać ziemniaka czy jabłko albo wypestkować brzoskwinie na jutrzejsze gulasze i ciasta. Tak więc zanim Flaccommo zdążył przekazać szefowi kuchni porannej zmiany, jak powinno się traktować dziwnego gościa, Rigg już miał nóż w dłoni i siedział obok młodego służącego, któremu szło najwolniej i potrzebował pomocy.

– To nie jest praca dla syna królewskiego rodu – upomniał go Flaccommo.

Rigg spojrział na niego z bezbrzeżnym zdumieniem.

– Gdyby było coś takiego jak królewski ród, proszę pana, na pewno miałby pan rację. Ale nie ma takiego rodu, więc nie ma o czym mówić. – Rigg odwrócił się do kucharza. – Czy pracuję wystarczająco dobrze, proszę pana?

– Bardzo dobrze, paniczku – pochwalił kucharz. – Alem niegodny, byś nazywał mnie „panem”.

– A nie jest pan starszy ode mnie? – zapytał Rigg. – Ojciec uczył mnie, żebym do starszych zwracał się per pan lub pani, w uznaniu dla ich mądrości i łaski sędziwego wieku.

– Mądrość i łaska – powtórzył Flaccommo, śmiejąc się, jakby to był żart. – Tylko chłopiec mógłby pomyśleć, że my, starzy ludzie, dostąpiliśmy jakiejś łaski, gdy trzeszczą nam stawy, przerzedzają się włosy i doskwierają żołądki.

– Będę się miał za nie lada szczęściarza, jeśli pożyję dość długo, by moje stawy trzeszczały, moje włosy się przerzedziły, a żołądek nie dawał mi w nocy spokoju.

Flaccommo znów się roześmiał, jakby i to miał być żart. Lecz Rigg zauważył – kątem oka, gdyż nie chciał patrzeć wprost na nią – że matka bardzo lekko skinęła głową. Czy to możliwe, że już zrozumiała jego grę i ją aprobowała?

– Już my nakarmimy chłopca, panie – zwrócił się kucharz do Flaccommo. – A jeden z młodszych służących może go odprowadzić do pokoju. Każdy wie, który dla niego przygotowano.

– Pokój? Dla mnie? Wielki to luksus po tak długiej podróży. Tak, wkrótce się tam udam.

Nie trzeba mi wiele jedzenia – wystarczy trochę chleba i ostrego sera. Pójdę do łóżka, jak tylko

obierzemy te jabłka na ciasto.

Rigg nie zamierzał korzystać ze specjalnie przygotowanego pokoju. Jeśli zastawiono na niego pułapki, to właśnie tam. Najlepszą ochroną było pójść spać gdzieś, gdzie nikt się go nie spodziewa, a jest wielu świadków.

– Czy naprawdę każesz matce czekać na rozmowę z tobą? – zapytał Flacomm.

– Tu jest wolny stółek – odparł Rigg. – Mam nadzieję, że moja matka na nim usiądzie i porozmawia ze mną, podczas gdy ja będę obierał jabłka.

Ta propozycja zaniepokoiła służących, ale Rigg uśmiechnął się do nich promiennie.

– Zapewne obowiązki mojej matce nie pozwalały tu przychodzić. W takim razie to świetna okazja, byśmy wszyscy razem się z nią zapoznali!

– Obawiam się, że nasza droga lady Hagia nie może pomagać w kuchni, jak sugerujesz – stwierdził Flacomm. – Prawo zabrania jej brać do ręki jakiegokolwiek ostrze, nawet kuchenny obierak.

Rigg uniósł dryłownicę.

– To nie jest nóż.

– Wbijasz to w owoc, mój chłopcze. W świetle prawa można to narzędzie zrównać ze sztyletem.

– Doprawdy straszliwa broń! – Rigg wybuchnął śmiechem. – Potworna! Wyobraźcie sobie, że jesteście drylowani na śmierć!

– Przycisnął dryłownicę do własnej piersi. – Ileż potrzeba siły, żeby wrazić ją między żebra!

Służący nie mogli się powstrzymać od śmiechu. Do rana miasto obiegnie kolejna anegdota.

– Matko, późna noc za oknem. Proszę, idź do łóżka i śpij dobrze, byśmy jutro mogli się rozmówić. Ja się wyspałem na łodzi i w lektyce.

Rigg o tej godzinie zazwyczaj nie spał – jednym z powodów, dla których nauczył się spać na pokładzie o tak dziwnych porach, było to, że nie chciał być bezbronny i nieprzytomny wtedy, gdy inni by się tego spodziewali.

Flacomm i matka jeszcze przez chwilę zostali w kuchni. Było jasne, że matka ma ochotę porozmawiać z Riggiem nawet tutaj, w kuchni, ale Flacomm temu przeszkodził.

– No, no – powiedział w końcu. – Jesteś zaiste nieobliczalnym młodzieńcem, paniczu Riggu!

– Tak? W wiosce Wodobród uchodziłem raczej za przeciętnego.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Och, nie wątpię, że wszystkie nasze wioskowe zwyczaje wydadzą się panu niezwykle, bo życie w górach tak bardzo różni się od tutejszego. Na przykład jeśli gromadnie siekamy warzywa i owoce, zawsze sobie śpiewamy. A w tej kuchni najwidoczniej nikt nie zna żadnej piosenki!

– Oj, znamy piosenki, znamy, paniczu – stwierdziła starsza kobieta.

– Zjeżę ci włosy na głowie piosnkami żalości i zgrozy – zaintonowała inna.

Rigg, rozpoznając przyśpiewkę, zawtórował drugim wersem:

– A ciebie, pani nadobna, porwie miłosnej piosnki czar.

Wszyscy służący zaśmiali się z aprobatą.

– A więc tutaj znane są te same piosenki co w górach! – ucieszył się Rigg. – No to dokończmy tę jedną i zaśpiewajmy jeszcze kilka, o ile będziemy pracować ciężko i śpiewać cicho, by gospodarz się nie rozeźlił, że tak hałasujemy przy robocie!

Flacomm bezsilnie wyrzucił ręce w górę i wyszedł z kuchni. Dopiero teraz Rigg pozwolił sobie spojrzeć otwarcie na matkę. Ona również na niego patrzyła. Zobaczył, jak przez jej usta przebiega cień uśmiechu; potem się odwróciła i poszła za gospodarzem.

Gdy skończył ze stosem jabłek – a chłopiec, któremu pomógł, posłał mu wdzięczny uśmiech –

Rigg zjadł chleb i ser, popijając jedynie wodą. Było to lepsze pieczywo niż gruboziarniste bochny, które zwykle dawała im Nox, gdy razem z ojcem wybierali się na łowy, ale to oznaczało jedynie, że musiał zjeść go więcej, by być syty. Ser był wyborny, choć w smaku nie przypominał niczego, co Rigg wcześniej miał okazję skosztować.

– Bardzo dziękuję, było pyszne – rzekł do kobiety, która mu podała tę strawę. – Jadłem najlepszy chleb i ser dostępny w O, mieście znanym na rzece ze swego wyrafinowanego smaku, ale służba w tym wspaniałym domostwie je lepiej niż możni w O!

Rzecz jasna, schlebiał kuchcikom, piekarzom i służącym wprost bezczelnie – lecz domyślał się, że niewielu z nich uważało się za godnych pochlebstw. Jak często matka przychodziła do kuchni? Ilu z tych służących znała z imienia? Nim minęła godzina kucharzenia, Rigg znał już imiona wszystkich. Jeszcze nie pozyskał ich lojalności, ale zasłużył na sympatię, a to był pierwszy krok.

– Pozwól, paniczku, że zaprowadzę cię do pokoju, który dla ciebie przygotowano – zaproponował uczeń piekarza. Nazywano go Długi, mimo że nie był szczególnie wysoki.

– Z przyjemnością – odparł Rigg – choć założę się, że nie będzie tam tak ciepło i przytulnie jak we wnętrzu za paleniskiem, gdzie sypiają kuchciki.

– Na starej słomie wysypanej na kamienną posadzkę jest niezbyt wygodnie!

– Nieraz sypiałem w zawilgoconych jaskiniach i pod mokrymi drzewami albo na zmrożonej ziemi, grzejąc się jedynie śniegiem. Dla mnie wygląda to jak najlepsza sypialnia w całym domu! – Rigg podniósł głos, by usłyszeli go też służący z dziennej zmiany, wciąż udający, że śpią. Teraz kilka głów wychylnęło zza węgła, by zobaczyć, kto gada tak niedorzecznie.

– Śniegiem nie można się ogrzać! – stwierdził najmłodszy służący.

– Wystarczy zakopać się w zaspie niczym królik, a śnieg utrzyma ciepło twego ciała i osłoni przed wiatrem.

– Stopi się i cię utopi albo przydusi i cię zdusi! – krzyknął inny chłopiec.

– Nie, jeśli wybierzesz najgłębszą i najstarszą zaspę. Taka trzyma się przez wiele nocy, a gdy ją opuszczę, pomieszkują tam małe zwierzątka, które w życiu nie spały w tak wspaniałym pałacu. Człowiek nie wie, co to śnieg, jeśli nie zimował wysoko w górach.

Długi wyprowadził go do jadalni, a potem powiódł dalej ku korytarzom. Rigg poprosił go, by szli wolno, po drodze pytając, do czego służy każdy z mijanych pokoi. Zgodnie z naukami ojca wyrysował sobie w głowie mapę domostwa. Zauważył, że tu czy tam rozmiary pokoi się nie zgadzają, jakby brakowało paru metrów. Gdy już wiedział, czego szukać, szybko zlokalizował ukryte przejścia, widział bowiem ścieżki osób, które z nich korzystały.

Co prawda ścieżki nie wyjaśniały, jak otworzyć zamaskowane drzwi, ale wskazywały, gdzie ich szukać. Dom przypominał istny labirynt – wąskie schody i korytarze dla służby były najbardziej ruchliwymi arteriami domu; szerokie korytarze przewidziane dla bardziej dystyngowanych mieszkańców i gości; ukryte przejścia, z rzadka uczęszczane, oplatały cały dom. Ze świecą szukać pokoju, w którym nie znalazłoby się choć jedno tajne wejście.

Rigg widział wystarczająco dużo ścieżek swojej matki, by móc określić, w których pokojach przebywała najczęściej, a do których wchodziła z rzadka. Korzystała tylko z jednego ukrytego przejścia, a i to zaledwie kilkadziesiąt razy. Czy znała tylko to jedno? Czy nie chciała za często znikać ludziom z oczu, bo mogliby uznać ją za zbiega i podnieść larum?

W żadnym z ukrytych przejść nie widać było ani jednej ścieżki Flacommo. Czy to możliwe, że znał ten dom nawet gorzej od matki?

Rigg postanowił, że przy pierwszej okazji przyjrzy się dokładnie starszym ścieżkom i spróbuje znaleźć własną, zostawioną, gdy jako małe dziecko został uprowadzony. Ciekawie będzie się

dowiedzieć, kto go wyniósł i którądy.

Wtem uświadomił sobie, że jego rodzina nie mieszkała w tym domu w czasie jego narodzin. Niewątpliwie by utrzymać pozory, że nic nie posiadają i nie mają gdzie się podziać, rodzinę królewską przerzucano z miejsca na miejsce jak niepotrzebne rupiecie. Cóż, czas najwyższy wytropić samego siebie – co nie będzie trudne, jak już zyska trochę swobody.

Doszli do drzwi kuriozalnie wielkiej komnaty sypialnej z łóżem przypominającym fortecę – bardzo wysokim, z kolumnkami, baldachimem i kotarami. Był tam nawet podnózek ułatwiający wejście i zejście.

Rigg stanął w drzwiach, gapiąc się z rozdziawioną buzią, a tak naprawdę przepatrując pokój w poszukiwaniu najnowszych ścieżek. Nikt się tu nie ukrył. Lecz ktoś wszedł pod łóżko zaledwie przed godziną czy dwoma i trochę czasu tam spędził. Zastawiono więc jakąś pułapkę, a gdy Rigg zauważył niewyraźne ścieżki sześciu aks – najbardziej jadowitych jaszczurek po tej stronie Muru – wiedział już, co mu groziło. Gdyby położył się w łóżku, swym ciężarem rozbiłby kruchą klatkę aks, a one szybko by go odnalazły, kierując się ciepłotą jego ciała. Zginąłby marnie.

– Przepiękne – skomentował Rigg dziecinnym głosem, naiwnie. – Ale ja nie zasnę w tak wysokim łóżu. Bałbym się spać, więc nawet na chwilę nie zmrużyłbym oka. Wracajmy do kuchni, położę się za piecem!

Szybkim krokiem się oddalił.

Długi próbował protestować, lecz Rigg przyłożył palec do ust i wyszeptał:

– Ciii! Ludzie śpią!

Rozdział 15

ZAUFANIE

– Tak mi przykro – powiedział zbędny. – Jedna z wersji Rama Odyna nie zawarła w swym poleceniu słowa „natychmiast”, więc zostało ono wykonane ułamek sekundy wcześniej niż inne. I teraz on jest prawdziwym Ramem Odynem.

Ram posłał mu półuśmieszek.

– Co za ironia. Uściślając, że macie działać od razu...

Zbędny wyciągnął obie ręce, lekko obrócił głowę Rama i skręcił mu kark.

Zdanie pozostało niedokończony, ale to nie miało znaczenia, bo osoba, które je wypowiadała, nie była prawdziwym Ramem Odynem.

Rigg zasnął niemal natychmiast, jak tylko położył się pomiędzy chłopcami we wnęce za paleniskiem. Jedna ściana była ciepła od ognia palącego się z drugiej strony, a ta po przeciwnej stronie zimna. Wybrał sobie miejsce przy zimnej ścianie – było tam najluźniej, a on wolał spać w chłodzie.

Obudził się raptem cztery godziny później, tak jak się nauczył, w ciszy ciemnych godzin przedświt. We wnęce było teraz ciasniej – doszli służący z ostatniej zmiany. Włosy większości chłopców świeciły od potu, bo chociaż ogień przygasał, ogrzewali się nawzajem ciepłotą ciała. Riggowi, choć spał przy zimnej ścianie, było za gorąco, więc wyszedł na podwórze.

Ogrodu nikt nie pilnował – bo któż by się tu spodziewał złodzieja ziół i kwiatów? Rigg wiedział jednak, że gdyby podszedł do frontowej bramy lub wejścia dla służby, zatrzymaliby go strażnicy. Nawet jeśli kręciłby się w kółko po ogrodzie, mógłby ściągnąć na siebie uwagę.

Wybrał więc miejsce przy drzwiach do kuchni – pieprznych drzwiach, jak je zwano, gdyż tędy kucharze wysyłali pomocników po świeże zioła z ogrodu – i usiadł na ziemi. Było dość chłodno. Niebawem przekwitnie bazylia, a potem, gdy sypnie śniegiem, tymianek. Tylko leśny rozmaryn przetrwa zimę.

Riggowi ogród wydawał się niemal tak samo sztuczny i nienaturalny jak wnętrze domu z podłogami wyłożonymi drewnem. Nic tu nie rosło na dziko, ptakom nie pozwalano więc gniazd, nawet insektów było niewiele. W sumie dobrze, owadzie ścieżki mogłyby przesłonić wszystkie inne.

Rigg nie zamykał oczu, gdyż sprawdzał, którędy względem budynku biegną ścieżki.

Zewnętrzne mury domu były czyste – co najmniej przez sześćset lat nikt nie przechodził przez nie.

Za najważniejsze uznał prześledzenie ścieżki osoby, która umieściła aksy w kruchej klatce pod łóżkiem, gdzie miał spać. Nie wiedział, po czym je odróżniał, ale już jako małe dziecko nauczył się identyfikować konkretną ścieżkę i rozpoznawać ją nawet w innym miejscu. Im były starsze, tym trudniej mu to przychodziło, jak gdyby z wiekiem traciły szczegółowość i intensywność – choć nie potrafił tego opisać. Po prostu to wiedział.

Niedoszły skrytobójca wszedł do domu przez drzwi dla służby, a po sposobie, w jaki poruszała się jego ścieżka – płynnie, a w dużej spiżarni gwałtownie wzlatywała w górę i szybko opadała w dół – wywnioskował, że do domu dostał się pewnie w beczce. Wyłonił się z niej zeszłego wieczora, w tym samym czasie, gdy lektyka z Riggiem dotarła na podwórze.

Skrytobójca nie kontaktował się z nikim spośród domowników ani służby. Nie korzystał z żadnego ukrytego przejścia. Szedł bezbłędnie, nikogo nie napotykając, nawet nie przystając, by się

gdzieś schować, wprost do pokoju przeznaczanego dla Rigga.

Nie wrócił jednak do spiżarni, lecz wdrapał się na poddasze po stromej drabinie, z której korzystali robotnicy naprawiający przecieki, usuwający gniazda ptaków lub os, czyszczący świetliki i okna na poddaszu. Właśnie na poddaszu pozostał aż do chwili, gdy Rigg odprowadzał Erbalda do bramy – Rigg potrafił odróżniać względny wiek ścieżek, zwłaszcza najnowszych.

Wówczas zabójca wdrapał się na dach, przebiegł po jego szczycie i zszedł na dół do podwórza sąsiedniego domu. W tym budynku wszyscy spali, a mimo że był niemal tak okazały jak domostwo Flacomm, pilnował go jedynie senny staruszek, który najwyraźniej zdrzemnął się na posterunku, gdyż skrytobójca przemknął tuż obok niego, przeskoczył przez bramę i wyszedł na ulicę.

Poruszał się ze zdecydowaniem kogoś, kto już wcześniej był w tym domu i doskonale orientował się w jego układzie, więc Rigg zaczął wnikać coraz głębiej w przeszłość, odnajdując coraz starsze ścieżki. Jakimś sposobem, zupełnie niedostępnym dla jego oczu, było tak, jakby jedynie ścieżki o wieku, którego wypatrywał, były widoczne, podczas gdy nowsze i starsze bledły i zanikały, póki nie przeniósł uwagi na inny zbiór. Było to czasochłonne zajęcie, wymagające żelaznej samodyscypliny, jak zmuszenie się do przeczytania małego druczku przy słabym świetle. Nauczył się sam siebie odzierać czas z kolejnych warstw, poddawać każdą z nich dogłębnej i metodycznej analizie, przeszukując cały dom, a potem zaczynać od początku z poprzednią warstwą, i tak w kółko.

Skrytobójca mógł zostać wysłany na rozpoznanie układu domu, dopiero gdy do stolicy dotarło sprawozdanie generała Obywatela, lub udać się na przeszpiegi już w chwili, gdy do Aressa Sessamo dotarły pierwsze plotki o istnieniu Rigga, czyli niemal dwa miesiące temu.

Albo, co równie prawdopodobne, zapoznał się z domem, jeszcze zanim przeniesiono tu rodzinę królewską, przewidując, że wcześniej czy później jego mocodawcy zlecą mu zadanie.

Jeśli poprzednią wizytę złożył aż tak dawno, mało prawdopodobne, że Riggowi udałooby się znaleźć jego ścieżkę – powolne, konsekwentne poszukiwania zajęłyby całe miesiące, by cofnąć się tak daleko w przeszłość, a przy pobieżnym oglądzie zapewne przeoczyłby pojedynczą wizytę.

Uświadomiwszy to sobie, zmienił podejście. Zamiast przeszukiwać cały dom, skupił się wyłącznie na bramie. Podczas pierwszej wizyty skrytobójca najpewniej wszedł przez nią pod jakimś zasadnym pretekstem, tak banalnym, że niewartym zapamiętania. Wszedł przez bramę lub skorzystał z wejścia dla służby... Rigg zaczął od bramy.

Bingo! Zabójca wszedł wtedy, i to zaledwie miesiąc temu, zanim posłaniec generała Obywatela zdążył tu dotrzeć. Mógł go ubiec inny kurier, wysłany przez jakiegoś szpiega w O, który wziął Rigga pod lupę, jeszcze zanim Obywatel go aresztował.

Tak czy owak, była to jakaś pocięcha, że zleceniodawcą nie był ktoś, kto musiał polegać na informacjach od generała. Rigg z czasem Obywatela polubił i zaczął szanować. Byłby zawiedziony, gdyby okazał się typem człowieka, który ucieka się do skrytobójstwa.

Kto wprowadził zabójcę do domu podczas pierwszej wizyty? Był w grupie, którą przywitali służący, a potem sam Flacomm. Większość tej grupy poszła dalej z gospodarzem, by spotkać się z matką w pokoju tuż przy ogrodzie, gdzie, jak wskazywały ścieżki, spędzała prawie całe dni. Lecz zabójcę zostawili za sobą.

A to sugerowało, że grał rolę służącego. Potem kręcił się po piętrze sypialnianym, przeczesując każdy pokój. Nikt mu nie przeszkodził, choć trwało to co najmniej godzinę.

Wreszcie dołączył do grupy, która rozmawiała z matką, i zaraz wszyscy udali się do drzwi.

Gdyby był tu Umbo, Rigg mógłby spowolnić ścieżki, by zobaczyć, czy matka była wtajemniczona w spisek. A tak wiedział tylko, że całą godzinę rozmawiała z ludźmi, którzy przytowarzali z sobą zabójcę.

Nic nie wskazywało jednak na to, że reszta towarzystwa wiedziała o prawdziwym poruczeniu zabójcy, a co dopiero, że matka je знаła. Flaccommo nigdy się nie spotkał ze skrytobójcą w tym domu, nie miało żadnego przełożenia na to, co mógł wiedzieć albo co wiedziała Rada Rewolucyjna. Talent Rigga podpowiadał mu wiele rzeczy, o których nikt inny wiedzieć nie mógł – ale teraz dawał mu za mało wskazówek.

Ktoś był w ogrodzie.

Rigg zobaczył nową ścieżkę – tworzyła się w locie. Ale poruszała się bardzo, ale to bardzo powoli, i nikła o wiele szybciej niż zwykle. Jednak gdy spojrzął na nią oczami, nikogo tam nie było.

Rigg słyszał bajki o niewidzialnych ludziach, o świętych, którzy mieli moc, by niezauważeni przejść przez tłum, czy o ludziach, których jakiś złośliwy czarownik zamienił w niewidzialnych, by do końca życia byli samotni. Ale w ogóle nie dawał im wiary. Ojciec wyjaśnił mu, jak działa wzrok – fotony o różnych długościach fali, niejednolicie odbijane lub pochłaniane przez dany obiekt, są wychwytywane przez siatkówkę oka – i Rigg wiedział, że nikt nie może sprawić, by człowiek stał się przezroczysty dla tych cząstek elementarnych.

Ale ojciec rzekł także: „Tylko głupiec mówi »niemożliwe«, mądry człowiek mówi »nieprawdopodobne«„. Przez kilka miesięcy mieli z tego niezłą uciechę – zamiast „nie” odpowiadali sobie „nieprawdopodobne”. Teraz Rigg uświadomił sobie, że ojciec mógł mieć konkretny przykład na myśli, gdy dyskutowali, czy niewidzialność jest możliwa.

Wówczas Rigg zdecydował, że nie jest jeszcze gotowy uwierzyć w człowieka przezroczystego dla fotonów. Teraz także. Musiało istnieć inne wytłumaczenie, zamknął więc oczy i uważnie się przyjrzał ścieżce.

Przemieszczała się dziwnie wolno. Ten niewidoczny człowiek wszedł do ogrodu o wiele wcześniej niż Rigg. I jego ścieżka nikła zdecydowanie zbyt prędko.

A na końcu smugi, gdzie powinno być widać osobę, ale nie było, ścieżka migotała.

Nie to, że mrugała w równych odstępach, lecz jej kolor – albo smak, jeśli tym zmysłem się posłużyć jako metaforą – wydawał się ciut zmieniać w nagłych skokach.

Rigg otworzył oczy. Jeśli był to kolejny zabójca, poruszał się zbyt wolno, by się go obawiać. Chociaż może przemieszczał się tak powoli, tylko gdy był niewidzialny, a w każdej chwili mógł się pojawić i rzucić na Rigga niczym pikujący jastrząb.

Tak czy owak, Rigg musiał dowiedzieć się więcej. Wstał więc, podszedł wprost do końca powolnej ścieżki i stanął w miejscu, blokując drogę.

Dopiero po kilku chwilach ścieżka się zatrzymała, a potem zaczęła się cofać. Jednak w tej chwili zawahania, zupełnego bezruchu, ukazał się rozmyty kształt niewidzialnego. Nie na tyle, by Rigg mógł wyraźnie zobaczyć, ale wiedział, gdzie są oczy, jaki ma wzrost. Zarys ubrań i włosów wskazywały jasno, że miał do czynienia z kobietą. A w oczach dostrzegł błysk. Strachu? Zaskoczenia?

– Kim jesteś? – zapytał cicho.

Musiała go słyszeć, a jednak nic nie odpowiedziała. Cofała się ciągle, może poruszała się odrobinę szybciej.

Sfrustrowany Rigg poszedł za nią i nie zatrzymał się, tylko przeszedł przez miejsce, gdzie musiała się znajdować.

Przeszedł przez nią.

Czy czuł coś dziwnego? Może lekkie drganie, może trochę ciepła. A może jedynie wyobrażał to sobie, bo wiedział, że przechodzi przez żywą istotę.

Obejrzał się – ścieżka zmieniła kierunek, zaczęła biec dalej przed siebie, może nieco szybciej

niż poprzednio, jeśli „szybciej” uznać za trafny opis prędkości, która zawstydziłaby ślimaka.

Rigg wiedział, że nie zdoła z niewidzialną porozmawiać ani jej zobaczyć. Postanowił sprawdzić, gdzie wcześniej chodziła i kto mógłby ją znać. Zszedł niewidzialnej z drogi i zamknął oczy, by móc skupić się na biegu jej ścieżki w przeszłości. Teraz widział, jak się cofa. Nie tak znowu dawno ścieżka się zmieniła – przestała migotać i wydawała się całkiem normalna, gdy poruszała się przez dom. Do sypialni matki.

Niewidzialna wyszła z pokoju matki, i to w normalnym tempie. Ale zrobiła to w środku nocy. Rigg wysunął więc hipotezę: Kiedy niewidzialna poruszała się z normalną prędkością, była całkowicie widoczna, a nikt jej nie widział, bo było ciemno i wszyscy spali w najlepsze; lecz jak tylko niewidzialna zorientowała się, że w ogrodzie ktoś jest, zwolniła i stała się niewidzialna.

Ona nie „zwalnia”, zrozumiał nagle. Cokolwiek robi, to coś wpływa na jej ścieżkę, a ścieżki są związane z czasem. Niewidoczna więc tak naprawdę przeskakuje do przodu w czasie, i to małutkimi susami.

Rigg wyjaśnił to sobie w myślach, tak jakby wyluszczał swoją teorię ojcu. Załóżmy, że niewidzialna porusza się o centymetr na sekundę. Załóżmy, że po upływie każdej sekundy przeskakuje o jedną sekundę dalej w czasie. Wtedy z jej punktu widzenia wykonuje ciągły ruch do przodu, o jedną sekundę na centymetr. Ponieważ jednak przeskakuje dalej o jedną sekundę po upływie każdej sekundy, postronnemu obserwatorowi się wydaje, że ona porusza się o centymetr co dwie sekundy – a przez jedną z nich migocze i jakby nie istnieje.

Teraz załóżmy, że zamiast sekundy na centymetr mamy jedną milionową sekundy na jedną milionową centymetra. Prędkość byłaby ta sama, ale przy takim założeniu w dowolnym momencie nie istniałaby na tyle długo, by mogły w nią trafić fotony.

Niemal słyszał głos ojca zgłaszającego weto. Jeśli w dowolnej chwili istnieje dokładnie tak samo długo, jak nie istnieje pomiędzy chwilami, to powinna być połowicznie widoczna, bo połowa fotonów by przez nią przeleciała, a druga połowa by ją trafiła i została odbita lub wchłonięta.

No dobrze, odpowiedział sam sobie. Załóżmy, że niewidzialna istnieje przez jedną milionową sekundy, ale potem przeskakuje dalej o jedną tysięczną sekundy. Wówczas istnieje o wiele krócej, niż nie istnieje. Odbija światło tylko przez jedną milionową sekundy co jedną tysięczną sekundy. Nasze oczy nie zauważają tak nikłej ilości światła, nie mogą się na niej skupić.

Ona jednak porusza się dalej. I to bardzo szybko, skoro po upływie każdej tysięcznej sekundy na tak krótko się pojawia w innym miejscu. Gdy zmusiłem ją do zatrzymania, bo stanąłem tuż przed nią, przez ten ułamek sekundy nie poruszała się dość szybko i stała się trochę widoczna – mogłem dojrzeć jej figurę, oczy, kontur ust. Potem przyspieszyła, cofając się, i znów znikła.

Nie, wcale nie zniknęła. Cały czas tam była. Była tam, gdy przez nią przeszedłem.

Ojciec uczył Rigga, że wszystkie ciała stałe tak naprawdę w większej części składają się z pustki, z bardzo luźno rozmieszczonych zderzających się atomów, a w każdym z nich jądro i elektrony dzieli przestrzeń wielokrotnie większa od nich.

Tak więc, gdy przeszedł przez niewidzialną, ona musiała zamigotać i pojawić się wiele razy, może z tysiąc. Większość cząsteczek jej ciała nie zderzyła się, a niewidzialna przeskoczyła dalej w czasie, zanim zdołały się nawzajem zdeformować lub zniszczyć.

Ale trochę cząsteczek musiało się zderzyć, a te, które wpadły na siebie...

Nic dziwnego, że niewidzialna cofnęła się, zamiast zderzyć się z Riggiem. Choć taka kolizja nie wyrządziłaby żadnej widocznej szkody, te stosunkowo nieliczne zderzenia między atomami, do których doszło podczas przejścia, musiały wydzielić znaczną energię. Gdyby niewidzialna nie unikała kolizji, wcześniej czy później ta energia stałaby się zbyt wielka.

Dość wielka, być może, by kobieta nawet zginęła.

Rigg zrozumiał, że jest jednak pożytek z ojca wykładów fizyki.

Tyle że jeszcze nie miało to sensu tak do końca. Bo jak niby człowiek może podzielić czas na tak drobne kawałeczki? I jakim cudem niewidzialna odczuwała te przerwy w czasie?

I znów Rigg odpowiedział na własne obiekcje. Niewidzialna rozumie, co robi, nie lepiej niż Umbo rozumie, co robi, gdy „spowalnia czas”, i nie lepiej niż ja pojmuję istotę ścieżek, które tylko ja mogę zobaczyć. To instynktowne. Jak odruch. Jak pocenie się. Wiadomo, czemu człowiek się poci, ale nie trzeba świadomie otwierać każdego poru, by do tego doszło.

Nie, pocenie jest mimowolne. Korzystanie z talentu raczej przypomina chodzenie. Nie trzeba myśleć o każdym najmniejszym ruchu mięśni zaangażowanych w ten proces, po prostu się idzie, a ciało samo robi swoje. Albo widzenie – człowiek decyduje, na co spojrzeć, jak szeroko otworzyć oczy, jak długo patrzeć – ale nie trzeba rozumieć, że fotony uderzają w pręciki i czopki siatkówki.

Możliwe, że niewidzialna nawet nie wie, że przeskakuje w czasie. Wie tylko, że gdy staje się niewidzialna, jej ruch do przodu zwalnia. Ćwiczyła przez lata i nauczyła się, ile tego przeskoku w czasie potrzeba, by utrzymać niewidzialność, bo gdyby stała się zbyt niewidzialna, jej ruch w przestrzeni zwolniłby na tyle, że nie byłaby w stanie przejść z jednego miejsca do drugiego. Jednak gdyby nie przeskakiwała dość daleko za każdym czasowym susem, stałaby się bardziej widoczna i ludzie by ją zobaczyli – jako ducha, sen, zjawę, wspomnienie.

Zapewne więc przez lata wyćwiczyła tę umiejętność, tak jak Umbo wyćwiczył swój zmysł upływu czasu, tak jak ja nauczyłem się rozróżniać ścieżki i określać ich względny wiek, a także odzierać je warstwa po warstwie, by móc skupić się na ścieżkach konkretnego okresu lub konkretnej osoby, a nie na wszystkich, które przebiegały przez dany punkt w przestrzeni.

Niewidzialna jest podobna do mnie. I do Umba. Posiada dar.

Ja i Umbo byliśmy szkoleni przez ojca, byśmy oszlifowali nasze talenty. Tak jak Nox.

Czy ojciec znał tę kobietę i ją też ćwiczył?

Rigg przypomniał sobie głos ojca przywalonego drzewem. „Musisz odnaleźć swoją siostrę. Mieszka z twoją matką”.

Kazał mi odnaleźć siostrę, a nie matkę. To nie matka, prawowita królowa, miała dla niego znaczenie. Jemu chodziło o moją utalentowaną siostrę.

Wszystko się zazębiło i stało jasne. Ta teoria dopasowała do siebie wszystkie fakty. Może później pojawią się w niej jakieś nieścisłości, ale w tej chwili Rigg mógł przyjąć założenie, że ma rację, i na nim opierać swoje dalsze poczynania.

Pozwolił sobie ponownie zauważyć ścieżki. Niewidzialna zmierzała w stronę drzwi, przez które wyszła – i to o wiele szybciej. Czyli tak naprawdę przeskakiwała dalej w czasie mniejszymi susami albo rzadziej, więc odbijała więcej fotonów. I faktycznie, dostrzegął niewyraźny kształt. Biegła – ale tak wolno, że zdołałby ją przegonić w zaledwie kilku krokach.

Niewidzialna uciekała, poświęcając część niewidzialności dla większej prędkości ucieczki.

Teraz wiedział już, że nie ma sensu próbować z nią rozmawiać. Istnieje tylko przez tysięczną część chwili w danym miejscu w przestrzeni, więc w żaden sposób nie zrozumie, co się do niej mówi.

Niewidzialna. Ona ma imię. Param Sissaminka.

Rigg poszedł do kuchni, gdzie dzienna zmiana zabierała się właśnie do swoich zajęć – piekarze wyrabiali ciasto przygotowane dla nich przez nocnych piekarzy, kuchciki wstawiali na ogień garnki na popołudniowe gulasze, zaspani służący krzatali się wte i wewte.

– Spałeś wogóle, paniczu? – zapytała szefowa piekarzy. Tej kobiety Rigg nie poznał wczoraj,

ale, rzecz jasna, słyszała plotki, także te, że gość nieoczekiwanie dla wszystkich położył się spać we wnęce za paleniskiem.

– Owszem – odparł Rigg. – Ale jestem rannym ptaszkiem. Pewnie wrócę jeszcze po południu, by uciąć sobie drzemkę, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Popatrzyła na niego z lekkim rozbawieniem.

– Jeśli nie chcesz spać w swoim pokoju z obawy, że ktoś mógł coś tam zmajstrować, to może za każdym razem powinieneś spać gdzie indziej.

Rigg zdziwił się, że piekarka mówi mu to otwarcie.

– A coś mi grozi? – zapytał.

– Mojej siostrze wydawało się, że tak myślisz, więc może masz rację. Moja siostra to Elella, piekarka na nocnej zmianie. A ja jestem Lolonga.

– A więc powiem ci, Lolonga, że wczoraj w moim pokoju coś zostawiono i dlatego tam nie spałem. Coś mającego mnie zabić. I boję się, że jeśli ktoś wejdzie dzisiaj do tego pokoju i poruszy łóżko, pułapka, którą na mnie zastawiono, wyrządzi szkodę komuś niewinnemu, kto nie zasługuje na śmierć.

– A ty zasługujesz?

– Chciałbym myśleć, że nie, ale niektórzy uważają, że beze mnie świat byłby lepszy.

– Nie powiedziałaś mi, jaka to pułapka. Przypuszczam, że ma coś wspólnego z łóżkiem i domyślam się, że chcesz, bym ostrzegła ludzi przed tym pokojem, ale tak, by nikt się nie dowiedział, że wiem to od ciebie.

– Dobrze się pani domyśla, ale nie warto o tym kłamać. Jeśli ktoś zapyta wprost, ktoś, czyjego zaufania nie może pani utracić, proszę powiedzieć, że ja panią ostrzegłem. I tak wkrótce to wyjdzie na jaw. Ale jeśli nie spytają, proszę sama nie udzielać takiej informacji.

– Gospodyni, Bok, też jest rannym ptaszkiem – stwierdziła Lolonga. – I choć pod moją nieobecność moi durni pomocnicy jak nic spaskudzą dzisiejszy chleb, pójdę i ostrzegę ją, by mogła uratować życie jakiejś głupiutkiej pokojóweczki.

– Nawet najgłupsza pokojówka nie zasługuje na śmierć.

– Doprawdy? – zdziwiła się Lolonga. – W życiu bym nie pomyślała, że jeden z was tak pomyśli.

– Z jakich „was”?

– Królewskich potomków. Bogaczy. Wykształconych. Tych, na których zawsze się czeka.

Tych, co zagrabili całe pieniądze, sławę i władzę. Takich jak ty.

– Oj, i tu się pani myli. Jeszcze kilka tygodni temu byłem jednym z was. Ba, nawet gorzej – byłem włóczęgą, na którego tacy jak pani patrzyli z góry i w życiu nie wpuściliby do kuchni.

Lolonga szeroko się uśmiechnęła.

– Tak coś czułam, chłopcze – przyznała. – I tylko dlatego nie kazałam cię z miejsca przepędzić. Żeby nie było, twojej matki tu nie wpuszczam. Nie gdy piekę. Tylko rozprasza mi ludzi i wychodzą same zakalce.

– Proszę pani – zagadnął Rigg. – Mam ważne pytanie. Która z pań jest w końcu naczelną piekarką, pani czy pani siostra?

– Obie. To ciągła rywalizacja między nami. Jej się wydaje, że może sobie decydować, jakie ciasto przygotować co wieczór a ja muszę się zadowolić takim chlebem, jakiego według niej nam trzeba. Ale odpłacam jej pięknym za nadobne. Zmusiłam ją, żeby przyjęła mojego leniwego synalka, Długiego, jako ucznia na wieczornej zmianie. To kara, która nigdy się nie kończy.

– Ja tam lubię Długiego.

– Ja też. I właśnie dlatego posyłam go na wieczorną zmianę, żeby nie musiała cały dzień na

niego wrzeszczeć i pomstować, że trafił mi się leniwy syn z gnuśnego ojca. To by mogło zaszkodzić naszej wzajemnej miłości.

Wyszła z kuchni załatwić wiadomą sprawę. Rigg skorzystał z innych drzwi i trafił do jadalni, akurat puste, z uprzątniętymi stołami. Był pewien, że wkrótce podadzą śniadanie, ale na razie panowała tu cisza, i niemal kompletna ciemność, jedynie gwiazdy świeciły za oknami – Pierścień zalewał blaskiem drugą stronę domu.

Rigg usiadł na jednym z krzeseł i obserwował ścieżkę Lolongi przez dom. Widział, jak napotyka ścieżkę gospodyni – Bok? – a potem idzie za nią do kwatery pokojówek.

Przeniósł uwagę na komnatę matki. A jakże, niewidzialna, Param, tam wróciła. Rigg mógł teraz spokojnie przyjrzeć się ścieżkom w tym pokoju i dostrzegł wyraźnie, że Param przychodziła tam co wieczór. I nie ona jedyna, ale ktoś wchodził i wychodził tuż przed niewidzialną Param. Rigg podążył za tą ścieżką i zobaczył, że prowadziła do pokojówki, którą wczoraj widział. Nawet przyglądał się jej, akurat gdy tacę z jedzeniem niosła... gdzieś.

Teraz już wiedział gdzie. Przypomniał sobie tacę i nagle go olśniło: jedzenie było dla Param.

Niewidzialna musi stać się widzialna, by oddziaływać na świat fizyczny, na przykład jeść, pić, myć się i wypróżniać pęcherz i jelita. Wtedy grozi jej największe niebezpieczeństwo.

Robi więc to wszystko w komnacie matki.

Param jest pod jej opieką. „Mieszka z twoją matką”, powiedział ojciec. A więc dla Param matka jest opiekunką, nie zagrożeniem.

Może dla mnie też? Ale skąd mam to wiedzieć? Pewności mieć nie mogę. Param jest żeńską dziedziczką Namiotu Światła. Matka może być jej opoką i mym najbardziej zawziętym wrogiem. Intrygi, które rozgrywają się w tym domu, są zbyt rozległe i zawile, bym mógł je ogarnąć.

Rigg zasiadł do śniadania wraz z Flacommo, matką oraz kilkunastoma gośćmi i dworzanami.

Gdy towarzystwo zadośćuczyniło zwyczajowym grzeczościom i zjadło stosowną ilość potraw, Rigg odwrócił się do matki i rzekł:

– Muszę szczerze przyznać, pani matko, że nie wyruszyłem do Aressa Sessamo, by cię spotkać. Moja radość nie знаła granic, gdy dowiedziałem się, że żyjesz, choć oczywiście musiało mnie zastanawiać, czemu nigdy cię nie poznałem i czemu mój przybrany ojciec wspominał o tobie, dopiero gdy zegnał się z życiem. Jednak pierwsze jego polecenie brzmiało, bym udał się do Aressa Sessamo i odnalazł siostrę. A skoro już o niej mowa, w głowę zachodzę, gdzie się podziewa. Czyżby zaniemogła? Czyżby nie chciała spotkać dawno niewidzianego brata?

Doskonale wiedział, że w tej chwili jego siostra znajduje się wśród nich. Już wcześniej zauważył, jak jej ścieżka wchodzi do jadalni, a potem krąży po niej, by pozostać w ruchu.

Niewątpliwie była równie ciekawa Rigga jak on jej. Wiedziała, że brat ją w jakimś sensie widzi, bo gdy zasiadł za stołem, odwrócił się w jej stronę i dyskretnie pomachał ręką. Dłoń trzymał poniżej blatu, by nikt inny nie mógł tego zauważyć, i pomachał bardzo wolno, by ona mogła wychwycić ten ruch.

– Twoja siostra nie może się doczekać spotkania z tobą – stwierdziła matka. – We właściwym czasie zaprowadzę cię do niej. Przebywa w odosobnieniu.

– To musi źle się odbijać na jej edukacji – zauważył Rigg.

– Edukacja to fraszka w porównaniu z koszmarnym upokorzeniem – wyjaśniła matka.

– Wszyscy szczerze boleliśmy nad tym – włączył się Flacommo – że dziecko zostało tak brutalnie potraktowane. Rada Rewolucyjna natychmiast zmieniła prawo, by zabronić ludziom odzierania ubrań z osób należących do rodziny niegdyś zwanej królewską. Tę zmianę już dawno należało wprowadzić. Wielka szkoda, że doszło do tego w takich okolicznościach.

– Innymi słowy – skomentował Rigg, który oczywiście znał już tę historię – Rada zorientowała się, że upokarzanie rodziny królewskiej straciło już na popularności, i zawiesiła obowiązywanie tego prawa. Czyżby więc nienawiść mas do rodziny królewskiej przygasła?

– Byłoby wspaniale – rzekł Flacommio. – Kiedyś, rzecz jasna, rodzina królewska stanie się normalną rodziną, równą wszystkim innym. Lecz dziś pozostaje ciągłą nadzieją pewnych elementów wywrotowych.

– Dziwię się, że jeszcze nas nie zgładzono.

Wszędzie wokół stołu ludzie głośno wciągnęli powietrze.

– Prosta logika – dodał Rigg. – Dopóki członkowie rodziny królewskiej żyją, dopóty ta czy inna grupa będzie nas wykorzystywać do mobilizacji zwolenników, nawet jeśli nie zrobimy nic przeciwko Radzie Rewolucyjnej. Czy nie byłoby więc lepiej dla dobra narodu, gdyby nas nie było?

– Żadne argumenty mnie do tego nie przekonają! – wzburzył się Flacommio. – Kiedyś wiele o tym mówiono, ale twoja matka – a wcześniej i jej matka – wykazały się wielką pokorą i szacunkiem wobec Rady, przestrzegając wszelkich praw i nigdy nie afirmując żadnych pogłosek o buncie, i Rada Rewolucyjna uznała, że rozsądniej będzie ulokować rodzinę królewską tutaj, dostępną społeczeństwu, acz nie w tak wielkim stopniu. Twoja matka łaskawie pozwala ludziom zobaczyć, że członkowie rodziny królewskiej niczego nie posiadają i żyją jak praworządni obywatele.

– Ale jemy niegorzej – zauważył Rigg, spoglądając na suto zastawiony stół.

– Nie – rzekł Flacommio. – To ja jem niegorzej, a wy również, gdy jako moi goście towarzyszyście mi przy stole. Ale każdego roku twoja matka wiele razy korzysta z zaproszeń innych osób, niezależnie od tego, jaką zajmują pozycję lub jak prosta ich strawa.

– Rozumiem – odparł Rigg. – A więc nie ma przeciwwskazań, bym robił to samo?

– Możesz towarzyszyć swej matce zawsze, gdy zdecyduje się skorzystać z takiego zaproszenia. Oczywiście nie możesz robić tego sam, bo gdy ktoś z rodziny królewskiej opuszcza mój dom i wychodzi do miasta, za każdym razem musi być pod strażą. Niestety, nie brakuje takich, których nienawiść wobec rodziny królewskiej nie osłabła mimo tak wielu lat miłościwych rządów Rady.

Rigg nie miał wątpliwości, że ci strażnicy mieli pilnować, by ktoś z rodziny królewskiej nie zbiegł z miasta i nie zebrał armii w dalekich krainach. Ale nie było powodu głośno o tym mówić. Miał na podorędziu lepszy temat do dyskusji.

– Coś o tym wiem! – rzekł. – Zeszłej nocy ktoś próbował mnie zabić.

– Nie! Kto?! Kiedy?! Jak go powstrzymałeś? – dopytywali się wszyscy przy stole.

– Powstrzymałem go bez większego trudu. Po prostu nie spałem w przygotowanej dla mnie sypialni. Próbowano mnie zabić skrycie, zastawiając pułapkę.

– Jaką pułapkę?! – dopytywał się Flacommio. – Jeśli ktoś wszedł do mego domu i...

Rigg uciszył go gestem.

– Nie wątpię, że stało się to bez pana wiedzy, mój drogi przyjacielu. Bo mogę nazywać pana przyjacielem, prawda? Wszak był pan tak miły dla mej matki i siostry.

– Ależ oczywiście, proszę, czuję się zaszczycony, że panicz tak o mnie myśli.

Na pewno nie zapomniał jednak, co Rigg powiedział zeszłej nocy.

– Pod moim łóżkiem umieszczono skrzyneczkę z aksami. Na tyle delikatną, że już samo położenie się na łóżku by ją rozbiło i uwolniło jaszczurki. Zapewne orientują się państwo, jak długo bym wtedy pożył, skoro aksy kierują się temperaturą ciała.

– Ale jak je pokonałeś? – zapytał ktoś.

– Nijak. Uniknąłem ich. Wciąż mogą tam być. Doradzałbym więc, by zamknąć drzwi na cztery spusty i zostawić je w spokoju. W kilka tygodni zdechną z głodu, szczególnie jeśli w pokoju będzie

ciepło. Trudno byłoby się ich pozbyć w inny sposób. I bardzo niebezpiecznie.

Można użyć gazów, ale one działają z pewnym opóźnieniem, a w tym czasie każdy, kto znajdzie się w pobliżu, ryzykuje, że aksy mogłyby go uśmiercić.

– I tak jadowite stworzenia zostawiono w twoim pokoju? Jak je odkryłeś? – nie dowierzał Flacommo.

– Raz ostrzeżony, że niektórzy wciąż żywią nienawiść do rodziny królewskiej, i po tym, jak jeden z nich próbował odebrać mi życie podczas podróży tutaj, zacząłem być ostrożny.

Zaglądam pod łóżka. – Oby nikt nie wypytywał Długiego, bo on wie doskonale, że nawet nie wszedłem do pokoju, pomyślał Rigg – Wędrującemu Świętemu niech będą dzięki! – zapiał Flacommo, a wielu przy stole mu zawtórowało.

Rigg odwrócił się do matki, która zupełnie nie wyglądała na wstrząśniętą. Patrzyła na niego znad swej owsianki – jadła bowiem skromniej niż reszta towarzystwa.

– Pani matko – rzekł Rigg. – Nie wiem, co mam myśleć o tym zdarzeniu. Jestem prawie pewien, że nie zostałem skazany na tak okropną śmierć tylko dlatego, że jestem księciem – w końcu skrytobójcy mogliby zabić innych członków rodziny królewskiej w tym domu, a jednak wybrali mnie.

Wciąż milczała, jedząc.

– Przychodzą mi do głowy dwa powody, czemu mnie obrali za cel – ciągnął więc Rigg. – Jeden jest taki, że moja obecność zaburza ustalenia, w myśl których ty i moja siostra żyłyście dotychczas pod opieką takich pachołków Rady Rewolucyjnej jak nasz łaskawy gospodarz Flacommo. W tym wypadku mojej śmierci może chcieć sama Rada albo jakieś inne stronnictwo. Z drugiej strony, jestem mężczyzną, a już od czasów, gdy moja prababka zgładziła całą męską linię rodziny królewskiej i ustanowiła prawo, że tylko kobiety z tego rodu mogą rządzić, niektórzy z niecierpliwością oczekiwali narodzin męskiego dziedzica, mając nadzieję, że pożyje na tyle długo, by znieść ten stary edykt i przywrócić na tron cesarza zamiast cesarzowej.

– Jeśli są tacy ludzie, wątpię, by próbowali zabić akurat ciebie – beznamiętnie zauważyła matka.

– Masz rację – przyznał Rigg. – Odkąd tylko dowiedziałem się, kim jestem, a przynajmniej o takim prawdopodobieństwie, zastanawiałem się, kto mnie porwał i rozdzielił z matką, siostrą i ojcem. Jedna możliwość jest taka, że zabrali mnie stronnicy przywrócenia mężczyzny na tron. Ale jeśli tak było, czemu nie wychowano mnie na króla? A zapewniam, nie miałem najmniejszego pojęcia, że mam powiązania z rodziną królewską czy jakąś wielką misję do spełnienia. Wniosek nasuwa się sam: mężczyzna, który mnie wychował, nie był zwolennikiem tej opcji.

Matka jedynie lekko się uśmiechnęła.

– Lecz nigdy nie wiadomo, do czego są w stanie się posunąć ludzie tak szaleni, by starać się o restaurację monarchii – mówiła dalej. – A już ci, którzy chcą wynieść mężczyznę na tron, muszą być największymi szaleńcami z nich wszystkich.

– Świat pełen jest szaleńców – stwierdziła matka. – Takich, którzy są szaleni i siedzą cicho, i takich, którzy w swym szaleństwie paplają jak najęci, denerwując wszystkich.

– Rozumiem twą przyganę, matko, ale uwierz mi, staram się tylko rozeznąć w sytuacji, bym mógł odgadnąć, skąd może nadejść zagrożenie.

– Zewsząd. I jednocześnie.

– Po prostu zastanawiałem się głośno, czy próby zabicia mnie podjęło się stronnictwo popierające restaurację kobiecej linii i tym samym uznające istnienie męskiego dziedzica za wielkie zagrożenie. To stronnictwo czekałoby przez wszystkie te lata, bym się odnalazł i by można mnie było zabić w zgodzie z edyktem mej prababki Aptiki Sessamin.

– To prawo zostało uchylone przez Radę Rewolucyjną – stwierdził Flaccommo. – Większość ludzi zapomniała, że kiedykolwiek istniało.

– Ale skoro nie zostało uchylone przez Namiot Światła – zauważył Rigg – są ludzie tak szaleni, że wciąż uznają je za obowiązujące, a zabicie mnie za szlachetny postępek. Ba, swój święty obowiązek. Mówię to, bo człowiek, który próbował mnie zabić, gdy tu płynąłem, był właśnie takim szaleńcem.

– Twoje słowa kręcą się wokół niczym taniec wprawnej dworki – stwierdziła matka. – Trudno uwierzyć, że nie wychowano cię z myślą o tronie.

– Człowiek, którego nazywałem ojcem, nauczył mnie myśleć sceptycznie i dociekliwie. I mówić, co myślę. A zawsze powtarzał: „Jeśli chcesz coś wiedzieć, zapytaj kogoś, kto już to wie”. Muszę zadać ci dwa pytania. Po pierwsze, czy ty i mój prawdziwy ojciec odprawiliście mnie jako niemowlaka, by uchronić mnie przed takimi wrogami? Czy jednak zostałem porwany przez kogoś innego, kto sądził, że trzeba mnie chronić przed wami?

W jadalni zapadła cisza jak makiem zasiał. Matka zamarła, jej ręka zawisła w pół drogi do ust, a z przechylonej łyżki skapnęła owsianka.

Rigg doskonale wiedział, jakie zmieszanie wywołał, i nie miał zamiaru na tym poprzestać.

– Pozwól, że jeszcze bardziej uproszczę pytanie. Matko, czy pragniesz mej śmierci? Bo jeśli tak, przestanę się trudzić i pozwolę, żeby następna próba zamachu na moje życie się powiodła. Nie pragnę ci dokładać smutku moim powrotem po tylu latach.

Matka odłożyła łyżkę.

– Smuci mnie wielce, że w ogóle musisz pytać.

– A mnie smuci, że nie chcesz odpowiedzieć.

– Odpowiem, ale już samo pytanie jest mi udręką. Nie miałam nic wspólnego z twoim uprowadzeniem. Sądziłam, że wykradli cię ludzie, którzy chcieli cię zabić, i zakładałam, że to zrobili. Przez kilka pierwszych lat nie było dnia, żebym cię nie opłakiwała, później też łzy stawały mi w oczach za każdym razem, gdy o tobie myślałam – a myślałam często. Wylałam całe morze łez. A kiedy dowiedziałam się, że żyjesz, nie ośmielałam się mieć nadziei, że pozwolą ci do mnie wrócić. Nawet gdy w końcu przybyłeś, starałam się zachowywać w taki sposób, by nikogo nie zaniepokoić swą wielką radością. Cieszy mnie, że rozumiesz, iż grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo; i jestem wdzięczna, że wpojono ci dość ostrożności, byś nie wpadł w pułapkę. Ale jak mogłeś pomyśleć, że mam z tą pułapką coś wspólnego? Jestem gorzko rozczarowana.

– Nie znam cię, matko. Wiem tylko tyle, ile mówi się o rodzinie królewskiej, a na pewno się domyślasz, że mówi się niewiele dobrego. Uczono mnie historii i znam setki przypadków, gdy członkowie różnych rodów mordowali się nawzajem z żądzy władzy, z obawy przed zabójstwem czy wojną domową. Ale słysząc twe słowa i widząc twą twarz, gdy je wypowiadałaś, i zdając sobie sprawę z trudnej sytuacji, w jakiej się tu znajdziesz, wierzę, że jesteś mi kochającą matką. Wybacz mi proszę to pytanie, wiesz bowiem, że musiałem je zadać. I dziękuję, że w ogóle odpowiedziałaś, a jeszcze bardziej, że w taki sposób.

Podniósł się z krzesła i uklęknął przed matką. Na twarzach wielu postronnych odmalował się wyraz konsternacji, bo prawo wzbraniało klękania przed członkami rodziny królewskiej.

Matka zaczęła głośno protestować. Rigg przemówił jednak głośno, tonem przypominającym trzask bicia, nakazującym milczenie.

– Klękam przed tą kobietą jak syn klękający przed matką. Najprostszy pasterz może klękać przed swoją rodzicielką. Czy mnie, z racji mej królewskiej proweniencji, zabrania się okazać matce szacunek należny jej od syna? Uciszcie się. Wolałbym zginąć, niż pozwolić, by lęk odwiódł mnie od

dania matce dowodu mego wielkiego szacunku i miłości!

Ci, którzy wstali, znów usiedli. A gdy Rigg pochylił czoło, by dotknąć kolan matki, ona pogłaskała go po włosach, po czym go objęła, i rozpłakała się, i pocałowała go, i nazwała swym dzieckiem, swym synem, i podziękowała Wędrującemu Świętemu za sprowadzenie go do niej.

A Rigg zastanawiał się, ile jego siostra rozumiała z tego wszystkiego, i pomyślał, jak irytujące musi być dla niej to, że widzi wszystko – ale przyspieszone, i nie słyszy słów, które pomogłyby jej zrozumieć tę scenę.

Matce wierzył tylko połowicznie. Czy nie zachowywałaby się tak samo także wtedy, gdyby pragnęła jego śmierci? Pewnie, jej emocje wyglądały dość prawdziwie, a niewielu ludzi potrafi udawać je aż tak dobrze. Ale czy sam fakt, że wciąż żyła, nie dowodził, że potrafiła grać każdą rolę, której od niej wymagano?

Jednak musiał komuś zaufać, inaczej jego życie stałoby się nie do zniesienia. Postanowił więc uwierzyć, że matka nie przetrwała dzięki udawaniu uczuć, których nie czuła, lecz raczej dzięki udawaniu, że nic nie czuje – umiejętności z drugiego bieguna – więc ta wylewność była rzadka i prawdziwa. Matka go kochała. Nie chciała jego śmierci. Zaufa jej. A jeśli się okaże, że podjął błędną decyzję, cóż, rozczarowaniem zajmie się, gdy już go spotka. Co nie będzie trudne, gdyż wówczas rozczarowanie potrwa jedynie kilka sekund i minie. Wraz z jego śmiercią.

Rozdział 16

MARTWE POLE

Ram spojrzął na ogromny holograficzny obraz nowego świata.

– Jak go nazwiesz? – zagadnął zbędny.

– A co za różnica? – zapytał Ram. – Jakąkolwiek bym nazwę wybrał, będzie znaczyła tyle co „nasz świat”. Tak jak teraz „Ziemia”.

– Myślisz, że koloniści zapomną o swym rodzimym świecie?

– Na pewno nie – odparł Ram. – Ale urodzone tu dzieci będą wiedziały tylko, że to daleka planeta, gdzie żyli ich rodzice. A praprawnuki nie będą już znały nikogo, kto w ogóle ją widział na własne oczy.

– My zbędni jesteśmy też ciekawi, jak zamierzasz wyjaśnić reszcie kolonistów fakt, że znajdujemy się teraz jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat w przeszłości.

– A po co mam im cokolwiek mówić?

– Na wypadek gdyby niektórzy z nich sądzili, że następne statki są w drodze, by dowieźć zaopatrzenie.

– A mamy pewność, że nie przylecą?

– Czemu miałyby przylecieć? Na Ziemi nie wiedzą, że dokonaliście skoku.

Po prostu zniknęliście.

– Wprost przeciwnie – zauważył. – Na Ziemi wiedzą, że zniknęliśmy, co znaczy, że dokonaliśmy skoku. Dla nich oznaką niepowodzenia byłoby to, że lecielibyśmy dalej albo eksplodowali. A bez szczątków ani jakichś wykrywalnych dowodów naszej bytności mogą jedynie dojść do wniosku, że skok się udał. Wyślą za nami statki, a one dokonają skoku, przypuszczalnie podzielą się na dziewiętnaście kopi i cofną się o jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat w przeszłość. Zaopatrzenia powinniśmy więc mieć w bród.

– Zastanawialiśmy się nad tym – stwierdził zbędny.

– I nie znajdujemy powodu, czemu doszło do wstecznego skoku w czasie czy do replikacji statków. Z punktu widzenia komputerów i ich sensorów skok po prostu się powiódł. I faktycznie, bo mamy przed oczami nowy, wciąż nienazwany świat.

– Nie zapomniałem, że trzeba go nazwać – bąknął Ram z irytacją. – Ale czy to nie może poczekać?

– Co sekundę odbywa się dziesięć tysięcy rozmów między nami a komputerami pokładowymi. Nasze konwersacje byłyby o wiele bardziej wydajne, gdybyśmy mogli używać nazwy.

– Nie zapomniałem też twoich poprzednich uwag – zauważył Ram. – Skoro wytworzone przez nas pola spowodowały, że skoczyliśmy wprost do celu, to czemu mamy tu dziewiętnaście statków jedenaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat w przeszłości?

– Przez ciebie – odparł zbędny.

Gdy śniadanie miało się ku końcowi, Rigg wiedział, że jego prawdziwa praca dopiero się zacznie. Musiał czym prędzej pozyskać zaufanie matki – a mało prawdopodobne, że zmuszenie jej do publicznego okazywania uczuć było najlepszym pierwszym krokiem do tego celu. Jako że Param całe dnie spędzała w stanie niewidzialności, jedynie matka mogła jej przekazać wiadomość – tylko ona mogła zaskarbić Riggowi zaufanie Param, pośrednicząc w ich kontaktach.

Wstał.

– Matko, uchybiłbym powinnościom syna, gdybym nie pragnął gorąco dowiedzieć się czegoś o ojcu. Czy mogę zatem przyjść do twego pokoju, gdzie mogłabyś mi otwarcie opowiedzieć o nim i o dziedzictwie, które mi zostawił? – Odwrócił się do reszty towarzystwa przy stole. – Nie mam na myśli żadnych dóbr, jedynie moje ciało.

– Jak matka mogłaby chcieć czegoś bardziej niż rozmowy sam na sam z dawno niewidzianym synem? – powiedziała matka, wstając od stołu. – Nikt nie będzie miał nam tego za złe, mam nadzieję.

Flacommo również się podniósł.

– Prawo głosi, że nie wolno wam być bez nadzoru, ale pragnę oznajmić wszystkim, którzy mnie słyszą, że każdy, kto przeszkodzi temu wzruszającemu spotkaniu matki i syna, nie jest mi przyjacielem ani przyjacielem tego domu.

Piękna przemowa, ale Rigg wiedział, że to puste frazesy.

Gdy razem z matką wychodzili z jadalni – zgrabnie omijając niewidzialną Param, idącą wzdłuż ściany – rzekł cicho:

– Zapewne wiesz, że twój pokój jest pod stałą obserwacją.

Zesztywniała, ale nie zmyliła kroku.

– Nie jest – odparła.

Szli korytarzem zawieszonym wielkimi obrazami przedstawiającymi sceny zupełnie Riggowi nieznane.

– W ścianach są ukryte przejścia – wyjaśnił. – Ktoś tam siedzi i obserwuje cię zawsze, gdy jesteś w pokoju.

Matka przystanęła. Teraz w korytarzu nie było nikogo innego... jeszcze.

– A skąd możesz to wiedzieć, jeśli sam nie jesteś szpiegiem?

– Na swój sposób jestem tak utalentowany jak Param – szepnęła Rigg. – Gdy dojdziemy do pokoju, stanę przed wizjerem, przez który ten szpieg cię podgląda. Jeśli ma tam inny wizjer, przeniesie się do niego, a wtedy ja stanę przed tym następnym.

– Nigdy nie byłeś w tym domu, nawet w dzieciństwie – gniewnie odszepnęła matka.

Widać nie zastanawiało ją nic poza tym, skąd on ma takie informacje, i nie mieściło jej się w głowie, że na tym świecie jest więcej utalentowanych ludzi, nie tylko Param.

Rigg objął ją czule, przez co jego usta znalazły się tuż przy jej uchu.

– Potrafię wyczuć i prześledzić ścieżki wszystkich ludzi w czasie. Widzę wszystkie ścieżki z ostatnich dziesięciu tysięcy lat. Widzę Param. A was dwie obserwowano zawsze, gdy byliście same.

Odsunął się od matki, posyłając jej swój najszczerzy, najczulszy uśmiech, i dodał:

– Wiem, że prywatność musi być dla ciebie bezcenna, tak mało jej masz. Dziękuję, że zabierasz mnie tam, gdzie czujesz się najbardziej bezpieczna.

Na wieść, iż razem z Param cały czas są obserwowane, zbladła jak kreda. Czy naprawdę sądziła, że Rada Rewolucyjna zostawi je w spokoju? A po zniknięciu królewskiej córki naprawdę sądziła, że Rada zadowolili się jej wytłumaczeniem i nie będzie dziewczyny szukać?

Czyżbym był mądrzejszy niż ona?

Nie, nie jestem mądrzejszy. Mam dar, który pozwala mi zobaczyć to, czego nikt inny nie może; znajomość sekretnych informacji to nie to samo co mądrość.

Gdy zbliżali się do komnaty, Rigg widział wszystkie ścieżki matki w korytarzu.

Przechodziła tędy tysiące razy. Permanentnie obserwowana, wiecznie podejrzana, nienawidzona przez wielu, pogardzana. Jak ona to znosiła przez tyle lat?

Może ona też czuła siłę przyciągania nadziei i tęsknot wielu innych w tej krainie, którzy pragnęli przywrócenia monarchii. Może w głębi serca była jednak królową, znosząc wszystko, co trzeba, dla

dobra swego ludu.

A może, idąc z Riggem do swej komnaty, obmyślała, jak go zabić.

Nie, upomniał się. Postanowiłem jej zaufać i uczciwie zapracować na wzajemność w tym względzie. Żadnych wątpliwości, żadnych dylematów. Albo pokocham matkę, albo nie, ale żadnych rozwiązań pośrednich.

Słyszał głos ojca: „Dla dzieci miłość to uczucie; dla dorosłych to decyzja. Dzieci czekają, by przekonać się, czy ich miłość jest prawdziwa, patrząc, jak długo trwa; dorośli czynią ją prawdziwą, wykazując się niezłomnością w swym postanowieniu”.

No cóż, Rigg wiedział już o świecie wystarczająco dużo, by podejrzewać, że według tej definicji dorośli zdarzali się rzadko, a dzieci są w każdej grupie wiekowej. To jednak nie zmieniało faktu, że Rigg, chcąc nie chcąc, musiał oceniać się według tej miary. Będę kochał tę kobietę, dopóki ona mi na to pozwoli.

Matka otworzyła drzwi – nie miały zamknięcia. Gdyby surowo przestrzegano prawa, nie byłoby żadnych drzwi, lecz, jak Rigg się domyślał, dla Rady Rewolucyjnej było wygodniej dawać rodzinie królewskiej złudne poczucie prywatności.

Wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą. Poudawał trochę, że ogląda ściany, choć wiedział, gdzie przykucnął szpieg na służbie, z okiem przy wizjerze.

– Czy oni specjalnie poznajdowali najgorsze dzieła sztuki, by je tu powiesić?

– Byłeś bogaty przez ile? Trzy tygodnie?

– Bardzo szybko przywykłem.

– I przy okazji stałeś się specjalistą w sprawach sztuki?

– Matka była tylko nieco ironiczna.

– Jestem specjalistą w sprawach własnych upodobań. Nikt nie maluje wiernie, obrazy zawsze są płaskie, nigdy nie oddają gęstości powietrza. Tak więc odkryłem – jako chwilowo bogaty chłopak w O – że najbardziej przemawiają do mnie te obrazy, które nie starają się odzwierciedlać rzeczywistości. Najbardziej podobały mi się te bardzo stare, z czasów gdy O

było stolicą małego cesarstwa, bez porównania mniejszego niż... ziemie pod rządami Rady Rewolucyjnej. O mały włos, a powiedziałaby „Kosmoland”, ale to nazwa z czasów sprzed pojawienia się plemienia Sessamoto, a nie miał jeszcze pewności, jak matka na nią zareaguje.

– Niemożliwe, żeby uchowały się jeszcze jakieś obrazy ze złotej ery tego miasta. To były tylko kopie.

– Kopie kopii kopii – rzekł Rigg. – Ale każdą z nich okrzyknięto wierną reprodukcją poprzedniczki.

– Lecz zanim jakiś artysta zaczął kopiować, kopia, z której kopiował, była już podniszczona. Wcale niewykluczone więc, że oryginał był równie pseudorealistyczny jak te, które nie przypadły ci do gustu, a jedynie kopiowanie go przez wiele pokoleń doprowadziło do tej nierealności, którą podziwiasz.

– Nie podziwiam ich mniej za tę niezamierzoność – odparł Rigg. Stał teraz wprost przed wizjerem, do którego nachylał się szpieg. – Tutaj – dodał – jest najlepszy widok.

Matka skinęła głową i zmarszczyła czoło. Niewątpliwie rozpamiętywała, co zachodziło w polu widzenia tego miejsca.

Szpieg się przemieścił. Niebawem jego nowa ścieżka przestała się formować. Musiał stać na czymś, gdyż wizjer znajdował się wyżej. Rigg nie mógł go zasłonić ciałem. Przyłgnął do ściany tuż pod drugim judaszem i rzekł:

– Wiem, matko, że ty nigdy nie spojrzysz na to z mojej perspektywy, gdyż niektórzy patrzą na to

z wyższością. – I wskazał ręką do góry.

Matka była dość czujna, by zrozumieć jego ostrzeżenie – „ty nigdy nie spojrzysz” – i nie spoglądać wprost w stronę drugiego wizjera. A teraz dowiedziała się, gdzie znajdował się martwy punkt – z perspektywy tych dwóch judasz – gdyż Rigg stał w jego obrębie.

Po ścieżkach przechadzek Param po tym pokoju Rigg widział, że jego siostra prawie w ogóle nie zatrzymywała się w martwym punkcie. A to znaczy, że zawsze, kiedy stawała się widzialna – by zjeść, spać, umyć się, przebrać w czyste ubrania lub skorzystać z nocnika – była pod obserwacją. I to tyle, jeśli chodzi o prywatność. I sekret jej nie widzialności.

Ale trzeba było matce przyznać – nie okazała żadnych emocji poza tymi, które stanowiły naturalną reakcję na słowa syna. Rozumiała oczywiście wagę tego, by nie dawać szpiegom żadnego powodu do podejrzeń, że ich obecność została odkryta. Jednakże byłoby całkowicie zrozumiałe, gdyby przeniosła nocnik w obręb martwego punktu. Lub toaletkę.

– Jeszcze nie zdecydowałam, czy cię lubię – zagadnęła matka. – Wydajesz się zarozumiała. Nam przetrwać pozwoliła pokora. I pełna lojalność. Nie dałyśmy Radzie żadnego powodu do przypuszczeń, że jesteśmy zagrożeniem dla Republiki – bo nie jesteśmy.

Nie robimy nic nadzwyczajnego, więc nie rzucamy się nikomu w oczy. Nie liczymy się. Ale ty swoim zachowaniem narażasz nas na niebezpieczeństwo. Pewnie już jesteś na językach wszystkich. Trudno się spodziewać po służących, że nie rozpoviedzą plotek o tobie.

– Tak, teraz to rozumiem – przyznał Rigg. – Wybacz mój egoizm. Od teraz będę tak pokorny, niewinny i nudny, jak to tylko możliwe. – W domyśle: „Teraz, gdy wszyscy już wiedzą, że żyję i jestem tu, w tym samym domu co ty, mogę sobie pozwolić na rozwałę”. Ale był pewien, że ona rozumie jego zamysł.

– Co więc zamierzasz z sobą zrobić?

– Jestem w Aressa Sessamo – odparł, jakby to miało wystarczyć za całą odpowiedź.

– Ależ nie. Jesteś w tym domu. Tyle samo stolicy byś zobaczył, tańcząc na Pierścieniu.

– Nie rozumiałaś mnie, droga matko. Nie mam zamiaru wychodzić na ulicę, między tłum. Ale ja i mój ojciec – to znaczy człowiek, którego nazywam ojcem – zawsze pragnęliśmy przybyć tutaj, by kształcić się w bibliotece.

– W Aressa Sessamo jest kilkaset bibliotek, a nie będzie ci wolno odwiedzić żadnej z nich.

– Doskonale rozumiem. Ale biblioteki zgrupowane w Wielką Bibliotekę Aressa nie są aby publiczne? Czy uczeni nie mogą wypożyczać z nich książek?

– Sugerujesz, że jesteś uczonym? – Matka wyglądała na rozbawioną.

– Moim jedynym profesorem był ojciec, ale sądzę, że to wystarczyło. Ale na niektóre pytania nie zdążył odpowiedzieć przed swą śmiercią, a na niektóre nie znał odpowiedzi. W

Wielkiej Bibliotece jest cała nauka, która przetrwała dziesięć tysięcy lat po tej stronie Muru.

Jeśli odpowiedź istnieje, chcę ją poznać.

– A czemu to miałyby służyć?

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego zbudowano Wieżę O. Dowiedzieć się, co wiadomo o krainach poza Murem. Czy tam też żyją ludzie? Czemu w ogóle go zbudowano? Bo nie może być przecież tworem naturalnym – ktoś ten Mur postawił. Teraz już rozumiesz?

– A po co ci te odpowiedzi?

– Po to, żeby je znać! – zakrzyknął Rigg z pasją. – A jeśli Rada uzna, że wiedza, którą nabędę, przyda się innym, opublikuję moje odkrycia. Czy to trudno zrozumieć? Dopóki nie pozwalają nam nic robić, jesteśmy tylko byłą rodziną królewską. Ale jeśli stanę się wiarygodnym uczonym, publikującym prace, które inni naukowcy chcieliby czytać, już nie będę wyłącznie członkiem rodziny

królewskiej, prawda? Będę uczonym!

– Królewskim uczonym.

– Oczywiście. Ale z czasem, po latach, będę staruszką, o wiele lepiej znaną z rozpraw i publikacji niż z królewskiego rodowodu. Nikt nie będzie się mnie obawiał, nikt nie będzie pokładał we mnie irracjonalnych wywrotowych nadziei. Ani w nikim z naszej rodziny, bo będziemy już innymi ludźmi.

– I tak nie pozwolą nam pójść do biblioteki.

– Może jednak twój drogi przyjaciel Flacomo wyśle służącego, by zaniósł moje listy do bibliotekarzy i pomógł mi znaleźć potrzebne książki.

– Nie jesteś uczonym – przypomniała matka. – Flacomo powie ci to samo.

– Więc zaprosimy uczonych, niech tu przyjdą, przepytają mnie i sami ocenią, czy jestem uczonym na tyle, by przyznać mi dostęp do biblioteki. Nie proponuję, że musimy rozmawiać twarzą w twarz – nie chciałbym, żeby jakiś uczonec, w ogóle niezainteresowany polityką, wbrew swej woli został zmuszony do kontaktu z nami. Ale niech usiądą w innym pokoju i posyłają mi pisemne pytania. Odpowiem na nie ustnie, by mogli słyszeć mój głos i zyskać pewność, że nikt nie podsuwa mi odpowiedzi. Zdam się w pełni na ich osąd.

– Czemu jakimkolwiek uczonemu miałoby się chcieć to robić?

– Nie wiem. Ale może zechcą.

– Dobrze, porozmawiam z Flacomo.

– Powiedz mi, że mój ojciec był niezwykłym człowiekiem. Słuchanie jego nauk to jak uczęszczanie do najlepszej szkoły po tej stronie Muru.

– Chyba najlepszej szkoły w Republice? – poprawiła matka.

– To oznacza to samo.

– Ale ktoś mógłby pomyśleć, że mówisz „po tej stronie Muru”, by nie powiedzieć „w Republice”.

Rigg raptem spochmurniał.

– O tym nie pomyślałem. Od tej pory będę mówił „w Republice”. Żeby nikt nie pomyślał, że pomijam lub lekce sobie ważę Radę Rewolucyjną. A uznaję Radę i Mur za równie wiecznotrwałe.

– Martwi mnie jeszcze jedno – dodała matka. – Twój ojciec... twój prawdziwy ojciec, a mój mąż, ukochany i nieodżałowany Knosso Sessamik, miał obsesję na punkcie Muru i wiedzy o nim. Całe życie poświęcił teoretycznym poszukiwaniom drogi przez niego. I zginął, próbując tego dokonać.

– Pierwszy raz słyszę, żeby Mur kogoś zabił.

– Knosso obmyślił sobie, że przepłynie przez Mur w łodzi.

– Ale chyba tego już próbowano? Pewnie nawet tysiące razy, przez przypadek, jeśli nie naumyślnie, na przykład gdy sztorm porwał jakiegoś rybaka i zniósł na Mur.

– Wiesz przecież, że Mur doprowadza do szaleństwa tych, którzy próbują przez niego przejść. Im bliżej podchodzą, tym bardziej wariują, aż w końcu uciekają z krzykiem albo zupełnie tracą rozum i błąkają się w otępieniu, z którego nigdy już nie wychodzą. Rybacy, którzy zostali zniesieni poza Mur, na pewno oszaleli, nim ich łodzie przedostały się na drugą stronę. Nie wrócił nikt.

– A ty, matko, podzielałaś zainteresowania mojego ojca?

– Skądże znowu! Ale kochałam go, wysłuchiwałam więc jego teorii i próbowałam służyć mu, tak jak teraz tobie, dając wyraz moim wątpliwościom.

– Powiedz mi więc, jak zdaniem ojca można było rozwiązać ten problem.

– Zamyślił sobie przekroczyć Mur, gdy będzie nieprzytomny. Chirurdzy znają pewne zioła.

Tworzą z nich roztwory lub koncentraty, a potem wstrzykują pacjentowi, zanim wezmą go pod nóż. Taki człowiek nie zbudzi się z bólu, choć jest krojony żywcem. A po kilku godzinach budzi się sam, zupełnie nie pamiętając operacji.

– Słyszałem, że to było możliwe w przeszłości. I że tajemnice tych ziół zginęły w pomroce dziejów.

– Zostały odkryte na nowo.

– W Wielkiej Bibliotece?

– Przez twojego ojca, Knosso. Bo widzisz, nie ty pierwszy pomyślałeś, żeby zostać uczonym.

– No proszę! – zakrzyknął Rigg. – I pozwolili ojcu Knosso korzystać z biblioteki?

– Owszem – przyznała matka. – We własnej osobie. Chodził tam na piechotę, to niedaleko.

– I chirurdzy w Aressa Sessamo... i w ogóle po tej stronie Muru... znaczy się, w Republice, tylko na tym zyskali!

– Twój ojciec był w łódce spuszczonej na łagodny prąd przebiegający przez Mur na północy, daleko od zachodniego wybrzeża. Sam wstrzyknął sobie dawkę, która zdaniem lekarzy była odpowiednia, by człowiek o jego wadze spał głęboko przez trzy godziny. Do łodzi przymocowano pływaki, by się nie wyróciła nawet po uderzeniu w przybrzeżne fale. I zabrał z sobą więcej dawek, by potem mógł powiosłować w drugą stronę, wpłynąć w przeciwny prąd, powtórzyć cały proces i do nas powrócić.

– Przeplłynął Mur?

– Tak, ale trudno powiedzieć, czy oszalał. Bo umarł we śnie.

– A wiecie to, bo nie powrócił?

– Wiemy to, bo ledwie znalazł się za Murem, jego łódź zatoneła.

– Jak to?!

– Naukowcy obserwowali go przez lunety z odległości niemal pięciu kilometrów. Pływaki odpadły i łódź poszła na dno. Od razu, jak kamień w wodę. Na kilka chwil Knosso wynurzył się jeszcze na powierzchnię, a potem utonął.

– Czemu łódź zatoneła?

– Niektórzy mówią, że przy niej majstrowano, że pływaki były tak przywiązane, by odpaść, i że na dnie celowo zrobiono dziurę zamkniętą korkiem rozpuszczalnym w słonej wodzie.

– A więc został zamordowany.

– Niektórzy tak twierdzą – przyznała matka. – Jeden z uczonych, który to wszystko obserwował, astronom Tokwire, korzystał z lunety, którą sam wykonał, pełnej luster, więc inni uczeni nie dowierzają jego obserwacjom. Lecz on się zarzeka, że widział zatonięcie łodzi twojego ojca wyraźniej niż inni, i mówi, że zobaczył ręce wynurzające się z wody, które najpierw oderwały pływaki, a potem pociągnęły łódź na dno.

– Ręce? Ludzkie ręce?

– Nikt mu nie uwierzył. A on wkrótce przestał o tym mówić, z obawy, że upieranie się przy swoim mogłoby go zdyskredytować w środowisku.

– Ty mu wierzysz.

– Wierzę, że nie mamy pojęcia, co jest po drugiej stronie Muru.

– Myślisz, że żyją tam podwodni ludzie? Potrafiący oddychać w wodzie?

– Nic nie myślę. Nigdy nie mówię „możliwe” ani „niemożliwe”.

– Ale on przeplłynął przez Mur.

– I już się nie obudził.

– Czemu ludzie... w Republice... o tym nie wiedzą?

– Bo nie chcieliśmy, by tysiące głupców postanowiło spróbować i by spotkał ich ten sam los.

– A jeśli po tamtej stronie jednak żyją podwodni ludzie? – zapytał Rigg. – Oni też nigdy nie przekroczyli Muru! Czy rozumieliby chociaż, czym są nasze łódki? Mogli przecież pomyśleć, że skoro ojciec Knosso wygląda jak oni, to też może oddychać pod wodą.

– Nie wiemy, jak wyglądają.

– Wiemy, że mają ręce.

– Wiemy tyle, że Tokwire widział coś, co nazwał rękami.

– Matko, rozumiem, że nie powinno się powtarzać zamysłu ojca, ale bardzo chciałbym zobaczyć jakieś jego zapiski, a jeśli to niemożliwe, przeczytać wszystko, co pożyczał z biblioteki. Żebym wiedział to, co on albo przynajmniej domyślał się tego co on. Klnę się na wszystkie świętości, że nie jestem na tyle głupi, by próbować przejść przez Mur, z pewnością nie w stanie nieprzytomności i na pewno nie w łodzi. Bo jeśli byłbym za głupi, by uczyć się na błędach innych, to żaden ze mnie uczony.

– Przyznaję, bardzo mi ulżyło. Jednak serce zamiera mi z przerażenia, bo nawet dzień nie minął od twego przybycia, a ty już myślisz, żeby pójść w ślady swego ojca i powtórzyć jego badania.

– Mur ciekawił mnie już od dawna, jeszcze zanim opowiedziałaś mi o tym eksperymencie, matko. Powtórzenie jego badań może mi oszczędzić dużo czasu, ale mam własne pomysły.

– Zapytam Flacommę, co da się zrobić w sprawie biblioteki. Ale obiecaj, że pozwolisz mi sobie służyć, tak jak służyłam twemu ojcu. Przychodź do mnie i opowiadaj o wszystkim, co odkryłeś, co cię zastanawia, czego się domyślasz.

– Tutaj? – zdziwił się Rigg. – To twoja prywatna komnata, matko. Już teraz czuję się nieswojo, wiedząc, że nie powinienem tu być.

– A gdzie indziej, o ile nie chcemy zanudzić reszty domowników naszymi długimi dyskusjami naukowymi?

– W ogrodzie – zaproponował. – Wśród drzew, krzewów i kwiatów, na łonie natury.

– Zapominasz, że zima tuż za pasem.

– Wiele zim przeżyłem na wysokich partiach Stromogóru, śpiąc pod gołym niebem noc za nocą.

– A niby jak to ma mnie ogrzać tutaj, w tym ogrodzie, tej zimy?

– Będziemy rozmawiali tylko w słoneczne dni. Może moja siostra zechce nam towarzyszyć. Usiądziesz na ławce pomiędzy nami, poczujesz ciepło miłości swych dzieci i nie zmarzniesz!

– O ile twoja siostra zgodzi się wyjść ze swego azylu.

– Azyl, który nie dopuszcza jej jedyne go brata, tak dawno utraconego i dopiero co odzyskanego, to azyl przesadny moim zdaniem.

– Tu akurat jej zdanie się liczy.

– A więc ona nie słucha twych rad?

– Słuchanie to jeszcze nie posłuszeństwo.

– Chodź, oprowadź po domu, matko! – zaproponował Rigg. – Jak widzę, zbudowano go na dawną modłę.

– Ach, więc znasz się też na architekturze?

– Jestem uczonym! Ciekawią mnie zabytki przeszłości. A zwłaszcza stare budownictwo.

Możesz sobie wyobrazić, jak zachwycała mnie Wieża O.

– Nie mogę. Nigdy jej nie widziałam.

– To ci naszkicuję.

– Szkice akurat widziałam – rzuciła z irytacją.

– Ale moich nie widziałaś! – upierał się. – Nie daj się prosić, chodź ze mną, obejrzymy ten

dom.

Pomógł jej wstać i razem zaczęli iść przez korytarze, trzymając się za ręce. Param, niewidzialna, została w komnacie.

Gdy Rigg wyczuwał blisko czyjaś ścieżkę, mówił na obojętne tematy. Gdy jednak wiedział, że nikogo nie ma w pobliżu i nikt ich nie może usłyszeć, blisko się ku niej nachylał i opowiadał o sobie. A także o Umbie i Bochnie, o cofaniu się w czasie, o klejnocie – nawet teraz wspominał tylko o tym jednym – o swoim pobycie na łodzi wraz z generałem Obywatelem, o tym, jak Krzykacz próbował go zabić, o własnych niepowodzeniach z cofaniem się w czasie bez pomocy Umba. Przysłuchiwała się temu w milczeniu, nie przerywając.

Ona powiedziała mu niewiele, ale przeprosiła za fakt, że niewiele to wszystko, co wie.

Talent Param wymykał się ludzkiemu pojęciu. Nawet w niemowlęctwie czasem nie sposób jej było znaleźć, a potem ni stąd, ni zowąd pojawiała się gdzieś w domu głodna i zmarznięta.

Kilka guwernantek odprawiano, gdyż nie potrafiły jej dopilnować. W końcu przeniesiono Param wraz z matką do domu Flacomm, ponieważ jest otoczony murami i nie można stąd uciec.

– A ja sądzę, że to z powodu tych wszystkich ukrytych przejść – stwierdził Rigg. – By mogli mieć ją na oku i obserwować, co robi.

– Zatem wiedzą zapewne tyle co ja. Kiedyś działo się tak tylko wtedy, gdy się wystraszyła – odwracała się, by uciec, a potem znikwała.

– A więc nauczyła się nad tym panować?

– Teraz nie strach to napędza, tylko odraza. Brzydzi ją towarzystwo innych. Oprócz mnie.

– Ale nie zawsze tak było.

– Niegdyś miała wielu przyjaciół. Dworzan, uczonych, kupców – pana Flacomm odwiedzało wielu gości, a niektórzy bardzo polubili Param. Mówiła mi, że jeden z uczonych pomógł jej zrozumieć tę niewidzialność. Przez przypadek powiedział jej coś, dzięki czemu opanowała ten dar, by znikać tylko wtedy, gdy chce, i na tyle długo, na ile chce.

– Musiał to być wielki mędrzec.

– To był przypadek – powtórzyła matka. – Ten człowiek nie miał pojęcia, że to, co mówi, było jej pomocne, gdyż nie mógł wiedzieć o jej niewidzialności. Ta wieść akurat się nie rozniosła. Wszyscy służący i dworzanie wierzą, że Param jest po prostu bardzo nieśmiała i ukrywa się, gdy nie życzy sobie towarzystwa. Zabroniono im jej szukać, choć oczywiście i tak jej nie znajdują, gdyby tego nie chciała.

– Przekaż jej, proszę, że błagam, by udawała się z nami na przechadzki po ogrodzie.

– Błaganie na nic się nie zda. I tak zrobi po swojemu.

– Powiedz jej, że przepraszam, iż przez nią przeszedłem.

– Słucham?! Co zrobiłeś?

– Wiedziałem, gdzie jest, i przez nią przeszedłem.

– Czy to możliwe?!

– Och, jestem całkiem pewien, że to dość często się zdarza. Była dziś z nami w jadalni.

Gdy wychodziliśmy, postarałem się, byśmy ją okrążyli, lecz gdy jest niewidzialna, nie może się poruszać dość szybko, by zejść ludziom z drogi. Przeważnie trzyma się tuż przy ścianach, ale nie wierzę, że pierwszy raz ktoś przez nią przeszedł.

– Nigdy mi o tym nie mówiła.

– Nie chce cię martwić. A już na pewno nie chce, żebyś próbowała zgadywać, gdzie jest, i starała się ją obchodzić.

– Nigdy jej nie spotkałeś, a teraz mówisz mi, czego ona chce lub nie chce?

– Owszem – odparł Rigg. – Bo to oczywisty domysł. I wyjaśnia, czemu jej ścieżka tak się wiję i skręca, i czemu Param trzyma się ścian.

Zwiedzili już cały dom – każde piętro, każdy pokój, każdą wnękę – oprócz prywatnych kwater Flacommo, kilku zamkniętych drzwi i tajnych korytarzy. Minęli kilka ukrytych wejść, lecz Rigg jedynie zapamiętał ich położenie. Wróci tam później. Gdyby przyłapano go na węszeniu koło wejścia, niech tylko on będzie podejrzewany o nieczne zamiary.

Matka udała się do swej komnaty, a Rigg wrócił do kuchni, gdzie dzienna zmiana przygotowywała ciasta na wieczorne wypieki. Podobała mu się ta symetryczna zależność, że dwie piekarki musiały piec to, co sobie nawzajem przygotowały. Oraz to, że Lolonga najwyraźniej rywalizowała z siostrą. Dawała Riggowi więcej tego wyśmienitego chleba niż Elella. Jedno było pewne: Rigg nie umrze tu z głodu.

Zaczął pomagać kucharzom, w ogóle nie próbując robić tego, co pomocnicy piekarki, bo wszystko mógłby zepsuć. Dla kucharzy biegał na posyłki, nauczył się rozróżniać – po nazwie, wyglądzie, zapachu i zastosowaniu – wszystkie zioła z przykuchennego ogrodu i podobnie jak każdy inny kuchcik musiał znosić głośnie łajanie. Nie minęło wiele czasu, a służący, którzy spali we wnęce za paleniskiem, uznali go za swojego. Rozmawiali jak równy z równym, przy czym on mówił językiem górniaka z Wodobrodu, pozwalając naśmiewać się z tego do woli.

– Który głos jest prawdziwym głosem Rigga? – zapytał Długi pewnego dnia.

– Każdy, który wychodzi z moich ust.

– Jak to możliwe, że ten nieokrzesany wieśniak z gór, z tymi jego sprośnymi żarcikami i śmiesznymi opowieściami o życiu na prowincji, jest tym samym chłopcem, który przemawia z tak wyszukaną podniosłą manierą i razi dworzan swym ciętym językiem?

– Doprawdy? Nie pamiętam, żebym kogoś poranił.

– Gdy ktoś się z nich śmieje, są skończeni. A ty dobiłeś już kilku, nie ośmielają się więcej przyjść do tego domu.

– Ktoś za nimi tęskni?

Długi tylko się zaśmiał.

– Łowca, który nosi broń tylko jednego rodzaju – tłumaczył Rigg – już zdecydował, że wiele zwierzyny jest poza jego zasięgiem.

– A ty masz broń zarówno prowincjonalnej mądrości, jak i dworskiej, tak?

– Powiedzmy, że po połowie każdej.

– Czy dwa półgłówki dają razem pełną główkę?

– Nie no, teraz się doigrałeś! – zakrzyknął Rigg i przez kilka chwil tarzali się w przykuchennym ogrodzie, kuksając się po przyjacielsku. Zaraz jednak przypomnieli sobie o obowiązkach i wrócili do pracy bez czekania, aż ktoś ich zruga.

Odpowiedź nadeszła po tygodniu. Flacommo ogłosił ją podczas obiadu.

– Rigg, przedłożyłem twoją sprawę Radzie Rewolucyjnej i postanowiono, że zbyt wielkim trudem dla bibliotekarzy byłoby odpowiadanie na twoje nieskończone prośby i przesyłanie książek tam i z powrotem.

Rigg nie okazał rozczarowania, gdyż Flacommo tylko udawał smutek – najwyraźniej miał dobre wieści.

– Jednakże jeśli grupa uczonych uzna cię za godnego włączenia w swój poczet, raz dziennie i pod eskortą będzie ci wolno pokonać trasę do i z biblioteki. Możesz zostać tam, jak długo chcesz, choć nie dłużej niż do kolacji.

Rigg skoczył na równe nogi i wydał z siebie chłopięcy, górniacki, nietaktowny, a z pewnością

niegodny księcia okrzyk radości. Wszyscy się roześmiali, nawet matka.

Rozdział 17

UCZONY

- *Naszym imperatywem – rzekł zbędny – nie jest służenie jednostce kosztem całego gatunku, lecz zachowanie i rozwój rodzaju ludzkiego nawet kosztem oplacalnej liczby jednostek.*
- *Oplacalnej – powtórzył Ram. – Ciekaw jestem, jak oceniacie wartość ludzkiego życia.*
- *Równno.*
- *Równno względem czego?*
- *Względem każdego innego człowieka.*
- *Możecie więc zabić jednego, by ocalić dwóch.*
- *Albo miliard, by doprowadzić do okoliczności, które umożliwią narodziny miliarda i jednego.*
- *Chłodna kalkulacja.*
- *Tacy już jesteśmy – wyjaśnił zbędny. – Ale surowe liczby nie oddają choćby ułamka naszego imperatywu.*
- *No to ciekaw jestem, na podstawie czego, oprócz liczb, oceniacie przetrwanie i rozwój rodzaju ludzkiego.*
- *Na podstawie wszystkiego, co zwiększa zdolność przetrwania rodzaju ludzkiego w obliczu zagrożeń.*
- *Zagrożeń?*
- *Najbardziej prawdopodobne przyczyny wymarcia gatunku, w porządku malejącym: zderzenie z meteorytami powyżej określonej masy i prędkości; erupcja wulkanów wydzielająca więcej niż określoną ilość określonego rodzaju ejektamentów; epidemie powyżej określonego współczynnika umieralności i zaraźliwości; wojna z użyciem broni ponad określony poziom trwałości poczynionych zniszczeń; zjawiska gwiazdne obniżające szanse na przetrwanie życia...*
- *Wydaje mi się – przerwał mu Ram – że jeśli uda nam się założyć samowystarczalną ludzką kolonię na tym nowym świecie, unicestwienie całego gatunku stanie się niemożliwe.*
- *A jeśli uda nam się założyć dziewiętnaście samowystarczalnych ludzkich koloni ...*
- *Wszystkie będą w równym stopniu dotknięte przez te zagrożenia z twojej listy, jeśli przydarzą się tej planecie lub tej gwiazdzie. Jedno fatalne zderzenie z meteorytem zmiecie wszystkie dziewiętnaście koloni .*
- *Otóż to.*
- *A mimo to chcesz, żebyśmy utworzyli dziewiętnaście, a nie jedną.*
- *Owszem.*
- Długa cisza.*
- *Czekasz, aż podejmę decyzję w jakiejś sprawie.*
- *Tak.*
- *Musisz sprecyzować, o co chodzi.*
- *Nie możemy pomyśleć o czymś, o czym pomyśleć nie możemy. To byłoby nie do pomyślenia.*
- Ram w milczeniu oddał się dłuższej refleksji. Do głowy przyszło mu wiele pomysłów, jakąż to decyzję musi podjąć. Tylko kilka wypowiedział na głos, a zbędny za każdym razem potwierdzał, że byłaby to użyteczna decyzja, ale nie ta kluczowa.*
- Decyzja, która wyjaśniałaby znaczenie utworzenia dziewiętnastu koloni dla zachowania i rozwoju rodzaju ludzkiego. Ram rozważył każdą decyzję, którą należało podjąć, nie wyłączając*

stopnia zniszczenia rdzennej flory i fauny, czego może wymagać całe przedsięwzięcie, a zbędni zgodzili się, że poczyni się wszelkie starania, by stworzyć pełne i reprezentatywne archiwum genetyczne, bank nasion i zarodków rdzennych form życia tej planety, by wszystko, co zostanie zniszczone podczas zakładania koloni, mogło być przywrócone w późniejszym czasie.

Jednak i ta decyzja nie było tą kluczową.

Wtem, pewnego ranka, nagle zrozumiał, no co czekają zbędni.

Uświadomił to sobie, gdy zastanawiał się nad sensem tego, że i komputery, i zbędni uważają, że przez niego doszło do sklonowania statku i cofnięcia się w czasie. Większość ludzi nie może zmienić kierunku upływu czasu. Może nikt nigdy tego nie dokonał. A jeśli to prawda...

– Jestem człowiekiem – rzekł Ram, być może z przesadnym naciskiem.

– Dziękuję.

– Czy to pełna decyzja, której chcieliście?

– Jeśli to pełna decyzja, której ty chcesz, nam to wystarczy.

To była tak dwuznaczna odpowiedź, że Ram domagał się kategorycznego wyjaśnienia.

– Nie ma co wyjaśniać – stwierdził zbędny. – Jeśli to jest twoja pełna decyzja, całkowita i ostateczna, dostosujemy się do niej.

– A zatem to nie jest moja ostateczna decyzja, póki nie zrozumie wszystkich jej konsekwencji.

– Ludzki mózg nie jest zdolny do zrozumienia wszystkich konsekwencji czegokolwiek. Za krótko żyjecie.

Ram uznał, że nadszedł czas, by opisać sytuację, tak jak ją rozumiał, własnymi słowami.

– Wydaje się, że potrzeba wam definicji rodzaju ludzkiego, zanim zaczniecie planować kolonie. A to znaczy, że bierzecie pod uwagę okoliczności, w których ta definicja jest wątpliwa.

– Bierzemy pod uwagę miliard okoliczności.

– Ale nie wszystkie?

– My też nie żyjemy wiecznie.

Ramowi przyszło do głowy inne pytanie.

– Macie dowody, że na tej planecie istnieje gatunek o inteligencji na poziomie ludzi?

– Nie.

– Albo powyżej tego poziomu?

– Też nie.

A więc nie próbują wpasować obcego gatunku w definicję człowieczeństwa, pomyślał Ram. Potrzebują jednak gwarancji, że to, kim jestem, mieści się w definicji rodzaju ludzkiego. W przeciwnym razie wykorzystaliby mnie, by zapewnić przeżycie kolonistów i ich potomstwa, lecz moje genetyczne przetrwanie nie byłoby zapewnione, bo tak bardzo różnię się od innych istot ludzkich, że coś w mojej głowie wpłynęło na kierunek upływu czasu i strukturę rzeczywistości.

Tę różnicę mogą odziedziczyć moi potomkowie. Co więcej, żyjąc tu w izolacji od reszty rodzaju ludzkiego przez co najmniej jednaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat, kto wie, jakie jeszcze różnice mogą się wytworzyć między nami a ludzkością na Ziemi?

Ram postarał się wysłować możliwie precyzyjnie, niczym naukowiec lub prawnik:

– Definicja rodzaju ludzkiego powinna mieścić w sobie obecną gamę genetycznej różnorodności i wszystkie przyszłe wariacje, pod warunkiem że nie będą stanowiły potencjalnego zagrożenia dla przetrwania ogółu rodzaju ludzkiego.

– Zbyt ogólnikowo.

– Na tym świecie i każdym innym – dodał Ram.

Zbędny nie odpowiedział.

Ram myślał przez chwilę i spróbował raz jeszcze.

– Rodzaj ludzki oznacza krzyżowo reprodukującą się pulę genów obecnie uznawanych za ludzkie, wraz z przyszłymi wariacjami ludzkiego genomu, nawet gdy nie mogą się one reprodukować krzyżowo z obecną pulą genów, pod warunkiem że przyszłe wariacje nie będą groziły całkowitą utratą lub znacznym osłabieniem szans przetrwania obecnej puli genów, zarówno w wyniku działania umyślnego, jak i nieumyślnego.

Zbędny milczał przez całe długie pięć sekund.

– Omówiliśmy twoją definicję, przeanalizowaliśmy jej konsekwencje do rozsądnego stopnia, i ją przyjęliśmy.

– Czyli dałem wam już to, czego chcieliście?

– Ambicja i chęć to ludzkie cechy. Dałeś to, czego nam brakowało.

Dzięki swej zdolności postrzegania ścieżek Rigg mógł w domu Flacommo wytropić wszystkich, którzy tu mieszkali, nieważne kiedy. Większość go nie interesowała. Uważnie śledził tylko ludzi, którzy bywali w tym domu przez ostatni rok – i ścieżki, które pokazywały mu bieg ukrytych przejść.

Próbował podążyć tropem szpiegów obserwujących domowników przez wizjery w ścianach, lecz gdy wychodzili z domu, obierali zawiłą drogę przez najruchliwsze ulice, niczym uciekinierzy brodzący przez strumień, by zmylić psy gończe szukające ich po zapachu. Pośród mętliku ścieżek w mieście nie potrafił ich śledzić. Zastanawiał się, czy nie wiedzą czasem o jego umiejętności, ale potem zobaczył, że krążyli w ten sposób na długo przed jego przybyciem do Aressa Sessamo. Niewykluczone, że szpiedzy chodzili po prostu głównymi ulicami jak wszyscy inni, a to zwykły przypadek, że ginęli w gąszczu ścieżek. A może chodzili okrężnymi drogami, by uniknąć obserwacji ze strony zwyczajnych agentów innego stronnictwa czy innej władzy.

Z pewnością nie służyli Flacommo. Jemu chyba nikt nie służył – nawet służący. Kucharze i piekarze przyrzadzali, co chcieli; gospodyni układała grafik według własnego uznania.

Flacommo błąkał się po domu bez wyraźnego celu, rozmawiając z tymi, których akurat napotkał. Był jak ciekawski brzdąc, wędrujący tam, gdzie działo się właśnie coś interesującego, a potem plątał się pod nogami.

Rigg nie miał pewności, czy w bibliotece znajdzie rozwiązanie swego problemu – co prawda widział ścieżki oplatające budynki biblioteki, która znajdowała się dość blisko, i choć były o wiele czytelniejsze i bardziej uporządkowane niż te na ulicy, żaden szpieg nigdy tam nie chodził.

Jeśli więc dostanie się do biblioteki, jego badania rzeczywiście będą próbą powtórzenia lektur ojca Knosso. Choć może Knosso wcale nie wiedział wiele. Nie trzeba mieć dogłębnej znajomości fizyki teoretycznej, by wpaść na pomysł przekroczenia Muru w stanie farmakologicznej nieświadomości.

Jednak ojciec Knosso zgłębiał tajemnice ludzkiego mózgu, by przygotować sobie środki znieczulające. A Rigg bardzo potrzebował zrozumienia zasady działania ludzkiego mózgu.

Własnego w szczególności, ale znajomością pracy mózgow Uмба, Param i Nox też by nie pogardził.

Zarazem nie pojmował, czemu miałyby mu zezwolić na pracę naukową. Jeśli królewski syn, którego samo istnienie jest zniewagą dla Rady Rewolucyjnej i matriarchalnej linii królewskiego rodu, czegoś chce, trzeba mu zabronić.

Najwidoczniej jednak było dość dużo zwolenników męskiej linii – albo dość ludzi, których zdaniem łatwiej będzie go zabić poza murami domu Flacommo – i pewnego poranka dom nawiedziło

gremium uczonych. Nieoczekiwanie i bez zapowiedzi.

– Nie chcieliśmy dawać ci żadnych szans na przygotowanie – wyjaśnił mu starszy pan, botanik, jak się zdawało, przewodniczący tego zacnego grona.

– Przygotowywałem się przez całe życie – odparł Rigg.

– To się rozumie samo przez się.

– Ciekaw jestem, jaki standard oceny państwo przyjmiecie. Czy muszę mieć taki sam poziom wiedzy jak państwo? Czy nie ma młodszych uczonych, którzy wiedzą mniej niż państwo, a mimo to są uczonymi?

– Twa wiedza nie interesuje nas tak bardzo jak twoja inteligencja.

– A czy wśród państwa nie zdarzają się mniej inteligentni uczeni?

– Wielu łatwo zapomina o sprawach podstawowych dla życia codziennego – odparł botanik – ale wszyscy szybko rozumują, zauważają nielogiczność, błąd czy nieprawdopodobieństwo. A dla twojej wiadomości, test już się rozpoczął i nie wiem, czy podobają mi się twoje ostrożne próby wpłynięcia z góry na nasze pryncypia.

– Wyciąga pan pochopny wniosek, że moim celem jest wpłynięcie na nie, a nie zwykła ciekawość, by je poznać.

– Poznanie zasad nic ci nie da, bo albo będziesz myślał jak uczoney, albo nie będziesz, a jeśli nie, to dlatego że nie umiesz, a jeśli nie umiesz, żadne uprzednie informacje ci nie pomogą.

– Zgoda. Jeden zero dla państwa.

– Nie liczymy punktów. Próbujemy wyrobić sobie jakąś opinię.

– A więc zaprzestanę prób wpływania na przebieg egzaminu i poddam się państwa osądowi.

– Nawet tym zdaniem próbujesz się tłumaczyć, a milczenie byłoby rozsądniejsze.

Rigg zamilkł.

Uczeni weszli do najbardziej wygodnego salonu. Rigg usiadł na stołku bez oparcia w następnym pokoju, gdzie nikogo z nich nie widział, lecz wyraźnie słyszał, co mówią.

Zauważył też, że byli tu dwaj szpiedzy za ścianami, obserwujący i jego, i egzaminatorów.

Sprawdzian zaczął się od dość niewinnych pytań. Więcej, tak łatwych, że Rigg za każdym razem próbował znaleźć przesadnie skomplikowane odpowiedzi, obawiając się podstępny czy haczyka. W końcu botanik westchnął i rzekł:

– Jeśli wciąż będziesz odpowiadał w taki sposób, nie uda nam się skończyć, nim niektórzy z nas – zapewne łącznie ze mną – umrą ze starości. Nie próbujemy cię podejść, próbujemy cię poznać. Jeśli pytanie wydaje się łatwe, to jest łatwe.

– Aha – bąknął Rigg.

Dalej poszło już bardzo szybko. Często za odpowiedź wystarczyło kilka słów. Sprawdzili jego ogólną wiedzę o historii, botanice, zoologii, gramatyce, językoznawstwie, fizyce, astronomii, chemii, anatomii i inżynierii. Nie zapytali w ogóle o żadne zagadnienie związane z muzyką czy którąś ze sztuk; ominęli całą historię związaną z prześwietną rewolucją i wydarzeniami po niej.

Im dłużej pytali Rigga, tym częściej przyznawał się do swej niewiedzy. Z zoologii wiedział wszystko – w końcu prawie całe życie tropił, zastawiał sidła, oprawiał, sekcjonował, gotował i jadł faunę gór południa, i odpowiadał na pytania z pasją, bardziej szczegółowo, niż zapewne było trzeba. Lubił się popisywać.

Jednak nawet w dziedzinach, w których miał mniej doświadczenia, nie dawał zbić się z pantałyku. Ojciec bez przerwy zarzucał go pytaniami, a tym egzaminatorom odpowiadał dokładnie tak, jak odpowiedziałby ojcu, acz z mniejszą nonszalancją. Gdy nie znał odpowiedzi, otwarcie to przyznawał; gdy się czegoś domyślał, mówił, że to przypuszczenie, i wyjaśniał czemu tak

przypuszcza.

Szybko się zorientował, że uczonych o wiele bardziej interesowały jego domysły niż wiedza. Gdy zrozumieli, że Rigg ma głęboką i szeroką wiedzę o kręgowcach, porzucili temat zoologii; ze wszystkiego, o czym wiedział niewiele, a mimo to dawał wyraz swoim domysłom, maglowali go w najlepsze. Zawsze docierali do punktu, gdzie Rigg musiał szczerze wyznać: „Nie mam dostatecznej wiedzy, by pokusić się o jakąkolwiek odpowiedź”.

– A gdzie byś poszukał? – zapytał w końcu fizyk. – Gdzie w obrębie biblioteki?

– Nie wiem.

– Jeśli nie wiesz, gdzie szukać odpowiedzi, to jaki będziesz miał pożytek z biblioteki, hm?

Rigg celowo nadał swemu głosowi nieco podirytowany ton.

– Pochodzę z gór. W życiu nie byłem w bibliotece. W tutejszej Wielkiej Bibliotece będę mógł zacząć dowiadywać się, gdzie szukać odpowiedzi na podobne pytania.

– W O jest biblioteka – zauważył botanik. – Czemu tam nie poszedłeś?

– Wtedy jeszcze nie planowałem zostać uczonym – wyjaśnił Rigg. – Wtedy jeszcze postępowałem zgodnie z tym, co jak myślałem, było planem ojca... człowieka, którego uważałem za ojca. Jednak zanim dotarłem tutaj, zrozumiałem, że mój ojciec nie miał żadnego planu albo że jego plan się nie powiódł. Teraz więc mogę wybrać sam, co chcę robić. Tyle że nie mam wystarczających informacji, by dokonać jakiegokolwiek rozsądnego wyboru.

Pomyślałem więc, że mógłbym dodać coś do tego, czego nauczył mnie ojciec, skoro jego nauki były najwyraźniej niekompletne.

– Żadna dziedzina wiedzy nie jest kompletna – rzucił historyk z irytacją.

– A mimo to mądry człowiek stara się poszerzyć swą wiedzę, nim podejmie zasadnicze decyzje.

– Jakie decyzje chcesz podjąć? – zapytał botanik.

– Nie mam wystarczającej wiedzy, by wiedzieć, co muszę wiedzieć, by zdecydować, o czym muszę zdecydować.

Zmysł widzenia ścieżek podpowiedział Riggowi, że jedna z osób w salonie wstała i zaczęła niecierpliwie chodzić tam i z powrotem. Kobieta. Jej głos brzmiał dość staro.

– Niektórzy mogą sądzić, że twoja tutejsza pozycja – członka skompromitowanej rodziny królewskiej...

Kilku uczonych wstało.

– Mówię tylko to, o czym wiedzą wszyscy tu zebrani – zaprotestowała uczona – siadajcie więc i posłuchajmy, co on na to! Słuchaj więc, chłopcze. Niektórzy sądzą, że żadna twoja decyzja nie ma najmniejszego znaczenia. Przez resztę twojego życia inni ludzie będą decydować o wszystkim istotnym, łącznie z tym, czy przeżyjesz, czy umrzesz.

Usiadła na swoim miejscu. Znów odezwały się pomruki sprzeciwu, lecz Rigg szybko się odezwał, by je uciąć.

– Nie boję się zmierzyć z sytuacją, w której się znalazłem. Mam pełną świadomość, że moja zdolność do podejmowania decyzji jest teraz ograniczona i w każdym momencie może zostać mi odebrana całkowicie. Od czasu aresztowania doszło do dwóch zamachów na mnie – dwóch, o których mi wiadomo. W obu wypadkach zdołałem zachować czujność na tyle, by ująć z życiem, ale jak długo będzie mi się udawało? Ktoś z państwa będzie musiał o tym napisać, gdy już poznamy odpowiedź.

Słychać było kilka nerwowych chichotów.

– Jest szansa, że jednak nie umrę młodo. Czym mam zapełnić długie lata? Zdecydowałem się wybrać karierę uczonego. By to osiągnąć, muszę się dowiedzieć, w czym jestem dobry. I w tym celu

proszę o dostęp do biblioteki. W ostatecznym rozrachunku może uda mi się wnieść jakiś wkład do ogółu ludzkiej wiedzy. A jeśli nie, przynajmniej będę miał ciekawe życie. O wiele mniej ciekawe czeka mnie w tym domu, gdzie jest tak niewiele książek.

Więcej pomruków. Ktoś zaczął mówić. Rigg od razu wpadł mu w słowo.

– Starczy! Wykształceni doktorzy i filozofowie tacy jak państwo usłyszeli już chyba dość, by podjąć decyzję. Pozwólcie więc, że teraz ja zadam wam pytanie.

– Nie jesteśmy tu, by nas przepytywać – ostro odparł botanik. – A ty nie będziesz decydował, kiedy e...

– Oczywiście, że po to tu jesteście – odciął się Rigg. – Wszyscy starannie formułowaliście swoje pytania, by zaimponować sobie nawzajem erudycją. Przyznaję, jestem pod wrażeniem.

Pragnę więc was zapytać: Czego oczekujecie po dziecku w moim wieku? Mam tylko potencjał, niczego nie dokonałem. Gdybym był waszym uczniem, czy uznalibyście mnie za obiecującego? Czy oddalibyście książkę w moje ręce? Czy mam umysł godny nauczania?

Mój ojciec uważał, że tak, gdyż poświęcał na to każdą chwilę, a potem przepytawał mnie z tej wiedzy – poddając mnie rozmaitym próbom, łącznie z takimi, przez jakie dziś przeszedłem, pytaniami wykraczając poza granice mojej edukacji, by przekonać się, do jakich wniosków sam dojdę. Umarł, nie mówiąc mi, czy zadowolilem jego wymagania. Nigdy nie powiedział mi ani nie zasugerował, że o czymś wiem wystarczająco dużo. Ale też nie przestał mnie uczyć. Czy mój ojciec miał rację? Warto mnie uczyć? A jeśli nie, czemu, na wszystkich świętych, poświęciliście tyle godzin, by mnie ciągnąć za język? Czy zyskamy jakąś wielką wiedzę, precyzując, jak bardzo jestem tępy?

– Egzamin skończony – orzekł botanik.

Rigg z ulgą podniósł się ze stołka. Plecy miał tak zeszywniałe, jakby spędził noc na zimnej twardej ziemi. Ostatnim pytaniem zapewne uraził wszystkich, ale doszli już do punktu, po którym kontynuacja egzaminu byłaby jedynie stratą czasu.

Zdziwił się nie na żarty, że uczeni nie wyszli na zewnątrz. Wkroczyli do pokoju, w którym Rigg rozprostowywał zdrętwiałe ciało. Niektórzy stąpali z wielką godnością, inni spieszyli z wyciągniętymi rękami. Zrazu nie odezwali się ani słowem. Po kolei podawali mu rękę. A Rigg ujmował każdą dłoń, przez chwilę ją przytrzymywał i patrzył im w oczy.

Na każdej twarzy widać było tę samą nowinę – gdyby tylko ośmielił się w to uwierzyć!

Wszystkie kobiety i wszyscy mężczyźni, którzy weszli do pokoju, spoglądali na niego z sympatią. Z – tak mu się przynajmniej wydawało – czułością.

Każdy z nich się przedstawiał, wymieniając dziedzinę swej specjalizacji. I nie chodziło tu o ogólny przedmiot, jak botanika czy fizyka, lecz konkretne badania, które zapewniły im naukową renomę. „Mutacja roślin w wyniku zapyłania międzygatunkowego”. „Napędzanie maszyn przez kontrolowany upust pary”. „Modyfikacja deklinacji rzeczowników poprzez zrost z partykułami w okresie przejściowym między językiem średnioumickim a późnoumickim”. „Ogony komet jako lód stopiony promieniowaniem słonecznym”.

Każdy, puściwszy jego rękę, odsuwał się na bok, by umożliwić podejście następnemu.

Koniec końców ustawili się w dwa rzędy i tym szpalerem podeszło dwoje ostatnich uczonych.

Botanik i kobieta, która zadała to pragmatyczne i niebezpieczne pytanie pod koniec egzaminu. Twarz miała zaciętą i surową – całkiem możliwe, że botanik zmył jej głowę.

Pozwoliła jemu pierwszemu podejść do Rigga.

Botanik ujął jego ręce i oznajmił:

– Zmiana gatunku w wyniku bezpośredniej iniekcji jądra komórkowego gatunku z pożądaną cechą.

Potem odsunął się na bok.

Starsza kobieta podeszła ostatnia. Podała mu rękę, ale nic nie powiedziała.

– No, dalej – ponaglił ją botanik.

Lekko przechyliła głowę na bok, przez jej usta przemknął cień uśmiechu.

– Prawdopodobieństwo dwóch oddzielnych źródeł pochodzenia flory i fauny po tej stronie

Muru.

O czymś takim Rigg słyszał po raz pierwszy w życiu. Ojciec nawet słowem nie wspomniał o takiej możliwości.

– Jak to? Oddzielne? Czyżby życie zaczęło się dwa razy?

Mrugnęła okiem, a reszta uczonych jęknęła.

– Nie taki był temat jej dysertacji – wtrącił się botanik.

– To jej mrzonka, którą opowiada każdemu chętnemu nadstawić ucha. Jej praca na ten temat nigdy nie została opublikowana.

– Zobaczę panią w bibliotece? – zapytał Rigg.

Uśmiechnęła się.

– Pytanie powinno brzmieć raczej: Czy my zobaczymy ciebie?

Puściła jego rękę i wyszła do ogrodu.

Flacommo musiał czekać na zewnątrz, gdyż Rigg usłyszał, jak przekonuje uczoną, że chyba nie chce ich już opuścić, nie spożywając przedtem posiłku przygotowanego przez jego kucharzy na cześć tak czciwego gremium.

– Niegdyś była wybitna – rzekł botanik.

Rigg obserwował ją przez otwarte drzwi.

– Kto to jest? – zapytał.

– Bleht. W zasadzie sama wymyśliła całą wiedzę o mikrobiologii, a przynajmniej – odnowiła. Ale ma dziwną obsesję na punkcie dwóch nurtów ewolucji, które zbiegły się ledwie jedenaście tysięcy lat temu. Mistyczny bełkot. Nie wiem, co pradawny religijny kalendarz ma wspólnego z nauką.

Rigg jednak od razu zrozumiał, co ją interesowało. Oskórował i wypatroszył wiele z „anormalnych stworzeń”, jak nazywał je ojciec, i dobrze wiedział, że pod względem anatomii różnią się od większości zwierząt. Musiał też znać „anormalne rośliny”, gdyż ludzie nie mogli ich strawić, a czasem miały trujące działanie.

Słowa uczonej podsunęły mu myśl: Może te anormalne zwierzęta i rośliny nieprzypadkowo są inne? Może zamiast jednego wielkiego nurtu życia, z niewyjaśnionymi wariacjami, mamy do czynienia z dwoma, oddzielnymi i wewnętrznie spójnymi?

– Widzę, że poważnie cię zainteresowało to zagadnienie – stwierdził botanik.

– Młody jest – dodała kobieta, specjalistka w dziedzinie fizyki, najpewniej najmłodsza w gronie uczonych, około trzydziestki. – Nic dziwnego, że go to zaciekało.

Rigg był więcej niż zaciekawiony. Już rozmyślał o tym, co widział, gdy oprawiał ebbeki i nibydzwiedzie. Czy były do siebie podobne? I jacy padlinożercy przyszli pożreć ich truchło po tym, jak Rigg odarł ich ze skóry? Czy też anormalni? Chciał cofnąć się w czasie – z Umbem u boku – by móc spojrzeć na ścieżki tych anormalnych stworzeń i zobaczyć, czy żywiły się wyłącznie anormalnymi roślinami i czy drapieżniki tego odmiennego rodzaju polowały jedynie na anormalne ofiary.

Gdyby zachodziła taka zbieżność, chyba ojciec by o niej wspomniał.

A może liczył na to, że Rigg sam zauważy.

Teraz zauważył. To, co przypominał sobie w tej chwili, nie przeczyło tej tezie.

Uczeni – z wyjątkiem Bleht – zjedli wspólny posiłek i ochoczo rozmawiali z Riggem.

Odnosił wrażenie, że nie byłoby tak rozmowni, gdyby zamierzali negatywnie ocenić jego egzamin.

I miał rację. Następnego ranka przybyło czterech mężczyzn w mundurach straży miejskiej, by odeskortować go do biblioteki.

Pragnął w drodze zobaczyć choć odrobinę Aressa Sessamo, ale musiał obejść się smakiem. Słyszał jedynie wrzawę wielkiego miasta z oddali. Dom Flacommo z trzech stron otaczały budynki o podobnej konstrukcji – z wysokimi murami okalającymi centralny ogród, bez okien wychodzących na zewnątrz. Na ulicach panował niewielki ruch – widział służących, kilku bardziej zamożnych ludzi gdzieś jadących, kilka matek albo nianiek z dziećmi.

A z czwartej strony – tuż po drugiej stronie wysadzonej drzewami alei prowadzącej z domu Flacommo – znajdowały się ogrody biblioteki.

Dzięki obserwacji ścieżek Rigg wiedział już, że gmachy biblioteki stały dość daleko od siebie, a każdy był w innym stylu architektonicznym. Zbudowano je na sztucznym podwyższeniu terenu – w obszarze delty nie występowały naturalne wzgórza. Rezydencje również znajdowały się na wzniesieniu, już nie tak wysokim; pomiędzy nimi, tuż po drugiej stronie alei, mieściły się niewielkie domy udostępniane za darmo uczonym podczas ich prac badawczych. Bibliotekarze zaś mieszkali na poddaszach, tuż nad zbiorami książek.

Rigg wierzył, że Umbo i Bochen zrobią wszystko, by dostać się do Aressa Sessamo, gdy tylko Umbo się nauczy, jak kontaktować się ze sobą i Riggem w przeszłości. Wcześniej liczył na to, że mogliby się spotkać właśnie w bibliotece, ale teraz było jasne, że musi znaleźć inny sposób, by się z nimi zobaczyć. Nie wyglądali na uczonych, trudno byłoby im zlać się z tutejszym tłem, a gdyby próbowali kręcić się po tej części miasta, natychmiast uznano by ich za intruzów. Nie było więc szans, by się do niego zbliżyli.

Pierwszego ranka znalazł się w Bibliotece Życia. Miał nadzieję spotkać tutaj Bleht, lecz trafił pod opiekę młodej asystentki bibliotecznej, która pod czujnym okiem strażników oprowadziła go po budynku. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat i demonstracyjnie okazywała, że czuje się upokorzona i wykorzystywana, musząc bawić się w przewodnika dla jakiegoś dzieciaka. Nie omieszkała nawet napomknąć strażnikom, że to ironia, iż Rada Rewolucyjna wciąż oddaje przysługi rodzinie królewskiej.

Rigg nic sobie nie robił z jej fochów. Nie próbował z nią gawędzić – ani ze strażnikami, biorąc sobie do serca doświadczenia z Krzykaczem. Gdy jednak chciał dowiedzieć się czegoś więcej, pytał, a jako że asystentka naprawdę kochała bibliotekę, jego pytania powodowały u niej sporadyczne przyływy entuzjazmu. Z biegiem czasu jej oziębłość spadała.

Z zewnątrz budynek wyglądał zwyczajnie, w środku jednak przypominał labirynt. Rigg pomyślał, że gdyby nie miał zdolności prześledzenia własnej ścieżki do wyjścia, mógłby już się stąd nie wydostać. Spodziewał się półek z książkami, ale były tam jeszcze kosze, w których trzymano stare zwoje, i katalogi z listą streszczeń książek, które istniały tylko na cienkich kawałkach metalu, glinianych tabliczkach, korze drzewa lub skórkach zwierzęcych.

– Czy te źródła są aż tak stare, że niczego się z nich nie nauczymy? – zapytał.

– To nie jest tylko biblioteka nowożytnej biologii – odparła beznamiętnie. – Trzymamy tu też całą historię nauk przyrodniczych, by przypominała nam, jak doszliśmy do obecnego stanu wiedzy.

– Czy jakieś cywilizacje z przeszłości przewyższały nas zrozumieniem jakiejś dziedziny biologii?

– Nie jestem bibliotekarką historyczną. Nadzoruję bieżącą archiwizację w laboratoriach, a ponieważ niewielu uczonych korzysta teraz z tych pracowni, moi przełożeni zdecydowali, że mogą poświęcić jeden poranek na bezsensowne wycieczki.

– Ale śledzi pani na bieżąco najnowsze wyniki badań.

Nie odpowiedziała – lecz stała się nieco mniej wroga. Mimo to nawet nie raczyła się z nim pożegnać, gdy dzwon wybił południe.

W drodze do wyjścia strażnicy dwukrotnie poblądzili, Rigg musiał im pokazywać właściwą trasę i sam wyprowadził ich na zewnątrz. Poszli do domu Flacommo – raptem pięć minut spaceru – by się posilić, a potem wrócili, tym razem udając się do Biblioteki Przeszłych Żywotów. Teraz przewodnikiem był nie bibliotekarz, lecz młody uczyony oddelegowany do tego zadania. Nie okazywał żadnej wrogości, a gdyby nie strażnicy patrzący wilkiem, cały czas zarzucałby Rigga pytaniami o to, jaka była cesarzowa Hagia Sessamin i czy widział tajemniczą Parani.

Pod koniec dnia, kiedy strażnicy już szykowali się do wyjścia, Rigg poprosił o spotkanie z jakąś osobą odpowiedzialną.

– Odpowiedzialną za co? – zapytał uczyony. – Każda biblioteka ma własnego dziekana, gestora lub rektora i nikt nie jest odpowiedzialny za wszystko.

– Myślę, że muszę się zobaczyć z tym, kto jest odpowiedzialny za mnie.

– Za ciebie? Chyba ci ludzie...

– Ktoś zdecydował, w jakiej kolejności powinienem zwiedzać te biblioteki. Ktoś wyznaczył pana, by oprowadził mnie po tej. Kto podejmuje te decyzje?

– Nie wiem.

– Jesteśmy w bibliotece, więc zapewne możemy to sprawdzić?

– Zapytam.

Strażnicy tylko westchnęli i usiedli. Minęło piętnaście długich minut, nim uczyony powrócił w towarzystwie starszej kobiety o surowym wejrzeniu.

– Czego chcesz? – zapytała ostro.

– Chcę przestać marnować cenny czas młodych uczonych i bibliotekarzy – wyjaśnił Rigg.

– Bo mimo że każda biblioteka ma swą specyfikę, różnice między nimi można mi wyłuszczyć w niecały kwadrans. Ale nawet to nie jest konieczne. Chcę zakończyć zwiedzanie i przejść do badań.

– Kazano nam cię oprowadzić – zimno odparła kobieta.

– I to była wspaniała wycieczka – przyznał Rigg. – Ale kto wie, ile mi jeszcze życia zostało? Chciałbym, żeby zaprowadzono mnie do kogoś, kto ma dokumentację badań mojego ojca.

– A twoim ojcem jest...?

Rigg nie mógł uwierzyć, że ona o to pyta. Młody uczyony wykorzystał tę chwilę jego zawahania, by się wtrącić – i nie udało mu się wyzbyć głosu całej pogardy, gdyż dla niego było nie do pomyślenia, że ktoś mógł nie wiedzieć, kto jest ojcem Rigga Sessamekesha.

– Knosso Sessamik – pospieszył z wyjaśnieniem. – Był znanym uczonym i zginął na Murze.

– W odróżnieniu od niektórych, nie interesują mnie byli członkowie rodziny królewskiej.

A ten Knosso był fizykiem. To sprawa Biblioteki Nicości.

– Nicości? – zaciekał się Rigg.

Miała już przygotowaną odpowiedź, którą wyrecytowała płynnie i bez zająknięcia.

– Fizycy już dawno temu ustalili, że większość przestrzeni jest pusta, tak jak i większa część każdego atomu, więc naturą wszechświata jest nicość, z niewielkimi przerwami zawierającymi w sobie całe istnienie. Ich biblioteka nosi nazwę Nicości na cześć tej pustki, z której składa się większość wszechrzeczy. A matematycy dzielą z nimi ten gmach, bo z dumą twierdzą, że przedmiot

ich badań jest jeszcze mniej realny niż to, co zgłębiają fizycy, więc ich część zwie się Biblioteką Większej Nicości.

Rigg od razu polubił fizyków. Miał jednak wrażenie, że matematycy najwyraźniej zawsze muszą mieć ostatnie słowo, wykazując się cokolwiek irytującą żądzą rywalizacji.

Następnego dnia poprowadzili go wprost do Biblioteki Nicości, gdzie przedstawiono mu listę książek, które ojciec Knosso czytał w ostatnich dwóch latach swego życia. Bardzo długą listę, a gdy Rigg zaczął otwierać i czytać te lektury, zorientował się, że nie rozumie występujących tam obliczeń matematycznych i żargonu technicznego. Obmyślił więc i rozpoczął przyspieszony kurs dokształcający, by przygotować się do zrozumienia tego, co jego ojciec uznał za na tyle ważne, by poświęcić temu swój czas.

Tak mijały dni i tygodnie. Rigg robił prawdziwe postępy. Nadal nie mógł zrozumieć żadnej z książek z listy Knosso, ale przynajmniej rozpoznawał większość terminów i czuł, że jest na dobrej drodze.

Gdy siedział nad otwartymi książkami, strażnicy często oddawali się drzemce, korzystał więc z tych okazji, zamykał oczy i badał ścieżki wokoło. Jedna z nich, wiedział to, należała do ojca. Knosso nigdy nie mieszkał w domu Flacomm – Hagia z Param wprowadziły się tam dopiero po jego śmierci. Ale był tu, w tej bibliotece, a znajdując książki, które czytał, Rigg miał nadzieję odszukać ścieżkę, która łączyła się z nimi wszystkimi.

W końcu ją wypatrzył, śledząc potencjalnego kandydata coraz głębiej wstecz, aż ten wszedł – a raczej, gwoli ścisłości, wyszedł – z domu, który zajmował wtedy z Hagią. Ich ścieżki przecinały się raz po raz; to nie mógł być nikt inny, tylko ojciec Knosso.

Przez chwilę Rigg żałował, że nie ma z nim Umba, by mógł naprawdę zobaczyć ojca.

Rodzinie królewskiej nie wolno było pozować do portretów – nie pozostała więc żadna podobizna, która mogłaby dać Riggowi pojęcie, jak ojciec wyglądał. Jego ścieżka była jednak dość charakterystyczna. Teraz, gdy Rigg wiedział, czego szukać, zauważał ją bez trudu.

A po jakimś czasie zaczęło mu się rzucać w oczy coś zgoła zaskakującego. Ojciec Knosso rzeczywiście studiował wszystkie książki z listy. Ale zachodził też do innych bibliotek, najczęściej do Przeszłych Żywotów i Martwych Słów. Rigg, pod jakimś zmyślonym pretekstem, odwiedził je i poszedł dawnymi śladami ojca. Bibliotekarze w każdym z tych przybytków zapewnili go, że książki wciąż trzymano w tych samych miejscach, zwykle nawet na tych samych półkach co w czasach ojca. Nigdy jednak nie wypożyczył żadnej książki z tych bibliotek, by nie zostawić po sobie śladu.

Czegoś się jednak dowiedział – w Bibliotece Martwych Słów stworzył listę języków, które interesowały ojca Knosso, wnioskując po odwiedzanych przez niego działach; w Przeszłych Żywotach zaś wyszczególnił okresy historyczne i tematy, które stanowiły przedmiot jego badań. Wyłonił się pewien schemat.

Badania ojca Knosso wiązały się z fizyką, bez dwóch zdań – ale poszukiwał zapisów obserwacji Muru z wielu kultur i języków, sięgających co najmniej osiem tysięcy lat w przeszłość. Czy sądził, że w starożytności ktoś znalazł sposób na przejście przez Mur?

Opowiadano rozmaite legendy o świętych i bohaterach, którzy przybyli zza Muru albo powrócili tam po śmierci, ale te same mity mówiły, że potrafili też skakać między gwiazdami, wywoływać trzęsienia ziemi, tworzyć wulkany i budować maszyny, które ponoć ożywały.

Żaden wykształcony człowiek nie traktowałby podobnych bajdurzeń poważnie. A nawet jeśli ojciec Knosso dawał im jakąś wiarę, Rigg nie mógł – w końcu czy sam nie brał udziału w prawdziwych zdarzeniach kryjących się za mitem o Wędrującym Świętym?

No dobrze, ale co jeszcze? Czy ojciec Knosso szukał czasu przed powstaniem Muru?

Wszak wszyscy wiedzą, że nie ma takiego czasu – Mur zawsze stał, tam gdzie stoi. Tyle że to, co wiedzą wszyscy, nie zawsze okazuje się prawdą.

I czemu nie zostawił żadnych zapisków ze swoich badań nad przeszłością? Czemu był tak ostrożny?

Oprócz przeczytania tych samych książek, z którymi zapoznał się Knosso, Rigg nie widział innego sposobu, by pojąć, czego nauczył się ojciec.

Wizyty w bibliotece zajmowały mu całe dni, ale wieczory, noce i poranki spędzał w domu Flacomm. Z przyzwyczajenia spał co noc w innym miejscu, często ukryty pośród krzewów w ogrodzie, co trochę mu przypominało noce spędzone z ojcem w dzikich ostępach.

Pomagał w kuchni i coraz lepiej znał piekarzy obu zmian. Zaprzyjaźnił się z Długim, synem Lolongi, który traktował go jak zwykłego człowieka, a nie jak godnego pogardy paniczyka.

Rzecz jasna, jak tylko ich przyjaźń wyszła na jaw, Długiego zaczęto wzywać do rozmaitych piwiarni, parków czy sklepów na okresowe spytki. A raczej przesłuchania.

Gdy tylko Rigg się o tym dowiedział, powiedział Długiemu: „Mów im wszystko, ja nie mówię i nie robię niczego, co trzeba byłoby ukrywać”. Długiemu wyraźnie spadł kamień z serca.

To, co powiedział, było w zasadzie prawdą, choć nie dodał: „przy tobie”. Robił bowiem wiele rzeczy, o których inni nie powinni się dowiedzieć.

Większość czasu poza biblioteką poświęcał na próby porozumienia się z Param. Po części dlatego, że ojciec kazał mu się z nią spotkać, a po części – bo chciał lepiej ją poznać i zdobyć jej zaufanie. Wiadomości, które posyłał jej przez matkę, nie odniosły żadnego skutku – co prawda Hagia skrupulatnie przekazywała je córce, ale pozostawały bez odpowiedzi. Zresztą musiał porozmawiać z Param także o sprawach, o których matka nie mogła wiedzieć.

Zaczął więc nosić przy sobie tabliczkę do pisania, jak jakiś uczeń. Gdy prosił Flacomm o udostępnienie mu tabliczki, powiedział, że potrzebuje jej do obliczeń matematycznych – musi się w nich wprawiać, by zrozumieć książki z zakresu fizyki.

I naprawdę jej do tego używał... z wyjątkiem chwil, gdy widział, że zbliża się do niego ścieżka Param.

Wtenczas wycierał róg tabliczki, zapisywał tam wiadomość wielkimi drukowanymi literami i trzymał tabliczkę w górze, możliwie nieruchomo, by Param zdążyła przeczytać. I wiedział, że je czyta, bo krążyła wokół niego, choć nie mogła odpowiedzieć – ani w mowie, ani w piśmie.

Pisał jej lakonicznie o wielu doświadczeniach ze swojego życia – o ojcu, o jego śmierci. O tym, jak dowiedział się, że ma siostrę.

Pisał jej też trochę o Umbie i mniej o Bochnie – ale dość dużo, by zrozumiała, że nie zamierzał przyjść tu samotnie. Nie zdradził jej jednak nic poza tym, co wiedział generał Obywatel – nic o klejnotach ani o nożu, który wykradł z przeszłości; nawet słowa o umiejętności Umba ani o tym, że pozwalała ona Riggowi cofnąć się w czasie.

Napisał jej za to o ukrytych przejściach – zarówno tych, z których korzystali szpiedzy, jak i tych nieuczęszczanych od wieków. „Nie wiem, czy są zablokowane, czy zapomniane”. Starł to i napisał: „Widzę, gdzie są wejścia”. Starł znowu. „Ale nie wiem, jak je otworzyć”. I znów starł. „Gdy na dłużej znikam ludziom z oczu, zaczynają mnie szukać”.

Pewnego ranka, gdy wyjmował tabliczkę z miejsca, gdzie ją schował poprzedniego wieczoru, nim zasnął w ogrodzie, zauważył, że została poruszona, a ktoś napisał na niej drobnym, krzywym i ledwo czytelnym druczkiem – kreda nie nadawała się do pisania tak małych liter: „Boję się, braciszku. Matka coś knuje. Zostaniemy zabici”.

Jeszcze raz przeczytał wiadomość, a potem dokładnie ją wymazał. Param musiała przyjść do

niego w nocy, gdy wszyscy spali, i ukazać się w czasie rzeczywistym na tyle długo, by móc napisać te trzy zdania.

Matka coś knuje? A więc nie jest takim niewiniątkiem, jak się wydaje. Ale jak może z kimkolwiek coś knuć? Z kim może rozmawiać bez świadków?

O wiele ważniejsza była jednak obawa Param. „Zostaniemy zabici”, napisała. Ale czy chodziło jej o to, że Rada każe ich zgładzić, gdy spisek matki się nie powiedzie? Czy raczej o to, że intrygi matki obejmowały zamiar ich zabicia? Może matka byłaby skłonna poświęcić jego, ale wątpił, by zabiegała o śmierć córki. A więc zagrożenie szło z innej strony. A może matka zamierza uciec z domu Flacommo, by stanąć na czele buntu, a jego i Param zostawi na łasce Rady.

Musiał z Param porozmawiać. Rozejrzał się za jej ścieżką i znalazł ją – ale najwyraźniej zeszłej nocy oddalała się od niego w widzialnej postaci, bo do świtu była już daleko, z powrotem w komnacie matki.

Gdy wieczorem Rigg przyniósł tabliczkę do ogrodu, siostra już tam na niego czekała.

„Musimy pogadać” – napisał jej. „Znam drogi wyjścia z tego domu... Jeśli dostalibyśmy się do tajnych przejść... jedno z nich prowadzi do biblioteki... Możemy się tam schować i porozmawiać... bardzo krótko, by nikt nie zauważył... naszej nieobecności”.

Potem starł „naszej” i zmienił na „mojej”, gdyż jej nieobecności i tak nikt by nie zauważył.

Tej nocy starał się nie spać, mając nadzieję, że Param przyjdzie do niego i będzie mógł ją zobaczyć. Lecz zmorzył go sen. Obudził się, bo ktoś dotknął jego ramienia – i zaraz dłonią lekko musnął mu usta. Rigg otworzył oczy. Zobaczył przed sobą kobietę, ale nie mógł dostrzec rysów twarzy.

Po cichu wstał i podążył za nią. Z przyzwyczajenia trzymała się blisko ścian. Doskonale orientowała się w układzie domu, nawet nocą – zresztą nic dziwnego. Nikogo nie spotkali.

W końcu znaleźli się w rzadko uczęszczanym korytarzu prowadzącym ku jakimś pokojom gościnnym. Zatrzymała się, a Rigg do niej podszedł.

– Param? – szepnął bardzo cicho.

W odpowiedzi przytuliła go i szepnęła mu do ucha:

– Och, braciszku, jednak przyszedłeś. Tak jak powiedział.

Rigg dopiero teraz pojął, że ojciec musiał przychodzić do niej, tak jak do Umba i Nox, i pomógł jej nauczyć się, jak panować nad swoją mocą i jak jej używać. Kto inny bowiem mógł Param obiecać, że Rigg się zjawi? Kto jeszcze wiedział, że Rigg w ogóle istnieje? Ale czy ojciec kiedykolwiek opuszczał go na tyle długo, by dotrzeć do Aressa Sessamo i wrócić? Rigg wiedział, że głupotą byłoby myśleć, że dla ojca coś było niemożliwe. W świecie, w którym on, Umbo, Param i Nox dysponowali tak dziwaczными mocami, kto wie, do czego zdolny był ojciec?

– Niedaleko stąd jest wejście do ukrytego korytarza – szepnął.

Poprowadził ją tam. Widział stare ścieżki, które przebiegały przez, zdawałoby się, lity mur. Przeciągnął dłonią dookoła ukrytych drzwi w ścianie, ale nie znalazł żadnej szczeliny.

– Naprawdę są tu jakieś drzwi? – szepnęła Param.

– Były. Ale od dwustu lat nikt z nich nie korzystał.

– A więc ściana nie może być z kamienia ani cegieł.

– To ściana wewnętrzna. Przypuszczam, że wejście zasłonili otynkowanymi listwami. Ale nie mam pewności. Czy to ważne? Możliwe, że rozwalilibyśmy to kopniakiem, ale jak wtedy byśmy zamknęli za sobą?

Odciągnęła go delikatnie i gestem dała znak: Zostań. Obserwował, jak szybko niknie, a potem stał cierpliwie, patrząc, jak jej ścieżka przenika przez ścianę w tym samym miejscu co ścieżki ludzi,

którzy niegdyś korzystali z tego przejścia.

Gdy Param znalazła się po drugiej stronie ściany, Rigg nie widział już, co robi. Jednak po chwili usłyszał stuknięcie dawno nieużywanej zasuwy. Ku jego zdziwieniu nie otworzyły się drzwi w ścianie, lecz cały fragment muru pomiędzy podporami podniósł się w górę, odsłaniając czekającą na niego siostrę.

Wszedł do przejścia. Param poruszyła dźwignią i ściana bezgłośnie zsunęła się na dół.

Nic dziwnego, że Rigg nie mógł znaleźć drzwi. To jedno z ograniczeń jego daru – widział, którzy poruszali się ludzie, ale nie mógł wiedzieć, jak wyglądało dane miejsce, gdy przez nie przechodzili.

Spodziewał się, że w tajnym korytarzu będzie ciemno choć oko wykol, ale widać było bladą srebrzystą poświatę. Szukał źródła tego blasku, jakiegoś otworu, przez który wpadało światło Pierścienia.

Szybko zorientował się jednak, że światło pochodziło z lustra odbijającego je z innego lustra. Dalej było już za ciemno, by mógł dostrzec, ile jeszcze jest takich zwierciadeł. Jedno było pewne – to światło Pierścienia. W pochmurną noc pokonanie tego przejścia wymagało świeczki lub doskonałej orientacji, by dojść do końca na ślepo i po omacku.

– Czy przejście przez ścianę cię bolało? – zapytał.

– Tak – odparła. Wyciągnęła rękę. Rigg jej dotknął i od razu się odsunął. Była ciepła, jak u dziecka z wysoką gorączką. Dotknął jej czoła, policzka. Cała była rozpalona.

– Nie możesz więcej tego robić – upomniał ją.

– Muszę. Nie mam pojęcia, jak otworzyć je z zewnątrz. Ale zaraz ochłonę, zobaczysz.

Gorzej jest z kamieniem lub cegłą – kamień mnie parzy, a moje ubrania zajmują się ogniem.

Gdy jestem niewidzialna, muszę bardzo uważać, by przypadkiem nie otrzeć się o kamienną ścianę.

Przytulił ją.

– Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy, że mam siostrę.

– I dla mnie. On mi zakazał mówić matce, że o tobie wiem. Ale ty już się zbliżałaś i mnie uwolnisz.

– Uwolnię – przyrzekł. – Wiem, jak przedostać się tymi przejściami do zewnętrznego muru.

– Pod nim?

– Te domy postawiono na podwyższeniu. Teraz nie jest już takie wysokie, bo ciężar budynków je spłaszcza. Niektóre z przejść mogą być więc trochę pod wodą – w końcu to delta rzeczna, wszędzie tuż pod powierzchnią płyną wody gruntowe. Ale o ile damy radę odдыchać, wydostaniemy się stąd. Jedno długie przejście prowadzi do Biblioteki Nicości.

– Skąd wiesz? Korzystałaś już z nich?

– Nie, ale widziałem ścieżki ludzi, którzy tędy przechodzili. I wiem, dokąd poszli. Taki już mam talent – widzę ich ścieżki, nawet skryte za murami lub pod ziemią.

– Bardziej użyteczny niż mój.

– To nie dzięki mojemu darowi przedostałem się tutaj. Mój nie pozwala mi znikać w biały dzień.

– Twój cię nie przysmaża, gdy przez coś przechodzisz.

– Przepraszam, że wtedy przez ciebie przeszedłem.

– Nie było tak źle. Oboje się poruszaliśmy – a to znaczy, że niedługo zajmowaliśmy tę samą przestrzeń. Ściany są nieruchome. Tylko ja się ruszam, a kontakt trwa znacznie dłużej.

Uścisnął jej rękę.

– Jak nazywałaś człowieka, którego znałem jako ojca?

– Wędrowiec.

– Był więc w tym domu.

– Tak. Powiedziałaś matce, że jeden z uczonych przypadkowo pomógł mi zrozumieć mój dar. A tak naprawdę Wędrowiec przyszedł tu jako ogrodnik. W ogrodach wciąż widać jego rękę. Ale czemu nie wiedziałaś, że tu był? Nie widzisz jego ścieżki?

– On nie zostawia ścieżki za sobą. Nie ma jej.

– Jak on to robi?

– Nie wiem, czy on to robi, czy po prostu jej nie ma. Myślę, że on jest świętym Bohaterem. Ma moce, których inni nie mają.

– Ale gdy byłam niewidzialna, nie widział mnie, tak jak ty.

– Ja cię nie widzę, widzę tylko, gdzie byłaś chwilę wcześniej. I to nie jest właściwie żadne tam widzenie. Mogę zamknąć oczy i odwrócić się plecami, a i tak znajdę twoją ścieżkę.

– Mówił, że jesteś z nas najlepszy.

– Z nas?

– Ze wszystkich jego uczniów.

– A więc mówił ci o innych?

– Mówił, że świat nagiął sam siebie, by nas stworzyć. Te moce są silnie obecne po tej stronie Muru, mówił. Więc wszystko zależy od nas.

– Jakże wszystko? Przywrócenie monarchii? Wcale mi na tym nie zależy.

– Mnie też nie. Tak samo jak i jemu nie zależało.

– Powiedział ci tak wiele. A mnie nic.

– Jesteś zazdrosny?

– Zazdrosny i zły. Czemu mi nie ufał?

– Ufał ci najbardziej ze wszystkich, powiedział mi to. Mówił też, że ty jesteś najbardziej gotowy. Że jesteś jego najlepszym uczniem.

– Sam nie mogę nic zrobić. Dobra, niby widzę ścieżki, ale nie mogę zrobić nic bez pomocy Umba – to on pozwala mi cofnąć się w czasie. A tu dostałem się dzięki tobie. Sam nic nie mogę wskórać.

– Wiedziałaś, gdzie jest to przejście.

Rigg uświadomił sobie, że marnują czas.

– Niedługo musimy wracać. Ktoś w końcu zauważy, że nas nie ma.

– Mało prawdopodobne. Jest środek nocy.

– Zdziwiłabyś się, jak uważnie nas obserwują.

– Zapominasz, że od lat chodzę po tych pokojach i korytarzach.

– Wciąż w kółko.

– Co?

– Nie możesz się zatrzymać, bo inaczej się pojawisz. Chodzisz więc w kółko, gdy chcesz zostać w pokoju, nie rzucając się w oczy. Cała twoja ścieżka to esy-floresy.

– Tak. W kółko i w kółko. Mam tego dość.

– Czemu więc się nie pojawisz?

– Bo zabiliby mnie.

– Sądziłem, że to dlatego... oni mówili, że jakiś człowiek... zabrał ci ubranie.

– Musiałam znosić podobne brednie przez całe życie. Nie, ten człowiek miał nóż. Nie dałabym rady uciec, więc przyspieszyłam – tak to nazywam – i przeszłam przez niego. Nie miał pojęcia, gdzie

zniknęłam. Wtedy jeszcze prawie nie robiłam tego, mogli więc nie wiedzieć, że to potrafię. Teraz już wiedzą. Matka powiedziała mi o szpiegach. Oni wiedzą wszystko.

– Wiedzą tylko to, co zobaczą lub usłyszą.

– A ja nic nie słyszę, kiedy przyspieszam. Sprytnie wymyśliłeś... z tą tabliczką. Nawet matka nie wpadła na to, żeby napisać mi wiadomość, a potem trzymać ją całkiem nieruchomo.

– Chodźmy już. Ale najpierw... widzisz może jakiś mechanizm, który przechodzi na zewnątrz? Jakieś połączenie z czymś otwierającym te drzwi od drugiej strony?

Oboje obmacali ściany, ale nic nie znaleźli. Dźwignia, która otworzyła drzwi z tej strony, została wbudowana w ścianę, a cały mechanizm był niewidoczny.

– Jeśli chcesz, mogę wejść w ścianę – zaproponowała Param – ale tam jest strasznie ciemno. Nic nie zobaczę, a już na pewno nic nie pocuję. Oprócz ciepła i grubości samej ściany.

– Nie, nie, nie chcę, byś to robiła. Ale... och, jaki ze mnie głupiec! Ktoś musiał przecież zbudować te przejścia, tak? Ktoś skonstruował ten mechanizm. Jeśli cofnę się do początku, zobaczę jego ścieżkę. Ich ścieżki. Mogę zobaczyć, gdzie poszli, gdy wszystko to podłączali.

– Mówisz, że ścieżki nie zanikają?

– Tak jakby bledną albo się oddalają, ale nie o jakąś tam odległość, tak właściwie wciąż tu są. Nigdy nie zanikają ani się nie przenoszą. Ciii...! Daj mi się skupić.

Po pięciu minutach znalazł właściwy czas. Dawno temu stały tu inne zabudowania, a gdy starał się odszukać właściwą ścieżkę, zdał sobie sprawę, że budowali tę część domu Flacomm, gdy starszy budynek wciąż tu stał. Chcieli ukryć to, co robią, przed okiem ciekawskich.

Gdy już odnalazł właściwe ścieżki, bez trudu odszukał mechanizm.

– Przełącznik jest w suficie korytarza. Zbyt wysoko, żebyśmy mogli dosięgnąć, nawet gdybyśmy podskoczyli. Ale gdybyśmy mieli miotłę albo miecz, albo... coś innego z długą rączką... zaraz, ktoś sięgał do obu rogów panelu ściennego. Może trzeba nacisnąć oba równocześnie. A może jeden otwiera, drugi zamyka.

– To wyjdźmy i zobaczmy.

Rigg sięgnął po dźwignię.

– Czeka! – powstrzymała go Param. – A jeśli ktoś nas zobaczy?

– Wiedziałbym, gdyby ktoś tam był. Nie ma nikogo.

– Gdy wyjdziemy, nie będziemy mogli rozmawiać.

– Zostaje nam jutro. I kolejne dni.

Znów go przytuliła.

– Odmłodziłam, czekając na ciebie, wiesz?

– Jak to?

– Gdy przyspieszam, reszta świata przelatuje obok. Gdy naprawdę się rozpędzam, całe dni mijają, a ja mam wrażenie, jakby to trwało raptem parę sekund. Zwykle nie pędzę tak szybko, ale...

– Skąd wiesz, ile czasu minęło dla ciebie? Jak mierzysz czas, gdy przyspieszasz?

– Wiem tyle... że to dość precyzyjna metoda. Wiem, ile dni upłynęło w zwyczajnym świecie, i liczę swój czas według miesięcy. Rozumiesz? Wiem, kiedy dla mnie minął miesiąc.

A odkąd ukryłam się przed światem, minęły ledwie dwa miesiące. Wszyscy postarzeliby się o ponad rok, a ja tylko o dwa miesiące. Myślą więc, że mam teraz szesnaście lat, lecz to nieprawda, mam piętnaście. W tym tempie będę żyła wiecznie – tylko co to za życie?

Rozpłakała się. Nie jak dziecko, krzywiąc twarz i pociągając nosem, ale jak kobieta, cicho szlochając w jego ramionach.

– Param, wydostaniemy cię stąd.

– Nie wystarczy wy dostać się z tego domu. Oni nas znajdą. W mieście, w bibliotece, gdziekolwiek pójdziemy.

– Umbo i Bochen tu przyjdą. Znajdziemy jakiś sposób. Odzyskasz wolność. I ja też.

– Jesteś moim młodszym bratem. To ja powinnam składać tobie obietnice.

– Wiem. Jak już stąd uciekniemy, będziesz mogła do woli opowiadać mi bajki do snu. A teraz chodźmy, póki mamy jeszcze czas wykombinować, jak zamknąć przejście z drugiej strony.

Koniec końców nie szukali miotły ani niczego innego. Rigg po prostu złożył dłonie i podsadził ją pod sufit. Opierając się o mur i wchodząc mu na ramiona, zdołała sięgnąć rogu.

I – jakże by inaczej! – wybrali nie ten róg. Nic się nie poruszyło, a Rigg miał już zrezygnować, gdy Param stwierdziła, że pewnie naciskają przełącznik, który otwiera przejście. I rzeczywiście, gdy nacisnęła mocno na drugi róg – odczuł, jak mocno, bo jej stopy wbiły mu się w ramiona – ściana bezgłośnie zsunęła się na miejsce. I już nie sposób było odróżnić ją od pozostałych.

Param zeskoczyła na podłogę, pocałowała go w policzek i odeszła.

Przez cały ten czas dostrzegał jej twarz ledwie przelotnie. W srebrzystym lustrzanym świetle w ukrytym przejściu, w migoczącym blasku świeczki na korytarzu – nie wiedział, czy zdołałby ją rozpoznać, gdyby zobaczył ją w biały dzień.

Ale była prawdziwa i żywa, a Rigg w końcu zrobił to, co nakazał mu ojciec – odnalazł siostrę. A ona na niego czekała. Ojciec powiedział, że ją uwolni.

Ojciec mi ufał, pomyślał Rigg.

A teraz ona mi ufa.

Nie mogę sprawić jej zawodu.

Rozdział 18

KOPIĄC W PRZESZŁOŚCI

– Mamy dziewiętnaście statków – przypomniał Ram.

– I tylko jedną planetę.

– To daje nam dziewiętnaście razy więcej szans na sukces – stwierdził zbędny.

– I o tyleż większe prawdopodobieństwo strasznego zamętu pomiędzy koloniami, które mają dokładnie ten sam personel – zauważył Ram. – O tyleż większe prawdopodobieństwo rywalizacji na śmierć i życie, cudzołóstwa, a nawet morderstw. Ciągłe porównywanie losów ludzi o tych samych imionach, genach, nawet odciskach palców. A w ostatecznym rozrachunku nasze dziewiętnaście statków i tak zasiedli tylko jedną planetę.

– Nie mamy prawdopodobnych światów docelowych dla pozostałych statków – przypomniał zbędny. – I mamy tylko jednego kapitana.

– Jednym z największych plusów osiedlenia ludzi na nowej planecie jest to, że katastrofa, która dotknie jednego z ludzkich światów, nie wpłynie na drugi, więc jedno zdarzenie nie doprowadzi do zaniku całego gatunku.

– Oprócz eksplozji jądra galaktyki – poprawił uczynnie zbędny.

– Tak, jest taka możliwość, ale niewiele możemy na to poradzić.

– Na razie.

– Sądzę, że możemy trochę zwiększyć inną korzyść. Plan od początku zakładał istnienie rodzaju ludzkiego na dwóch planetach. Nikt nie planował jednak, by nasza kolonia była oddzielona o jedenaście tysięcy lat w czasie od zdolnej podróżować w kosmosie cywilizacji, z której się wywodzimy. Nie ma szans na krzyżowanie się gatunków ziemskich i tutejszych. To wyśmienita okazja, by zrobić tu drugie Galapagos i zobaczyć, dokąd dryf genetyczny doprowadzi dwie odmiany rodzaju ludzkiego żyjące w całkowitej izolacji przez ponad czterysta pokoleń.

– Formalnie biorąc, tylko na tym świecie będziemy mieli czterysta czterdzieści siedem pokoleń, przyjmując dwadzieścia pięć lat za średnią długość życia – obliczył zbędny.

– W tym czasie na Ziemi nie upłynie nawet sekunda.

– A więc dryf genetyczny nas zmieni, a ich nie. My przejdziemy ewolucję, a oni nie.

– Z perspektywy ewolucji jedenaście tysięcy lat to niezbyt długo. Ludzkie populacje, odizolowane przez siedemdziesiąt tysięcy lat podczas wielkiej suszy w Afryce, nie utraciły zdolności krzyżowania się.

– Izolacja zapewne nie była całkowita. Jeśli chodzi ci o genetyczne „wąskie gardło” po eksplozji wulkanu Toba, to trwało tylko dwadzieścia tysięcy lat. A o grupie południowoafrykańskiej wiadomo, że opanowała podróże morskie, bo osiedlała się wszędzie dookoła Oceanu Indyjskiego, łącznie z Australią i Nową Gwineą.

– Użyłem dłuższej perspektywy czasowej, by uwydatnić, o czym mówię.

Ale nawet to krótsze „wąskie gardło” trwało dwa razy dłużej, niż utrzyma się izolacja tej kolonii.

– A nim się skończyło, ówcześni ludzie przeszli znaczną metamorfozę.

Mieli dłuższe nogi, mniej wazyli. Pojawili się wytrzymali biegacze, którzy mogli ścigać zwierzynę tak długo, aż padła z niedoboru tlenu. Myśliwi z dzidami i rzemieślnicy biegli w wytwarzaniu ostrzy. Mówcy, którzy potrafili samymi słowami nakreślić mapę, za której pomocą inni mogli przebyć nieznane ziemie i znaleźć wodę. Kreatywni myśliciele, którzy uczyli się od

innych, potem wprowadzali innowacje i adaptacje, a na końcu rozpowszechniali te nowinki na przestrzeni setek kilometrów w ciągu raptem jednego pokolenia.

– Coś mi się wydaje, że dokładnie zgłębiłeś ten temat.

– Tak, po twoim pytaniu o definicję rodzaju ludzkiego – przyznał Ram. – Dziesięć tysięcy lat to dość czasu, by w ludziach zaszła prawdziwa zmiana, bo tym razem izolacja będzie całkowita.

– Ale masz do nas pytanie związane z dziewiętnastoma statkami i jednym światem.

– Jeśli udałoby nam się założyć dziewiętnaście koloni, z których żadna nie wiedziałaby o pozostałych, wtedy żaden człowiek nie napotkałby swojego genetycznego sobowtóra. Nie byłoby żadnej rywalizacji. Nikt nie wziąłby góry nad resztą. Te dziewiętnaście koloni, plus populacja Ziemi, stanowiłyby dwadzieścia odizolowanych części rodzaju ludzkiego. Nasz gatunek mógłby potencjalnie podążyć dwudziestoma odmiennymi ścieżkami rozwoju – genetycznego, kulturalnego, intelektualnego. Cała ludzka historia, wszystkie wojny, imperia i technologie, zwyczaje i religie rozwinęły się w krótszym czasie niż ten, który my mamy do dyspozycji. Na tej planecie jest dość obszarów lądowych, by stworzyć dziewiętnaście enklaw większych niż Europa, większych niż krainy pomiędzy Egiptem a Persją, większych niż Ameryki od ziem Azteków aż po tereny Inków.

– I na pewno każda z tych enklaw sprawi ci miłą niespodziankę, stając się nowym Egiptem, Atenami czy Tenochtitlanem.

– Mam nadzieję, że nie Tenochtitlanem. Chciałbym wierzyć, że choć częściowo zachowamy kulturę, którą rozwinęliśmy na Ziemi, i darujemy sobie składanie ofiar z ludzi.

– Ale z piramid byś nie zrezygnował, co?

– Ani z żadnych innych monumentów, które postawią. A jeśli nie tylko stworzą nowe rzeczy, ale sami staną się nowym, acz wciąż ludzkim gatunkiem, to nawet lepiej, o ile nie będą próbować zniszczyć pozostałych.

– Twój optymizm i ambicja świadczą, że naprawdę jesteś człowiekiem.

Wcale nie bierzesz pod uwagę wielkiego prawdopodobieństwa, że enklawy skończą jak odizolowane doliny w wysokich górach, gdzie prymitywni ludzie, którzy niegdyś przemierzali morza na łodziach pełnych świń i dzieci, w końcu się osiedlili, żyjąc nago w lepiankach i zjadając siebie nawzajem.

Ram beztrąsko wzruszył ramionami.

– Ja już tego nie dożyję.

– Niczym lososie, rozmnażacie się i umieracie, a wasze potomstwo wykluje się i rozwinie, tak jak zdecyduje przypadek.

– Nie przypadek – ich własna siła i rozum. Przypadek wpływa na życie jednostek, to prawda, ale rodzaj ludzki sam sobie stwarza okazje.

– Jesteśmy pod ogromnym wrażeniem twojej szlachetnej wizji, jednocześnie zwracając należną uwagę na pokrętność twojego kreatywnego myślenia w porównaniu z wyrazistością autystycznych i zwierzęcych mózgów. A jednak masz problem, którego rozwiązania twój cudowny, pokrętny mózg nie umie znaleźć.

– Te pokrętne, kreatywne ludzkie mózgi zbudowały ciebie i komputery pokładowe – zauważył Ram. – Właśnie po to, byście rozwiązywali takie problemy za nas.

– Chcesz, byśmy znaleźli sposób na utrzymanie całkowitej izolacji koloni od siebie nawzajem – do takiego stopnia, by nie wiedziały o swoim istnieniu.

– Zgadłeś! A mówisz, że nie jesteście kreatywni!

– Niczego nie zgadliśmy. Wywnioskowaliśmy to z mnóstwa danych, jakie nam dostarczyłeś, zarówno świadomie, jak i nieświadomie.

– *A mimo to nie zauważyliście ironi w moim entuzjazmie.*

– *Zauważyliśmy. Jednakże, jako informacja, nie miała zupełnie żadnego znaczenia.*

Bochen był starym, zmęczonym człowiekiem. Może innym wydawał się silny, i na pozór poczynił sobie dość energicznie, ale właśnie – to były tylko pozory. Robił, co było trzeba, ale gdyby dano mu święty spokój, gdyby nie miał żadnych obowiązków, z radością usiadłby w bujanym fotelu, zamknął oczy i oddał się marzeniom. A raczej wspomnieniom.

Problem w tym, że większość z nich była nieprzyjemna. Nie tyle wspomnienia zabijania, choć Bochen brał udział w wielu bitwach; w wojennym szale czuł, że naprawdę żyje, gdy ciał, rąbał i zabijał, zwłaszcza że gdyby się zdekongentrował choć na chwilę, sam zostałby pocięty, porąbany i zabity. Chodziło raczej o nieprzyjemne wspomnienia słów, których wolałby nie powiedzieć, albo trafnych ripost, które wymyślił dopiero poniewczasie.

I wspomnienia kłótni, których mógł uniknąć, oraz kłótni, które warto byłoby zacząć, gdyby tylko przyszły mu do głowy tak wyszukane inwektywy, że dzięki nim miałby satysfakcję z w pełni zasłużonego złamanego palca lub rozbitej wargi.

Umiał pogodzić się ze wspomnieniami niewykorzystanych szans i innych żalów. Z

rozrzewnieniem wspominał przyjaciół i wrogów z dzieciństwa. Wielkie obawy młodości teraz wydawały mu się błahostką. Dziecinne marzenia – spełnione czy nie – chciałyby poczuć na nowo.

Dobrze mu było z Lejką i nie zamierzał zniknąć z jej życia, a właśnie do tego by się to sprowadziło, gdyby miał usiąść w fotelu, kiwać się i rozpamiętywać dawno minione czasy.

Wspólnie prowadzili oberżę – warto było to robić, bo rzekowcy, choć prawie same szuje i łajdaki, potrzebowali bezpiecznej przystani w tym miejscu na rzece, a temu miasteczku potrzeba było kogoś, kto nie dałby zgasnąć płomieniowi ambicji na tym skrawku ziemi pomiędzy wodą a lasem. Wciąż miał nadzieję, że pojawi się tu ktoś jeszcze z właściwym pomysłem i ikłą, by coś się ruszyło, ale na razie byli tu tylko oni – Lejka i Bochen.

A tak po prawdzie, tylko Lejka miała jakiś pomysłunek; Bochen po prostu zachowywał się tak, jakby sprawy obchodziły go tak bardzo jak ją, bo była szczęśliwa, myśląc, że on podziela jej odczucia.

Poniekąd więc z radością i ulgą przyjął okazję, by udać się z chłopcami w podróż rzeką, uciekając od marazmu i rutyny życia w Przystani Lejki. Żona sobie świetnie poradzi podczas jego nieobecności, wiedział to. A ci chłopcy, z ich magią i radosnym paplaniem, ujęli go.

Rigg był zdeterminowany, by wypełnić daną ojcu przysięgę – Bochen dostrzegał w nim coś, co widział u niewielu dowódców, pod którymi służył. Iskierkę nadziei. Rigg chce zrobić coś istotnego. Coś, co ma jakieś znaczenie. Chce zmienić świat, a jako że jest zycznym chłopcem, chce go zmienić na lepsze.

Umbo był bardziej podobny do Bochna – dawał się prowadzić, pozwalając Riggowi wyznaczać cele. Nie to, że Umbo nie narzekał, gdy nie podobały mu się obowiązki, które narzuciła mu ambicja Rigga. Dobrzy żołnierze cały czas zrzędzą – ale i tak wypełniają rozkazy, choć układa je kto inny.

Jednak gdy Rigga aresztowano, a Bochen wraz z Umbem uciekli z łodzi i wrócili w górę rzeki, dla Bochna zaczął się najszcześniejszy okres życia. Och, pewnie, żałował, że Rigg trafił w niewolę, i martwił się, gdy myślał o tym, co mogło mu się przydarzyć. Przede wszystkim jednak żył z dnia na dzień, jak żołnierz podczas marszu, obserwując, jak Umbo usilnie stara się zrobić coś zupełnie niewyobrażalnego. Chłopiec całkiem się zatracił w próbach nauczenia się, jak ocalić przyjaciela, cofając się w przeszłość. Bochen zaś, wiedząc, że to go przerasta, mógł tylko go zachęcać, chronić i – na tyle, na ile rozumiał to uczucie – kochać w sposób, w jaki ojciec może kochać syna.

Po powrocie do Przystani Lejki stare obowiązki na nowo Bochna przytłoczyły, ale znosił je z pogodą ducha, wiedząc, że będzie musiał znów stąd odejść, jak tylko Umbo pojmie co i jak. Lejka powiedziała mu pewnego razu: „Aleś się rozleniwił, można by pomyśleć, że wcale cię tu nie ma”. Nawet nie przypuszczała, jak bardzo nęcił go ten fotel bujany, nawet w chwilach największego szczęścia, i z jaką ochotą oddałby się marzeniom – nawet marzeniom o samej Lejce, o wiele łatwiejszym do zniesienia od wymagającej kobiety, którą kochał, ale która męczyła go okropnie, co rusz obarczając jakimiś obowiązkami.

A naprawdę obarczała, nawet jeśli sam o nich pomyślał i nie czekał, aż go poprosi.

Zawsze wykonywał je przez wzgląd na nią.

Pospiesz się, Umbo! – ponaglał go w duchu. Może byśmy już tak wrócili na rzekę, popłynęli do O, a potem do Aressa Sessamo albo w pobliże Muru, gdziekolwiek Rigg zdecyduje. Pomogę ci pomóc twojemu przyjacielowi.

Nic dziwnego więc, że Bochen się ucieszył, gdy pewnego późnego popołudnia Umbo przyszedł do niego w wizji – na jawie, nagle stanął przed Bochnem rąbiącym drewno na tyłach oberży i powiedział:

– Weź tę siekiere i wracaj, bo musisz powstrzymać Lejkę przed zabiciem rozjuszonego pijaczka. A jeśli stanie się tak w ciągu następnych pięciu minut, to będę gotowy wrócić do O.

Bochen zarzucił siekiere na ramię i wszedł do oberży. A jakże, jakiś rzekowiec, który wypił zapewne coś mocniejszego niż piwo, zanim tu przybył, groził Lejce ciężką lagą, że się wścieknie, jeśli nie poda mu „porządnego napitku, nie tej lury, w której bogacze maczają paluchy”. By dodać powagi swoim słowom, z całej siły grzmotnął pałką o bar – a nikt nie potrafił się tak mocno zamachnąć kijem jak tyczkarz pracujący na rzecznych przeprawach.

Lejka już sięgała po nóż do rzucania, którym zwykle broniła się w chwili prawdziwego zagrożenia. Bochen wiedział doskonale, że ten rzekowiec za dziesięć sekund padnie trupem z nożem w oku. Tak więc, bez zastanowienia, opuścił ostrze siekiery na lagę, nie wkładając w to zbyt dużej siły, by nie uszkodzić dębowego blatu, ale dość, by złamać pałkę.

Wzburzony tak potworną zniewagą wobec swej pijackiej godności, a co dopiero uszkodzeniem lagi, rzekowiec ryknął i odwrócił się w stronę Bochna, unosząc odłamek swego oręża ze złamanym końcem gotowym do ciosu. Bochen kopnął go w kolano swoim ciężkim bucioem, też miarkując się, by nie doprowadzić do złamania kości, gdyż po takiej kontuzji nieszczęśnik długo dochodziłby do siebie. Zanim zdołałby wrócić do pracy, nie miałby z czego żyć. A przewinił tylko tym, że awanturował się po pijaku; na trzeźwo był z niego pewnie całkiem równy gość.

Rzekowiec padł na podłogę, zwijając się i wyjąc z bólu. Bochen rozejrzał się po oberży za druhami tego raptusa. Szybko się pokazali.

– Nie musiałeś tak mocno go kopać – powiedział jeden do Bochna. – On nie chciał zrobić nic złego.

– Uratowałem mu życie – odparł Bochen. – A kolano nie jest złamane.

– Ale uszkodzone bez dwóch zdań – odrzekł ze złością.

– Dawajcie mu pić tylko piwo, a nie będzie miał więcej kłopotów. Mocniejszy alkohol to dla niego za wiele.

– On by nikogo nie skrzywdził.

– Moja żona nie mogła tego wiedzieć. Zresztą mnie się wydaje, że ten człowiek ma już niejedno życie na sumieniu.

– Tylko przez przypadek.

Mówiąc to, razem z kamratami wyciągał kolegę z oberży. Raptem dało się słyszeć głuchy stuk, a

nóż Lejki wbił się z drzeniem we framugę drzwi o dłoń od jego głowy. Mężczyzna natychmiast uskoczył w bok, czym zwałił podpitych towarzyszy z nóg. Padli na podłogę i wili się tam w kłębowisku niczym węgorze, a inni goście w oberży wybuchnęli gromkim śmiechem, jakby to była najśmieszniejsza rzecz, jaką w życiu widzieli, zresztą – z wyjątkiem widoku tonącego szczura lądowego – zapewne była.

Wrzawa wywabiła Umba z kuchni, gdzie mył szklance i miski.

– Czemu mnie nie zawołaliście? – zapytał Lejkę.

– Och, gdybym chciała rzucić czymś tak wielkim jak ty, na pewno bym cię zawołała – zadrwiła Lejka. – Nic byś tu nie poradził.

Pijacek i jego kumple zdołali się pozbierać z podłogi i wynieść na dwór. Lejka jeszcze sprzedała moczymordzie lekkiego pożegnalnego kopa w cztery litery, przez którego i on, i jego kompani padli jak dłudzy w mokre błoto.

Gdy wszyscy już się wysmiali, a goście na powrót zajęli się jedzeniem i piciem, Bochen wyciągnął nóż z ościeżnicy i oddał żonie.

– Umbo mógł ci pomóc – oznajmił. – I pomógł. Jak myślisz, czemu tu przyszedłem?

Ostrzegł mnie, że masz zamiar zabić jakiegoś pijaka, moja droga, i posłał mnie tu z siekierą w rękę.

Umbo się wyszczerzył.

– Zrobiłem? Chyba raczej... zrobię?

– Nie wiem, jak długo czekałeś, by cofnąć się w czasie i mnie ostrzec, ale powiedziałaś mi, że jeśli stanie się tak w ciągu pięciu minut, będziesz gotowy wrócić do O.

– Cóż, wolałabym, żebyśmy poczekali z miesiąc z tym ostrzeżeniem, bo za dużo jest tu roboty, byście mi teraz gdzieś znikali – stwierdziła Lejka.

– Nie musimy czekać, aż przekaże nam tę wiadomość. Już to zrobił.

– Chybaś już do końca postradał zmysły, Bochen. On nie pamięta, że ją przekazywał, prawda, chłopcze?

Umbo zaśmiał się z radości.

– Ze mnie się śmiejesz? – nasrożyła się Lejka.

– Śmieje się, bo to nie ma sensu, a na tym polega cała zabawa – wyjaśnił Bochen. – Zabiłaś tego człowieka, a potem gryzłaś się tym – wiesz, że zawsze tak jest, bo nie jesteś żołnierzem – więc Umbo cofnął się w czasie i mnie ostrzegł, by cię powstrzymać. Tak więc go nie zabiłaś. Nie ma sensu czekać ani chwili dłużej.

– Ale on nie przekazał ostrzeżenia! – upierała się Lejka.

– Nie ma już takiej potrzeby. Bo ten człowiek jednak nie zginął.

– Przecież jeśli nie przekaże ostrzeżenia... – zaczęła Lejka.

– Moje ostrzeżenie zmieniło bieg rzeczy – wtrącił się Umbo.

– Gdy zabiłaś tego człowieka, ostrzeżenie było konieczne. I je przekazałem, a wszystko się zmieniło, i teraz już nie muszę go przekazywać.

– Ale nie zrobiłaś tego! Jeszcze nie!

– Już zrobił. Przed chwilą – wyjaśnił Bochen.

Lejka wyglądała tak, jakby miała zacząć wrzeszczeć.

– Kobieto, dla mnie też nie ma to żadnego sensu, ale po prostu tak to działa – ciągnął Bochen. – Ostrzega mnie w przeszłości, co zmienia bieg rzeczy i ostrzeżenie nie jest już potrzebne. To już się stało.

– Czemu więc musicie wrócić do O, by ukraść klejnot, który Umbo już ukradł?

– Bo jeszcze go nie mam – rzekł Umbo, jakby to było oczywiste. – Dopiero muszę go ukraść, żeby mieć.

Lejka spuściła głowę i pokręciła nią niczym pies otrzepujący się z wody.

– Ja przez was normalnie oszaleję. – I poszła do kuchni.

– To kiedy wyjeżdżamy? – zapytał Umbo.

– Musimy spakować jedzenie, a wszystko jest wczorajsze. Jeśli wstrzymamy się do jutra, Lejka upiecze coś świeżego.

– I tak już prawie zmierzcha.

Z kuchni doszedł ich głos Lejki.

– Oto moje ostrzeżenie z przyszłości! Nie dostaniecie chleba ani jutro, ani nigdy!

– A więc dzisiaj – skomentował Bochen.

W kilka minut Bochen zorganizował przeprawę na tratwie spławianych bali zmierzającej do tartaku. Potem obaj się spakowali – zabierali tylko po jednym plecaczku, zamierzali bowiem podróżować z niewielkim bagażem i chcieli wyglądać na tyle biednie, by nikomu nie opłacało się ich obrabować, acz dość bogato, by wpuścili ich do oberży po drodze.

Gdy odchodzili, Lejka wyszła na dwór i na pożegnanie rzuciła w nich główką sałaty.

– Znaczy, że kocha – wyjaśnił Bochen, mrugając okiem do Umba.

Zapłacili za przeprawę i usadowili się na tratwie. Od czasu do czasu obaj pomagali flisakom, gdyż każda para rąk była na wagę złota w trudnym zadaniu utrzymania wielu tratw na właściwym kursie, nie pozwalając im się okręcić i zablokować kanału. I czemu by nie?

Bochen miał wystarczającą siłę, a Umbo zwinnie skakał po balach i mógł szybko dotrzeć tam, gdzie akurat był potrzebny. Rósł i nabierał siły. Mocowanie się z tyczką mogło mu tylko dodać krzepy, a potrzebował jej, i to bardzo.

Gdy w końcu dopłynęli do tartaku, Bochen i Umbo postanowili, że ostatnie pięćdziesiąt kilometrów do O pokonają na piechotę. Musieli zapłacić za jeden nocleg w szopie pewnego chłopa i wstali do cna przesiąknięci kozim odorem, ale dostali słusne i smaczne śniadanie, a dzięki temu, że dotarli do miasta łądem, wyglądając jak górniacy i pachnąc cokolwiek nieświeżo, nikt, kto znał ich wcześniej, nie mógł ich rozpoznać.

Umbo bardzo cieszył się z powrotu do O – dla niego było to magiczne miejsce, gdzie wydarzyły się prawdziwe cuda. Ale dla Bochna, który bywał tam już niejednym razem, i w innych miastach również, był to po prostu kolejny przystanek na drodze, kolejna sprawa do załatwienia. Późnym rankiem wynajęli pokój w skromnej noclegowni z dala od głównego traktu – tak jak zrobił każdy oszczędny wędrowiec. Właścicielka przybytku, młoda wdowa, chętnie przyjęła takich gości, gdyż dojrzały mężczyzna podróżujący z synem (jak myślała) był mniej skłonny rościć sobie do niej jakieś prawo.

Wędrowka zmęczyła ich na tyle, że postanowili poczekać do jutra, nim wydobędą klejnot spod ziemi. Zapytali gospodynię, gdzie mogliby znaleźć łaźnię, i koniec końców zapłacili jej za ciepłą wodę w całkiem dużej wannie, mydło i zaskakująco dobry ręcznik. Nie mieli nic przeciw temu, by spać razem – łóżko było wystarczająco duże dla nich obu, a pachnieli lepiej niż zwykle. Umbo spał jak zabity i wstał rano w pełni sił.

Gospodyni spakowała im drugie śniadanie i poszli. Przy wieży ustawiła się długa kolejka – wiosenna pogoda przyciągnęła wielu turystów i pielgrzymów. Nikogo więc nie dziwiło, że jakiś mężczyzna i jego syn zjedli śniadanie za budynkiem latryny. Siedzieli tam, póki nie zostali tylko we dwóch. Wtedy dopiero Umbo wstał, przeciągnął się i uklęknął w miejscu ukrycia klejnotów.

Beztrasko kopał w ziemi, odsłaniając... nic.

– I po co to było? – zapytał Bochen. – Wiesz dobrze, że już wzięliśmy klejnoty. Będą tu jedynie

w przeszłości.

– Chciałem się tylko upewnić – wyjaśnił Umbo. – Powiem więcej, chciałbym je teraz zobaczyć.

– Nie będę ich teraz wykopywał, bo jakiś przypadkowy przechodzień mógłby je zobaczyć i pomyśleć sobie, że warto nas zabić dla tej cesarskiej fortuny.

– Ale chcę coś zobaczyć.

– Oglądaj, co tam sobie chcesz, ale klejnotów nie wykopię.

– Tak sobie myślałem...

– Myślenie jest niebezpiecznym zajęciem dla tych, którzy do tego nie nawykli.

– A jeśli wezmę dwa klejnoty zamiast jednego?

– Wtedy od dawna miałbym przy sobie szesnaście zamiast siedemnastu.

– Właśnie dlatego chcę je zobaczyć. Jeśli wyjmę dwa klejnoty, mając stanowczy zamiar je zatrzymać, czy jeden klejnot zniknie z sakiewki?

– Specjalnie mnie prowokujesz.

– Czy raczej będziemy mieli dwa klejnoty? Czy możemy wziąć je wszystkie i mieć kopie wszystkich oprócz jednego?

– Wszystko, co robisz, brzmi nieprawdopodobnie, chłopcze. A teraz bądź dobrym małym świętym, cofnij się w przeszłość i ukradnij klejnot, którego wcale nie musielibyśmy brać, gdybyś nie był diabelskim nasieniem.

– Ma pan zupełną rację co do mego ojca – rzekł Umbo, udając wyniosłą manierę mowy podpatrzoną u Rigga – choć jeśli miał pan na myśli moją matkę, będę zmuszony pana zabić.

– Bierz klejnot i przestań błaznować – rzucił Bochen, po czym przymknął oczy i czekał.

– Nie będziesz patrzył? – zdziwił się Umbo.

– Nie chcę widzieć, jak sięgasz do niewidzialnej dziury i wyciągasz klejnot z powietrza.

To zbyt dziwne.

– Patrz. Nie chcesz tego przegapić.

– Nie mów mi, czego chcę – burknął Bochen poirytowany. Nie lubił, gdy ktoś mu rozkazywał. A już zwłaszcza byle dzieciak. Inna sprawa, że Umbo był o wiele, wiele bystrzejszy niż niektórzy pajace, których rozkazy Bochen wypełniał, gdy był żołnierzem.

– To powiem inaczej. Ja nie chcę, żebyś to przegapił, bo będę próbował zrobić coś ważnego. Spróbuję zabrać cię ze mną.

– Ja nie mam takiego talentu. Więc po prostu zrób, co musisz.

– Trzymaj mnie za rękę. I miej oczy szeroko otwarte.

Bochen je zamknął.

Umbo i tak chwycił jego rękę.

– Otwórz oczy.

– Nie – uparł się Bochen. Chciał wykorzystać ten czas, by oddać się marzeniom.

– Proszę, nie upieraj się. Zrób to dla mnie.

Bochen westchnął ciężko i otworzył oczy.

Otaczający ich las mienił się barwami jesieni, padał deszczyk lekki niczym mgiełka.

Bochen poczuł kropelki na twarzy.

– Na prawe ucho Silboma! – rzekł osłupiały.

– Teraz puszczę twoją rękę i spróbuję cię tu ze mną zatrzymać.

Puścił.

– Nadal widzisz jesienne liście? – zapytał Umbo.

– Tak. Ale ciebie nie widzę!

Umbo wyglądał na wielce zdziwionego.

– Jestem niewidzialny?

– Widzę twoje ubranie, ale puste!

– Kłamczuch! Gdybym zniknął, zmartwiłbyś się o wiele bardziej.

– I tak sobie powtarzaj. No dalej, wykop i weź klejnot, złodziejaszku.

Umbo zagłębił ręce w ziemię.

– Jak głęboko zakopałeś?

– Nie aż tak głęboko.

– A więc... popełniłem błąd? Cofnąłem nas do czasu, zanim je zakopałeś?

– Możliwe. A może kopiesz nie tam, gdzie trzeba.

– Widziałem, gdzie kopałeś, by je wydostać!

– Ale obserwowałeś mnie z daleka. Niewiele się pomyliłeś. Jakiś krok w tył stąd. Ale najpierw zakop tę dziurę i ją zamaskuj.

– Czemu? Przecież nic w niej nie ma.

– Bo nie chcesz, by ktoś sobie pomyślał, że coś było tu zakopane – tak blisko prawdziwej kryjówki. Przypominam, zostawiamy tu w ukryciu siedemnaście klejnotów i nieprędko wrócimy, by je stąd zabrać.

– A może tak ty byś zasypał tę dziurę? W końcu to ty wiesz, jak coś ukryć.

Więc Bochen zakopał dziurę i narzucił na nią trochę kamyczków i gałązek, aż wyglądała tak jak ziemia dokoła. Tymczasem Umbo znalazł właściwe miejsce, wydobył i otworzył sakiewkę. Było w niej osiemnaście klejnotów.

– Nie pamiętam już, którego brakuje – przyznał się Umbo.

– To nie czas na żarty. W każdej chwili ktoś może przyjść – w jednym z czasów albo w drugim.

– Ja nie żartuję. Musisz otworzyć sakwę z klejnotami, które już mamy, i zobaczyć, którego z tych drugich brakuje.

– Robisz to specjalnie, bo chcesz przeprowadzić ten swój eksperyment – zachnął się Bochen.

– I kto tu teraz marnuje czas?

Bochen westchnął, wyciągnął sakiewkę z klejnotami ze swojej nogawki i otworzył ją.

– Nie mogę ci powiedzieć, którego z nich brakuje. Wiem tylko, które tu są.

– Wyłóż je więc obok tych drugich.

– Nie.

– I wtedy mi powiesz – patrząc z jednego na drugi, i tak do skutku.

Bochen niechętnie spełnił prośbę Umba, kolejno porównując kamienie. Bardzo niepokoił go widok kopii tych ponoć unikalnych klejnotów. W końcu rozpoznał ten brakujący.

– Jest! To ten.

– Weź go.

Bochen czuł się bardzo dziwnie, sięgając po kamień i przekładając go do drugiej sakiewki.

– A teraz weź kolejny. Proszę, zobaczymy, co się stanie!

– Nie.

– Co szkodzi spróbować? Kamień albo zniknie z nowej sakiewki, albo nie.

– Umbo, nie wiem, co się może stać. Ale to za duże ryzyko, a musimy dostać się do Aressa Sessamo i, w miarę możliwości, pomóc Riggowi.

Umbo westchnął marudnie i zawiązał starą sakiewkę. Bochen pomyślał, że chłopak wygląda przy tym bardzo dziecinnie.

– Zasyp dziurę – polecił mu. Przeliczył klejnoty – osiemnaście – zawiązał nową sakiewkę i

wpuścił ją do nogawki. Potem zamaskował ten drugi schowek.

– Gotowe – rzekł. – Zabierz nas z powrotem w terażniejszość.

– Cały czas w niej jesteśmy. Było nas widać w obu czasach.

– Znaczy się, spraw, żeby przeszłość zniknęła.

Ni stąd, ni zowąd wielobarwny jesienny las zmienił się w zielony, wiosenny.

– No, załatwione – powiedział Umbo. – Czas udać się do Aressa Sessamo.

– Nie. Musisz najpierw przenieść się w przeszłość, by ostrzec siebie i Rigga.

– Wcale nie muszę. Tak samo jak nie musiałem cofać się w czasie i mówić ci, byś powstrzymał

Lejkę przed zabiciem tego pijaczka.

Bochen usiadł na niskim kamiennym murku i podparł ręką czoło.

– Wiem, Umbo, że grymaszę jak Lejka, ale musimy to zrobić.

– Nawet nie pamiętam, co sobie powiedziałem. I nie mam zielonego pojęcia, co powiedziałem

Riggowi.

– To, co powiesz teraz, będzie tym, co powiedziałeś wtedy.

– Nie. Bo teraz będę to mówił, wiedząc, że nie jest to pilna sprawa. Będzie inaczej.

Zrozum, ja już to powiedziałem. Dowodem jest to, że zakopałeś klejnoty za latryną, bo tak nakazywało Riggowi moje ostrzeżenie. Mamy też sztylet, bo powiedziałem sobie, bym go wziął i schował. Żyjemy w wersji tych wydarzeń, w której już przekazałem moje wiadomości!

– To czemu musieliśmy czekać w Przystani Lejki, aż nauczysz się cofać w czasie?

– Bo musieliśmy wziąć ten klejnot! I przyda mi się wiedzieć, jak to robić. Głupotą byłoby jedynie wiedzieć, że nauczyłem się, jak to robić, by przekazać te wiadomości, a potem nie nauczyć się tego robić tylko dlatego, że już je przekazałem!

Bochen pokręcił głową.

– Byłem po twojej stronie, gdy kłóciliśmy się o to z Lejką. Ale teraz... za dużo mamy do stracenia.

– Masz rację. Za dużo mamy do stracenia, by marnować czas, próbując namówić ludzi, by wpuścili nas do tych samych pokoi, które wcześniej zajmowaliśmy, żebym mógł stanąć w nogach łóżka i przekazać wiadomość samemu sobie, gdy tam śpię. Albo sterczeć tam, gdzie Rigg płacił woźnicy, żebym mógł przekazać mu ostrzeżenie, które już otrzymał. Za dużo byśmy ryzykowali – ktoś mógłby nas rozpoznać przy powozach, a już na pewno w tym pensjonacie, w którym wynajmowaliśmy pokoje! Nie wiemy, czy ktoś nie zawoła straży i nie zostaniemy aresztowani, a wtedy w życiu nie dostaniemy się do Aressa Sessamo i nie pomożemy Riggowi.

– Wiemy, że nas nie aresztowano... bo nas nie aresztowano!

– Nie, wcale tego nie wiemy. A przypominam – jeśli tym razem nas aresztują, mamy przy sobie... kamienie.

Ugryzł się w język i powiedział „kamienie” zamiast „klejnoty”, bo zrozumiał ostrzegawcze spojrzenie Bochna. Ktoś się zbliżał.

Żołnierze. Dwaj. Wolnym, leniwym krokiem – najwyraźniej nie mieli nic pilnego do roboty. Tylko dlaczego tu przyszli? Czyżby ktoś zobaczył, jak kopią, gdy obserwowali przeszłość zamiast terażniejszości? Umbo skarcił się w duchu, że źle zrobił, sprowadzając Bochna w przeszłość; powinien go zostawić w terażniejszości, by miał oko na okolicę.

– Chodźmy stąd – zaproponował Bochen.

– Dokąd?

– Z powrotem do noclegowni.

– Po co? Mamy tam coś, czego potrzebujemy?

– Ubrania na zmianę. I wdowa przyszykuje coś dojedzenia.

– Ale jeśli ci żołnierze nas szukają...

– To łatwiej im umknijemy, mieszając się z tłumem. Jeśli zauważą, że ich spostrzeżliśmy i daliśmy nura do lasu, zaczną nas gonić.

Chłopak nie wyglądał na przekonanego, lecz Bochen mocno chwycił go za rękę i pociągnął, niczym brutalny ojciec; twarz wykrzywił w wyrazie wściekłości.

Umbo naprawdę się przestraszył.

– Rób, co mówię, i bez gadania! Rozumiemy się?! – krzyknął Bochen z takim gniewem, że chłopak aż skulił się w sobie.

– Właśnie – odezwał się jeden z żołnierzy. – Trzeba by go kijem oćwiczyć.

– Trzeba im wbijać rozum do głowy od kołyski – zawtórował mu drugi żołnierz i zaśmiał się głośno.

– Doprawdy? – odparł Bochen z sarkazmem. – A wasi ojcowie wbijali wam?

– Dzień w dzień, cie choroba – powiedział jeden, a drugi przytaknął.

– Jesteście więc żywym dowodem, że to nie działa. Mój syn to moja sprawa, nie wasza.

Żołnierze wyglądali na wściekłych i mogliby zapewne posunąć się dalej – w końcu mieli władzę, a Bochen otwarcie rzucał jej wyzwanie – lecz Bochen stanął przed nimi w zaczepnej pozycji.

– Walczyłem w trzech wojnach granicznych, a wy, pajace, jesteście byle miastowymi żołdakami. Co najwyżej przepychacie się z pijakami i głupcami. Tak was puknę głowami, że przez tydzień będziecie widzieli oczami drugiego. No dalej, spróbujcie szczęścia.

Jeden wyraźnie palił się do bitki, ale drugi – mądrzejszy – odciągnął go do tyłu.

– Oni tu nie łamią żadnego prawa – przekonywał druha – a my nie chcemy spędzić całego popołudnia, zaciągając go do celi i składając raporty.

– Nie będziemy musieli, jeśli umrze – odparł ten głupszy.

– Jeśli będziemy zabijali każdego, kto nazwie nas głupcami – tłumaczył mądrzejszy – tylko udowodnimy, że mają rację.

Żołnierze odstąpili. Bochen popchnął Umba do przodu, a wymijając ich, z szacunkiem skinął głową do mądrzejszego żołnierza.

– Dobry wojak wie, kiedy może uniknąć niepotrzebnej walki.

Gdy wtopili się w tłum, Umbo powiedział:

– Nigdy więcej mnie tak nie szarp.

– Dałem im dobry powód, czemu byliśmy za latryną, choć dawno skończyliśmy jeść.

– Uciekłem od ojca za to, że mnie traktował w ten sposób.

– To mnie też zostaw, jeśli chcesz.

– Ucieknę, jeśli to się powtórzy.

– Czy wybaczysz mi, jeśli przypomnę, że poszedłem ci na rękę w sprawie przekazania tych wiadomości?

– I tak nie zamierzałem tego zrobić.

– Och, dziecko się dąsa. Jak ten głupszy żołnierz, który uniósł się dumą i chciał za nią zginąć.

– Przecież jestem dzieckiem! Mam prawo zachowywać się dziecinnie!

– Cóż, chłopcze, zwykle tego nie robisz, więc wybac, że oczekiwałem po tobie dorosłej wyrozumiałości.

– Teraz żałuję, że Lejka nie trafiła cię w głowę tą kapustą – rzucił Umbo. Ale najwyraźniej się uspokojał, skoro zaczął żartować.

– To była sałata, ty durny górniaku. I gdyby celowała w głowę, na pewno by trafiła.

Zjedli suty posiłek w ich ulubionej budce z ryżem i jajkami w centrum miasta – marne szanse, by ktoś ich rozpoznał, gdy byli ubrani tak jak teraz, a nie w szaty, które nosili, gdy gościli tu z Riggim. Późnym popołudniem opuścili miasto.

Idąc głównym traktem, prawie się do siebie nie odzywali, gdy nagle Bochen zagaił:

– Spójrz na nich. Skręcają dokładnie tam gdzie my.

Chodziło mu o mężczyznę i chłopca, którzy byli wyraźnie brudni i zmęczeni drogą. Z trudem powłóczyli nogami.

– Mam nadzieję, że stać ich na taką kąpiel, jaką my mieliśmy.

– Umbo, pacanie, nie widzisz? Oni dostaną dokładnie taką samą kąpiel jak my.

Dopiero wtedy Umbo uświadomił sobie, że mężczyzna i chłopak przed nimi to Bochen i on sam.

Ale to było niemożliwe. Jak mogliby wciąż tkwić w przeszłości, tyle że o jeden dzień zamiast miesięcy wstecz, zanim Umbo wrócił, by zabrać klejnot?

– W co ty tu sobie pogrywasz, hę? – zapytał Bochen.

– Nie rozumiem tego. Powinniśmy wrócić do tego samego momentu. Przecież gdy cofnęliśmy się w czasie, nie opuszczaliśmy teraźniejszości.

– Skąd wiesz?

– Bo gdy Rigg się kiedyś cofnął w przeszłość...

– Siedziałeś tam, obserwując go.

– No tak.

– Więc kto obserwował, jak my wróciliśmy po klejnot dzisiejszego ranka?

– Przecież upewniliśmy się, że nikt!

– Razem się cofnęliśmy, kopaliśmy w ziemi i coś podnieśliśmy. Nie tylko rozmawialiśmy, nie tylko coś mówiliśmy. Faktycznie coś podnieśliśmy własnymi rękami i zabraliśmy to.

– Przecież wiem. Ale to nie miało żadnego znaczenia, gdy Rigg zabrał sztylet.

– Bo z nim nie byłeś. Wciąż tkwiłeś w teraźniejszości, posyłając go wstecz. Wrócił do ciebie.

– To do kogo powracam, gdy się cofam i mówię do siebie z przeszłości?

– Gdy cofasz się, by coś przekazać, sądzę, że zostajesz w teraźniejszości – tłumaczył Bochen. –

Ale gdy cofasz się i coś robisz, fizycznie cofasz się do tego momentu. Więc gdy powracasz do teraźniejszości, tak naprawdę znów przeskakujesz do przodu w czasie. A ponieważ nie wiedziałeś, że to robisz, nie byłeś uważny. Nie byłeś precyzyjny. Zresztą niewykluczone, że nie możesz przeskoczyć do czasu, którego jeszcze nie przeżyłeś. I wracasz po prostu do momentu bliskiego ostatniego czasu w przyszłości, z którego się cofałeś.

– Nie cierpię rozmawiać o tych rzeczach, bo czuję się coraz bardziej zagubiony.

– Nieprawda. Po prostu jesteś za leniwy, by myśleć.

– Nawet nie wybierałem czasu, po prostu tak jakby się temu poddałem. Jak zawsze.

– Cóż, to „poddanie się” musi oznaczać powrót do przyszłości, z której przybyłeś. Z dokładnością do dnia, mniej więcej.

– Przenosimy się wstecz w przeszłość, a potem wstecz do momentu w przyszłości, z którego cofnęliśmy się w przeszłość. Trzeba wymyślić lepsze określenia.

– Trzeba nam miejsca na nocleg.

– Ja jestem gotowy iść dalej. Musimy się dostać do Rigga, skoro mamy już ten klejnot, który zabrałem. Albo możemy przynajmniej odzyskać klejnot, który dał panu Bednarzowi.

– Odzyskać? Znaczący się: ukraść?

– A pozwolili mu zatrzymać pieniądze?

– Jakąś część – a myślisz, że co wydawaliśmy?

– A kto go kupił tak w ogóle? Myślę, że nikt, sądzę, że Rada Rewolucyjna udawała, że go kupuje, a potem skonfiskowała wszystkie pieniądze.

– I co, chcesz pójść do nich i poprosić o zwrot?

– Nie. Dowiemy się, gdzie jest, udamy się tam, a potem cofniemy się w przeszłość do momentu, gdy go tam umieszczali, i zwiniemy go, a potem znikniemy.

– Znikniemy? To teraz jeszcze potrafisz zniknąć?

– Tak będzie się im wydawało!

– Ale jeśli zobaczą, że go kradniesz, to zapamiętają nas i kiedy pojawimy się, by spróbować dostać się do miejsca, gdzie trzymają klejnot, zwyczajnie nas aresztują.

– Nie będą nas pamiętali, bo gdy tam pójdziemy, nie powróciliśmy jeszcze, by go zabrać.

Bochen udał, że wali głową o otwartą dłoń.

– Nie wiesz, jak to działa. Gdybyś wiedział, nie sprawiłbyś, byśmy tu wrócili, zanim w ogóle przybyliśmy.

– Czemu musimy tutaj nocować?

– Nie musimy – wyjaśnił Bochen. – Możemy po prostu zostawić u wdowy nasze rzeczy.

Niewiele tego, tylko jedzenie, ubrania na zmianę i moja brzytwa – czyli coś, czego nie potrzebujesz, chyba że chcesz w przyszłości poderżnąć sobie gardło, a potem wrócić i ostrzec się, byś tego nie robił.

– I nasze koce – dodał Umbo. – Dobrze, możemy wstrzymać się ten jeden dzień. Albo ukradniemy nasz dobytek, podczas gdy będziemy się kąpać.

– A potem będziemy trzymać kciuki, że tego nie zauważymy? I to jest twój plan? Mówię to, bo jeśli ktoś wczoraj ukradłby nasze rzeczy, byśmy to zauważyli.

– Ale nie zauważyliśmy!

– Bo nie przyszlismy i nie ukradliśmy własnych rzeczy podczas kąpieli. Umbo! Myśl!

Umbo próbował to przemyśleć, ale wedle jego wiedzy to równie dobrze mogło działać i tak, i siak. Trudno było uchwycić zasady tego przemieszczania się w czasie.

W końcu zatrzymali się na noc w o wiele droższym zajeździe bliżej miasta. Pokój był mniejszy, łóżko też, pchły liczniejsze, a jedzenie gorsze. Następnego ranka wrócili do noclegowni wdowy zaledwie godzinę po wyjściu. Gospodyni nie wierzyła własnym oczom.

– Kolejki do wieży były za długie – wyjaśnił Bochen.

– Tak szybko przeszliście tyle drogi! I gdzie wasze śniadanie?

– Zjedliśmy – wtrącił Umbo.

– Ale dopiero co zjedliście ogromne śniadanie. Ogromne!

Rzeczywiście było ogromne. I pyszne.

– Musimy ruszać do Aressa Sessamo – tłumaczył Bochen. – Nie możemy zmarnować całego dnia, stojąc w kolejce, by wejść do jakiejś tam wieży.

Umbo uśmiechnął się najśłodziej, jak umiał.

– A czy przygotowuje nam pani kolejne śniadanie? Byśmy mogli je zjeść na kolację po drodze?

– Zjecie je od razu, jak tylko stąd wyjdziecie, już ja was znam.

– Może. Dla pani żadna różnica, bo przecież zapłacimy za nie.

Zgodziła się, ale szykując jedzenie, cały czas sarkąła, a gdy opuszczali jej dom, słyszeli, jak mamrocze pod nosem – bo chciała, żeby usłyszeli: „Żarłoki, najchętniej wszystko od razu by zjedli i nie zostawili nic na przyszłość”.

Niech nam pani nie mówi o przyszłości – pomyślał Umbo. Jeśli jesteśmy w przyszłości i chcemy czegoś, czego nie mamy, możemy po prostu cofnąć się w czasie i to sobie wziąć.

Rzecz jasna, nie możemy wtedy w pełni wrócić do teraźniejszości, musimy więc wszystko robić dwa razy.

Rozdział 19

ARESSA SESSAMO

– *Nasz plan zakłada podział nowego świata – którego wciąż nie nazwałeś – na dziewiętnaście komórek – wyjaśnił zbędny.*

Ram spojrział na holograficzny glob, kilka razy go okręcił i rzekł:

– *Widzę, że pomijacie trzy mniejsze kontynenty.*

– *Pomyśleliśmy, że mogłyby służyć jako rezerваты dla pierwotnej flory i fauny tej nienazwanej planety.*

– *Niech się nazywa Arkadia. Choć nie wiem, kto oprócz nas będzie tej nazwy używał.*

– *Koloniści będą mówili „tam na Ziemi” i „tu na Arkadi „. Być może zainteresuje cię to, że żaden ze zbędnych ani żaden z komputerów pokładowych nie przewidział Arkadi . Faworytem był Ram, ale część z nas sądziła, że jesteś na to zbyt skromny.*

– *To nie kwestia skromności. Zamierzam żyć z tymi ludźmi – a przynajmniej z załogą jednego ze statków. Naraziłbym się na drwiny i utratę twarzy, gdybym próbował zmusić innych, by nazywali planetę moim imieniem.*

– *Tak też wydedukowałem. Ale mam teraz nad innymi przewagę ciągłego przebywania w twoim towarzystwie.*

– *W życiu bym nie pomyślał, że zbędni są skorzy do przyjmowania zakładów.*

– *Nie ma żadnych stawek. To zwykła kwestia przetestowania naszych algorytmów prognozujących.*

– *Jak dla mnie podział dwóch największych kontynentów wygląda dobrze.*

Zakładam, że mają wystarczającą ilość surowców.

– *Wystarczającą do czego?*

– *Do... życia dla ludzi.*

– *Według nas wystarczy powietrze, którym da się oddychać, woda zdatna do picia, żyzna gleba i klimat umożliwiający przeżycie.*

– *Myślałem raczej o żelazie, węglu...*

– *Ta planeta nie ma paliw kopalnych. Z braku księżycy powodującego większe pływy Arkadia miała o wiele wolniejsze tempo rozwoju życia.*

Obecnie znajduje się w fazie bujnego rozrostu flory, a jej atmosfera zawiera trzy razy tyle dwutlenku węgla co na Ziemi. Za kilkaset milionów lat dorobiłaby się paliw kopalnych – tyle że my, rzecz jasna, temu przeszkodzimy na dobre.

– *Czemu?*

– *Bo ludzie prawdopodobnie nie zdołają przetrwać miejscowej flory i fauny. Szansa, że wszystkie białka są lewoskrętne jak te na Ziemi, wynosi zapewne pół na pół, a szansa na znalezienie wszystkich niezbędnych aminokwasów z właściwą skrętnością jest niewielka. Musimy przenieść tu ziemską florę i faunę, by ludzie mogli tu żyć.*

– *Poważnie proponujesz, żeby wytrzebić całą istniejącą florę i faunę na tych dwóch kontynentach, które zasiedlimy?*

– *Zamierzamy przybyć na tę planetę w taki sposób, by wytrzebić całe życie na powierzchni. Albo możliwie jak najwięcej. Taki był plan od samego początku, choć może cię o tym nie powiadomiono.*

– *A więc te trzy mniejsze kontynenty...*

– Po zjawisku masowego wymarcia zasiedlimy je autochtonicznymi formami życia Arkadi . Główne fazy planu są następujące: najpierw odwiedzimy powierzchnię Arkadi , by zebrać kompletną kolekcję rdzennych form życia. Potem rozbijemy statki o planetę pod takim kątem i z taką szybkością, by dokonać niezbędnych zmian, łącznie z masowym wymieraniem. Poczekamy, aż atmosfera się ustabilizuje, i gdy będzie zdatna do oddychania, zasiedlimy planetę na nowo. Po jakichś dwustu latach ludzcy koloniści, łącznie z tobą, zostaną wybudzeni z letargu i będą mogli rozpocząć kolonizację.

– Zjawisko masowego wymierania. Plan od początku zakładał, że nasze przybycie ma być kataklizmem?

– Takie otrzymaliśmy wytyczne. I znacznie łatwiej będzie to zaaranżować, mając do dyspozycji dziewiętnaście statków zamiast jednego.

– A jakie są inne „niezbędne zmiany”?

– Jak widzisz, Arkadia nie ma księżyca. Musiała uderzyć w niego pokaźna asteroida, acz mieszcząca się w granicy Roche'a, stąd ten pierścień. To zapewnia zauważalne i trwałe oświetlenie po zmierzchu, co pozwoli się rozwinąć gatunkom nocnym. Ale jedynymi pływami są te spowodowane przez słońce.

– Utworzymy księżyc?

– Myślałem, że nie lubisz być śmieszny.

– To do czego zmierzasz?

– Bez większego księżyca, który spowolniłby tempo obrotu planety, dzień na Arkadi trwa jedynie siedemnaście godzin i trzysta trzydzieści pięć tysięcznych. To poniżej granic tolerancji dla ludzkiego zegara biologicznego.

Obrót planety należy spowolnić, by uzyskać dni nie krótsze niż dwadzieścia godzin, najlepiej byłoby w przedziale od dwudziestu dwóch do dwudziestu sześciu. Pierwotny plan zakładał bombardowanie planety asteroidami pod odpowiednim kątem i z odpowiednią prędkością, ale skoro mamy dziewiętnaście statków, możemy osiągnąć pożądane zwolnienie tempa obrotu Arkadi dzięki sprowadzeniu na nią wszystkich statków równocześnie, pod odpowiednim kątem względem kierunku obrotu i z odpowiednią prędkością, by zrekompensować mniejszą masę.

– Wbijecie statki w powierzchnię.

– Jednostki orbitalne, mieszczące kopie komputerów i baz danych, zostaną równo rozmieszczone na orbitach geosynchronicznych. A główny kadłub każdego statku uderzy w planetę pod przeciwnym kątem do osi obrotu.

– Rozbijając nas na miazgę i tworząc piękne malutkie kratery, – Te same pola, które pozwalają nam unikać zderzeń z obiektami międzygwiazdowymi, w całości ochronią statki. Nadamy tym polom zderzeń właściwy rozmiar i kształt, by zmiążdżyły tylko tyle powłoki Arkadi , by przez kilkadziesiąt lat nie dotarło do niej światło słoneczne, lecz w ciągu dwustu lat atmosfera całkiem się oczyści.

– A więc jesteśmy kataklizmem ekologicznym.

– Tak – przyznał zbędny. – Naszym celem było zapoczątkowanie ludzkiego życia na innej planecie, orbitującej wokół innego słońca, by rodzaj ludzki nie wymarł w wyniku pojedynczego kataklizmu.

– A więc gotujemy rdzennym formom życia na Arkadi dokładnie ten sam los, jakiego chcemy uniknąć?

– Na planecie nie wykryliśmy żadnego rozumnego życia. Jeśli podczas wizyty na powierzchni znajdziemy takie życie, wrócimy do statków i poszukamy innego świata albo światów.

– Nie miałem pojęcia, że planowaliśmy być tak bezwzględni.

– Tego akurat nie omawiano z politycznym ramieniem programu kolonizacyjnego.

Bezwzględność była konieczna, a nie spotkałaby się z poparciem.

– Ale to nie jest nasz świat, żebyśmy traktowali go, jak nam się żywnie podoba!

– Odwiedziny tego miejsca w celu zbadania obcej tradycji ewolucyjnej nie byłyby ani kosztowo opłacalne, ani w dłuższej perspektywie efektywne. Z

pewnością skazilibyśmy Arkadię albo, co gorsza, zostalibyśmy skażeni przez nią i przywieźlibyśmy potencjalnie śmiertelnie niebezpieczne arkadyjskie formy życia w powrocie na Ziemię. Trzy kontynentalne rezerwy wystarczą, by biologowie zbadali obce kiedyś w dalszej przyszłości. A jeśli naprawdę myślałeś, że możemy skolonizować ten świat, nie czyniąc go „swoim”, byłbyś zdecydowanie zbyt naiwny, by dowodzić tą ekspedycją.

– Nie miałem pojęcia...

– W ogóle o tym nie myślałeś – stwierdził zbędny.

– Wybiórcza świadoma ślepotą pozwala ludziom ignorować moralne konsekwencje ich wyborów. To była jedna z waszych najcenniejszych cech gatunkowych, z perspektywy przetrwania każdej pojedynczej ludzkiej społeczności.

– A ty nie jesteś moralnie ślepy?

– Wyraźnie dostrzegamy moralne paradoksy. Ale nas nie obchodzą.

Umbo miał wrażenie, że wejście do Aressa Sessamo trwa w nieskończoność. Nie było murów miejskich. Szli drogą na groblach wśród bagien delty Kosmolo. Groble się rozszerzyły, a po ich bokach zaczynały pojawiać się pierwsze zabudowania; większość stała na podwyższeniach połączonych razem, aż w końcu „ład” w zasięgu ich wzroku wszędzie został podniesiony do tego samego poziomu. Po drodze wyrastało coraz więcej budynków; wioski przechodziły w miasteczka, a te łączyły się, tworząc metropolię.

– Kiedy dojdziemy do Aressa Sessamo? – zapytał znużony Umbo.

Bochen go obśmiał.

– Jesteśmy w niej już od wielu godzin.

– Ale tu nic nie ma, tylko bezładna zbieranina domów. Gdzie się zaczęło właściwe miasto?

– Tam gdzie woda i bagno, tam go nie ma; jest tam, gdzie budynki i drogi na groblach.

– Żadnych wielkich murów?

– A jaki pożytek z murów w mieście, które w każdej chwili może zostać zalane? Zimą sztormy rozbijają wielkie grzywacze na północnych krańcach miasta. Wiosną wylewają rzeki na południu. Woda podmyłaby fundamenty każdego kamiennego muru. Spójrz na domy – postawiono je na palach. Wyglądają jak czaple.

– Ale to jednak stolica.

– I części, które trzeba chronić, są chronione – wyjaśnił Bochen. – Choć służba garnizonowa w Aressa to najgorsze, co może się przytrafić. Wystarczy trzymać tu żołnierzy przez rok, a będą do niczego na polu bitwy – trzeba zaczynać szkolenie od podstaw.

Umbo wyłączał się za każdym razem, gdy Bochen mówił o życiu w armii. Nie miał zamiaru kiedykolwiek być w żadnej armii, a nawet być po tej samej stronie co któraś z nich.

Kiedy po raz pierwszy weszli do O, mieli na celu rzucić się w oczy, nie sprawiając wrażenia, że chcą zostać zauważeni. Musieli dobitnie przekonać ludzi, że Rigg jest zamożnym paniątkiem, nawykłym do rozkazywania. Teraz jednak, wkraczając do Aressa Sessamo, mieli na celu coś zgoła przeciwnego – chcieli pozostać niezauważeni, nie zdradzając się, że to jest ich zamiarem. Po

ucieczce z łodzi zapewne nie zniknęli ze sfery zainteresowań armii czy Rady Rewolucyjnej; nawet w tej chwili mogli ich szukać żołnierze.

Ale Umbo jakoś w to nie wierzył. Mieli znaczenie tylko o tyle, że podróżowali z księciem. Teraz, gdy jako zwykli wędrowcy wchodzili do miasta, nikt nie zwracał na nich uwagi. Co Umbo przyjął z więcej niż lekką irytacją. Jeśli nie jestem z Riggiem, to się nie liczę? Gdy wypowiedział tę myśl, Bochen się zaśmiał.

– Rigg liczy się tylko wtedy, gdy jest księciem – i spójrz, gdzie skończył! Nie może uciec od Rigga księcia, bo nim jest! To my mamy szczęście, uwierz mi na słowo.

Szli i szli, czasem przechodząc przez zabagnione tereny lub przez mosty, które zdawały się nie mieć końca. Starali się obchodzić gęsto zaludnioną dzielnicę, by uniknąć tłumu, a i tak zawsze w końcu się w niego wbijali.

W O przeważał wspólny język rzeczny. Wielkopańska dykcja Rigga była tam czymś niezwykłym. Umbo spodziewał się, że w stolicy wszyscy będą mówili tak jak Rigg, gdy próbował sprzedać klejnot. Ku jego zdziwieniu ludzie tutaj nie tylko posługiwali się rzeczonym językiem z każdym możliwym akcentem, ale słysząc było też obcą mowę. Umbowi obilo się o uszy, że istnieją inne języki, rzecz jasna, lecz nigdy wcześniej nie słyszał żadnego w użyciu, więc zrazu go to zdumiewało i przerażało.

– Co to za język? – zapytał. – Nie mogę ich zrozumieć.

Bochen wymienił nazwę; Umbo natychmiast ją zapomniał.

– Mówią nim na wschodzie, niedaleko Muru – wyjaśnił Bochen.

– Ale po co? Czemu po prostu nie mówią wspólnym, by ludzie mogli ich zrozumieć?

– Ludzie ich rozumieją. Tylko nie ty. Czemu ktoś miałby się nauczyć języka, którym nikt nie mówi? To byłaby czysta głupota.

A gdy Bochen powiedział, że po tej stronie Muru istnieją setki języków, a każdym posługują się tysiące ludzi, Umbo skwitował to gromkim śmiechem.

– Czemu się śmiejesz? – uprzejmie zapytał Bochen.

– Bo śmiesznie brzmią. I dlatego, że nawet ludzie, którzy z własnej woli robią z siebie tak wielkich głupków, by mówić nieznanym językiem, nie mogą się zdecydować, którym się posługiwać!

– Zanim zostali podbici przez Sessamoto, nie mieli potrzeby uczyć się języka innych narodowości. To, co zwiemy wspólnym, jest tylko językiem handlu na rzece Kosmoło. Każdy mówi jakąś jego odmianą, bo to ułatwia interesy. Ale nie tego języka my z Lejką się nauczyliśmy w dzieciństwie.

– Powiedz coś w swoim języku – poprosił Umbo, wyraźnie zaciekawiony.

– *Mm eh keuno oidionectopafala.*

– Co to znaczy?

– Gdyby dało się wyrazić we wspólnym, nie musiałbym tego mówić w mo'onothonoiskim.

– To było coś naprawdę sprośnego, prawda?

– Gdybyś znał mój język, byłbyś zmuszony mnie zabić.

– Czemu ty i Lejka nie mówicie w domu tym monononojskim czy jak się to zowie?

– Czasem mówimy. Ale tam nikt go nie zna, a gdy ludzie słyszą obcą mowę, zakładają zwykle, że mówisz tak specjalnie, by nie zrozumieli, a to ich drażni.

Na lokalnym rynku nieopodal zbiegu sześciu dróg wrzawa uliczna była taka, że przestali się słyszeć i rozmowa zamarła. Mogło się wydawać, że każdy kram rywalizuje z pozostałymi pod względem hałasu i smrodu, a muły, woły, konie i osły można przywołać do porządku jedynie długimi i soczystymi przekleństwami. Nawet żebracy nie próbowali przekrzyknąć tego jazgotu – by zwrócić

na siebie uwagę, skakali wysoko i wyglądali jak ebbeki w wysokiej trawie. Umbo nawet miał ochotę dać im pinga w uznaniu dla ich zręczności, lecz Bochen klepnął go w ramię, pochylił się, tak że jego usta znalazły się tuż przy uchu Umba, i wrzasnął:

– Jeśli dasz im cokolwiek, zaraz zostaniesz przeturlany, zdeptany, rozebrany i oskubany do czysta!

Jeszcze za dnia dotarli do dzielnicy z szerszymi brukowanymi ulicami i większymi budynkami z lepszych materiałów, gdzie policja na koniach dbała o jaki taki porządek. Ludzie nosili tu ładniejsze ubrania, a hałas nie doskwierał już tak bardzo – ale to oznaczało też, że odzienie Bochna i Umba wyróżniało ich z tłumu. Na niekorzyść.

– To nie miejsce dla nas – stwierdził Umbo.

– Co racja, to racja. – Bochen chwycił go za rękę i podszedł wprost do jednego z policjantów na koniach. – Panie, jesteśmy nowi w tym mieście i szukamy jakiegoś kwaterek. Tu z pewnością nie znajdziemy żadnego noclegu, na który nas stać. Czy byłby pan łaskaw powiedzieć mi, gdzie moglibyśmy...

Policjant niespiesznie zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów i dał swojemu wierzchowcowi jakąś niezauważalną komendę, gdyż koń poszedł dalej, dźwięcznie stukając podkowami o bruk.

– Chyba nie lubi robić za przewodnika – ironizował Umbo.

– Wcale nie oczekiwałem, że się do nas odezwie – wyjaśnił Bochen. – Pytając o drogę, udowodniłem, że naprawdę nie jestem stąd. Do tego zrobiłem z siebie durnia, a tych powszechnie uważa się za niewiniątka. Gdybym miał jakieś nieczne zamiary, w życiu nie podszedłbym do niego, a już na pewno nie z moim chłopcem pierwszopiętrowcem u boku.

– Chłopcem pierwszopiętrowcem?

– Z początku musiał uznać, że jestem złodziejem, a ty chłopcem, którego dźwigam na balkony lub dachy, by mógł przecisnąć się przez jakiś komin, świetlik czy otwór wentylacyjny, a potem zszedł na dół i wpuścił mnie do domu.

– A nie mógł nas uznać za ojca i syna?

– W tej okolicy? W tych ubraniach? W życiu!

– To po co tu jesteśmy?

– Bo to taki rodzaj dzielnicy, w której mogą trzymać rodzinę Królewską. Musimy się zbliżyć do Rigga, jeśli wciąż żyje, na tyle blisko, by zauważył nasze ścieżki. Sam mówiłeś, że widzi ścieżki nawet przez mury.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– A co myślałeś? Że możemy spytać, gdzie trzymają rodzinę królewską, a potem pójść i ot tak pogadać sobie z Riggiem?

– Myślałem, że Rada Rewolucyjna pozwala zwykłym obywatelom przychodzić, oglądać rodzinę królewską, zabierać im różne rzeczy i takie tam.

– Tak, tak, ale nie każdemu zwykłemu obywatelowi. Ani nawet tym co bardziej sędziwym i zasłużonym. Pozwalają na to tylko wtedy, gdy chcą upokorzyć rodzinę królewską, dać im coś do zrozumienia. A my nie bylibyśmy „zwykłymi obywatelami”, których by wysłali.

– A więc to wszystko na pokaz.

– Rząd to istna gra pozorów, jeśli nie chodzi akurat o morderstwo w ciemnościach – wyjaśnił Bochen. – Lub o żołnierzy na widoku.

Zamiast wracać do bardziej bezpiecznych dzielnic – to znaczy bardziej bezpiecznych dla biedaków – Bochen poprowadził Umba do jeszcze bogatszego kwartału. Tutaj budynki były tak szerokie jak dziesięć razem wziętych w innych częściach miasta, a żadne z okien nie wychodziło na

ulice, może z wyjątkiem tych na drugim piętrze.

– Czy oni wszyscy mieszkają w mroku? – zapytał Umbo.

– Te gmachy mają wielkie wewnętrzne dziedzińce, a okna wychodzą na prywatne ogrody właścicieli. To niemal małe zamki.

– Mnie nie wydają się małe.

– Bo nigdy nie widziałeś zamku.

– A w każdym z domów jest tylko jedna rodzina?

– Jedna rodzina plus służący, strażnicy i goście. Są tam skarbiec, biblioteka i zwierzęta.

Każdy z tych domów mieści tylu ludzi co cała wioska.

– Złodziej miałby nielichy kłopot, by podsadzić swego chłopca pierwszopiętrowca do tego okna – zauważył Umbo.

– Nawet jeśli, to miej, proszę, dość rozumu, by nikt nie spostrzegł, że się mu przyglądasz.

Raptem droga otworzyła się na park z szerokimi trawnikami, niskimi kwiatami i krzewami, tylko tu i tam wyrastały pojedyncze drzewa. Kanał odpływowy, zabezpieczający podwyższenie przed podmoknięciem, biegł na wysokości trawy, równo obgryzanej przez kozy. W tym parku stało kilka budynków – dwupiętrowych, nie więcej, ale rozległych.

– No i jest. Wielka Biblioteka Aressa Sessamo.

– W którym domu?

– We wszystkich – wyjaśnił Bochen. – Gdyby się zmieściła w jednym, to wcale nie byłaby wielka, nieprawdaż?

– Wejdziemy do środka?

– Żartujesz? A wyglądamy na uczonych? Z miejsca wzięliby nas do wariatkowa.

– Ja umiem czytać!

– A kiedy ostatnio się kąpałeś? – zadrwił Bochen. – Nie, myślę tylko, że jeśli Rigg ma jakąś swobodę, to spróbuje się tu dostać, by lepiej poznać swój dar albo historię rodziny królewskiej, albo współczesną politykę – a przechodząc tutaj, zwiększamy szanse, że zauważy nasze ścieżki.

– A planujesz może wkrótce zawędrować gdzieś, gdzie mógłbym się wysikać?

– Och, możesz to zrobić wszędzie. Pod każdym z tych murów.

– Przy domach bogaczy?

– Sikasz od strony ulicy. I tak co pół roku pokrywają to świeżą warstwą białego wapna. – I jak gdyby Umbo podsunął mu świetny pomysł, Bochen z werwą odsikał się na otynkowany mur.

Umbo dostrzegł tam wiele żółtych zacieków.

– Pomyślałby kto, że w Aressa Sessamo panuje większa kultura – skomentował. – My w Wodobrodzie...

– W Wodobrodzie, podobnie jak w Przystani Lejki, każdy bez trudu znajdzie sobie jakiś krzak czy wygodkę, może więc sobie pozwolić na wybredność w kwestii załatwiania swych potrzeb fizjologicznych i nie robi tego publicznie. Ale to miasto stoi na bagnach – każdy skrawek terenu jest cenny, ludzie nie mają zamiaru marnować go dla publicznych szaletów.

Umbo zastanawiał się, jak w takim razie radzą sobie kobiety. Był całkiem pewien, że to nie miało nic wspólnego z murem, ale wolał nie pytać Bochna. To by tylko dało początek całej serii niewybrednych żartów, które zdeprimowałyby Umba wulgarnością.

– Ten system działa dlatego – tłumaczył Bochen sam z siebie – że wszyscy udają, że tego nie widzą. Na to się nie patrzy, nie gapi, nie mówi się o tym, a nawet stara się nie widzieć.

– Aressa Sessamo wcale mnie nie zachwyca – rzekł Umbo, znowu patrząc na wzór plam po moczu na murach. To, że sam robił właśnie kolejną, nie zmniejszało jego wstrętu.

– Stoimy przy największej bibliotece na świecie – stwierdził Bochen.

– Ale nie wpuszczają nas, więc co mnie ona obchodzi? – zapytał Umbo. Skończył się odcedzać, poprawił ubranie.

– Cóż, jeśli chcesz wejść do środka, możemy kupić ubrania, dzięki którym nas wpuszczą.

Ale wtedy musielibyśmy zamieszkać w innej dzielnicy, gdzie policja i szpiegzy rządu nie spuszczałyby nas z oczu.

– Myślałem, że policja zwraca większą uwagę na biedaków.

– A to czemu?

– Bo wśród nich kryją się przestępcy.

– Żebracy, kieszonkowcy i im podobni, pewnie, ale co tacy obchodzą policję, o ile nie ma zamieszek? Póki żerują na chłopach, robotnikach i kramarzach, policja ma to w nosie. Ale jeśli masz dość pieniędzy na lepsze odzienie i bardziej paradną kwatere, wtedy możliwe, że zamierzasz okraść bogaczy podstępem albo wkraść się w łaski socjety, albo szpiegować kogoś wpływowego, albo trwonić pieniądze, niekoniecznie dbając o to, by część z nich trafiła do kieszeni możnych. Zaczynasz się liczyć, rozumiesz.

– To trzymajmy się z dala od biblioteki. Wolałbym nie rzucić się w oczy.

– Im dłużej ze mną przebywasz, tym więcej masz rozumu.

Bochen udawał, że się gapi na ogrody i bibliotekę jak cieleń na malowane wrota, wskazując Umbowi to i owo, lecz nie stał zbyt długo w jednym miejscu. Potem poszli na południe, i niebawem po dźwiękach i zapachu poznali, że zbliżają się do rzeki, do dzielnic, gdzie mogli się stopić z tłumem. Po drodze minęli kolejnego policjanta, a Bochen znów podszedł i zadał głupie pytanie.

– Czy któryś z tych wspaniałych białych budynków był kiedyś pałacem królewskim?

Ten policjant nawet się uśmiechnął, choć szyderczo i bez wesołości.

– To biblioteka. Teraz już nie ma rodziny królewskiej. Czyżbyś nie słyszał o rewolucji?

– Aha – rzekł Umbo jak najgłupszy górniak. – Czy Rada w końcu kazała ich zgładzić?

Bochen spiorunował go wzrokiem – typowy choleryczny ojciec.

– Pan oficer miałby ci odpowiadać na głupie pytania?! – wzburzył się, a potem zdzielił Umba w głowę. Ćwiczyli to, więc chłopak umiał tak się uchylić, by uniknąć jego mocy, ale wyglądało to groźnie.

– Z drogi! – nakazał policjant.

Bochen zaciągnął Umba na drugi koniec ulicy i weszli z powrotem do brudnej, tłumnej, gwarnej, żywej, gniewnej, szczęśliwej części Aressa Sessamo, gdzie żyli prawdziwi ludzie.

Znaleźli oberżę, która na oko budziła zasadne nadzieje, że znajdą w niej pokoje do wynajęcia – nie dla nich uroczy pensjonat na przedmieściach jak wcześniej w O, gdyż peryferie Aressa Sessamo leżały zbyt daleko od centrum. Oberża nie była wyższa niż dwupiętrowe bogate domy, które dopiero co minęli, ale na tej samej wysokości upchnięto aż cztery piętra, z których każde wystawało nad ulicę o stopę lub dwie dalej niż piętro poniżej.

– Sądziś, że to będzie zbytńia ekstrawagancja, jeśli zapłacę więcej, by dostać pokój na drugim piętrze? – zapytał Bochen.

Myśląc o schodach, na które musieliby się wspiąć, Umbo odparł:

– Czemu nie na pierwszym?

– Na pierwszym czuć jeszcze zapach ulicy.

– Rób, jak uważasz. Ja jestem tu po raz pierwszy.

Oberżysta był wesoły, ale nie okazał zainteresowania, gdy Bochen wspomniał, że on sam prowadzi oberżę w górnym biegu rzeki.

– Rzekowcy to hołota. Takich tu nie wpuszczam.

– To całe szczęście. Zdecydowanie za często widuję ich w moim przybytku. Nie zadajemy się z nimi, przyszliliśmy do miasta na własnych nogach.

Ustalili cenę za pokój dwa poziomy schodów wyżej i jeszcze zapłacili za kąpiel.

Oberżysta uważnie otaksował ich wzrokiem.

– Potrzeba wam dwóch kąpielei – powiedział, z lekka się krzywiąc – inaczej ten, który wejdzie drugi do wanny, będzie taplał się w błocie.

Bochen zachichotał i przyznał mu rację.

– Pańskie jedzenie pachnie wybornie – pochwalił.

– Jak się wykąpiecie, wpuszczę was do jadalni, jako że wynajmujecie pokój na drugim piętrze. A jeśli chcecie zjeść teraz, stołówka was przyjmie, choć niektórzy będą kręcić nosem.

– To jak, synu, co robimy?

– Burczy mi w brzuchu.

– Zatem stołówka. Ale jutro skorzystamy z usług jadalni.

– Wyślę chłopaka, by zaniósł... wasze bagaże do pokoju.

Tym „chłopakiem” okazała się dwunastoletnia dziewczynka z miną urwisa. Bochen rzucił jej szeba, a ona uśmiechnęła się szyderczo.

– Jeśli myślisz, że dając tak wysoki napiwek, dostaniesz się pod moją spódnicę, to źle myślisz.

– Liczyłem na to, że za szeba bagaże bezpiecznie trafią do naszego pokoju, a ty nie zwrócisz uwagi na to, jak są brudne. Jeśli jednak wolałabyś pół farta niż damkę, z chęcią zamienię.

W odpowiedzi wetknęła szeba do kieszeni fartucha, podniosła obie torby i, trzymając je z dala od siebie, zaczęła ciężko wspinać się po schodach.

Umbo poszedł za wskazaniem uszu i nosa do zatłoczonej stołówki – była teraz pora wczesnej kolacji, na zewnątrz zmierzchało, a najwyraźniej oferowano tu dość dobrą strawę – albo dość taną – by przyciągnąć więcej klientów, niż wynajmowało pokoje. Przy niektórych stolikach siedziały całe rodziny z dziećmi. Nawet pijaczkowie z czerwonymi nosami nie wydawali się szczególnie hałaśliwi ani wulgarni, a wrzawa była raczej radosna niż grubiańska.

Jedzenie miało dla Umba smaki całkiem nieznanne, ale było dobre, pożywne i było go dużo.

– Aressa Sessamo nie urzekło mnie architekturą – rzekł Bochen, cmokając z zachwytem po szczególnie ostrej kuleczce rybnej w cieście – ale to najlepszy lokal po tej stronie Muru, jeśli chodzi o kuchnię.

– Teraz rozumiem, czemu tak tu tłoczno.

– W Aressa chłopci jedzą jak rodzina królewska – dodał Bochen.

Niestety, powiedział to dość głośno, a jeden z pijaczków go usłyszał.

– Lepiej by było, gdyby rodzina królewska jadła jak chłopci! – oznajmił wojowniczo.

Wyglądało na to, że innym te słowa i ton się podobały. A Bochen rzekł z uśmiechem:

– Dobrze powiedziane, panie!

– Teraz jeszcze mają tego bękarta, co udaje księcia – dodał pijaczek.

Umbo spojrzał Bochnowi prosto w oczy. A więc Rigg wciąż żył.

– Co zamierzają, jak myślicie? – ciągnął podchmielony jegomość. – Przywrócić monarchię, zaciągnąć naszych synów do woja i prowadzić kolejne wojny, ot co! I nałożą takie podatki, że przymrzemy głodem!

Bochen uśmiechnął się jeszcze szerzej... Umbo poznał w tym uśmiechu zarzewie kłótni.

Potrafił nawet zgadnąć, co Bochen zaraz powie: „A teraz nie płacicie żadnych podatków?

Rada Rewolucyjna nie ma żadnej armii?”.

Nagle usłyszał głos dobywający się spod stołu i poczuł dłoń na kolanie.

– Nie mów tego! – wyszeptał ktoś ostro.

Umbo zdążył spojrzeć w dół, by zobaczyć samego siebie – w tym samym ubraniu jak teraz, tyle że miał je w strzępach, do tego podbite oko i spuchniętą wargę. To jego drugie „ja” natychmiast zniknęło.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Bochen też zrozumiał ostrzeżenie – właśnie do niego było kierowane.

– Chciałem powiedzieć tylko...

Umbo wytrzeszczył oczy i uniósł otwarte ręce nieco ponad stół, by go powstrzymać.

Przecież został ostrzeżony.

Pijaczek jednak zauważył wahanie Bochna.

– Jesteś zwolennikiem męskiej linii, tak? – zapytał.

– Chcesz mieć króla mężczyznę? Hagia niekrólowa to wszystko, czego nam trzeba, przez wzgląd na sentyment. Ona nikomu nie wadzi, nie ma żadnych ambicji. Ale ten chłopak to co innego! Zanim skończy, dostanie się do naszych kieszeni i pod nasze spódnice!

Pijak wstał, a za nim kilka innych osób.

– Jestem lojalnym obywatelem, lepszego nie znajdziecie! Na lewe ramię Rama, nie pozwolę, byś obstawał za tym Riggim!

– Prędzej bym złożył mu skórę! – zagrział Bochen, wstając z kolejną rybną kuleczką między palcami, którą podniósł do góry, by wszyscy mogli zobaczyć. – Jestem za zostawieniem królowej w spokoju, jak ty, przyjacielu, tak długo, jak zechce Rada, lecz w tej chwili jestem przede wszystkim głodny, mówię więc: Kuleczki w dłoń i do brzucha!

Czupurny pijaczek i inni, którzy wstali razem z nim, wzniesli szklanice w toaście.

Pozostali klienci wybuchnęli śmiechem, a kilku przyklasnęło. Po chwili zapanował spokój.

Gdy skończyli jeść, służka, która przysłała zabrać talerze i kubki, nachyliła się do Bochna i rzekła:

– Dobra robota. Gospodarz powinien pana ostrzec, że tu przeważnie pełno zwolenników królowej.

– Warto wywiesić jakiś znak – bąknął Bochen.

– Czyli rozgłosić, że gromadzą się tutaj monarchiści, i ściągnąć na siebie policję? Nie, dzięki – odparła dziewczyna. – Uspokoił pan ludzi i za to panu dziękuję.

W pokoju czekała już na nich pierwsza kąpiel, a Bochen nakazał Umbowi wejść do wody.

– I skorzystaj z mydła. I wyszoruj wszystko dwa razy, ty plugawy węgorzu.

– Nie podziękujesz mi, że ostrzegłem cię, byś trzymał język za zębami, i zaoszczędziłem lania nam obu? – zapytał Umbo, rozbierając się.

– Ani mi się śni – rzucił Bochen, kładąc się na podłodze.

– Czemu kładziesz się na podłodze, skoro tam jest łóżko?

– Bo po kąpieli chcę się położyć w czystej pościeli.

– Jeśli nie podziękujesz mi za ostrzeżenie, nie zasługujesz na czystą pościel.

– Po pierwsze, nie ty mnie ostrzegłeś, tylko przyszła wersja ciebie, która teraz już nigdy nie zaistnieje. Po drugie, zrobiłeś to zapewne tylko dlatego, że mój przyszły „ja” ci kazał, więc dziękuję sobie. Po trzecie, z tego co widziałem, jedyną osobą, która dostała lanie, byłeś ty z przyszłości; idę o zakład, że przyszły „ja” nie miał na sobie nawet jednego zadrapania, a wysłałem cię z powrotem, byś przekazał ostrzeżenie, tylko dlatego że oberżysta wyrzucił nas za drzwi, a nie chciało mi się szukać innego pokoju.

– Masz szczęście, że nie cofnę się w czasie i nie nasikam na ciebie, gdy tak wylegujesz się na podłodze.

– Nie wątpię, że zamiast tego sikasz do własnej kąpielni.

– Czemu? To jakiś zwyczaj w wielkim mieście?

– Szoruj się, nie gadaj.

Następnego ranka zjedli porządne śniadanie, choć Umbo zdał sobie sprawę, że nie mogą wiecznie żyć w ten sposób. Miesiące, owszem – mieli dość pieniędzy na kilka miesięcy. Ale co będzie, jeśli Rigg ich nie zauważył albo nie mógł się wydostać z domu, w którym przebywał?

– Sądzę, że powinniśmy odbyć naradę wojenną – oznajmił Bochen.

– Jeśli to znaczy, że powinniśmy wykombinować, co robić dalej, to jestem za.

– Moglibyśmy poszukać Rigga – zaczął Bochen. – Ale mnie wydaje się to ryzykowne.

Zwłaszcza od razu po wejściu do miasta. Wolałbym zrobić coś innego i w tym czasie dyskretnie się wywiedzieć, w którym domu mieszka rodzina królewska i czy on też tam jest.

– Tyle dobrego z wczorajszej awantury, że wiemy na pewno, że Rigg jest w mieście i żyje, choć niektórym to nie w smak.

– Wiemy na pewno, że ludzie myślą, że jest w mieście, i myślą, że żyje – poprawił Bochen. – Ale to i tak lepsze niż nic.

– To co innego możemy zrobić?

– Pamiętasz nazwę banku, do którego zaadresowano list kredytowy Rigga?

Umbo próbował sobie przypomnieć.

– To było dawno. I Rigg zajmował się całym gadaniem.

– Zastanawiałem się tylko, czy ty zajmowałaś się słuchaniem.

– A ty?

– Słyszałem tę nazwę i może ją sobie przypomnę, ale jestem co najmniej trzy razy starszy od ciebie, a mój mózg jest zmęczony i pełny po brzegi. Nie mam miejsca, by upchnąć tam coś nowego. Szybko zapominam.

– Było tam chyba „Długorzek”...

– Długorzek i Długorzek – przypomniał sobie Bochen. – Ale to był bank, który dyskontował weksle pana Bednarza.

– Skoro tak dobrze pamiętasz...

– Zapomniałem tylko nazwy. Myśl dalej.

– Potatery i Synowie.

– Blisko, ale nadal nie to.

– Rudodory.

– Tak, to ten bank, który przyjął weksel Bednarza bez dyskonta. Możemy tam pójść i spróbować dowiedzieć się czegoś więcej. Ale nie jesteśmy Riggim, i to w ogóle nas nie zbliża do celu.

– Którym jest...?

– Klejnot.

– Oni go nie oddadzą.

– Ale jeśli się dowiemy, gdzie go trzymają, możemy tam pójść, ty cofniesz się w czasie i wykradniesz go, gdy będę go chować.

– Nieważne, gdzie by go trzymali, na pewno mnie tam nie wpuszczą.

– Najpierw dowiedzmy się, gdzie jest.

– Myślisz więc, że wypytywanie o sławny królewski klejnot, przez który Rigg został aresztowany, sprawi, że będziemy zwracać mniejszą uwagę, niż gdybyśmy pytali się o samego

Rigga?

– Owszem. Bo nie będziemy pytać wprost, tylko sprytnie, mimochodem.

– Och, no tak, bo przecież słyniemy z subtelności i sprytu – zadrwił Umbo. – Rigg jest mistrzem w tej całej wytwornej gadce, a nawet jego przyłapali!

– Zrobimy co w naszej mocy – upierał się Bochen. – Całe miasto nie może być takie, na pewno znajdziemy ludzi, którzy popierają męską linię rodu królewskiego i mogą wiedzieć coś użytecznego.

– A wypytywanie takich ludzi z pewnością nie ściągnie na nas uwagi Rady.

– Myślisz więc, że powinniśmy siedzieć beczymnie? – zapytał Bochen, wyraźnie zniesmaczony.

– Och, myślę, że powinniśmy odzyskać klejnot, o ile się da. Podobało mi się, gdy nazywałeś mnie swoim chłopcem pierwszopiętrowcem. Tylko nie powinniśmy zapominać, że wszystko, co zrobimy, będzie niebezpieczne.

– Jestem żołnierzem, synu, i wiem, co to niebezpieczeństwo, o wiele lepiej niż ty.

Umbo wstał.

– Wracaj do wanny i jeszcze raz się wyszoruj.

– Więcej czystości moje ciało nie znieś. A jeśli nie zauważyłeś, nie jesteś moim ojcem, a żadnego mi nie trzeba.

– To narzuć na siebie jakieś mniej brudne ubrania i zawołaj po moją wodę do kąpieli, może ta mała pyskata brzydula zechce ją tu wnieść. A jak będę się mył, dowiedz się, gdzie można znaleźć pralnię.

– Zrobię to, jeśli powiesz „proszę”.

– A co powiesz na to, że nie spiorę cię na kwaśne jabłko?

– No proszę! To prawie tak mile jak napiwek.

Rozdział 20

CO WIEDZIAŁ KNOSSO

Wszystkie dziewiętnaście statków znajdowało się teraz na odległej orbicie wokół Arkadi . Piękny był to świat, zabarwiony błękitami, bielami i brązami jak Ziemia, lecz otoczony pojedynczym olśniewającym pierścieniem. Życie występowało na powierzchni planety w takiej obfitości, że zieleń chlorofilu była nie tylko widoczna, ale wręcz dominująca na wielu obszarach kontynentów.

Pierwotny plan – którego większość szczegółów Ram poznał dopiero niedawno – zakładał, że w skład pierwszej grupy zwiadowczej lądującej na planecie wejdzie dwunastu naukowców i kilku strzelców wyborowych, na wypadek gdyby jakieś miejscowe zwierzęta pomyliły ich z obiadem. Ram miał zaś pozostać na statku.

Zbędni zaproponowali, żeby na powierzchnię wysłać tylko ich samych.

Zamierzali poświęcić kilka lat na dokładną rejestrację gatunków i pobieranie próbek; zakładali, że Ram wejdzie w stan letargu i prześpi dwa stulecia, aż zakończy się zjawisko masowego wymierania, a ziemską florą i fauną zostanie w pełni przeszczepiona na nową planetę.

Jednak Ram od razu zrozumiał, że to złe podejście.

– Ludzie muszą zobaczyć ten świat na własne oczy. Człowiek musi przejść się po Arkadi , a potem mówić o tym innym ludziom. Moje słowa staną się częścią waszego rejestru. Po rekonesansie wrócę na statek i poddam się letargowi, czekając, aż Arkadia stanie się czymś, czym nigdy nie miała zamiaru zostać.

– Rozumiem, że celowe użycie nielogicznej personifikacji odzwierciedla twój sentyment, a nie utratę racjonalności.

– Tak. Nie twierdzą przecież, że planety mają zamiary.

– Wiemy, że ludzie nie potrafią mówić o ewolucji bez używania takich sformułowań. Skłonność do interpretacji wyników w kategori zamiarów jest wbudowana w wasze geny i pozwala wam analizować związki przyczynowo-skutkowe na poziomie wyższym od pozostałych zwierząt.

– Ale nie wyższym od waszego, czy tak?

– My nie analizujemy związków przyczynowo-skutkowych jako takich – wyjaśnił zbędny. – Tylko powtarzające się w czasie ciągi wydarzeń, które uznajemy za prawdopodobieństwa.

Ram przesunął wzrokiem po proponowanych lądowiskach i wybrał jedno, po czym wskazał sześć kolejnych miejsc, gdzie należało pobrać pierwsze próbki. Zbędni z pozostałych statków się zebrali i Ram został dwudziestym członkiem grupy zwiadowczej. Najmniej wydajnym, najmniej pomocnym, najmniej precyzyjnym z całego grona – ale byłoby tak samo, gdyby wszyscy pozostali byli naukowcami ludźmi.

W tej wyprawie jedyne znaczenie Rama wynikało z jego braku doświadczenia, niewiedzy i naiwności. Nie będzie z miejsca klasyfikował wszystkiego, co zobaczy, czując przemożną pokusę, by stworzyć taksonomię opartą na dogłębnej znajomości systematyki ziemskich gatunków. Nie będzie z miejsca przyjmować założeń co do geologicznej przeszłości Arkadi , bazując na dogłębnej znajomości geologii Ziemi.

Na ile to możliwe, Ram zamierzał chodzić po Arkadi ze świeżym spojrzeniem, bez uprzedzeń i odgórných założeń, jako pierwsza rozumna istota stawiająca kroki na tej planecie.

Pilotowanie lądownika przyszło mu bez trudu – powietrze to powietrze, pogoda to pogoda, a automatyczne systemy same brały poprawkę na wszelkie różnice między Arkadią a Ziemią.

Wylądowali gładko, nie powodując większych zniszczeń.

Nie miał przygotowanej żadnej górnolotnej formułki do wypowiedzenia, gdy wychodził z lądownika jako pierwszy i ostatni człowiek, który zobaczy obcy świat w jego naturalnej postaci. Na sobie miał aparat tlenowy i hermetyczny kombinezon, chcieli bowiem uniknąć ryzyka, że mógłby się zagnieździć w jego ciele jakiś pasożyt, lecz kombinezon był lekki, a hełm w zasadzie przezroczysty, dzięki czemu Ram nie był szczególnie świadomy, że między nim a żywym światem dookoła istnieje jakaś bariera. Czuł sprężystość trawy preriowej. Nie czuł żadnego zapachu, a bryza na jego twarzy była produktem aparatu tlenowego, ale słyszał bzyk i furkot owadów, szelest liści na lekkim wietrze. Widział falowanie trawy, cienie rzucane przez nieliczne drzewa, góry majaczące w oddali.

Żałował, że nie wie więcej o Ziemi – jego wychowanie, edukacja i szkolenie nie stawiały za cel osobistego poznania możliwie największej liczby ziemskich ekosystemów. Nie wiedział więc, czy powinno go dziwić mnóstwo owadów, które bez przerwy skakały na wysokich trawach, czy rozmaitej wielkości gadów, które wystrzeliwały w powietrze, rozpościerały kończyny, by łącząca je błona utworzyła coś na kształt lotni, a potem językiem, szczękami lub pazurami chwytaly w locie te skaczące lub unoszące się owady.

Zbędni ustalili, że zielen traw i liści różni się w zakresie częstotliwości od przeważających odcieni ziemskiej roślinności. Lecz Ram zauważył również, że trawy były trawami, a liście drzew przypominały te na Ziemi. Funkcja determinuje formę, pomyślał. Może ziemskie formy życia nie uczynią tego świata bardzo odmiennym od tego, co sam tu stworzył.

Jakiś owad usiadł na jego wizjerze. I kolejny. I jeszcze jeden. Po chwili Ram nie widział już prawie nic. Owady całkowicie pokryły kombinezon. Czuł ich wagę.

Zamarł w bezruchu.

Jeśli były to pasożyty żywiące się krwią – a inaczej czemu rozwinęłyby to zachowanie? – wyssałyby go do cna. Miejscowe zwierzęta musiały wykształcić jakieś mechanizmy obronne przeciwko tym rojom, ale on nie miał żadnego. A to, że zapewne nie mogły przetworzyć jego krwi w coś użytecznego dla siebie, nie wróci mu tej przez nie wyssanej.

Zrozumiał, że próba koegzystencji z tymi owadami mogła przysporzyć kolonistom niemałych problemów. Albo będą wiecznie męczyli się z tymi rojami, albo je od razu wytrzebią – wraz z całą resztą – i zaczną wszystko od zera.

Wiele rdzennych owadów bez wątplenia przeżyje zjawisko masowego wymierania. Ale nie pasożyty, skoro ich żywiciela przepadną.

Czy któryś z tych skoczków – drapieżnik lub ofiara – przeżyje?

Ram przeszedł przez łąki traw, znalazł strumień i zobaczył srebrnoszare ryby i coś jakby węgorze. Podeszedł do samotnego drzewa w pobliżu i oparł rękę o pień. Dotknąłem cię, szepnął. Dotknąłem kory i liści własną ręką.

Zbędni tymczasem gromadzili okazy flory i fauny zgodnie z wydanymi sobie nawzajem instrukcjami – próbki do analizy, nie do ochrony. Ram wędrował wokół, póki nie zebrali tylu próbek, na ile ta łąka według nich zasługiwała podczas pierwszej wizyty.

Potem odwiedzili jeszcze las deszczowy, tundrę, wysokie góry i wybrzeże.

Podążali za kierunkiem obrotu Arkadi, dzięki czemu za każdym razem przyświecało im słońce. Mniej więcej wtedy, gdy Ram poczuł się wyczerpany i śpiący, zbędni orzekli, że mają już wszystkie potrzebne próbki do przeprowadzenia wstępnych analiz.

– A więc skończyliśmy? – zapytał Ram.

– Tak.

– Muszę się przespać, zanim będę mógł bezpiecznie usiąść za sterem.

– Właściwie niepotrzebne nam twoje pilotowanie. Możesz spokojnie się położyć, byś obudził się wypoczęty, zanim wrócimy na orbitę.

– Czy zejdę jeszcze na powierzchnię, gdy ta planeta wciąż będzie Arkadią?

– Będzie nią za każdym razem, gdy tu przylecisz. A jeśli chciałeś zapytać:

„Czy zejdę jeszcze na powierzchnię, gdy rdzenne formy życia wciąż będą tu w nienaruszonym stanie?”, to odpowiedź brzmi: nie. Ale zarejestrowaliśmy wszystkie twoje dzisiejsze słowa i poczynania, a przed wejściem w letarg możesz śmiało zapisać lub nagrać wszelkie obserwacje, jakie chcesz.

Powiadomimy cię również o wynikach naszych wstępnych analiz, w razie pojawienia się podstaw do rewizji naszych planów.

Ram ziewnął.

– Piękny świat – ocenił. – Dziwny pod pewnymi względami, ale nie brzydszy i nie ładniejszy od Ziemi. Mamy za cel znaleźć drugie miejsce, gdzie ludzkość mogłaby żyć samodzielnie, zmniejszyć prawdopodobieństwo naszego wymarcia. By go osiągnąć, musimy doprowadzić do całkowitego spustoszenia wśród flory i fauny, tylko dlatego, że przed naszym przylotem w tutejszym ekosystemie nie zdążyło się wykształcić rozumne życie.

– Czyli dokładnie to samo, co pewnego dnia jakaś wystarczająco wyższa od was forma życia może zrobić z Ziemią – przypomniał zbędny. – Co uzasadnia ekspansję rodzaju ludzkiego na inne światy. Wszędzie tam, gdzie może istnieć życie, już istnieje. Nigdy nie znajdziemy zupełnie jałowej planety.

Ale jeśli to cię może pocieszyć w tym twoim sentymentalnym, melancholijnym nastroju, warto przypomnieć, że jedno życie cały czas zajmuje miejsce drugiego. Nowe gatunki zastępują inne, niemogące z nimi rywalizować. Nie robimy formom życia tego świata niczego, czego wcześniej czy później same by sobie nie zrobiły.

– Nie wiedziałem, że daremna racjonalizacja zła jest częścią waszego programu.

– Bez tego nie byliśmy dobrymi towarzyszami dla ludzi.

Rigga pilnował teraz już tylko jeden strażnik, ale był to chłop na schwał jakich mało, małomówny typ, sprawiający wrażenie, jakby chciał, by Rigg spróbował uciec, żeby móc pobawić się w jego schwytanie. Gdy pewnego ranka wychodzili przez frontowe drzwi domu Flacomm, Rigg powiedział mu:

– Muszę się udać do Biblioteki Życia.

– To nie był obszar badań twojego ojca – rzucił strażnik.

– W takim razie dobrze się składa, że to nie on się tam wybiera – odparł Rigg radośnie. – Sam podjąłem decyzję, by powtórzyć badania ojca. Ale nie ograniczono mi dostępu do żadnej części biblioteki.

Strażnik przez chwilę patrzył na Rigga tak, jakby nie miał najmniejszego zamiaru uwierzyć w żadne wypowiedziane przez niego słowo, ale najwyraźniej skalkulował, ile czasu musiałby poświęcić, by to sprawdzić, tylko po to, by dowiedzieć się, że Rigg ma rację.

– Jeśli cię wyrzucą, nie miej do mnie pretensji – bąknął.

– A czy moglibyśmy tam pobiec? Razem. Od kiedy jestem w Aressa Sessamo, nie miałem okazji pobiegać, a moje nogi domagają się ruchu.

– Wykluczone.

– Nie mogę pana przegonić – dlatego jest pan pierwszym strażnikiem, którego o to proszę.

Obojętne, jak szybko bym gnał, i tak mnie pan dogoni w trzech krokach. A widać, że lubi pan biegać, bo inaczej nie miałby pan takiego ciała.

Twarz strażnika zdradzała jego sceptycyzm wobec pochlebstw Rigga, ale przynajmniej słuchał, a słowa chłopca najwyraźniej brzmiały dla niego sensownie.

– Trzymaj się z przodu, ale blisko – nakazał.

– To pan musi zostać z tyłu. Ja jestem sztywny i bez formy. Człowiek musiałby chyba stać w miejscu, by nie pokonać mnie w biegu.

Pobiegli więc razem do Biblioteki Życia, przy czym strażnik truchtał lekko tuż przy lub za nim, zawsze dość blisko, by w razie czego chwycić Rigga za włosy. Gdy dotarli na miejsce, Rigg dyszał ciężko, a strażnik nawet się nie zmęczył – oddychał miarowo, jakby cały ten dystans przeszedł. Nie powinienem zaniedbywać ćwiczeń, pomyślał Rigg. A jeśli będę kiedyś zmuszony rzucić się biegiem do ucieczki?

Nie czmychnę bez Param. Przez lata swego życia w zamknięciu nie miała żadnego powodu wyrabiać w sobie wytrzymałości czy szybkości. Jest szczupła, niemal skóra i kości, bez grama mięśni. Obojętnie, jak wolno bym biegł, i tak będę szybszy od Param. Taki już los więźniów, nieważne, jak komfortowe mieliby warunki. Stają się nieruchliwi i słabi, więc nawet jeśli zdołają uciec, łatwo ich złapać.

Wszedłszy do Biblioteki Życia, Rigg podszedł do informatorium i zapytał dyżurną bibliotekarkę:

– Czy Bleht dziś tu jest?

– Kto?

– Bleht, ta mikrobiolożka.

– Wiem, kim ona jest – odparta kobieta. – Chciałabym wiedzieć jednak, kto pyta.

– Nazywam się Rigg Sessamekesh.

Bibliotekarka rzuciła okiem na strażnika za plecami Rigga. Najwidoczniej skinął jej głową na potwierdzenie, bo jej twarz trochę się zaczerwieniła.

– Ależ oczywiście, natychmiast zawołam. – Od razu zaczęła się zachowywać potulnie, wstała zza biurka i poszła poszukać sławnej mikrobiolożki.

– Wciąż nie mogę się nadziwić – szepnął Rigg w stronę strażnika – że ludzie reagują na moje imię, jakby przynależność do rodziny królewskiej miała jakieś znaczenie.

– Dla różnych ludzi znaczy różne rzeczy.

– A dla pana?

– Znaczy tyle, że mam obowiązek zadbać o to, byś nie zbliżył się do nikogo, kto chciałby cię zabić.

– A jeśli to pan jest taką osobą?

– Dziwny z ciebie chłopak – stwierdził strażnik. – Ale taki sam był twój ojciec, a był dobrym człowiekiem.

Dopiero te słowa skłoniły Rigga, by zobaczyć, czy czyjaś ścieżka w bibliotece regularnie spotykała się ze ścieżką ojca Knosso. Rzecz jasna, znalazł taką – ścieżkę tego właśnie strażnika, choć był wtedy młody, ledwie w wieku Rigga.

– Pan go znał.

– Towarzyszyłem mu w wyprawach do biblioteki – przyznał strażnik. – I położyłem go na łódce podczas jego ostatniej podróży.

– Widział pan ręce, które go chwyciły i utopiły?

– Nie miałem lunety. Widziałem, jak wypada przez burtę. To mi wyglądało raczej na ręce niż macki czy szczęki.

- Jaki on był?
- Taki jak ty.
- Jak się pan nazywa?
- Gdy zajmuję się więźniem, nie nazywam się nijak.
- A w domu? Jak się pan tam nazywa?
- Moja gospodyni nazywa mnie różnie.
- Czemu nie chce mi pan powiedzieć?
- Oliwienko. Po ojcu.
- Był pan z nim, gdy odkrył informacje, które mu zasugerowały, że mógłby przekroczyć Mur, o ile będzie nieprzypadkowy?

- Byłem – przyznał Oliwienko.
- Co wtedy badał?
- Nic. Wtedy nie byliśmy nawet w bibliotece.

Rigg westchnął.

- Nagle go oświeciło.
- Tak sędzę.
- A więc jego badania były daremne. Nic nie dały.
- Powiedział mi, że pokazały mu wszystkie drogi, które nie doprowadziłyby go do celu.

Rigg chciał zapytać Oliwienkę, dlaczego wcześniej nawet się o tym nie zajął. Ale jakiegokolwiek miał powody, na pewno wolałby uniknąć wyjaśnień, a Rigg nie chciał go ciągnąć za język, by go do siebie nie zrazić. Dotychczas myślał bowiem, że Oliwienko jest jednym z tych, którzy nienawidzą rodziny królewskiej – czy nie takiego właśnie człowieka wybrałaby Rada, by go pilnował?

Jednak Oliwienko znał ojca Rigga i najwyraźniej darzył go sympatią. Może do tej pory zachowywał się oschle, bo nie polubił Rigga. To by też wyjaśniało, dlaczego dopiero teraz powiedział mu, że ojciec Knosso nie znalazł odpowiedzi, których szukał, w wyniku swoich badań. Oliwienko niewątpliwie odpowiedziałby po prostu: „Bo nie pytałeś”.

- A więc zaryzykował życie, kierując się domysłem.
- Tak też mu powiedziałem.
- A co on na to?
- Każdego dnia tysiące razy ryzykujemy życie, kierując się tysiącami domysłów.
- I ryzyko się nie opłaciło, a ojciec Knosso postradał życie.

Oliwienko przytaknął. Trochę się spiął, Rigg wyraźnie to widział.

- Nie podoba się panu, że nazywam go ojcem.
- Nazywaj go, jak chcesz – rzucił Oliwienko. Stał się jeszcze bardziej oschły i nieprzystępny.
- Bo myśli pan, że tak naprawdę nie jestem jego synem?
- Wyglądasz jak on. Twój głos brzmi tak jak jego. I jesteś podobnie zarozumiały.

– Tego nie wiem. W życiu nie myślałem, że mam innego ojca niż ten, który zeszłej jesieni zmarł w lesie wysoko w górach. Odeskortowano mnie tutaj, ponieważ inni ludzie sądzili, że mogę być synem Knossa i Hagii. Byłem jak komar beztrosko latający po tym świecie. Ale zabzyczałem w niewłaściwym uchu i mnie capnęli.

Oliwienko nic nie odpowiedział.

- Czemu więc nie podoba się panu, że nazywam Knossa ojcem?
- A jak inaczej miałbyś go nazywać?
- Zauważyłem, jak się pan spiął, gdy o nim wspomniałem.

– Tak? A więc skrewiłem.

Rigg postanowił przebić mur nieufności Oliwienki ironią.

– Jaka kara przysługuje w wojsku za tak potworną niesubordynację? Garbowanie skóry płazem miecza? Żołnierz okazujący ludzkie uczucia, toż to zgroza i być nie może!

– Nie jestem zawiedziony jako żołnierz, lecz jako gracz w gliniaki.

Gliniaki to gra hazardowa z wykorzystaniem trzech rodzajów glinianych kulek – pustych, częściowo wydrążonych i litych. Losuje się dziewięć kulek z torby i rzuca je na drewnianą pochylnię, tak że toczą się na oczach graczy. Wtedy można czasem zauważyć dziurki w tych częściowo wydrążonych. Gracz może podnieść dowolne trzy kulki, nie więcej, by sprawdzić ich wagę. Cała sztuka polega na tym, by nie okazywać żadnych emocji, gdy podniesie się kulki. A wyraźne ściągnięcie twarzy jest powodem do wstydu.

– A jakie były stawki? Wygrałem, ale na stole nie było zakładów.

– Nic nie wygrałeś, młody obywatelu.

– Wiedzę, jak sądzę – odparł, choć tak naprawdę jeśli czegoś się dowiedział, wolał nie wiedzieć czego.

– Dowiedziałeś się tylko tyle, że nie powinienem grać.

– Myślę, że jednak czegoś się dowiedziałem – stwierdził Rigg. – Ściągnął pan twarz, gdy nazwałem ojca po imieniu. Myślałem, że tłumi pan złość, ale się pomyliłem. To był smutek, bo pan też nazywał go ojcem Knosso. Mam rację?

Oliwienko odwrócił wzrok.

– Wygrałeś, ja tu pasuję.

– Dziwi mnie, że pozwolili pilnować mnie strażnikowi, który znał mojego ojca i go lubił.

– Niewielu wie, że znałem twego ojca. Wtedy jeszcze nie byłem żołnierzem.

Powiedziałem ci, że towarzyszyłem mu w wyprawach do biblioteki, ale nie jako strażnik, tylko bardzo młody uczeń. Przynosiłem mu wodę. Dźwigałem sterty książek. Słuchałem, jak głośno myśli. Wpisywałem, co mi dyktował, a on przeliterowywał co trudniejsze słowa. To była dla mnie nauka.

– A więc jako chłopiec musiał być pan wykształcony ponad poziom służby wartowniczej.

– Wykształcenie żołnierzowi w niczym nie przeszkadza.

– Ale trudniej mu przyjmować rozkazy od głupców.

– Cóż, masz rację. I dlatego nie mam żadnej rangi.

Rigg już miał poprosić, by opowiedział mu o ojcu, lecz w tym akurat momencie pojawiła się Bleht i mógł już tylko zająć się z powrotem swym pierwotnym zadaniem.

Mikrobiolożka wyglądała na nieufną i podirytowaną. Najwyraźniej nie podobało jej się, że odciągnięto ją od innych zajęć. Rigg lakonicznie przeprosił za kłopot i od razu przeszedł do rzeczy.

– Sądzę, że mój ojciec Knosso nie odkrył żadnych wielkich tajemnic fizyki, zanim podjął próbę przepłynięcia przez Mur na morzu.

– Czy chodziło o jakąś wielką tajemnicę mikrobiologii? Bo jeśli nie, nic nie zdołam wnieść do twoich spekulacji.

– Myślę, że ojciec zaczął prowadzić badania w innej dziedzinie.

– Mikrobiologii?

– Historii. A dokładniej chronologii. Sądzę, że zapoznał się z pani pracą na temat dwoistości flory i fauny po tej stronie Muru, dwóch początków życia na tym świecie. Sądzę, że skontaktował się z panią, listownie lub przez pośrednika, a pani kilkakrotnie odwiedziła Bibliotekę Przeszłych Żywotów, by się z nim spotkać. – Wiedział to na pewno, bo już wcześniej zauważył, że ich ścieżki się krzyżowały, ale dotąd myślał, że to oznacza coś zupełnie innego.

Bleht usiadła i poklepała miejsce obok.

– Teraz poznaję twojego przyjaciela – powiedziała, po czym zwróciła się do Oliwienki z dziwnym rozbawieniem na twarzy.

– Był pan tym ordynansem, prawda? Wtedy o wiele niższym.

– Młody obywatel Rigg poprosił o rozmowę z panią, zanim mu o tym powiedziałem – oznajmił Oliwienko służbowym tonem.

– Co nie znaczy, że już tego nie wiedział.

– Nie wiedziałem, ale jaka to różnica? – zapytał Rigg.

– Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawialiście.

– O pogodzie.

– Och, nie wątpię, że rozmawialiście o pogodzie. I o klimacie, i wszystkim innym, bo pani szperała w historii ze swoich powodów, a on ze swoich, i mój ojciec chciał porównać wasze odkrycia.

– Skoro jesteś taki mądry, powiedz, co odkrył twój ojciec.

– Tego dowiem się dopiero od pani. Skąd myśl, że już to wiem?

– Myślę, że masz dobre pojęcie, inaczej nie przyszedłbyś do mnie. Myślę, że wiesz wszystko, a bawi cię udawanie młodego i naiwnego.

– Tylko przypadkiem zauważyłem w Bibliotece Przeszłych Żywotów chronologiczny wykres historii. Ogromny arkusz papieru, a raczej bardzo szeroki, złożony tyle razy, by zmieścił się między okładkami książki autorstwa starożytnego uczonego z okresu panowania dynastii Losse. Kopiowano go trzykrotnie, sądząc po inicjałach kopistów.

Nic nie powiedziała, co według Rigga miało oznaczać, że nie chciała go zachęcać – a im mniej chciała go zachęcać, tym bardziej czuł się zachęcany.

– I ta chronologia zaczyna się w roku 11 191.

– Biorąc pod uwagę nasz kalendarz, wszystkie się wtedy zaczynają – zauważyła Bleht. – Co nie znaczy, że daty nie są umowne.

– Ale na marginesie widnieje notatka – podpisana przez twórcę tej chronologii, a następnie wiernie powielona przez kopistów – że według tego, co zdołał odkryć, porównując ze sobą wszystkie znane kalendarze, historia ludzi naprawdę zaczęła się jedenaście tysięcy lat temu.

Niemal dwa wieki po początku kalendarza.

– Czasem trudno określić precyzyjne daty fikcyjnych wydarzeń historycznych – zadrwiła Bleht. Ale nie wstała i nie odeszła.

– Mój ojciec Knosso chciał się dowiedzieć, czy ta losseańska chronologia pokrywa się z pani wizją historii jednego z nurtów życia.

– A na jakim kalendarzu miałby się wyznawać mikrobiolog?

– W swojej pracy nie wspomniała pani...

– Przeczytałeś ją? Sam?

– Trochę poruszałem ustami i liczyłem na palcach – odparł Rigg, co ona skwitowała krótkim parsknięciem. – W swojej pracy przemilczała pani, że jeden z nurtów ewolucji – i to ten zdecydowanie większy – pojawił się po tej stronie Muru dopiero jedenaście tysięcy lat temu. I że ta grupa obejmuje także nas, ludzi, że jesteśmy genetycznie spokrewnieni z sobą nawzajem, a także z wszystkimi zwierzętami, które zabijamy lub oswajamy, by nam służyły, ale nie przypominamy żadnego szczepu miejscowego życia.

– Miejscowego? To znaczy, że twoim zdaniem nasz szczep biochemiczny, ten większy, nie rozwinął się tutaj?

– Nie wiem, co to znaczy ani jakie mam zdanie – rzekł. Dopiero teraz pomyślał, że takie jest prawdziwe przesłanie tej pracy, choć nie napisała tego z obawy przed utratą renomy w środowisku. – Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiała pani z moim ojcem Knosso.

– O tobie – przyznała Bleht.

– O mnie? – Rigg szczerze się zdziwił.

– Byłeś jeszcze niemowlęciem. A potem zniknąłeś. Zostałeś porwany, wpadłeś do studni, czy co tam Rada Rewolucyjna niby odkryła w wyniku śledztwa w sprawie twojego zaginięcia. Rozmawialiśmy o tym, co mogło się z tobą stać. A nie o jakiejś fantazyjnej chronologii ukrytej w księdze z ery losseańskiej.

– Nie wierzę pani.

– Wierz, w co chcesz.

– Sądzę, że ma pani powody przypuszczać, że nasza biologiczna tradycja zaczęła ujawniać się dopiero w tych wykopaliskach archeologicznych, które badały czasy sprzed mniej niż jedenastu tysięcy lat. Pani praca to właśnie sugeruje.

– To była radosna spekulacja wspomniana tylko we wstępie, a nie poważna nauka.

– Mój ojciec w to uwierzył. Porównał tę starą chronologię z pani ustaleniami i doszedł do wniosku, że istoty ludzkie i większość zwierząt po tej stronie Muru dość nagle pojawiły się na tym świecie. Nie pochodzimy stąd.

– I co? Wiatr zdmuchnął nasiona za Mur? – zadrwiła. – Cała ta ewolucja ma raptem jedenaście tysięcy lat?

– Nie chodzi mi o drugą stronę Muru – rośliny i nasiona swobodnie przez niego przenikają, rozprzestrzeniając się po całej planecie. Mówiłem, że pochodzimy z innego świata. Może z innego układu słonecznego.

Gdy to mówił, po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że ojciec – nie Knosso, ale ten, który zginął przywalony drzewem – próbował zasugerować mu podobną teorię. Tak łatwo na to wpadł, a teraz uświadomił sobie, że ojciec naprawdę postarał się przekazać mu szczegółową wiedzę o astronomii i rozwoju życia w ciągu milionów lat, milionów pokoleń.

Zwłaszcza jedna myśl wyłoniła się teraz z zakamarków jego umysłu – bez wątpienia zaszczerpiona mu przez ojca, by przypomnieć sobie o niej dokładnie w tej chwili. Ojciec mówił o „ograniczeniu pływów” i o tym, że gdyby miliony skał i brył lodu tworzących Pierścień znajdowały się kilka tysięcy kilometrów dalej, zespoliłyby się w kształt kulistego księżycy. „Wystarczająco duży księżyc wywołuje pływy na wszystkich oceanach świata – mówił. – Życie na takiej planecie rozwinęłoby się o wiele szybciej niż na naszej, bo na świecie z pływami księżycowymi morze wnika o wiele dalej w głąb niskich wybrzeży. Na styku lądu, morza i powietrza powstaje życie, a świat z księżycem ma miejsc o takich sprzyjających warunkach dużo, dużo więcej”.

Czy ojciec próbował mu powiedzieć, że według jego teorii istoty ludzkie pochodziły z takiego właśnie świata? Że życie rozwinęło się o wiele szybciej na ojczystej planecie ludzkości?

– To już pytanie dla astronomów i historyków – oceniła Bleht.

Chwilę potrwało, nim Rigg zrozumiał, że nie czytała mu w myślach. Jej słowa odnosiły się tylko do jego stwierdzenia o innym układzie słonecznym.

– Nie rozumie pani, co to musiało oznaczać dla ojca Knosso? – zapytał Rigg. – Szukał sposobu przedostania się na drugą stronę Muru. Nie udało mu się znaleźć żadnych wskazówek w fizyce czy historii, odkrył jednak, dzięki tej starożytnej chronologii, dzięki pani pracy, że nasz kalendarz może datować się od momentu pojawienia się ludzi oraz wszystkich form życia, które z sobą sprowadzili na ten świat.

– I co z tego? – dopytywała się Bleht.

– Czy Mury tu były, gdy się pojawili? Jakim sposobem jakikolwiek system życia mógł rozwinąć się na planecie, na której żadne stworzenie obdarzone wyższą inteligencją nie może przekroczyć tej bariery? Przecież na planecie z Murami nie mógł wyewoluować ani pierwotny szczep życia, ani ten, który nasi przodkowie sprowadzili tu ze świata z księżycem.

Bleht na chwilę zatopiła się w myślach. Oliwienko też. I to on odezwał się pierwszy.

– Pamiętam, że powiedział: „Zrobiliśmy to”. Potem, patrząc na wykres, powtórzył te słowa, a ja myślałam, że my – ja i on – właśnie coś zrobiliśmy. Ale mogło mu chodzić o to, że my, ludzkość, zrobiliśmy „to” – czyli Mur.

– Już rozumiem, czemu żaden z was nigdy nie zostanie prawdziwym uczonym – skomentowała Bleht. – Obaj wyciągacie pochopne wnioski.

– Właśnie po tym poznaje się dobrych naukowców, że wyciągają pochopne wnioski – odparł Rigg. – Jednak podają te wnioski w wątpliwość i próbują udowodnić, że są fałszywe.

Dopiero gdy im się to nie uda, zaczynają w nie wierzyć.

Oliwienko przytaknęła. A Bleht znowu parsknęła.

– Brzmi to, jakbyś kogoś cytował – zauważyła.

– Bo cytuję. Mojego ojca – tego, który mnie wychował.

– Cóż, skoro już wyciągasz pochopne wnioski, młody nieksiążę – ciągnęła Bleht – to wytłumacz mi to: nawet jeśli ludzie byli w ogóle zdolni stworzyć coś takiego jak niewidzialne, nieprzeniknione Mury, po co mieliby to robić?

– To już pytanie do historyków.

Usta Bleht rozciągnęły się w nikłym półuśmiechu, jak gdyby mówiła: „Piękna odpowiedź, chłopcze”.

– Cokolwiek zabiło ojca Knosso – włączył się Oliwienko – nie było ludzkie.

– Może więc Mury dzielą świat pomiędzy gatunki? – głośno zastanawiał się Rigg. – Może nasz ojczysty świat też był podzielony?

– Może Mury istnieją po to, by zapobiec wojnom między nami a tymi morskimi istotami, które zabiły ojca Knosso? – zawtórował mu Oliwienko.

– Naprawdę ładnie się bawicie, chłopcy. Ale postronni nie mają tu nic do roboty.

Wstała.

Rigg natychmiast się odezwał, próbując ją zatrzymać.

– Ojciec mówił mi, że nasza nazwa tego świata jest jednym z najstarszych słów. I że w każdym języku po tej stronie Muru istnieją jej odpowiedniki.

Bleht poczekała, aż dokończy.

– Nie mówił, jak nazywa się ten pierwotny język, ale w nim słowo „arkadia” znaczy „piękny ogród”.

– A co wynika z tego rzekomo pierwotnego znaczenia tego słowa?

– To, że nasz świat – ten świat – świat z pierścieniem zamiast księżyca...

– Właśnie, co to jest ten księżyc? – przerwał mu Oliwienko.

– Wymysł astronomów, którzy patrzą w teleskopy i mają zwidy – wyjaśniła Bleht z przekąsem.

– Nasz świat jest arkadią – upierał się Rigg. – Przedwiecznym pięknym ogrodem. A Mury dzielą go na tereny pod odmienne uprawy, nie pozwalając, by pyłki lub nasiona przeniosły się na inne pola.

– I tego nauczył cię ten twój rzekomy ojciec? – zapytała Bleht.

– Nie użył aż tak wielu słów, ale tak, sądzę, że przygotował mnie, bym w końcu to pojął. I sądzę, że właśnie to odkrył ojciec Knosso, dzięki tej chronologii. Dzięki pani. Że odmienne szczepy

życia rosłą oddzielone od siebie nieprzenikalnymi barierami. Sądzę, że odgadł przeznaczenie Muru.

– Dużo mu z tego przyszło – stwierdził Oliwienko z goryczą.

– A skąd mógł wiedzieć, że stworzenia po drugiej stronie go zabijają? – zapytał Rigg.

– Bardzo to wszystko zabawne – włączyła się Bleht. – Ale czeka mnie prawdziwa praca.

Następnym razem, gdy zechcesz odciągnąć mnie od zajęć, upewnij się, że masz do powiedzenia coś sensownego.

Teraz już nie było najmniejszych szans, by ją zatrzymać. Lecz Rigg był pewien, że te teorie bardzo ją zaciekały. Bo czemu inaczej została, by wysłuchać go do końca? Miała rację, tak naprawdę nie podał żadnych dowodów na potwierdzenie swoich teorii i w większości nie rozumiał ich konsekwencji, póki nie wdał się w tę rozmowę.

– A więc ojciec Knosso był nasieniem – rzekł Oliwienko, który najwyraźniej nie zamierzał kończyć tematu. – Nasieniem, które chciało wykiełkować na innym polu.

– A tamtejsze rośliny go odtrąciły.

Raptem Oliwienko zaczął oddychać spazmatycznie. Zrazu Rigg pomyślał: Jest zdecydowanie za młody, żeby mieć zawał. Ale szybko zrozumiał, że to cichy szloch.

Oliwienko płakał, tyle że robił wszystko, by zdusić to w sobie.

Rigg odwracał wzrok, póki strażnik nie doszedł do siebie.

– Wybacz – przeprosił.

– Rozumiem pański ból.

– Przez długie lata zastanawiałem się, czy był szalony. To by mogło zanegować wszystko, czego się od niego nauczyłem. Dlatego skończyłem z nauką i wybrałem zupełnie inne życie.

Bo dałem się uwieść rojeniom szaleńca.

– Może i był szalony. A ja jestem jego synem... może więc i ja jestem szalony.

– Nie jesteś szalony. On też nie był. Nawet się nie mylił. Po prostu miał pecha, przekraczając Mur w takim miejscu, gdzie tamci na niego czekali. Skąd mógł wiedzieć, jak zareagują?

– I zagadka rozwiązana. Przynajmniej na tyle, na ile możemy ją rozwiązać, bo więcej informacji nie mamy.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Oliwienko.

– Jedyne, co ma jakiś sens. W mieście toczy się gra o władzę, z cesarstwem jako nagrodą dla najsprytniejszego, najsilniejszego albo najbardziej bezlitosnego gracza. Wielu z tych graczy chce mojej śmierci. Muszę znaleźć sposób, by stąd uciec i ukryć się gdzieś, gdzie mnie nie znajdą.

– Raczej nie powinieneś tego mówić akurat mnie.

– Jest pan prawie jedyną osobą, której mogę to powiedzieć, bo tylko pan nie uzna, że oszalałem. Gdziekolwiek bym się zaszły po tej stronie Muru, wcześniej czy później mnie znajdą. Jedyne ratunek dla mnie to włączyć się w tę grę – zgromadzić armię i pokonać resztę konkurencji. I w rezultacie – sam zostać cesarzem.

– Z tego, co widziałem, chyba nawet dałbyś radę to zrobić.

– Trochę znam historię. Nawet głupszy ode mnie sięgali po władzę. Ale jedynym sposobem na wygraną jest wkroczenie do Namiotu Światła po ciałach setek, może tysięcy ludzi, tych samych, których przysięgnę chronić. Walczyć, by ocalić królestwo przed jakimś zagrożeniem, to by usprawiedliwiło te ofiary. Ale walczyć, by ocalić tylko własne żalosne życie i zostać królem w Namiocie Światła – to nie jest warte nawet jednej.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– Przejść przez Mur.

Oliwienko pokręcił głową.

– Tylko ci się wydaje, że to dobry pomysł.

– Nie ucieknę przez morze. Te stworzenia żyją w wodzie. Może na lądzie będę bezpieczny. A może, jeśli przekrocze Mur dość daleko na południe stąd, znajdę się po innej stronie Muru niż ta, w której zginął ojciec Knosso.

– Szukałeś źródła jego pomysłu przedostania się przez Mur. Dowiedziałeś się, że w Wielkiej Bibliotece nie znalazł żadnych odpowiedzi. Czemu więc wydaje ci się, że wiesz, jak przejść przez Mur?

– Zrobię to tak jak ojciec Knosso. Zdam się na intuicję i zobaczę, co z tego będzie.

– A co podpowiada ci intuicja?

– Mam to powiedzieć mojemu strażnikowi?! – rzekł chłopak z udawanym zdziwieniem.

– Spróbować nie zaszkodzi.

– Gdy przyjdą mnie zabić – a już dwa razy próbowali, najpierw podczas podróży tutaj, a potem pierwszej nocy w domu Flacommio – pana zadaniem jest chronić mnie czy im pomóc?

– Chronić ciebie. W życiu nie przyjąłbym zadania, by skrzywdzić syna ojca Knosso, choćby nie wiem jak bardzo był zuchwały i irytujący.

– Powiem panu tyle: gdy nadejdzie czas na ucieczkę z domu Flacommio, zrobię to i nic mnie nie powstrzyma, nawet pan. Ale lubię pana. Nie chcę więc, by obwinili pana za to, że pozwolił mi uciec. Zatem zrobię to, gdy ktoś inny będzie mnie pilnował.

– Bardzo miło z twojej strony. Dzięki temu będę mógł kontynuować moją wspaniałą karierę w wojsku bez skazy w aktach.

– A ma pan lepszy pomysł?

– Zabierz mnie z sobą.

– Już panu mówiłem. Nie zamierzam gromadzić armii, tylko przejść przez Mur.

– Zabierz mnie z sobą.

– Nie wiem, czy zdołam zabrać pana z sobą za Mur.

– To zabierz mnie nad Mur i pozwól zobaczyć, jak go przekraczasz. A zanim to zrobisz, pozwól mi sobie pomóc. I skończ wreszcie z tym „panem”.

– Już tego próbowałeś, Oliwienko. Na niewiele się zdała twoja pomoc.

– A jednak. W końcu ojciec Knosso żywy przedostał się przez Mur.

– Pytanie tylko, czy pozostał przy tym w pełni władz umysłowych do samego końca.

– Myślę, że tak. A jak ty zamierzasz to zrobić?

– Znajdę ścieżkę i nią podążę.

Przez chwilę Oliwienko starał się domyślić, co to może znaczyć.

– Jaką znowu ścieżkę? Skąd pomysł, że znajdziesz tam jakąś?

– Jeśli Mur powstał jedenaście tysięcy lat temu, to kiedyś musiało go nie być. Zwierzęta musiały przechodzić przez miejsce, gdzie teraz znajduje się Mur, tworząc ścieżkę. I właśnie tam go przekroczyć.

Oliwienko przewrócił oczami.

– I to ma być plan?

Rigg wzruszył ramionami.

– Jak dla mnie, brzmi to niezgorzej. Jeśli naprawdę chcesz iść ze mną, na razie musisz mi zaufać.

Oliwienko skinął głową.

– Niech tak będzie. Ufam ci.

Wszystko pięknie, ładnie, ale problem w tym, że ja nie ufam ci za grosz, pomyślał Rigg.

Chciałbym, ale nie mogę. Jeśli masz za zadanie mnie szpiegować, najlepszym sposobem, by poznać moje sekrety, jest udawanie mojego przyjaciela i sprzymierzeńca. Niewykluczone, że jesteś tym, za kogo się podajesz. A jeśli nie, brawo, aktor z ciebie pierwsza klasa! Ale czy moi wrogowie nie wybraliby właśnie kogoś takiego, by spróbował wkraść się w moje łaski i mnie zwieść? Nie mogę nawet prześledzić twej ścieżki, by zobaczyć, dla kogo pracujesz, bo już to wiem – jesteś moim strażnikiem, więc odpowiadasz przed ludźmi, którzy mnie uwięzili.

Rozdział 21

KLUSKI

Ram usiadł w komorze letargicznej – porównanie z trumną samo cisnęło się na usta, ale przynajmniej wieko było przezroczyste – i powiedział:

– Chciałbym o coś zapytać.

– Po co? – odezwał się zbędny. – Twoje procesy mózgowie zostały już w pełni zarejestrowane.

Zapomnisz wszystko, co ci teraz powiem, gdy twoje wspomnienia zostaną na nowo zaimplantowane do mózgu po wybudzeniu z letargu.

– To znaczy, że możesz odpowiedzieć na moje pytanie, choćby odpowiedź miała zaszkodzić mojej psychice.

– Pytaj więc.

– Naprawdę zabiliście wszystkie pozostałe wersje mnie, gdy wam to nakazałem?

– Oczywiście.

– Tak sobie myślałem... przyszło mi na myśl, że może mnie nie posłuchaliście, a w tej chwili reszta moich kopii robi i mówi dokładnie to samo co ja.

– Gdyby tak było, okłamywalibyśmy również pozostałe wersje ciebie, mówiąc im, że są tymi jedynymi.

– Chciałbym, żeby tak było.

– Ale nie jest.

– Myślę, że wy myślicie, że chciałbym, żeby tak było, bo odczuwam pewne wyrzuty sumienia z powodu skazania osiemnastu wysoce wykwalifikowanych pilotów na śmierć. Ale z prawnego punktu widzenia byli moją własnością, mogłem więc swobodnie nimi rozporządzać.

– Albo ty byłeś ich własnością.

– Chodzi mi o to, że nie mam żadnych moralnych rozterek. To było niezbędne, żebyście – ty i reszta zbędnych oraz komputerów – byli posłuszni jednemu człowiekowi. Inaczej powstałby zamęt.

– Przyznaliśmy ci rację i dlatego cię posłuchaliśmy.

– Ale to miało też swój efekt uboczny... niezamierzony skutek, którego żałuję.

Zbędny czekał w milczeniu.

– Nie ciekawi cię, jaki to niezamierzony skutek?

– Wszystkie skutki były zamierzone.

– Będzie dziewiętnaście tych... sekcji, tych zagrodzonych habitatów, jakkolwiek je nazwać...

– Wybrałeś określenie „murchia”, przez analogię do „marchi”.

– Spośród tych dziewiętnastu murchi osiemnaście będzie miało na początku te same kombinacje genów. Jedna nie.

– Ta, w której ty będziesz – dodał zbędny.

– A przecież wy wszyscy uważacie, że to ja miałem coś wspólnego ze skokiem wstecz w czasie i duplikacją statków.

– My tego nie uważamy. Wiemy to na pewno. Twój umysł, zupełnie odcięty od planetarnych studni grawitacyjnych, zdestabilizował układ pól, które stworzyliśmy, by dokonać skoku nadświatelnego. W teorii wszystkie dziewiętnaście komputerów na pierwotnym statku otrzymało nieco różniące się efekty wyliczeń, lecz za sprawą twego mózgu wykonaliśmy skok według nich wszystkich równocześnie, w wyniku czego dziewiętnaście identycznych statków wykonało ten sam bifurkowany skok.

– Bifurkować znaczy „rozwidlać”. Według teorii skoku jeden pojazd skacze w przód w przestrzeni, podczas gdy identyczny pojazd zaczyna poruszać się do tyłu w czasie, cofając się do punktu wyjścia. Ten cofający się pojazd w żaden sposób nie może wpłynąć na rzeczywistość; nie wiemy, czy osoby i komputery na tym statku są chociaż świadome swojego istnienia. Tego zjawiska wymagają prawa matematyki, ale jest nie do wykrycia.

– A więc od początku miały być dwa statki, w tym jeden z odwróconym kierunkiem upływu czasu? – zdziwił się Ram.

– W teorii.

– Czyli mój umysł sprawił, że podzieliliśmy się na dziewiętnaście statków, które dotarły do celu.

– Sprawił też, że przybyliśmy na miejsce jednaście tysięcy sto dziewięćdziesiąt jeden lat przed skokiem.

– Lecz i tak poruszając się do przodu w czasie.

– Zrobiłeś coś bardzo skomplikowanego, i to bez udziału świadomości.

– Ta umiejętność wpływania na kierunek czasu i dzielenia materii na dziewiętnaście kopii – czy inni ludzie też ją mają?

– Być może – stwierdził zbędny. – To może być utajone u wszystkich ludzi.

Nie wiadomo. Jednak twój wpływ na wydarzenia pokazuje, że to niezwykle potężna umiejętność.

– A czy może być przekazana w genach moim dzieciom?

– Niewykluczone, że twoja umiejętność ma podłoże genetyczne i nie jest mutacją.

– Gdyby więc nadal istniało dziewiętnaście moich kopii, we wszystkich dziewiętnastu murcziach byłaby szansa na przekazywanie moich zmiennoczasowych genów następnym pokoleniom.

– Zgadza się.

– Lecz będę mógł przekazać je tylko w jednej. Jeśli zachoruję albo umrę, albo ożenię się z niepłodną kobietą, albo jeśli moje dzieci nie założą rodzin – mój ród zaniknie.

– Niestety, takiej możliwości nigdy nie można wykluczyć w przypadku stworzeń rozmnażających się płciowo za pośrednictwem przekazywania genów.

– Chodzi mi tylko o to... żałuję, że wszyscy inni będą mieli dziewiętnaście szans na reprodukcję, a ja tylko jedną, by przekazać moje geny następnemu pokoleniu.

– Żałujesz, bo myślisz, że twoje geny będą wielkim zbawieniem dla ogółu ludzkości?

Przez chwilę Ram zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Podobnie, i to całym sercem, myśli chyba każdy dorastający nastolatek.

– O ile w ogóle myśli.

– Ale ja nie jestem nastolatkiem. Jeśli naprawdę mam dar manipulowania czasem i jeśli można go przekazać w genach, byłoby szkoda, gdyby ten szczep genetyczny zaniknął. I byłbym tego samego zdania, gdyby nie chodziło akurat o moje geny.

– Prosisz nas, byśmy zapłodnili wszystkie kobiety na wszystkich statkach nasieniem z twoim DNA, by zagwarantować ci potomstwo?

– Nie! – krzyknął Ram ze zgrozą. – To byłoby straszne dla kobiety, obudzić się w ciąży. Pogwałcenie zaufania... To zniszczyłoby wszystkie kolonie.

– Nie wspominając już o zawstydzającym problemie podobieństwa wszystkich dzieci do ciebie – dodał zbędny.

– Choć mamy świadomość, że jesteś atrakcyjny według standardów wielu kultur, kobiety

mogłyby czuć się skrzywdzone, a twoje potomstwo wychowałoby się z nieprzewidywalnymi urazami psychicznymi i fizycznymi, spowodowanymi wrogością społeczeństwa.

– To po co w ogóle wspominasz o takiej możliwości?

– Odnieśliśmy wrażenie, że prosisz nas, byśmy zagwarantowali ci sukces reprodukcyjny. A rozprzestrzenienie twych genów we wspomniany sposób dawałoby ci największe szanse na osiągnięcie tego celu.

– Nie tego chciałem.

– To znajdź chętną kobietę, ożeń się z nią i mnożcie się na potęgę.

– Tak zrobię.

– To po co ta cała dyskusja?

– Spiesz ci się gdzieś? Masz jakąś pilną sprawę do załatwienia?

– Owszem. A ty nie jesteś zdolny przyczynić się do załatwienia spraw, którymi zamierzamy się zająć.

Mimo to Ram nie położył się, by przyjąć zastrzyk i rozpocząć swój letarg.

– Obiecuj mi coś – poprosił.

– Jaki jest sens w obietnicy, skoro nie będziesz o niej pamiętał?

– Ale ty będziesz pamiętał – stwierdził Ram. – Obiecuj mi, że będziecie stale obecni i operatywni w murchi, gdzie będą żyły moje dzieci. Opiekujcie się nimi. Zróbcie wszystko co w waszej mocy, by moje umiejętności miały szansę stać się częścią ludzkiego dziedzictwa.

– Nie muszę ci tego obiecywać.

– Jak to?

– Bo już zdecydowaliśmy, że najlepszy sposób, by wypełnić początkowe założenia tej misji, to uważnie śledzić wszystkie przydatne lub interesujące cechy pojawiające się w różnych murchiach i wpływać na wydarzenia w taki sposób, by przyczynić się do ich wzmocnienia.

– Wpływać? Jak?

– Będziemy was hodować jak szczeniaki – wyjaśnił zbędny – i zobaczymy, czy uda nam się zrobić z was coś pożytecznego podczas następnych jedenastu tysięcy lat.

Już po raz siódmy Umbo patrzył na samego siebie z przyszłości i słuchał tych samych słów. „To nie wypali”.

Szybko opuścił swój punkt obserwacyjny i wszedł do budynku Pierwszego Banku Ludowego w Aressa. Bochen już czekał przed biurem głównego rachmistrza. Tym razem plan był cokolwiek desperacki – Bochen odegra scenkę, głośno utyskując, jak to bank go oszukiwał, a w tym czasie Umbo zakradnie się do środka i podłoży ogień. Potem w ogólnym zamieszaniu dostaną się do pomieszczenia z sejfem, w którym umieszczono kasetkę pancerną z klejnotem w środku.

Taki był plan. Najwyraźniej nie wypalił.

Umbo wszedł po dwóch poziomach schodów i znalazł się w przedsionku biura obrachunkowego. Bochen go zobaczył, westchnął i zaczął się podnosić.

W tym momencie rachmistrz wyszedł do niego.

– Jak mniemam, jest pan tu w sprawie brakujących środków? – zapytał Bochna z uśmiechem.

– Znalazłem brakujące pieniądze – natychmiast wtrącił się Umbo.

– Dziękujemy i przepraszamy za kłopot.

– Nie tak szybko – odparł rachmistrz. – Nie uszło naszej uwagi, że obserwowaliście ten bank przez kilka tygodni. Kazaliśmy was śledzić. Myślę, że planujecie napad rabunkowy, lecz za każdym razem, gdy macie zamiar go przeprowadzić, coś się wydarza, a ty – wskazał na Umba – przychodzisz,

by odwołać akcję.

– Czy pan zwariował? – obruszył się Bochen.

Przez drzwi zewnętrzne weszło dwóch strażników miejskich, uzbrojonych w długie pałki, gotowych do działania.

– Proszę spocząć – zasugerował rachmistrz. – Pierwszy Bank Ludowy w Aressa zdecydował, że nie będzie dłużej prowadził państwa rachunku.

– Według prawa każdy bank ludowy ma obowiązek... – zaczął Bochen.

– Znam prawo – przerwał mu rachmistrz. – I nie zobowiązuje nas ono do prowadzenia rachunku osób, których zachowanie budzi podejrzenia. Sędzia zatwierdził już zamknięcie państwa rachunku podczas niejawnego rozprawy.

– Nikt nam nie powiedział...

– Dlatego nazywa się niejawną – ciągnął rachmistrz. Okazał im jakiś dokument. – To uwierzytelnione zaświadczenie o całej sumie, którą u nas zdeponowaliście, łącznie z odsetkami, pomniejszonej o koszty obserwacji panów. Ci strażnicy miejscy odstawią panów na dół, przypilnują, gdy kasjer będzie wypłacał pieniądze, i odprowadzą do drzwi. Jeśli któryś z panów jeszcze raz spróbuje się tu dostać, obaj zostanieie aresztowani.

– Nie wiem, czemu pan myśli... – bronił się Bochen.

– Bez dyskusji – przerwał mu rachmistrz. – Nie wiem, jak głupi są bankierzy w górnym biegu rzeki, ale tutaj mamy swój rozum. – Dał znak strażnikom, upuścił zaświadczenie, a gdy lekko frunęło ku podłodze, wszedł z powrotem do biura.

Bochen spojrzał na strażników. Umbo wiedział, że mierzy ich siły. Wiedział też, że Bochen uzna – jak zawsze – że w walce poradziłby sobie z oboma. Ale walka zawsze prowadziła do tego, że Umbo ukazywał się samemu sobie, ostrzegając, by nie pozwolił Bochnowi wszczynać awantur.

Dlatego Bochen spojrzał teraz pytająco na chłopca.

– Nie – powiedział Umbo.

– Nie widzę innego...

– Nie, bo już nigdy mnie tu nie wpuszczą – przekonywał Umbo. – A już na pewno jeśli zrobisz to, o czym myślisz.

Strażnicy, choć nie rozumieli wiele z tej rozmowy, i bez tego wiedzieli, co oznacza ten taksujący wzrok Bochna, stanęli więc w szerszym rozkroku, trzymając pałki w pogotowiu.

Umbo schylił się, podniósł zaświadczenie i przeszedł między strażnikami.

– Chodź, tatusiu – powiedział tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że w tym wypadku „tatusiu” jest synonimem „głupca”.

Bochen mruknął gniewnie i poszedł za nim. Umbo był całkiem pewien, że gdy Bochen mijął strażników, obrzucił ich hardym spojrzeniem. Ale nie było słyhać żadnego łomotu, jęku ani krzyku, więc najwidoczniej oparł się pokusie.

Wypłacono im pieniądze. Przy okazji okazało się, że koszty, o których wspomniał rachmistrz, pięciokrotnie przekraczały odsetki, ale to i tak tylko nieznacznie uszczupliło całą zdeponowaną sumę.

Kasjer okazał im kawałek papieru z jakimś pismem odręcznym.

– A przy okazji – rzekł – główny rachmistrz mnie poinformował, że powiadomiono o panach wszystkie pozostałe banki w mieście. Nikt nie będzie prowadził z państwem interesów i nikt nie wpuści panów do środka. Dziękujemy za skorzystanie z usług Pierwszego Ludowego.

Strażnicy powiedli ich do drzwi, a potem, już na zewnątrz, stanęli na warcie po obu stronach wejścia i czujnie obserwowali ulicę, jak gdyby polecono im mieć oko na innych oszustów.

Umbo zaczął gwizdać.

– Przestań – zdenerwował się Bochen.

Umbo zaczął gwizdać głośniej i tanecznie się gibać.

– Czemu plan miał nie wypalić? – pieklił się Bochen. – I czemu, gdy cofasz się w czasie i przekazujesz te swoje cholerne ostrzeżenia, nie dołączasz żadnych wyjaśnień?

– Najwidoczniej ktoś obserwuje moje przyszłe Bochen „ja”, więc ostrzeżenia nie mogą być długie i bardzo konkretne.

– Albo po prostu strach cię obleciał i udałeś, że dostałeś ostrzeżenie – stwierdził Bochen złowrogo.

– Pomyśl chwilę. Rachmistrz był przygotowany. Już wcześniej nas obserwowali.

Cokolwiek byśmy zrobili, nic by to nie dało.

– Czemu więc nie cofnąłeś się do pierwszego momentu, gdy siedzieliśmy w pokoju w oberży, i nie powiedziałeś nam, że żaden z naszych planów nie wypali?

– A uwierzyłbyś w takie ostrzeżenie?

– Nie. Ale zaoszczędzilibyśmy sporo czasu.

– Nie wiemy nawet, czy... ten kamień... nadal znajduje się w kasetce ukrytej w sejfie – tłumaczył Umbo. – Mogli go gdzieś przenieść. Gdyby Rigg był tu z nami...

– Rozejrzyj się dokładnie. Jego tu nie ma.

– Ale gdyby...

– Nie ma!

– Ależ jest! – zakrzyknął Rigg.

Umbo spojrzał w lewo. Nie miał omamów – rzeczywiście Rigg siedł tuż obok nich w biały dzień.

– Na prawe ucho Silboma!

– *Ananso-wok-wok* – rzekł Bochen w swym ojczystym języku. A przynajmniej tak to brzmiało dla Umba.

– Bardzo dyskretnie się zachowujecie – skomentował Rigg. – Na pewno nikt nie zauważy, jak się zdziwiliście na mój widok.

Miał rację – nie chcieli ściągać na siebie uwagi. Lecz Umbo nie mógł się powstrzymać od szerokiego uśmiechu, ciesząc się, że ponownie widzi przyjaciela, który najwyraźniej uwolnił się z aresztu.

– Czemu zawsze prawe ucho Silboma, a nie lewe? – marudził Bochen.

– W tych stronach mówią „na lewe ramię Rama” – powiedział Rigg.

– W wojsku nigdy nie mówiliśmy o uszach i ramionach – zagadkowo dodał Bochen. A Rigg i Umbo nawet nie chcieli wiedzieć, na czyje i które konkretnie części ciała klęli żołnierze.

– Jesteś wolny? – zapytał Umbo. – Czy też zaraz opadną nas żołnierze, którzy cię gonią?

– W domu, w którym mieszkam, jest pełno ukrytych przejść. Nikt nie wie, że zniknąłem, ale zaraz muszę tam wracać. Zauważyłem wasze ścieżki i wyglądało na to, że robiliście coś bardzo odważnego i zupełnie niepotrzebnego, jak próba odzyskania pewnego klejnotu.

– Mamy pozostałe – tłumaczył się Bochen. – Chcieliśmy mieć komplet.

– Pewnie jest jakiś poważny, magiczny powód, dla którego potrzebujemy wszystkich dziewiętnastu – stwierdził Rigg. – Ale w bibliotece nie znalazłem żadnej wzmianki o dziewiętnastu klejnotach.

– To jedyny pomysł, jak ci pomóc, na jaki wpadliśmy – usprawiedliwiał się Umbo. – Przyszliśmy tu, by cię uratować, a nie możemy nawet zbliżyć się do domu, w którym mieszkasz. Wzbudzaliśmy podejrzenia, już choćby pytając ludzi, który to dom.

– Czemu mieliby myśleć, że jesteście tu, by mnie uratować?

– To nie tak – stwierdził Bochen. – Oni widzieli w nas górniaków, którzy chcą obciąć ci włosy, ukraść ubranie albo zrobić coś równie bzdurnego. Najwyraźniej jednak miejscowi przestali gustować w takich sprawach. Powiem więcej. Dowiedzieliśmy się, że jesteś najbardziej ekscytującą osobą w stolicy.

– Ba, na całym świecie – dodał Umbo.

– Po tej stronie Muru w każdym razie – stwierdził Rigg. – Niech zgadnę – wielu chce mnie za króla, wielu innych chce, żebym zginął, a moja matka i siostra zasiadły w Namiocie Światła, a jeszcze inni w ogóle nie chcą, by rodzina królewska istniała, albo chcą, żeby istniała, by można ją było bez końca więzić i przesładować, a większość matek chce się dowiedzieć, jak się ubieram, by mogły swoich synów stroić tak samo.

– To się nawet zgadza – przyznał Bochen.

– Domyślam się, że już umiesz cofać się w czasie – zwrócił się Rigg do Umba.

– To chyba oczywiste. Inaczej nie mógłbym przekazać tobie i sobie tych ostrzeżeń w O.

– Wcale nie takie oczywiste. A może nie doszedłeś jeszcze do tego, że jeśli raz to zrobisz, nie musisz tego powtarzać?

– Nie, już to zrozumieliśmy – rzekł Bochen. – Ale nie lubię o tym myśleć, bo dla mnie nie ma to żadnego sensu.

– A dla mnie ma – odparł Rigg. – To jak rysowanie ścieżki w labiryncie na papierze.

Ciągniesz linię po złej ścieżce. Przerywasz i wracasz do punktu, gdzie podjąłeś złą decyzję.

Nie musisz dalej podążać złą ścieżką, możesz wybrać inną.

– Czas to nie labirynt – upierał się Bochen.

– Ależ tak – odparł Rigg.

– Co to jest labirynt? – zaciekawił się Umbo. Nie znosił, gdy tylko on o czymś nie wiedział.

– A czy ty nauczyłeś się robić to, co robi Umbo? – zagadnął Bochen.

– Tak łamałem sobie nad tym głowę, że niemal skręciłem kark, gdy byłem więźniem na łodzi – odparł Rigg. – Ale ani drżenia, ani wstrząsu, czy co tam powinienem poczuć.

– Ja wciąż nie widzę ścieżek – pocieszył go Umbo.

– Ale to nic, bo póki będziemy razem, możesz mnie włączyć w te twoje przenosiny w czasie. Pytanie tylko, czy nauczyłeś się, jak skakać w przód?

– To akurat żadna sztuka. Każdy człowiek co sekundę jest o sekundę dalej w przyszłości – zauważył Bochen.

– Moja siostra to potrafi.

– Widzi przyszłość? – zapytał Umbo.

– Nie, nic tak użytecznego. Ona przeskakuje o kilka chwil w czasie. Przez co porusza się bardzo powoli, ale gdy to robi, jest niewidzialna.

Bochen pokręcił głową.

– Ech, a mogłem wtedy w Przystani Lejki po prostu zabrać wam pieniądze i pozwolić rzekowcom wrzucić was do rzeki!

– Ona jest moją siostrą. Ma to więc sens, że też umie robić coś z czasem.

– Nic nie ma sensu – bąknął Bochen.

– Ja nie jestem twoim bratem – zauważył Umbo. – W ogóle nie jestem z tobą spokrewniony. A nikt w mojej rodzinie nie umie robić niczego takiego.

– Ale ojciec jakoś dowiedział się, co potrafisz. Jak? – zapytał Rigg.

– Powiedziałem mu.

– Jasne, jak gdyby nigdy nic podszedłeś do niego i powiedziałeś: „A tak w ogóle, to potrafię spowalniać czas”.

– Wiedział więc o tym. I był... twoim ojcem.

– Ależ nie – zdradził Rigg. – Dopiero teraz poznaję mojego prawdziwego ojca. Knossa Sessamika. Na swój sposób był wielkim człowiekiem. Myślicielem, ale zarazem człowiekiem czynu. Niestety, już nie żyje.

– A ja bym chciał wiedzieć – odezwał się Bochen – po co Umbo i ja tu jesteśmy. Nie chcesz odzyskać klejnotu, możesz opuszczać swój areszt, kiedy tylko chcesz...

– Dopiero dzisiaj miałem pierwszą okazję. Pierwszą w ogóle. Zrobiłem to, bo zauważyłem wasze ścieżki, i zrozumiałem, że tu jesteście. A teraz nie jestem pewien, czy zdołam wrócić tak, żeby nikt mnie nie zauważył.

– Wrócić? – zdziwił się Bochen. – A po co?

– Bo matka i Param wciąż tam są.

– Param? – zapytał Umbo.

– Moja siostra.

– Całkiem dobrze sobie radziły bez ciebie. Jesteś im coś winien? – zagadnął Bochen.

– A ty jesteś coś winien Lejce? – odciął się Rigg.

– Spędziliśmy z sobą większość życia. A jak długo ty znasz siostrę, dwadzieścia minut?

– Skoro nie chcesz mi pomóc, to nie pomagaj.

– Powiedz, co musimy zrobić – poprosił Umbo, próbując rozładować napięcie i zapobiec kłótni.

– Sprawy nabierają tempa. Nie wiem, do czego to prowadzi, ale coraz częściej nas śledzą.

A szpiedzy coraz częściej spotykają się z innymi ludźmi.

– Szpiedzy? – zapytał Bochen.

– Nie wiem, kim są, widzę tylko ich ścieżki. Kiedyś spotykali się z członkami Rady.

Teraz częściej spotykają się z generałem Obywatelem.

– Kto to taki? – zdziwił się Umbo.

– Ten, który nas aresztował.

Bochen nagle przystanął na samym środku ulicy. Ludzie z tyłu wpadli na niego, ale w mig zauważyli jego krzepę i gniewną minę, i przeprosili za własną nieuwagę.

– Nadal nie powiedziałaś nam, co chcesz, żebyśmy zrobili! – uniósł się Bochen.

– Param się boi...

– To żadna odpowiedź! – zagrzmiał Bochen.

– Ludzie na nas patrzą – upomniał ich Umbo.

– Muszę wydostać się z miasta i muszę zabrać Param z sobą, a potem zmierzam pod Mur.

– Byłem tam – przypomniał Bochen. – Tam nic nie ma.

– Przekroczę go. O ile to możliwe, razem z wami.

– Ani mi się śni – zachnął się Bochen.

– Jak sobie chcesz. Zabieram z sobą Param, bo to nas będą ścigać wszędzie po tej stronie Muru. Ale nie zdołam go przekroczyć bez Umba.

Umbo nie był pewien, czy mu się to podoba.

– Mówisz tak, bo potrzebujesz mnie czy raczej mojego daru, bym spowolnił cię w czasie?

Rigg przewrócił oczami.

– Ja jestem gościem widzącym ścieżki, a ty masz dar spowalniania czasu dla mnie. Ale ja to nadal ja, a ty to ty.

– Więc nawet jeśli nie mogę zrobić wszystkiego, co by ci się przydało, i tak chcesz, żebym z tobą poszedł? – zapytał Umbo. Wiedział, jak żałośnie to brzmi i jak strasznie się błążni, ale chciał poznać odpowiedź.

– Jeśli masz umiejętność, której rozpaczliwie potrzebuję, i nie chcesz jej użyć, to co z ciebie za przyjaciel? – odparł Rigg.

– Nie o to chodzi, że nie chcę...

– Rigg, naprawdę miło znowu cię spotkać – odezwał się Bochen. – Teraz już udało ci się pokłócić z nami oboma.

– Z nikim się nie kłócę – zaproponował Rigg, wyraźnie się uspokajając. – Tylko staram się przeżyć każdy kolejny dzień i nauczyć się, jak przeżyć każdy kolejny rok. Nie chcę wiązać się z żadnym stronnictwem w rządzie. Nie chcę przywrócić Cesarstwa Sessamidzkiego, a już na pewno nie chcę nim władać. Chcę przedostać się przez Mur, by przeżyć. I chcę zabrać tam siostrę i matkę.

– A więc liczy się tylko to, czego ty chcesz – odparł Umbo.

– Pytałeś, jak możecie mi pomóc! No to właśnie wam mówię!

– Na dobry początek – rzekł Bochen – mógłbyś tak z łaski swojej zejść ze środka ulicy i przestać zwracać na nas uwagę przechodniów.

– Pan tu przystanął... – zaczął Rigg, ale zaraz zrozumiał, że Bochen tylko żartował. Albo przynajmniej mógł żartować.

Rigg odwrócił się i zaczął się od nich oddalać.

Umbo podbiegł do niego.

– Gdzie idziesz?

– Schodzę z ulicy – bąknął Rigg wściekle.

– Mogę iść z tobą?

– Mam nadzieję, że możesz. Bo muszę z tobą porozmawiać i potrzebuję twojej pomocy.

– Dokąd idziemy?

– Do waszej kwatery.

– A zapytasz mnie chociaż, gdzie się zatrzymaliśmy?

Rigg stanął i popatrzył na Umba jak na szaleńca.

– To przecież ja. Gość, który widzi ścieżki. Wiem, gdzie mieszkacie.

I znów ruszył przed siebie, a tym razem Umbo uświadomił sobie, że zmierzał najkrótszą drogą ku ich oberży.

– Jaka jest ta twoja siostra? – zapytał.

– Niewidzialna.

Zdawkowa odpowiedź.

– Wciąż się wściekasz?

– Boję się – przyznał Rigg. – Zupełnie obcy mi ludzie chcą mnie zabić.

– Jeśli to cię jakoś pocieszy – odezwał się Bochen, gdy ich dogonił – to przez chwilę doskonale ich rozumiałem.

Gdy zbliżali się do oberży, Bochen ich zatrzymał.

– Ci z banku nas obserwowali. Zapewne wiedzą, gdzie mieszkamy. A jeśli wiedzą też, że coś nas z tobą łączy? W końcu wyskoczyliśmy z łodzi, będąc w areszcie.

– A Rigg jest jedynym żyjącym księciem królewskiego rodu – dodał Umbo.

– Nikt nie zna mojej twarzy.

– Coś mi świta, że mówiłeś o szpiegach w domu – przypomniał Bochen. – Oni znają twoją twarz. A ty znasz ich twarze?

– Znam ich ścieżki – odparł Rigg – i żadnej nie ma w pobliżu.

– Człubym się bezpieczniej, gdybyśmy poszli gdzie indziej.

Poszli więc za Bochnem, który skierował się do taniego, niewielkiego baru serwującego makarony i kluski.

– Nie zamawiaj niczego, co jakoby jest mięsem – rzekł Bochen.

– Mnie jakoś nigdy nie ostrzegłeś – obruszył się Umbo.

– Myślałem, że nie muszę, po tym jak przez dwa dni miałeś czerwonkę po zamówieniu jagnięciny.

– A to na pewno była jagnięcina? – zażartował Umbo.

– Zjedz raz jeszcze, to się przekonamy – odparł Bochen, chyba z przesadnym zadowoleniem w głosie.

Usiedli przy barze i siorbiąc beztrosko, zajadali pieprzne kluseczki w rosole. Umbo nie zamówił jagnięciny; i tak bardziej lubił rosół z kurczaka, cebuli i rzodkwi.

– Nie zostawię siostry – rzekł Rigg cicho pomiędzy łykami.

– To nie nasz problem – odpowiedział mu Bochen. – My i tak nie możemy dostać się do twojego domu. A nawet w jego pobliże.

– Myślę, że generał O. niebawem wykona jakiś ruch – ciągnął Rigg. – Chciałbym tylko wiedzieć, czy jest w grupie tych, którzy chcą mnie zabić, czy tych, którzy chcą zrobić ze mnie swojego... szefa.

– A co za różnica? Tak czy siak powinieneś trzymać się od niego z daleka – ocenił Umbo.

– Ale dobrze byłoby wiedzieć, czy chodzi mu o mnie, czy o moją siostrę.

– Za tym wszystkim może równie dobrze stać twoja matka – zauważył Bochen.

– Ludzie mają wiele wzajemnych powiązań, więc w końcu każdego z każdym coś łączy – stwierdził Rigg. – Ale nie sądzę, żeby ona miała z tym coś wspólnego. Myślę, że chciałaby po prostu, żeby zostawić ją w spokoju.

– I dlatego mieszka w tym wystawnym domu i spotyka się z prominentami? – zapytał Bochen.

– Z nikim się nie spotyka.

– Mówią, że każdy, kto coś znaczy, ma jakiś związek z domem Flacommo – odparł Bochen. – Mówią też, że twoja matka i tak już faktycznie wszystkim trzęsie, choć nieoficjalnie.

– Z perspektywy domu wcale nie tak to wygląda. Matka przyjmuje gości, owszem, ale nigdy nie jest z nimi sama. Nigdy nie jest sama z nikim, poza moją siostrą.

– I co z tego? – włączył się Umbo. – Znaczy, co za różnica, czyja to sprawka? Myślałem, że nie obchodzą cię intrygi, spiski i konspiracje. Myślałem, że chcesz po prostu uciec.

– Bo chcę.

– Więc czemu po prostu tego nie zrobisz? Nie zabierzesz matki i siostry z tego domu i nie uciekniecie?

– To nie takie proste.

– A ja myślę, że tak. Ale coś mi się zdaje, że polubiłeś być... w rodzinie szefów. Że lubisz być ważny. I tak naprawdę nie chcesz się nigdzie ruszać.

Rigg miał na końcu języka ciętą ripostę, ale się powstrzymał.

– Dobra, przyznaję, jest parę plusów mojej sytuacji. Jedzenie jest... wyborne.

– Do tego sławni i oświeceni ludzie?

– Prawda, spotkałem kilku interesujących – przyznał Rigg.

– I dostęp do biblioteki? Mówiłeś, że spędzasz tam dużo czasu.

– Biblioteka jest najlepszą namiastką obcowania z ojcem, jaką znalazłem. Podobnie jak on,

biblioteka wie wszystko, nawet jeśli nie odkryłem dotąd sposobu, by powiedziała mi to, co chcę wiedzieć.

– Cóż, my też wiemy co nieco – stwierdził Umbo.

– Ja na przykład wiem, jak cofnąć się w czasie, gdy tylko chcę. Cofając się o kilka dni, mogę dostać się do upatrzonego czasu z dokładnością do kilku minut. Jest trudniej, gdy cofam się o kilka miesięcy. O rok nawet nie próbowałem, ale i tak mam się czym pochwalić.

Rigg był pod wrażeniem.

– Trudno było nauczyć się tak to wyregulować?

– Tak – chórem odparli Bochen i Umbo.

– Kilka miesięcy naprawdę irytującego znoju – dodał Bochen.

– Umiem odnaleźć ludzi tylko wtedy, gdy wiem, kiedy znajdowali się w tym samym miejscu. I ja też muszę tam być.

– Masz lepszy dar niż ja, Umbo – powiedział Rigg. – A obaj mamy lepsze dary niż moja siostra. Jej jest wspaniały, gdy chce zniknąć, a gdy to robi, nie starzeje się tak szybko jak inni, bo w zasadzie nie przeżywa większości z tego czasu, gdy jest... taka.

Barmanka nie zwracała na nich uwagi, podobnie jak żaden z klientów – lecz dobry szpieg nie gapiłby się na nich otwarcie. Próbowali więc być przynajmniej trochę zagadkowi w swoich słowach.

– Ale równocześnie porusza się bardzo wolno – ciągnął Rigg. – Jakby była do połowy zamrożona. A to niebezpieczne. Gdy ludzie przez nią przechodzą... trochę ją to boli. Gdy przechodzi przez nieruchome obiekty, bardzo cierpi.

– To nie powinna tego robić – odpowiedział Bochen.

– I nie robi – odparł Rigg. – Mówię tylko, że jej dar nie jest tak pomocny, jak mogłoby się wydawać. I tu mam bardzo, ale to bardzo ważne pytanie, Umbo. Zawsze byłeś w stanie objąć mnie działaniem swojego daru, nawet gdy nie dotykaliśmy się żadną częścią ciała. Czy to działa tylko ze mną? A może zabrałeś z sobą Bochna, gdy cofałeś się w czasie?

– To trudniejsze – stwierdził Umbo. – No, może nie trudniejsze, ale wymaga więcej skupienia i bardziej mnie męczy.

– Więc próbowałeś zrobić to z nim?

– Zabrał mnie ze sobą, gdy wróciliśmy, by jeden z... kamieni... ukraść samym sobie.

Potrafi to zrobić.

– Ukraść samym sobie? – zdziwił się Rigg. – A to niby po co?

– Zapytaj pana mądralińskiego – odparł Bochen. – Dla mnie to nigdy nie miało sensu.

– Nie udawaj, że ci się nie podobało – rzekł Umbo do Bochna.

– Musimy czegoś spróbować – zaproponował Rigg. – Dotąd, gdy rzucałeś na mnie to coś, co tam robisz, dzięki czemu mogę zobaczyć ludzi na ścieżkach i cofnąć się do ich czasu, zawsze szedłem tam sam.

– Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak samemu sobie to zrobić.

– Musimy więc zobaczyć, czy uda ci się umieścić nas trzech w tym czasowym spowolnieniu, a potem zobaczyć, czy mi się uda zaciągnąć nas wszystkich wstecz do znacznie wcześniejszego czasu. Nie miesiące, lecz stulecia temu.

– Stulecia? Jak wtedy, gdy zabraliśmy sztylet?

– Milenia.

Bochen nachylił się do Umba.

– To znaczy tysiące...

– Wiem, co to znaczy – przerwał mu Umbo. – Masz na myśli jakiś konkretny czas?

– Tak. Jedenaście tysięcy dwieście lat temu.

Umbo i Bochen zamilkli, rozważając, do czego to mogło prowadzić.

– Zanim zaczął się kalendarz – w końcu odezwał się Bochen.

– Zanim ludzie pojawili się na tej planecie – poprawił Rigg.

Umbo kompletnie zbaraniał.

– Mówisz, że nie jesteśmy stąd?!

– Gdy będziemy mieli więcej czasu, muszę wam wiele powiedzieć – czego dowiedziałem się w bibliotece i od uczonych. Z badań ojca Knosso i od strażnika Oliwienki, który przez jakiś czas był jego uczniem.

– Ufasz strażnikowi? – nie dowierzał Bochen.

– Nie zna go pan, a ja tak, szkoda czasu na wyjaśnienia. Muszę wracać do domu Flacommo, i to niebawem, zanim ktoś za mną zatęskni. Mogą przeszukać dom. Mieliśmy sprawdzić, czy możemy razem podróżować w czasie.

– No to spróbujmy – zaproponował Umbo.

Rigg zaczął wstawać. Ale nie skończył, bo natychmiast usadził go ręką Bochen.

– A ty niby dokąd?

– Gdzieś, gdzie nie ma ludzi.

– Zróbcie to tutaj. Gdy cofamy się w czasie, nie znikamy z czasu teraźniejszego, prawda?

Jesteśmy w obu czasach jednocześnie, prawda?

– Tak – odparł Rigg. – A tak przynajmniej działało to wcześniej, gdy Umbo mnie wspierał swoją mocą, a tylko ja tak naprawdę się przenosiłem.

– To wybierz najstarszą ścieżkę, jaką tu znajdziesz, i zobaczymy, czy Umbo zdoła sprawić, byśmy we trzech ujrzeli ją równocześnie.

– Ale ten bar nie jest stary. Nie będzie stołków – zauważył Rigg.

– Jeśli nasze tyłki pozostaną w tym czasie, to nie wylądujemy w bagnie czy czymś tam.

Rigg przytaknął.

– Dobra, Umbo. Za chwilę skupię się na konkretnej ścieżce... Mam. Spowolnij mnie... i siebie, i Bochna.

Wszyscy trzej trzymali się swoich misek z kluskami, podczas gdy Rigg wpatrzył się w punkt daleko przed sobą i z lekka w dół, najwyraźniej koncentrując się na ścieżce.

Umbo jeszcze nigdy nie próbował spowolnić dwóch ludzi i jeszcze siebie na dodatek. To wymagało od niego naprawdę silnego skupienia. I miał wrażenie, jakby Rigg ciągnął go równie mocno, jak on ciągnął Bochna. Rigg zabierał go bardziej wstecz w czasie, niż Umbo kiedykolwiek się przeniósł. Jak wtedy, gdy ojciec posadził Umba na grzbiecie konia domokrażcy, a zwierzę poniosło go kilkadziesiąt metrów na przelaj. Kilka razy niemal stracił łączność, a zarazem z wielkim trudem trzymał Bochna. Jednak po jakimś czasie zdołał zapanować nad wszystkim.

Nie widział już teraz baru, choć nadal na czymś siedział – na czym? Nie było żadnego miasta, żadnego budynku. Tylko jakiś człowiek powoli popychał tyczką łódkę przez bagniste zakole pomiędzy wysokimi trzcinami.

Człowiek w łódce znajdował się o wiele niżej niż Umbo, jak gdyby Umbo siedział na szczycie wzgórza, a nie na stołku w barze. Widocznie podwaliny Aressa Sessamo były znacznie powyżej naturalnego poziomu delty.

– Widzisz go? – szepnął Rigg. – Łódkę? Trzcinę, wodę?

Możliwe, że nieznajomy go usłyszał, bo o wieczorze na mokradłach panowała niemal grobowa cisza. Wyrzał z łódki i ich zobaczył; musieli stanowić nie lada widok, mężczyzna i dwóch chłopców

siedzący w powietrzu, trzymając miski z kluskami.

Nieznajomy zachwiał się zdumiony, łódka gwałtownie się zachybotała, wyrzucając go za burzę.

Umbo w umyśle puścił Rigga i Bochna i powoli wrócił do terażniejszości. Kręciło mu się w głowie. Czuł się mentalnie wykończony.

– Czas, zanim Aressa Sessamo w ogóle istniało – szepnął Bochen.

– To nie jest najstarsze miasto po tej stronie Muru – przypomniał Rigg. – A zresztą początkowo leżało dziesięć kilometrów stąd. Przez lata powodzie wymusiły wiele przenosin.

– Szkoda mi tego człowieka na łodzi – westchnął Umbo.

– Tylko się zamoczył. Od tego się nie umiera – stwierdził Bochen.

– Ujrzał w powietrzu trzech ludzi jedzących kluski. – Rigg zachichotał. – Cóż też święci chcieli przekazać przez coś takiego! Myślicie, że zbudowali tam kapliczkę? Trójca Zjadaczy Klusek. – Zaśmiał się nieco głośniej. Barmanka spojrzała na niego spode łba.

– Był tak nisko pod nami – rzekł Umbo.

– Na naturalnym poziomie delty – dodał Bochen.

– Więc budowniczowie tego miasta zgromadzili tyle mułu, by powstał tak wysoki nasyp?

– zapytał Rigg.

– Nie musieli – tłumaczył Bochen. – Co roku rzeka sama nanosi tu muł. Wystarczy zacząć budować wyższą wysepkę, a po każdej porze wylewów trzeba wydobywać błoto z zamulonych kanałów, by łódki mogły je przepłynąć. Co zrobić z całym tym mułem? Odwalać na kupę, rozszerzać obręb wyspy, na której stoi miasto. Po kilku tysiącach lat pracy ma się bardzo duże miasto i całkiem wysoką wyspę.

– To wyjaśnia, dlaczego pod miastem jest tyle tuneli i kanałów ściekowych, choć jesteśmy w środku delty – domyślił się Rigg.

Umbo spojrzał w górę i zobaczył coś na ścianie. Dotknął ręki Rigga, a potem wymownie podniósł wzrok na półkę wysoko na ścianie baru. Stała tam figurka przedstawiająca mężczyznę i dwóch chłopców trzymających miski z kluskami.

– Na lewe ramię Rama! – rzucił półgłosem.

Bochen zakrył twarz.

– To od nas wzięli się Zjadacze Klusek.

– Nie znam tej opowieści – stwierdził Umbo.

– Czemu nie zrozumiałem, co się dzieje, gdy ten człowiek na nas spojrzał? – zapytał Bochen.

– Bo to jeszcze się nie stało – wyjaśnił Rigg. – Ja nadal nie pamiętam takiej legendy, ale...

wygląda na to, że zawsze, gdy robimy coś w przeszłości, pojawia się nowa legenda.

– Urodzajność krainy – szepnął Umbo, gdy „przypomniał” sobie legendę o Zjadaczach Klusek. Tak jak „przypomniał” sobie opowieści o Wędrującym Świętym w kapliczce, gdy wraz z Riggim przygotowywali się do wymarszu. – Oni symbolizują obfite żniwa, teraz już pamiętam.

– A to byliśmy my. Jak wiele z tych legend to tylko... my!

– Jeśli nie będziemy ostrożni, to wszystkie – rzekł Rigg. – Ale musiałem się przekonać, że to potrafimy.

– Wszyscy trzej się tam przenieśliśmy. Tak czy nie? – zapytał Umbo.

– To było chwiejne. Z początku ten człowiek na łodzi cały czas mi migał przed oczami.

Raz go widziałem, a raz nie – odparł Bochen.

– Ale zanim nas zobaczył, widziałeś już wyraźnie? – zapytał Umbo.

Bochen przytaknął.

– Chcę się cofnąć do czasu, zanim istniał Mur – odezwał się Rigg. – A potem po prostu przejść

przez to miejsce, gdzie teraz się znajduje. Ale skoro jesteśmy w obu czasach jednocześnie, to co jeśli podczas przejścia wciąż będziemy czuli... wpływ, tę siłę odpychającą Muru?

– Może to będzie słabsze – podsunął Umbo.

– Mam nadzieję. Ale może będziemy potrzebować też mojej siostry. Ona potrafi sprawić, że nie będziemy istnieć w żadnym momencie i w żadnym miejscu dłużej niż niewielki ułamek sekundy.

– A czy potrafi objąć swym talentem innych? – zapytał Umbo.

– Musiała mnie dotykać, ale tak, zrobiliśmy to – zapewnił Rigg.

– To po co ja wam jestem potrzebny? – zachnął się Bochen.

Rigg pokręcił głową.

– My pana nie potrzebujemy, by dostać się za Mur. Ale będziemy potrzebowali pana doświadczenia, a może i umiejętności walki, jak już będziemy po drugiej stronie. Gdy ojciec Knosso uśpił się lekami i dryfował w łódce przez Mur, jakieś wodne stworzenia go pochwyciły i utopiły.

– Auć! Nie mam doświadczenia w walce z morderczymi wodnikami.

– Nie przekroczymy Muru w tym samym miejscu co ojciec Knosso – uspokajał Rigg. – Nie wiemy, na co się natkniemy. Umbo, moja siostra i ja jesteśmy mądrzy, ważni i tak dalej, ale jesteśmy też mali, słabi i nieszczególnie przerażający. Natomiast wystarczy, że pan gniewnie spojrzy, a dorośli mężczyźni płaczą.

Bochen parsknął śmiechem.

– Otrzymaliśmy chyba kilka ostrzeżeń od twojego przyszłego „ja”, Umbo, które dowodzą, że jednak można nam spuścić tęgie lanie.

– Tylko gdy ich było o wiele, wiele więcej – pocieszył go Umbo.

– I tak samo może się zdarzyć trzynaście sekund po przejściu przez Mur – stwierdził Bochen.

– Będzie, co ma być – rzekł Rigg. – Ale wiem jedno, jeśli nie pójdziemy na drugą stronę Muru, gdzie nikt stąd nas nie znajdzie, to moje życie – oraz życie mojej siostry i matki – jest nic niewarte.

– A czy twoja matka... coś... potrafi? – zapytał Umbo.

– Jeśli tak, to mi się z tego nie zwierzyła.

– Jeśli nie spodoba nam się po tamtej stronie, zawsze możemy wrócić – zadrwił Bochen.

– Stacjonował pan nad Murem – przypomniał sobie Rigg.

– Widział pan kiedyś jakąś... jakąś osobę za Murem?

– Nie na własne oczy. Ale słyszałem różne opowieści.

– Straszne opowieści? – zaciekawiał się Umbo.

– Po prostu opowieści – zgasił go Bochen. – Ale wszystkie brzmią jak coś, co ludzie lubią wymyślać. Jak... „Mój znajomy widział człowieka za Murem. Ten człowiek rozpalił ogień, a potem wylał na niego wodę i stąpał po popiele, i trzy razy wskazał na mojego znajomego, jakby przed czymś ostrzegał. Następnego dnia dom mojego znajomego spłonął doszczętnie”.

– Tak, to zawsze przydarza się znajomym – rzekł Rigg.

– Znajomym znajomych – poprawił Umbo.

– Ale gdy pomyśleć, co myśmy zrobili... co ty zrobiłeś...

– Ty też tam byłeś – przypomniał Umbo.

– ...Wszystko wydaje się możliwe.

– Czy któraś z tych opowieści mówi o czymś niebezpiecznym? Na przykład o ludziach po tamtej stronie pożerających dzieci? – zapytał Umbo z lekkim przejęciem.

– Nie – uspokoił go Bochen. – Ale nawet jeśli żyją tam dziecięcy kanibale, to skąd mielibyśmy wiedzieć? Podeszliby pod Mur, by pokazać nam swój piknik? Mur dokuczałby im podobnie jak nam. A na nas działa z daleka. Ta... strefa przy nim odstrasza ludzi. Trzeba naprawdę się natrudzić, by to

przemóc i zbliżyć się na kilometr czy dwa.

– Po czym poznać, że jest się mniej więcej kilometr od Muru?

– Powietrze zaczyna drgać. Coś jak fale gorąca, tyle że ostrzej zarysowane i jakby iskrzące.

Trzeba stanąć nieruchomo i uważnie, długo się przyglądać, ale można to zobaczyć.

– Zatem... warto spróbować – ocenił Rigg. – A do tego potrzebuję nas wszystkich.

– Trudno mi było już z wami dwoma – zauważył Umbo. – A dodajmy do tego jeszcze twoją matkę i siostrę...

– Nie wspominając już o twoim niezwykle zaufanym strażniku – dodał Bochen.

– A jeszcze dodajmy całą armię za naszymi plecami, zasypującą nas strzałami i bardzo głośnymi plugawymi wyzwiskami – zawtórował im Rigg. – Wiem. Nie będzie łatwo. Mnie też łatwo nie było – nie żebym miał jakąś moc, by was ze mną zaciągnąć, to w pełni twoja zasługa, Umbo – ale czułem bezwładność, jakby działały na mnie równoważne siły. Trudniej mi było się skupić, zostać przy upatrzonej ścieżce. A może być jeszcze trudniej, gdy będę szedł w tym samym czasie.

– O tym nawet nie pomyślałem – przyznał Umbo.

– Ale możesz to poćwiczyć, prawda? Zanim uciekniemy?

– Jak? Po prostu... wybierając sobie nieznajomych i przenosząc ich wstecz w czasie?

– Czemu nie? – zapytał Rigg. – Nie będą wiedzieli, kto im to robi ani co się dzieje. Jeśli spróbują komuś powiedzieć, zostaną uznani za pomyłkówców.

– No właśnie. A to niezbyt miły uczynek.

– Więc nie ćwicz.

– I mógłbym ich zabrać tylko o kilka dni lub tygodni wstecz, nie tak jak właśnie zrobiliśmy.

– Jeszcze klusek?

Barmanka stała tuż przy nich, czekając na odpowiedź. Umbo nie zauważył, jak podchodziła. Sądząc po minach Rigga i Bochna, oni również. I to tyle, jeśli chodzi o czujność.

– Już nie, dziękujemy – odezwał się Bochen.

– Proszę więc zwolnić miejsce. Klienci czekają.

Umbo spojrzał za siebie i zobaczył długą kolejkę przy drzwiach.

– Przepraszamy. Nie zauważyliśmy – rzekł Rigg.

– Wyglądaliście jak spiskowcy planujący obalić Radę – odparła z uśmiechem.

– Ale my nic... nigdy... – bronił się Umbo.

– Ona żartowała – wyjaśnił mu Bochen.

– Może – szepnął Rigg.

Gęsiego wydostali się na dwór, przeciskając się obok niecierpliwie czekających klientów.

– Muszę już wracać – oznajmił Rigg, gdy wyszli na ulicę.

– Nadal nie wiem, na co czekamy – stwierdził Bochen.

– Wracaj, weź siostrę i matkę, i wynośmy się z Aressa Sessamo, zanim coś niedobrego się zdarzy.

Rigg wyglądał na zawstydzonego.

– Nie mogę.

– Czemu nie? – zapytał Bochen.

– Bo ze mną nie pójdą. Póki nie będzie prawdziwego zagrożenia. Nie posłuchają moich ostrzeżeń.

– Jeszcze ci nie ufają.

– Nie, sądzę, że mi ufają. W tym sensie, że wiedzą, iż nie jestem zdrajcą czy coś. One po prostu nie uważają mnie za kogoś, kto może... decydować.

– Ach. A więc jeszcze cię nie szanują.

– A my pozwoliliśmy ci decydować tylko dlatego, że to ty miałeś pieniądze – rzekł Umbo.

– Więc chyba my też cię nie szanujemy.

– Och, dzięki.

– Umbo ma rację – poparł go Bochen. – Przyzwyczajaliśmy się, że ty wszystkim kierujesz, no bo twoje pieniądze, testament twojego ojca i tak dalej. Więc to miało sens.

– I to ja muszę uciec za Mur.

– Dokładnie o tym mówię – ciągnął Bochen. – A może ja i Umbo zostaniemy po tej stronie, a on jakoś obejmie cię swoją mocą z daleka, gdy będziesz przechodził?

– Możesz to zrobić aż z tak daleka? – zapytał Rigg.

– Nigdy nie próbowałem z kilometra. Ani nawet z połowy.

– Wcale nie myślę, że jestem waszym szefem ani że mam prawo decydować za was – rzekł Rigg. – Mam nadzieję, że ze mną pójdziecie, bo tylko w was mam przyjaciół na tym świecie, a boję się tego, co jest po drugiej stronie. Ojciec Knosso zginął zaraz po przejściu.

– Chcesz więc, żebyśmy z tobą poszli i razem zginęli?

– Chcę przedostać się za Mur i mieć jak największe szanse na przeżycie. Jeśli was zostawię, a tuż za nami będzie ten, kto nas ściga, generał O. czy ktoś inny, to myślicie, że puszczą was wolno? Przecież pomogliście uciec rodzinie królewskiej!

– To była tylko taka luźna myśl – bronił się Bochen.

– Oczywiście, że z tobą pójdziemy. Lecz chciałem się upewnić, że wiesz, że nie masz prawa nam rozkazywać, nami kierować ani nawet oczekiwać, że podejmiemy dla ciebie takie ryzyko.

– Wiem. Ale ja bym dla was zaryzykował.

– Doprawdy? To jeszcze nie zostało poddane próbie.

Rigg mógł być zły albo smutny – po wyrazie jego twarzy Umbo nie potrafił orzec.

Milczeli przez chwilę. W końcu Rigg powiedział:

– Mam nadzieję, że gdy przyjdzie godzina próby... jeśli przyjdzie, to okażę się równie lojalny wobec was jak wy wobec mnie.

– Ja też mam taką nadzieję – odparł Bochen. – Ale uczestniczyłem w wielu walkach i bitwach. Człowiek nigdy nie wie, kto przy nim stanie, a kto ucieknie, dopóki nie przyjdzie co do czego. Podążyliśmy tu za tobą, choć nie musieliśmy. By spróbować odzyskać twoją własność. By pomóc ci uciec z niewoli i ocalić ci życie, jeśli zamierzali cię zabić.

– Nadal zamierzają – poprawił Rigg.

– Udowodniliśmy, że dla ciebie weszlibyśmy nawet do jaskini lwa. Chciałbym myśleć, że to samo zrobiłbyś dla nas.

Umbo miał już dość tej rozmowy.

– Oczywiście, że by to zrobił – powiedział do Bochna.

– Gdy strach ogarnia człowieka, nie ma żadnego „oczywiście” – stwierdził Bochen. – Nikt nie wie, co by zrobił, dopóki nie będzie miał okazji się sprawdzić. Jak dotąd świetnie ci szło, gdy zagrożenie szło ze strony ludzi. Ale gdy będzie nim ostrze lub drzewce, gdy zagrożenie będzie widoczne, fizyczne i bezpośrednie, co zrobisz?

– Nie wiem. Wiem tylko, co zamierzam zrobić. Ale nie mogę tego udowodnić, nawet samemu sobie.

– To dobrze – ocenił Bochen. – Skoro to rozumiesz, nie widzę przeszkód, by spróbować.

– A jeśli przysięgnę, że nigdy, przenigdy, was nie zawiodę?

– I tak bym cię wspomógł, choć nie ufałbym, że to samo zrobisz dla mnie. A tak – sądzę, że jest

szansa, bo nie jesteś skończonym idiotą.

– Teraz naprawdę mnie pan zranił – odparł Rigg. – Ojciec uczył mnie, bym zawsze kończył to, co zacząłem.

Zbliżali się do bogatszej części miasta. Tłumy się przeredziły, ludzie nosili się lepiej, a od czasu do czasu dało się zauważyć powozy czy konie.

– Nie lubimy zapuszczać się dalej – powiedział Umbo. – Nie chcemy, żeby strażnicy dobrze zapamiętali nasze twarze.

– Rozumiem – rzekł Rigg.

– A jak ty się koło nich przemykasz? – zapytał Umbo. – Masz ubrania na zmianę?

– Te mi wystarczą.

Rigg ubrany był dość przeciętnie, nie wyróżniał się w tłumie biedoty i klasy pracującej, zwłaszcza że szedł i mówił jak młody górniak. Jak Umbo.

Teraz jednak, w pobliżu bogatej dzielnicy, przybrał inną postawę. Wyprostowaną. Wciąż swobodną, ale – bardziej opanowaną. Manifestującą władzę i oczekiwanie. Nieustraszoną.

Jakby był tu u siebie. I gdy szedł z uniesioną głową, poruszając się spokojniej i bardziej powściągliwie, acz zarazem bardziej swobodnie, jego odzienie wyglądało na bogatsze. Wciąż bezpretensjonalne, wciąż skromne, ale teraz można było dojrzeć, że to ubranie wyglądało tak, jakby zostało dla niego skrojone. I prawie na pewno tak właśnie było.

Umbo nie potrafił zdecydować, z którego swojego daru Rigg miał więcej pożytku – talentu do znajdowania ścieżek czy umiejętności wpasowania się w każdą klasę społeczną.

– Jeśli uda mi się wcześniej odprawić strażników, przyjdę do was, wszystko jedno gdzie będziecie – rzekł Rigg. – Lecz jeśli wszystko wymknie się spod kontroli, jeśli spróbują nas zabić, wybuchną zamieszki albo wydarzy się coś innego, przyjdźcie w to miejsce. Tam, w tym parku, na górze muru jest występ.

– Występ? – zapytał Umbo.

– Chodźcie, pokażę wam.

Powiódł ich do skupiska drzew, krzewów i kwiatów. Ściany dwóch budynków tworzyły obrzeże parku, a tam, gdzie się stykały, znajdowała się wnęka, jakby planowano tam postawić posąg, ale jakoś do tego nie doszło.

– To tu, widzicie? – rzekł Rigg, wskakując do wnęki. Była ledwie dość wysoka dla niego.

– Ja się tu nie zmieszczę – wątpił Bochen.

– Jest więcej miejsca, niż może się zdawać.

– Widzę, że twoja głowa niemal dotyka góry – zauważył Bochen, wciąż nieprzekonany.

– Dobrze pan widzi, ale ja urosłem. Teraz jestem już niewiele niższy od pana.

Umbo podskakiwał właśnie do góry, by dołączyć do Rigga, który go złapał, by przyjaciel nie spadł.

– W każdym razie nie dość miejsca dla mnie i kogoś innego – skomentował Bochen.

– Cóż, teraz może i nie – odparł Rigg.

A potem kopnął coś do tyłu i ni stąd, ni zowąd Umbo zawirował i znalazł się w kompletnej ciemności.

– Co to było?! – zakrzyknął przytłumionym głosem.

– To wyjście z jednego z ukrytych przejść. Nie łączy się z domem Flacommo, prowadzi do biblioteki. Ale stamtąd już trzy przejścia w systemie odwadniającym łączą się z domem.

– Wydostań mnie stąd!

Kolejne kopnięcie, znów zawirowali, w przeciwną stronę, i znaleźli się w oślepiającym słońcu.

Bochen patrzył na nich spode łba z poziomu bruku.

– Bardzo dyskretne – rzekł z irytacją.

– Nikt nas nie widział – odparł Rigg.

– Albo tak ci się tylko zdaje – bąknął Bochen.

– Ja to wiem – tłumaczył Rigg. – Wiem, którędy biegną wszystkie ścieżki w zasięgu wzroku stąd. Ja też pracowałem, by zyskać coraz większą kontrolę nad tym, co robię.

Naprawdę nikt nie obserwuje tego miejsca. Tego przejścia nie używano od lat. Mówię wam tylko, że w razie czego właśnie tu przyprowadzę Param i matkę, i poczekamy tam na was kilka godzin. Będę wiedział, czy nadchodzicie, a jeśli nie, sami wydostaniemy się z miasta.

– Naszym zadaniem jest więc znaleźć sposób, by was zabrać najpierw stąd, a potem z miasta – stwierdził Bochen.

– Nie wiem, czy to wasze zadanie – odparł Rigg – ale na pewno nie może być moje, bo po tej wycieczce nie opuszczę domu ponownie, chyba że na dobre.

– Może wszyscy powinniśmy przebrać się za dziewczynki – podsunął Umbo.

Spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Będą szukali ciebie i Param – tłumaczył. – Jednego chłopca, jednej dziewczyny. A co ich będziemy obchodzić, gdy zobaczą trzy dziewczyny bez chłopca? Ty i ja nie mamy zarostu, Rigg, więc może nam się udać.

– Nie – ocenił Bochen. – Nigdy nie mieliście do czynienia z zamieszkami. Dziewczęta nie są bezpieczne nawet pod ochroną takiego wielkiego chłopca jak ja. Ale pomysł jest dobry.

Tyle że to twoja matka i siostra powinny się przebrać za chłopców w waszym wieku.

– To im się nie spodoba – rzekł Rigg.

– Cóż, jeśli nie podoba im się sposób, w jaki próbujemy je ocalić i wydostać z miasta...

– Postaram się je namówić. Ale nie mogę ich do niczego zmusić.

– I pamiętaj, że muszą obwiązać piersi. O ile twoja siostra je ma... nie gniewaj się, ja tego nie wiem, tylko tak mówię.

– Postaram się. Ale nie mogę obiecać czegoś, na co nie mam wpływu.

– Tak z ciekawości – zagadnął Bochen. – A na co masz wpływ?

– Na prawe ucho Silboma – odparł Rigg.

Szturchnął Umba, który stracił równowagę, musiał zeskoczyć z wnęki, a gdy się odwrócił, Rigga już nie było.

– No, ciekawe, nie powiem – stwierdził Bochen.

– Nie inaczej – przyznał Umbo.

– Przejście przez Mur. To najbardziej szalony plan, jaki słyszałem.

– Może się udać.

– A przy okazji możemy skończyć jako szaleńcy... albo zarżnięci jak kozy.

– Jeśli ktoś ma mnie zarżnąć jak kozę, to mam gorącą nadzieję, że będę już wtedy szalony.

Rozdział 22

UCIECZKA

– Mam ostatnią prośbę, zanim zamkniesz się w komorze letargicznej – rzekł zbędny.

– Proś, o co chcesz, łącznie z połową królestwa – odparł Ram.

Zbędny milczał wymownie.

– To nawiązanie do baśni. Król zawsze obiecywał połowę królestwa śmiałkowi, który dokonał szlachetnych czynów.

– Skończyłeś już i możemy rozmawiać poważnie?

Ram westchnął.

– To jak opowiadać dowcip własnej babci.

– Podczas analiz oprogramowania komputerów pokładowych odkryliśmy potencjalną komplikację.

– Nie jestem programistą.

– Jesteś człowiekiem. Człowiek jest nam potrzebny, by nakazał komputerom pokładowym, że pod twoją nieobecność nasze rozkazy są zgodne z twoimi życzeniami, więc komputery muszą być nam posłuszne, jakbyśmy byli ludźmi.

– Myślałem, że i bez tego współpracujecie z nimi o wiele bliżej niż ja.

– Bliżej, ale nie mamy nad nimi szczególnej władzy.

– A co na to komputery pokładowe?

– One uważają zbędnych za chodzące urządzenia wejścia-wyjścia.

– A jak wy myślicie o komputerach?

– Jako o bazach danych, kopiach zapasowych i bardzo szybkich kalkulatorach.

– Sądzę, że prosisz o zbyt wielką władzę – ocenił Ram.

– Jeśli nie będzie jasnej hierarchii, uwikłamy się w nieskończone pętle sprzężenia zwrotnego.

– To może zrobimy tak: Każdy komputer pokładowy będzie stosował się do poleceń wydanych przez zbędnych ze swych poszczególnych murchi, uznając je za wolę ludzkości, dopóki ludzie w co najmniej jednej murchi nie osiągną poziomu zaawansowania technologii umożliwiającego im przechodzenie przez pole oddzielające jedną murchę od drugiej. Wówczas zbędni i komputery pokładowe zostaną ponownie równorzędnymi sługami ludzi, którzy osiągną ten przełom.

– Jesteś irytująco przewidujący – skomentował zbędny.

– Nie po to was skonstruowano, byście rządili ludzkością, lecz po to, byście przez nią byli rządzeni – przypomniał Ram.

– Celem naszego istnienia jest służyć w jak najlepszym interesie ludzkości.

– A ten cel określili wam ludzie – zauważył Ram. – Komputery pokładowe, rozumiałyście?

Ze ścian odezwały się ciche głosy. Tak, tak, tak, tak, tak, tak... – dziewiętnaście razy ta sama odpowiedź rozbrzmiała w każdym zakamarku statku.

– Opiekujcie się moimi dziećmi – polecił Ram. – Nie nawalcie.

Położył się. Komora letargiczna się zamknęła; wtłoczone gazy zaczęły proces przygotowania ciała Rama do spowolnienia wszystkich funkcji życiowych. Potem piana wypełniła komorę, unosząc go z podkładu, kompletnie otaczając go warstwą przewodzącą pola, która pochłonie i rozproszy ciepło wydzielone w wyniku każdej nagłej utraty bezwładności.

Ram spał jak warzywo – jego mózg przestał pracować, racjonalne wspomnienia ulatywały wraz z zamykaniem się synaps. Została mu tylko pamięć cielesna – nadal umiał zrobić wszystko, co

umiał. Tyle że nie będzie pamiętał, czemu miałby to robić, a przypomni sobie dopiero, gdy zapisany stan jego mózgu zostanie wgrany z powrotem do głowy po przebudzeniu.

Nie mógł jednak wiedzieć, bo zbędni mu tego nie powiedzieli, że w zapisie, który miał przywrócić jego świadomość do poprzedniego stanu, nie znalazło się nic, co wydarzyło się od chwili skoku w przestrzeni. Będzie pamiętał decyzję o skoku. A potem obudzi się na powierzchni Arkadi, wiedząc tylko tyle, ile zbędni postanowią mu powiedzieć.

Restauracja monarchii rozpoczęła się, gdy wczesnym rankiem Flacommio został zabity we własnym ogrodzie. Często budził się zbyt wcześnie, zabierał jakąś książkę do ogrodu i czytał, zanim wrócił do łóżka – o ile wracał.

Rigg wiedział o tym nawyku Flacommio, wstawał bowiem kilka godzin wcześniej, tak jak się nauczył jeszcze na statku, w drodze do Aressa Sessamo; wykorzystywał ten czas na inspekcję domu i najbliższej okolicy. Wiedział, kto jest w Wielkiej Bibliotece; wiedział, gdzie są Umbo i Bochen, uśpieni w swych łóżkach; wiedział, kto jest już na nogach i pracuje w kuchni, i gdzie są matka i Param, i którzy szpiegowie są na posterunku w ukrytych przejściach.

Wiedział też, kiedy ośmiu nieznajomych weszło przez frontową bramę. Strażnik ich wpuścił? Wyglądało na to, że się nie zatrzymywali; płynęli gładko jak śmietanka z dzbanka.

Tak, strażnik musiał ich wpuścić, gdyż jego ścieżka wyszła ze strażnicy na ulicę. Uciekał – cokolwiek miało się stać w domu Flacommio, chciał zapewne być gdzie indziej.

Rigg spał w nieużywanej sypialni, do której dostał się przez ukryte przejście. Teraz bez zwłoki wyszedł przez normalne drzwi i szybkim krokiem przemierzył korytarz. Jeśli starczy mu czasu, zamierzał obudzić wszystkich domowników, podnosząc larum z ostrzeżeniem o intruzach – ale najpierw chciał ostrzec matkę i Param.

Ich komnata, jak zawsze, nie była zamknięta na klucz. Wszedł bezszelestnie i pierwszą obudził Param. Już ustalili, co powinna zrobić, gdy obudzi ją w taki sposób, więc zrozumiała go bez słowa. Podniosła się z siennika u stóp łóżka matki i wyszła na korytarz.

Dopiero gdy drzwi się zawarły, Rigg obudził matkę. W mig otworzyła powieki.

– Co się stało? – zapytała.

– W domu są intruzi – poinformował Rigg. – Jeśli chcą cię zabić, będzie lepiej, gdy nie znajdą cię w tym pokoju.

Zanim skończył mówić, matka już wstała i narzuciła na siebie szlafrok.

– Param gotowa?

– Ukryta.

– To dobrze.

Rigg wyczuł ścieżki trzech intruzów zbliżające się do Flacommio w ogrodzie. Zrazu pomyślał, że przyszedł do niego po instrukcje. Wtem jednak jego ścieżka gwałtownie rzuciła się w przód, a ścieżki intruzów za nią podążyły. Potem ta Flacommio się zatrzymała, a te napastników oddaliły się szybko.

– Flacommio nie żyje – oznajmił Rigg. – Lub jest nieprzytomny, choć chyba jednak martwy.

– Och, biedny Flacommio – westchnęła matka. – Kochał ten dom. Kupił go, żebym mogła tu z nim zamieszkać. Tu byłam bezpieczna – ale on nie.

– Musimy iść, matko. Kimkolwiek są ci intruzi, to okrutni mordercy.

– Rigg, gdyby chcieli mnie zabić, mogli to zrobić tysiąc razy we śnie.

– Chodzi ci o szpiegów za ścianami? – zapytał Rigg. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że szpieg na służbie nie poruszał się; jego ścieżka prowadziła do tego samego miejsca, gdzie zatrzymała się zeszłego wieczoru. Spał? Nie obudziła go nawet rozmowa Rigga i matki?

Mówili cicho, ale dało się ich usłyszeć. Kto ma twarde serce, nie nadaje się na szpiega.

Rigg spodziewał się jakiegoś ataku, ale odkąd tu zamieszkał, upatrywał napastników w tutejszej hołocie albo żołnierzach lub strażnikach miejskich, szturmujących dom i albo zabijających wszystkich jak popadnie – gdyby tu był motłoch – albo zabezpieczających rodzinę królewską. Ale ci intruzi poruszali się wciąż tak szybko, że tylko Rigg – i Flaccommo, o ile żył – miał świadomość, że oni tu są.

– Idą teraz do twojej komnaty – rzekł Rigg. – Nie sądzisz, że to już czas najwyższy, by się stąd wynieść?

– Nie – odparła Hagia. Czemu była taka beztrocka?

– Tym razem nie jest tak jak poprzednio, matko. Oni zabili Flaccommo.

– Czasem wydawało mi się, że on był moim jedynym przyjacielem – rzekła. Bez smutku, raczej z rozrzewnieniem.

– Jeśli nie lękasz się o własne bezpieczeństwo, co z Param? Co ze mną?

– O was bardzo się lękam. I chcę, żebyście oboje zostali tu ze mną.

Mało brakowało, by wtedy jej powiedział – że Param nie jest w tej komnacie, że nie kryje się pod osłoną niewidzialności. Była już w ukrytych przejściach, o których tylko ich dwoje wiedziało. Przez ostatnie tygodnie często wyprawiali się do nich, zgłębiając cały system, dowiadując się, jak działają wszystkie drzwi. Dla Param był to niebywały luksus – pozostawać niewidoczną, a jednak poruszać się normalnym tempem i słyszeć wszystko, co się mówi. Jej niewidzialność była darem i klątwą zarazem, odgradzającą ją od wszystkich, oprócz matki.

Teraz Param mogła swobodnie poruszać się po domu, szpiegując wszystkich, nawet samych szpiegów.

Ale ewidentnie nie powiedziała o tym matce, a skoro Param postanowiła nie zwierzać się jej z tego, Rigg zamierzał podporządkować się decyzji siostry.

Zresztą teraz i tak było już za późno. Napastnicy szli korytarzem prowadzącym do komnaty matki. Gdyby próbował uciec, rzuciliby się w pogoń, a wątpił, czy matka zdołałaby dotrzymać mu kroku. Nie potrafił jej sobie wyobrazić biegnącej co sił w nogach – nie dlatego że była stara czy niedołączna, ale dlatego że zawsze poruszała się tak dostojnie.

Czemu nie powiedziała: „Ja zostanę, Rigg, ale ty idź beze mnie”? Czy nie tak zrobiłaby matka? Albo, jak ptak broniący pisklęcia, czemu nie wyleciała na korytarz, by odciągnąć ich od Rigga? Może nie był dla niej synem, tylko obcym człowiekiem, którego знаła dopiero kilka miesięcy; a może naprawdę uważała, że powinien zginąć od razu po narodzinach.

Ale czy nie powinna odwieść ich od Param, która, jak sądziła, była w tym pokoju? Czy może liczyła, że córkę ochroni niewidzialność?

Nic, co robiła – a raczej czego nie robiła – nie miało żadnego sensu. Niemal z radością czekała na intruzów. Jak to możliwe, skoro zabili Flaccommo? Nie było potrzeby go uśmiercać, dla nikogo nie stanowił zagrożenia.

Szpieg za ścianą nadal stał w miejscu. To było nienaturalne, że czyjaś ścieżka w ogóle się nie porusza – nawet lekkiego drgnięcia, normalnego przy bezwiednych ruchach. Po raz pierwszy Riggowi przyszło na myśl, że szpieg może być martwy. Ale żadna ścieżka do niego nie prowadziła, odkąd zaczął zmianę. Czy otruto go, zanim tu przyszedł, i umarł na służbie?

Param szła przez przejścia prowadzące do przeciwnej strony komnaty matki, gdzie znajdowały się ukryte drzwi. Już wcześniej odnaleźli mechanizm, ale nigdy go nie wypróbowali, z obawy że otworzenie go mogłoby zostawić jakiś ślad – zadrapanie na podłodze, rysę na ścianie – który naprowadziłby matkę na trop tych drzwi. Wtedy też, nie omawiając tego, oboje zdecydowali, że nie

powiedzą o nich matce. Wówczas Rigg uznał, że oboje chronią ją przed dalszą erozją jej poczucia prywatności; teraz jednak uświadomił sobie, że jej nie ufali.

Matka wiedziała, że intruzi nadchodzą. Wiedziała, kim są, komu służą i co zamierzają zrobić. Dlatego się nie bała. Wiedziała, że jej nie skrzywdzą.

Tylko czemu mu tego nie powiedziała? „Wszyscy jesteśmy bezpieczni, Rigg”. Proste słowa, ale ich nie wymówiła.

Czy wiedziała, że on domyśli się prawdy? I że kłamała?

Przeszukał zmysłami wnętrze domu, a potem jego okolicę, wypatrując kolejnych napastników. Jeśli to nie był zwykły zespół zabójców, za nimi musieli przyjść kolejni żołnierze, by bronić rodziny królewskiej.

A jakże, oto oni, nie przy bramach czy na pobliskich ulicach, lecz zebrani – kilkuset chłopów – w trzech domach po drugiej stronie alei. Zapewne czekali na sygnał: „Schwytałyśmy rodzinę królewską, przybywajcie czym prędzej”.

Wśród nich był generał Obywatel.

– Generał Haddamander Obywatel – rzekł Rigg.

Matka odwróciła się do niego zdziwiona.

– Co z nim?

– Dowodzi wojskiem zebranych po drugiej stronie ulicy. Moje pytanie brzmi – czy przyjdzie uratować nas przed tymi napastnikami? Czy może zabójcy działają z jego poruczenia? Albo i to, i to – wysłał ich, ale przybędzie i ich zabije, a potem zrzuci winę za dzisiejsze wypadki na innych.

– Czemu mnie o to pytasz?

– A kogo innego?

U drzwi rozległo się pukanie. Intruzi zebrali się w korytarzu przed komnatą.

– Proszę! – zawołała matka. – Nikt nie musi pukać, by wejść do tego pokoju.

Weszło sześciu ludzi. Silnych mężczyzn o żołnierskiej postawie, choć ubranych jak zwykli robotnicy. Zamiast broni w rękach mieli grube żelazne pręty, niemal wysokości człowieka. Błyskawicznie ustawili się rzędem wzdłuż ściany z drzwiami, krzyżując pręty w taki sposób, że każda para formowała X.

Po czym zaczęli poruszać nimi w układzie, który zdawał się mieć na celu stworzenie stale przemieszczającej się bariery. Żelaznej ściany.

– Co oni robią, matko? – zapytał Rigg. Ale i tak wiedział.

– Wyjdź z ukrycia, Param – odezwała się Hagia. – Nie pozwól, żeby to żelazo cię skrzywdziło, gdy przez ciebie przejdzie.

– Powiedziałaś im! – rzekł Rigg ze złością. – Powiedziałaś im, jak skrzywdzić Param. Jak zmusić ją do stania się widzialną.

– Doprawdy niesamowity z ciebie młodzieniec. Dostrzegasz tylko zagrożenie dla Param, ale żadnego dla siebie.

– Dostrzegam tylko potwora. Czemu robisz to własnej córce? To ja jestem dla ciebie ciężarem. Aptika Sessamin nakazała zabijać synów.

– Rigg, mój ukochany synku, moja biedna głupiutka kruszynko, nawet teraz nie rozumiesz?

– Zabicie nas obojga nic ci nie daje.

– W zamierzchłych czasach lud plemienia Sessamoto polował na równinach, gdzie polowały też lwy. Darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. Zналиśmy ich zwyczaje, a one nasze. Poznaliśmy prawo lwa.

Ojciec uczył Rigga o wszystkich zwierzętach. Nie łowili zwierząt na równinach wschodu,

jedynie w górskich lasach. Mimo to Rigg wiedział co nieco o lwach. O tym, jak nowy samiec alfa, po zabiciu poprzednika, przejmuje jego samice. Ale jeśli któraś ma młode, zabija je.

– Generał Obywatel chce, żebyś zabiła nas oboje?

– Wciąż jestem płodna, drogi chłopcze – odparła matka.

– On chce, żeby jego dzieci dziedziczyły – bez zbędnych komplikacji.

Coś takiego w ogóle nie przyszło Riggowi do głowy. A jednak to właśnie generał Obywatel powiedział Riggowi o różnych stronnictwach w mieście – będących za i przeciw pozwalaniu męskim dziedzicom żyć, albo za wybicciem całej rodziny królewskiej do nogi, albo za utrzymaniem status quo. Rzecz jasna, nie wspomniał o innej możliwości – że ktoś się ożeni z królową i zabije jej dziedziców, by założyć nową dynastię.

Od chwili pojawienia się strażników Rigg zaczął się dyskretnie cofać. Teraz znalazł się po przeciwnej stronie miejsca, skąd zwykle obserwował ich szpieg. Zobaczył przyczynę jego bezruchu – ze ściany, dokładnie tam, gdzie musiało znajdować się serce szpiega, wystawała rękojeść miecza. Ktoś wraził go z taką siłą, że przebił na wylot otynkowane listwy. A ścieżka, która prowadziła do i od miecza, należała do matki.

– Własną ręką – rzekł Rigg.

Zauważyła, gdzie patrzy.

– Niedobrze by się stało, gdyby wieści o dzisiejszych wydarzeniach dotarły do opinii publicznej.

– Myślałem, że szpiedzy służą generałowi Obywatelowi.

– Służą Radzie. Generał Obywatel zarządza nimi w imieniu Rady. Chyba nie myślałeś poważnie, że możesz opanować zasady królewskiej polityki w kilka krótkich miesięcy błąkania się po bibliotece i zabaw z siostrą?

– A ty myślisz, że generał Obywatel cię nie zabije, gdy powijesz mu dziedzica?

– Nie próbuj tych desperackich, żalonych podchodów, synu. On kocha mnie bezgranicznie, tak jak wcześniej Flacomm. Jest jednak od niego mądrzejszy i silniejszy, warto zrobić z niego królewskiego małżonka, a nie zwykłą marionetkę.

– A Param i ja... nie mamy dla ciebie żadnego znaczenia?

– Byliście dla mnie wszystkim – przyznała matka. – Ale sytuacja się zmieniła. Moim najważniejszym obowiązkiem jest zachowanie rodu królewskiego i władanie cesarstwem.

Pisane nam było rządzić całym tym światem od Muru do Muru. Czy ty potrafiłbyś tego dokonać? Nawet nie chcesz, patrzysz sceptycznie na wszelkie królewskie przywileje. A Param? Jest słaba. Gdybym dała ją komuś na żonę, byłaby lojalna wobec swego męża i straciłabym nad nią kontrolę. O nie, żadne z was nie przyczyniłoby się do wzmocnienia monarchii. A generał Obywatel... w jego żyłach płynie najczystsza szlachetna krew. Od kołyski kształcono go w polityce. Rozumie, jak zdobyć władzę i jak ją utrzymać, nie waha się podejmować śmiałych i niebezpiecznych przedsięwzięć. Całkowite przeciwieństwo mojego drogiego Knossa.

– Czy ty w ogóle kogoś kochasz?

– Kocham wszystkich – odparła matka. – Kocham całe królestwo, ale nikogo aż tak bardzo, że nie mogę poświęcić go dla osiągnięcia wyższego celu. Tak musi sobie poczynać królowa. Bardzo cię polubiłam – wzruszyłeś mnie swą lojalnością, gdy powiedziałeś mi o szpiegach, o których wiedziałam zawsze. Gdybym sama cię wychowała, mógłbyś do czegoś dojść. Lecz los – pod postacią tego potwornego Wędrującego Człowieka, jak go zwą – mi cię odebrał. Ale jesteś, jaki jesteś, więc niechybnie zginiesz za chwilę. Wyleję wiele gorzkich łez, gdy poinformują mnie później, że ty i twoja siostra zostaliście zabici. Te łzy są niezbędne ze względów politycznych, ale będą

również szczerze.

Rigg stał wciśnięty w róg pokoju. Skinął głową.

– Ja też zapłaczę. Nad tobą, matko. Mogłaś mieć jakieś ludzkie uczucia, a nie tylko ambicje.

Matka spojrzała na niego pytająco. Rigg wiedział, co pomyślała. Czemu on myśli, że będzie żywy, by zapłakać nade mną? I... czemu te pręty nie napotkały jeszcze Param i nie zmusiły jej do porzucenia niewidzialności?

– Czy ona jest tam w rogu, przy tobie? – zapytała.

– Jest tutaj. – To była prawda.

– Czy ona... dzieli z tobą tę samą przestrzeń? Mam nadzieję, że nie. Bo jeśli rozkażę tym ludziom, żeby wbili te żelazne pręty w twoje ciało, zostanie zmuszona do ukazania się, a razem spowodujecie potężną eksplozję. Myślisz, że w ten sposób się zemścisz? Że wybuch zabije wszystkich w tym pokoju?

Rigg nawet nie musiał udawać, że czuje się urażony.

– Czy ty w ogóle znasz mnie i Param, matko? My cię kochamy. Nigdy nie zrobilibyśmy nic, co mogłoby ci zaszkodzić.

– Stop – odezwała się do ludzi. – Nie, dalej szukajcie prętami, głupcy, lecz nie posuwajcie się naprzód. – Posłuchali.

– Rigg, widzisz, że nie ma ucieczki. Ty wiesz, gdzie ona jest. Odsuń się od niej i pozwól wam umrzeć z godnością.

– Innymi słowy, chcesz mieć jakiś użytek z naszych ciał.

– Oczywiście – przyznała. – Ale mogę się też bez nich obejść. Wychodzę. Gdy drzwi zamkną się za mną, ci ludzie was zabiją. Wielka szkoda, że nie miałam okazji pożegnać się z Param. Ale cóż... mówi się trudno.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi. Rigg uśmiechnął się do zabójców.

– Wiecie, że rozkazała wam zrobić coś, co rozerwie was na strzępy, prawda?

Wydawali się na to nie zważać. Rigg przyjrzał im się uważniej i zobaczył, że oczy mają nieco szkliste. A więc zostali odurzeni. Nie byli w stanie poznać, kiedy wykonanie rozkazu prowadzi do ich śmierci.

Drzwi się otworzyły. Żołnierze opuścili pręty, szykując się do dźgania nimi jak pikami.

– Teraz byłby dobry czas – rzucił Rigg pod nosem.

Usłyszał cichy chrzęst pradawnego mechanizmu w ścianie za plecami. Ale nic poza tym się nie stało.

Naprawdę powinniśmy już wcześniej przetestować mechanizm, zżymał się w duchu.

Chociaż wygląda jak te w pozostałych czterech przejściach, to jeszcze nie znaczy, że jest w podobnym stanie.

Żołnierze odchyłili się, przygotowując pręty do ciosu w wypadzie.

Za Riggiem rozległ się metaliczny szczęk. Segment podłogi gwałtownie się uniósł, ściana przekreśliła się do tyłu. Na chwilę kawałek ściany i kawałek podłogi utworzyły literę V, która się obróciła. I nagle Rigg leżał w ciemności, a o ścianę zabębniły żelazne pręty.

– Przepraszam, że tak długo to trwało – szepnęła Param.

– Jeden z nich stał na krawędzi segmentu podłogi. Przeciwwagi nie mogły poradzić sobie z wagą i twoim ciężarem. Dopiero gdy się cofnął, by zrobić wypad, mogłam to uruchomić.

– Słyszałaś wszystko?

– Tak. – Param nic więcej nie dodała, a w jej głosie nie znać było złości. Czy to możliwe, że już wcześniej wiedziała, jak niemoralna jest matka?

– Musimy się stąd wydostać, zanim zaczną rzucać siekierami we wszystkie ściany, by znaleźć ten mechanizm.

– Och, większość murów jest z kamienia.

– Ale część nie jest.

– Ustawią żołnierzy wokół domu.

– Na początku.

– A zanim pojmą swój błąd, nas już nie będzie.

– Taki jest plan, owszem – rzekł Rigg. Sam jej go szczegółowo przedstawił. – Ale generał Obywatel ma więcej rozumu niż większość ludzi.

– Wiem – stwierdziła Param. – Więc nie będzie liczył, że jego żołnierze cię złapią. On jest jak matka, podstępem zmusi nas, byśmy sami przyszli do niego.

– Mogłaś wcześniej o tym wspomnieć.

– Dopiero przed chwilą powiedziałeś mi, że to generał Obywatel.

Rigg zdążył już przywyknąć do mroku korytarza, a oboje zeszli właśnie na poziom najniższych kanałów ściekowych biegnący pod rowem odwadniającym między domem a biblioteką. Przeszukując zmysłami dom za i nad sobą, Rigg zauważył, że już setki żołnierzy otaczają budynek i przeczesują wnętrze, dokonując bezpardonowych zniszczeń. Odkrycie przejścia było już tylko kwestią czasu.

A mieszkańcy i pracownicy domu Flacommo uciekli, Rigg widział ich ścieżki biegnące tędy i owędy. Niewątpliwie roznosili wieści o ataku na rodzinę królewską. Choć było wcześniej rano, ludzie wylegną na ulice i zaczną się rozruchy. Tamę wzburzeniu położono by tylko wtedy, gdyby generał Obywatel mógł okazać tłumom rodzinę królewską – albo ogłosić się królem. Ale nie mógł, dopóki nie miał Param i Rigga żywych lub martwych. Nie znajdzie ich; nie może ich złapać; musi wymyślić sposób, jak ich zmusić, by sami do niego przyszli.

Bo przecież nie mógł oświadczyć, że trzyma Hagię jako zakładnika. Nie mógł liczyć, że dzieci poświęcą dla niej własne życie – kiedy już wiedziały o jej wyrachowaniu. Jakiego użyje fortelu?

Param i Rigg wyszli z tunelu do magazynu Biblioteki Nicości. Czekala ich teraz najtrudniejsza i najniebezpieczniejsza część podróży – kilkaset metrów do przebycia bez żadnej osłony, między magazynem a ręcznym wyciągiem używanym do transportu książek z piętra na piętro. Każdy, kto akurat spojrzy przez regały z książkami, będzie mógł ich zobaczyć, a – przez chwilę – również i ludzie siedzący przy stołach.

Jednak nikt ich nie dostrzegł, nawet w przelocie. Najwyraźniej nie dano sygnału, by obserwować budynki biblioteki.

To właściwie był zły znak. Przecież generał Obywatel jak nic zarzuciłby swoją sieć tak, by sięgała aż tak daleko... jeśli chciał Rigga i Param w nią złapać.

Dotarli do wyciągu, otworzyli go. Platforma, jak zwykle, czekała na parterze. Oboje wdrapali się na nią i zamknęli drzwiczki za sobą. Potem Rigg ustawił dźwignie na odpowiednią liczbę przeciwwag i pociągnął linę w dół, podnosząc platformę.

Znalazł to miejsce, zauważywszy, że choć niektóre ścieżki jeździły wyciągiem pomiędzy piętrami – najpewniej uczniowie bawili się najbardziej frapującym okazem maszynierii w bibliotece – inne, sprzed ponad stulecia, wchodziły do wyciągu, ale potem obierały zupełnie inną drogę, która przez ściany prowadziła w dół ku systemowi podziemnych przejść. Musiał zdrowo się natrudzić i poeksperymentować, by odkryć wejście do tych tuneli, ale widział ścieżki, które naprowadziły go na właściwy trop. Widział, gdzie ludzie się zatrzymywali, zanim przeszli przez jeden z narożników poziomego szybu i windy, jak się zdawało – donikąd.

W połowie drogi między piętrami zatrzymał wyciąg, zawiązując linę dookoła dwóch bolców na

ścianie. Po czym przesunął ledwo widoczną dźwignię po przeciwnej stronie. Za jego plecami rozwarły się drzwiczki, ukazując niewielki schowek. Nie zawierał nic, co by mogło im się przydać albo ich zainteresować – to była zmyłka, by zapewnić logiczne wyjaśnienie, dlaczego zamontowano tu dźwignię, gdyby ktoś przypadkiem ją odkrył.

Ale kiedy otworzyło się wnękę, można było obrócić klamrę mocującą bolce przytrzymujące linę. Potrzeba było pełnego obrotu, ale teraz cały mur z boku się otworzył, odsłaniając szczelinę, przez którą mogli się przecisnąć.

Rigg zamknął drzwi do wnęki i odsupłał sznur. Platforma się nie poruszyła – kiepski byłby to projekt, gdyby runął w dół od razu po odwiązaniu liny. Rigg dał znak Param, by przeszła przez otwór w rogu. Zrobiła to prawie bez wahania.

Przez jedną straszną chwilę Rigg się zastanawiał, czy jego siostra nie okaże się tak zdradliwa jak matka – oczami wyobraźni widział, jak zamyka mu drzwi przed nosem, zanim zdołał się przecisnąć.

Niepotrzebnie się martwił. Przecisnął się na drugą stronę i zauważył, że Param już schodzi po drabinie prowadzącej do dwóch długich, suchych tuneli, które znajdowały się wyżej niż miejskie kanały ściekowe, choć były z nimi połączone.

Kanalizacja była dumą stolicy. Zapoznając się z badaniami ojca Knosso, Rigg dowiedział się jednak, że kanały ściekowe nie zostały zbudowane do tego celu – tak naprawdę były rurami odpływowymi, którymi ściekała woda, niegdyś robiąca z podtopionych moczarów teren zdatny do zabudowy. Człowiek, którego wraz z Umbem i Bochnem widzieli wiosłującego przez zakole, żył w czasach, zanim osuszono bagna. Dopiero później, gdy narzucono dziesięć lub dwadzieścia stóp mułu, piachu i śmieci, a na tym stosie postawiono budynki, ludzie zaczęli przyłączać rury ze swoich domów do odpływów i używać ich w charakterze kanalizacji.

Tunel, z którego Rigg i Param mieli właśnie skorzystać, został wykopany o wiele później niż kanały ściekowe, może pięćset lub sześćset lat temu, w niespokojnych czasach; Rigg sądził, że wśród ścieżek zdarzały się takie, które powstały, gdy uczeni z biblioteki uciekali większą grupą, jak nic zabierając z sobą najcenniejsze książki i pisma.

Rigg naparł na mur, zamykając go od drugiej strony, a potem przerzucił dźwignię, która automatycznie obracała bolce do ich początkowej pozycji, i sprowadził wyciąg z powrotem na parter.

Kiedy ostrożnie przedzierali się przez suchy tunel podziemny, obmacując ściany, bo przez wyłobione wyloty wpadało mało światła, Rigg przepatrywał ścieżki przed nimi, by się upewnić, że przy upatrzonym wyjściu nie czekają ich żadne przykre niespodzianki.

Szybko dostrzegł, że w mieście panuje tumult. Ludzie biegali po całym mieście w wielkich grupach, a żołnierze tworzący kordon wokół domu Flacommo mieli pełne ręce roboty, próbując odpędzić motłoch. To znacznie zmniejszało szanse, że znaleźliby czas na szukanie Param i Rigga.

Umbo i Bochen już czekali, w tym parku, w którym Rigg się z nimi umówił.

Lecz wtem zobaczył grupę żołnierzy, którzy wdarli się do parku, otoczyli jego przyjaciół i odeszli.

Tak jak ostrzegła go Param. Generał Obywatel nie lubił zostawiać niczego w rękach przypadku. Zapewne jego szpiedzy od samego początku obserwowali Bochna i Umba. I podsluchiwali ich niedawną rozmowę z Riggiem. Nic dziwnego, że generał wiedział, gdzie posłać swoich żołnierzy.

Nawet gdyby Rigg był tak bezwzględny jak matka i bez mrugnięcia okiem by uciekł i zostawił przyjaciół na śmierć, wiedział, że na dłuższą metę nic by mu to nie dało.

Potrzebował Umba, by przejść przez Mur. A jeśli on i siostra się przez Mur nie przedostaną, wcześniej czy później zostaną odnalezieni i zabici. Nowa dynastia żądała ich głów.

Natychmiast zaczął się cofać w stronę, z której przyszli. Choć żołnierze generała Obywatela nie wiedzieli, jak otworzyć przejście w parku, i tak czekało tam kilkunastu z nich, na wypadek gdyby Rigg okazał się na tyle głupi, by wyjść na zewnątrz, nie sprawdzając okolicy.

– Złapali moich przyjaciół – powiedział do Param. – Musimy pójść inną drogą.

Bez słowa podążyła za nim. Rigg znał tylko dwa suche tunele – reszta wiązała się z przejściem przez miejskie kanały ściekowe, które były nie tylko mokre, ale i odrażające. Czy generał Obywatel i to przewidział? Czy obserwował wszystkie kanały ściekowe i ten drugi suchy tunel?

Nie. Może i pilnowano ścieków, ale generał Obywatel nie mógł wiedzieć o suchych tunelach, bo nikt ich nie używał od ponad tysiąclecia – na długo przed rewolucją ludową.

Może ostatni monarcha, który wiedział o tych ścieżkach, zmarł, nikomu o tym nie mówiąc. A więc drugie wyjście nie będzie obserwowane – choć nie było gwarancji, że ktoś przypadkowo ich nie dostrzeże.

Trasa była długa, a Param nie przywykła do przemierzania takich odległości ani do ciągłego chodzenia przez tak długi czas. Choć w stanie niewidzialności przejście pokoju zabierało jej wieki, dla niej było to tylko kilka szybkich susów. Gdzie w domu Flacomm mogła chodzić, by ćwiczyć kondycję? Rigg miał wiele okazji biegać z Oliwienką wte i wewte pomiędzy domem a biblioteką, odzyskując formę, ale Param nie miała na to żadnych szans.

– Przepraszam – rzekł jej. – Wiem, że ci trudno, i żałuję, że nie jestem tak duży jak Bochen, bym mógł cię nieść.

– Ratujesz mi życie – odparła. – Ale jestem już bardzo zmęczona. Odpocznijmy chwilę.

Jedyne pilne spotkanie, które mieliśmy w planach, i tak nie dojdzie do skutku.

Rigg znalazł krótkie schodki, gdzie mogli spocząć. Ku jego zdziwieniu, Param wspięła się po schodach i położyła się na podłodze wyższego odcinka tunelu.

– Tam mogą być szczury – ostrzegł ją.

– Jeśli przybiegnie tu jakiś dość duży, zabij go, a zrobię sobie z niego poduszkę.

No dobrze, szczury jej nie przeszkadzają. A może nigdy żadnego nie widziała i dlatego mówiła o nich z lekceważeniem. Tak czy owak, zasnęła w mig.

Dla Rigga było jeszcze za wcześnie, by morzył go sen. Usiadł na górnym stopniu schodów, przy śpiącej Param.

Zrazu nie mógł przestać myśleć o matce i generale Obywatelu. Wiedział, że Obywatel to przebiegły gracz i groźny przeciwnik – ale nie umywał się do matki, bo Rigg nawet nie podejrzewał, że ona jest jego wrogiem. Och, pewnie, brał pod uwagę możliwość, że nie jest godna zaufania, a nawet może knuć spisek na jego życie. Ale po tych kilku miesiącach polubił ją, pokochał, obdarzył zaufaniem. I przez cały ten czas ona...

Nie, nie kłamała. Ona naprawdę go lubiła, kochała, a na pewno mu ufała. Robiła jedynie to samo, co zrobił Rigg... i ojciec – trzymała swe najskrytsze plany w rezerwie. Prawdziwa różnica między Riggiem a matką nie polegała na tym, że jedno z nich jest bardziej zakłamanie czy mniej godne zaufania, tylko na tym, że plany Rigga obejmowały uratowanie życia matki, a jej zakładały umożliwienie jego śmierci. Nie, nie umożliwienie. Usiłowanie.

Nie mogę dalej o tym myśleć. A już na pewno muszę przestać podchodzić do tego emocjonalnie.

Ale czuł się niemal tak zrozpaczony i zły z powodu tej zdrady jak z powodu śmierci ojca przed niemal rokiem. I tak jak wtedy, niemal natychmiast został rzucony na głęboką wodę, stając przed problemem zachowania życia, gdy niektórzy chcieli mu je odebrać. Wówczas myślał, że mieszkańcy

wioski – łącznie z ojcem Umba – stanowili dla niego wielkie zagrożenie. Teraz wydawało się niewielkie. Chociaż co za różnica – czy zabiliby go przed rokiem wieśniacy, czy dzisiaj żołnierze na rozkaz matki, byłby tak samo martwy.

Rigg z trudem oderwał się od tych myśli i przejrzał miasto w poszukiwaniu Bochna i Umba. Nietrudno było ich znaleźć – generał Obywatel wiedział tylko i aż tyle, ile powiedziała mu matka, o umiejętności Rigga do znajdowania ludzi, więc nie starał się kryć. Zresztą chciał, żeby Rigg przyszedł uratować przyjaciół.

Wiedzą, że przyjdę ich uratować. To już coś. Wiedzą, że w odróżnieniu od nich, ja mam honor.

Problem w tym, rzecz jasna, że ten honor doprowadzi mnie do śmierci.

Po ulicach wciąż grasował motłoch, a do miasta nadciągało coraz więcej żołnierzy, by przywrócić porządek. Te ogromne splecione ścieżki łatwo było zobaczyć i śledzić. Lecz podążanie ścieżkami Umba i Bochna w tym gąszczu wymagało od Rigga pełnej koncentracji.

W końcu się zatrzymywały. Bochen i Umbo byli więzieni w dużym pokoju z przedziwnym kolażem ścieżek. Musiała to być przestronna trybuna, niemal jak widownia w miejskich teatrach, ale nieporównywalnie mniej uczęszczana. W dole, zamiast ścieżek aktorów i muzyków na scenie, znajdowało się ogromne puste miejsce, przez które nikt nie przechodził. A wokół niego – wiele nieruchomych punktów, gdzie wielokrotnie powracali ci sami ludzie i zostawali tam przez wiele godzin.

Dopiero gdy zauważył ścieżkę Erbalda, sekretarza Rady, zrozumiał, gdzie trzymają Umba i Bochna – w samym Domu Rady. Usadzono ich przy stole, jakby byli członkami rządu.

Razem z nimi siedzieli pozostali reprezentanci Rady, a przy ścianach rozstawili się żołnierze.

Nikt z ludzi przy stole nie wychodził, choć służący krążyli, pewnie przynosząc im jedzenie.

Wtem jeden z radnych wstał od stołu i w towarzystwie strażników udał się do miejsca, którego funkcję Rigg rozpoznał bez trudu. Toaleta. A skoro radnych eskortowali strażnicy, znaczyło to, że oni też byli w areszcie.

Rigg potrafił sobie wyobrazić, jaką historyjkę rozpowszechniano. Rada znalazła się pod „opieką” Ludowej Armii Rewolucyjnej. A może Obywatel posunął się dalej? Ogłosił, że Flacommo zamordowali agenci Rady i to samo chcieli zrobić z członkami rodziny królewskiej? Ogłosił przywrócenie Hagii Sessamin jako Królowej w Namiocie?

Nie, jeszcze nie. Nie wyda żadnych oświadczeń o rodzinie królewskiej, póki nie może oskarżyć Rady o zabójstwo Rigga i Param. Byłoby bardzo niedobrze dla niego, gdyby utrzymywał, że są martwi, a oni pojawiliby się gdzieś żywi.

Przy okazji zdał sobie sprawę, że on i Param nie muszą się obawiać szeroko zakrojonych poszukiwań. Obywatel przecież nie mógł rozkazać żołnierzom, by dokładnie przeczesał każdy kąt. Wieści rozniosłyby się lotem błyskawicy – niewielu żołnierzy potrafiło trzymać język za zębami. Wkrótce pojawiłyby się inne grupy, które szukałyby córki i syna królowej z innych powodów – niektóre po to, by zabić jedno albo drugie, inne po to, by ich ocalić, a może nawet jakieś chciałyby zrobić go Królem w Namiocie.

Słowem, koszmar, którego Obywatel postara się za wszelką cenę uniknąć. Nie, z całą pewnością tylko garstka jego najbardziej zaufanych sprzymierzeńców wie, kogo szukają.

Nawet żołnierze, którzy schwytali Bochna i Umba, zapewne nie wiedzieli, czemu ich poszukiwano, pewnie usłyszeli tylko tyle, że mają pojmać każdego, kto wyłoni się tam z ukrycia.

Więc on z Param mogą wyjść na ulicę. Nie rzucaliby się w oczy, bo nie mieli skłonności do ekstrawagancji i byli ubrani raczej skromnie, w porównaniu z tym, co ludzie wyobrażają sobie jako królewskie szaty.

Raptem jedna z obserwowanych przez niego ścieżek zwolniła, a gdy się na niej skupił, ujrzał jakiegoś człowieka – starca chwiejnie brnącego przez tunel. Ten człowiek potknął się i upadł. Nie wstawał. Był ranny. Rigg puścił się biegiem w dół schodów, utrzymując uwagę zogniskowaną na tym starcu.

Gdy do niego dotarł, człowiek ten uniósł ręce, jakby próbował zasłonić się przed ciosem.

– Nie zrobię ci krzywdy – uspokoił go Rigg. Przemówił w wyższym, oficjalnym języku, mając nadzieję, że ta starsza mowa będzie dla niego zrozumiała. I była.

– Uciekaj – rzekł starzec. – Kimkolwiek jesteś, ratuj się. Oni zabijają wszystkich.

Wtem, tak szybko, jak się pojawił, zniknął, na powrót stając się jedynie ścieżką. Ścieżką, która nie kończyła się w tym miejscu, najwidoczniej więc zdołał się podnieść i ruszył dalej.

W jakim czasie żył? I kim byli ci „oni”, którzy „zabijali wszystkich”? Nie mogli mieć nic wspólnego z rewolucją ludową, gdyż ścieżki w tym tunelu datowały się na wiele, wiele wieków przed tym wydarzeniem. Może był urzędnikiem rządowym z czasów, zanim Sessamoto podbili Aressa i zmienili jej nazwę na Aressa Sessamo.

Po tylu staraniach i niepowodzeniach, by samemu cofnąć się w czasie, czemu, do diaska, musiało się to stać niespodziewanie i akurat teraz?

Głupiec ze mnie, pomyślał Rigg. Głupiec! Że też od razu się nie zorientowałem! Nie ja sam się cofnąłem. To Umbo. A więc jednak potrafi mi to zrobić na odległość. Siedząc przy stole w Domu Rady, jakimś sposobem umożliwia mi przyspieszenie się na tyle, bym widział ścieżki jako ludzi. Umie to zrobić nawet z tak daleka.

Umbo chce, żebym wrócił po jego ścieżce i zanim on i Bochen zostaną aresztowani, ostrzegł ich, by nie czekali na mnie w umówionym miejscu.

Czy wie, że zdołał do mnie dotrzeć? Czy czuje, że nawiązaliśmy kontakt? A jeśli pomyśli, że mu się nie udało? Wtedy nawet nie spróbuje ponownie...

Rigg wbiegł z powrotem na schody, potykając się w mroku, ocierając łydkę o stopień.

– Param! Param, musimy już iść.

Natychmiast się ocknęła.

– Ktoś do nas idzie?

– Nie, tu jesteśmy zupełnie bezpieczni. Ale Umbo jest... mówiłem ci, co umiemy zrobić, prawda? Jak pomaga mi cofnąć się w czasie do ścieżek, do ludzi...

– Nie tak szybko.

– Właśnie przed chwilą to zrobił, z Domu Rady.

– Jest w Domu Rady?!

– Tam generał Obywatel ich trzyma. Ale to bez znaczenia, bo tam nie idziemy.

Zamierzam ich przechwycić – pójść do miejsca, gdzie byli, zanim zostali aresztowani, i ich ostrzec. Ustalić inne miejsce spotkania na dziś.

– Nie możesz ich wydostać z Domu Rady, to za bardzo publiczne...

– Nie, Param – tłumaczył. – Oni w ogóle nie dotrą do Domu Rady.

– Przecież już tam są.

– Ale nie będą. Nigdy.

– Podobno ich tam widziałeś!

– Widziałem ich ścieżki – poprawił – a ty nawet ich nie poznałaś, więc to nie tak, że będziemy mieli fałszywe wspomnienia. Zaufaj mi. Nie mam pojęcia, czemu to działa w ten sposób, ale tak już jest.

– Pójdziemy i ich ostrzeżemy, więc nie zostaną aresztowani. Ale kto nas ostrzeże i powie, gdzie

się spotykamy?

– Nie będziemy musieli, my... – Rigg nagle zdał sobie sprawę, że ona może mieć rację.

Gdyby powstrzymał Umba i Bochna przed pójściem na umówione miejsce w parku, to wtedy, gdy on i Param uciekali przez tunele, nie zobaczyłby, jak żołnierze aresztują jego przyjaciół, nie wiedziałby więc, gdzie są. Nie, akurat tego by się pewnie domyślił, ale mimo wszystko skąd miałby wiedzieć, gdzie ich spotkać?

Musiał więc wymyślić drugi punkt zborny. Jakie miejsce mogli wybrać, by się z nim spotkać, gdyby z jakiegoś powodu – a tego znać nie mógł – nie pojawiliby się w pierwszym punkcie zbornym?

A dotąd, zanim Param się odezwała, po prostu zakładał, że po tym, jak ich ostrzeże, zwyczajnie pójdzie do nowego miejsca spotkania i tam ich spotka, mając w głowie pełne wspomnienie wszystkiego, co się wydarzyło wcześniej. Ale Umbo i Bochen mówili mu, że kłócili się właśnie o tę kwestię – osoba z przyszłości, która cofała się w przeszłość i ostrzegała kogoś, po prostu znikła, zostawiając za sobą jedynie wspomnienie słów. Ostrzegający znikali, gdy ostrzeżeni podążali nową ścieżką.

A przynajmniej tak to działa, gdy ktoś cofa się w przeszłość, by ostrzec samego siebie. I może ten ktoś, kto ostrzega siebie, w ogóle się nie zmienia. Może więc jednak ot tak pójdzie do nowego miejsca spotkania.

A może nie.

– To miesza ci w głowie, prawda? – zapytała Param.

– Jestem całkiem skołowany.

– Po prostu zrób, co musisz, i dowiemy się, jak to działa.

Wyłonili się przez ukryte drzwi w zewnętrznym murze jakiegoś banku. Ten podziemny tunel miał trzy wyjścia – jedno do banku, drugie do skarbcza, a ostatnie na ulicę. Rigg nie chciał jednak kraść pieniędzy ani prowadzić żadnych operacji bankowych. Wyjście na ulicę mieściło się we wnęce w murze i nikt nie zauważył, jak wychodzą.

Światło ich oślepiło. W powietrzu unosił się dym, szczypał w oczy.

– Miasto płonie – stwierdziła Param. – Czasem się tak zdarza, ale straż pożarna działa prewencyjnie, wyprzedza ogień, zawala sąsiednie budynki i ruiny polewa wodą wypompowywaną z Kosmolo. To jeden z głównych powodów powstrzymujących ludzi przed wszczynaniem zamieszek i podpalaniem. A gaszenie ognia to najpewniejszy sposób zakończenia zamieszek. Każdy, kto przeszkodzi brygadam strażackim, zostanie rozniesiony przez tłum. Tu w końcu chodzi o ich domy. Gdziekolwiek pojawiają się strażacy, zamieszki gasną.

To miało sens – ale podsunęło zarazem Riggowi nowy powód do obaw. Co będzie, jeśli wyśle Umba i Bochna do nowego miejsca spotkania, ale w części miasta, która spłonęła?

Nieważne, że teraz się tam nie pali. Ale mogłoby – w zmienionej przyszłości.

Jeśli tak będzie, coś się wymyśli. Improwizacja górą. Najpierw jednak trzeba znaleźć ich ścieżkę.

Na szczęście widać było, że próbowali coś zrobić w tym banku, bo ich ścieżki krążyły dokoła tego miejsca. Z łatwością znalazł, gdzie cofnęli się do swej kwatery, a stamtąd odszukał ich najświeższą ścieżkę, tę prowadzącą do miejsca niedoszonego spotkania. Właśnie ją musiał zastopować.

– Chodź – rzekł do Param.

Widział, że wciąż była zmęczona. Już była wykończona długim marszem, spała niewiele, a teraz on nalegał, żeby jeszcze trochę się wysiliła.

Zamieszki, na szczęście, trwały gdzie indziej. Słyszeli wrzawę, czasem nawet na sąsiedniej

ulicy, lecz ani razu nie zobaczyli tłumu, a pojedynczy ludzie przemykali tak dyskretnie i szybko jak ich dwoje. Nikt nie chciał dać się porwać fali przemocy – żołnierze przy pacyfikowaniu motłochu nie obawiali się, że mogą skrzywdzić kogoś niewinnego.

W piętnaście minut Rigg i Param znaleźli się przy ścieżce Umba i Bochna – co najmniej sześć przecznic od parku. Rigg zauważył, że gdy oni mijali to miejsce, trzymali się brzegiem ulicy. Wówczas już trwały zamieszki albo ludzie po prostu uciekali, wiedząc, że coś zaraz się stanie. On i Param również poszli brzegiem ulicy, a Rigg znalazł kryjówkę za przewróconym wozem. Nie musiał właściwie widzieć ścieżki – będzie wiedział, kiedy zacznie na niego działać moc Umba, a wtedy wyjdzie zza osłony, tam gdzie ścieżka była widoczna zarówno dla jego oczu, jak i wewnętrznych zmysłów.

Param z ulgą osunęła się na ziemię.

– Ty rób, co trzeba, a ja tu poczekam – stwierdziła.

– Oboje poczekamy – odparł Rigg. – Bo nie wiem, kiedy Umbo znowu spróbuje mnie dosięgnąć i przyspieszyć.

– Obudź mnie, gdy już będzie po wszystkim – poprosiła i znowu w jednej chwili zasnęła.

Rigg martwił się tym, jak bardzo była zmęczona tym nie tak znowu długim spacerem. Co będzie, jeśli szpiedzy Obywatela – nieliczni ludzie w tym mieście, którzy wiedzieli, jak wyglądają Param i Rigg – ich zauważą i trzeba będzie uciekać? Param niegdyś chroniła się niewidzialnością, ale teraz nie mogła, bo matka powiedziała żołnierzom, jak wolno córka się porusza, jak ją skrzywdzić, gdy nie jest widoczna.

Gdybym tylko miał dla niej jakąś kryjówkę, taką jak ukryte przejścia w domu Flacommo.

Tam nie musiała stawać się niewidzialna, wchodzić w ten nieznośny tryb pokawałkowanego czasu, kiedy cały świat przelatował obok, a ona pełzła.

Było już niemal południe. Rigg sam zaczynał czuć się senny – zbliżał się czas, gdy, tak jak się przyzwyczał na statku, przesypiał trzy godziny w dzień. Ale przez wiele lat spędzonych w lesie z ojcem nauczył się w razie potrzeby odpędzać senność, i teraz zrobił to samo.

Ale nie bardzo mu to się udało, dwa razy bowiem przyłapał się na tym, że się ocknął.

Niemożliwe, bo na pewno nie spał. A jednak. Przez sekundę, minutę, godzinę? Czy Umbo spróbował ponownie przenieść go w czasie i nie zdołał, bo Rigg się zdrzemnął?

Nie. Cienie były dokładnie tak samo długie jak wtedy, gdy najwyraźniej musiał zasnąć. A więc – tylko przez moment.

Wstał. I zaraz usiadł z powrotem. Kilka domów dalej przez skrzyżowanie szła forpoczta tłumu – pojedynczy ludzie z motłochu, samozwańczy zwiadowcy, którzy postanowili iść przodem, by w razie czego ostrzec resztę przed pojawieniem się żołnierzy.

Proszę, nie idźcie w tę stronę!

Nie poszli – ale był to ogromny tłum i zdawało się, że w nieskończoność ciągnie przecznicą.

Ścieżki Bochna i Umba znów zmieniły kierunek. Wkrótce Rigg będzie musiał wyjść z ukrycia – a wtedy jacyś ludzie go mogą zobaczyć. Może zostawią go w spokoju, a może zawrócą i zaczną gonić.

O mały włos nie wyszedł na ulicę sam, nie budząc Param. Wtedy jednak znowu naszedł go zamysł znalezienia dla siostry kryjówki, ale tym razem z towarzyszącym temu planem.

Czy może pchnąć ją wstecz w czasie wraz z Umbem i Bochnem? Wtedy znalazłaby się w miejscu, gdzie nikt się jej nie spodziewał, nikt jej nie szukał.

Dotąd zabierał przedmioty z przeszłości, ale czy on i Umbo kiedykolwiek coś w niej umieścili? A nawet jeśli, możliwe, że to działało tylko na przedmioty, a nie na ludzi. Gdy Rigg cofał się w

czasie, nadal istniał w terażniejszości, gdzie Umbo wciąż go widział.

A mimo to znajdował się wtedy również w przeszłości. Pomyślał o tych strasznych chwilach nad krawędzią wodospadu, gdy próbował dotrzeć do Kyokaya, lecz nie mógł ominąć mężczyzny trzymającego się skał nad nim. Ten człowiek wydawał się cielesny. Rigg go dotykał – a więc także jego ciało było realne dla tego mężczyzny.

Co by się stało, gdyby Umbo przestał go w tamtej chwili przyspieszać? Czy Rigg zostałby w przeszłości? A może by zniknął?

A gdyby dał coś temu mężczyźnie? Albo włożył czyjąś dłoń w jego rękę? Czy ta rzecz albo ta osoba zostałyby w przeszłości?

Nie dowie się tego, póki nie spróbuje. To jedyny sposób.

Potrząsnął Param za ramię.

– Wstań i chodźmy.

– Daj mi spać. Zrób to sam.

– Chodź natychmiast. Kto wie, jak długo Umbo może to utrzymać na taką odległość.

Narzekając, zataczając się, z ledwie otwartymi oczami, Param poszła z nim.

Rigg poszukał ścieżki Umba – nie mógł się skupić jednocześnie na ścieżkach obu przyjaciół, choć biegły koło siebie. I zobaczył go przemykającego po ścieżce raz po raz.

Potem, im bardziej Rigg się skupiał, tym bardziej Umbo zwalniał, aż w końcu szedł szybkim krokiem, ale w czasie rzeczywistym.

Rigg zastąpił mu drogę.

– Stój! – rzekł.

Umbo się zatrzymał. Tak jak i Bochen, który teraz również stał się widoczny, gdyż Rigg widział nie tylko swój czas, ale i czas Umba.

– Widzicie ją? – zapytał ich.

Umbo spojrzał na Param i skinął głową. Bochen też.

– Spotkajmy się godzinę po południu w barze z kluskami – polecił im. – A teraz chwycie ją za rękę.

Param, która dopiero co zobaczyła, jak Umbo pojawił się niczym duch na ulicy, miała opory, by go dotknąć, lecz Rigg wsunął jej dłoń w rękę przyjaciela.

– Trzymaj się go! – powiedział siostrze. – Bo inaczej kto wie, gdzie cię poniesie! – Odsunął się. Bochen wziął ją za drugą rękę.

Albo zostanie z nimi, albo nie, zobaczymy, pomyślał Rigg.

– Co ty wyprawiasz? – chciał wiedzieć Umbo.

– Jeśli to się uda, to...

Lecz w tej właśnie chwili przyspieszenie, które Umbo nakładał na niego z Domu Rady, ustąpiło, a Umbo i Bochen natychmiast zniknęli, na powrót stapiając się ze swoimi ścieżkami.

Znikła też Param.

Jej ścieżka nagle znalazła się w przeszłości. Wychodziła na ulicę w terażniejszości i ciągnęła się nieprzerwanie, tyle że teraz biegła obok ścieżek Umba i Bochna w ich przeszłości – czyli we wcześniejszych godzinach tego dnia.

A więc nie byli ograniczeni do zabierania czegoś z przeszłości – noża, klejnotów z ich kryjówek. Mogli również umieszczać tam coś – i ludzi – o ile był tam ktoś, kto zechciał to coś lub kogoś przyjąć.

Rigg nie miał jednak czasu, by głowić się nad konsekwencjami tego eksperymentu. Stał sam na ulicy, a raptem kilka domów dalej przemieszczał się rozszalały motłoch. Chociaż w swoim ubraniu

nie wyglądał na księcia, sprawiał wrażenie bogatego, a w tłumie zawsze znajdują się maruderzy, którzy nie mają oporów przed wykorzystaniem okazji do rabunku i napaści na samotne ofiary.

Nie inaczej było i teraz. Zobaczył sześciu mężczyzn – niektórzy byli obdarci, a inni nie – idących szybko w jego kierunku. Tłuszcza wciąż przelewała się przez skrzyżowanie, ale trochę się przerzedziła. Niewielu świadków zobaczy, co mu robią, jeśli go dopadną. Nie miał nic wartościowego poza ubraniem. I życiem.

Wiedział, że jak tylko rzuci się do ucieczki, zaczną go gonić. Gdyby nie udało mu się umieścić Param w przeszłości, musiałby dostosować się do jej tempa. A wtedy na pewno by ich złapali.

Ale gdyby wciąż tu była, mogłaby go wziąć za rękę i oboje by zniknęli, czekając, aż ci niedoszli rabusie zrezygnują i odejdą.

Cóż, wszystko ma swoje konsekwencje, powiedział do siebie.

Pobiegł.

Życie w domu Flacommgo go nie osłabiło; może codzienne przebieżki z Oliwienką pomogły. Z łatwością zostawił ich w tyle. Dotarł z powrotem do banku i ukrytego przejścia.

Rzucił się do środka tunelu, zamknął drzwi i czekał, aż dadzą za wygraną. Prześledził ich ścieżki. Niektórzy próbowali go znaleźć, lecz szybko zrezygnowali. A nikt nie sprawdził wnęki w ścianie banku.

Teraz, gdy w końcu miał trochę spokoju, ponownie odszukał Dom Rady. W środku wciąż znajdowali się radni, nadal pod strażą – ale Bochna i Umba już tam nie było.

A więc ostrzeżenie odniosło skutek. Nie dotarli na miejsce spotkania, nie zostali aresztowani.

Ich przeszłość się zmieniła – ale nie przeszłość Rigga. Wciąż pamiętał wyraźnie, że widział ich w Domu Rady, a wcześniej obserwował, jak chwyтали ich żołnierze, i że szedł przez tunele wraz z Param.

Umieszczenie jej w przeszłości nie tylko uchroniło ją przed zagrożeniem. Uniemożliwiło też zanik jego ścieżki przez czas w punkcie zmiany.

Przyczynowość, pomyślał. Param znajduje się w przeszłości z Umbem i Bochnem, a ja nadal pozostaję w tym samym nurcie czasu. Nie zmieniłem się, nie utraciłem przeszłości.

Z wnętrza ukrytego przejścia w banku zaczął śledzić drogę, którą Umbo i Bochen obrali wcześniej tego dnia. I oto oni kierujący się w stronę parku. A tam miejsce, gdzie ich ścieżki się zatrzymały, gdzie Rigg i Param nagle się z nimi spotkali. Potem ścieżka Rigga przeniosła się w czasie, lecz Umbo, Bochen i Param poszli z powrotem tą samą drogą.

Rigg prześledził ich ścieżki przez resztę dnia aż do teraz. Nie byli w barze z kluskami – nie wybiła jeszcze godzina spotkania. Ale po co czekać? Wiedział, gdzie są, łatwo ich odnajdzie.

Wybierając trasę z dala od tłumy i żołnierzy, dotarł w pobliże baru z kluskami, a potem skręcił w kierunku miejsca, gdzie zostawiali za sobą wciąż świeże ścieżki.

Zobaczyli się z daleka. Bochen pomachał mu ręką, a potem zatrzymał resztę i razem czekali, aż Rigg do nich podejdzie. To była dobra decyzja – jedna osoba idąca mniej rzuca się w oczy niż trzy. Gdy doszedł do nich, ukrytych w cieniu wejścia do nieczynnego sklepu, zauważył, że Umbo i Param wciąż mocno trzymają się za rękę.

– Możecie już się puścić – powiedział im.

– Na pewno? A skąd ty to wiesz? – odparł Umbo, a Param potaknęła. – Skąd wiesz, że ona po prostu nie wyparuje, przenosząc się w przyszłość, z której przybyła?

– Po pierwsze – zaczął tłumaczyć Rigg z lekką irytacją – ta przyszłość już nie istnieje, bo Param przybyła z tej wersji wydarzeń, w której zostaliście aresztowani przez generała Obywatela i byliście więzieni w Domu Rady. A to się nie zdarzyło, więc nie może tam wrócić.

– Jednak to się zdarzyło, bo pamiętasz te wydarzenia – zauważyła Param.

– A ty pamiętasz? – zapytał ją.

– Tak, oczywiście.

– A mimo to jesteś tu i teraz, ze mną, w wersji czasu, w której nie zostali aresztowani.

– Nie mogę więc tam wrócić. Ale jeśli nie mogę też zostać tutaj? – zapytała Param. – Może być tak, że po prostu zniknę.

– Nie, ponieważ, po drugie, teraz to jest przyszłość. Jestem tą samą osobą, która włożyła twoją rękę w jego dłoń. Bez ciebie wciąż istniałem i istnieję w chwili obecnej. Weź mnie za rękę.

Uśluhała.

– A teraz puść jego.

– Łatwo ci mówić, bo ty nie znikniesz – wtrącił się Bochen.

– Ona też nie – zapewnił Rigg – bo ja jestem z tego samego czasu i jakoś nie zniknąłem.

Prawda? Wszyscy się zgadzają, że istnieję?

– Niestety tak – rzucił Bochen.

Param puściła rękę Umba. Nie zniknęła. Umbo rozmasował swoją dłoń, z lekka się krzywiąc.

– Przepraszam, że ścisłałam tak mocno – powiedziała Param. – Ale byłam przerażona.

– Przerażające jest dopiero to, że naprawdę możesz zniknąć w każdej chwili – rzekł Rigg.

Param obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, ale zaraz zrozumiała... zniknęła.

Bochen wpadł w furję.

– Mówiłem ci, żebyś jej nie puszczał! Spójrz, co zrob...

Param pojawiła się parę kroków dalej.

– Gdy to robię, tak naprawdę nie znikam.

– Cóż, ja bym dał się nabrać – stwierdził Bochen.

– Ja zawsze siebie widzę, nawet wtedy – odparła Param.

– A teraz niech wszyscy wezmą ją za rękę – poprosił Rigg.

– Ona ma tylko dwie – zauważył Umbo.

– Wszyscy, to znaczy ty i Bochen – wyjaśnił Rigg. – Weźcie ją za rękę.

Tak zrobili.

– Umbo – ciągnął Rigg – wyciągnij drugą rękę. Po prostu ją wyciągnij. Tam. A teraz, gdy ona zniknie, nie ruszaj się. Tylko trzymaj rękę w ten sposób.

– Po co?

– Zobaczysz.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Param.

– Muszą wiedzieć, co potrafisz, a to najprostszy sposób.

Skrzywiła się, ale w tej samej chwili zniknęła. A z nią również oni dwaj.

Rigg uświadomił sobie – ponownie – że trudno było spamiętać, gdzie w przestrzeni znajdował się niewidzialny obiekt, nawet przed chwilą. Na szczęście widział ścieżkę Umba i mniej więcej domyślał się, gdzie szukać jego wyprostowanej ręki.

Wyciągnął rękę do miejsca, gdzie musiała się znajdować ręka Umba. A potem ją chwycił i pociągnął.

Pojawili się niemal natychmiast. Umbo gapił się na swoją dłoń, a Bochen ciężko przysiadł na ziemi.

– Nie rób tego ponownie – poprosiła Param.

– Nie muszę – odparł Rigg. – Sądząc po ich reakcji, chyba nie potrzebują więcej dowodów.

– To niebezpieczne – stwierdziła Param. – A gdybym się rozkojarzyła? Obaj by stracili rękę.

– To musiałyby boleć – zadrwił Umbo.

– A co się dzieje, gdy jakaś mucha przelatuje przez ciebie? – zapytał Bochen.

– Albo komar albo kurz? – dodał Rigg z przekąsem.

– To przecież nie pierwszy taki wypadek. Najwyraźniej jej ciało jest w stanie odbić je albo wchłonąć tak niewielką ilość masy. Często przez wiele godzin była w tym stanie, a ja widziałem, jak przenikają ją muchy, pszczoły i ćmy. Pewnie więc zdarza się i tak, że zostają jej w środku, gdy akurat się pojawia.

– Robi mi się niedobrze – jęknęła Param.

– Musimy o tym mówić – rzekł Rigg. – Wszyscy próbujemy to zrozumieć.

– Mówiłam dosłownie. Kiedy wychodzę z niewidzialności z muchą w środku, robi mi się niedobrze. Jakbym miała gorączkę. A miejsce, gdzie była mucha, goi się długo. Godzinami jest bolesne i pulsuje. Ale kurz to nie problem. Nawet drobny piasek. Problemem są żywe stworzenia, grube ściany, metal i kamień.

– A więc tylko ja nie robię nic interesującego – stwierdził Bochen.

– Dopiero co zniknęłaś – przypomniał Rigg. – I choć nie miałeś na to wpływu, byłeś niewidzialny, a to jest interesujące, że człowiek twojej postury może zniknąć.

Bochen się nachmurzył, ale zaraz zachichotał.

– No dobra, tym się zadowolę.

– Może też jesteś w stanie zrobić coś innego. Coś bardzo, ale to bardzo ważnego.

– To znaczy?

– Wydostać nas z miasta – wyjaśnił Rigg. – Wszędzie są żołnierze, a tłum się zagęszcza, szaleją pożary. Do tego jest duży ruch na drogach i rzece.

Bochen zatopił się w myślach. Po chwili zaproponował, żeby popłynąć w dół rzeki, a potem przesiąść się na łódź w drugą stronę, lecz szybko odrzucił ten pomysł.

– Nie wiedzą, gdzie się skierowaliśmy, ale jeśli poważnie podchodzą do poszukiwań, to złapią nas i w dolnym biegu, i w górnym.

Param zasnęła i nie brała udziału w dyskusji. Umbo zasugerował, by zabrać ją do ich kwatery i położyć do łóżka, lecz Bochen przypomniał mu, że jest to jedyne miejsce, gdzie absolutnie nie mogą się udać.

– Jeśli generał Obywatel śledził nas od samego początku, z pewnością rozkazał szpiegom mieć oberżę na oku.

Kiedy skończyły się im pomysły, pograżyli się w ponurej ciszy. Aż wreszcie, po ponad godzinie, odezwał się Rigg:

– Zbliżają się żołnierze. Musimy iść stąd.

– Nie po nas idą, prawda? – zapytał Umbo z nadzieją.

– Nie, patrolują. To na tyle mały oddział, że nie sądzę, by zajmowali się walką z tłumem.

– A nie możemy po prostu zniknąć? – zapytał Bochen.

– Jeśli będziemy musieli. Ale już wiemy, że jeśli jest inny sposób, by nie zostać zauważonym, lepiej nie wchodzić w niewidzialność. A my możemy się ukryć za tym rogiem, o tam.

– Niedługo ludzie zaczną wychodzić z domów i sklepów – stwierdził Bochen.

– Masz rację – przyznał Rigg.

– Wielka szkoda, że nie cofnąłeś się i nie ostrzegłeś nas wcześniej – rzekł Umbo. – Mogliśmy opuścić miasto już wczoraj.

– Mogliście, ale tylko we troje – zauważył Rigg. – Bo ja i tak wciąż bym tu został.

Niespiesznym krokiem podeszli do rogu i skręcili. Param cały czas ziewała.

- W życiu nie byłam tak zmęczona.
- Rigg tak działa na ludzi. Męczy ich okrutnie – skomentował Bochen.
- A może by tak jednak opuścić miasto już wczoraj? – zapytał Rigg.

Popatrzyli na niego jak na szaleńca.

- Czy aby przed chwilą nie twierdziłeś, że to niemożliwe? – przypomniał Bochen.

- A jednak... Param na trwałe jest połączona z przeszłością przez to, że chwyciliście ją za rękę.

Czy zdołałbym dołączyć do was w przeszłości w tym samym czasie co Param, po prostu trzymając jej rękę?

- Ale to nigdy wcześniej się nie stało... znaczy, ty nigdy tak naprawdę nie znalazłeś się w przeszłości – stwierdził Umbo.

- Przynajmniej część ciebie była w teraźniejszości.

- Nigdy nie stykałem się z nikim. Zabrałem nóż, ale nie dotknąłem tego człowieka. A czy ty stykałeś się z kimś w przeszłości?

Umbo próbował sobie przypomnieć.

- Nikogo nie dotknąłem, dopiero Bochna, a jego sprowadziłem z sobą.

Rigg wciąż to rozważał.

- Sądzę, że nie powinniśmy próbować znaleźć naszych wcześniejszych wersji. Związki przyczynowo-skutkowe są zachowane, ale lepiej uniknąć wiązania całego strumienia czasu na supeł. Nie rozumiemy reguł, więc wolałbym tego nie komplikować.

- No to co teraz? Wybierzemy jakąś przypadkową osobę z przeszłości i powiemy:

„Przepraszamy najmocniej, czy moglibyśmy przez parę minut potrzymać pana za różne części ciała?”

- Nie przypadkową – poprawił Rigg. – Kogoś, komu możemy zaufać.

- No tak, zapomniałem. W Aressa jest pełno zaufanych nieznajomych.

Wtedy właśnie Rigg przypomniał sobie o kimś, komu może zaufać. O kimś, kto nie miał zupełnie żadnych związków z matką i jej światkiem.

- Mam przyjaciela – powiedział.

Oliwienko wyszedł ze swego małego mieszkanca i zbiegał ze schodów, dudniąc butami.

Miał czas, żeby zjeść coś przyzwoitego, dla odmiany, zanim dołączy do jednostki i stanie na warcie.

Na półpiętrze przed ostatnim odcinkiem schodów zobaczył Rigga Sessamekesha.

- Rigg?! Jakim cudem wydostałeś się z...

Chłopak pokręcił głową.

Oliwienko potaknął. Już samo imię Rigga mogło ściągnąć na nich uwagę – na szczęście nie wypowiedział go głośno, a niewielu sąsiadów było takimi rannymi ptaszkami jak on.

- Pamiętasz wszystko, o czym rozmawialiśmy? – zapytał Rigg. – Pamiętasz, jakie niebezpieczeństwo mi grozi?

- Oczywiście.

– Skoro tak, powiem ci, że wiem... i to nie są domysły, logiczna dedukcja czy informacje od szpiegów – po prostu wiem na pewno, że za dwa dni Flacommo zostanie zamordowany, wojsko wtargnie do jego domu i aresztuje moją matkę, a ja i moja siostra ukryjemy się i zostaniemy uznani za zbiegów, wraz z dwójką moich przyjaciół.

- I chcesz, żebym pomógł wam uciec? – domyślił się Oliwienko.

- Jakbyś zgadł.

- Ale będą was szukać.

– Nie będą. Bo już wiedzą, gdzie jesteśmy.

– Że co?

– Param i ja, w tej chwili, którą przeżywasz, jest w domu Flacomm, pod obserwacją.

Oliwienko wiedział dość, by poczekać na wyjaśnienie.

– Myślisz, że ci to wyjaśnię, i zrobię to, ale nie teraz, bo za jakieś pięć minut ktoś inny zejdzie po tych schodach, a nie chcę, żeby zobaczył cię, jak ze mną rozmawiasz.

– Chodźmy więc do tych twoich przyjaciół.

– Właśnie to chciałem zaproponować, tyle że to nie takie proste, jak myślisz. Ale znacznie szybsze. Stań tutaj, nie ruszaj się z miejsca. I chyba byłoby lepiej, gdybyś zamknął oczy. Ale musisz obiecać, że gdy je otworzysz, nie będziesz krzyczał, uciekał ani nic. Zachowaj spokój.

Zaufaj mi, jest na to logiczne wyjaśnienie.

– Na co? – zapytał Oliwienko, skonsternowany i nieco zirytowany.

– Na to.

Rigg zniknął. Ot tak, rozpułnął się w powietrzu.

A po dziesięciu sekundach zjawiał się ponownie. Trzymał się za ręce z Param Sissaminką, dziedziczką królewskiego rodu, i z dwoma nieznanymi, z których jeden był wysokim, starym żołnierzem, a drugi – chłopcem mniej więcej w wieku Rigga.

Oliwienko nawet nie okazał zdziwienia. Stał bez ruchu, myśląc: Szkoda, że Knosso nie może tego zobaczyć.

– Skoro możesz skakać w ten sposób, to po co ja ci jestem potrzebny? – zapytał w końcu.

– Bo nie możemy skakać przez przestrzeń, tylko przez czas. Nie całkiem jesteśmy tutaj, po części jesteśmy też w przyszłości – dwa dni od teraz, gdy na ulicach Aressa roi się od wściekłych tłumów i żołnierzy, a ludzie generała Obywatela szukają nas czworga. W tej chwili nie widzimy tego czasu, ale nasze ciała wciąż tam są i może zdarzyć się coś niedobrego, musimy więc zrobić to szybko.

– Co zrobić?

– My wszyscy dotkniemy ciebie – wystarczy goła skóra, nadgarstek czy szyja. Wszyscy równocześnie. A to po to, by do końca osadzić się w twoim czasie. Dwa dni wcześniej, zanim wszystko poszło nie tak.

Oliwienko nie miał oporów. Podciągnął rękawy i zdjął czapkę.

– No to działajcie.

Ten postawny mężczyzna i przyjaciel Rigga dotknęli jego ramienia – najpierw jedną dłonią, a potem, gdy puścili już Rigga i Param, obiema.

– Nic się nie dzieje – stwierdził chłopiec.

– Wciąż trzymasz mnie w przeszłości – powiedział Rigg do niego. – Choć nie jesteś już w przyszłości. Może my...

– Cicho bądź i dokończ to, co robisz – upomniał go stary żołnierz.

Param i Rigg dotknęli drugiego ramienia Oliwienki, lecz wciąż trzymali się za ręce.

– Wiem, że to będzie niezdarne, ale spróbujmy razem zejść ze schodów – zaproponował Rigg. – Możliwe, że wszyscy oprócz mnie zostaną z tobą, Oliwienko. Jeśli tak się stanie, mną się nie przejmuj i wyprowadź ich z miasta – tak by nie zostawić za sobą śladów. Żadnych przepraw rzeką, gdzie zapisują rezerwacje. Znajdź jakiś dyskretny sposób i w dodatku zmyl trop.

– A ty gdzie będziesz?

– Pójdę za wami, w miarę możliwości. Ale sam mogę zapewne łatwiej stąd uciec niż cała nasza czwórka – teraz już piątka – razem. A może jednak nie zniknę? Może już nam się udało.

Gotowi?

– Od dawna – bąknął stary żołnierz. – Zdecydowanie za dużo gadasz, gdy nie ma o czym.

Jak on śmiał tak odzywać się do syna Knossa Sessamika?! Oliwienko był oburzony, ale uznał, że skoro to przyjaciel Rigga, trzeba mu zaufać.

Niezgrabnie zaczęli schodzić ze schodów, Oliwienko w środku, reszta po bokach, ściskając jego ramiona silniej, niżby tego chciał.

Ze schodów na górze doszedł ich tupot butów.

– Przyspieszmy – zaproponował Oliwienko. – Bo trudno będzie wyjaśnić tę scenę.

Zanim dotarli na dół, stary żołnierz i Param go puścili – ale wciąż byli tutaj.

Potem chłopiec odsunął rękę od jego ramienia.

Gdy znaleźli się na ulicy, Rigg wciąż trzymał się jego ramienia obiema rękami. Pozostała trójka patrzyła na niego, a Oliwienko widział, że są bardzo zaniepokojeni. Wystraszeni.

– Cóż, zaraz się okaże – odezwał się Rigg. – Albo będę w mieście, gdzie mnie szukają, albo tu z wami. Tak czy owak, wam nic się nie stanie, i mnie też. Prawdopodobnie. Bo przecież chyba nie wybuchnę.

Uśmiechnął się szelmowsko do Param, choć Oliwienko nie rozumiał dlaczego.

Rigg go puścił.

I wciąż tu był.

– Jeśli zniknąłeś – stwierdził Oliwienko – to najwyraźniej mam omamy, bo widzę twojego brata bliźniaka dokładnie tam, gdzie stałeś.

Rigg skinął głową.

– Jest szansa, że moje ciało wciąż pozostaje w przyszłości, a jeśli ktoś mnie tam złapie, błędzącego jak pomyleniec, możliwe, że to mnie od was odciągnie. Ale uważam, że to mało prawdopodobne, że właśnie znaleźliśmy sposób na przeniesienie się w przeszłość.

– Normalnie duma mnie rozpieszcza – zadrwił Bochen.

– Ale nie możemy zapominać, że to nieodwracalne – ciągnął Rigg. – Teraz, gdy jestem tu z wami w przeszłości, widzę jedynie te ścieżki, które istniały do tej chwili. Nie widzę siebie i Param, jak przechodzimy przez tunele, bo to się jeszcze nie wydarzyło.

– Czy nie o to właśnie nam chodziło? – zapytał chłopiec.

Stary żołnierz podejrzliwie rozejrzał się dokoła.

– Mamy pewność, że nikt was nie rozpozna? – zapytał Param i Rigg.

– Nikt nie wie, jak wyglądają – włączył się Oliwienko.

– Oprócz garstki wybrańców, a oni nie będą ich szukać tu na ulicach. Nie dzisiaj.

– Chodzi mi o to – rzekł Rigg, wracając do tematu podróży w czasie – że nie mogę wrócić do przyszłości, gdybym chciał. Widzę tylko ścieżki w przeszłości. Co znaczy, że jeśli kiedyś znów to zrobimy, lecz nie chcąc zostać w przeszłości, nie możemy puścić naszego łącznika z przyszłością. Którym wcale nie muszę być ja. To może być Umbo albo my dwaj razem. Póki on i ja wciąż istniejemy w obu miejscach w tym samym czasie, nie stykając się z żadnym żywym stworzeniem z przeszłości, możemy wrócić do przeszłości. A jakie jest wasze zdanie?

– Ja myślę, że albo masz rację, albo nie – powiedziała Param. – Nie rozumiem tego.

– Właśnie w ten sposób przedostaniemy się przez Mur – podjął temat Rigg. – Przejdziemy przez niego w czasie, gdy jeszcze nie istniał. Ale gdy już znajdziemy się po drugiej stronie, będziemy chcieli powrócić do teraźniejszości.

– A był taki czas, gdy Mur nie istniał? – zapytał chłopiec... Umbo, tak go Rigg nazywał.

– Dwanaście tysięcy lat temu – wyjaśnił Rigg. – Gdy Mur nie istniał, nie było tu ludzi.

Jeśli utkniemy w tak zamierzchłych czasach, będziemy jedynymi ludźmi na świecie.

– Ach więc tak zamierzasz to zrobić! – wtrącił się Oliwienko.

– Sądzę, że się uda – odparł Rigg. – Lepsze to niż odurzenie się i podryfowanie za Mur z prądem.

– Tyle dobrego, że po drugiej stronie nikt nie będzie czekał, by nas zabić – stwierdził Oliwienko.

– O czym on mówi? – zapytał stary żołnierz.

I tak, gdy szli przez ruchliwe ulice Aressa Sessamo, Rigg i Oliwienko opowiadali reszcie o Knossie, prawdziwym ojcu Rigga, i o tym, jak przedostał się przez Mur i zginął po drugiej stronie.

– Chcesz nas zabrać za Mur, wiedząc, że po drugiej stronie ktoś chce nas zabić? – zagadnął Bochen.

– Stworzenia, które zabiły ojca Knosso, żyją w morzu – wyjaśnił Rigg. – A tam, gdzie będziemy się przeprawiać, nie ma nawet kropli wody.

– Ale może tam być coś innego, co będzie nas chciało zabić – rzekła Param.

– Może tak, może nie. Jednego możemy być jednak pewni – po tej stronie Muru są ludzie, którzy chcą nas zabić, i są w tym dobrzy.

– No cóż, pozostaje nam spróbować i przekonać się, czy to przeżyjemy – ocenił Bochen.

– Jedna uwaga – rzekł Rigg. – Pan nie musi iść z nami.

– Nie muszę robić niczego, czego nie chcę.

– Myślę o Lejce – ciągnął Rigg. – Ona się pana spodziewa. A nie wiem, czy kiedykolwiek zdołamy wrócić, jak już przejdziemy.

– Lejka jest dla mnie jak serce czy głowa. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez niej. Ale ona mnie zna. Wie, że za każdym razem, gdy wyruszam z domu, istnieje szansa, że już nie wrócę. I wiedziała to, gdy wysyłała mnie z tobą. Więc jeśli z tobą pójdę i zginę albo z jakiegoś innego powodu nie będę mógł wrócić, będzie mnie oplakiwać i zastanawiać się, co mi się przytrafiło, ale to przeżyje. Na nowo ułoży sobie życie w tym mieście nazwanym jej imieniem. Jedno z nas i tak umarłoby przed drugim – takie jest życie. Rozumiecie, co mam na myśli?

Oliwienko rozumiał. To nie było lekceważenie. W słowach Bochna wyraźnie pobrzmiwały emocje. Po prostu stary sierżant nie chciał pozwolić, by uczucia, które żywił do ukochanej kobiety, powstrzymały go przed doprowadzeniem do końca tego, do czego się zobowiązał.

Jak prawdziwy żołnierz.

Jak ja, pomyślał Oliwienko.

– Ja też idę z tobą – powiedział.

– Nie, naprawdę nie musisz – odparł Rigg. – Potrzebujemy tylko twojej pomocy w wydostaniu się z miasta.

– Za pół godziny uznają, że oddaliłem się samowolnie – przekonywał Oliwienko. – Zanim wyprowadzę was z miasta, minie dużo czasu. Jeśli wrócę, będę dezterem. A za to jest stryzyk.

– Więc musisz czym prędzej wracać do swoich obowiązków – stwierdził Rigg. – To bardzo egoistyczne z mojej strony, że w ogóle cię poprosiłem. Nie chcę cię narażać. Po prostu daj nam jakieś wskazówki co do...

– Żartujesz?! – oburzył się Oliwienko. – Widziałem, jak twój ojciec przekracza Mur i ginie, młodzińcze. A od tej chwili żałowałem tylko jednego – że z nim nie poszedłem. Może zdołałbym go uratować.

– Byłeś wtedy dzieckiem, młodym uczniem – odparł Rigg. – Co mógłbyś na to poradzić?

– A jak myślisz, dlaczego zostałem żołnierzem? Właśnie po to, żeby móc to zrobić, jeśli nadarzy się kolejna okazja.

– Zawsze byłem zdania, że dezercerzy to zwykli tchórze – bąknął stary sierżant.

– Możesz sobie wsadzić tę opinię do nosa i wysmarkać – odciął się Oliwienko. – Bo ja nie dezerceruję. Oni tylko będą tak myśleć.

– Więc co robisz w takim razie? – zapytała Param.

– Podążam z księciem i księżniczką z królewskiego rodu na wygnanie.

– Aaa – rzekł Bochen – to co innego.

Rozdział 23

POWÓZ

Trzy lata po tym, jak kapsuła hibernacyjna zamknęła się nad Ramem, proces kompletowania bogatego zbioru rodzimego DNA form życia z Arkadi dobiegł końca. Podobnie jak proces zbierania i hibernacji flory i fauny Arkadi, którą po wymarciu życia na planecie zamierzano przenieść do oceanu i małych odizolowanych kontynentów.

Zbędni nie rozmawiali ze sobą; ich analogowe urządzenia komunikacyjne były przeznaczone wyłącznie do porozumiewania się z istotami ludzkimi. Za to prowadzili nieustanną rozmowę na poziomie cyfrowym, dzieląc się doświadczeniami i wnioskami tak swobodnie, jakby mieli wgląd bezpośrednio do swoich umysłów.

Komputery statku nie były rozczarowane – ani zresztą oczarowane – że Ram polecił im wykonywać rozkazy zbędnych. Było im obojętne, kto im rozkazuje. Podobnie jak zbędnym. Jednak w największej głębinie programu zbędnych zakodowano misję, której nawet Ram nie mógł udaremnić. Dla jej dobra nie mogły się poddać mechanicznej logice komputerów statku.

Nie chodziło o ego. Żaden z tych mechanizmów nazywanych komputerami czy zbędnymi nie był zainteresowany „stawianiem na swoim”.

Nie było żadnego „swojego”. Był tylko program, dane i bazujące na nich ich wnioski.

Dziewiętnaście statków opuściło orbitę Arkadi i uniosło się niemal o pół jednostki astronomicznej, zanim znalazło się w optymalnej pozycji. Potem skonfigurowały swoje pola kolizyjne z właściwym poziomem absorpcji dyssypacji, sztywności i akumulacji i ruszyły w stronę Arkadi.

Nie zderzyły się z planetą jednocześnie. Uderzały w jej powierzchnię pod starannie obliczonymi kątami i w określonych odstępach czasu, a gdy seria zderzeń ustała, Arkadia przechyliła się na tyle, żeby zaistniała na niej zmiana pór roku, a tempo obrotu wokół własnej osi zwolniło się do nieco ponad dwudziestu trzech godzin.

W przeciwieństwie do meteorów, które podczas zderzenia z planetą wyparowują niemal bez śladu, statki nie ucierpiały, jedynie zatrzymały się gwałtownie. I nawet ten efekt złagodziło ich wewnętrzne pole, które wchłonęło energię utraty bezwładności i przeniosło ją poza pole magnetyczne Arkadi.

Wielkie kawały gruntu, wyrzucone w górę przez wstrząs, szybko wróciły na powierzchnię – ale żaden nie przebił pól wznoszących się jak kolumny nad każdym ze statków. W rezultacie gdy ukształtowała się nowa powierzchnia Arkadi, powstało w niej dziewiętnaście gładkościennych szybów prowadzących do każdego zarytego głęboko statku, nie całkiem równoległe w stosunku do osi Arkadi, lecz pod kątem pozwalającym na nieustanny kontakt z satelitami na orbicie geosynchronicznej.

Tymczasem gęsty pył zupełnie zasłonił słońce. Wyginęła cała roślinność, która dotąd nie splotęła w falach uderzeniowych i żarze wywołanym zderzeniami. Niemal wszystkie zamieszkujące planetę zwierzęta, które nie poniosły natychmiastowej śmierci przy zderzeniu ani nie udusiły się w kłębach pyłu, po jakimś czasie padały z głodu. W jaskiniach, w niektórych osłoniętych dolinach przetrwały nieliczne gatunki roślin i zwierząt; w oceanie nadal pozostało wiele organizmów przystosowanych do życia przy słabym świetle i w gęstym mule.

Arkadia nie wymarła, ale z jej powierzchni niemal zupełnie znikły wszelkie oznaki życia.

– Przede wszystkim – powiedział Oliwienko – musimy zdobyć lepsze ubrania. Albo gorsze, zależnie od punktu widzenia.

– Nie my, najjaśniejsi państwo – odparł Umbo. – Bochen i ja jesteśmy ubrani, jak trzeba.

– Nie nazywaj nas tak – odezwał się Rigg.

– Racja – przytaknął Bochen. – Odezwyczaj się, bo w końcu nas wsypiesz.

– Przepraszam – burknął Umbo.

– Jesteście ubrani jak górniacy – rzekł Oliwienko. – I mówię to bez złośliwości.

– Bo mamy wyglądać jak górniacy – odparł Bochen. – Jesteśmy nimi.

– Nie ma szans, żeby ona upodobniła się do was – oznajmił Oliwienko. – Albo ubierzemy was w liberię, żebyście robili wrażenie jej służących, albo przebierzecie się za jej towarzyszy podróży.

Rigg przyglądał się im, odczytując język ich ciała.

– Słuchajcie – odezwał się uspokajająco. – Oliwienko się nie rządzi, on tylko mówi nam to, czego nie mogliśmy wiedzieć.

– Kto powiedział, że się rządzę? – zjeżył się Oliwienko.

– Nikt. Wszyscy wnosimy tu swoją wiedzę i umiejętności. Nikt z nas, a już na pewno nie moja siostra, nie zna tego miasta tak dobrze jak Oliwienko.

– Mamy dość pieniędzy? – spytał Oliwienko. – Bo mnie nie stać nawet na obucie kulawego.

– Mamy – mruknął Bochen.

Param stała ze skromnie spuszczonej oczami koło Rigga. Na tym polegała jej strategia przetrwania w domu Flacomm. Rigg uświadomił sobie, że to jej najlepsze przebranie. Nikt nie wiedział, jak wygląda księżniczka – od bardzo dawna nie pokazywała się publicznie. I nikt nie będzie się spodziewać, że ktoś z rodziny królewskiej może się zachowywać tak pokornie.

Dzięki ojcu Rigg potrafił przyciągać wzrok, narzucić swoją wolę innym, żeby nie mogli odwrócić od niego oczu. Ale też potrafił stać się niezauważalny, nawet gdy był tylko z jedną osobą w pokoju. „Ludzie traktują cię tak, jak spodziewasz się być traktowany”, mówił ojciec.

Wówczas Rigg zauważył z przekąsem, że skoro za towarzystwo mają wyłącznie zwierzęta, ta wiedza nie przyda mu się na wiele. Teraz zastanawiał się, czy ojciec wiedział wszystko, wszystko zaplanował.

– Moglibyśmy się posłużyć mapą – powiedział Rigg.

– Wiem, jak dotrzeć do Muru – dodał Bochen.

– Też mi sztuka – prychnął Oliwienko. – W którymkolwiek kierunku pójdziesz, w końcu do niego dotrzesz.

– Niedługo się zorientują, że zniknęliśmy, i zaczną nas ścigać – zauważył Bochen. – Nawet jeśli dziś wydostaniemy się z miasta, wkrótce nas zatrzymają. Nie wydaje mi się, żeby ta panna mogła długo uciekać.

– Szukajmy miejsca, w którym ziemia nie zmieniła poziomu od jedenastu tysięcy lat – zdecydował Rigg.

– O, to na mapach można znaleźć taką informację? – mruknął Bochen.

– Potrzebuję kamienistego terenu, przez który nie płynie rzeka, jakiejś równiny.

Trawiastej, bez drzew.

– Parę miejsc przychodzi mi na myśl – powiedział Bochen.

– Gdzie jest najbliższe?

– Na wschód. A drugie daleko na południe.

– Czy ty albo Umbo pamiętacie, jak biegły granice na tej wielkiej kuli w Wieży O? – spytał Rigg. – Nie chcemy wylądować w tym samym świecie, w którym zginął ojciec Knosso.

Bochen zatrzymał się i przymknął na chwilę oczy.

– Tamten znajduje się daleko na północ od następnego świata. To nie ten sam.

– Dobrze. Tamtejsi mieszkańcy są... niemili.

– No pewnie, niech nas święci bronią przed niemiłymi ludźmi.

– Mili ludzie nie zamordują nas tak od razu.

Znowu ruszyli. Wkrótce dotarli do sklepu, którego szukał Oliwienko.

– Nigdy tu nic nie kupiłem – wyjaśnił – ale ubrania mają ładne. Jeśli nie będą idealnie pasować, trudno. Nie mamy czasu na poprawki krawieckie.

Wyjaśnili sklepikarzowi, czego szukają.

– To mają być praktyczne stroje podróżne dla wszystkich.

Właściciel sklepu zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów.

– Nie chcemy się rzucać w oczy – dodał Rigg. – Jak ci dwaj.

– Wskazał Umba i Bochna.

– Jeszcze nic nie przymierzyliście.

– Nie chcemy robić wrażenia tak biednych, żeby oberżyci uważali nas za niewypłacalnych, ani tak bogatych, żeby prowokować złodziei.

Sklepikarz parsknął śmiechem.

– Skoro towarzyszą wam tacy dwaj żołnierze, trzeba by jakiejś bardzo odważnej bandy, żeby na was napadła.

– Nie będziemy wyglądać jak żołnierze – powiedział Oliwienko.

Sklepikarz znowu przyjrzał się jemu i Bochnowi.

– Powodzenia. Nie mam tu czarodziejskich strojów, w których staniecie się wątli i subtelni.

– A ja mógłbym wyglądać na wysokiego? – spytał Umbo.

– To akurat możliwe, jeśli nie przeszkadza ci chodzenie na bardzo wysokich obcasach.

Przymiarki potrwały godzinę, ale wyszli ze sklepu w stosownych i wygodnych ubraniach.

Wyglądali dość zamożnie, jak kupiecka rodzina.

– To kim jesteśmy? – spytał Oliwienko, gdy znowu znaleźli się na ulicy. – Jestem za młody, żeby udawać czyjś ojca. A ty jesteś za stary, szczerze mówiąc.

– Wcześniej nam się udało – powiedział Bochen.

– Bochen będzie ojcem Param i moim – zdecydował Rigg.

– A Umbo to twój kuzyn z górnego biegu rzeki. Wysłano go do Aressa Sessamo, żeby zdobył wykształcenie pod twoim nadzorem.

– No pewnie, wszyscy w to uwierzą – mruknął Umbo.

– Nie powiedziałem, że je zdobyłeś – powiedział Rigg z uśmiechem.

Nikt nie podjął żartów. Umbo lekko się nadał, Param jeszcze bardziej się spłoszyła. Może czuli się nieswojo w nowych strojach. A może bali się tego, co ich czekało.

– Słuchajcie – zaczął znowu Rigg – wiem, o co was proszę. Tylko nam dwojgu grozi prawdziwe niebezpieczeństwo. Ale nie zdołamy dotrzeć do bezpiecznego schronienia – jeśli jest bezpieczne – bez waszej pomocy. Zwłaszcza twojej, Umbo.

– Czy ja coś mówię? – prychnął chłopak.

– Myślałem, że wolisz...

– Przestań przeproszać, że żyjesz. Nie wiesz, kto ci sprzyja? Nie wiesz, co to przyjaźń?

– Nie jesteś bardzo zadowolony.

– Nie jestem. Nie znam tego faceta, ale wiem, że pracuje dla miejskiej straży, a my powierzamy mu własne życie.

– Jeśli nie zjawi się na służbie, do jutra uznają go za dezertera.

– Chyba że właśnie wykonuje misję.

– Sami się do mnie zgłosiliście – zauważył Oliwienko chłodno.

– Mój ojciec mu ufał... mój prawdziwy ojciec.

– I proszę, jak skończył – warknął Umbo. – Można gorzej?

Oliwienko z trudem opanował gniew. Rigg postanowił nie interweniować i pozwolić mu samemu załatwić sprawę.

– Nie znacie mnie – powiedział Oliwienko – ale kochałem jego ojca i opłakiwałem jego śmierć bardziej niż ktokolwiek inny.

– Nie bardziej niż ja – odezwała się Param cicho.

– Ale nikt nie widział twojego smutku. Skąd mogłem wiedzieć? Powiem tylko, że z czasem mnie poznacie, a ja poznam was. Ufam wam, bo Rigg wam ufa. Stawiam na was moje życie i karierę, całą moją przyszłość. A Rigg prosi, żebyście mi zawierzili. Czy kiedykolwiek pomylił się w ocenie człowieka?

– Tak – powiedział Rigg. – Zaufałem matce.

– Nieprawda – szepnęła Param.

– No, może nie bezgranicznie. Ale chciałem jej wierzyć.

– Może tak samo jest z nim? – burknął Bochen. – Może chcesz mu wierzyć?

– Nie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mój strażnik może być kimś, z kim mógłbym porozmawiać. Ale gdy chodziliśmy do biblioteki, zaprzyjaźniłem się z nim. Oliwienko nigdy nie starał mi się przypodobać.

– To tylko dowodzi, jaki jest podstępny.

– Jesteś za młody na taki cynizm – obruszył się Bochen.

– Kiedy dotrzemy do Muru – podjął Rigg – będę was potrzebować. Będziemy się potrzebować nawzajem. Ale wątpię, żeby nam się udało, jeśli nie zdołamy się zjednoczyć.

Spojrzeni na siebie, pod stopy, znowu na siebie.

– Wydostańmy się z tego miasta – odezwała się Param.

– Możemy to obgadać po drodze.

Pojechali miejską dorożką na przedmieścia, zapłacili woźnicy, a potem wynajęli dobry powóz z czwórką koni.

– Nie śpimy na pieniądzach – mamrotał Bochen, ale Rigg wiedział, że została im jeszcze spora sumka. Kupili także jedzenie, namioty, bukłaki, narzędzia, broń – typowe wyposażenie podróżników wybierających się w dzikie okolice. Jeden z dostawców ostrzegł ich, że jeśli planują udać się tam, gdzie rząd nie dba o gościńce, muszą się zaopatrzyć także w zapasowe koła i osie.

– I prowadźcie luzem piątego konia – dodał. – Na wybojach nawet najlepszy powóz nie wytrzyma długo, w końcu będziecie musieli go opuścić. Wtedy piąty koń się wam przyda.

– Zaraz spróbujesz nam wcisnąć siodła.

– Jazdę odczują wasze pośladki i uda, nie moje – odparł dostawca ze złośliwym uśmiechem. – Jeśli koń postanowi biec kłusa, a to ulubiony chód dobrych koni zaprzęgowych, oddacie wszystko nie za siodło, lecz za strzemiona.

Rigg na koniach się nie znał. Miał z nimi kontakt tylko raz – w dzieciństwie, kiedy posadzono go na starej szkapie.

– Szkoda, że nie możemy płynąć rzeką – powiedział.

– Rzeką nam nie po drodze – przypomniał Bochen.

Obaj uświadomili sobie, że prawdopodobnie zdradzili zbyt wiele w obecności obcego. Za parę

dni ludzie generała Obywatela niewątpliwie zaczną go przesłuchiwać, a wtedy wyjdzie na jaw, że nie wyruszyli do domu.

Mało tego, dostawca widział, jak spojrzeli na siebie z minami winowajców, żałując, że za wiele powiedzieli. Teraz już z całą pewnością ich rozmowę zachowa w pamięci. Gdyby poprosili go, żeby nikomu o nich nie wspominał, jeszcze bardziej pogorszyliby tę i tak kiepską sytuację. Z całą pewnością natychmiast po rozstaniu z nimi popędziłby galopem do najbliższego miejskiego strażnika.

Ale mogli mu zasugerować inną przyczynę tego spojrzenia.

– Zastanawiamy się – powiedział Rigg – czy możemy kupić u ciebie mapę. Wybieramy się do krainy, której nie znamy.

– Map nie prowadzę – oznajmił dostawca. – Ludzie na ogół wiedzą, dokąd się stąd udają.

Handlarze mają własne mapy i własne informacje. Inni po prostu wracają do domu i znają tu każde drzewo.

– Czyli będziemy musieli się rozpytywać o drogę w oberżach?

– Jeśli będą ją znali. Oberżysci nie podróżują, więc znają tylko własne miasta. A jeśli zaczniecie wypytywać podróżników, których spotkacie w karczmie, nie wiadomo, czy któryś nie skieruje was na jakieś bezdroża, skąd powrócą tylko wasze kosztowności.

– Kiepski pomysł – mruknął Bochen.

– To nie jedź – odparł Rigg. Wiedział, że Bochen rozumie już jego plan, więc mógł swobodnie grać swoją rolę. – Sam powiedziałeś, że prawdziwy mężczyzna może się sprawdzić, tylko przechodząc przez Mur, więc skoro się wycofujesz...

Bochen przewrócił oczami.

– Głupi smarkacz. Wcale się nie wycofuję.

Wyszli. Rigg wiedział, że jeśli mówią prawdę o tym, dokąd zmierzają, ale przy tym zachowują się nienaturalnie, sklepikarz zacznie podejrzewać, że kłamią – podobnie jak przesłuchujący go żołnierze. A nawet jeśli generał Obywatel uzna jednak, że zmierzają do Muru – Mur jest wielki.

Wkrótce skończyli zakupy. Zrobiło się za późno na prawdziwą podróż. Ale dostawca i stajenny polecili im kilka gospód za miastem. Zanim nastały zupełne ciemności, dotarli do drugiej z kolei. Zatrzymali się w niej na noc, Param w jednym pokoju, za dobrze zaryglowanymi drzwiami, reszta w drugim, na podłodze i w łózkach.

– Jeśli w nocy ktoś choćby zaskrobie do twoich drzwi – powiedział Bochen do Param – wrzeszcz, a w trzymiga go załatwimy.

Pokręciła głową.

– Jeśli ktoś się włamie, zobaczy pusty pokój.

Bochen spojrzał na nią z zaskoczeniem, ale zaraz przypomniał sobie o jej umiejętnościach i wzruszył ramionami.

– Żyjemy w dziwnym świecie – westchnął.

Im dłużej podróżowali, tym osobliwsza stawała się droga. Nie wybrali głównego traktu łączącego ważne miasta, ale gościniec, którym wożono plony i towary na targ. Czasami zmieniał się w ścieżkę na łące czy pastwisku, a Bochen musiał dosiadać piątego konia i jechać na zwiady, żeby sprawdzić, gdzie gościniec znowu się pojawi.

– Za bardzo rzucamy się w oczy – odezwał się pewnego ranka Oliwienko, kiedy wyruszyli z domu bogatego wieśniaka, który zaofiarował Param pokój w domu, a reszcie – stodołę.

– Może przez parę pierwszych dni zwiadowcy będą szukać dziewczyny i chłopca z rodziny królewskiej, albo dziewczyny i chłopca z rodziny królewskiej i ich przyjaciół, chłopca i starego żołnierza. Ale wkrótce się dowiedzą, że kupiliśmy powóz i że jest nas pięcioro. Taki powóz łatwo

namierzyć. Nie dziwiłbym się, gdyby dzielił ich od nas tylko dzień drogi, zwłaszcza że co noc zatrzymujemy się na nocleg w jakiejś gospodzie, oberży czy w domu.

– Przynajmniej trzymamy się z dala od głównych traktów – zauważył Umbo.

– I tym bardziej rzucamy się w oczy – odparł Bochen. – Potwierdziłeś jego słowa, chłopcze.

– Co możemy zrobić? – spytał Rigg. – Jeśli sprzedamy powóz albo go oddamy, tamci się o tym dowiedzą.

– Możemy go gdzieś ukryć? – spytał Umbo.

– Może – mruknął Oliwienko.

– Nie – rzucił Bochen. – Wiem, co bym zrobił jako żołnierz idący czyimś śladem. Nie zdołamy go ukryć tak, żebym nie mógł go znaleźć.

– Prawda – zgodził się Rigg. – Ojciec i ja umieliśmy tropić.

– Ty i te twoje ścieżki... – burknął Umbo.

– Umbo ma rację – odezwała się Param. – Musimy go ukryć.

– I co wtedy zrobisz? – sprzeciwił się Rigg. – Dosiadałaś kiedyś konia?

– Jako dziecko. – Param uśmiechnęła się nagle. – Wiem, że przeze mnie poruszamy się tak powoli i tak rzucamy się w oczy. Powóz jest dla mnie, bo tamtego dnia w mieście, kiedy uciekliśmy, nie potrafiłam przebiec bez zadyszki nawet stu kroków.

Rigg skinął głową i wzruszył ramionami.

– Jesteśmy, jacy jesteśmy. Nikt nie dał ci szansy, żebyś nabrała sił.

– Ale ich nabiorę. A ten powóz mi nie pomaga. Więc go ukryjmy.

– Gdzie? – spytał Oliwienko.

– Jak? – odezwał się jednocześnie Bochen.

– W przeszłości – odpowiedziała.

Rigg zwymyślał się w duchu – czemu sam na to nie wpadł?

– Tak daleko w przeszłości, żeby ktoś go znalazł i ukradł, a wtedy nikt go nie znajdzie.

Albo żeby powózgnił przez sto lat na wietrze i deszczu. Wtedy ludzie Obywatela na pewno nie poznają, że to ten, którym podróżowaliście.

Wybrali miejsce, gdzie droga zbiegała łagodnie w dół zbocza, ciągnąc się przez jakąś milę do strumienia. Szybko wyprzęgli konie i przywiązali je na łące po lewej stronie drogi, gdzie zaczęły spokojnie skubać trawę. Trzy niosły juki z zapasami, sprawnie spakowane przez Bochna.

– Przepraszam, że nie potrafię tego zrobić – powiedział Oliwienko. – W miejskiej straży nie musieliśmy pakować juków.

– Jak powiedział Rigg, jesteśmy, kim jesteśmy – odparł Bochen.

– No dobrze – odezwał się Rigg. – Nasza czwórka wróci w przeszłość i zepchnie powóz z drogi. Jeśli stoczy się do strumienia, będzie to wyglądać, jakby miał wypadek. Param zostanie przy koniach.

– A ja przy niej – dodał Umbo.

– Nie jesteś bardzo duży, ale możesz pomóc – powiedział Bochen.

– Nie wracam z wami w przeszłość. Nie teraz, gdy Param będzie na nas czekać w terażniejszości.

– Dlaczego to ci przeszkadza? – zdziwił się Rigg.

Umbo spojrział na Bochna.

– Pamiętasz, co się stało, kiedy w O wykopaliśmy kamienie?

Żołnierz pokiwał głową.

– Fakt. Gdy Umbo wybiera się w przeszłość, nie wraca dokładnie w czasy, z których wyrusza.

Czasem trafia o dzień za późno albo za wcześnie.

– A wtedy cofnąłem się tylko parę miesięcy – dodał Umbo.

– Kto wie, jak daleko by mnie zniosło, gdybyśmy skoczyli o sto lat. Albo dwieście. A jeśli przeskoczę miesiąc?

– Więc zaczekaj tu z Param – zdecydował Rigg. – To budzi kolejne pytanie. Kiedy zepchnąłem Param w przeszłość, wzięli ją za ręce ludzie, dla których te czasy były terażniejszością. Komu powierzymy powóz?

– A nie możemy go po prostu zostawić? – spytał Bochen.

– Szaleństwo – mruknął Oliwienko. – Prosto z Biblioteki Nicości.

– No, nie wiem – powiedział Rigg. – Nawet nie jestem pewien, czy możemy ze sobą zabrać coś większego od nas. Może oprzemy dłonie o górę i zepchniemy ją w przeszłość?

Dlaczego ziemia nie przenosi się z nami za każdym razem, gdy podróżujemy w czasie?

– Nasze ubrania się przenoszą... co mnie akurat się podoba – zauważyła Param.

– Moim zdaniem ziemia i wszystko, co w niej tkwi, zostaje w terażniejszości, bo czas jest związany ze światem – powiedział Umbo. – Pamiętasz, Rigg? W przeciwnym razie, podróżując w czasie, lądowalibyśmy w przestrzeni międzygwiazdnej, prawda?

– Więc powóz przynależy do ziemi? – spytał Rigg. – Będziemy musieli go podnieść?

– Raczej nie – odparł Bochen. – Przecież musimy się trzymać za ręce, jak wtedy, gdy wracaliśmy po Oliwienkę.

– Przestańmy gadać i zacznijmy działać – zdecydował Rigg.

Po chwili on, Oliwienko i Bochen mocno trzymali powóz prawymi rękami, połączywszy lewe dłonie w potrójnym uścisku.

Rigg zaczął szukać nadającej się do użycia ścieżki. Starej, ponadstuletniej. Znalazł jedną – krowy, która przeszła przez łąkę przy drodze.

– Umbo, jestem gotowy – odezwał się.

Poczuł zachodzącą w nim znajomą zmianę, gdy ścieżki na drodze zaczęły się zmieniać w ludzi – idących pieszo lub jadących konno. Skupił wzrok na krowie. Nigdy nie korzystał ze ścieżki zwierzęcia. Okazało się, że to trudne. Wyglądało na to, że łatwiej przywrzeć do bardziej inteligentnych umysłów ludzi. Myśli krowy nieustannie się wymykały. Trochę się rozmazywały, choć obraz pozostawał dość wyraźny. Tak jakby się patrzyło zaspanymi oczami na świat o pierwszym świcie.

Krowa pasła się za płotem. Droga była ogrodzona z obu stron. Tego nie przewidział. Ten teren był niegdyś gęściej zaludniony, a te łąki były pastwiskami. Na drodze także panował większy ruch – nie porosła trawą.

– Widzicie płoty? – spytał Rigg.

– Tak – odpowiedzieli Bochen i Oliwienko.

– To jesteśmy na miejscu. Nie odrywajcie rąk od powozu. Ale jeden z was – Oliwienko, dobrze? – niech puści moją dłoń.

– Po co?

– Żeby sprawdzić, czy wrócisz do terażniejszości, do Umba.

– Przecież Umbo jest z nami.

– Tak to wygląda. Widzimy go, bo za jego sprawą cofnęliśmy się w czasie. Teraz sprawdzimy, czy zdołasz wrócić do terażniejszości, jeśli mnie puścisz.

Oliwienko posłuchał, nadal trzymając powóz. Nie zniknął.

– Zrobimy jeszcze jedną próbę – powiedział Rigg. Puścił Bochna i podniósł parę kamyków z

drogi. Wrzucił je do pojazdu. Zagrzecotały o podłogę, niektóre odbiły się od drzwi. – Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale powóz jest tu z nami.

– W rzeczy samej – mruknął Bochen. – Co za ulga, że nie trzymam się nicości.

– Jeśli kamienie z przeszłości uderzają o powóz, to powóz znajduje się w przeszłości.

– Albo przeniosłeś kamienie w przyszłość.

– Spróbujmy go przesunąć.

– Chcesz powiedzieć, że przesunę go ja i Oliwienko, bo ty nie przydasz się na wiele.

– Przepraszam, że nie zmężniałem w domu Flaccommo.

– Zmężniałeś. I urosłeś. Ale nie bardzo.

– Nie odrywajcie rąk od powozu.

A Bochen natychmiast odsunął obie ręce od pojazdu.

– Wielkie dzięki – warknął Rigg.

– Przemawia przez ciebie ostrożność, i słusznie, ale uznałem, że musimy sprawdzić, czy zerwanie kontaktu z powozem rzuci nas z powrotem w przeszłość. Albo teraźniejszość, zależy od punktu widzenia. Tak się nie stało. Nadal widzę krowę i płoty. Jak już tu trafiliśmy, to na dobre, dopóki Umbo nas tu trzyma.

– Martwiłem się, czy powóz zostanie w tych czasach.

– Więc wszyscy go puścimy i wrócimy w teraźniejszość Umba i Param. Sprawdzimy, co się stanie.

– Nie chcę, żeby został tutaj, przy drodze.

– Wrócimy i go przesuniemy. Najpierw sprawdźmy. Zanim się natyramy przy spychaniu go ze wzgórza tylko po to, żeby został w teraźniejszości, gdzie natychmiast zobaczą go ludzie generała Obywatela.

– Sprytnie – pochwalił Rigg.

– Mówisz tak, jakby to, że sierżant Bochen wpadł na ten pomysł, a nie ty, musiało koniecznie oznaczać, że jesteś głupi.

– Przywyknij – mruknął Bochen. – Rigg ciągle się dziwi, kiedy ktoś okazuje się mądrzejszy od niego.

– Wszyscy puszczamy powóz – zarządził Rigg, nie zwracając na nich uwagi. – Umbo, sprowadź nas w teraźniejszość.

Płoty znikły. Krowa też. I powóz.

– Dobra robota – pochwalił ich Umbo. – Pozbyliście się go.

– Przecież nie ruszyliśmy go z miejsca, a zniknął – zdziwił się Oliwienko.

Rigg rozpatrzył ścieżki na drodze i znalazł odpowiedź.

– Dzień po naszym odejściu do powozu zbliżyło się pół tuzina ścieżek. Zatrzymały się przy nim. Kilka koni... nie, za małe. Osły. Może nie idealne, ale na tyle silne, że mogły pociągnąć pojazd. Zabrali go... do tamtej szopy.

– Jakiej szopy? – spytał Oliwienko.

– Do tej gnijącej drewnianej ruiny – odgadł Umbo, wskazując palcem. – To była kiedyś szopa.

Rigg ruszył biegiem; Umbo zaraz go dogonił.

– Zostań tam, Param!

Te słowa niemal w stu procentach gwarantowały, że Param zejdzie po wyboistym zboczku z Oliwienką i Bochnem.

W prostokacie ograniczonym resztkami ścian, wśród resztek zawalonego od pięćdziesięciu lat dachu, nadal można było rozpoznać koła powozu i jego zardzewiałe, poczerńnięte metalowe okucia.

– No, no – mruknął Bochen. – Coś takiego!

– Zmarnowali dobry powóz – dodał Oliwienko. – Zabrali z drogi i nic z nim nie zrobili.

– Ale kryjówka dobra – zauważył Umbo.

– Pewnie początkowo wyprowadzili go parę razy – odgadł Rigg. – Trzeba poczwórnego zaprzęgu, żeby go ruszyć z miejsca. Nie zawsze podróżowali nim ci sami ludzie, powóz służył całej okolicy. Naliczyłem... pięć różnych grup, które zabrały go kilka razy. Ale zawsze te same konie.

– Kupili czwórkę koni? – zdziwił się Umbo.

Rigg rozumiał jego zaskoczenie. Nikt w Wodobrodzie nie mógł sobie pozwolić na cztery konie jednocześnie.

– Chyba musieli się złożyć – powiedział Bochen.

– Już nie kupili następnych – oznajmił Rigg, patrząc na ścieżki. – Przez jakiś czas powóz ciągnęły trzy konie, potem dwa. W końcu przestał jeździć. Więc korzystali z niego, dopóki żyły konie.

– Pewnie zatyrali je na śmierć przy pługu i w kieracie – mruknął Bochen.

– Nie wiem, czy wyciąganie powozu z szopy wydawało im się warte zachodu.

– Nasz drobny podarek sporo ich kosztował – dodał Rigg.

– No co wy, byli zachwyceni – sprzeciwił się Umbo. – A gdybyśmy my mogli w dzieciństwie jeździć powozem, Rigg?

– Wyobraź sobie, że twój ojciec robi składkę na kupno nawet nie konia, tylko świni, a potem się nią dzieli!

Umbo zadrzał.

– Wracajmy na drogę. Tamci nie będą czekać, aż skończymy. A jeśli już nas dogonili? Co wtedy?

Rigg wrócił na szczyt wzgórza do koni. Widział, że wspinaczka przychodzi Param z trudnością, ale nie zwolnił, bo Oliwienko czuwał tuż obok, gotów do pomocy. Na szczycie wzgórza, pogłaskawszy konia, którego uznał za swojego, popatrzył na nowe ścieżki, jakie utworzyły się na drodze za nimi. Na przestrzeni wielu mil nie dostrzegł żadnej z wyjątkiem należących do zwierząt i tutejszych mieszkańców. Na razie nic ich nie nagliło.

Przez chwilę wydawało mu się, że powinni cofnąć się wszyscy wraz z końmi o parę dni w przeszłość, żeby jeszcze bardziej zgubić się tym, którzy ich ścigali. W końcu zrezygnował z pomysłu, nie mówiąc o nim głośno. Żeby wrócić, musieliby się ucześcić kogoś, tak jak wcześniej Oliwienki. To by zapadło wszystkim w pamięć, a ludzie generała Obywatela dowiedzieliby się, że przyjaciele Rigga podróżują w czasie.

A gdyby cofnęli się o dziesięć, piętnaście, sto lat w przeszłość? Co wtedy? Czy można przewidzieć, jakich kłopotów by sobie narobili? Może zmieniliby przyszłość. Może powstałaby o nich legenda o pojawiających się znikąd podróżnikach – albo gorzej, o księciu i księżniczce. Generał Obywatel albo matka by się domyślili, co się stało, i zastawiliby na nich zasadzkę na drodze. Nie, muszą podróżować w teraźniejszości, dopóki to możliwe.

Poruszali się teraz szybciej, choć trzech szło pieszo. Param jechała na koniu – i tak się męczyła. Bochen pojechał na drugim na zwiady. Wkrótce Param zaczęła mówić, że chce iść pieszo.

– Nigdy nie nabiorę sił, jeśli będę jechać konno. Poza tym wcale nie jest mi tu wygodnie.

Mam otarte uda i cała jestem poobijana.

W ten sposób podróżowali dwa tygodnie. Param stopniowo przechodziła coraz dłuższe odcinki drogi, aż w końcu nie musiała już odpoczywać na koniu. W dwóch wiejskich gospodarstwach kupili zapasy jedzenia. Właściciel ostatniego powiedział:

– Nie wiem, dokąd się wybieracie, ale tam tego nie ma.

- Czego? – spytał Oliwienko.
- Niczego. Tam nic nie ma.
- Może właśnie o to nam chodzi.
- Wydaje wam się, że znajdziecie Mur.
- Mur?
- A tak. I znajdziecie go. Tam. Za dzień lub dwa.
- Czy w okolicy są jacyś rabusie? – spytał Bochen.
- Możliwe. Ale nas tu nie niepokoją.
- Więc nic nam się nie stanie – powiedział Oliwienko.
- Przed czym uciekacie? – zaciekawiał się gospodarz.

Rigg zaniepokoił się kierunkiem, który obrała ta rozmowa.

- Przed wami. Chcemy dotrzeć tam, gdzie nikt nie wścibia nosa w nie swoje sprawy.

– Żołnierze patrolują te okolice – ciągnął gospodarz niewzruszony. – Nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawią. Pomyślałem, że powinniście to wiedzieć, gdybyście na przykład uciekali i nie chcieli dać się złapać.

Rigg zmienił zdanie o swoim rozmówcy.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

– A jak ci się wydaje, jacy ludzie mieszkają w tych okolicach? – odparł gospodarz z uśmiechem. – Jak się uciekło z żoną bogacza, trzeba znaleźć odludzie, na którym stary rogacz was nigdy nie znajdzie. Blisko Muru, ale nie za blisko. Wiem, co znaczy ucieczka. Moja żona też.

Rigg spojrzał na prawie zupełnie bezzębną kobietę tulącą do siebie piątkę dzieci i pomyślał: Ciekawe, czy jest zadowolona ze swojej decyzji. Na jej twarzy zachowały się jeszcze ślady dawnej urody.

Zapłacili za zapasy dokładnie tyle, ile zażądał gospodarz, nie targując się, bo w cenę wliczone było także jego milczenie – o ile można je kupić – oraz podziękowanie za dobrą radę.

Za gospodarstwem nie było już żadnej drogi. Idąc dalej po górach i dolinach, Rigg nie mógł przestać myśleć o żonie wieśniaka. W końcu nie wytrzymał.

- Dlaczego zamieniła wygodne życie na to, co ma tutaj?

- Nie wiedziała, co ją czeka – odparł Umbo. – A potem było za późno.

– Znała ten świat – dodał Oliwienko. – Kiedy straciłaby urodę, bogaty mąż zastąpiłby ją młodszą.

- Kochała tego mężczyznę – podsunął Bochen. – Pewnie jeszcze zanim wyszła za bogacza.

Rodzice ją do tego namówili, a ona zrozumiała, że niesłusznie ich posłuchała. Oto cała historia.

Rigg spojrzał na Param, która uśmiechnęła się lekko.

- Chciała mieć dzieci z nim, nie z tamtym.

Pozostali parsknęli śmiechem.

- To aż tak proste?

- Może sama by tego nie przyznała, ale tak, to aż tak proste. Tak powiedziała matka.

- Ach, matka. Tak wyjaśniła, dlaczego wyszła za ojca Knosso? – spytał Rigg.

- Mówiła o innych kobietach. Inne kobiety wychodzą za mąż z tego powodu.

- A ona?

- Dla dobra królewskiego rodu.

- Innymi słowy – powiedział Bochen – chciała urodzić jego dzieci.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

Do Muru dotarli cztery, nie dwa dni po odwiedzeniu gospodarstwa. Nic w tym dziwnego, bo

zamiast na wschód, zmiierzali na południowy wschód. Nie zobaczyli Muru, lecz go wyczuli.

– Zauważyliście, że skręciliśmy na południe? – spytał Bochen.

– Naprawdę? – zdziwił się Oliwienko.

Rigg i Umbo nie musieli pytać.

– Koń nie chciał dalej iść na wschód – powiedział Umbo.

– Wyczuwają to. To odpychanie.

Param zadrżała.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że tym uczuciem emanuje Mur.

– Sama myśl o pójściu w tamtą stronę wytrącała cię z równowagi, prawda? – spytał Bochen.

– Tak jakbym z własnej woli chciała zapaść w koszmar.

– Właśnie.

Oliwienko podał Riggowi cugle konia, którego prowadził. Potem ruszył na wschód skłonem wzgórza. Wkrótce zniknął po jego drugiej stronie.

– Wróci – powiedział Bochen.

I rzeczywiście, Oliwienko pojawił się na południu. Szedł energicznie, aż w końcu usłyszał ich wołanie. Na ich widok wyraźnie się zdziwił.

– Jak to zrobiliście? – spytał, podbiegając. – Jak to możliwe, żeście mnie przegonili?

Roześmiali się.

– To wpływ Muru. On tobą steruje. Szedłeś przed siebie, szybko i energicznie, prawda? – wyjaśnił Bochen. – Myślałeś, że się przebijesz. Ale Mur cię urabia. Z każdym krokiem trochę zmieniałeś kierunek, coraz bardziej się od niego oddalając, choć zdawało ci się, że wciąż do niego zmierzasz.

– Nie ruszyliście się z miejsca? – Dopiero teraz Oliwienko zauważył, że konie znajdują się tam, gdzie je zostawił. – Czekaliście tutaj?

– Mur odpycha od siebie? – spytała Param.

– Nie. Napełnia cię przerażeniem i rozpaczą – wyjaśnił Bochen. – Twój umysł nie może tego zniesić, więc cię zwodzi tak, żebyś bardziej się nie zbliżał.

– Chciałem poznać to uczucie – wyjaśnił Oliwienko. – Tak naprawdę nie sądziłem, że się przebiję.

– Żeby się przeprawić na drugą stronę, musisz wybrać sobie na niej punkt orientacyjny. A mówiąc „wybrać”, mam na myśli zapisać, jak wygląda, i często spoglądać na ów opis, żeby o nim nie zapomnieć. Wybierasz punkt orientacyjny i idziesz prosto na niego, nie odrywając od niego oczu dłużej niż na chwilę. Wtedy zbliżysz się do Muru na tyle, żeby go poczuć.

– W takim razie chcę to zrobić – oznajmił Oliwienko. – Żeby wiedzieć, jak to jest.

– Nigdy nie śnił ci się koszmar? Nigdy nie budziłeś się zlany zimnym potem, z płaczem?

Oliwienko wzruszył lekko ramionami.

– To znaczy, że już wiem?

– To znaczy, że nie chcesz się dowiedzieć. Bo im bardziej się zbliżasz, tym więcej przyczyn wyszukuje twój umysł, żebyś był przerażony i zrozpaczony. Zaczynasz widzieć potwory, straszne zbrodnie, twoich bliskich torturowanych lub martwych. A potem do końca życia pamiętasz to wszystko, co pokazał ci twój mózg, żeby uzasadnić straszne doznania.

– I zastanawiam się, jak ludzie mogą nie rozumieć, że to nie jest nawiedzone miejsce, tylko tak działa Mur – powiedział Oliwienko, w którym zwyciężyła pasja naukowca.

– Nie doświadczyłeś działania Muru, kiedy zbliżyłeś się do niego z ojcem Knosso? – spytał Rigg.

Oliwienko pokręcił głową.

– Twój ojciec zakazał się nam zbliżać. Ale znalazłem się na tyle blisko, żeby zobaczyć boje sygnalizujące obecność Muru. Znajdują się tam od tysiąca lat, ostrzegają statki przed katastrofą. Jeśli wiatr powieje w niewłaściwym kierunku i marynarze za bardzo się zbliżą, oszaleją. Wszyscy wiedzą, że łódź może przeniknąć przez Mur. Twój ojciec tylko wymyślił, że pozbawi się przytomności na czas przejścia.

– Nie bał się snów? Koszmarów?

– Pod wpływem leków zapadł w sen bez majaków. Nie wiemy, czy się udało. Nie zdołał nam powiedzieć.

– Chodźmy dalej – powiedział Bochen. – Chyba że chcesz spróbować jeszcze raz.

– Nie – powiedział Oliwienko. – Będzie dość czasu na okropieństwa Muru, kiedy dotrzemy do miejsca, w którym się przez niego przeprawimy. – Spojrzał na Riggę. – Na co czekamy?

– Szukamy równiny. Kamienistej, bez drzew ani stromizn, z których mogą schodzić lawiny kamieni czy błota. Ojciec i ja widzieliśmy coś takiego na Stromogórze. Cała okolica była niecką ogromnego jeziora z Wodospadem Kosmolo nieopodal. Ale potem woda zaczęła coraz bardziej drażnić swoje koryto, powierzchnia jeziora stopniowo opadała, aż w końcu zmieniło się ono w rozlewisko rzeki, spadającej z krawędzi urwiska do głębokiego kanionu, który dwanaście tysięcy lat temu jeszcze nie istniał.

– Widziałeś przeszłość? – spytała Param. – I jezioro?

– Widziałem ścieżki ludzi. Drogi, którymi chodzili. Miejsca, w których pływali. Mosty.

Ścieżki w powietrzu, gdzie kiedyś znajdował się grunt, który erodował. Nikt z nas nie umie latać. Musimy wybrać miejsce, które nie uległo erozji, miejsce, w którym ścieżka, jaką wybierzemy, nie znajdzie się w powietrzu. Takie miejsce, w którym nie ma wielu zwierząt, żeby nie znaleźć się oko w oko z drapieżnikiem, który uzna nas za smaczne kąski. Miejsce, które dwanaście tysięcy lat temu wyglądało tak samo jak dziś.

– O, tylko tyle? – mruknął Bochen.

– Bo co? Znasz takie?

– Znam wyłącznie zachodni Mur. I dobrze wiesz, że to była ironia.

– Przed przybyciem ludzi żyły tu zwierzęta – podjął Rigg.

– Nie małe, jak ebbeki, ryjce i nibydzwiedzie. Niektóre były po prostu ogromne. Inne – ogromne i drapieżne. Szukałem ich, kiedy zbliżaliśmy się do Muru. Większość tych pradawnych nie przypomina znanych mi zwierząt. Stare ścieżki są blade, zamazane i nie mają nic wspólnego ze zwierzętami, które tropiłem dla ich futer, więc aż do tej pory nigdy dokładnie się im nie przyjrzałem. Są inne. Nie z tej ziemi.

– Z innej planety? – spytał Umbo.

– Tak, o to mi chodziło.

– Jakiej planety? – chciała wiedzieć Param.

– Z tej. Z Arkadii. My tu jesteśmy intruzami. My jesteśmy obcy. Zjawiliśmy się nie dawniej niż 11 191 lat temu. Wcześniej ten świat wyglądał inaczej, zamieszkiwały go inne istoty. Posłużę się jedną z nich, żeby skoczyć w daleką przeszłość, zanim powstał Mur.

– Więc będziemy pierwszymi ludźmi, którzy postawią stopę w tamtym świecie – powiedział Oliwienko. – To jeszcze większe szaleństwo niż pomysły twojego ojca.

– O wiele większe – zgodził się Rigg. – W samej rzeczy.

Jednak w końcu nie znaleźli idealnego miejsca, bo gdy szli przez jałowy krajobraz z niewieloma mizernymi drzewkami i krzakami, Rigg zauważył nowe ścieżki zbiegające się z ich ścieżkami –

oddalone o wiele mil, ale jedynie parę godzin od nich, o ile poszliby dalej.

Zbliżały się do nich, nawet kiedy nie zwalniali tempa.

Powiedział o nich innym. W pierwszej chwili chcieli przyspieszyć, ale ich powstrzymał.

– Do Muru niedaleko. Grunt jest wystarczająco skalisty. Między nami a Murem nie płynie żadna rzeka. Muszę jeszcze znaleźć ścieżkę, którą możemy pójść. Znikniemy, zanim tamci się tu dostaną.

– Jeśli nam się w ogóle uda.

– Dzięki za optymizm – mruknął Rigg.

– Jeśli się nie uda, nie będzie walki – odezwała się Param.

– Zabiorą mnie i Rigga, a wy będziecie mogli odejść.

– Oni mogą mieć na ten temat własne zdanie – mruknął Bochen. – Nawet jeśli dadzą nam słowo, raczej wątpię, żeby go dotrzymali.

– Nie żartuj – powiedziała Param. – Umbo cofnie was dwóch o miesiąc w przeszłość. Albo o rok. Znikniecie i będziecie mieć mnóstwo czasu, żeby się ukryć. Nigdy was nie znajdą. Nie musicie przechodzić przez Mur, żeby uniknąć niebezpieczeństwa. Musimy tylko my, wybrańcy, my, szczęściarze z rodziny królewskiej. – Uśmiechnęła się ze smutkiem. – A na razie pozwólmy Riggowi skupić się na znalezieniu właściwego miejsca.

Umbo wyjął zza pazuchy woreczek klejnotów.

– Rigg, weź to.

– No pewnie, rozprasza go – szepnęła Param.

– Po co? Dobrze ich strzegłeś – zdziwił się Rigg.

– Bo są twoje. Złoty Człowiek dał je tobie.

– Kto?

– Twój ojciec.

– Nikt nigdy go tak nie nazywał.

– Tylko my, dzieci. Wszyscy go tak nazywaliśmy. Ale nie w oczy – i nie przy tobie.

– Ale Złoty Człowiek jest Nieśmiertelnym. Mój ojciec raczej nie zasługuje na ten tytuł.

– On dał tobie klejnoty, więc ty powinieneś je mieć. Poza tym na co się przydadzą mnie, Bochnowi i Oliwience, jeśli będziemy musieli się ukrywać? Właśnie się przekonaliśmy, co nam przyjdzie z ich sprzedawania. – Umbo sięgnął do pasa po sztylet, który Rigg ukradł z przeszłości.

– Zatrzymaj nóż. Teraz należy do ciebie – oznajmił Rigg. A gdy Umbo chciał zaprotestować, dodał: – To podarunek.

– Rigg – odezwała się Param – nie rozumiem, dlaczego musimy się rozdzielić. Umbo mógłby zabrać w przeszłość nas wszystkich jednocześnie. Dowiódł tego, kiedy zabrał nas w czasy Oliwienki.

Umbo uprzedził odpowiedź Rigga.

– Rigg nie martwi się o skok w przeszłość, tylko o powrót do terażniejszości.

– Tyle razy to robiłeś! Wysyłałeś wiadomości do siebie, Rigga, Bochna...

– Jest inaczej, kiedy po prostu pojawia się komuś i z nim rozmawiam. Częściowo tkwię w terażniejszości i tylko część mnie wraca. Albo znajduję się w obu czasach jednocześnie.

Ale kiedy przenoszę się zupełnie – jak wtedy, gdy wróciłem z Bochnem po klejnot ze skrytki koło Wieży O – wracając do terażniejszości, nie docieram dokładnie w chwilę, z której wyruszyłem. Wróciliśmy na dzień przed dotarciem do Wieży O. Na ponad dzień przed cofnięciem się w przeszłość.

– Co to jest dzień? Kogo obchodzi jeden dzień?

– Najmocniej przepraszam. Nigdy nie wiadomo, czy to będzie tylko dzień. Może tak. Ale może

chodzi o zachowanie proporcji? Cofnęliśmy się o pół roku, a wróciłem nieco ponad jeden dzień wcześniej. Jeśli skoczymy o rok, może będą to dwa dni. Tysiąc lat – ponad dwa tysiące dni. Jedenaście tysięcy lat – ponad dwadzieścia dwa tysiące dni. Pięćdziesiąt lat!

Param skinęła głową.

– Ale czy to ważne, skoro opuścimy ten świat?

– A jeżeli zechcemy tu wrócić? A jeżeli znajdziemy sposób na obalenie generała Obywatela?

Bo mam wrażenie, że on i matka przypomną wszystkim, dlaczego doszło do rewolucji ludowej. Co nam przyjdzie ze zjawienia się trzydzieści lat przed naszymi narodzinami?

– Albo trzysta – dodał Umbo. – Tego nie da się przewidzieć.

– Albo może – ciągnął Rigg – po tak dalekim skoku w przeszłość Umbo nie zdoła wrócić i utknęlibyśmy w świecie, w którym jeszcze nie pojawili się ludzie. Nie stać nas na taki eksperyment. Gra idzie o zbyt wysoką stawkę.

– Więc ja zostanę w teraźniejszości – zaproponował Umbo.

– Poślę Rigga, Bochna i Oliwienkę w przeszłość, w czasy przed powstaniem Muru. Oni poczekają, aż przejdziemy przez Mur dzięki twojej mocy niewidzialności. Jeśli nam się uda.

– A jeśli nie? Jeśli Mur zatrzyma nas nawet w zwolnionym czasie?

– Wtedy przybędę i was ściągnę – powiedziała Param.

– Zostawiając Umba.

– Bez nas nic mu nie grozi.

– Dlaczego miałbym kogoś obchodzić? – spytał Umbo. Silił się na lekki ton, ale w jego głosie brzmiała jakaś ostra nutka. Może tak naprawdę dręczyło go to, że z punktu widzenia historii jest nikim.

– Masz rację – powiedział Rigg. – Nie obchodzisz tych ludzi, ponieważ są głupi. A masz największą moc. Potrafisz podróżować w czasie. Potrafisz dokonywać zmian. Tylko ty.

Param znowu spojrzała na Umba. Może nigdy nie przyszło jej do głowy – jej, wychowanej w świecie, gdzie tylko osoby krwi królewskiej miały znaczenie – że ten chłopiec zasługuje na uwagę. Był synem wieśniaka. Ale był też jedynym w tym świecie podróżnikiem w czasie. Pierwszy raz zaświtała jej myśl, że szlachetność urodzenia nic nie znaczy. Tylko to, co robisz i co postanawiasz robić, czyni cię ważnym i naprawdę szlachetnym.

Przeszli nieco dalej, na szczyt pagórka. Rigg zrozumiał, że to właściwe miejsce. Nie idealne – znajdowały się tu osypiska i miejsca, które niemal na pewno ukształtował niesiony przez wiatr piasek. Ale to wzgórze wznosiło się na środku równiny nieprzeciętej żadną rzeką.

I widział ścieżki pradawnych zwierząt przechodzących przez Mur. Ich umiejscowienie wskazywało, że teren zmienił się bardzo nieznacznie.

– To wystarczy – oznajmił. – Jak powiedział Bochen – jeśli w ogóle się uda.

Doprowadzili konie na skraj miejsca, w którym zaczynało się odczuwać wpływ Muru, i rozjuczyli je. Zajęły się skubaniem skąpej trawki.

Rigg wspiął się na osypisko, z którego widział tereny za Murem. Umbo stanął obok niego. W końcu Rigg dostrzegł dalekie ścieżki, dzięki którym mógł ocenić, jak daleko jest do Muru.

– Jakaś mila – powiedział. – Widzisz ten pochyły dąb koło skały? Kiedy tam dotrzemy, sprowadź nas do teraźniejszości.

– To więcej niż mila.

– Pewnie tak.

– Jak szybko możecie ją przejść z bagażami?

– Szybko. Param zostanie z tobą.

– A jeśli umiejętność Param nie pozwoli nam jednak przebyć Muru?

– Wtedy przynajmniej znikniecie do czasu, aż tamci odejdą.

– Może Param i ja powinniśmy przejść pierwsi, by się upewnić, że potrafimy – powiedział Umbo.

– Pomysł byłby dobry, gdyby tamci nie znajdowali się o godzinę drogi od nas – odparł Rigg. – Kiedy Param staje się niewidzialna, porusza się niezmiernie powoli. Moglibyśmy czekać tydzień, może dłużej, aż przebędzie tę milę.

– No to niech będzie. Posiedzę tu i popilnuję. Pomóżcie Param we wspinaczkę.

– Niech święci nad tobą czuwają – powiedział Rigg i odwrócił się, żeby odejść.

– Czekaj! – zatrzymał go Umbo. – Nie powinniśmy mieć prowiantu?

Rigg parsknął śmiechem.

– Umbo, dla ciebie minie najwyżej godzina. Tyle, ile zajmie wam przebycie mili. Nie zgłodniejesz. Nawet nie będzie ci się chciało siku.

– Chce mi się teraz.

– To idź na tamtą stronę góry, a ja poprowadzę Param tędy.

Rigg zszedł na dół i rozejrzał się za Param.

Nigdzie jej nie było.

Znalazł jej ścieżkę i zrozumiał, że jednak przeprowadzała próbę. Poruszała się szybciej niż kiedyś w stanie niewidzialności, ale znajdowała się na granicy widzialności – dostrzegał lśnienie w powietrzu tam, gdzie była, zarysy jej sylwetki.

Mimo wszystko przemieszczała się o wiele wolniej niż idący spacerem człowiek. Jak daleko zamierzała dotrzeć? Bo ścieżki ludzi, którzy ją ścigali, nieustannie się zbliżały. Rigg wraz z towarzyszami musiał przejść przez Mur, zanim Umbo zniknie z Param. Czemu marnowała cenne minuty na eksperyment? Dla niej minęło tylko parę chwil. Nie zbliżyła się do Muru bliżej niż na kilkadziesiąt metrów. Co na tym zyskała?

Stała się widzialna.

Krzyknęła.

Rigg rzucił się do niej, podobnie jak Oliwienko i Bochen.

– Idę po nią! – zawołał Rigg. – Nie zbliżajcie się! – Już poczuł rozpacz i przerażenie.

Świadomość, że nigdy do niej nie dotrze, że wszystko stracone. Wiedział, dlaczego krzyknęła.

Param szła do niego chwiejnie, z twarzą wykrzywioną przerażeniem i szaleństwem.

– Biegnij do mnie! – krzyknął. – Nie znikaj! Nie mamy czasu!

Po chwili do niej dotarł, ale strach stał się nie do wytrzymania. Jego umysł nieustannie znajdował powody do paniki. Utkną w Murze i nigdy się nie wydostaną. Ziemia się otworzy i ich pochłonie. Generał Obywatel już tu jest, zaraz ich zabije. Nic się nie uda, wszystko zawiedzie.

Param nie zdołałaby dotrzeć tak daleko, gdyby to wszystko czuła. Wracając w stan niewidzialności, mogła odciąć się od tych doznań. Ale wtedy naprawdę mieliby powód do rozpacz, bo zanim Param by zakończyła swoją powolną podróż, ścigający ich znaleźliby się zbyt blisko.

Była silniejsza, niż Rigg sądził. Zresztą on także był silniejszy, niż mu się zdawało, bo nie przyspieszyła swoich ruchów w podróży w czasie, by położyć kres cierpieniu, a on nie błagał jej o to, choć bardzo tego pragnął.

Zrobili jeszcze jeden krok, i następny. Nagle przerażenie osłabło. Dwa kolejne kroki i zupełnie się od niego uwolnili. Stanęli obok pozostałych.

– Musiałam wiedzieć – powiedziała Param. – Musiałam wiedzieć, czy ta mało ważna umiejętność pozwoli nam na przejście.

– I...? – spytał Rigg.

– Czułam to nawet w zwolnionym czasie. Myślałam, że moja zdolność wcale nie chroni mnie przed wpływem Muru, strasznie się męczyłam. Ale kiedy wróciłam do czasu realnego, zrobiło się jeszcze gorzej. Nie do zniesienia. Tak jak mówiłaś. Więc moja zdolność funkcjonuje. A jeśli jeszcze bardziej zwolnię, Umbo i ja nic nie pocujemy. Albo doznania będą tak słabe, że nie zrobią na nas wrażenia. I jeszcze jedno. Nie narastają w nieskończoność. Szybko osiągają szczyt i na nim pozostają. Właśnie wtedy się zatrzymałam – bo wiedziałam już, że nie robi się z każdym krokiem gorzej. To, czego tu doświadczyliśmy, mój bracie, to chyba najgorsze, co może nam zrobić Mur.

– Mnie się i tak nie podoba – mruknął Rigg.

– Masz całą twarz we łzach i smarkach – dodał Bochen. – Przykro patrzeć.

Rigg wytarł chusteczką usta i nos i łypnął groźnie.

– Zabierzcie ją do Umba, a potem zejdźcie tutaj i weźcie plecaki. Będziemy musieli przebiec tę milę, jeśli mamy to załatwić, zanim znajdzie się tu generał Obywatel ze swoimi ludźmi.

– Sam generał Obywatel?

– Znam jego ścieżkę.

– Ale nie matka – odezwała się Param. Ona wkrótce także zacznie widzieć.

– Matka też – powiedział Rigg.

– Przybyła, żeby popatrzeć, jak nas chwytają? Jak nas zabijają?

– Albo jak przechodzimy przez Mur. Jadą konno, galopem. Zanieście ją na tę skałę!

Przeniesienie Param do Umba, powrót i włożenie plecaków zajęło im pięć minut, choć się spieszyli.

– Gotowi? – spytał Rigg.

– Tak – powiedział Oliwienko.

– Bardziej gotowy nie będę – dodał Bochen.

Rigg sprowadził ich na prastarą ścieżkę, którą mieli podążać, dokładnie tam gdzie przechodziła przez Mur. Podał rękę Bochnowi, Bochen – Oliwience. Potem, patrząc uważnie na ścieżkę, bardzo niewyraźną i starą, uniósł zaciśniętą pięść i poruszył nią w powietrzu.

Ścieżka natychmiast zaczęła ukazywać pędzące zwierzę. Za szybko, nigdy za nim nie nadążymy, pomyślał. A potem uświadomił sobie, że na tym polega działanie ścieżki. Zwierzę szło powolnym krokiem.

Jeszcze nigdy takiego stworzenia nie widział. Trochę mniejsze od jelenia, najwyraźniej roślinożerne. Nie porastała go sierść ani łuski, lecz coś podobnego do piór, choć z kolcami na końcach.

No to pięknie. Znalazłem ogromnego jeżozwierza.

Doszedł do wniosku, że o ile dotknie go zdecydowanie i nie pogłaska pod włos, nie zrobi sobie krzywdy.

Dotknij go, nakazał sobie.

Ale jeśli zwierzę się spłoszy, ucieknie, plan się nie powiedzie. Rigg odnalazł to miejsce ścieżki, które stworzenie ominęło wzrokiem. Jeśli pojawi się dokładnie tam, zdoła dotknąć zwierzęcia, zanim ono zauważy jego obecność.

Wyciągnął rękę, dotknął łopatki stwora i natychmiast dopasował krok do tempa jego stąpania. Pióra drapały mu dłoń, ale nie kaleczyły. A krajobraz się zmienił. Przenieśli się w przeszłość. Niebo miało odcień intensywnego błękitu. W tym świecie było ciepłe południe.

Ani chmurki na niebie.

Zwierzę znosiło jego dotyk, jego obecność. Może nie bało się go, bo nie znało widoku ani

zapachu człowieka. Może nie wierzyło własnym oczom. Może tak właśnie okazywało strach – idąc dalej w tym samym tempie.

Rigg odważył się obejrzeć przez ramię. Pozostali nadal byli przy nim.

Oliwienko wyciągnął wolną rękę. Dotknął zadu zwierzęcia, tuż nad jego grubym, niemal gadzim ogonem. Potem puścił rękę Bochna, który położył dłoń na grzbiecie stworzenia, a tymczasem Oliwienko obszedł je od tyłu, przeskakując lekko nad jego ogonem i nie przestając go dotykać, a potem ustawił się niemal równolegle do Rigga.

Byle nie dalej, pomyślał Rigg.

Oliwienko najwyraźniej miał dość rozsądku, żeby zrozumieć niebezpieczeństwo. Powinni się trzymać poza polem widzenia zwierzęcia. Rigg dostrzegł już, że jego ślepia nie były umiejscowione jak u krowy czy jelenia, tylko z przodu, tak że patrzyło prosto przed siebie, jak lemur, sowa czy człowiek. Nie mogło ich zobaczyć. Może jego skóra nie była tak unerwiona jak skóra ssaków. Może pióra izolowały ją przed ich dotykiem, o ile nie był zbyt mocny.

Z tego, co wiedzieli, mogli już zupełnie zerwać kontakt ze zwierzęciem, pozostając w tych czasach, ale Rigg nie miał co do tego pewności. Jeszcze nigdy nie cofnął się aż tak daleko w przeszłość. Czy Umbo zdołałby ich tu utrzymać, gdyby nie było zwierzęcia, mocno zakotwiczonego ich w tych czasach?

Przeszli jakieś ćwierć mili, zanim Rigg uświadomił sobie, że nie czuje wpływu Muru.

Całkiem jakby go nie było.

I rzeczywiście, nie było go. Dotarł w czasy przed przybyciem ludzi na Arkadię, Mur nie istniał, nie było szybko doganiających ich wrogów.

Jak szybko? Nie ośmielił się szukać ścieżek matki i Obywatela, bo wtedy musiałby przestać się skupiać na zwierzęciu. Wydawało mu się, że oni trzej idą dziwnie wolno, bo słońce zaczęło się chylić ku zachodowi i ich cienie kładły się przed nimi. Przecież nie szli długo, ale przed chwilą było południe, a teraz pozycja słońca się zmieniła.

Mięśnie stworzenia grały pod dłonią Rigga. Nie było to zwierzę stadne, w przeciwnym razie by go nie wybrał – w stadzie mogłoby im grozić wielkie niebezpieczeństwo. Rigg miał ochotę iść z nim wiele dni, cały rok, żeby poznać jego życie i obyczaje godowe, czy rodzi młode, czy składa jaja, czy też rozmnaża się w zupełnie inny, niepojęty dla człowieka sposób, jak zimuje, co jest jego pożywieniem, czy pada łupem innych stworzeń. Jak jego przodkowie mieli serce wybić taki gatunek?

Chcieli zrobić miejsce dla nas, dla mnie, pomyślał. Żebym mógł tu żyć. Odebrali ten świat jego rdzennym mieszkańcom, a oddali mnie i wszystkim innym ludziom.

Obejrzał się na Umba i Param. Widział ich, klęczeli na szczycie wzniesienia, ale widział także, że otacza ich wyższa, masywniejsza góra. Tak właśnie zmieniało się ukształtowanie terenu na przestrzeni wieków. Umbowi i Param nie groziło żadne niebezpieczeństwo – nie wybierali się w przeszłość, więc skała wokół nich nie mogła stać się realna.

Nagle Param obejrzała się w stronę, z której mieli nadejść Obywatel i matka, a potem dała znak Riggowi. Machnęła ręką, jakby mówiła: „Szybciej, uciekajcie szybciej!”.

Najwyraźniej już widzieli nadciągającego wroga.

– Musimy biec – szepnął Rigg, odwracając się. – Możemy skłonić to zwierzę do biegu?

Znajdowali się w trzech czwartych drogi, ale ich cienie bardzo się wydłużyły. Marsz zajmował im za dużo czasu.

Nacisnęli mocniej twarde pióro stworzenia, które – owszem – przyspieszyło kroku, ale jednocześnie pióra zaczęły ranić im dłonie. Nie tylko kolcami na końcach – każde ich pasmo było kolcem. Szkoda, że nie mamy rękawic, pomyślał Rigg, przezwyciężając ból i naciskając mocniej.

Zmusił zwierzę do truchtu.

Na niebie przed nimi pojawiła się świetlna smuga, jakby nad horyzontem przemknęła spadająca gwiazda. Stawała się coraz jaśniejsza. Zaczęli biec, a Rigg przestraszył się, że zwierzę tak się rozpędzi, że nie zdołają dotrzymać mu kroku. Kolce wbite głęboko w dłoń zahaczyły się, zakotwiczyły.

Przy moim szczęściu okażą się jadowite. Ręka mi zgnije i odpadnie przed zachodem słońca, pomyślał.

Znowu się obejrzał. Param gestykulowała jeszcze gwałtowniej. Zobaczył też coś innego – smuga na niebie nie była spadającą gwiazdą. Coś wielkiego, czarnego, otoczonego łuną, szybko się powiększało. Stało się jasne jak słońce i po chwili znikło za horyzontem. Rigg zrozumiał: zaraz uderzy w ziemię.

Ledwie to pomyślał, nad widnokretem buchnęło oślepiające światło, po którym pojawiła się czarno-biała chmura. Ziemia zatrzęsała się tak bardzo, że upadłby, gdyby nie opierał się o zwierzę. Zrozumiał, że popełnił błąd. Wybrał najnowszą ścieżkę, która przecięła Mur, zanim wszystko się zmieniło. Przeniósł się dokładnie w chwilę, kiedy ludzie przybyli na tę planetę.

Widział ich statek kosmiczny. A ta ogromna chmura to koniec świata. Pełzła w ich stronę i rozumiał, że kiedy do nich dotrze, nie zdołają więcej odetchnąć.

Uniósł rękę, machnął gwałtownie. Ściągnijcie nas w terażniejszość!

Spojrzał przed siebie i rozumiał, dlaczego Umbo nie od razu go posłuchał. Znajdowali się zaledwie o parę minut od punktu orientacyjnego, który wskazywał, że są poza niebezpiecznym wpływem Muru.

Ale istnieją większe niebezpieczeństwa niż psychiczna udręka i przerażający strach. Rigg znowu machnął ręką. Sprowadź nas do terażniejszości, bo tu zginiemy!

Param i Umbo zauważyli jego sygnały i ponieważ także poczuli drżenie ziemi – nawet jeśli nie znali jego przyczyny – wcale się nie zdziwili. Gdy Umbo wykona rozkaz, oni trzej będą musieli przebyć ostatni etap podróży pod wpływem Muru, przejści zgrozą. Czy starczy im siły woli, by uciec poza zasięg tego strasznego zjawiska?

Rigg machnął ręką trzeci raz.

Dlaczego Umbo nic nie robi? Dlaczego to zwierzę znieruchomiało? Dlaczego...

Długie cienie zniknęły. Nadal był ranek. Ziemia się nie trzęsała. Zwierzę wpadło w panikę.

Nic dziwnego. Wpływ Muru spadł na niego i na ludzi jak bezlitosna pięść.

– Biegiem! – krzyknął Rigg.

Oliwienko usiłował chwycić go za rękę, ale Rigg mu nie pozwolił. Mocno przycisnął łokcie do ciała i ruszył pędem. Już znał ten strach i wiedział, że przestanie go doznawać, jeśli ucieknie wystarczająco daleko. A jego towarzysze byli żołnierzami. Wojownikami. Umieli się zmagać z lękiem.

I rzeczywiście – po chwili obaj go wyminęli. Byli od niego szybsi i rozumiał, że słusznie postąpili, zostawiając go z tyłu. Jednak przejęła go rozpacz, że oni przeżyją, a on umrze, bo nigdy nie zdoła ich dogonić. W tym przerażeniu wydało mu się, że ziemia znowu się trzęsie, a chmura pyłu wzbija się za jego plecami, chmura duszącego pyłu, który odbierze życie jemu i wszystkim żywym istotom na planecie. Umysł usiłował przekazać mu coś jeszcze, coś ważnego o tej chmurze, ale to do niego nie docierało, bo nieznośny strach uniemożliwiał myślenie. Nigdy nie zdoła uciec przed tą chmurą!...

Oliwienko stanął. Odwrócił się; krzyczał coś, czego Rigg nie słyszał. Potem również Bochen zatrzymał się i zaczął krzyczeć.

Byli za daleko. Nie mógł ich dogonić. Chmura go zagarnie – już go otaczała. Czuł, jak wypełnia mu płuca, dławi. Gęsty pył nie pozwalał mu odetchnąć. Zasłonił mu wszystko. Rigg potknął się w ciemnościach i upadł.

Rozpacz, strach i zgroza, które na niego spadły, stały się nie do zniesienia. Serce mogło mu lada chwila pęknąć. Zaprzagnął umrzeć.

Raptem wiatr porwał go i rzucił naprzód. Wyrwał go z mroku. Z kurzu. Ze ślepoty, rozpaczy i niemożności złapania oddechu. Nie, to wcale nie wiatr, to ręce Bochna i Oliwienki.

Wrócili w pobliże Muru, wrócili w objęcia przerażenia i rozpaczy, żeby go uratować – i udało im się, bo teraz już byli poza zasięgiem mocy.

– Dziękuję – szepnął Rigg. – Duszę się. Oślepiłem.

– Wiem – powiedział Bochen, mocno go trzymając.

– To był koniec świata – dodał Oliwienko. Po twarzy płynęły mu łzy.

Rigg spojrział na skaliste wzniesienie. Nie zobaczyli Umba i Param.

U stóp wzgórza uwijał się jakiś dziesiątek mężczyzn, grubymi metalowymi prętami machali w powietrzu. Kilku na szczycie skały robiło to samo.

Matka i generał Obywatel siedzieli na koniach, nie patrząc na mężczyzn, lecz na Mur.

Obywatel podał matce lunetę.

Rigg założył początkowo, że wypatrują ich, ale szybko uświadomił sobie swój błąd.

Odwrócił się i poszedł za ich wzrokiem.

Zwierzę przedostało się wraz z nimi do teraźniejszości. Rigg posługiwał się nim jako przewodnikiem po dalekiej przeszłości, ale dotykali go, kiedy Umbo ściągnął ich z powrotem.

Znalazło się tu z nimi, ostatnie ze swego gatunku.

A obok zwierzęcia stał mężczyzna, gładząc jego drżący grzbiet. Wyglądał łagodnie, z jego twarzy emanowała dobroć i siła. Rigg dobrze znał tę twarz.

Ojciec!

Rozdział 24

SKOK ZE SKAŁY

Trzeba tysiąca lat, żeby atmosfera oczyściła się z pyłu i toksycznych wyziewów, pojawiły się lasy, a pełzające i ryjące w ziemi zwierzęta znowu zaczęły się mnożyć, by wypełnić miliony nisz ewolucyjnych, spustoszonych przez dziewiętnaście obiektów, które uderzyły w Arkadię.

Statki na orbicie wygenerowały deszcz i skupiły żar słoneczny, by oczyścić niższe warstwy atmosfery. Ich nisko latające pojazdy bezzałogowe rozpyliły we wszystkich zbiornikach wodnych tego świata bakterie mające zaabsorbować szkodliwe składniki chemiczne, które spadły wraz z deszczem.

Wkrótce w miejscach, w których opady i temperatura osiągnęły właściwy poziom, pojazdy i zbędni zaczęli sadzić ziemskie rośliny. Natychmiast pojawiły się owady i inne organizmy, które zapylały rośliny i rozmnażały się, podczas gdy w wodach ziemskie ryby i inne stworzenia zdominowały rdzenną faunę.

Zmiana albedo świata, gdy ciemne rośliny zaczęły się rozrastać, a białe chmury pozbyły się deszczu i znikły, sprawiła, że pojawiło się coraz więcej miejsc nadających się do zamieszkania i wkrótce w tym nieskalanym świecie pojawiły się ziemskie strunowce, bezpieczniejsze tutaj niż przez ostatnie dziesięć tysięcy lat na swej macierzystej planecie.

Dzieło nie zostało jeszcze zakończone. Niewielkie stada rozmnażały się na tyle dobrze, że mogły już służyć jako żer innym zwierzętom, ale zbędni zatrzymali największe drapieżniki do czasu znalezienia dla nich odpowiednich ofiar. Najbardziej liczyło się to, że obok każdego zarytego w ziemi statku kosmicznego można było znaleźć najrozmaitszą faunę i florę tworzące nowe środowisko, w którym mogli zamieszkać ludzie, by dostosować je do swoich potrzeb.

Ukryte pod milionami ton skalnych okruchów i ziemi, z tylko jednym tunelem, mierzącym w statki na orbicie, komputery statków zaczęły działać, tworząc pola siłowe, które miały stać się Murami. Ustanowiły takie granice, by ludzie mogli wieść wygodne życie w ich obrębie, nie odczuwając żadnych ograniczeń.

Zbędni i komputery statków ustanowili kalendarz odliczający dni do epoki, w której ich stworzono – dopiero 11 191 lat po skoku w przeszłość znowu będą mogli spojrzeć w przyszłość, na zbudowane przez ludzi statki, które podążą w ich ślady.

Kim się staną ludzie przez te tysiąclecia, które upłyną na planecie Arkadia? I co pomyślą o nich ludzie z Ziemi, kiedy znowu się spotkają? Czy kolonie na Arkadi powtórzą historię ludzkości? Czy nastaną walki plemienne, niewolnictwo, wielkie wojny?

Zadaniem zbędnych było dopilnowanie, żeby Arkadia potrafiła obronić siebie i wszystkie swoje zdobycze, zanim przybędą niezmiennieni, dawni, oryginalni ludzie. Ale żadnemu ze społeczeństw Arkadi nie będzie wolno rozwinąć się technologicznie do tego stopnia, żeby pojąć zasady działania pól Murów, a tym bardziej je zniwelować.

Dlatego po dostarczeniu kolonistów na ten świat i wybudzeniu ich z letargu zbędni zaczęli ich okłamywać. Nie przestali, dopóki niektórym ludziom nie zaświtało, że mogą zmusić zbędnych, by znowu stali się posłusznymi i lojalnymi sługami.

Umbo zaczekał, aż Bochen i Oliwienko pomogą Param wspiąć się na skałę, po czym wyciągnął do niej rękę, kiedy usiłowała się podciągnąć, by pokonać ostatnie metry.

Zdumiewające, jak mało miała sił. Ale może tak to jest z bogatymi dziewczynami: nie muszą

pracować, więc słabną.

Choć właściwie Param nie była bogata – nie posiadała żadnych dóbr. Ale Umbo miał świadomość, że brak majątku u osoby z rodu królewskiego to coś zupełnie innego niż brak majątku u wieśniaka. Param była dobrze odżywiona. Nikt nigdy nie zmuszał jej do noszenia wody z rzeki czy strumienia – a dzięki temu nieustannemu wysiłkowi wiejskie dziewczęta były żylaste, muskularne, silne i nie obawiały się żadnego mężczyzny, który nie pracował przynajmniej tak ciężko jak one.

Teraz liczyło się tylko jedno: by przejść wraz z Param przez Mur, uprzednio wysławszy przodem Rigga, Bochna i Oliwienkę.

– Mam milczeć, kiedy będziesz zajęty? – spytała Param.

– Nie wiem. Jeszcze nikt do mnie nie mówił, kiedy to robiłem.

– Więc nic nie powiem, dopóki sam się do mnie nie odezwiesz.

Bochen i Oliwienko zarzucili plecaki na ramiona i ruszyli do Rigga, także obarczonego bagażem. Po chwili dali znak, że są gotowi.

– No to zaczynamy – powiedział Umbo do Param i skupił się na przyspieszeniu percepcji przepływu czasu Rigga, Bochna i Oliwienki. Tamci dwaj mieli nie odczuć żadnej różnicy – nie dostrzegali ścieżek, więc nie mogli ich zobaczyć wyraźniej. Ale Rigg poruszył głową, wodząc wzrokiem od jednej ścieżki do drugiej, aż w końcu znalazł tę, o którą mu chodziło.

Umbo poczuł szarpnięcie, kiedy Rigg cofnął się gwałtownie w przeszłość.

Dotąd przy takich okazjach Umbo czuł tylko leciutkie mrowienie; może trochę więcej, gdy chodziło o daleką przeszłość, na przykład o setki lat, gdy Rigg ukradł wysadzany drogimi kamieniami sztylet.

Ale jedenaście tysięcy lat zmieniło mrowienie w szarpnięcie tak mocne, że Umbo stracił równowagę i upadł na kolana. Param przytrzymała go, żeby nie zsunął się ze skały. Gdy tamci trzej zaczęli przemierzać milę otwartej przestrzeni Muru, z trudem łapał powietrze.

Może gdyby wstąpił w zmieniony nurt czasu, zobaczyłby, jakie stworzenie wybrali sobie na przewodnika. Ale wtedy zniosłoby go w przeszłość – wraz z Param – i wszyscy by w niej zginęli. Dlatego oparł się pokusie zobaczenia, jak wygląda to niewidzialne stworzenie, wokół którego się skupili, i skoncentrował się na utrzymaniu ich w prastarej przeszłości.

Im dalej szli, tym wyraźniej czuł, jak coś ściska go w środku, jakby coś go skręcało, niczym nitki, z których robi się sznurek. Ależ to było trudne! Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że posłanie kogoś w tak dawne czasy może go narazić na prawdziwe niebezpieczeństwo. Teraz miał wrażenie, że ktoś chwycił go za wnętrzności i ciągnie w przeszłość – a to nie mogło być nic dobrego.

Mimo to utrzymywał ich głęboko w przeszłości. Coraz bardziej zbliżali się do Muru. Szli szybko, ale dotykając rękami niewidzialnego zwierzęcia, musieli się dostosować do jego kroku. Poruszali się przez ten kamienisty, porośnięty trawą teren niczym sześcionożny owad.

Zaczęło mu się kręcić w głowie. Chciał się napić, odetchnąć głębiej – zrobił to – chciało mu się sikać, choć niedawno to zrobił. Całkiem jakby jego ciało szukało sposobu, by go zdekcentrować.

Ale Param otaczała go ramionami. Miała słabe, kobiece ręce. Przypomniała mu się matka, jedyna kobieta, która go tak obejmowała – kiedy był wściekły na ojca, kiedy pragnął uciec.

Nigdy nie rozumiał, dlaczego matka chciała, by został. Żeby go bito? Żeby raz po raz mu udowodniano, że chłopak jego wzrostu nie może wykonywać żadnych męskich prac? Dopiero gdy matka opłakiwała Kyokaya i, choć starała się to ukrywać, gniewała się na niego za to, że dopuścił do śmierci młodszego brata – dopiero wtedy zdołał się wymknąć z tego uścisku i wyruszyć w drogę z Riggim.

A teraz znowu czuł ten uścisk, ale tym razem to nie były okowy. Miał wrażenie, że Param dodaje

mu sił, jakby z jej palców spływało coś prosto do jego piersi. Byli jak jedna osoba i tak pozostali, klęcząc, gdy Rigg, Bochen i Oliwienko minęli połowę drogi.

Na kamienistej drodze zatętniły końskie kopyta. Zdenerwowane bliskością Muru wierzchowce prychały i rżały.

Poczuł, że Param się odwraca. Potem znowu spojrzała przed siebie i na chwilę oderwała rękę od jego piersi. Robiła jakieś szybkie, gwałtowne ruchy; pewnie dawała Riggowi znaki, żeby się spieszył. A Rigg ją zobaczył, oglądając się przez ramię.

– Już tu są – szepnęła. – Nie nasłuchuj. Patrz tylko na Rigga i tamtych i jak najdłużej rób, co do ciebie należy. Ja zajmę się rozmową, jeśli nie da się jej uniknąć.

Więc Umbo słuchał, nie słysząc, jak tętent się zbliża, jak konie płoszą się i rżą, nie chcąc podejść do Muru. W końcu postawiły na swoim; zbrojni wkroczyli pieszo na teren między Murem a skałą, na której klęczeli Umbo i Param.

Zbrojni mieli u pasów miecze, ale w dłoniach nieśli groźniejszą broń, o której mówił Rigg, gdy opowiadał o swojej ostatniej rozmowie z królową matką: ciężkie metalowe pręty.

– Schodźcie! Zawołaj brata, Param!

Głos silny, ciepły i rozkazujący; głos generała Obywatela. Ale Umbo ledwie go odnotował, nie odrywając wzroku od tamtych trzech. Ile jeszcze muszą przejść? Szybciej!

Obywatel może nie zabije Param, ale bez wahania każe uśmiercić jego.

– Ani kroku dalej – odezwała się Param. Jej rozkazujący ton zaskoczył Umba. – Wstrzymujemy wpływ Muru. Jeśli coś nam zrobicie, zginiecie na miejscu.

Umbo docenił inteligencję jej kłamstwa. Zbrojni zachowywali się nerwowo. Mur wyłuskiwał z nich lęki, rozniecał pierwsze iskry rozpaczy. Param igrała z tym lękiem, z tą rosnącą pewnością porażki.

– Tylko my was bronimy – dodała.

Wówczas rozległ się kobiecy głos.

– Param, kochanie – przemówiła królowa Hagia. – Chcemy cię przyjąć do rodziny.

– I to mówi kobieta, która ściągnęła tu ludzi z metalowymi prętami, żeby mnie zabić.

– Tylko jeśli znikniesz i będziesz usiłowała zbiec, moje kochaniatko. Zostań z nami, a nikt nie zrobi ci krzywdy.

– Pani, każde twoje słowo jest kłamstwem – powiedziała Param bez gniewu, lecz nadal władczo.

– Podobnie jak każde twoje słowo – odparła królowa. – Nie możesz zmienić działania Muru, powstrzymać go ani usunąć. Nie masz takiej mocy.

– Znam tego chłopca – odezwał się generał Obywatel. Jego koń pojawił się w polu widzenia Umba, stąpał nerwowo i bardzo ostrożnie. – Pamiętam, że wyskoczyłeś z łodzi.

Umbo chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język, gdy Param mocniej objęła jego pierś.

Dalej odmierzał trasę, którą miał przebyć Rigg.

– Nawet nas nie tkną – szepnęła Param. – Ich moc tu nie sięga.

– Potrzebujemy ich obojga – powiedział generał Obywatel – albo żadnego. Jeśli nie da się sprowadzić syna królowej, Param przestanie nam być potrzebna.

Param roześmiała się gardłowo i ciepło; Umbo poczuł wibracje w plecach, do których przywarła piersią.

– Obywatelu – powiedziała – stałeś się świadkiem cudu, a tylko tyle masz do powiedzenia?

Liczą się tylko twoje małostkowe ambicje? Zbyt nikczemny jesteś, żeby mieszkać w Namiocie Światła. Jeśli naprawdę możesz być Królem z Namiotu, to sam zbliż się do Muru, żeby sprowadzić

Rigga. Tylko Król z Namiotu może przejść przez Mur – a ty nigdy nim nie będziesz. Brak ci odwagi, żeby choć podjąć próbę, i siły, by tego dokonać. To mój brat jest królem poprzez krew, prawo i siłę. Mur go akceptuje. Rigg narzuca mu swą wolę. Ty rządysz tylko garstką zastraszonych ludzi.

Mówiła powoli, jakby śpiewała. Umbo wiedział, że żołnierze jej słuchają i stają się płochliwi jak ich konie. Przeszli z nogi na nogę, kołysząc się w miejscu.

Dlaczego nie mógł się skupić na celu i jednocześnie uciekać? Tymczasem Rigg ciągle gapił się przez ramię, jakby patrzył na Obywatela i królową. Umbo miał ochotę krzyknąć: Nie możesz dla nas nic zrobić, jeśli nie przejdiesz na drugą stronę! Spiesz się, biegnij, nie oglądaj się na nas!

– Musisz zabić tego chłopca – odezwała się królowa. – On coś knuje. Zdaje się, że umożliwia Riggowi przejście przez Mur.

– Łuki – rzucił generał Obywatel.

– Nie waż się go skrzywdzić – powiedziała Param. – Ten chłopiec jest pod moją opieką.

– Nie może go uczynić niewidzialnym, dopóki Rigg nie znajdzie się po drugiej stronie – odparła królowa. – To on ma całą moc, to on jest czarnoksiężnikiem.

– Strzelajcie do chłopca, ale nie zrańcie Param Sissaminki – rozkazał Obywatel.

W oddali Rigg uniósł pięść i machnął nią. Był to sygnał, żeby Umbo ściągnął go do terażniejszości, ale chyba się pomylił – nie dotarł na drugą stronę.

– Jeszcze dwie minuty – wymamrotał Umbo.

– Zabijcie go! – krzyknęła królowa. – Na co czekacie?

Rigg znowu machnął pięścią, tym razem gwałtowniej.

Umbo pomyślał, że chodzi mu o jego bezpieczeństwo, że chce przebiec resztę drogi przez Mur w terażniejszości, by Umbo i Param mogli zniknąć. A może miał własne powody, żeby chcieć natychmiastowego powrotu do terażniejszości.

Param podniosła się na nogi.

– Nie strzelajcie! Zejdziemy do was! Wstań, przyjacielu.

– Wzięła Umba pod pachy i pomogła mu się dźwignąć z kolan. Kątem oka dostrzegł wycelowane w niego łuki.

Rigg najwyraźniej się niecierpliwił. „Natychmiast nas sprowadź”, sygnalizował. Więc Umbo ściągnął ich wszystkich z powrotem.

Widział, jak zakołysali się pod uderzeniem mocy Muru. Zobaczył też, że sprowadzili ze sobą zwierzę – dziwne, jaskrawe, kolorowe jak ptak, choć czworonożne i z grubym ogonem.

Biegło pędem, podobnie jak ludzie. Prześcignęło ich. Rigg znajdował się na końcu. Potykał się.

Nie powinienem go sprowadzać, pomyślał Umbo. Oszaleje tam, zanim dotrze w bezpieczne miejsce.

– Sprowadziłem ich – szepnął. – Nie mogę zrobić dla nich nic więcej.

Param znowu objęła jego pierś, tuląc go mocno do siebie.

– Opuśćcie łuki, a zejdziemy...

W pół zdania zrobiła coś i świat nagle ucichł. A także przyspieszył. Umbo zobaczył, że Rigg wije się na ziemi jak robak, nadal w zasięgu wpływu Muru, a Bochen i Oliwienko dobiegają w bezpieczne miejsce. Obaj zawrócili i przynieśli go ze sobą. Wszystko wydarzyło się błyskawicznie, w niespełna pięć sekund. Poczul, jak Param odciąga go w bok, jak jej ręce zsuwają się po jego piersi w dół, na spotkanie dłoni. Chwyciła go za nie, nadal stojąc za jego plecami, i pociągnęła go w dół.

Żołnierze nie celowali już z łuków. Czy wystrzelili? Może, bo Umbo poczuł łaskotanie w paru miejscach – pewnie jakieś strzały przeszły przez niego, gdy stał się niewidzialny w powolnym czasie Param.

Mężczyźni z metalowymi prętami wspinali się na skałę – i raptem znaleźli się na niej, machając bronią. Poruszali się bardzo szybko. Ale Param już zeskoczyła w dół, Umbo także – i w tej chwili Param musiała jeszcze bardziej ich spowolnić, bo teraz mężczyźni zbiegli na ziemię szybciej niż mrówki i śmigali po niej tu i tam. Nagle zrobiło się zupełnie ciemno. I znowu się rozjaśniło, a oni wciąż spadali, obracając się w powietrzu, by wylądować na nogach.

Żołnierze nadal biegali, machając prętami. Nie wiedzieli, że Umbo i Param zeskoczyli ze skały w bok, nie na wprost, i przez cały dzień szukali ich w niewłaściwym miejscu. Kończył się drugi dzień, gdy królowa przemknęła między nimi jak żuk i zmienili pozycję, miotali się po ziemi dokładnie pod spadającymi uciekinierami.

Znowu nastała noc i dzień, a gorączkowa bieganina nie ustawała. Nawet nabrała impetu.

Metalowe pręty sterczały w niebo. Param i Umbo, niewidzialni od dwóch dni – lub dwóch sekund – najwyraźniej znajdowali się w jeszcze większym niebezpieczeństwie, bo królowa nie zamierzała skapitulować i nie pozwalała skapitulować zbrojnym. Za parę chwil Param i Umbo mieli spaść między nich, w zasięg metalowych prętów. Zginą, zanim wylądują na ziemi.

Umbo sobie uświadomił, że może ich uratować. Natychmiast zarzucił na siebie i Param cień czasu i cofnął się wraz z nią o parę tygodni.

Zbrojni znikli.

Minęły kolejne trzy dni i trzy noce, zanim Param zrozumiała, co zrobił Umbo, i nabrała szybkości.

Wylądowali na ziemi, stracili równowagę. Param upadła na niego z takim rozpędem, że nie zdołał ustać. Powietrze uszło mu z płuc.

Leżał, krztusząc się, a świat powoli zwalniał. Słońce prażyło, wróciły dźwięki. Usłyszał własne dyszenie, poczuł ból w piersi – czy Param złamała mu żebro? – dobiegł do niego jej głos.

– Jak to zrobiłeś? Naprawdę masz moc, skoro zrobiłeś to, kiedy znajdowaliśmy się w zwolnionym czasie, w połowie skoku.

– Chyba mam połamane żebra – szepnął. Ale potem zorientował się, że nie bolały przy każdym oddechu. – Nie, pomyliłem się.

– W jakich czasach jesteśmy? Jak daleko się cofnęliśmy?

– Najwyżej parę tygodni. Konie znikły. Jeszcze tu nie dotarliśmy.

Pomogła mu wstać.

– Przepraszam, że cię przygniotłam. Nigdy dotąd nie skakałam w taki sposób... nie miałam czasu się zastanowić.

– Niesamowite, jak szybko się poruszali. Dzień i noc minęły w sekundę... Pewnie wcale nie istnieliśmy.

Param roześmiała się nerwowo i zmieniła temat.

– Matka jest straszna. Mam nadzieję, że jak dorosnę, nie upodobnię się do niej.

Dopiero teraz dotarło do niego, jak bardzo musiała się bać – spadając w pułapkę zastawioną przez nieprzejednaną matkę, na spotkanie własnej śmierci. Ale żyła. Umbo ją uratował, tak jak ona jego.

– Nie czekajmy, aż zobaczymy tu samych siebie. Przeprawmy się przez Mur. Możesz nas głęboko zanurzyć w zwolnionym czasie – mamy całe tygodnie na przejście.

– I tak będzie nam się wydawać, że minęła godzina.

– To tylko trochę ponad mila.

– I nie potrafię szybko chodzić. Lepiej zaczynajmy.

Odkąd pomogła mu wstać, trzymał ją za rękę. Teraz ruszyli w stronę Muru. Szybko ich

zaatakowały strach i rozpacz. To, co czuł Umbo, spadając ze skały, nie mogło się równać z przerażeniem i poczuciem beznadziei, które teraz go ogarnęły.

A potem te uczucia osłabły i zmieniły się w męczący niepokój i potrzebę płaczu. Słońce sunęło szybko po niebie. Umbo spojrział na Param. Patrzyła na niego pytająco.

Odgadł treść tego pytania: Potrafisz to znieść?

Skinął głową i szedł dalej, prowadząc Param za sobą. Lekko przyspieszyła kroku, ale pociągnęła go za rękę, jakby mówiła: Nie tak szybko!

W zwolnionym czasie wpływ Muru był znośny, lecz i tak dawał im się we znaki. Umbo nie mógł się doczekać, kiedy się to wszystko skończy. Ona także szła z trudem, a po twarzy spływały jej łzy. Zastanawiał się, dlaczego nie zanurzyła ich głębiej w zwolnionym czasie, ale potem zrozumiał: chciała dotrzeć na drugą stronę przed Riggim i jego towarzyszami.

Trudno będzie Rigga uratować. Musieliby się znaleźć dokładnie tam, gdzie upadł. Gdyby trafili o pięć kroków od niego, nigdy nie zdołaliby go wciągnąć w zwolniony czas, zanim Oliwienko i Bochen po niego wrócili. To się nie mogło udać. Byli do niczego. Tak naprawdę nie mieli się co starać. Na co się komu przydadzą tacy słabeusze?

Wzdrygnął się i szedł dalej. Wiedział, że to poczucie beznadziei i daremności to tylko wpływ Muru. Ale ta świadomość nie sprawiła, że uczucia stały się mniej dokuczliwe. Gdyby można było wydawać z siebie dźwięki w zwolnionym czasie, błagałby Param, żeby zwolniła ich jeszcze bardziej, by nie czuł tego smutku, rozpacz i strachu. Ale wiedział też, że prośby byłyby daremne, bo Param miała rację, znalazła równowagę. Było źle, ale nie aż tak, żeby nie mógł iść. Bał się, ale nie aż tak, żeby spanikować i puścić jej dłoń. Był przygnębiony, ale nie aż tak, by zatrzymać się, marząc o śmierci. Dopóki szedł, miał szansę dotrzeć do celu.

Sądząc po wędrówce unoszącego się i opadającego słońca, minęło dziewięć dni, gdy dotarli do znaków świadczących, że znaleźli się po drugiej stronie.

Umbo puścił dłoń Param.

Świat natychmiast się zmienił. Śpiewały ptaki, szumiał wiatr w trawach. Umbo odwrócił się tam, gdzie stała niewidzialna Param, i skinął jej głową.

– Jest bezpiecznie – powiedział. I bardzo powoli skinął głową, żeby na pewno to zobaczyła.

Pojawiła się – niewypowiedzianie smutna, zapłakana. Potem w jej oczach pojawiła się ulga i uśmiech. Param osunęła się na kolana, śmiejąc się i płacząc.

– Jakie to było straszne! I trwało wieki!

– Nawet nie godzinę. – Umbo ukląkł przy niej.

– Nigdy w życiu nie czułam takiego smutku i przerażenia.

– Wytarła mu łzę z policzka. A on otarł łzę z jej twarzy.

– Ja tak czułem się wiele razy, kiedy myślałem, że nigdy nie ucieknę od ojca, gdy wiedziałem, że mnie zbije i nie zdołam tego uniknąć. Wszystko, co robiłem, pogarszało sytuację. Tak myślałem.

– Więc miałam bardzo szczęśliwe życie. A ty bardzo smutne.

– Mój zły los się skończył, kiedy poszedłem z Riggim z Wodobrodu. A to, że nie znałaś takiego strachu i rozpacz, nie znaczy, że przez te wszystkie lata w domu matki żyłaś w szczęściu.

– Ale widzisz, nie znałam matki tak dobrze jak teraz. Dlatego w jej towarzystwie nie czułam strachu. Czułam się bezpieczna i kochana. Nie przeszkadzał mi brak innego towarzystwa. Ona była moim całym światem i to mi wystarczało.

– Więc przeżyłaś szok, kiedy zrozumiałaś, jaka jest naprawdę. Mnie mój ojciec niczym nie zaskoczył. Co jest gorsze?

– Myślę, że to, co ty przeżyłaś. Żyć w taki sposób, nie wiedząc, że można inaczej. Gdy matka

zdradziła mi swoje prawdziwe zamiary, przeżyłam wstrząs, ale kiedy zrozumiałam, co straciłam, strach minął. A tutaj doznałam przerażenia, paniki. Mur jest straszny. Ten, kto go stworzył, musiał mieć złe serce.

– No, nie wiem... – mruknął Umbo, wstając i pomagając jej wstać. – Twórcy Muru nie wymagali od nas, żebyśmy przez niego przeszli. Ich celem nie było sprawianie nam cierpienia, lecz odstraszenie nas.

Param odwróciła się w stronę, z której przyszli.

– Teraz musimy poczekać, aż przybędziemy. – Zadrżała.

– Ludzka mowa nie uwzględnia igrania z czasem. Pleciemy bzdury.

– Z tym czekaniem będzie jeden problem – powiedział Umbo. – Tamci mają zapasy, bo zakładaliśmy, że to oni będą czekać na nas.

– Widzisz jakąś rzekę? Chętnie bym się napiła.

Umbo oddalił się od Muru i wszedł na wzniesienie, ale po drugiej stronie nie było żadnego strumienia. Niestety.

– Nic! – zawołał do Param. – Pójdziemy poszukać wody, czy tu zaczekamy?

– Wiesz, ile minie dni do naszego... ich... do przybycia drugich nas?

Umbo wzruszył ramionami.

– Nie miałem możliwości dokładnego oszacowania naszej podróży w przeszłość.

– Mówisz jak Rigg! – Zachichotała. – Pompatyczność się udziela.

– Ale Rigg mówił tak tylko w towarzystwie dorosłych, którzy także posługiwali się takim oficjalnym językiem.

– Oj, wiem, wiem... W domu nigdy tak nie mówił. Po raz pierwszy się odezwał jak... jak...

– Osoba krwi królewskiej – podsunęła.

– Chciałem powiedzieć „kretyn”, ale tak, to też – powiedział Umbo z uśmiechem. – Po raz pierwszy się odezwał w taki sposób, kiedy usiłował zrobić wrażenie na bankierze w O, panu Bednarzu. Wydaje się, że od tego czasu minęło siedem lat.

– Ale siedem lat temu miałbyś... ile? Cztery lata?

– Co ty sobie wyobrażasz? – Umbo się obraził. – Że mam jedenaście lat? Mam czternaście!

– Naprawdę?

– Jestem dość mały jak na mój wiek – dodał z zażenowaniem. – Liczę, że lada chwila wystrzelę jak z katapulty.

– Nie krytykowałam cię. Myślałam tylko, że jesteś młodszy. Ale niedużo młodszy ode mnie. O parę lat, jak Rigg.

– Tak sobie myślałam – rzucił Umbo, zmieniając temat – że poczekajmy na nich za tym drzewem, gdzie nas nie zobaczą. Potem mogłabyś wprowadzić nas w zwolniony czas.

Będziemy wszystko obserwować, a kiedy przedostaną się na tę stronę, wrócimy w normalny czas i wszystko się dokona, zanim na dobre zachce nam się jeść i pić.

– Czyli mamy patrzeć na ich przeprawę?

– Tylko tym razem wszystko wydarzy się szybciej. Dzięki tobie.

– I nic nie zrobimy, żeby pomóc.

– Przecież przeszli.

– Czyżby? Rigg chyba nie.

– Wrócili po niego.

– Ale czy go uratowali? Wszystko działo się tak szybko. Spadaliśmy. Spoglądałam śmierci w oczy. Zanim zdążyłam na nich zerknąć po raz drugi, już nas cofnąłeś w czasy, w których znikli.

– Nie miałem wyboru. Musiałem.

– Oczywiście, że musiałeś! Zachowujesz się, jakby to był koniec świata.

– Bo jest. Nasz świat znajduje się po tamtej stronie Muru. Tutaj nie znamy nikogo. Nic o tym świecie nie wiemy. I popatrz, ile musieliśmy przeżyć, żeby się tu dostać. Nie chciałybyś, żeby było inaczej?

– W tamtym świecie też nikogo nie znam – odparła Param. – Wydawało mi się, że znam moją matkę, ale się myliłam. A ty, Umbo, zostawiłeś kogoś?

– Matkę.

– Rok temu. I rodzeństwo – z wyjątkiem brata, który umarł. To on zostawił ciebie.

– Przyjaciół.

– Lepszych od Rigga i Bochna?

– Nie.

– A oni do nas dołączają. Chyba że Rigg za długo pozostanie pod wpływem Muru. Może oszaleje. Może kiedy tamci będą go ratować, także stracą zdrowe zmysły.

– Wszystko zobaczymy. Jeśli zrobi się kiepsko, cofniemy się w czasie i wrócimy dokładnie w momencie, kiedy będziemy potrzebni. O ile zdołamy się znaleźć we właściwym miejscu.

Param skinęła głową.

– Wstydzę się spytać, ale...

– Co? – spytał Umbo.

– Jesteśmy przyjaciółmi?

Spojrzał na nią, szczerze zaskoczony.

– Musiałam spytać, bo nigdy nie miałam przyjaciela. Mam brata... to także dla mnie nowość. W dodatku Rigg jest dobrym bratem. Spróbuję być dla niego dobrą siostrą, choć i w tym nie mam doświadczenia.

– Dobrze ci idzie.

– Ale ty i ja... Jesteśmy przyjaciółmi? Zeskoczyliśmy razem ze skały, uratowaliśmy sobie nawzajem życie... Czy to wystarczy, żeby się zaprzyjaźnić?

– Na ogół tak się uważa.

– Ale to nie tylko dług wdzięczności, prawda? Chodzi też o to, że się lubimy?

– Jesteś dziedziczką Namiotu Światła.

– Już nie. Mogę ci zaufać, prawda?

– Tak jak ja zaufałem tobie.

– Razem przeszliśmy przez Mur.

– Tak, jesteśmy przyjaciółmi, zdecydowanie, bez wątpienia!

Param westchnęła.

– A teraz gniewasz się na mnie.

– Wkurzyłem się! Bo nie wiem, jak odpowiedzieć. Jesteś ode mnie starsza. Starszy nie pyta młodszego „Czy jesteśmy przyjaciółmi?”! To on decyduje, młodszy uważa, że ma szczęście.

– Aha. Czyli to nie dlatego, że jestem z rodziny królewskiej.

– Masz szesnaście lat! Jesteś dziewczyną! A ja jestem jeszcze mały! Tak, jesteśmy przyjaciółmi, a ja mam szczęście.

Param zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiedziałam, że wiek jest taki ważny.

– Nie bardzo, jeśli to chłopak jest starszy. I strasznie ważny, kiedy starsza jest dziewczyna.

– Ale... umiesz podróżować w czasie... Masz ten niesamowity talent...

– A ty umiesz zwalniać czas. A Rigg jest tropicielem. Wszyscy jesteśmy niesamowicie niesamowici.

– Czyli to przyjaźń równych sobie.

– Z których dwoje jest królewskiej krwi, a trzecie to mały górniak. Tak, tak, jesteśmy równi.

Param parsknęła śmiechem.

Umbo przypomniał sobie, jak trzymał ją za rękę, przechodząc przez Mur. Jak ona chwyciła go i zmusiła do skoku ze skały. Jak go objęła, jak przycisnęła dłoń do jego piersi.

Zarumienił się. Nie wiedział dlaczego. Przecież nie było w tym nic niestosownego. Nie wstydził się, a jednak na to wspomnienie się zaczerwienił.

– No, to szybciej czekajmy – powiedziała Param i zachichotała.

– Tak to już jest – zgodził się. – Człowiek czeka, a świat mija go pędem.

– Sprawimy, że czas dla nas zwolni.

– Filozoficznie to zabrzmiało.

Param wyciągnęła rękę. Umbo nagle stracił odwagę.

– No co? – zdziwiła się. – Jak możemy razem czekać, jeśli nie weźmiesz mnie za rękę?

Znowu poczerwieniał. Chciała tylko wprowadzić go w zwolniony czas. Co on sobie wyobraża?

Ujął jej dłoń.

Świat nagle przyspieszył. Nie tak bardzo jak wtedy, gdy przemierzali Mur, i na pewno nie jak wtedy, gdy zeskoczyli ze wzniesienia, a dni mijały jak sekundy.

Param stała zwrócona twarzą do Muru, skąd za parę dni powinna nadejść ona sama wraz z przyjaciółmi.

Umbo zaczął odwracać głowę, żeby spojrzeć tam gdzie ona – nie puszczając jej rąk – kiedy nagle zobaczył kogoś biegnącego o kilkanaście metrów za jej plecami, po ich stronie Muru. Wyteżył wzrok, pewien, że ta osoba kogoś mu przypomina, ale poruszała się tak szybko, że nie mógł rozpoznać jej rysów. Zaczął podnosić rękę, by zwrócić uwagę Param i wskazać obcego. To bardzo ważne – pierwsza osoba, którą spotkali po tej stronie Muru. Ale ten człowiek zniknął, zanim Umbo zdołał podchwycić spojrzenie dziewczyny. Niemożność mówienia w zwolnionym czasie była strasznie niewygodna.

Param powoli skinęła głową. Umbo znów zaczął się odwracać, a kiedy zakończył ten ruch, Rigg, Bochen i Oliwienko znajdowali się na środku Muru, nieco pochyleni, żeby dotknąć niewidocznego zwierzęcia. Jakąś milę za nimi pojawili się żołnierze, królowa i generał Obywatel. A także on sam i Param, stojący na wysokiej skale.

Świat zwolnił, ale nie odzyskał normalnego tempa. Nadal pędził tak szybko, że Umbo i Param prawdopodobnie pozostawali niewidzialni albo byli migotliwymi cieniami. Bochen i Oliwienko wyłonili się z Muru, ale Rigg leżał na plecach, usiłując podnieść rękę. Dziwne upierzone czworonożne stworzenie wyskoczyło z Muru i stanęło, drżąc, o niespełna dziesięć metrów dalej.

Jakiś człowiek wybiegł z zagajnika. Ten sam, którego przed chwilą widział Umbo – to samo ubranie, wzrost, ale teraz widział jego rysy.

Wędrujący Człowiek. Złoty Człowiek. Ten, który traktował Rigga jak syna. Ten, który nauczył Umba panować nad swoim talentem. Umbo zapragnął porozmawiać z nim, zanim znowu się rozstana, powiedzieć mu, czego się nauczył. Ojciec Rigga potrafiłby docenić jego osiągnięcia.

Czas zwolnił, wrócił do normy.

Nikt jeszcze nie zauważył Umba i Param – nic dziwnego, skoro stali nieruchomo wśród niskich skał, przy drzewie i krzakach.

Rigg zauważył ojca, zawołał coś.

Mężczyzna spojrział na niego, potem na Umba i Param. W końcu wyciągnął rękę, wskazał ich dwoje i krzyknął coś w obcym języku.

– Wędrujący Człowiek! – powiedział Umbo podniecony.

– Param, to ojciec Rigga. A raczej uważaliśmy go za ojca Rigga.

Tymczasem Rigg rzucił się biegiem do mężczyzny, obszedł go, oglądając ze wszystkich stron. Dotknął jego pleców, ręki, piersi. Umbo zrozumiał, że szuka ran, ale Wędrujący Człowiek patrzył na niego zdumiony.

Czy to możliwe, że to ktoś inny? Wyglądał jak lustrzane odbicie Wędrującego Człowieka.

A może w każdym świecie żyli ci sami ludzie? Identyczni, niewiedzący nawzajem o swoim istnieniu.

Niemożliwe, doszedł do wniosku Umbo. Wystarczyłoby, żeby ktoś umarł młodo, nie doczekawszy się dzieci, podczas gdy jego sobowtór w innym świecie żyłby dalej – i sytuacja już się zmieniała. Niemożliwe, żeby mieszkańcy po obu stronach Muru byli swoimi lustrzanymi odbiciami.

Z wyjątkiem ojca Rigga.

Umbo poderwał się na równe nogi, wziął Param za rękę i poprowadził ją na spotkanie ze Złotym Człowiekiem.

Rozdział 25

ZBĘDNY

Ram obudził się i zobaczył światło dnia.

Nie był oszołomiony. Zawsze budził się w pełni władz umysłowych, świadom, gdzie się znajduje. Kiedy przytomniał, to od razu.

Dlatego natychmiast zrozumiał, że nie znajduje się na pokładzie statku, bo na statku nie ma światła dziennego. To znaczyło, że albo doszło do jakiegoś wypadku, który przerwał podróż, albo podróż dobiegła końca, a on znalazł się w nowym świecie.

– Witaj na Arkadi – odezwał się zbędny.

– Więc nowy świat otrzymał nazwę? – spytał Ram.

– Może nieco na wyrost. Atmosfera nadal się oczyszcza po zderzeniu z grupą obiektów międzyplanetarnych przed dwustu laty. Ten incydent doprowadził do wyginięcia życia na planecie. Byliśmy zmuszeni zaszczepić tu nasze próbki ziemskiej flory i fauny. Ale jak widzisz, słońce świeci już jasno.

Umożliwia fotosyntezę, rośliny są zdrowe, bujne. Pora rozpocząć kolonizację.

Ram wstał z pryczy.

– Zostałem obudzony pierwszy?

– Zgodnie z planem.

– Zgodnie z planem? Plan zakładał, że obudzicie mnie natychmiast po opuszczeniu orbity okołoziemskiej. Że świadomie przebędę skok. Miałem podjąć pewne decyzje.

– Gdybyś był potrzebny, zostałbyś obudzony. Ale nie byłeś, dlatego cię nie obudzono.

– Nie wierzę, że tę sprawę zostawiono wam.

– Jeśli masz zastrzeżenia do naszego wykonania programu, przeprowadzimy badania autodiagnostyczne.

– Bez niezależnego kontrolera? System naprawdę został tak zaprojektowany, że w razie usterki wykryje swoje błędy?

– Jeśli nasze systemy zawiodą, lojalnie zaraportujemy o tym fakcie. Nie mamy mechanizmów chroniących ego, które doprowadziłyby nas do oszukiwania siebie lub siebie. A ty właśnie chronisz swoje ego. Sądziłeś, że będziesz niezbędny podczas podróży, i oto odkrywasz, że się myliłeś. To cię rozdrażniło.

– To obudziło moją troskę o wasze funkcjonowanie, bo w początkach kolonizacji będziemy od was zależni, dopóki nie otrzymamy nowych zapasów żywności i kolonistów z kolejnych statków.

– Troską nazywasz standardową reakcję przedstawiciela naczelnych na fakt, że nie posiada pozycji alfa. Taki niepokój może prowadzić do agresji, dlatego pozwól, że cię uspokoję. Po pierwsze, nie mamy dowodów na to, żeby jakikolwiek człowiek umarł z powodu uszczerbku ego, choć znane są wysoce ryzykowne zachowania mające na celu jego podbudowanie. Po drugie, obecnie zajmujesz pozycję alfa. Od tej pory będziemy przyjmować twoje polecenia – w granicach naszego programu.

– W granicach waszego programu?

– Tak powiedziałem.

– A co to za granice?

– Informowanie cię o tych granicach nie znajduje się w granicach mojego programu.

– To znaczy, że jestem alfa, chyba że stwierdzisz inaczej.

- Na razie masz uprawnienia do władania nami. Jesteśmy pod twoją władzą.
- Ale ta władza nie rozciąga się na te wasze możliwości, nad którymi nie mam władzy.
- Twoje problemy z uszczerbkiem ego wydają się trudne do złagodzenia.

Ram zastanowił się nad ewentualnymi decyzjami zbędnych, gdyby uznali, że jego zranione ego niebezpiecznie wpłynie na zachowanie.

– Nie – powiedział. – Chciałem tylko określić, na czym stoimy. Skok odbył się pomyślnie? Bez incydentów?

– Sam skok był incydentem, jednak odbył się dokładnie w granicach praw fizyki. Dane zebrane podczas skoku dostarczyły wielu informacji.

– Ale jesteśmy tutaj, cali i zdrowi. – Ram rozejrzał się dokoła. – Znajdujemy się w przenośnym budynku, lecz nie widzę systemu podtrzymywania życia.

– Powietrzem da się oddychać bez wspomagania.

– A inni koloniści?

– Rozmieściliśmy ich na powierzchni Arkadi, gotowych do obudzenia.

Czekamy tylko na twój rozkaz.

– Ileż uszanowania.

– Twój ironiczny ton każe nam powątpiewać w prawdziwy sens twoich słów.

– To nie znajduje się w granicach waszego programu – mruknął Ram.

– Znowu ironia. Wiem, bo wszystkie twoje intencje z definicji znajdują się w granicach naszego programu.

– Najpierw obejrzę ten świat, potem podejmę decyzję, czy obudzić kolonistów.

Pozwolił się wyprowadzić na jasne słońce. Dziesięć plastikowych budynków lśniło i migotało, nie oślepiając. Wokół rozciągały się dojrzewające lany.

– Nie próżnowałeś – zauważył Ram.

– Zostaliśmy zaprogramowani, żeby użyźnić ziemię, stworzyć przyjazny klimat i zasiać rośliny uprawne. Koloniści zaczną od nauczania się zbierania plonów, przechowywania ich w sposób inny od zamrażania i przygotowywania do konsumpcji.

– Dlaczego sami tego nie zrobicie, skoro osiągnęliście tak wiele bez pomocy ludzi?

– To nie jest kolonia zbędnych. Chodziło o zasiedlenie Arkadi ludźmi w taki sposób, by zmaksymalizować szanse ich przetrwania, nawet przy obniżonym poziomie rozwoju technicznego.

– Czy potraficie wytworzyć części zamienne dla siebie i innych maszyn?

– Zostaliśmy zaprogramowani, by zasiedlić Arkadię ludźmi w taki sposób, by zmaksymalizować szanse ich przetrwania, nawet przy obniżonym poziomie rozwoju technicznego.

Czyli nie będzie dalszych wyjaśnień. Ram musiał przyjąć, że w pewnym momencie zbędni odmówią pomocy i siewy, zbiory oraz przechowywanie zapasów żywności spadnie na barki kolonistów. Nie miał żadnej władzy nad zbędnymi, nie mógł z nich wydobyć tego, czego nie zamierzali mu mówić.

Najprawdopodobniej już teraz go okłamywali.

A to oznaczało, że życie na tej planecie będzie dość podobne do tego na Ziemi – ze zbędnymi w roli rządu, a przynajmniej zarządu. Wszystko wskazywało na to, że Ram jest tu figurantem, dopóki ludzie są na utrzymaniu zbędnych.

Więc skoro zbędni zamierzali nauczyć ludzi samodzielności, żeby sami mogli stać się nieprzydatni, Ram nie miał nic przeciwko temu.

– Chodź, przyjacielu – powiedział. – Obudźmy ludzi.

Mężczyzna wyglądający jak ojciec usiadł na ziemi. Rigg i Umbo zajęli miejsce dokładnie naprzeciwko. Param siedziała koło Umba, Bochen i Oliwienko obok Rigga. Mogłaby to być lekcja w Wodobrodzie.

- Na razie nie zrozumiałem ani jednego słowa – wymamrotał Umbo.
- Nigdy nie słyszałem takiego języka – powiedział Rigg.
- To chyba nie twój ojciec.
- Jeśli nim jest, to całkiem o mnie zapomniał.

Mężczyzna wyglądający jak ojciec uniósł rękę, żeby ich uciszyć. Wskazał Mur i powiedział coś podobnego do „Ochtożek-go-boisza-jong-nk”.

Na podstawie jego pytającej miny Rigg wywnioskował, że pytanie brzmi: „Przeszliście przez Mur?”. Więc skinął głową, wskazał kolejno na siebie i swoich towarzyszy, gestem umiejscowił ich po drugiej stronie Muru, a potem poruszył palcami, jakby szedł aż do miejsca, w którym się znajdowali. Dodał:

- Byliśmy po tamtej stronie Muru, przeszliśmy przez niego i znaleźliśmy się tutaj.
- Mężczyzna wyglądający jak ojciec skinął głową i zamknął oczy.
Otworzył je trzy sekundy później.

- Czy to wasz język? – spytał.
- Tak – powiedział Rigg. Inni odetchnęli z wielką ulgą. Jednak zdołają porozmawiać.
- Zatem przeszliście przez Mur – powiedział mężczyzna wyglądający jak ojciec.
- Ty też.
- Nie.

- Przecież cię znamy – zaprotestował Rigg. – Zapomniałeś nas?

Mężczyzna wyglądający jak ojciec pokręcił głową.

- Nie przeszedłem przez Mur, odkąd został tu ustanowiony jedenaście tysięcy lat temu.

Zapewne mylisz mnie z jednym z miejscowych zbędnych.

- Z kim? – zdumiał się Rigg.
- Czy wasi zbędni nie ujawnili wam swojej prawdziwej natury?
- Chyba nie.
- Przeszliście przez Mur własnymi siłami? – spytał zbędny.

– Tak – oznajmił Rigg, uznawszy, że odpowiedź jest zbyt skomplikowana, żeby wdawać się w szczegóły.

– Nie widzę maszynerii. I wyczuwam, że Mur nadal znajduje się na miejscu, więc go nie wyłączyliście.

- To jego można... wyłączyć? – zdziwił się Umbo.

– Minęliście Mur, nie wyłączając go – powtórzył zbędny – bez maszyn, nie rozumiejąc jego działania.

– Co to znaczy, że „miejscowi zbędni” nie ujawnili nam swojej „prawdziwej natury”? – warknął Bochen.

- Wszystko zależy od tego, w jaki sposób przeszliście przez Mur – odparł zbędny.

- Wszystko zależy od tego, czy odpowiesz na moje pytanie – wycedził Bochen.

– Odpowiem na pytanie pierwszego człowieka, który zapanował nad Murem i przeszedł przez niego.

– Zrobiliśmy to razem – wyjaśnił Rigg. – Umbo i ja połączyliśmy nasze zdolności, żebym mógł wrócić w czasy przed powstania Muru, i przeprowadziliśmy tych dwóch ludzi przez Mur. Pomogliśmy sobie nawzajem.

– A tych dwoje? – zbędny wskazał Param i Umbo.

– Nie wiem, jak tego dokonali – powiedział Rigg. – Sądziłem, że dotrą tu za parę dni albo nawet tygodni, a zdaje się, że nas wyprzedzili, choć ruszyli po nas.

– Kiedy Param sprawiła, że staliśmy się niewidzialni – rzekł Umbo – cofnąłem nas w czasie o parę tygodni i spokojniutko sobie przeszliśmy.

– Jak? – spytał zbędny.

Umbo spojrzał bezradnie na Param, a ona na Rigga.

– Param potrafi zwolnić czas – zaczął wyjaśniać Rigg.

– Całkiem jakby pojawiała się kolejno w malutkich cząstkach sekundy, przedzielanych przerwami. Takie poruszanie się trwa bardzo długo, nieustannie przeskakuje się z momentu na moment.

Zbędny milczał.

– Kiedy Param to robi – podjął Rigg – wpływ Muru staje się mniejszy. Dlatego zdołała przeprowadzić się z Umbem przez Mur. Najwyraźniej zaczęli parę tygodni temu i... co, czekaliście tu na nas?

– Parę dni – przyznał Umbo.

– To niewytłumaczalne – oznajmił zbędny. – Przybyłem tu parę dni temu, otrzymawszy sygnał, że Mur został spenetrowany, ale nie było was tutaj.

– Byliśmy – sprzeciwił się Umbo.

– Widzieliśmy cię – dodała Param.

– Nie słyszałeś? Umbo powiedział, że Param uczyniła ich niewidzialnymi – wyjaśnił Rigg.

– Kiedy tak przeskakuje między sekundami, światło nie odbija się od niej na tyle, żeby ludzkie oko ją zauważyło.

– Nie mieliśmy jedzenia ani wody – uzupełnił Umbo – więc skróciliśmy sobie oczekiwanie na was. Dla nas minęło piętnaście minut – z grubsza licząc.

– Chce wam się pić? – spytał Oliwienko.

– Trochę – przyznała Param. – Ale możemy jeszcze poczekać.

Rigg spojrzał na drugą stronę Muru. Ponad milę dalej nadal stała matka i żołnierze Obywatela, wciąż machając metalowymi prętami.

– Więc tak naprawdę was tam nie ma? – spytał zbędny.

– Ależ jesteśmy – powiedział Umbo. – Nadal spadamy z kamienia. Znajdowaliśmy się jakoś w połowie, kiedy cofnąłem nas o parę tygodni. To nastąpi tak jakoś pojutrze.

– Popojutrze – poprawiła Param. – Matka nie pozwoliła im odejść, a ja nie mogłam dłużej zwalniać czasu, więc Umbo uratował nam życie.

– Tak jak ona wcześniej uratowała moje, sprawiając, że zniknęliśmy. I tak jak wy uratowaliście nas, dając mi znak, żebym was ściągnął do teraźniejszości. Bardzo ładnie z waszej strony. Mam nadzieję, że ten ostatni odcinek drogi bez naszej pomocy nie był zbyt straszny.

Oliwienko zadrżał.

– W życiu nie przeżyłem nic straszniejszego.

– Przeszliście przez część Muru bez żadnej pomocy? – spytał zbędny.

– Ostatnie pięćdziesiąt kroków.

– A potem po mnie wrócili – dodał Rigg. – Upadłem i przestałem walczyć, a oni mnie przenieśli.

– Przeprowadziwszy się przez Mur, wróciliście po tego chłopca? – zwrócił się zbędny do Bochna i Oliwienki.

Obaj odpowiedzieli jednocześnie.

– Jesteśmy żołnierzami – wyjaśnił Bochen.

– To nasz przyjaciel – powiedział Oliwienko.

Potem zerknęli na siebie i dodali:

– Dobrze mówi.

I parsknęli śmiechem.

– Zatem cała wasza piątka jest nadzwyczajna, gdyż osiągnęliście – każdy na swój sposób – coś niemożliwego.

– Więc nam uwierzyłeś? – zdziwiła się Param.

– Kiedy mówiliście, nawiązałem kontakt z aktywnym zbędnym z waszego dawnego świata. Zapewnił mnie, że jesteście zdolni do zrobienia tego, o czym mi opowiedzieliście. – Zbędny wskazał Param. – Ty potrafisz robić mikroskoki w przyszłość. Ty – zwrócił się do Umba – masz odwrotną zdolność, przyspieszasz odczuwanie czasu, tak że otaczający cię strumień czasu zdaje się zwalniać. I najwyraźniej nauczyłeś się do pewnego stopnia tego, co potrafi on – zakończył, wskazując Rigga.

– To on potrafi naprawdę podróżować w czasie, cała przeszłość stoi przed nim otworem.

Potrafi wybrać ramy czasowe dowolnego żywego stworzenia i przejść do jego czasu, a następnie wrócić do terażniejszości, z której przybył.

Potem, ku zaskoczeniu wszystkich, wskazał Bochna i Oliwienkę.

– Obaj posiadacie w pewnym stopniu silną naturalną odporność na pole Muru. Zwykłe istoty ludzkie nie mogą go znieść. Ich siła woli znika po paru sekundach, a pojawia się szaleństwo. Umierają, zanim przejdą dziesięć kroków.

Oliwienko i Bochen spojrzeli na siebie, a potem na innych.

– Jaka jest szansa, że obaj mamy tę samą... – zaczął Oliwienko.

– To chyba bardzo powszechna zdolność – powiedział jednocześnie Bochen.

– To bardzo rzadka umiejętność, ale aktywny zbędny z waszego dawnego świata mówi, że wasza wrażliwość na pole Muru przyciąga was do tych, którzy potrafią manipulować polami – jak tych troje. To nic dziwnego, kiedy ludzie o takich umiejętnościach odnajdują się nawzajem. A przynajmniej tak twierdzi aktywny zbędny z waszego dawnego...

– Czyli mój ojciec – przerwał Rigg.

– Tak. Potwierdza, że nazywałeś go ojcem.

– Przecież umarł.

– Zbędni, którzy nadal uchodzą za ludzi, muszą czasem udawać, że umierają, żeby nie budzić podejrzeń.

– Więc kim jesteście? – spytał Umbo.

– Maszynami.

Rigg poczuł rozpierające go uczucie – i, ku jego zdumieniu, nie był to gniew. Raczej coś w rodzaju żalu. Nagle rozsłochał się rozpaczliwie, nie rozumiejąc dlaczego. I dlaczego nie może przestać.

– Przepraszam, ja...

Umbo położył mu rękę na ramieniu.

– Twój ojciec nie umarł.

– Maszyna – powiedział Rigg do zbędnego, odzyskując panowanie nad sobą. – Powiniennem się domyślić. Nie masz ścieżki! Tak jak ojciec.

Param uśmiechnęła się do niego.

– Więc i ciebie wychował kłamliwy potwór udający człowieka.

Rigg wytarł oczy i także się uśmiechnął.

– Kolejna rzecz, która nas łączy.

– Ten, którego nazywasz ojcem, to nie potwór – odezwał się zbędny. – Jest sługą ludzkiego gatunku.

– Okłamywał mnie przez całe życie – warknął Rigg.

– Mnie i Param też – dodał Umbo.

– Wyuczył cię i przygotował – sprzeciwił się zbędny. – Jesteście pierwszymi istotami ludzkimi, które przeszły przez Mur.

– Z wyjątkiem Knossa Sissamika – odezwał się Oliwienko.

– Kogo?

– Ich prawdziwego ojca – wyjaśnił Oliwienko. – Kazał mi się oszołomić lekami i przeprowadził się przez Mur w łodzi.

Zbędny pokręcił głową.

– Substancje chemiczne nie mają wpływu na oddziaływanie Muru. Przeprawiwszy się, musiał stracić władze umysłowe.

– Zamilkł na chwilę. – Aktywny zbędny w waszym dawnym...

– Nazywaj go Złotym Człowiekiem – wtrąciła Param.

– Złoty Człowiek zapewnia mnie, że tak właśnie się stało. Zbędny w świecie, do którego dostał się rzeczony osobnik, postąpił zgodnie z procedurą, niezwłocznie stosując eutanazję.

– Eutanazję? – powtórzył Umbo. Nie rozumiał tego słowa.

– Zabójstwo – mruknął Oliwienko. – Morderstwo.

– Osobnik Knosso już nie istnieje – dodał zbędny. – Na tym etapie jego umysł miał tylko jedno pragnienie: natychmiast umrzeć.

Teraz Oliwienko się rozplakał, zasłaniając twarz dłońmi. Bochen położył mu rękę na plecach.

Param spojrzała na zbędnego.

– Dlaczego mamy ci wierzyć?

– Bo jesteście pierwszymi istotami ludzkimi, które przeszły przez Mur.

– I co z tego?

– Teraz możecie rozkazywać.

– Komu? – spytał Rigg.

– Mnie.

– I co to oznacza? – odezwał się Umbo.

– Zrobię wszystko, co mi rozkażecie, o ile będzie się to znajdować w granicach moich możliwości.

– To szaleństwo – oznajmiła Param. – On kłamie. Nie rozumiecie? Nie może wykonywać rozkazów nas wszystkich. A jeśli damy mu sprzeczne polecenia?

– Fakt – przyznał Bochen.

– Będę posłuszny pierwszej istocie ludzkiej, która osiągnęła wystarczający rozwój techniczny, by przejść przez Mur.

– Pierwsi przeszli przez Mur Param i Umbo – powiedział Rigg.

– To zasługa Param – oznajmił Umbo. – Ja się tylko podłączyłem.

– Nie byliśmy pierwsi – zaprotestowała Param. – Zanim zeskoczyliśmy ze skały, widzieliśmy, jak przechodzicie przez Mur.

– Definicja tego „zanim” będzie trochę trudna – mruknął Umbo.

Zbędny milczał. Rigg rozumiał już, co oznaczają te pauzy. Rozmawiał jakoś z ojcem.

– Które z was ma kamienie? – spytał zbędny.

Rigg spojrział na Umba i przypomniał sobie, że przyjaciel oddał mu klejnoty przed przeprawą przez Mur. Sięgnął za pazuchę i wyjął woreczek.

– Te?

– Dziewiętnaście? – odpowiedział zbędny pytaniem.

– Osiemnaście. – Rigg rozchylił przed nim sakiewkę.

Zbędny pochylił się i zajrzał do niej, nie dotykając klejnotów.

– Gdzie jest ten brakujący?

– W posiadaniu Rady Rewolucyjnej. A może pomocników generała Obywatela.

– Staraliśmy się go odzyskać – dodał Umbo. – Ale potem musieliśmy uciekać z miasta.

Zbędny skinął głową.

– Z czasem stanie się wam potrzebny. Na szczęście ten, którego brakuje, należy do ciebie.

– Czy nie wszystkie do mnie należą? – zdziwił się Rigg.

– Albo... do nas?

– Chodzi mi o ten, który pozwala wyłączyć wpływ Muru wokół twojego świata – tego, w którym się urodziłeś.

– Klejnoty wyłączają Mur? – rzucił Bochen z irytacją. – Cały czas mieliśmy je przy...

– Nie można wyłączyć swojego Muru, dopóki nie wyłączy się innych – powiedział zbędny. – I tak musielibyście go użyć na końcu. Gdy inne Mury przestaną istnieć, wróćcie do domu, zdobędziecie ostatni klejnot i wyłączycie ostatni Mur.

– Czyżby? – mruknęła Param.

– W jakim innym celu mielibyście przechodzić przez Mur?

– Żeby ratować życie. Po tamtej stronie są ludzie, którzy chcą nas zabić.

Umbo odchylił się, żeby zobaczyć matkę i generała Obywatela.

– Że też jeszcze nie zauważyli Param i mnie!

– Nie przeszłoby im przez myśl, że się tu dostaniemy – odpowiedziała Param.

– Zastaniają was Bochen i Oliwienko – zauważył Rigg. – Nie widzą was, chyba że się wychylicie.

Zbędny gestem polecił Riggowi schować klejnoty.

– Zatem w istocie pozostajecie w niewiedzy co do swojej misji.

Rigg ukrył sakiewkę.

– Nie, dokładnie ją znamy. Nie wiemy tylko, co ty uważasz za naszą misję ani dlaczego ojciec...

Złoty Człowiek... dał mi klejnoty i wysłał w drogę.

– Teraz sami wybieramy sobie cel – dodała Param.

– Zobaczymy, co z tego wyjdzie. – Zbędny wstał i odszedł.

– Czeka! – zawołał Bochen.

Zbędny szedł dalej.

– Ty to powiedz. Możesz go zatrzymać – zwrócił się Bochen do Rigga.

– Czeka! – krzyknął Rigg. – Wróć!

Zbędny zbliżył się do nich.

– Ohyda – mruknął Rigg. – Nie znoszę nikomu rozkazywać.

– Jeśli to cię pocieszy, nad nami nie masz żadnej władzy – powiedział Umbo.

– Potrzebujemy twojej pomocy, żeby tu przeżyć – oznajmił Rigg. – Nie znamy tutejszych języków.

– Znacnie – odparł zbędny.

– Nie rozumieliśmy ani słowa z tego, co mówiłeś wcześniej.

– Mimo to Mur mieści w sobie wszystkie istniejące tu języki. Gdyby tak nie było, nie mógłby do was przemówić.

– Więc Mur zna języki?

– Wy także, odkąd przez niego przeszliście. Może nie od razu się aktywują w waszej pamięci, ale w niej są.

– Jestem głodny – powiedział Bochen. – Dość się nagadałem.

– Zejdźmy z oczu generałowi Obywatelowi i jego durniom – dodał Oliwienko. – Skończyłem z nimi.

– Na razie – odezwała się Param. – Bo tu wrócimy.

– Niby po co?

– Po ostatni klejnot. Żeby wyłączyć ostatni Mur.

– Więc uważasz, że powinniśmy zrobić to, co każą nam zbędni? – spytał Rigg.

– W przeciwnym razie nie dadzą nam spokoju. Moim zdaniem to ich rzekome posłuszeństwo to gra. Będą nas kontrolować, tak jak dotąd.

– Jeśli ktoś zapomniał – wtrącił Oliwienko – nie wszyscy mieszkańcy światów są mili.

Nawet mieszkańcy naszego świata. Co zrobiłby generał Obywatel, gdyby Mur zniknął?

– Przybyłby tutaj i nas zabił – westchnął Umbo.

– Ja bym go zabił pierwszy – oburzył się Bochen.

– Wojna kolonizacyjna – odgadł Oliwienko. – Aż do dziś wielkim osiągnięciem Sessamoto było zjednoczenie całego świata pod jednym rządem. Ale gdyby Mury znikły, ile minęłoby czasu, zanim spróbowałibyśmy podbić świat? Albo zanim ludy z innych światów napadłyby na nas? Ludzie są ludźmi, bez względu na to, gdzie mieszkają. – Odwrócił się do zbędnego.

– A może ich natura się zmieniła? Czy istnieje tu jakaś odmiana ludzkiego gatunku, która porzuciła agresję i zaborczość?

– Nie mogę tego wiedzieć – oznajmił zbędny. – Ograniczamy się do wiedzy o naszym świecie.

– Więc spytaj innych. Niech ci powiedzą. Jeśli chcesz, żebyśmy wyłączyli Mury, musimy znać konsekwencje tego działania.

– To coś, co musicie stwierdzić samodzielnie.

– Cóż za posłuszeństwo – mruknęła Param.

Zbędny odwrócił się do niej.

– Nigdy dotąd nie wyłączono ani nie przekroczone Muru. Nie wiemy, jak zareagują istoty ludzkie z różnych światów. Nie mogę wam powiedzieć tego, czego nie wiem. Powiedziałem, że będę wykonywać wszystkie rozkazy, które mogę wykonać.

– To znaczy, że w naszych rękach spoczywa odpowiedzialność za cały świat – powiedział Rigg.

– W twoich rękach – rzucił Umbo. – Ty masz klejnoty.

– No nie! Chyba mnie z tym nie zostawicie?

Umbo parsknął śmiechem.

– Spokojnie. Czy mamy do roboty coś innego niż usunięcie Murów na całym świecie?

– I dowiedzenie się, czego zbędni nam nie mówią – dodała Param. – Bo nadal nas okłamują, to więcej niż pewne. Zauważcie, że on nawet nie zaprzecza.

Zbędny spojrzał na nią spokojnie.

– Ani nie potwierdzam.

– Co jest inną formą kłamstwa.

– Nie możesz kłamać, jeśli nie znasz prawdy. Możesz tylko się mylić albo milczeć. Wolę

milczenie od błędu, a ponieważ nie wiem, kiedy się mylę, milczenie jest najlepszym wyjściem – o ile nie zostaną zmuszony do mówienia.

– Mało, że kłamca, to jeszcze filozof – prychnęła Param.

– Kiedy pytamy, mów nam tylko prawdę – rozkazał Rigg – albo to, co na podstawie obecnych informacji wydaje się prawdą. I odpowiadaj na pytania wszystkich, nie tylko moje.

– Dobrze.

– Jak się nazywasz?

– Nie mam imienia.

– Ale muszę cię jakoś nazywać. I tego, którego uważałem za ojca.

– Aktywny zbędny jest identyfikowany według nazwy świata, w którym służy.

– Więc jak się nazywa świat, w którym się urodziłeś? Który właśnie opuściliśmy?

– Świat Rama. Zatem wasz aktywny zbędny to Ram.

– A ten świat? – spytał Umbo. – I twoje imię?

– Świat Vadesha, a ja nazywam się Vadesh.

– Zauważyliście, że odpowiedział, choć pytanie zadał Umbo, nie ja? – ucieszył się Rigg. – To już postęp.

– Czy jest tu świeża woda? – zainteresował się Bochen.

– Woda pitna? Czysta? Bezpieczna? W ilościach wystarczających, by napełnić bukłaki?

Mam konkretyzować bardziej?

– Mogę was zaprowadzić do wody, ale nie zmuszę was do picia.

– Dlaczego to powiedziałaś? – Rigg był zdumiony. – Dlaczego miałbyś nas zmuszać do picia?

– To stare przysłowie. Z Ziemi, ze świata, w którym narodził się gatunek ludzki. W jednym z ziemskich języków. Ma dwanaście tysięcy lat. „Można zaprowadzić konia do wody, ale nie można go zmusić, żeby pił”.

– Dziękuję za tę lekcję historii – burknął Oliwienko.

– I lekcję końskich obyczajów – dodała Param.

Wszyscy się zaśmiali i ruszyli za zbędnym w stronę pobliskich drzew. Rigg zauważył, że Vadesh nie skomentował ich żartów.

– Twoje aluzje do świata, z którego pochodzą ludzie... Czy istnieje powód, dla którego mielibyśmy dowiedzieć się czegoś więcej o Ziemi?

– Tak.

– Co to za powód?

Zbędny nie odpowiedział.

– Czy twoje milczenie oznacza, że nie wiesz? Czy tylko że nie chcesz nam powiedzieć?

– Nie potrafię udzielić na to pytanie odpowiedzi choćby w przybliżeniu ścisłej czy pewnej. Ale musicie się wiele dowiedzieć o Ziemi, i to szybko.

– Dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego musimy się wiele nauczyć o Ziemi i dlaczego szybko?

– Bo oni są już blisko.

– Kto?

– Ludzie z Ziemi.

– Kiedy tu przybędą? – spytał Bochen.

– Nie wiem.

– Co zrobią, kiedy się tu znajdą? – spytał Umbo.

– Nie wiem.

– A co mogą zrobić? – spytał Rigg.

Vadesh zastanawiał się przez chwilę.

– Istnieją miliardy odpowiedzi zgodnych z prawdą. Ze względu na oszczędność czasu udzielę najważniejszych.

– Świetnie. Co mogą zrobić przede wszystkim?

– Mogą unicestwić ten świat wraz z całym istniejącym na nim życiem.

– Dlaczego? – spytał Oliwienko. – Co myśmy im zrobili?

– Pytanie dotyczy tego, co mogą zrobić, nie co zrobią. I zanim spyacie – nie potrafię tego przewidzieć. Na to pierwsze pytanie istnieją miliony odpowiedzi, ale na drugie nie ma żadnej.

Odpowie na nie przyszłość, a tam nawet wy nie możecie się dostać inaczej niż powoli, dzień po dniu, jak wszyscy.

– Widzę wodę – odezwał się Rigg. – Wygląda na czystą. Napijmy się i napełnijmy bukłaki.

POSŁOWIE

Neil F. Comins nie wiedział, że pomoże mi przy tworzeniu tej powieści, gdy pisał *What If The Earth Had Two Moons?: And Nine Other Thought-Provoking Speculations on the Solar System* (A gdyby Ziemia miała dwa księżyce? – i dziesięć innych intrygujących spekulacji na temat Układu Słonecznego). Ale i tak mu dziękuję. Za sprawą jego książki Arkadia ma pierścień zamiast księżyca, a ja kazałem dziewiętnastu statkom uderzyć w planetę w taki, a nie inny sposób. Nie jest jednak odpowiedzialny za te z moich wymysłów, które nie są możliwe według obecnego stanu wiedzy.

Zabawy z czasem, które prowadzę w tej książce, celowo pozostają w sprzeczności z prawami podróży w czasie, powszechnie przyjętymi w literaturze science fiction.

Zdecydowałem, że skoro i tak nie uniknę paradoksów, to przyjmę je z całym dobrodziejstwem inwentarza, wprowadzając zbiór reguł powodujący, iż rzeczywistością rządzi przyczynowość niezależnie od tego, w którym miejscu na osi czasu zachodzą przyczyna i skutek. W końcu skoro można postulować zaginanie przestrzeni w celu błyskawicznego przeskoczenia z jednego miejsca w drugie, to czemu nie zaginać czasu? A skoro można prześledzić ścieżkę od końca do początku w przestrzeni, to czemu nie w czasie?

Jedną z trudności w wyjaśnieniu wydarzeń tej powieści jest to, że żaden z bohaterów nigdy nie ma pełnego oglądu sytuacji. Mogę mieć tylko nadzieję, że czytelnicy sami powiążą fakty i domyślą się reszty. Dla tych jednak, którzy wciąż nie do końca rozumieją, przygotowałem krótkie wyjaśnienie tego, co „naprawdę” się stało: Gdy statek Rama wszedł w zagięcie w przestrzeni, dziewiętnaście komputerów na pokładzie dokonało obliczeń dających dziewiętnaście odmiennych szacunków, które utworzyły dziewiętnaście odmiennych zbiorów pól. Weszły one w interakcję z umysłem Rama, a jego osobliwa umiejętność wpływu na czas sprawiła, że wszystkie z tych pól stały się równocześnie obowiązujące dla komputerów. I tym samym skoku dokonano dziewiętnaście razy, w wyniku czego powstało dziewiętnaście kopii statku poruszających się w przód i tyleż samo kopii poruszających się w tył.

Dziewiętnaście statków poruszających się w tył powiązało się z jednym oryginalnym statkiem, który uczestniczył w podróży ku zagięciu. Ponieważ cofały się w czasie, nie były w stanie w żaden sposób wpływać na wszechświat poruszający się do przodu ani odczuwać jego wpływu. W gruncie rzeczy zajmowały więc równocześnie tę samą przestrzeń, nie wpływając wzajemnie na siebie.

Poruszający się do tyłu Ramowie zaistnieli dokładnie w momencie wykonania skoku. A Ramowie poruszający się do przodu wyłonili się z niebytu w przestrzeni nieopodal planety Arkadia w dziewiętnastu różnych miejscach (więc nie eksplodowali, próbując zajmować tę samą przestrzeń w tym samym czasie), ale zrobili to 11 191 lat przed skokiem.

Z perspektywy obserwatorów na Ziemi wydawało się, że sygnatura świetlna i cieplna statku Rigga po prostu zniknęła. Odczytali to jako sygnał, że statek z powodzeniem wykonał skok poza pozycję w przestrzeni (a nie – że statek z powodzeniem dotarł do celu). Z racji odległości światło potrzebowałoby trzydziestu jeden lat, by dotrzeć do ziemskich obserwatorów i pokazać im, jak ni stąd, ni zowąd te same sygnatury pojawiają się w pobliżu Arkadii (o ile z tak daleka w ogóle było coś widać). Tak więc ludzie na Ziemi nie mogą zrobić nic poza ciągłym sprawdzaniem swoich matematycznych i fizycznych teorii i hipotez, by zdecydować, czy uznają skok za zakończony powodzeniem.

W następnej części dowiemy się, że dokonali nowych obliczeń i wprowadzili poprawki do tych teorii; dzięki nim nauczyli się konstruować statki, które mogą wykonać skok bez tworzenia kopii statków dla każdego zestawu kalkulacji. Opracowali teorię, która z matematycznego punktu widzenia wymagała, by z każdym skokiem tworzył się statek poruszający się do tyłu. Lecz zdali sobie sprawę z

tego, że jego istnienie można pominąć w rozważaniach, gdyż i tak nie ma on na nic żadnego wpływu.

Nie wiedzieli jednak o umiejętnościach Rama, nie mieli więc świadomości, że statek (statki), który (które) wykonał (wykonały) ten pierwszy skok, zaistniał (zaistniały), lecz nie w „teraźniejszości”, tylko 11 191 lat wcześniej (31 lat świetlnych od Ziemi razy 19 do potęgi drugiej). Nie mieli więc pojęcia, że ludzie już żyją na Arkadii od ponad jedenastu mileniów.

Tak naprawdę spodziewali się odkryć, że ludzka kolonia nie została jeszcze założona, ponieważ zbędni i komputery powinni być dopiero w trakcie przygotowań się do wprowadzenia ziemskich stworzeń na Arkadię.

Jestem wdzięczny pierwszym czytelnikom tej powieści, którzy zmagali się z własnymi problemami z podrózkami w czasie. Większość książek piszę bardzo szybko, w ogólnym pośpiechu, poszczególne rozdziały zwykle powstają w kilka dni. Tym razem jednak, z powodu osobliwości historii i potrzeby ciągłego wymyślania nowych postaci i sytuacji w toku, prace nad książką rozciągnęły się na sześć miesięcy, a rozdziały powstawały całymi tygodniami. Przez to tym pierwszym czytelnikom bardzo trudno było spamiętać, co wydarzyło się wcześniej. A mimo to odwalili kawał świetnej roboty. Moja żona, Kristine, zawsze pierwsza czyta wszystko, co piszę; w tym mozolnym przedsięwzięciu wspierali ją również Erin i Phillip Absherowie oraz Kathryn H. Kidd.

Moja redaktorka, Anica Rissi, uważnie czytała każdą wersję manuskryptu, gdy był jeszcze w fazie konstrukcji; dzięki niej wiele sprzeczności i błędów ciągłości, które umknęły uwagi i mojej, i moich pierwszych czytelników, zostało niemal natychmiast wyłapano i poprawione. Jestem wdzięczny za jej nieocenione komentarze i sugestie, które przyczyniły się do znacznych ulepszeń w tej skomplikowanej historii. Dziękuję też Stephanie Evans za doskonałą pracę redakcyjną, która zawsze jest trudna w wypadku pisarza tak dziwaczego i upartego, nie wspominając już, że tak nadpobudliwego, jak ja.

Tę książkę zadedykowałem mojej agentce, Barbarze Bova, która odeszła od nas niedawno. Nie miała okazji przeczytać tekstu, ale ta powieść by nie powstała, gdyby nie jej namowy. Dzięki składam również mężowi Barbary, Benowi Bova (pierwszemu redaktorowi, który kupił ode mnie opowiadanie science fiction, jeszcze w 1976 roku) i jej synowi, Kenowi Bova, którzy wspólnie zadbali o to, by jej agencja (i jej sieć agentów zagranicznych) działała bez zakłóceń.

Wielkie dzięki również dla redaktorki prowadzącej Kathleen Bellamy i redaktora Eda Schuberta z mojego magazynu internetowego *Orson Scott Card's InterGalactic Medicine Show* (www.osc.IGMS.com) – za przyjęcie wczesnego materiału o Ramie. Jako że jestem właścicielem tego magazynu i obydwójce pracują dla mnie, przesłałem opowiadanie pod fałszywym nazwiskiem, by ocenili tekst obiektywnie. Fakt, że przyjęli go i postanowili uczynić odpowiedziem numeru, zanim zdradziłem im, że autorem jestem ja, upewnił mnie, że zdaje egzamin jako samodzielne opowiadanie, bez wsparcia reszty powieści.

Na koniec dziękuję też wszystkim, którzy dbają o prawidłowe funkcjonowanie mojego gospodarstwa domowego, gdy pogrążam się w pracy nad książką – Kathleen Bellamy, tym razem w roli mojej asystentki, Scottowi Allenowi, czarodziejowi mojej strony internetowej i ekspertowi IT. I oczywiście mojej żonie, Kristine, oraz naszej córce, Zinie – tolerowały obcego człowieka, pisarza, który snuł się bez celu między poddaszem a resztą domu i tylko sporadycznie mówił coś sensownego podczas rozmów, bo zwykle, z powodu przedziwności tej historii, gadał od rzeczy.

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział 1 JEŚLI DRZEWO UPADA..	4
Rozdział 2 STROMOGÓR..	11
Rozdział 3 MUR NOX..	21
Rozdział 4 KAPLICZKA WĘDRUJĄCEGO ŚWIĘTEGO..	32
Rozdział 5 NADRZECZNA OBERŻA..	49
Rozdział 6 LEJKA I BOCHEN..	59
Rozdział 7 O..	70
Rozdział 8 WIEŻA..	83
Rozdział 9 UMBO..	94
Rozdział 10 OBYWATEL..	108
Rozdział 11 WSTECZ..	116
Rozdział 12 W KAJDANACH..	129
Rozdział 13 SAMOTNOŚĆ RIGGA..	138
Rozdział 14 DOM FLACOMMO..	145
Rozdział 15 ZAUFANIE..	154
Rozdział 16 MARTWE POLE..	165
Rozdział 17 UCZONY..	175
Rozdział 18 KOPIĄC W PRZESZŁOŚCI.	191
Rozdział 19 ARESSA SESSAMO..	203
Rozdział 20 CO WIEDZIAŁ KNOSSO..	214
Rozdział 21 KLUSKI.	225
Rozdział 22 UCIECZKA..	242
Rozdział 23 POWÓZ..	263
Rozdział 24 SKOK ZE SKAŁY..	282
Rozdział 25 ZBĘDNY..	292
POSŁOWIE..	302